

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

4767/112

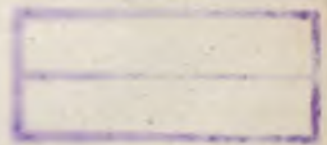
**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1868.

Tom czwarty.



WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1868.

4620 . 1868 . 4
II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 15 (27) września 1868 r.

Censor, J. Błeszczyński.

X-14211
4620 / <u>W</u>

1868

4.



30.000,-

KILKA SŁÓW

O POLSKICH PODRÓŻNIKACH

DO ZIEMI Ś^{te}j I ICH DZIEŁACH.

SKREŚLIŁ

Mathias Bersohn.

Pałestyna, owo źródło, z którego wypłynęła wielka idea monoteizmu, była przed wiekami i przez kilka wieków widownią straszliwych wojen, które wyludniając ją obracały w perzynę grody kwitnące oddawna, nauką i przemysłem. Na tém, nie obszerném pobojuwisku zcierały się z sobą nie tylko narody różnej wiary, różnych języków i odrębnych zwyczajów, broniące swęj religii i samoistności, ale co główna walczyły tam z sobą o pierwszeństwo: czyste i wzniosłe pojęcia jedynejo Boga, z politeizmem, z barbarzyńskim pogaństwem. Każda taka walka była zabójczą, okropną! Żydzi, po rozpaczliwej obronie uległszy przemocy Rzymian, utracili razem swój byt polityczny. Mała ich tylko garstka opuszczając gruzy wspaniałej świątyni rozprasza się po całym świecie, i unosi z sobą wiarę, za którą tak długo i tak mężnie walczyła. W XI^{te}m stuleciu, też same pola nasiąkły krwią tysiąca bohaterów chrześcijańskich, którzy po niezliczonych ofiarach i cierpieniach przybyli tu z krain dalekich; po długich wiekach wojen, ziemia ta kryjąca w swém łonie szczątki tylu tysięcy wyznawców religii żydowskiej i chrześcijańskiej, tylu walecznych i bogobojnych mężów, stała się drogą pamiątką i świętęm miejscem. W najodleglejszych więc już czasach widzimy ludzi pobożnych, przybywających z różnych krajów do Palestyny, by tu spędzić ostatnie dni życia, i kości swe połączyć z świętęmi popiołami praorców. Przechowało się wiele prawdziwie rozrzewnia-

jących pieśni i hymnów, jakie owi sędziwi pielgrzymi wznosili do Boga, oddając ducha na świętych zwaliskach. Ilezto pozostało ciekawych opisów i szczegółów o tej ziemi, o jej mieszkańcach i pomnikach starożytnych! Opisy te początkowo kreślone drżącą częstokroć ręką, konających starców, zawierają krótkie tylko wzmianki o świątyniach lub ich ruinach w Jerozolimie, a nadto przeplatane są po większej części różnorodnemi baśniami i zabobonami, jakie tylko ówczesny zapał religijny wyrodzić był w stanie. Jeżeli zatem opisy te żadnej prawie wartości naukowej mieć nie mogą, to późniejsze badania i podróże mianowicie z czasów wojen krzyżowych lub późniejszych, a zwłaszcza odbyte w nowszych czasach, przyczyniły się bardzo do wyświecenia wielu ważnych faktów starożytnej historii, do objaśnienia niektórych ciemnych podań biblijnych. Liczba różnych dzieł traktujących o Ziemi Świętej jest tak znaczna, że utworzyłoby mogła że tak powiemy, dział w literaturze, odnoszący się do historii Palestyny. Zdawałoby się nawet, że już ostatnie słowo w tym przedmiocie wymówione zostało. Tymczasem rzecz się ma inaczej: im większe robimy postępy w badaniach starożytnych dziejów, im kwestye religijne bywają otwarciej i bez żadnego fanatyzmu dyskutowane; tém bardziej pragniemy dokładnie poznać Ziemię Świętą, tradycye jej i prawdziwe dzieje; i tém częściej pojawiają się nowe opisy, kreślone wprawném piórem znakomitych uczonych europejskich. Tytuły wszystkich oniemał opisów podróży do Palestyny, zebrał w formie katalogu Tytus Tobler, doktor medycyny w mieście Wolfhalden w Szwajcaryi, i uporządkował je chronologicznie, od najdawniejszych czasów, to jest od roku 333 nowój ery, do roku 1867. Dzieło to w niemieckim języku (u S. Hirsza w Lipsku r. 1867) wydane pod tytułem „*Bibliographia Geographica Palaestinae*,” które w tej chwili mamy przed sobą, podzielił autor na 4 części. W pierwszej umieścił małą liczbę tych pisarzy, którzy w pracach swoich wskazują źródła odnoszące się do poznania Ziemi Świętej; takich bibliografów Tobler odszukał trzydziestu pięciu. W drugiej części zebrał nazwiska i tytuły dzieł tych pisarzy, którzy z wszelką pewnością Palestynę zwiedzili, i na miejscu ją opisali. Trzecia zawiera autorów, którzy wprawdzie sami w Palestynie nie

byli, ale opisywali ją na podstawie różnych dzieł i źródeł. W czwartej cytuje wszystkie wizerunki, albumy, mappy pojedyncze lub kompletne atlasy, jakie do tej chwili wydane zostały.

Praca p. Toblera odznacza się wielką starannością; badania robił sumienne, i widocznie z przedmiotem swym dobrze się obeznał. Jeden wszakże ważny zarzut możemy postawić, a mianowicie zupełny brak objaśnień i krytycznych poglądów na dzieła znakomitszych pisarzy. Autor podaje częstokroć tylko tytuł książki, miejsce gdzie ona wyszła i imię pisarza; a przecież wielką byłoby korzyścią dla czytelników, gdyby p. Tobler obznajmił nas z duchem, w jakim dzieło to lub owe było napisane. Musimy jednak uznać zasługę p. Toblera, do jakiej daje mu prawo pracowite i sumienne zebranie i uporządkowanie tytułów wszystkich dzieł traktujących o Ziemi Świętej. Napotykanymy tu opisy pielgrzymów i podróżnych wszystkich bez wyjątku narodowości. Jako bardziej nas obchodzący zrobiliśmy z wspomnionej pracy wyciąg wszystkich dzieł o Ziemi Świętej, przez polskich podróżnych skreślonych, z dodaniem z naszej strony niektórych szczegółów przez autora niemieckiego pominiętych. Skromna, a wyznajemy szczerze niewyczerpująca przedmiot, praca nasza, służyć jednak może za wskazówkę tym, którzyby pragnęli poznać Ziemię Świętą, jej historią, stan przeszły i obecny.

Najpierwszym z polskich podróżników podług Toblera, był:

Anzelm rodem z Krakowa, mnich zakonu św. Franciszka, który w roku 1508 odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej i tam czas długi bawił. Opisał tę podróż po łacinie w dziele „*Descriptio Terrae Sanctae ejusque itinerarium*” które Jan ze Stobnicy, prof. Uniwersytetu Krakowskiego, wydał w Krakowie u Floryana Unglera r. 1512 in 4-to. Praca ta później po kilka razy a mianowicie w roku 1514 i 1517 (1) przedrukowaną została, a nadto umieszczono ją w dziele: „*Thesaurus Monumentorum eccles. et hist.*” W Henryka Comisiusza: „*Antiquae lectionis etc.*” W r. 1861 Rignon, a w roku 1862 Petzholdt, robią o pielgrzymce Anzel-

(1) Patrz Jocher nr. 8110. 198.

ma wzmiankę pochlebną, lecz zarzucają mu częste podawanie bajecznych rzeczy. Nadmienić nam tu jeszcze wypada, że opis podróży Anzelma, w roku 1595 przełożony został na język polski, podobno przez Ant. Bykowskiego i wydany pod tytułem: „*Peregrynacya prawdziwego opisaniu Ziemi Świętej Betleem i Jerozolimy po łacinie r. 1509, po polsku 1595*” powtórnie wydano w Wilnie 1698 r. (1) przez Rybińskiego. Toż samo dzieło wyszło pod tymże tytułem 1725 r. w Supraślu.

Drugim podróżnikiem do Ziemi Świętej był żyd:

Uri Simeonson rodem z miasta Biały. W r. 1537, w młodym wieku udał się do Palestyny z pewnym uczonym polskim, którego nazwiska nie wymienia, i po trzydziestokilkoletnim tamże pobycie, wrócił w r. 1574 do Polski. Opis swęj podróży po Azji Mniejszej, a szczególnie po Palestynie wydał w języku hebrajskim w Wenecyi 1575 r. na ulotnych kartkach. Dzieło to, które przygotował był jeszcze w 1564 r. podczas pobytu w mieście Safed, a dzisiaj bardzo już rzadkie, nosi tytuł „*Iichus ha-aabot*” (Groby patriarchów). Zdobią je wizerunki wszystkich grobów znajdujących się w Palestynie. Egzemplarz jeden dostał się w ręce uczonego Henryka Hottingera prof. języka hebrajskiego przy uniwersytecie heidelberskim, który w r. 1659 wydał je w łacińskim przekładzie, p. t.: „*Cippi Hebraici: Sive Hebreorum tam veterum prophetorum patriarchorum quam recentiorum Tannaeorum, Amoraeorum Rabbisorum monumenta, Hebraice a Juleo quodam, teste oculato, tum intra tum etiam extra terram Sanctam observata et conscripta nunc vero Latinate donata, notisque illustrata a Joh Henrico Hottingero, Heideberge, S. Braun anno 1659 in 12-o pag. 1—80.*”

Drugie wydanie ukazało się w r. 1662 z rycinami i textem hebrajskim. Wreszcie uczony E. Carmoly wydał je w przekładzie francuzkim z rycinami w dziele swojem „*Itinéraires de la terre Sainte*” w Bruxelli r. 1847.

Jako trzeciego z kolei, Tobler wymienia:

Bartłomieja Giorgiewitsa z Krakowa (?) który prawdopodobnie był w Palestynie w r. 1550; pobyt zaś swój

(1) Patrz Jocher nr. 8120.

w Jerozolimie opisał dopiero za powrotem do Europy w języku włoskim, i wydał p. t. „*Opera nuova, che comprende quattro libretti... Bartolomeo Georgiewitz authore, Roma, A. Borre anno 1555.*” Przełożył je na język francuzki Lambert Darmont i wydał w Liege u Streela r. 1600 pod tytułem: „*Voyage de Jerusalem avec la description des cites villes etc.*” Podróżnik nasz przeżywa się sam: „*Barth. Gieorgicuitz Peregrino auctore*” w małym dziełku „*de Turcarum moribus epitom.*” wydrukowanem w Rzymie w roku 1598.

W polskim przekładzie dziełko to pierwszy raz wyszło w r. 1548 w Krakowie u Heleny Floryanowój, pod tytułem: „*Rozmowa z Turczyinem o wierze Krześciyanskiej i o tainości troyce świętej, która w Alkoranie stoi napisana. Przez Bartłomieja Georgiewits, który czternaście lat był więźniem Tureckim.*”

Późniejszego wydania podobno że nie ma.

Czwarty podróżnik o jakim Tobler wspomina, jest powszechnie znany książę:

Mikołaj Krzysztof Radziwiłł (sierotka), który jak wiadomo, w czasie niebezpiecznej słabości ślubował Bogu, że powróciwszy do zdrowia, odbędzie pielgrzymkę do Jerozolimy. Podróż tę odbył 1582 r. i powrócił do kraju dopiero 1584 r. W czasie swój podróży, w listach po polsku pisanych do przyjaciela przesyłał ciekawe i bardzo zajmujące szczegóły, które zebrał i na łaciński język przełożył ksiądz Tomasz Treter, kustosz warmijski, i wydał p. t. „*Hierosolymitana Peregrinatio Illustrissimi Domini Nicolai Christophori Radzivil 8 Epistolis comprehensa. Ex idiomate Polonico in latinam linguam translata et nunc primum edita. Thoma Tretero interprete. Brunsbergae. Schoenfels 1601.*” W tymże r. 1601 w Brunsbergu dzieło to było jeszcze dwa razy drukowane, tak że mamy trzy jego edycye z jedną datą.

Drugie wydanie ukazało się w Antwerpii roku 1614 u Moreli (in folio). Ksiądz Andrzej Wargocki, korzystając z wspomnionego łacińskiego wydania przełożył je na nowo na język polski i wydał w roku 1607 w Krakowie pod tyt. „*Peregrynacya albo pielgrzymowanie do Ziemi Świętej Mikołaja Chrystopfa Radziwiłła.*” Dzieła tego ukazały się w Krakowie edycye w latach 1611—1617—1628—1683 i 1745

dwukrotnie. Na niemiecki język przetłumaczone zostało w r. 1603 p. t. „*Jüngst geschehene Hierosolymitanische Reyse und Wegfahrt. Welche in vier Sendschreiben begriffen, darinn sehr nützliche, lustige und seltzame Ding im Heiligen und Egyptischen Land zu ersehen, auss Polischer Sprach in Latein versetzt. Durch H. Tomam Treterum. Jetzund aber auss Lateinischer Sprach in Teutsch verfasst, durch Laurentium a Borkau in Meyntz. Bal. Lippen 1603 in 4-to pag. 274.*”

Nadto podróż Radziwiłła wyszła w 1609 r. w Frankfurcie p. t. „*Reisebuch in das H. Land.*”

Samuel ben Dawid Jemsel, żyd. Uczony karaita, przedsięwziął podróż do Ziemi Świętej w roku 1641, a powrócił pod koniec panowania Władysława IV. Był on świadkiem wojen kozackich i prawdopodobnie zginął z wielu innymi w roku 1648. Opisał swą pielgrzymkę w języku hebrajskim, zaraz po powrocie do Polski. Bliższą wszakże znajomość tego dzieła winniśmy królowi szwedzkiemu Karolowi XI, który chcąc poznać sektę Karaitów wysłał do Polski w r. 1690, dla jej zbadania Peringera Lilieblada, uczonego prof. języków wschodnich przy uniwersytecie upsalskim. Peringer zdając szczegółową ze swych badań relację, w liście do ministra Job Ludolpha z dnia 15 kwietnia r. 1691, wspomina bardzo pochlebnie o Samuelu Jemsel. Po powrocie do Upsali, Peringer uznawszy dziełko Jemsela za godne ogłoszenia, przedrukował je z przekładem łacińskim w broszurce in 4-to z 16 kart. Uczony E. Carmoly w swém już wyżej wzmiankowanym dziele „*Itinéraires de la terre Sainte*” daje również opis podróży Jemsela w tłumaczeniu francuzkiém.

Z późniejszych pielgrzymów polskich Tobler cytuje **Tomasza Stanisława Wolskiego**, z Uniejowa w Sieradzkim (1). Zapalony ten podróżnik, zwiedziwszy prawie całą Europę, udał się także do Jerozolimy, dokąd po wielu nieszczęśliwych wypadkach, przybył 12 kwietnia 1726 r. Przy końcu tegoż roku znajdował się w Rzymie, zkąd w krótkim czasie na nowo puścił się w podróż po Europie. Po powro-

(1) F. M. Sobieszczański w Encyklopedyi Powszechnój Tom 27 str. 739.

cie do Rzymu w r. 1730, papież Klemens XIII mianował go admirałem floty rzymskiej. W skutek ran otrzymanych w bitwie pod Raab przeciw Turkom, umarł Wolski w Wiedniu. Podróż swoją i pobyt w Jerozolimie, opisał w języku łacińskim. Dzieło to, które teraz dosyć już jest rzadkie, nosi tytuł następujący: *Illustris peregrinatio Jerosolimitana latius protracta per tres insigniores mundi partes a Thoma Stanislao Wolski... nempe per Europam, Asiam et Africam In quibus multa Regna peragravit Barbarorum infideliumque, tam in terra firma, quam in mari existentia innumerasque penetravit Insulas... Cujus Authoris vita in exordio ejusdem peregrinationis proponitur.* Leopoli Confratern. S-ti Trinitatis 1737 in 4-to. Do wydania tego dołączony jest miedzioryt słabego bardzo rylca, przedstawiający Wolskiego w rycerskiem ubraniu, w prawej ręce trzyma miecz, w lewej kulę z płomieniem, a u nóg jego leżą rozrzucone członki ludzkie, zdaje się że tureckich żołnierzy; broń, chorągwie i t. p.: w oddaleniu widać różne okręta i łodzie. W r. 1748 Wolski dedykował toż samo swoje dzieło królowi Augustowi III dodawszy tylko inną kartę tytułową i krótką dedykację po łacinie napisaną. W roku wstąpienia na tron króla Stanisława Augusta t. j. r. 1764, Wolski tę samą książkę królowi ofiarował, zmieniwszy tylko kartę tytułową i dedykację. Data śmierci Wolskiego dokładnie znaną nie jest, lecz pewno jest że umarł po r. 1766, albowiem na jednym egzemplarzu tego dzieła będącego własnością tutejszej głównej biblioteki, znaleźliśmy na okładce napis takięj osnowy: „*Perillustri ac generoso D. Michaeli Molochowicz nobiliae custodi Upicensi patrono Colendissimo, cui offero hunc librum pro eterna memoria obsequi mei. Datt. Grodnae a. d. 1766.*” *Thomas Stanis. Wolski nobilis Polonus Eques Crucis aureae man. propria.*” Wolski w swém opowiadaniu, nic nowego ani też ciekawego nie podaje, owszem opis swój przeplata często baśniami i zabobonami.

Książd reformat **Józef Drohojewski** kaznodzieja przemyski, odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej i bawił tam od 1788 r. do końca 1791 r. Opis tej podróży nie odznaczając się żadnym ciekawym szczegółem, wyszedł w Krakowie 1812 r., który jest datą śmierci księdza Drohojewskiego, i nosi tytuł: „*Pielgrzymka ks. Józefa Drohojewskiego re-*

formatu, do Ziemi Świętej, Egiptu i innych wschodnich i południowych krajów odbyta w r. 1788, 89, 90 i 91 w II-ch tomach." Druga edycja wyszła w Wilnie w r. 1822, w II-ch tomach, wydanie ozdobniejsze.

Ignacy Hołowiński (1) arcybiskup, metropolita mohilewski odbył w 1839 r. pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Krótko bawiąc, bo tylko sześć miesięcy, Hołowiński zwiedził najciekawsze miejsca. Poznawszy dobrze kraj i jego historią, tradycyę i legendy, zebrał znaczne zasoby różnych notat i wróciwszy do kraju, wydał opis swój podróży pod tyt. „*Pielgrzymka do Ziemi Świętej odprawiona przez ks. Hołowińskiego w r. 1840*” u Zawadzkiego w Wilnie w r. 1842 — 43, w 5-ciu tomach; późniejsza edycja ukazała się w r. 1853 w wielkiej 8ce. Szacowna ta praca Hołowińskiego uważaną być może za najdokładniejszy polski opis Ziemi Świętej.

Ksiądz Felix Laassner (2) rodem z Krakowa, odbył także podróż do Palestyny, gdzie bawił od r. 1843 — 1849, i opisał ją w małym dziełku wydanem w Krakowie r. 1855 w 8ce p. t. „*Pielgrzymka misyjna do Ziemi Świętej, Syrii i Egiptu w latach od 1843 — 1849 r., odbytu przez księdza Felixa Laassnera.*” praca ta nie zawiera nic ciekawego, ani też nic nowego.

Jako ostatniego Polaka zwiedzającego Palestynę, Tobler cytuje księdza:

Felixa Gondek, który swoją podróż wydał pod tyt. „*Wspomnienia z pielgrzymki do Ziemi Świętej w r. 1859 odbytej. Napisał ksiądz Feliks Gondek w Bochni 1860 r. w 8ce.*” I to dziełko nie ma wielkiej wartości naukowej. Tobler zakończywszy spis podróżników i pielgrzymów do Ziemi Świętej, wspomniawszy o ich pracach, przechodzi do geografii Palestyny. Tu między pisarzami polskimi wymienia:

Joachima Lelewela, o którym się bardzo chlubnie wyraża. Lelewel wydał geografją Palestyny z mnóstwem

(1) Julian Bartoszewicz w Encyklopedyi Powszechnej Tom XII str. od 80 — 89.

(2) A. Norof. Pelerinage en Terre Sainte de l'igoumène russe, Daniel St. Petersbourg 1864 stronnica 216.

różnych mapp, p. t.: „*Geographie au moyen âge, étudiée par Joachim Lelewel, Accompagnée d'Atlas et de Cartes, dans chaque volume. Bruxelles, Pifliet 1852 in 4-to, 3 vol.*” Dzieło to starannie opracowane, powszechnie znane i wysoko cenione, na które zwykle powołują się uczeni wszystkich narodowości, zdobi zarówno publiczne biblioteki jak i celniejsze księgozbiory, i dziś już uważa się za dzieło rzadsze, często poszukiwane.

Chociaż Tytus Tobler tak małą liczbę podróźników polskich do Ziemi Świętej odszukał i przytoczył, jednakże nie chcemy mu kłaść na karb jakiegś niechęci, tego że kilku znaczniejszych pielgrzymów polskich nie wymienił, prawdopodobnie niezajomość języka i literatury naszej, nie dozwoliła Toblerowi poczynić obszerniejszych poszukiwań. Pragnąc niejako uzupełnić tę jego pracę, winniśmy wspomnieć tu o kilku podróźnych polskich, którzy zwiedzili Palestynę a o których autor żadnej nie zrobił wzmianki:

Henryk syn Bolesława III-go, ksiązę sandomierski i lubelski, korzystając z chwilowego pokoju, jaki w r. 1154 w Polsce panował, wyruszył z garstką polskich rycerzy do Palestyny. Najznakomitszym z pomiędzy tych ostatnich był:

Jaksa (1) *herbu Gryf, ksiązę syrbski, hrabia na Miechowie*. Nie mamy opisu tej podróży i prawie dwuletniego pobytu w Jerozolimie Henryka i jego towarzyszy, chociaż prawdopodobnie, dyaryusz przez którego z rycerzy lub duchownych do orszaku należących mógł być prowadzony.

Piotr Wysz, biskup krakowski, odbył w r. 1409 pielgrzymkę do Ziemi Świętej w towarzystwie opata Tynieckiego i dwóch zakonników Miechowitów. Nie wiemy czy podróż ta kiedyś była opisaną, nie napotkaliśmy bowiem nigdzie dziełka podobnej treści.

W r. 1453, dwaj kanonicy poznańscy **Jakób** z Wygonowa i **Maciej** z Chronina wybrali się w pielgrzymkę do Ziemi Świętej i bawili tam podobno 2 lata.

Jakób de Bau Roxice rodem z Krakowa, kanonik św. Floryana *Medicinae licentiatus*, udał się w r. 1474 do Jero-

(1) Tak czytamy w dziele: O początku, rozkrzewieniu i upadku zakonu XX. Kanoników Stróżów św. Grobu Jerozolimskiego. Przez księdza Piotra Pękalskiego, w Krakowie 1867 r. str. 29.

zolimy na mocy udzielonego mu pozwolenia przez Akademię Krakowską.

Jan Długosz, kanonik gnieźnieński i krakowski odbył także pielgrzymkę do Ziemi Świętej, lecz nie posiadamy żadnego opisu, ani też szczegółów tej podróży; to tylko jest wiadomo, że na pielgrzymkę tę wybierał się był z Janem Elgotą, jak to pokazuje się z listu tegoż ostatniego do Długosza pisanego przed podróżą: również jak i z listu Długosza do kardynała Zbigniewa Oleśnickiego z Rzymu pisanego, który się w następnych słowach rozpoczyna: „*In ipsa ad Jerosolymam profectiois meae articulo haec ad te vir clarissime scribo*” a w którym opisuje swemu protektorowi, pobyt w Rzymie, z kąd się był udał do Ziemi Świętej. Z listów tych również jak i listu Długosza do Jana z Hohenberga kawalera maltańskiego, a towarzysza jego podróży, można śmiało przypuścić że Długosz zwiedził Palestynę prawdopodobnie przed rokiem 1471.

Książd Michał z Wielunia zwiedził Jerozolimę w r. 1486, zbierając szacowne notatki; lecz wracając w następnym roku do Polski, nagle umarł na wyspie Rodus: praca jego nigdy odszukaną i wydrukowaną nie została.

Są też pewne ślady, że i **Dantyszek**, urodzony w r. 1485 podróżował do Ziemi Świętej, lecz szczegółów tej jego pielgrzymki nigdzie znaleźć nie mogliśmy.

W późniejszych czasach odbył podróż do Ziemi Świętej ksiądz **Felix Sojecki** zakonu XX. Kanoników Stróżów św. Grobu Jerozolimskiego w Miechowie. Pobożny ten mąż bawił tam lat kilka, spędzając czas na badaniach naukowych i na modlitwie. Powróciwszy do kraju przyjął skromne obowiązki prostego wikaryusza w kolegium św. Jadwigi na Stradomiu, i urząd ten w zakonném ubóstwie piastował do samej śmierci, która nastąpiła r. 1612.

Rymsza Andrzej. „*Chorographia albo topografia t. j. osobliwe opisanie Ziemi Świętej*” z łacińskiego przetłumaczone, wyszło w Wilnie 1595 r.

Breiderbach opisał Palestynę w dziełku p. t. „*Peregrynacya arabska, albo do grobu św. Katarzyny*,” przekład Wargockiego. Kraków 1610.

M. Smotrzycki napisał „*Apologią peregrynathey do krajów wschodnich*” w r. 1628.

Rybiński Antoni, „*Peregrynacya czyli opisanie Ziemi Świętej*” wyszło w łacińskim języku w Krakowie w r. 1595, na polski język dzieło to przełożone wyszło tamże w r. 1698 w 8-ce.

Andrychoniusz Sebastian „*Jeruzalem jakie było za czasów Chrystusa*,” przełożone na język polski wyszło w Warszawie w r. 1716 in 4to.

Węzyk Władysław. „*Podróże po starożytnym świecie*,” dzieło to wyszło w r. 1842.

S. Z. z Czerniejowa „*Wspomnienia Wschodu, czyli dziennik podróży do Palestyny*” drukowane w Lipsku r. 1855.

Mann Maurycy zwiedził Palestynę i opisał tę swą wycieczkę w dziele „*Podróż na Wschód*” wydanem w Krakowie w IIIch tomach r. 1854 i 1855.

Podróż na Wschód odbyli także **Rzewuski Wacław** i przed laty kilkunastu żyjący obecnie **Mikołaj Wisłocki**. Nie możemy zapomnieć wycieczki na Wschód wielkiego poety Juliusza Słowackiego, z kąd wziął osnowę do swego poematu p. n. *Ojciec Zdzumionych*.

Oprócz tu wymienionych podróżników polskich i ich dzieł, ukazało się jeszcze móstwo opisów Ziemi Świętej, po różnych pismach peryodycznych, których trudno by nam było tu po szczególe podać. Przytoczymy tu tylko powieść Janowskiego p. t. „*Pielgrzym z Ziemi Świętej*” wydrukowaną w „*Rozmaitościach lwowskich*” z r. 1832.

Przeszłość i obecność, równy prawie mają udział w dającej się czuć potrzebie dokładnego poznania Palestyny. Jeżeli z jednej strony pragniemy poznać tę krainę, dla wiążących się z nią wspomnień historycznych, podań i mytów religijnych, dla jęj historii połączonej silnie z przebiegiem dziejów, południowej i zachodniej Europy; dla pomników i zabytków, dzieł sztuki, poezyi i w ogóle archeologii: to z drugiej strony przeważny kierunek ducha dzisiejszej epoki, potrzeb społeczeństwa, interesów handlu i przemysłu Europy, silnie połączonych z stanem ekonomicznym téj krainy, bardziej dziś dzięki postępowi komunikacyi do nas zbliżonej, tém więcej każe baczniejszą na nią zwracać uwagę, jako na miejsce, przez które w blizkim czasie, głównie kierować się musi ku środkowi Azyi prąd europejskiej cywilizacyi

działalności. Potrzeba więc nam nader dokładnego dzieła, któreby mogło zaspokoić ową potrzebę zbadania rzeczywistego stanu téj krainy, jój zasobów i bogactw przyrodzonych, jój obecnego życia intelektualnego, jój przemysłu, handlu, rolnictwa, dróg, stosunków politycznych i społecznych.

Z drugiej strony badanie przeszłości Palestyny domaga się dzieła krytycznego, którego autor, obok wielkiej erudycji i głębokiej nauki, umiałby bezstronnie rozjaśnić tajniki ducha i umysłu owych ludów, z których przed wiekami tryśnięły zarody tylu pojęć i zasad rozlicznych sekt religijnych. Tobler zebrał i ułatwił badania i poszukiwania, wskazując źródła, z jakich czerpaćby można; do naszych uczonych i badaczy społeczeństw, należy te wskazówki umiejętnie zużytkować, oraz wydobyć i rozjaśnić, wiele mętnych, wiele ciemnych i niepewnych szczegółów. I pewni jesteśmy, że pobudki powyższe, i potrzeby dzisiejszego społeczeństwa, na dzieło takie długo nam czekać nie każą.

WYSTAWA Powszechna Międzynarodowa z r. 1867.

I.

Wpływ mechaniki na przemysł (*).

Główną cechą tegoczesnego przemysłu jest przeważny wpływ, jaki na wszystkie jego gałęzie wywiera mechanika; jakkolwiek znakomity pisarz Sismonde i cała klasa rzemieślnicza z przestrachem i niechęcią na to spogląda, doświadczenie przekonywa, że wpływ ten jest nadzwyczaj dobroczynnym w skutkach; zwiększa bowiem produkcyjną siłę społeczeństwa, i za jednaką ilość pracy ludzkiej, pozwala otrzymywać nieskończenie większą ilość jej wytworów, do olbrzymich niekiedy dochodzącą rozmiarów.

Wprawdzie i inne nauki przemożnie przyczyniają się do postępu przemysłu. Chemia cudownych niemniej dokonała w nim przewrotów, i dzięki jej wszechpotężnemu działaniu, dziś już dokazała tak wiele, iż śmiało można zastosować do niej ów wiersz klassyczny:

„Pod jej dobroczynnym wpływem, miedź zmienia się w złoto.”

Fizyka równie wielkie oddała usługi; ileżto możnaby przytoczyć przykładów, gdzie jedno jej działanie zmieniło

(1) Sprawozdanie o wystawie międzynarodowej z 1867 r. obejmować będzie 13 tomów. P. Michał Chévalier, członek Instytutu, przewodniczący pracującym, napisał „Wstęp” do tego ważnego dzieła. Artykuł powyższy jest wyjątkiem z tej pracy znakomitego ekonomisty i kompetentnego sędziego, której część przed wydrukowaniem dzieła ogłoszoną została w *Revue Contemporaine* w Nr. 15 z lipca 1868 r.

lub stworzyło nową gałąź przemysłu, że wspomnimy tylko o mechaniczném przedzeniu lnu, które stało się możliwém, dzięki przemysłowi fizyka, aby przędzę i paczesie zanurzać w gorącej wodzie.

Jednak pomimo niezliczonych usług jakie chemia i fizyka wyświadczyły i nieustannie oddają przemysłowi, wpływ mechaniki jest wszechpotężniejszy, bo zastosowanie jej jest daleko rozleglejsze, użytek ogólniejszy.

Dzięki mechanice, owe wyroby które niedawno jeszcze, gdzieś w małej izdebce lub sklepiku, wyrabiali ręcznie lub z pomocą niedostatecznych narzędzi pojedynczy rzemieślnicy, dziś już stanowią wielki przemysł, posiadający liczne i wydoskonalone narzędzia, wprawione w ruch za pomocą pary lub spadku wody. Tuż za tém w ślad idzie najzupełniejszy rozdział pracy, tak błogie zapewniający skutki. Sięgnijmy myślą początków XIX wieku, przebiegnijmy wszystkie niemal gałęzie przemysłu, a przekonamy się jak wielkie, jak zbawienne mechanika zaprowadziła w nich zmiany.

Weźmy na przykład lornety teatralne, których wyrobienie zajmuje dziś wielkie oddzielne fabryki, zaopatrzone w doskonałe narzędzia i w których praca jest nadzwyczaj podzieloną. Dobrze zastosowane maszyny, nietylko w krótkim czasie bardzo wiele dokonywają pracy, ale nadto oszczędzają kosztownych materyałów, jak np. kość słoniową używaną na oprawę lornetek. Toż samo da się zastosować do obsadek do piór, kałamarzy z cienkiej werniksowanej blachy i tysiąca podobnych przedmiotów.

Mechanika przekształciła także w zupełności przemysł kapeluśniczy; największe zasługi w zastosowaniu jej położył p. Lowille, kapeluśnik w Paryżu, który wydoskonił istniejące i sam obmyślił nowe maszyny, i zaprowadził je w swoich zakładach, z kąd po całym rozeszły się świecie. Dzięki jego staraniom, sztuka kapeluśnicza dosięgła we Francji nadzwyczajnego stopnia rozwoju i pomyślności, stokroć powiększyła liczbę swych wyrobów, a nadto zużytkowywa wielką liczbę nowych, nie używanych dotąd surowych materyałów. Przed niewielką jeszcze laty wyrabiano same tylko kapelusze jedwabne, dziś stanowią one zaledwie dwudziestą część całkowitej produkcji, a w ogóle wyrabiane są z pilśni, która doskonale się nadaje do wszelkich fasonów i użytków. Po-

dobne fabryki zrodziły nowe gałęzie przemysłu, tak zwane „postrzyganie sierci,” nad którymi p. d'Aligny ciekawe bardzo czyni spostrzeżenia, w swoim sprawozdaniu z wystawy paryzkiej. Surowy ten materiał stał się przedmiotem znakomitego handlu, gdyż znaczna część pilśni potrzebnej do fabryk kapeluśniczych, sprowadzana jest z Nowego świata.

I tak z każdym dniem mechanika coraz więcej rozpościera swą władzę nad przemysłem i rękodzielniami, dziś nie ma prawie takich, nad którymi nie panowała wszechwładnie.

Stolarstwo nie obejdzie się prawie bez mechaniki, ślusarstwo posługuje się nią, nie wyjmując nawet prostego wyrabiania gwoździ wszelkich rozmiarów: kamienie i drzewo obrabiają się mechanicznie. Jedna maszyna przerabia belki, druga podnosi kamienie i cegły, zastępując w tym chłopców mularskich; tak więc nawet przemysł budowniczy, który długo zdawał się wyłącznym niemal zadaniem rąk ludzkich, podlega dziś przeważnie prawom mechaniki.

Z pomocą mechaniki wyrabiają prześliczne szalety złożone z oddzielnych numerowanych części, dające się z łatwością składać i rozbierać, a tym samym przesyłać choćby jak najdalej koleją żelazną. Szalety te wykonywane są na wzór szwajcarskich, tylko tak piękne i ozdobne, że mało który z obywateli Szwajcaryi ośmieliłby się stawiać tak zbyt-kowe, jakie dziś posiadać może najmniej zamożny mieszczanin, dzięki maszynom, za których współdziałaniem wyrabiają je po bardzo niskich cenach.

W przeróżnych, a często tak delikatnych wyrobach tkackich, mechanika z każdym dniem wszechwładniej się rozpościera, i wkrótce nie pozostanie ani jednej gałęzi, któraby nie podlegała jej prawom; dziś już widzimy jak szczęśliwie dała się zastosować do wyrabiania najpiękniejszych aksamitów, których fabryki dotąd wyłamywały się z pod jej władzy.

Teraz już mechanika wkracza coraz więcej w dziedzinę swój współzawodniczki chemii, dostarczając jej pożytecznych udogodnień i pomysłów; w wielkich farbiarniach pozaprowadzano przyrządy mechaniczne, w których za pomocą walców drukują się perkaliki i obicia papierowe, oraz rozmaite

uproszczenia i oszczędności kosztu i pracy, w których mechanika główną gra rolę.

I coraz więcej powstaje maszyn zastępujących pracę rąk ludzkich w jej najdrobniejszych szczegółach, między innymi, na Polu Marsowem widziano maszynkę do wyrabiania cygar i papierosów.

Od lat pięćdziesięciu mechanika z gruntu przekształciła sztukę młynarską, tak ważną dla społeczeństwa. Jakażto rażąca pod tym względem sprzeczność między krajami ucywilizowanymi, jak Europa i Stany Zjednoczone, a zacofanymi okolicami północnej Afryki, zamieszkanymi przez pokolenia arabskie. Tam, po dziś dzień zboże gniecione bywa pomiędzy dwoma kamieniami, i ciężką tę pracę dokonywają ręce biednych kobiet, uginających się pod jej ciężarem. U ludów zaś ucywilizowanych, udoskonalone młyny dostarczają najprzedniejszą mąkę, bez żadnego niemal współudziału pracy ludzkiej: zwiedzając te młyny nie widzimy wcale robotników, zdaje się wszystko odbywa się za pomocą czarnoksiężkiej laski: tą czarnoksiężką laską jest mechanika.

Piekarstwo także wszystkie swe ulepszenia zawdzięcza mechanice. Na wystawie paryzkiej okazywano dwa współzawodniczące z sobą przyrządy, p. Lebandy i pp. Plonin i Vaury najznakomitszych piekarzy paryzkich. Codziennie publiczność rozrywała chleb wychodzący z pieca: zaczynianie odbywało się sposobem czysto mechanicznym. Tak więc można się spodziewać, że w niedalekiej przyszłości wyjdzie zupełnie z użycia dotychczasowy sposób wypieku chleba, praca ciężka dla producentów, a dla konsumentów niekoniecznie miła.

We Francji wyrabia się obecnie kołnierzyków i krawatów, za sumę 25 do 30,000,000 fr., dzięki maszynom do szycia i do kroju, pozwalającym sprzedawać podobne wyroby, oraz bieliznę wszelkiego rodzaju po nadzwyczaj niskich cenach. W samym Paryżu wielkie składy bielizny zatrudniają codziennie 10 tysięcy robotnic; pomimo maszyn zarobne ich nie obniżyło się, zarabiają bowiem przecięciowo 2 fr. dziennie, a zdolniejsze i pilniejsze po 4 fr. dziennie.

Rolnictwo wiele także zawdzięcza mechanice, która z dniem każdym więcej je wyzwala od konieczności uciekania się do ręcznej pracy, będącej dziś, w niektórych szczególnie

miejsowościach, coraz niedostępniejszą. W krajach gdzie ludność nie jest zbyt liczna, produkcya zboża bywa często tak znaczną, iż obok zaspokojenia miejscowych potrzeb, można prowadzić niém handel wywozowy na wielką skalę: tu mechanika nieocenione oddaje usługi. Z pomiędzy licznych żniwiarek, których modele przedstawiono na wystawie paryzkiej, najlepszą jest żniwiarka p. M. Cormick, z Chezogó, dzięki której Ameryka północna, zaopatruwszy dostatecznie w zboże ludne miasta Boston, Nowy-York, Filadelfię i Baltimore, może jeszcze obficie dostarczać je Europie. Gdyby nie ta mechaniczna pomoc, Stany: Ohio, Illinois, Michigan i inne produkujące ogromną ilość zboża, nie znalazłyby nigdy dostatecznej liczby rąk do sprzątnięcia swych zbiorów, zasiewanych na tak rozległych przestrzeniach. Dziś już jest w ruchu w Stanach Zjednoczonych około 175,000 żniwiarek, po większej części zbudowanych według systemu p. M. Cormick. Według p. Gould, prezesa Towarzystwa Rolniczego Stanu Nowo-Yorkskiego, który jest bardzo kompetentnym sędzią w tej materji, maszyny te zastępują w czasie żniwa 15,000,000 robotników, których nie znalazłyby tam za żadną cenę. Z pomocą żniwiarki właściciel pola potrzebuje tylko kilka dni pogodnych aby zżąć i złożyć do stodół zboże, a nadto zyskuje na ziarnie, które maszyna zaoszczędza w stosunku jednego hektolitra na hektar.

Maszyny ułatwiają także najodleglejsze dostawy furazu, za pomocą ciśnienia, które go do małych bardzo sprowadza rozmiarów. O ileżto ułatwia zaopatrywanie potrzeb konnicy podczas wojny, oraz dostawę do wielkich stolic i miast gdzie utrzymują wielką liczbę koni, których wyżywienie bajeczne kosztowałoby summy, gdyby mechanika nie była podała łatwych środków dowozu.

Sto lat jeszcze temu, czémże była dentystyka i dentyści? nędzném i zastałym rzemiosłem, wykonywaném przez nieuzdolnionych rzemieślników. Dziś dobry dentysta musi być biegłym chirurgiem, umiejącym korzystać z niezliczonej liczby narzędzi i środków, jakie mu następują mechanika i chemia. P. Th. W. Ewans ciekawe bardzo o tém podaje szczegóły w swoim sprawozdaniu. Zakład p. Samuela White, w Filadelfji, w którym wyrabiają się same specjalne

narzędzia, sztuczne zęby i złoto gąbczaste używane przez dentystów, zatrudnia przeszło trzystu robotników. Chirurgia dentystyczna dosięgła dziś w Stanach Zjednoczonych najwyższego stopnia doskonałości i rozwoju, a to dzięki udoskonaleniom, jakie odnoszące się do niej sztuki zawdzięczają chemii i mechanice.

Mechanice-to i jej wszechpotężnemu poparciu, handel i przemysł zawdzięcza swój postęp i rozwój, mocą którego może wyrabiać daleko większą liczbę przedmiotów i po daleko niższych sprzedawać je cenach. Zdawałoby się, że użycie maszyn zmniejsza liczbę zajętych robotników: przeciwnie, fabryki zatrudniają ich coraz więcej, bo obniżenie cen, powiększa nieustannie liczbę żądających ich wyrobów.

W żadnych fabrykach maszyny nie odgrywają tak wielkiej roli jak w wyrobach tkackich, szczególnież bawełnianych i wełnianych, i właśnie podobne zakłady najwięcej zatrudniają robotników. P. Alcan podaje w statystycznych swoich wykazach, że na ogólną wartość przeszło 11 miliardów jakie Europa wytwarza w różnorodnych tkaninach z bawełny, wełny, lnu, konopi, jedwabiu, bawełna czyni 3,648 milionów, wełna 3,631 milionów, razem 7,279 milionów, czyli dwie trzecie całości.

Bawełna jest to roślina exotyczna włókienkowata, i nie więcej jak przed stu laty mało bardzo było w Europie fabryk bawełnianych; jedwab miał wszędzie pierwszeństwo z powodu wysokięj wartości wyrabianych z niego produktów. Dziś, jakkolwiek fabryki jedwabne doszły wysokiego stopnia udoskonalenia, jednak pod względem ilości wyrobów zajmują bardzo podrzędne stanowisko, a wartość ich wynosi zaledwie 1,628 milionów.

W żadnym jednak kraju mechanika nie znalazła tak rozległego zastosowania w przemyśle jak w Anglii: wyroby tkackie, a szczególnież bawełniane najżywszym tego dowodem. Pod tym względem Anglia najwięcej pracuje, najwięcej produkuje, a jej wyroby tkackie przewyższają dobrocią podobne wyroby innych krajów. Anglia wyrabia artykułów tego rodzaju za 4,536 milionów, to jest dwie piąte wartości wyrobów całej Europy.

Chcąc zbadać jaki wpływ wywiera rozwój sztuk mechanicznych na zarobne robotników, przejrzymy artykuły pana

Alcan w „*Revue contemporaine*” (LVI, 497, LVII, 299, 651, LVIII, 445). W całej Europie robotnik najlepiej jest płatny w Anglii; w Rosyji są mechaniczne przędzalnie bawełny, ale najczęściej przędzą na kołowrotkach. Według p. Alcan, robotnica przędząca na maszynie zarabia tam 1 fr. 25 cent., zaś przędząca na kołowrotku tylko 24 cent. dziennie.

Teraz zastanówmy się o ile rozwój sztuki mechanicznej ułatwia ludnościom krajów przemysłowych zaopatrywanie się w wyroby tkackie. W Anglii, odtrąciwszy wywóz, wypada, licząc w to wszelkie artykuły na odzież, meble i użytki domowe, w przecięciu na wartość 94 fr. na głowę; we Francyi około 57 fr., w Belgii 52 fr. a w Rosyji tylko 16 fr.

Włochy bardzo są jeszcze zacofane pod tym względem, liczą tam około 300,000 robotnic przędzących na kołowrotku, i zarabiających tylko 16 cent. dziennie.

Nie myślimy przeczyć, że w pewnych okolicznościach wprowadzenie maszyn do fabryk, pomimo niezaprzeczonych dobrodziejstw jakie one oddają społeczeństwu, może zgotować robotnikom ciężkie przejścia. Rzecz pewna, że jeśliby je zaprowadzono jednocześnie we wszystkich fabrykach jakiegoś miasta czy prowincyi. znaczna liczba robotników zostałaby pozbawiona pracy, a tęp samym setki rodzin, tysiące osób, sposobu do życia. Ale jest to fakt prawie niemożliwy, a w żadnym razie nie pozwalający potępiać maszyny. Społeczność dobrze uorganizowana, powinna przewidzieć podobne okoliczności, i wszystkie stany, naczelnicy zakładów przemysłowych, władze miejscowe, a nawet władze kraju, obowiązane są zawczasu im zapobiedz. Robotnicy powinni znowu odkładać pewną część zarobnego, aby w razie zbiegu smutnych okoliczności, nie być pozbawionymi wszelkiego zasobu. Najlepszym środkiem są małe stale opłacane składki i stowarzyszenia wzajemnej pomocy.

W tak smutnych ostatecznościach, robotnicy mogą śmiało liczyć na współzucie i pomoc wszystkich klas społeczeństwa, ale w narodach które osiągnęły wysokiego stopnia cywilizacyi i stały się godne liberalnej konstytucyi, każdy powinien przedewszystkiem liczyć tylko na własne swoje usiłowania, przezorność i działalność, i umieć sobie radzić w każdym razie, nie oglądając się na drugich.

Weźmy za przykład Anglię. Kiedy skutkiem domowej wojny w Ameryce, wszystkim fabrykom zabrakło bawełny, nagle krocie robotników zostało bez chleba, tracąc możność zarobku. Mechanika żadnej tu nie odegrała roli, a jednak ileżto rąk zostało pozbawionych pracy: nigdy jeszcze żadna maszyna podobnej nie zadała klęski. Jakżeto piękny, jak wzniosły przykład przedstawił wówczas światu naród angielski! Każdy pełnił ochoczo swój obowiązek: arystokracja przemysłowa i rodowa współubiegała się w szlachetnej gorliwości i wspaniałomyślności, władze gminne i parlament rozwinęły rozumną i skuteczną działalność. Ze swjej strony wszyscy niemal robotnicy okazali godną uwielbienia cierpliwość, godność i rezygnacyą a jednak, gdyby nie zaoszczędzone zasoby, ilużto liczną obarczonych rodziną, nie byłoby w stanie przetrwać straszno tak przesilenia.

Z innego znowu zapatrując się stanowiska, musimy podziwiać nieocenione usługi mechaniki podczas wojny. Gdyby nie maszyny do wyrabiania broni, czyż Ameryka północna zdołałaby uzbroić na czas swe miliony żołnierzy, i stłumić ową straszną wojnę domową, która pochłonawszy tyle ludzi i pieniędzy, wywołałszy straszne spustoszenia i klęski, spowodowała jednakże zniesienie niewolnictwa na Południu.

Udoskonalenie karabinów, armat i innych pocisków wojennych, winno być swój mechanicznej. Wydoskonalenie broni głównie zależało na tém, aby można rzucić pociski, kule karabinowe lub armatnie, w pewnym danym kierunku, aby one miały jak największą doniosłość i w jednym danym czasie jak najwięcej dawały strzałów. Jeśli można cieszyć się z wynalazku, którego jedynym celem szerzyć w około zniszczenie, śmierć i pożogę, to dzisiejsi wynalazcy i fabrykanci broni mogą być zupełnie zadowolnieni. Jednak kto wie, czy mordercze te wynalazki nie mają także swjej dobrej strony; może odstraszą narody od prowadzenia wojen, skłonią je do porozumienia się i jedności, i nie dopuszczą wojen, chyba w ostateczności, w obronie jakiej wielkiej i świętej sprawy.

Od lat piętnastu, przyzwawszy w pomoc inne nauki, mechanika nowymi tory popchnęła sztukę drukarską. Z pomocą prasy mechanicznej łatwo bardzo odbić 6,000 arkuszy

na godzinę; można nawet otrzymać w tymże czasie 12,000 a nawet 24,000 arkuszy: wszystko to jednak nie wystarczałoby dla dzienników mających od 100,000 do 200,000 prenumeratorów; ale brakowi temu zaradzają *klisze* (tablice na których odlano druk ruchomy). Chcąc w krótkim przeciągu czasu otrzymać wielką liczbę odbić, sama prassa mechaniczna nie byłaby jeszcze dostateczną; trzeba by chyba składać pewną liczbę jednych i tych samych form, jak to miało dawniej miejsce w drukarniach dzienników posiadających bardzo wielu prenumeratorów, co jednak nigdy nie dawało równie wielkiej jak wyż wymieniona liczba odbitek. Dziś, gdyby nawet nie wiedzieć jak wielką liczbę egzemplarzy odbić trzeba było, składa się jedna forma, tylko rozmnaża się ją odlewaniem druku ruchomego na tablicach (*clichage*). To odlewanie nadzwyczaj dziś uproszczono; zdejmuje się odciśnięcie za pomocą kredy i papieru rozciągniętego nad złożoną formą. Odbicie takie mało kosztuje i bardzo prędko wysycha, można więc niemal zaraz wylewać na nie roztopiony metal, który nie uszkadza formy, twardnieje prędko i daje dobre odbicia. Jeśli jedna klisza nie wystarcza, zdejmuje się więcej odbić: liczba jest dowolna. Niektóre dzienniki potrzebują zdejmować po dwadzieścia cztery odbić, wtedy mając dwadzieścia cztery maszyny i odbijając choćby tylko 6,000 arkuszy na godzinę, otrzymują w tymże przeciągu czasu 144,000 egzemplarzy.

Przed trzydziestą lub czterdziestą laty, gdyby ktoś chciał być odbić 120,000 egzemplarzy dziennika, potrzebowały do tego 160 pras i 1500 robotników, co jedno i drugie byłoby niepodobnym prawie: dziś dość na to mieć 9 maszyn i 90 robotników.

Na wystawie paryzkiej funkcyjowała prassa mechaniczna p. Juliusza Derriey, z małymi cylindrami, drukująca 10,000 arkuszy na godzinę.

To rozmnażanie odbitek jest także zastosowane i do litografii, z właściwymi odmianami. Raz odbity rysunek przenosi się na nowy kamień i postępując dobrze zastosowanym sposobem, można z jednej ryciny odbić niezliczoną liczbę egzemplarzy. Dzięki temu wynalazkowi można odbijać nadzwyczaj tanie mappy i nuty; dziś już sprzedają we Francji ładne atlasy geograficzne z 10 lub 12 kartami

textu po 50 centymów; małe solfeggia po 15 cent. a całe partytury oper po 2 fr.

Pragnący czytać obszerniejsze objaśnienie o sztuce drukarskiej i wszystkich odnoszących się do niej, znajdują je w bardzo zajmującym sprawozdaniu p. Pawła Boiteau.

II.

NOWE MOTORY RUCHU.

Wystawa paryzka zawierała także okazy nowych motorów ruchu zastosowanych do użytku przemysłu, które dotąd ograniczały się na przyrządach hydraulicznych i maszynach parowych.

Tu zaznaczyć należy usiłowania pomyślnym uwieńczone skutkiem, aby za pomocą ściśnionego powietrza, przesłać, choćby z odległości kilku kilometrów, siłę i ruch wywołany spadkiem wody. Tak więc siła sprężysta ściśnionego powietrza staje się motorem, ale podrzędnym tylko, ponieważ trzeba najpierw siły ściśniającej powietrze, którą dotąd stanowił spadek wody; jednak możnaby zdobyć ją od powietrza lub nawet od jakiegobądź motora.

Dawno już temu, pewien zacny, skromny, pracowity inżynier, nie żyjący już, nazwiskiem Andraud, powziął myśl znakomitą, nagromadzenia i przesłania daleko, za pomocą ściśnionego powietrza, naturalnych sił poruszających, a szczególnie siły biegu wód, która w kraju tak wielkim jak Francya, może dorównać sile milionów koni. Ale zasługa rozwiązania tego zadania i zastosowania go w wielkich rozmiarach, w sposób zupełnie praktyczny, należy się p. Sommeiller, naczelnemu inżynierowi kierującemu przebicciem góry Cenis.

Wielu już przed p. Sommeiller, nawet przy przebicciu góry Cenis, próbowało rozwiązać trudne to zadanie, ale on dopiero, siłą swego geniuszu przekształcił i udoskonalił przedsiębrane próby, i dzięki jemu, mechanizm nabrał własności wymagalnych przez przemysł. Przebiccie góry Cenis będzie świetnym wieku naszego pomnikiem. Dziś podziemia tej góry przedstawiają nam godny podziwu obraz: w pośród

nadzwyczaj twardego gruntu przebitą została galerya obejmująca przeszło 12 000 metrów przestrzeni, i to nawet bez pomocy zwykle używanych studni, a robota ta posuwała się daleko prędzej niż górnik świdrujący dzinry z floretem w rękę, i przez cały ciąg długiego wydrążenia, urządzono doskonałe sposoby odświeżania powietrza z zabijających wyziewów i dymu prochowego utrudniającego oddychanie: oto czego dokonał geniusz jednego człowieka! Dziś już można być pewnym, że w przeciągu najdalej lat trzech, olbrzymie to dzieło przebicia góry zupełnie ukończonem zostanie.

Zasada która tak pomyślnie dała się zużytkować i do tak wielkiej pracy, da się zastosować i do innych. Wydano już patent swobody, na spożytkowanie w wielkich miastach, siły poruszającej ściśnionego powietrza, za pomocą zbiorników, od których pourządzanoby kanały nakształt rur gazowych; dziś gaz stał się także siłą poruszającą, i ściśnione powietrze musi z nim współzawodniczyć. Obecnie idea ta może jeszcze być uważaną za mrzonkę, ale ileżto pomysłów którym wielka zajaśniała przyszłość, uchodziły w początkach za niepodobne do urzeczywistnienia.

III.

NARZĘDZIA MASZYNOWE.

Celem przyrządów zwanych narzędzia maszynowe jest mechaniczne obrabianie brył materyału, drzewa lub metalu, w sposób aby nadać mu zamierzone kształty i rozmiary. Ustawiwszy mający się obrabiać materyał na odpowiedniej podstawie, aby odpowiadał warunkom równowagi, poddaje go się działaniu właściwego narzędzia, stanowiącego czynny organ przyrządu; trzeba, szczególnież jeśli ma się obrabiać metal, aby narzędzie to mocno bardzo osadzone, trzymało się ściśle kierunku zakreślonego geometrycznie, odpowiednio do zamierzonego przedmiotu.

Te narzędzia maszynowe są jednym z najpiękniejszych nabytków tegoczesnego przemysłu; im to zawdzięcza on nowy rozwój swój rozzumnej działalności, a społeczeństwo spotęgowanie swój siły produkcyjnej. Dalej jeszcze pozwoliły

dojść do podwójnego celu: wyrabiania rozmaitych przedmiotów, szczególnie z żelaza, stali i żelaza lanego, w niedostępnych pierwiej rozmiarach, i co niemniej ważne, nacechowania przeróżnych wyrobów dokładnością matematyczną, która może być tylko wynikiem rozwoju mechaniki, tak ściśle dziś połączonego z rozwojem postępu.

Przed laty pięćdziesiątą, jeśli chodziło o wyrobienie wielkich jakich sztuk, brano się do nich w ten sam sposób co i do przedmiotów małych rozmiarów, najprostszym sposobem wykonywanych. Ręka robotnika głównie kierowała narzędziem; wprawdzie, czasami udawano się do pomocy przyrządów dodatkowych, ale działanie ich zbyt było niedostateczne. Owoczesne narzędzia były zaledwie zarodkiem dzisiejszych narzędzi maszynowych, jeden lub kilku robotników musiało poruszać je rękami. Dziś zarodek ten doczekał się pełni życia i zupełnego sił rozwoju. Narzędzie, to jest przyrząd działający na mające się obrabiać żelazo, stal, mosiądz lub drzewo, jest wyłącznie poruszane i kierowane siłą mechaniczną, i działa zawsze w żądanym kierunku, ponieważ każddej chwili można dowolnie zmieniać ruch maszyny: ma potrzebną siłę, ponieważ łatwo zwiększać siłę motora wprawiającego w ruch maszynę.

Słusznie można powiedzieć, że od chwili wynalezienia tych maszyn, człowiek przypatruje się tylko, a siły przyrodzone pracują za niego. Za pomocą narzędzi maszynowych obraca się i podnosi największe ciężary; one heblują żelazo jak gdyby proste sosnowe deski, fugują, przewiercają żelazo i wszelkie metale używane na przeróżne narzędzia, żadnego niemal nie wydając odgłosu: jedném słowem w każddej gałęzi pracy ludzkiej, narzędzia maszynowe przeważną dziś odgrywają rolę.

Nasze tegoczesne lokomotywy, tak potężne i tak doskonałe urządzone, że mogą poruszać się z prędkością stu kilometrów na godzinę, a nawet i prędzej jeszcze bez narażenia na zepsucie i uszkodzenie; nasze statki parowe tak dzielne i szybkie, maszynowym tylko narzędziom byt swój zawdzięczają: bez nich nie mogłyby istnieć, bo nie mogłyby być wykonane z tak niezbędną dokładnością. Bez narzędzi maszynowych wszystkie bez wyjątku maszyny byłyby wadliwc, ponieważ kształty składających je części nie mogłyby

być dokładnie wykończone. Żadne wielkie zakłady i fabryki nie mogą dziś obejść się bez maszyn roboczych, bo nikt nie chciałby kupować wyrobów niedokładnie wykończonych.

Wynalazcą tych maszyn roboczych jest sławny p. Whitworth z Manchester, a wdzięczna ludzkość przekaże imię jego uwielbieniu najodleglejszej potomności, bo nie dość że obdarzył ją tak płodnym w dobroczynne skutki wynalazkiem; ale z własnego, ciężką pracą zarobionego majątku, dał 2,500,000 fr. na utworzenie zakładu, w którym zdolni ale biedni mechanicy mogą kształcić się na inżynierów. Zakład ten obejmuje 30 stypendyów, każde po 2,500 fr. Cześć dobroczyńcy ludzkości!

Maszyny robocze wprowadzone w użycie w r. 1867, tém głównie różnią się od dawniejszych: 1) że są daleko większą obdarzone siłą i pracują na większą skalę; 2) że są coraz więcej automatyczne, to jest wyzwalające się niemal zupełnie od współdziałania rąk ludzkich.

IV.

KOLEJE ŻELAZNE.

Koleje żelazne są wytworem czysto mechanicznym; po dziś dzień Europa wydała na nie około 28 miliardów, ważny powód aby starać się udoskonalać je nieustannie i jak największe ciągnąć z nich korzyści.

Oprócz prac które zarówno wykonywać trzeba przy urządzeniu czy to kolei, czy dróg zwyczajnych lub kanałów, jak przekopy i nasypy, koleje żelazne mają dwie właściwe sobie zasady, to jest drogę i tabor, którego najważniejszą część stanowi lokomotywa.

Droga składa się z dwóch części: z szyn i podkładów, nie licząc balastu, jako odgrywającego tu podrzędną rolę. Dziś powzięto nową myśl, która powszechnie zyskała uznanie, aby szyny wyrabiać nie z żelaza, ale ze stali Bessemer'a.

Dotąd podkłady w ogóle układano z drzewa, ale przekonawszy się, że nawet najtwardsze, z za morza sprowadzane drzewa nie dają dostatecznej rękojmi trwałości, zamierzają obecnie zastąpić drzewo żelazem, co ma wypadać znacznie

tanięj. Nie rozszerzamy się tu nad przedmiotem obchodzącym tylko specjalistów, a pragnących dokładniejszych objaśnień, odsyłamy do sprawozdań pp. Eugeniusza Flachot i Goldschmidt.

Sprawozdanie p. Couche podaje ciekawe szczegóły o lokomotywach. Jedną z najpożyteczniejszych nowości jest wprowadzenie dłuższego użycia przeciw-pary. Tym sposobem, jeśli pociąg biegnie bardzo szybko, a szczególnie kiedy ma przebywać znaczne pochyłości, wtedy zamiast popychać naprzód maszynę i pociąg, para posługuje do powstrzymywania go. Początkowo, przy zakładaniu dróg żelaznych trzymano się bardzo uzasadnionego prawidła, aby spadki nie przechodziły 3 a najwyżej 5 millimetrów na jeden metr, ale następnie oszczędność nakazała odstąpić od tego prawidła, szczególnie w krajach górzystych, w których porządzano spadki 20—25 a nawet do 30 millimetrów na jeden metr drogi. Zastosowanie przeciw pary chroni od niebezpieczeństw, jakimi zagrażały zbyt wielkie spadki. Ale nie na tém koniec. Chcąc budować koleje żelazne na gruntach bardzo górzystych, nie można było poprzestać nawet na wyż wzmiankowanych spadkach, i dlatego p. baron Segurier wynalazł lokomotywy zastosowane wyłącznie do podobnie nierównych dróg, a którym zamiast nazwy rzeczywistego wynalazcy, najnieśluszniej nadano nazwę lokomotyw Fell'a, który pierwszy je zbudował i udoskonalił. Lokomotywy te zaprowadzono na drodze góry Cenis, właśnie po nad podziemną galeryą; tym więc sposobem można będzie porównywać tu dwa najzupełniej sprzeczne, współzawodniczące z sobą systemata.

Oddawna już na wielu kolejach pozaprowadzono aparata pochłaniające dym, które uwalniają podróżnych od wielkiej nieprzyjemności; obecnie zostały one znacznie udoskonalone.

Mało mamy do powiedzenia o powozach i wagonach. Obliczono, że na całej sieci kolei żelaznych rozrzuconych po świecie, znajduje się ich około miliona. We Francyi wartość wszystkich w ogóle lokomotyw, powozów i wagonów, dochodzi do 800 milionów. Interesem jest wszystkich w ogóle Towarzystw kolei żelaznych, aby materyał tak kosztowny był urządzony i utrzymywany w sposób zapewnia-

jący jak najdłuższą trwałość, jednak mimo to nie zaprowa-
dzono żadnych godniejszych uwag i ulepszeń w budowie po-
wozów i wagonów.

Obecnie, gdy z każdym niemal rokiem budują się coraz
dłuższe koleje żelazne, zdaje się że trzeba będzie zapro-
wadzać i udoskonalać powozy z łózkami. Jakże to wy-
godnych łózek żądać będą podróżujący koleją żelazną z No-
wego-Yorku do San-Francisco, na drodze mającej 5,400 kilo-
metrów długości, którą zapewne najczęściej jednym ciągiem
odbywać będą. Amerykanie przedsięwzięli już poszukiwania
i próby, najpomyślniejsze zapowiadające skutki.

J. B.

TALMUD

PRZEŁOŻYŁ I OBJAŚNIENIAMI UZUPEŁNIŁ

Izaak Kranstuck (*).

Dziwna to sprzeczność, iż pomimo tak znakomitej liczby mieszkańców Mojżeszowego wyznania w tutejszym kraju, samo wyznanie i wszystko co się do niego odnosi, tak mało jest znane krajowcom.

Wyraz „Talmud” wprawdzie tylokrotnie ustnie i piśmiennie powtarzany, obijał się często o uszy każdego; ale oprócz pewności, że to jest coś co się tyczy żydów, mało kto więcej wie o nim. Pisma peryodyczne, dotychczas zdaje się niechętnie zamieszczały w swoich szpaltach rzeczy o tym przedmiocie traktujące, a jeśli się zdarzył artykuł o żydach, lub o tém co się do ich nauk odnosi, to zwykle tchnął zanadto jednostronnością, i mało się do oświaty ogółu przyczynił; książki zaś specjalne w tym przedmiocie rzadko bardzo u nas wychodzą.

Artykuł niniejszy, opracowany z głęboką znajomością rzeczy, z bestronnością w sądzeniu i jasnością poglądu, zdaje się iż będzie, przez chciwą wiedzy publiczność, chętnie czytany.

W przekładzie, tłumacz trzymał się wiernie tekstu francuzkiego; tam zaś, gdzie tego konieczność wymagała, podawał objaśnienia i własne spostrzeżenia w uwagach, poniżej tekstu zamieszczonych, które też wszystkie do tłumacza należą.

(*) Rozprawa ta pierwotnie umieszczoną była w British Museum, następnie powtórzona w Revue Brittanique.

T A L M U D (*).

Co to jest Talmud?

Jaka jest istota tego dziwnego utworu, którego nazwa, prawie niedostrzegalnie, zaczyna się stawać jednym z wyrazów najpopularniejszych w Europie? Zdaje się, iż nas Talmud wszędzie ściga: spotykamy go w teologii, w naukach, a nawet w literaturze ogólnej. Nie masz podręcznika poświęconego różnym gałęziom nauki biblijnej, geografii, historii świętej, chronologii i numizmatyki, któryby nie odwoływał się do talmudu. obrońcy wszystkich opinii religijnych powołują się na jego zasady. Co więc, nietylko wszyscy uczeni, erudyci judaizmu i chrześcijaństwa, ale nawet potęgi islamizmu i dogmatu Zoroastra uciekają się do niego w swych rozbiórach nauk, dogmatów, legend i literatury. Weźmy jakie dzieło tegoczesne, traktujące o archeologii albo filologii, niech to będzie rozprawa o ołtarzu fenickim, o stole klinowym, o miarach i wagach babilońskich albo o monetach Sassanidów, a jesteśmy pewni, że tam znajdziemy ten wyraz tajemniczy: Talmud! Nie tylko ci, którzy odszukali alfabet języków zaginionych Chanaanu i Assyrii, Himaru albo Persyi Zoroastra wzywają Talmud w pomoc; szkoły nowożytne greckiej i łacińskiej filologii zaczynają również korzystać z materiałów szkoły klassycznej, które tam są rozrzucone. Jurisprudencja ze swego stanowiska spostrzegła nakoniec, że nie mówiąc już o wpływie Talmudu na badanie pandektów i instytucji, znajdują się jeszcze ukryte w jego labiryntach nie jedne z tych praw medyjskich i perskich, które dotąd

(*) Autor miał przed sobą:

1) Talmud Babiloński, wydanie weneckie 1520—1523 tomów, 12.

2) Talmud Jerozolimski, wydanie weneckie 1523, tom 1.

Artykuł niniejszy, umieszczony w British Museum, a przypisywany p. Emanuelowi Deutsch, spowodował Quarterly Review z października do wyjątkowego odbicia, którego wyszło siedm wydań kolejnych. Artykuł ściągnął uwagę wszystkich uczonych europejskich przez głęboką naukę jaką objawia i wzniosłość poglądów z jaką autor przystępuje do najważniejszych kwestyi filozoficznych i religijnych. Tłumacz sądzi, że winien zachować koloryt, niekiedy zbyt wschodni textu.

(Przyp. tłum. fran.).

były tylko wyrazem bez znaczenia. Tak samo rzecz się ma z medycyną, astronomią, matematyką i ze wszystkimi innymi gałęziami wiedzy. Historia tych nauk za cały ciąg peryodu obejmującego układanie Talmudu, (a ono obejmuje przeszło lat 1000), nie daje się już pisać bez poradzenia się wiadomości zawartych w tém dziele olbrzymiém, niby w niezmierném porzeczonym mieście. Wszakże, niezależnie od faktów należących właściwie do tych gałęzi nauk, Talmud zawiera jeszcze inne momenta większej jeszcze doniosłości, momenta obchodzące kulturę umysłu ludzkiego w obszerniejszym znaczeniu tego wyrazu; zawiera on obrazy różnych krajów i w rozmaitych epokach: obrazy Grecyi i Bizancyi, Egiptu i Rzymu, Persyi i Palestyny, świątyni i forum; opowiadania wojny i pokoju; obrazy drgające życiem, błyszczące świetną barwą. Oto zaprawdę jedno ze znamion naszego czasu. Wielka zmiana zaszła w świecie nowoczesnym: my, dzieci ostatnich wieków, uganiamy się szczegółuiej za pożytkiem. Kiedy czytamy Koran, Zend-Awestę, Vedas, to nietylko dlatego ażebyśmy je zbijali; każdy rodzaj literatury bądźto religijnej, prawnej albo innej, każdego wieku i każdego kraju, uważamy jako część i dział człowieczeństwa. W pewnym względzie sądzimy się za nie odpowiedzialni. Staramy się zrozumieć ów stopień oświaty który zrodził te, przez nas odziedziczone części, staramy się pojąć duch co je ożywia. Zagrzebując to, co w nich jest martwem, zbieramy z radością to, co zawierają w sobie żywego. Zbogacamy w ten sposób skarbiec naszej wiedzy, ich poezya wzrusza nas, a wprawiając w drganie strunę Boską w naszych sercach, rodzi w nas myśli czyste i szlachetne.

W témto samém znaczeniu człowieczeństwa mówimy teraz o Talmudzie. Jest to nawet niejako połączone z niebezpieczeństwem: jeden z najpiękniejszych rysów naszej epoki jest uczucie bezinteresowności, a ono skłania nas zawsze do kadzenia popiołom tych, z którymi poprzednie pokolenia, o ile to uznajemy źle, się obchodziły; to właśnie uczucie może nas spowodować do wyniesienia Talmudu nieco wyżej nad zasługę. W miarę jak dowody jego wartości nam się przedstawiają, możemy przeceniać jego doniosłość dla historii człowieczeństwa. Jednak, stare prawidło mówi:

„Przedewszystkiem ucz się, gdyż jakiegokolwiek mogą być przyczyny które tobą z początku powodują, pokochasz wkrótce naukę dla niej saméj (1).” Tak tedy, nadzieja skarbów nagromadzonych w Talmudzie, choćby przeceniona, niemniej będzie miała swoją korzyść, jeśli spowoduje badanie samego dzieła. Albowiem, powiedzmy to zaraz, wskazówki o jego istnieniu, podane w kilku nowych publikacjach, są po największej części tylko błędnymi ognikami. Z pierwszej oceny tych wskazówek możnaby sobie wyobrazić już, że nie było książki popularniejszej nad Talmud, albo znowu iż nie masz dzieła, któreby służyło tak jak Talmud, jedynie i wyłącznie za środek intelektualny uczonym nowożytnym, orientalistom, teologom lub prawnikom. Jakaż więc jest istotna prawda? Może się zdawać dziwném, ale niemniej jest to prawdą, iż nie było nigdy książki bardziej zaniechanej i o którejby więcej mówiono. Czytając świetny opis Talmudu zawarty w *Romancero*. Heinego, możemy wybaczyć autorowi, że nawet nigdy nie widział przedmiotu swych pochwał poetycznych. Heine odgadł prawdziwy Talmud instynktem nieomylnym poety z cytat; tak jak jego ziomek Schiller, który wzdychając napróżno za widokiem Alp, dał ich opis najświetniejszy i najwierniejszy. Ale ileż z tych cytat wpływa istotnie ze źródła? Zbyt często i zbyt widocznie, że użyjemy sielskiego porównania Samsona, są to jałówki już zużyte, umęczone, (owe „pociski płomienne szatana; Tela ignea Satanae”) owe „Abgezogener Schlangenbalg” (2) i całe ich jadowite pokrewieństwo, które zostało raz jeszcze zaprzęgnięte do wozu przez kilku uczonych. Mówimy *uczonych*, gdyż ogół czytelników wierzy jeszcze wielom z nich, jak kapucynowi Henrykowi de Seyne, że Talmud nie jest książką, ale człowiekiem: „Ut narrat Rabbinus Talmud” wykrzykuje i tonem tryumfującym wyjawia swój argument. Otóż między tymi którzy wiedzą, że Talmud nie jest rabinem, iluż jest takich u których ten wyraz budzi co więcej nad ideę najbardziej nieokreśloną? Kto go napisał? jaki jest jego zakres? jaka jego data? co on zawiera? gdzie się zjawił? Pewien

(1) Talmud Babil. Trakt. Berachoth fol. 27, 2, oraz Sota fol. 25.

(2) Wylina, skóra z węża ściągnięta.

współczesny porównał go do sfiuxa, ku któremu wszyscy ludzie, za dni naszych zwracają swój wzrok, jedni z żywą ciekawością, drudzy ze smętną niespokojnością. Ale dla czegoż nie wyrwać mu jego tajemnicy? dopóki mamy poprzestawać na samych tylko cytatach tysiąc razy powtarzanych, i tysiąc razy niestosownie?

Ale gdzież mamy szukać pierwszych w tej mierze objaśnień? Kto nas nauczy historii tej książki? Kto jej naznaczy miejsce w literaturze? Kto nam wskaże jej znaczenie? jej doniosłość? a zwłaszcza stosunek w jakim się odnosi do nas samych?

Jeśli się zwrócimy do przedwiecznych powag, zobaczymy, że ci ludzie najczęściej, w swęj gorliwości służenia sprawie, wydzielali kilka urywków z tego ciała olbrzymiego i żywego, przedstawiali nam te skrawki anatomiczne przekształcone i poobcinane, bez formy i bez podobieństwa, mówiąc nam: „Patrzenie, oto ta książka.” Albo postąpili sobie jeszcze gorzej; nie wycinali oni sami swoich próbek, lecz podawali je takimi jak je znaleźli, a potem stawając na boku wytykali je palcami, wskazując na nie szyderskim tonem. Próbkę te były w samej rzeczy śmieszne i dziwaczne nad wszelki wyraz. Ale bo też ci biegli i pobożni badacze brali na nieszczęście otwory rynien, te niekształtne posągi i kamienie, unieszczone od tysiąca lat na straży zewnątrz naszych świątyń, za posągi świętych, zdobiące wnętrza tych świątyń i wykrzykiwali z pogardliwą ironią: Oto twoi Bogowie, Izraelu! Nie chciałbym tu być źle zrozumianym. Nie jesteśmy niewdzięczni względem tych rzadkich umysłów, których nazwiska są znane wszystkim badaczom i których prace bezustannie są obecne naszemu umysłowi. Zaprawdę, w całym obszarze erudycyi jest zaledwie jaka gałąź, którąby można porównać z talmudem co do trudności; atoli, jeśli człowiek, który ma czas, cierpliwość i wiedzę, przeszpera biblioteki dawne i nowe, może zebrać w krótkich rysach i traktatach, w monografiach i szkicach, w książkach i niezliczonych pismach peryodycznych, poglądy, dzięki którym, badając samo dzieło, umozębnia sobie dojście do pewnego wniosku o jego istocie i dążeniach, o jego początku i rozwoju. Wszakże ta praca, najeżona trudnościami, nie była

przeznaczoną dla całej publiczności. Nie bez przyczyny położyliśmy sam tylko tytuł: Talmud, na czele tej pracy. Szukaliśmy wzdłuż i wszerz specjalnej o tym przedmiocie książki, któraby mogła służyć za przedmiot do naszych uwag. Szukaliśmy książki, coby nie była nieudanym tylko tłumaczeniem pewnego *wstępu*, z XII-go wieku, ubarwionego sarkazmami i upstrzonego błędami; ale szukaliśmy książki, któraby, stawając na stanowisku nauki, wydała sąd o utworze, mianowicie, gdy utwór ten, dla samej swój starożytności, w braku nawet innego tytułu, ma prawo do szacunku czytelników poważnych.

Nie znaleźliśmy takiej książki, ani nic coby do niej się zbliżało. Obok tej okoliczności jest jeszcze inna: ta, żeśmy żywo pragnęli zacytować pierwsze wydanie talmudu, jakkolwiek wydrukowano ich od owego czasu dwadzieścia innych i około dwunastu wydań drukuje się w chwili obecnej. To pierwsze nawet wydanie zostało wydrukowane bez należytej staranności, a wszystkie następne, oprócz jednego lub dwóch mało znacznych wyjątków, przedstawiają widok jeszcze smutniejszy.

W wydaniu bazylejskiem z r. 1578, trzeciem z kolei, a które prawie zawsze odtąd pozostało wydaniem klassycznym, zjawia się cenzor duchowny. W gorliwości swojej obronienia wiary przeciwko wszelkiemu niebezpieczeństwu, (przypuszczano albowiem, że talmud pod wyrażeniami i zdaniem napozór najniewinniejszymi, kryje gwałtowne obelgi przeciwko Chrześcianizmowi), urzędnik ten poczynił zadziwiająca rzeczy. Kiedy np. natrafił w dziele na jakiego starożytnego Rzymianina, przysięgającego na kapitol albo na Jowisza Rzymskiego, powziął natychmiast podejrzenia. Zapewne ten Rzymianin miał przedstawiać Chrześcianina, kapitol był Watykanem, a Jowisz papieżem. Bez namysłu tedy mazał wyraz *Rzym*, zastępował go nazwiskiem innej miejscowości, jaka mu na myśl przyszła. Jedną z tych ulubionych okolic była, jak się zdaje, Persya, niekiedy też Aram lub Babel. Ztąd poszło, że obecnie jeszcze można widzieć tego godnego Rzymianina przysięgającego na kapitol perski, na Jowisza aramskiego lub babilońskiego. Mówimy tu bez żartów. Wszystko to znajduje się w na-

szych ostatnich wydaniach. Raz lub dwa poprobowano oczyścić text z plam najbardziej rażących. Około dwóch lat temu rozpoczęto wydanie klassyczne, takie, jakie mają nietylko klassycy greccy i rzymscy, sanskryccy i perscy, ale nawet najniższe twory tych literatur posiadają już oddawna. Wbrew niezręcznie przeczącemu twierdzeniu p. Renana (1) nie brakuje rękopismów Talmudu, jakkolwiek te najczęściej są niekompletne. Niezliczone warianty, dodatki i uzupełnienia można znaleźć wśród rękopismów bibliotek Bodlejskiej, Watykańskiej, w księgozbiorach Odessy, Monachium, Florencyi, Hamburga i Heidelberga, Paryża i Parmy. Ale zdaje się, że jakiś fatalizm ciąży na tój księdze; wydanie poprawione, o którém mowa, nie zostało doprowadzoném do końca, tak samo jak pierwsze tomy tłumaczeń Talmudu rozpoczętych w różnych epokach, których następne nigdy nie wyszły. Uznaliśmy tedy stosowném odnieść się do wydania pierwotnego jako jedynie wolnego od błędów spowodowanych cenzurą duchowną, lub przedrukowaniem w następnych wiekach.

Talmud usprawiedliwia w zupełności słowa Horacego
Habent sua fata libelli.

W istocie nie dziwimy się, że dobry kapucyn, o którym wyżej wspomnieliśmy, wziął go za człowieka. Odkąd istnieje, zanim nawet otrzymał postać dotykalaną, Talmud widział się traktowanym tak jakby mógł być traktowany człowiek. Był wyganianym, więzionym, palonym więćej niż sto razy. Od Justyniana, który począwszy w r. 553 (po Chr.) uczynił mu zaszczyt wypędzenia go przez oddzielną novellę (novella 146) aż do Klemensa VIIIgo i po nim w ciągu więćej niż tysiąca lat, władze świeckie i duchowne, papieże i antipapieże współubiegali się w rzucaniu klątw, bull i edyktów wytępienia przeciwko tój nieszczęśliwój księdze. W ciągu peryodu niespełna 50-cioletniego w drugiej połowie XVI wieku, Talmud był palony niemniej jak 6 razy a to nie oddzielnymi egzemplarzami, ale całemi massami i pełnemi wozami naraz. Juliusz III ogłosił swą prokla-

(1) Wiadomo że nie zostaje żaden rękopism talmudu dla sprawozdania wydań drukowanych (Apostołowie stron. 262).

macyą przeciwko temu, co dziwacznie nazywał *Talmud Gemaroth* w latach 1553 i 1555, Paweł IV w r. 1559, Pius V w r. 1566, Klemens VIII w latach 1592 i 1599. Przestrach jaki Talmud wywierał był ogromny. Pius IV, upoważniając nawet wydanie, zastrzegł wyraźnie, aby był ogłoszony bez tytułu *talmud*. „*Si tamen prodierit sine nomine Talmud, tolerari deberet.*” Żdaje się że ten wyraz był rodzajem Szybolet, przedstawianym każdemu nowemu monarsze, dla doświadczenia czystości jego wiary. A próba ta musiała być ścisłą, sądząc z mowy jakiej najwyżsi nawet dygnitarze kościoła nie wahali się niekiedy używać. Honoryusz IV pisze do arcybiskupa kanterburyjskiego w r. 1286, względem tej potępionej księgi (*liber damnabilis*) ostrzegając z całą powagą i prosząc usilnie, ażeby „nie była czytana przez nikogo, ponieważ wszystkie zło z niej wypływa.” W istocie wszystkie te dokumenta czytają się z przykrością, a różnią się między sobą tu i owdzie tylko jakimś grubym błędem, wskazującym miarę nieświadomości ówczesnych duchownych w tém, co się tyczy przedmiotu ich nienawiści.

Przypominamy sobie tylko jeden wyjątek w pośród tego Babelu oskarżeń. Klemens V, w r. 1307, przed skazaniem dzieła, chciał je wprzód poznać, a nie znalazł nikogo co by go w tém objaśnił. Wydał tedy postanowienie, ale tak ciemno zredagowane, iż rozmaicie mogło być pojmowaniem, ażeby założono trzy katedry dla wykładu hebrajskiego, chaldejskiego i arabskiego, jako języków najbardziej zbliżonych do języka talmudycznego. Przeznaczył na ten cel uniwersytety w Paryżu, w Salamance, w Bolonii i Oxfordzie, spodziewając się, że jeden z tych uniwersytetów będzie mógł nakoniec dojść do tego stopnia, aby skutecznie przetłumaczyć tę tajemniczą księgę. Potrzebaż nam powiedzieć iż się ta nadzieja nigdy nie ziściła? Udano się tedy do przedszego środka:—zniszczenia, co też uskuteczniło nie tylko w różnych miastach Włoch i Francyi, ale też w całym obszarze św. Cesarstwa Rzymskiego.

Nakoniec zaszła zmiana w Niemczech.

Niejaki Pfefferkorn, istota podłego umysłu, ubiegał się za panowania Maxymiliana o nowy dekret wytępienia przeciwko Talmudowi. Cesarz obozował właśnie ze swoją armią

przed Pawią, kiedy ten poseł o przewrotnym języku przybył do obozu opatrzony listami polecającymi ze strony Kunegundy, pięknej księżniczki, siostry cesarza. Maxymilian znużony i niczego nie podejrzewając, odnowił chętnie ten starożytny dekret konfiskaty, który naturalnie miał za skutek niszczenie książki przez kata. Konfiskata odbywała się z wszelką sumiennością, albowiem żyd Pfefferkorn dobrze wiedział gdzie jego dawni współwyznawcy schowali swe książki. Ale rychło nastąpiła klęska innego rodzaju. Krok za krokiem zbliżała się reforma w Niemczech. Reuchlin najznakomitszy z helenistów i hebraistów owęj epoki został powołany do przewodniczenia komitetowi, który uczoną swoją powagą, miał poprzeć dekret cesarza. Ale zadanie to nie podobało się Reuchlinowi. Nie lubił on, jak powiedział, wzroku Pfefferkorna. Zresztą był to człowiek poczciwy i uczony, a będąc odnowicielem greczyzny klasycznej w Niemczech, niechętnie chciał mieć udział w niszczeniu massami księgi, pisanęj przez *najbliższych krewnych* Chrystusa. Być może iż widział on sidła zręcznie nań zastawione. Oddawna był on cierniem w nodze swoim społecznym. Jego studia hebrajskie były widziane z gorzką zazdrością, jeśli nie z przestraczem. Nie myślano w owęj epoce o niczem bardziej (fakultet teologiczny w Moguncyi wyraźnie się tego domagał) jak o przejrzeniu i zupełnem poprawieniu biblii hebrajskięj, z powodu że się ta różni od Vulgaty. Reuchlin, ze swęj strony, nie tracił żadnęj sposobności w którejby mógł głosić wysoką powagę tego, co nazywał *prawdą hebrajską*. Nieprzyjaciele jego sądzili że jedno z dwojga nastąpi: albo że Reuchlin oświadczy się urzędowo za Talmudem, a tym sposobem narazi się na jawne niebezpieczeństwo (coby téż rychło jego zgubę spowodowało); albo téż w przeciwnym razie, unicestwi do pewnego stopnia dotychczasowe swoje korzystne o tych naukach pojęcia. Ale Reuchlin uchylił się od uczynionęj mu propozycyi, wyznając sumiennie iż nie zna wcale téj księgi, i że nie wie o wielu na świecie, którzyby ją znali choć cokolwiek, że zaś oszczercy jęj znają ją najmnięj. Ale, dodał, gdyby nawet zawierała napady na chrześcianizm, czyliżby nie należało raczęj na takowe odpowiadać? Spalić książkę, mówił, to argument by-

dłęcy (*bacchanten Argument*). Oświadczenie to spowodowało ogólną wrzawę przeciwko Reuchlinowi, wołano że zżydowszczony, że jest renegatem, zaprzędanym, i t. p. Reuchlin nie dał się tym lamentem przestraszyć, zaczął on badać tę księgę z właściwą sobie bezustanną pracowitością. Wkrótce też potem napisał świetną jej obronę. Zapytany przez cesarza o zdanie, wznowił radę Klemensa: założenie katedr dla wyjaśnienia Talmudu. W każdym z uniwersytetów niemieckich miało być po dwóch professorów wyłącznie na ten cel przeznaczonych, aby doprowadzić uczniów do możności pojmowania tej księgi. Co się zaś tyczy jej spalenia, dodał on w sławnym swym memoryale przedstawionym cesarzowi: Gdyby jakiś głupiec Ci oświadczył: „Najpotężniejszy Monarcho, Waszym to świętym jest obowiązkiem zniszczyć i spalić dzieła o alchemii (wyborny argument *ad hominem*), albowiem zawierają one ustępy bezbożne, bluźniercze i niedorzeczne przeciwko naszej religii, cobyś Najjaśniejszy Panie odpowiedział takiemu osłu, jeśli nie to: Jesteś głupcem, którego należy wyśmiewać, nie zaś pójść za jego radą. A więc, czyliż dlatego że ten głupiec nie jest w staniu zgłębnienia jakiejś nauki, i że ją pojmuje inaczej aniżeli jest w rzeczywistości, czyliżbyś dlatego osądził stosownem spalenie dzieł tej nauki?” Wrzawa stawała się coraz wścieklejszą, a Reuchlin, spokojny mędrzec, który dotychczas był tylko świadkiem, został obwinionym. Trudno tu opowiedzieć co on wycierpiał dla i z powodu Talmudu. Z processu wytoczonego Talmudowi, powstała cała literatura broszur, pisemek ulotnych i karykatur. Fakultet teologiczny w Paryżu odbył aż 47 posiedzeń, które ukończył potępieniem Reuchlina. Ale nie pozostał on sam jeden do walki. Około niego skupili się jeden za drugim, książę Ulrych Wirtembergski, elektor Fryderyk saski, Ulrych de Hutten, Franciszek von Sickingen, ten sam, który w końcu mieszkańców Kolonii skazał na zapłacenie kosztów processu Reuchlina, Erazm z Rotterdamu, i cały ten świetny zastęp „Rycerzy św. Ducha,” „Legionów Pallas-Minerwy,” „Talmudofilów” podług nazwisk jakie im nadają dokumenta tej epoki, ci nakoniec, których nazywamy *humanistami*. A ich tarczą, a ich hasłem bojowem (o dziwne przemiany w historii) był *Talmud!* Był za Reuchlinem,

znaczyło dla nich *trzymać za prawem*. Walczyć za Talmud, znaczyło *walczyć za kościół*. *Non tr*, pisał Egidiusz z Viterby do Reuchlina, *sed legem, non Thalmud, sed Ecclesiam*. Można czytać dalszy ciąg tej historyi w *Epistolae obscurorum virorum* i na pierwszych stronnicach *Reformy niemieckiej*. Tą razą Talmud nie został spalonym, przeciwnie, wówczas przedrukowano pierwsze wydanie. A w tym samym roku 1520, kiedy się to pierwsze wydanie drukowało w Wenecyi, Marcin Luter spalił bullę papieżką w Wirtembergu.

Cóż to jest Talmud?

Znowu to pytanie przedstawia nam się w swojej groźnej postaci, pytanie, które dotychczas nie otrzymało zadawalającej odpowiedzi. Tu nam się nawija więcéj niż jedna przeszkoda do usunięcia. Pomijając już trudność wytłumaczenia w niewielu stronnicach, naszym czytelnikom zachodnim, dzieła tak przeważnie wschodniego, tak starożytnego i tak zupełnie *sui generis*, mamy jeszcze walczyć przeciwko niemożności przytoczenia tekstu samego dzieła. Byłoby to z naszej strony czystą przesadą, gdybyśmy u naszych czytelników przypuścili znajomość języka talmudycznego, a choćby ogólne wyobrażenie o tém, co to dzieło w sobie zawiera. Nie mogliśmy dać wyobrażenia o Talmudzie przez porównanie jego nauki z pracami umysłowemi innych ludów i indywidualów, podobne albowiem wyobrażenie byłoby niedokładnym. Porównanie praw talmudycznych z naszymi, albo z prawami społecznymi Greków, Rzymian i Persów lub z prawami Islamu, a nawet zestawienie zasadniczego kodexu talmudu z prawem Mojżeszowém, nie doprowadziłoby nas do zamierzonego celu. Odszukanie niektórych z jego zasad moralności, liturgii i doktryny w doktrynie Zoroastra, Chrześcijaństwa i Mahometanizmu, nie wyjaśniłoby znaczenia Talmudu. Wykazanie, iż wielka część jego metafizyki i filozofii znachodzi się u Platona, Arystotelesa, u Pytagorejczyków, Nowo-Platonistów i Gnostyków, nie mówiąc już o Spinozach i Schellingach naszych czasów, równieżby nie miała pożądanego skutku. Toż samo wynikłoby z dowodzenia, iż wielka część medycyny talmudycznej znajduje się u Hipokratesa, Galena, u Paracelsów z przed kilku wieków. Podobnym porównaniem, zestawieniem i odszukaniem moglibyśmy przed-

stawić przed oczy naszych czytelników tylko kilka ułamków *disiecta membra* tych różnych przedmiotów. Nie możemy nawet skreślić wszechstronnego szkicu tego dziwnego ruchu umysłowego, który sprawił, że najpotężniejsze umysły narodu zużyły, na przekór wszelkiej opozycji, wszystkie swoje siły w ciągu tysiąca lat na napisanie, a w ciągu drugich lat tysiąca na komentowanie tego jedyne go dzieła. Pozostawiając na boku wszystkie te szczegóły, któreśmy mogli zebrać tylko z trudnością (a z większą trudnością przyszłoby je pominąć) będziemy mówić tylko o początku Talmudu, o szkołach w których powstał, o trybunałach które się do niego w rozsądzaniu spraw stosowały, oraz o ludziach, którzy w nim ślad po sobie zostawili. Podamy następnie treść jego prawodawstwa, będziemy mówić o jego metafizyce, o jego filozofii moralnej i przytoczymy kilka z jego przysłów i aforyzmów: jest to jeden z najpewniejszych środków osądzenia danej epoki. Być może, iż będziemy zmuszeni tu i owdzie wspomnieć o przedmiotach obcych tym, któreśmy wymienili. Talmud, ażeby się stał zrozumiały, powinien tak jak każde inne zjawisko, być uważany tylko w stosunku do przedmiotów tej samej natury. Jest to prawda zapomniana aż do naszych dni. Ponieważ Talmud jest właściwie *corpus juris*, jest encyklopedyą prawa cywilnego, karnego, kościelnego, międzynarodowego, prawa ludzkiego i Boskiego, można go tedy osądzić tylko przez analogią, porównywając go z innymi kodexami, a zwłaszcza z kodexem Justyniańskim i z jego komentarzami. To co niewtajemniczeni wzięli za drobiazgowość niezwykłą i wyłączenie talmudyczną, oraz zarzuty czynione talmudystom za wyrażenia w częściach odnoszących się do praw obydwóch płci, jakoby te prostotą swoją obrażały delikatność tegoczesną uczucia, to wszystko wyjdzie raczej na korzyść Talmudu. Aby więc sąd o Talmudzie był sprawiedliwym, powinien być wydany nie inaczej jak odnośnie i w porównaniu tej księgi z pandektami, instytucjami, nowellami i z „*Responsa prudentium*.”

Ale Talmud jest czémś więcej niż zbiorem praw, jest to mikrokosmos obejmujący, tak jak biblia, niebo i ziemię. Zdaje się iż cała proza i cała poezya, cała nauka, cała wiara i wszelka filozofia świata starożytnego, jakkolwiek w słabém odbiciu, w nim się ześrodkowała. Ponieważ obejmuje on

peryod rozciągający się od początku do końca wieków starożytnych z częścią świetnego ich zmięzchu, staje się więc koniecznością badać historię i rozwój umysłowy, tęg odległej przeszłości, w różnym ich stopniowaniu. Przedewszystkiem zaś należy nam wedle rady Goethego, przenieść się do kolebki Talmudu, do Palestyny i Babilonii, do tego świetnego Wschodu, gdzie rzecz każda błyszczy barwami żywszemi i przyjmuje kształty fantastyczniejsze.

I.

„Kto chce zrozumieć poetę, winien się udać do kraju poety” mówi Goethe. Początek Talmudu przypada na czas powrotu z niewoli Babilońskiej. Jednym z peryodów najbardziej tajemniczych a zarazem, najważniejszych w historii ludzkości, jest ten krótki przeciąg niewoli. Jakie wpływy działały na jeńców w tęg epoce, nie wiemy. To nam wiadomo, że w miejsce ludności burzliwej, rozwiozłej i niereligijnej, wygnańcy powrócili przekształceni na purytanów. Religia Zerdhusta, aczkolwiek pozostawiła ślady w Judaizmie, nie wystarcza na wytłumaczenie tęg zmiany. Samo wygnanie tęg jęg nie wyjaśnia. Jakkolwiek liczne i głęboko wryte są pamiątki jęgo goryczy, ile namiętnę są wzdychania za ojczyznę, które pozostały w modlitwach i pieśniach narodowych, jednak wiemy iż kiedy wybiła godzina oswobodzenia, jeńcy nie wiele dbali o powrót do ziemi swych przodków. Mimo to, następuje tu zmiana widoczna, silnie w oczy wpadająca, zmiana którą prawie za cudowną uważać można. Lud który poprzednio zaledwie się domyślał istnienia swęg wzniosłej literatury narodowej, zaczyna się odrazu kupieć około tych kart uratowanych od ognia, na około tych pamiętników uszkodzonych swęg religii i swęg historii, a to z miłością gorącą i namiętną, z miłością silniejszą od tęg, jaką natchnąć może żona lub dziecko. Te dokumenty historyczne, w miarę jak się przeistaczały w dzieła kanoniczne, stawały się niewzruszonym punktem środkowym życia tego narodu, jęgo działań, jęgo myśli, a nawet jęgo marzeń. Począwszy od tęg chwili, prawie bez przerwy, jednoczą się w tych księgach najpotężniejsze zarówno jak i najpoety-

czniejsze umysły. „Przewracaj bezustannie te karty,” zaleca Talmud mówiąc o biblii, „gdyż ona wszystko zawiera (1).” „Badajcie Pismo Św.” jest również wyraźny przepis Nowego Testamentu. To prawidło spowodowało naturalne następstwo. Badania i poszukiwania mające na celu bliższe wyjaśnianie szczególnego jakiego punktu, tworzyły stopniowo i prawie niedostrzegalnie, naukę, która rychło przybrała nader obszerne rozmiary. Nazwisko techniczne tej nauki zawarte już jest w księgach *Kroniki*. Nazwisko to jest *Midrasz* (2) (rzeczownik pochodzący od słowa *darasz*, badać, objaśniać), wyraz który autoryzowane tłumaczenie oddaje przez *historya*.

Nic bardziej nie podpada błędnemu pojmowaniu nad wyrazy techniczne oznaczające naukę, a to z powodu elastycznej, że tak powiem, ich natury. Mają one zarazem wszystkie znaczenia, najogólniejsze i najspecialniejsze. Prawie wszystkie mają z początku to proste znaczenie *uczyć się*. Następnie używane bywają dla oznaczenia jakiej wyłącznej gałęzi nauki. Później wskazują jaką metodę szczególną, albo mianują dzieła, bądź ogólne bądź specjalne, które powstały z tych badań. Tak też *Midrasz*, wyraz oderwany, który znaczył wyjaśnienie, doszedł z początku do oznaczenia samego wykładu, tak jak nasze wyrażenie *praca* oznacza zarazem postępowanie i utwór. Że zaś jedna gałąź wykładu, mianowicie legend, była popularniejszą niż wszystkie inne, wyraz ten zastosowany został wyłącznie do tej gałęzi i do dzieł ją przedstawiających. Faktem jest, iż istniały niezliczone metody wykładu Pisma Świętego. Cztery główne metody, według dziwacznie dowcipnego sposobu owęj epoki, oznaczano dla ułatwienia pamięci, wyrazem perskim

(1) Traktat Aboth (Zasady moralne ojców) rozdz. 5, miszna 25.

(2) Druga księga kroniki cytuje dwie książki pod tą nazwą *midrasz*, mianowicie, 13, 22 *Midrasz* proroka Ideło, a 24, 27 *Midrasz* księgi królów: Wujek, w obydwóch tych miejscach, oddaje ten wyraz przez *księgi*. Że zaś rzeczownik ten pochodzi od słowa *darasz*, mającego w całej biblii znaczenie *badać, poszukiwać, dochodzić*, jak 3, K. M. 10, 16, zdaje się zatem iż istniały pod tą nazwą dzieła historyczne, obszerno, wyczerpujące dzieje narodu i królów; dzieła to kronikarz miał przed sobą przy układaniu ksiąg i z tychże swoje podania czerpał.

Paradis. Wyraz ten przesyllabizowano w sposób semitycki bez samogłosek P. R. D. S., i każda z tych głosek tajemniczych była wzięta jako początkowa litera pewnego wyrazu technicznego, wskazującego jedną z tych czterech metod. Metoda oznaczona literą P. (Peszat) zmierzała do celu przez proste zrozumienie wyrazów i rzeczy. Tłumaczenie podobne zgodnem jest z zasadniczym prawem egzegezy talmudycznej, że „każdy wiersz Pisma Św. powinien zachować swoje znaczenie praktyczne, literalne” jakkolwiek w przenośni i ogółowo można wiersz każdy rozmaicie wyjaśnić. Druga litera R. (Remez) znaczy *wzmianka, aluzya*. Metoda ta miała za zadanie odkrycie wskazówek zawartych w pewnych zgłoskach i w pewnych znakach Pisma Św. zbytecznych na pozór. Utrzymywano że znaki te były wskazówkami ustaw niepodanych wyraźnie w biblii, ale istniejących w podaniu, albo dopiero co ogłoszonych. Metoda ta zastosowana w sposób ogólniejszy, dała początek pewnemu rodzajowi *memoria technica*, stenografii podobnej do notarikon u Rzymian. Dodawano punkta i noty na marginesach rękopismów, tym sposobem została rzucona podstawa *Massory*, nauki mającej na celu zachowanie bez zmiany uprzywilejowanego tekstu. Trzecia litera D. (Derusz). Była to w ogóle metoda wnioskowania z przeszłości na teraźniejszość i przyszłość, zastosowanie wyrzeczeń proroczych i historycznych do stanu bieżącego życia. Był to szczególny rodzaj kazania posiłkujący się dyalektyką, poezją, parabolą, zdaniem moralnymi, przysłowiami, legendą i t. d., zupełnie jak to znajdujemy w Nowym Testamencie.

Litera czwarta S. jest początkową wyrazu *Sod*, znaczącego sekret, tajemnicę. Wyraz ten był nazwą nauki mistycznej, znaną tylko wybranym, i w nader małej liczbie ludziom. Była to teozofia, metafizyka, angeologia, mnóstwo wyobrażeń fantastycznych i świetnych o rzeczach nadnaturalnych. Słabe echa tej nauki znajdują się w nowoplatonizmie, w gnostycyzmie, w kabale, w Hermes Trismegiste. Nie każdemu dozwolonem było badanie nauk „o stworzeniu” i „o wozie (1)” jak nazywano tę ostatnią naukę przez alluzyą

(1) Wyraz tu podany *stworzenie* oddany jest w Talmudzie przez *Maase Bereszyth*, co znaczy dosłownie *rzeczy początkowe*,

do widzenia Ezechiela. Pociąg wszakże do rzeczy niepojętych i tajemniczych był tak potężnym, że z postępem czasu wyraz *Paradis* oznaczał tylko tę ostatnią gałąź, czyli naukę tajemniczą, zachowaną tylko dla małej liczby wybranych. Później w gnostycyzmie, wyraz ten doszedł do znaczenia Chrystusa Niewcielonego.

Jest w Talmudzie dziwaczna historia która uległa wielokrotnym, równie dziwaczным komentarzom, ale kilka powyższych wierszy ułatwią jej zrozumienie. Czterech ludzi, tak tam opowiadają, weszło w *paradis*. Pierwszy spojrział i umarł, drugi spojrział i zemlał; trzeci podciął młode rośliny: jeden tylko wszedł w pokoju i wyszedł tak samo. Podają imiona tych czterech ludzi, wszyscy to znakomici mistrze w nauce zakonu (1). Przedostatni, ten który pod-

miano dawane historii naturalnej i naukom przyrodzonym. Nazwa ta wzięta od wyrazu *Bereszyt*, na początku rozpoczynającego pierwszą księgę Mojżesza, której pierwszy rozdział opowiada historię stworzenia świata. Zaś *Wóz*, w Talmudzie *Merkaba* odnośnie do Igo roz. Ezechiela, obejmował naukę traktującą o teozofii i o metafizyce w ogólności. Nauki te zachowane były w najgłębszej tajemnicy. „Nie wolno wyklądać *Maase Bereszyth* w obecności dwóch, ani *Maase Merkaba* w obecności jednego, chyba że ten jest mędrcom i człowiekiem nieskalanym moralności. W takim razie można mu wskazać zasadnicze tej nauki prawidła, a dalej niechaj sam bada.” *Tal. Bab. Trak. Chagiga* roz. 2.

(1) Opowiadanie to znajduje się w traktacie *Chagiga* fol. 14, 2. Podajemy je w dosłownym tłumaczeniu: Czterech weszło w *Paradis*, Ben Azaj, Ben Zoma, Achar (wyraz ten znaczy „inny” „drugi” imię nadane później Eliszy ben Abuji, niby „on” nie tym czem był, on przeinaczony) i Rabi Akiba. Przy wejściu powiedział Rabi Akiba do towarzyszy: Gdy wejździecie do kamieni kryształowych przezroczystych, strzeżcie się ażebyście nie wołali: „woda, woda!” albowiem jest powiedzianem: „Kto kłamstwo mówi, ten nie ostanie się przed Mojemi oczyma” (*Psalms* 101, 7). Ben Azaj spojrział i umarł. Do niego można zastosować słowa: „Drogą w oczach Boga jest śmierć pobożnych” (tamże 115, 15). Benzoma spojrział i został dotkniętym. Do niego można zastosować słowa: „Jeśli miód znalazłeś, jedz tylko tyle, byś miał dosyć, albowiem gdy się nim przesyćisz, to go zrzucisz” (*Przysł. Sal.* 25, 16). Achar wycinał rośliny. Rabi Akiba wszedł w pokoju i wyszedł w pokoju.

Legenda ta podaje w allegoryi różny stopień wiary tych myślicieli. „Wejść w *Paradis*” jest to metafora, którą Talmud oznacza zaptuszczenie się w badania filozoficzno-teologiczne. Przed rozpoczęciem tych studyów metafizycznych, ostrzegł Rabi Akiba swoich

ciął młode rośliny, był Elisza ben Abuja, Faust talmudyczny, który gdy siedział w akademii u stóp swoich mistrzów dla badania zakonu, chował książki „świeckie,” Homera np., ukryte pod swoją odzieżą (1), i z ust którego „śpiewy greckie” nie przestawały płynąć. Pomimo przedwczesnego niedowiarstwa swojego, stał się nagle znakomitym uczonym w swoim zakonie. Nakoniec się wyrodził. Jest to zdrajca, jest przeklęty. Samo jego nazwisko wzbudza niewypowiedzianą zgrozę. Raz, (był to wielki dzień odpustny) przechodzi obok zwalisk świątyni i słyszy wewnątrz świątyni głos który grucha jak gołąb: „wszystkim ludziom jest dziś przebaczone wyjąwszy Acharowi, który znając mnie, mnie zdradził.”

Po jego śmierci płomienie bezustannie wybuchały z jego grobu, aż do dnia w którym, jedyny jego wierny uczeń, pochodnia wiary, Rabi Mejer, rzucił się na ten grób, przysięgając ze świętym zaklęciem, że nie zakosztuje radości przyszłego świata bez swojego ukochanego mistrza, i że się nie poruszy z tego miejsca, dopóki dusza tegoż mistrza nie znajdzie łaski i miłosierdzia przed tronem Najmiłosierdzszego (2).

towarzyszy, ażeby się nie dali uwieść fałszywymi dowodzeniami „aby przezroczysty kryształ nie był brany za wodę” dla pozornego podobieństwa obydwóch. Ben Azaj młodo umarł. Przedwczesna śmierć ochroniła go od wpadnięcia w bezdenną przepaść powątpiewania. Benzoma został dotknięty chwilowem omamieniem, ale się rychło siłą wiary opamiętał. Elisza ben Abuja wyparł się wiary, uwiedzony uludnymi dowodzeniami własnego rozumu, które za sprzeczne z religią uważał. Odszczepienstwo to, dla dalszego ciągu metafory „wejście w paradys” (w ogród) wyrażonem jest przez *wycięcie latorośli*. Jeden tylko Akiba, trzymając się stale własnego prawidła, aby się nie dać uludzić zdradliwym, zanadto subtelnym dowodzeniom wybujałej myśli, wyszedł, tak jak wszedł, mocno ustalony w swojej wierze, przekonany, iż w tej gałęzi wiedzy nie masz dowodów matematycznych, takich jakie mają inne nauki. Wzmiankować tu jeszcze wypada, że przywiedzione wiersze z Pisma Śgo są nader trafnie zacytowane.

(1) Tamże, str. 2.

(2) Legenda ta, jest dwa razy w Talmudzie opowiedziana, nieco odmiennie niż powyżej w jerozolimskim, a bardziej skomplikowana w babilońskim. Chee ona nam dać wyobrażenie o wysokim szacunku jaki istniał w narodzie dla nauki i uczonych, wskazując iż odszcze-

Legenda ta i mnóstwo ubocznych, do niej odnoszących się wydarzeń, tworzą jeden z poetycznych i najbardziej wzruszających obrazów znajdujących się w Talmudzie.

Ostatni z czterech którzy weszli w Paradis, jest Akiba, osoba najznakomitsza, osoba największej powagi i odznaczająca się najwyższem może bohaterstwem w całej tój obszernej galeryi uczonych owego czasu; ten który pod Trojanem i pod Adryanem odpokutował swą gorliwość patryotyczną pod żelazem katów rzymskich. Legenda dodaje iż wyzionął ducha w tój właśnie chwili, kiedy w ostatniej walce wymówił wyraz „Jedyny” kończący wyznanie wiary izraelity „Słuchaj Izraelu, Przedwieczny Bóg twój jest Bogiem Jedynym.”

Talmud jest arsenałem Midraszowym we wszystkich swoich gałęziach.

To cośmy wyżej powiedzieli o rozmaitem znaczeniu wyrazów, stosuje się również i przedewszystkiem do wyrazu *talmud*. W zasadzie znaczył on *badac*, *uczyć się* od wyrazu *lomad* uczyć się (1), następnie oznaczał szczególny sposób uczenia się, czyli raczej argumentowania, a w końcu stał się nazwą wielkiego *Corpus juris* judaizmu.

Kiedy mówimy o talmudzie jako o kodexie praw, sądzimy że się nie weźmie tego wyrazu zbyt literalnie. Podobnym on jest do tego co się zwykle rozumie pod wyrazem kodex, o tyle, o ile las dziewiczy jest podobnym do ogrodu hollenderskiego.

Nic, w istocie, nie może dorównać głębokiemu zadziwieniu, jakiego doznaje uczony naszych wieków, na widok tój bujnej roślinności Talmudu. Człowiek wychowany w systematach harmonijnych i metodycznych Zachodu, przywykły do systemów które jednoczą i odosobniają naznaczając każdej rzeczy jej właściwe stanowisko, doznaje tu prawie odurzenia. Język, styl, metoda, nawet uporządkowanie kwestyi (uporządkowanie, które często zdaje się nielogiczniejszém od

picinie nawet taki jak *Achar* znalazł w pobożnych mistrzach zakonu orędowników, modlących się o zbawienie jego duszy, w przekonaniu, że sam Bóg uwzględni posiadaną przez odszczepieńca naukę.

(1) W formie nijakiej, zaś w formie czynnej *lymad* słowo to znaczy *nauczać*.

naszych marzeń) cudowna różnorodność przedmiotów, wszystko wydaje się jemu zagmatwane, pomieszane i podobne do chaosu. Dopiero powoli czytelnik uczy się rozróżniać dwa potężne prądy w tej księdze, prądy, które niekiedy idą w kierunkach równoległych, niekiedy zdają się krzyżować i sprzeciwiać jeden drugiemu: jeden wytryskuje z umysłu, drugi z serca; pierwszy to proza, drugi poezja; pierwszy przypuszcza ćwiczenie wszystkich władz umysłowych, które się ujawniają przez dowodzenia, przez głębokie poszukiwania, przez porównania i rozróżnienia łącząc, tysiąc rzeczy w jedną i odnosząc jedną do tysiąca innych. Drugi wypływa z królestwa fantazyi, z wyobraźni, z uczucia, z dowcipu, a szczególnie ze szczęśliwego połączenia dwóch władz, a mianowicie: spokojnego i prawie smutnego rozmyślenia z życiem i ogólnym współczuciem, co Niemcy nazywają *Gemüth*. Midrasz w swym różnorodnym sposobie zapatrywania się, skierował dwa te prądy zapatrywania się w dziedzinę biblii, a tam znalazły one rychło obszerne pole dla rozwinięcia wszystkiiej swój potęgi, całej swojej energii. Zdolności logiczne przywiązały się do części prawnych zawartych w 2, 3, i 5 Księdze Mojżesza, wyszczególniając, badając, rozwiązując mnóstwo istotnych lub pozornych trudności, godząc oraz sprzeczności zachodzące między ustępami Pisma Św. a tem, co jako tradycja żyło w sercu i przeszło w usta narodu od niepamiętnych czasów. Zdolności wyobraźni opanowały pierwiastek proroczy, moralny, historyczny, a co jest dosyć dziwnym, niekiedy nawet i części prawne biblii, przekształcając wszystko w szereg utworów prawie-muzykalnych dla swoich *cudownych i fantastycznych wariacji*.

Pierwszy z tych prądów nazywa się Halacha (prawidło, norma) wyraz, który oznacza zarówno postępowanie zależące od rozwinięcia przepisów prawnych, jak i same te przepisy.

Drugi nazywa się Hagada (legenda, gadka) nie ściśle w znaczeniu nowożytnym tego wyrazu. Hagada określić się daje przez „mówią,” „opowiadają;” jest to twierdzenie bez powagi, jest to gra wyobraźni, allegorya, parabola, jest to powiastka która objawia naukę moralną, albo wyjaśnia kwestyę sporną, budzi uśpioną uwagę, a wreszcie, że użyjemy własnego jej określenia, jest to „coś co pociesza, uspokaja, i raduje człowieka.”

Talmud złożony z tych dwóch żywiołów, prawnego i legendowego, dzieli się na *Misznę* i *Gemarę*, jeszcze dwie nazwy, których znaczenie jest niepewne i rozmaite. Z początku wyrażając *uczenie się* i *nauczanie*, jak wyrazy techniczne już wzmiankowane, stały się nazwami nauk specjalnych, a zarazem mianują i dzieła specjalne. *Miszna* od Szana (Tana) *uczyć się*, *powtarzać*, była kiedyś tłumaczona przez wyraz *δευτερονομία*, drugie prawo. Ale ta etymologia, lubo literalnie zgodna z prawdą, jest nie ścisłą w zasadzie. Wyraz ten znaczy po prostu *nauka*, tak samo jak i *Gemara* będąca dopełnieniem i uzupełnieniem *Miszny*, która sama ma za cel rozwinięcie kodexu Mojżeszowego; skutecznia to zaś w ten sposób, iż rozwijając i rozszerzając go, całkiem go zastępuje (1).

Miszna sama w sobie tworzy jeszcze rodzaj textu, którego *Gemara* jest nie tyle objaśnieniem, ile raczej krytycznym rozwinięciem. Pięcioksiąg zaś pozostaje niemniej zasadą i ukrytym źródłem *Miszny*. Do *Gemary* należy sprawdzić prawność i ścisłość tego rozwinięcia misznowego w szczegółach najdrobniejszych. Pięcioksiąg w każdym razie, pozostawał ustawą niewzruszoną i daną przez Boga, *prawem pisanym*. Przeciwnie, *Miszna* z *Gemarą* stanowiły prawo ustne, czyli *niepisanie*, coś podobnego do *Πητραί* greckich nie-pisanych, do *lex non scripta* u Rzymian, do *Sunnah* albo *Common Law* Anglików.

Historia jurisprudeneyi przedstawia mało punktów tak niejasnych jak początek, rozwój i ukończenie tego prawa ustnego.

Musiło być od początku prawa Mojżeszowego, mnóstwo praw dodatkowych, które szczegółowo objaśniały prze-

(1) Wyraz *Miszna* znajduje się już w 5 ks. M. 17, 18, tylko w formie duchowi języka hebrajskiego właściwój *Miszneh*, wyraża tam powtórzenie, oznacza zaś tę właśnie 5 księgę, jak ją i tłumaczenie greckie nazywa *Deuteronomium*. Wyraz *Miszna* ma jeszcze i drugie znaczenie, mianowicie *objaśnić* 5, M. 6, 7. Nazwa ta, w podwójnym swém znaczeniu odpowiada w zupełności definicyi autora: iż *Miszna* wyjaśnia kodex Mojżeszowy, a zarazem go zastępuje, czyli jest jego powtórzeniem. *Gemara*, wyraz chaldejski, znaczy *nauka*.

pisy wyłuszczone w ogólnych wyrażeniach (1). Zresztą było naturalnem, że rozporządzenia pierwszego zboru w pustyni starszych i ich następców, tak jak i wyroki wydawane przez następnych sędziów stały się podobnemi prawami i zostały przekazane zarówno z pisanemi.

(1) W całym pięcioksięgu jest tylko jedno prawo szczegółowo opisane, a mianowicie obchod roku jubileuszowego z odnoszaniem się do tego przepisami o własności ziemskiej i sprzedaży nieruchomości, 4, K. M. 25. Wszystkie inne prawa, przepisy i ustawy, bądź to części obrzędowej religii, bądź dotyczące zasad moralności, bądź wreszcie te, które mają na celu dobro społeczeństwa albo oświecenie i uszlachetnienie indywiduów; wszystkie podane są w krótkich ogólnikach wymagających komentarza i uzupełnienia, co bezwątpienia, starszym przewodnikom i wybranym w narodzie ustnie podane było. Zresztą Pismo Święte wyraźnie mówi: Z tej strony Jordanu, na ziemi Moabskiej zaczął Mojżesz objaśniać ten zakon (5, Moj. 1, 5) co właśnie stanowi początek prawa niepisanego czyli zakonu ustnego. Niezbity dowód istnienia podań i prawideł objaśniających księgi Mojżeszowej, stanowi usęp z 5, M. 17, 8 — 13, któren zaleca ażeby w razie trudnego do rozsądzenia wypadku, interessanci udali się w miejsce przez Boga wybrane (do stolicy) i tam sędziom i kapłanom swoje kwestycy przedstawiali, sąd zaś tychże bezwarunkowo za nieodwołalny uznać powinni. Koniecznie więc ci sędziowie i kapłani musieli posiadać jakieś wskazówki, jakieś prawa oprócz ksiąg Mojżeszowych, inaczej bowiem, nie potrzeba było ludowi do nich po rozstrzygnięciu kwestyi się udawać, gdyż każdy, mając w domu też księgi, mógłby z nich dany wypadek wyczytać. Tak więc wraz z objawieniem rozpoczęło się zarazem i prawo ustne. Otóż początek tradycyi. A jej rozwój? Zmiana w położeniu narodu spowodowała rozwój tradycyi.

Izrael miał zadanie zupełnie różne od wszelkich innych ludów i narodów w starożytności. Powołane do tworzenia państw i wypełnienia swoich zadań w historii świata narody, nikną ze sceny gdy swoją rolę odegrały, gdy się wywiązały z tych zadań. Narody te, oderwane od ziemi na której się zakrzewiły, na której zakwitły i wzrosły, giną po jakimś czasie, zostawując po sobie ślad, tylko w czynach dawniej wykonanych, przekazując potomności pamięć o sobie tylko w pomnikach które wzniosły, tylko w naukach i sztukach które pielęgnowały. Izrael zaś miał wyższe zadanie: miał on powołanie duchowe; miał on rozszerzyć ideę o Bogu, ideę obejmującą ludzkość całą. I Izrael musiał mieć swoją ziemię, musiał mieć swój kraj dla skoncentrowania się, dla przyjęcia w siebie tej idei, dla przygotowania i wyrobienia jej w sposób iżby ona przez ludzkość przyjętą być mogła. Na to przygotowanie służył czas pobytu w Palestynie. Ten czas upłynął; Judea upadła, ale Judaizm nie przestał istnieć wraz z jej upadkiem, bo jego istnienie nie było

Księgi apokryficzne, w szczególności 4 ks. Ezdrasza, pomijając już Filona i Ojców kościoła, wspomina o bajecznej liczbie ksiąg danych Mojżeszowi wraz z pięcioksięgiem. To wspomnienie wskazuje nam wiarę w Boskie pochodzenie tych praw dodatkowych, która to wiara istniała w narodzie od niepamiętnych czasów.

przywiązanem do ziemi, bo jego powołanie nie było czasowem, zarówno jak jego zadanie, zarówno jak idea którą miał głosić nie jest krótko-trwała. Na czas pobytu w Palestynie naród musiał mieć swoje przepisy i prawa, a na to wystarczyła Biblia z ustnem jej objaśnieniem, która do tego celu głównie była zastosowana. Pożycie zaś ludu w rozproszeniu wymagało już innych urządzeń, innych praw, ustaw i przepisów. Ustawa albowiem przepisana dla narodu zajmującego się rolą i trzodą, nie mogła mieć zastosowania u ludu mającego się trudnić handlem, rzemiosłem, lub inną jakąkolwiek pracą. Prawa, dane narodowi w własnym kraju żyjącemu, były nieodpowiednie dla ludu będącego w obczyźnie. Przepisy które mogły uszczęśliwić naród jako towarzystwo, były niestosowne dla jego członków rozproszonych po całej ziemi. Przy takiej zmianie w położeniu narodu, już sama Biblia nie wystarczyła. Przewodnicy narodu uważali tedy za konieczność ustanowienie nowych praw, zgodnych z nowem położeniem ludu. Ale prawa te powinny być uzasadniać się na pierwotworze religii Boskiej, powinny wypływać z tego zawsze żywego źródła objawienia i słowa Bożego. Należało więc ze słów biblijnych wyprowadzić, wywnioskować przepisy i urządzenia, które, nieprzeciwiając się pierwotnemu założeniu i zachowując zasadniczą myśl objawienia, mogły przewodniczyć ludowi we wszelkich okolicznościach religijnego, moralnego i społecznego życia, w tém nowem jego położeniu. Oto właściwy rozwój tradycyi.

Ale autor mówi i o „ukończeniu tego prawa ustnego.” W tym punkcie autor nie pojął tradycyi. Ona nie jest ukończoną, i nigdy nią nie będzie, dopóki lud izraelski istnieje. Jak po ukończeniu stworzenia pozostała siła twórcza i odrodzenia, mocą której świat, podług pewnych zasad i prawideł, wiecznie się utrzymuje i bezustannie się odnawia; tak i Objawienie Boże, ów twórczy duch w świecie moralnym, zostawiło ludowi izraelskiemu w tradycyi siłę wiecznego odrodzenia i przetworzenia. Tradycya miała i ma zadanie ciągłego utrzymywania ludu i dodawania mu świeżych sił żywotnych, przez zastosowanie niektórych przepisów zakonu do każdorazowego położenia i stanu tegoż ludu. Powołani do tego byli i są przewodnicy duchowni w każdym miejscu i w każdym czasie, mają oni w tej mierze brać za wzór owych wielkich poprzedników swoich, owych mistrzów w Izraelu, owych mężów Bożych, którzy umieli pogodzić religią z potrzebami narodu, połączyć przepisy zakonu z wymaganiem czasu. Zakon więc ustny, nie jest, i nie będzie nigdy zakończonym.

Podanie żydowskie odnosi tę wielką ilość praw ustnych do samego Synaju, przeszły one przez łańcuch powag wyraźnie wymienionych (1).

Opowiada ze szczegółami jak Mojżesz udzielał przewodnikom z pośród ludu wybranym te drobiazgowo szczegółki swojego prawodawstwa, otrzymane w czasie tajemniczego pobytu na górze; udzielał je zaś w taki sposób, że pozostały na zawsze wyryte na tablicach ich serca. Długa przerwa dzieli peryod Mojżeszowy od peryodu Miszyny (2). Potrzeby ciągle odradzające się zawsze wzburzonego narodu, wymagały za każdym razem nowych praw i nowych urządzeń. Okazała się tu trudność nieznaną w innych prawodawstwach. W krajach autokratycznych zjawia się dekret ogłaszający nowe prawo. W krajach konstytucyjnych wprowadza się bill, czyli projekt do prawa. Władza najwyższa, gdy to uznaje za stosowne, zatwierdza to nowe prawo. Inaczej się rzecz miała wśród narodu żydowskiego w czasie następnym po wygnaniu. Pomiędzy rzeczami bezpowrotnie zaginionymi w zburzeniu pierwszej świątyni ubyła także i wyrocznia „Urim i Tumim” arcy-kapłana. W Malachiaszu umarł ostatni prorok. Bądź to dla ogłoszenia nowego prawa, bądź też dla zniesienia prawa istniejącego, potrzeba było sankcyi wyższej niż prostej większości rady prawodawczej. Konieczność wymagała, aby pośrednio lub bezpośrednio oprzeć nowe prawo na słowie Bożem, należało dowieść że to prawo było ogłoszone przez Króla Najwyższego, że ono od samego początku było ukryte i utajone, jak się sami prawodawcy wyrażają. To nie zawsze było łatwem, zwłaszcza gdy tu szło o ułożenie pewnej liczby prawideł (3)

(1) Wymienienie to brzmi: Mojżesz otrzymał zakon (ustny) z Synaju, przekazał go Jozuemu; Jozue podał go starcom (wybranim przez Mojżesza na zlecenie Boga, w liczbie siedmdziesięciu. 4. M. 11, 16); starcy prorokom; a ci ostatni przekazali ten zakon mężom wielkiego zgromadzenia. Trak. Aboth rozdz. 1 miszna 1.

(2) Objawienie zakonu przez Mojżesza miało miejsce roku świata 2448, czyli 1372, przed erą chrześcijańską. Początek Miszyny datuje od Szymona Sprawiedliwego r. ś. 3448, czyli okrążyło lat tysiąc po Mojżeszu; spisana zaś została przez Rabi Jehudy Hanasy r. ś. 3949.

(3) Liczba tych prawideł jest trzynaście; ułożone i uzasadnione one są na zdrowej i głębokiej logice, a stanowią podstawę późniejszych praw w Judaizmie.

na zasadach hermeneutyki, a te mało co różniły się od prawideł do których się stosowano w szkołach rzymskich, jakoto: wnioskowanie z mniejszości na większość i na odwrót: porównanie uzasadniające się na podobieństwie myśli i przedmiotów; przeniesienie z założeń ogólnych na szczególne i nawzajem i t. d.

Niezależnie od praw nowych, wymaganych przez nieprzewidziane okoliczności, było jeszcze mnóstwo praw dawnych, dla których trzeba było szukać punktów oparcia, ażeby im wyjednać u szkół uznanie legalności i autentyczności. Też same szkoły, w nieustannej swój czynności tworzyły prawa nowe, wedle prawideł swój logiki, nawet, kiedy te nie były wymagane żadną koniecznością praktyczną, ani nawet mogło być przewidzianém, ażeby kiedyś weszły w użycie. Zajęcie to stanowiło u nich po prostu tylko przedmiot nauki. Ztąd zdaje się spostrzegać podwójne działanie w tém rozwinięciu prawa. Wiersz Pisma Św. jest wyrażeniem *a quo*, albo terminem *ad quem*. Albo wiersz jest punktem wyjścia dyskusyi która się kończy utworzeniem nowego przepisu; albo téż jakiś dawny przepis, dotąd jeszcze nie zgłębiony, nie sprowadzony do swego Boskiego źródła, zostaje usankcyonowany na zasadzie zewnętrznego jakiego punktu wiersza, jakkolwiek ten punkt mógł być mało znaczącym.

To postępowanie polegające na wyprowadzeniu nowych przepisów z przepisów dawnych za pomocą „znaków” mogłoby być w pewnych razach zastosowaném ze zbyt wielką dowolnością. Wszakże, lubo kodex talmudyczny różni się w praktyce od kodexu biblijnego w takim stosunku jak kodex justyniański od prawa dwunastu tablic; nie można jednak zaprzeczyć, że we wszystkich okolicznościach radzono się tych praw zasadniczych z bezstronną uwagą, wyłącznie ich ducha, litera zaś pozostawała tylko symbolem i zewnętrzną powłoką. Surowość często nieugięta pięcioksięgu, zwłaszcza w dziedzinie prawa karnego, została zapewne złagodzoną pod wpływem ogłady moralnej następnych wieków. Wiele przepisów pięcioksięgu które stały się niewykonalnemi, zostały ograniczone albo zupełnie uchylone, przez zaprowadzenie rozporządzeń wyjątkowych. Niektóre z jego gałęzi rozwinęły się w kierunku odmiennym od zna-

czenia, jakie pierwotnie tymże nadano. W ogólności zaś, władza przez sędziów téj epoki posiadana, wykonywaną była w sposób pobłażający i sumienny. Praca ta rozwinięcia prawa była wyłącznie sprawą biegłych (1) „zasiadających” wedle Nowego Testamentu „na stolicy Mojżesza.”

Tu nam wypada pomówić o Faryzeuszach, których nazwisko łączy się często z nazwiskiem poprzednich. Pierwój wszakże musimy wymienić różne znaczenia jakie miał wyraz „Biegły” w rozmaitych epokach, gdyż są trzy peryody w ustnóm zbieraniu kodexu talmudycznego, a każdy z tych peryodów nazwany jest od właściwej klasy uczonych. Zadaniem pierwszej klasy tych uczonych w całym znaczeniu „biegłych” (*w pisaniu, pisarze*) których peryod rozciąga się od powrotu z Babilonu do prześladowania grecko-syryjskiego (220 przed Chr.) było: zachowanie textu świętego takim, jakim on był za ich czasów po przejściu rozmaitych przygód. Biegli ci liczyli nie tylko przepisy, ale oraz głoski i znaki Pisma Sgo, chroniąc je tym sposobem od wszelkich dodatków i skażeń na przyszłość. Mieli następnie wytłumaczyć te przepisy zgodnie z podaniem ustnóm, którego byli stróżami. Powinni byli uczyć naród, miewać kazania w synagogach i wykłady w akademiach. Później ustanowili, mocą swej powagi, *oparkanienie* zakonu; nazwę tę dano przepisom, które uważane były za konieczne dla zapewnienia ścisłego zachowania dawnych ustaw. Całkowite działanie tych mężów „wielkiej synagogi” (2)

(1) Text francuzki słusznie tłumaczy *scribes* (pisarze). W Falmudzie nazwa ta brzmi *sofrim*, od słowa *sofar*, które ma dwa znaczenia: *pisac* i *liczyć*. Sam Talmud (trak. Kiduszyn) wywodzi tę nazwę z drugiego znaczenia, podając, iż dla tego zwali się *sofrim* albowiem obliczali wszystkie litery pięcioksięgu. Późniejsi zaś krytycy utrzymują, iż ta nazwa wypływa z drugiego znaczenia wyrazu i jest tłumaczeniem tytułu greckiego *γραμματικός* od *γράμματα* umiejętności, a w liczbie pojedynczej *γράμμα* litera, od słowa *γράφω* pisać. A zatem *sofrim*, pisarze, czyli uczeni. Dowiedzionóm to jest, iż przez pewien czas Izraelici chętnie przenosili do swojego języka wyrazy greckie albo ich tłumaczenia, lubo mieli we własnym języku wyrazy na oznaczenie tych samych przedmiotów i pojęć. Nazwą tą tytułowani byli uczeni i przewodnicy religijni narodu przed epoką talmudyczną.

(2) „Keneteth Hagdola” znaczy właściwie *Wielkie Zgromadzenie*, ale wyraz Keneteth z dodaniem Both (dom) przeniesiony

streszczoném jest dobitnie w ich maxymie: „Bądźcie rozważni przy wyrzeczeniu wyroku, starajcie się o posiadanie wielkiej liczby uczniów i wznóście ogrodzenie około zakonu” (1). Więcej jeszcze znaczącą jest dewiza ostatniego ich przedstawiciela Szymona Sprawiedliwego, jedyne, którego imię zostało zachowane wraz z imionami Ezdrasza i Nechemiasza, przypuszczalnymi założycielami tegoż zgromadzenia. Dewiza ta brzmi: „Świat ma za podstawę trzy filary: prawo, służbę bożą i dobroczynność” (2).

Po *biegłych* (*κατ'εξοχήν*) następują mistrze, czyli nauczyciele zwani także *Banoim* (budowniczo) (od r. 220 przed erą Chr., do 220 ery chrześ.). Peryod ten obejmuje dzieje Machabejczyków, urodzenie Chrystusa, zburzenie świątyni przez Tytusa, bunt Bar Kochebi pod Adryanem, zburzenie ostateczne Jerozolimy i rozproszenie ogólne żydów. Podczas tego peryodu Palestyna była rządzona kolejno przez Persów, Egipcyan, Syryjczyków i Rzymian. Ale prace prawodawcze odnoszące się do tego peryodu, nie doznały nigdy istotnej przerwy. W pośród najstraszniejszych wypadków, szkoły prowadziły dalej swoje nauki. Nauczyciele padali ofiarą jeden po drugim, szkoły zostawały z ziemią zrównane, zajmowanie się nauką zakonu albo wykonywaniem jego obzędów było pod karą śmierci zakazane, a mimo to wszystko, łańcuch tej żywej tradycyi w żadnym razie nie został przerywanym. Umierający nauczyciele mianowali z ostatnim tchem swoich następców; za jedną szkołę obróconą w popiół w Palestynie, powstawały trzy inne w Assyryi (3). Strumień za-

później został na miano domów modlitwy czyli synagog, jako miejsce zgromadzenia. Towarzystwo „Wielkiego zgromadzenia” zawiązało się na początku drugiej świątyni (r. 3413 od stworzenia świata). Składało się ono ze stu dwudziestu mężów uczonych, w liczbie których znajdowali się i niektórzy z ostatnich proroków, mianowicie: Chagi, Zacharyasz, Malachy, Daniel, Ezdrasz, Nechemiasz, Mordachaj, Zerubabel. Ostatnim tego zgromadzenia członkiem był Szymon Sprawiedliwy, pierwszy ze zbieraczy Miszny (r. św. 3448).

(1) Traktat Aboth, rozdz. 1, Miszna 1.

(2) Tamże.

(3) Szkoły te zwane były Jeszyboth (posiedzenia) od *Jaszab* siedzieć. Nazwa ta ztąd pochodzi, że od czasów Rabi Gamaliela Starego, zaczęto odbywać wykład nauk siedząco, gdyż im słabsza konstytucya ciała nie dozwalała stawać w czasie wykładu, jak ich poprze-

konu płynął bez przerwy i uwieczniał się wbrew tysiącnym egzekucjom.

Głównymi naczelnikami tych szkół teologiczno-prawnych byli prezydujący (zwany *Nasy*, książę) i wice prezes (*Ab Beth-Din* kierujący sądownictwem). Najwyższe zgromadzenie prawne, Synedrion, przezwane zostało po aramejsku *Sanhedryn* (1). Były trzy Sanhedryny, jeden wielki i dwa małe. Ile razy Nowy Testament wzmiankuje razem o kapłanach, starszych i biegłych, rozumie zawsze przez to wielki Sanhedryn. Stanowił on najwyższy trybunał duchowny i cywilny. Składał się z siedmdziesięciu i jednego członków wy-

dnicy, albo nauczać w ciągłej przechadzce jak u Greków. Posiedzenia te, zwyczajem wschodnim miały miejsce na ziemi; sam tylko wykładowca siedział na podwyższeniu. Ztąd apostoł Paweł mówi o sobie: Przesiadywałem u nóg Rabi Gamaliela (co znaczy: był jego uczniem).

Miasta w których główne szkoły istniały, były: w samej *Palestynie*: Beno Berak, miasto wspominane w Jozu: 19,43 pod kierunkiem Rabi Akiba. Lydda, zwana przez Rzymian Diospolis pod kierunkiem R. Eleazara. Tiberias, nad Jordanem pod kierunkiem R. Mejera. Sepphoris, zwane przez Rzymian Dio Cesarea, R. Jose b. Chalafra, Beror Choil, R. Jochana b. Zakai. Wieś Sechania, b. Teradion. Pekien, R. Jozue b. Chanaja. Beth Szeorym, R. Jehuda Hanasy, autor Miszny. Jabneh, R. Gamaliel. *W Babilonii*: Harditunur Samuel. Pombedita R. Chamania (drugi). Sura. Raw. Nisibis. R. Jehuda b. Betera. Oprócz tego była szkoła w Rzymie i w wielu innych miejscach.

(1) Autor tu chybił licząc Sanhedryn do szkół poprzednio opisanych. Była to instytucja z zupełnie innem znaczeniem i przeznaczeniem.

Sanhedryn składał się z siedmdziesięciu jednego mężów uczonych, znanych z nieposzlakowanej moralności i wzorowych obyczajów. Liczba ta członków odpowiada zgromadzeniu starców ustanowionych w Palestynie (4, M. 11,16), gdyż i tam było siedmdziesięciu członków którymi Mojżesz kierował. Nazwa wzięta jest z rzymskiego *Senatus*, do którego też Sanhedryn w całym urządzeniu, w swoich atrybucjach i w swęj władzy podobnym był. Sanhedryn nie tylko zajmował się kwestyami religijnymi w obszerniejszem znaczeniu, bo obejmującemi cały naród, nie tylko stanowił on najwyższy sąd w kraju, ale nadto miał niepośledni udział w rządzie, oraz w wypowiedzeniu i prowadzeniu wojny. Przebywał w Jerozolimie, a posiedzenia swe odbywał w zabudowaniu świątyni; przez niejaki czas wszakże istniał w Jabneh. Ze znaczenia tytułów obudwóch przewodników oraz z wskazówek talmudycznych wnosić należy, iż atrybucye pier-

branych z pośród wyższego stopnia kapłanów, naczelników pokoleń i rodzin, oraz z pomiędzy uczonych i prawników.

Nie było to łatwem zostać wybranym na członka tój najwyższej rady. Kandydat powinien był być człowiekiem wyższym, tak pod względem moralnym jak i fizycznym. Nie mógł być ani zamłodym, ani zastarym: a przedewszystkiem musiał gruntownie posiadać wiedzę zakonu i nauki społeczne. Krytycy czytając wyrazy *zakon*, *mistrze* albo *doktorzy zakonu*, zdają się nie zawsze dobrze rozumieć doniosłość wyrazu *zakon* w języku Starego, a zwłaszcza Nowego Testamentu. Należy mieć na względzie, że wyraz *zakon* obejmował wszelki rodzaj nauki, ponieważ każda gałąź umiejętności była potrzebną do znajomości zakonu. Kodex Mojżeszowy zawiera przepisy w przedmiocie podróży odbywanęj w dniu sobotnim (co do odległości), należało tedy obliczyć i zmierzyć odległość, ztąd potrzeba odwołania się do matematyki. Trzeba było zbadać rośliny, nasiona, zwierzęta, a to celem właściwego wykonania przepisów do nich się odnoszących, ztąd konieczność poznania historii naturalnej; dalej, znajdując się tam ustępy czysto higieniczne, które aby były zrozumiałemi, wymagały znajomości całej medycyny ówczesnej. Podział czasu, oraz święta, były ustanowione podług odmian księżyca, trzeba więc było badać przynajmniej pierwsze zasady astronomii. Nadto, naród żydowski znalazł się w zetknięciu z Grecyą i Rzymem, jakkolwiek z początku mimowoli, należało dodać do programu wychowania młodzieży, historią, geografią i język tych narodów, do wykładanych już poprzednio tych wiadomości w odnoszeniu do Persyi i Babilonii. Kiedy przyszło do odwołania pewnych rozporządzeń, ustanowionych chwilowo dla „bezpieczeństwa społecznego” to mała tylko garstka z *dobrą wolą* ale z ciasnym umysłem, jak Essejczykowie (1), temu się opierała. Kiedy

wszego odnosiły się więcj do przedmiotów dotyczących rządu i odnoszących się do interesów całego kraju, miewał on oraz co sobotę rozprawy publiczne naukowo religijne. Drugi zaś Ab Beth-Din (dosłownie: Ojciec domu sądowego) prezydował w sądzie.

Oprócz głównego Sanhedrynu, były jeszcze dwa pomniejsze w Jerozolimie, składające się każdy z dwudziestu trzech członków.

(1) Essejczykowie (w talmudzie *Assaim*) stanowili jedną z sekt ówczesnych w judaizmie, z których głównemi byli:

podczas zamieszek syryjskich, sceptyzm grecki ze swoją ty-le ponętą formą, zaczął zabierać ofiary nawet w pośród win-nicy świętej i zagroził wyniszczeniem wszelkiego patryoty-zmu i wszelkiej niezawisłości, wtedy klątwa rzuconą została przeciw hellenizmowi. Tak patryoci niemieccy w początkach bieżącego wieku, nienawidzili aż do dźwięków język francuzki, tak niedawno temu jeszcze patrzano w Anglii okiem podej-rzenia na wszystko, co było „zagraniczne.” Ale po przejściu niebezpieczeństwa, język i literatura grecka odzyskały wyso-kie swoje położenie, jakie zajmowały w szkole i w rodzinie.

Silnie bowiem wówczas nalegano na połączenie hebraj-skiego i greckiego, Talith (1) i Pallium, na zjednoczenie Se-ma z Jafetem, którzy razem byli pobłogosławieni przez Noe-go, i którzy połączeni, byliby pobłogosławieni na zawsze. Po-wrócimy jeszcze do charakteru wielojęzycznego owej epoki,

1) Faryzeusze (o tych później będzie mowa).

2) Saduceusze trzymający się ściśle literalnego znaczenia słowa zakonu, nie przypuszczając żadnego tłumaczenia ani żadnych obja-snień.

3) Essejezykowie znani w Talmudzie także pod nazwą: *Nazy-ryjm* odosobnionych, odłączonych od świata, oddanych Bogu.

4) Therapeutycy. Dwie te ostatnie sekty zdaje się jeden miały kierunek, z tą tylko różnicą, że członkowie ostatniej żyli w bezżeń-stwie. Tak Essejezykowie jak i Therapeutycy zajmowali się głównie sztuką leczenia, jak sama ich nazwa wskazuje; gdyż Assya w języku aramejskim znaczy lekarz, jak therapeutyka po grecku, leczenie.

Mylnie utrzymuje autor, jakoby się essejezykowie sprzeciwiali krzewieniu nauk w narodzie, nazywając ich „ludźmi ciasnego pojęcia.” Owszem, gorliwie się oni studyowaniem wszelkiej wiadomości zajmo-wali, przejmowali je od mędrców greckich i innych narodów. Mieli oni to przekonanie, iż wszelka nauka i wiedza, jakkolwiek jest wyni-kiem badań umysłu ludzkiego, wszakże musi mieć jakkolwiek wska-zówkę, zasadę, jakkolwiek wziankę i w Piśmie Świętym, jako w źródle wszelkich nauk, wiadomości i wiedzy. Usiłowali zatem od-nieść każdą naukę do zakonu Bożego i dla każdej znaleźć jakiś punkt oparcia w biblii.

Prawda, że w każdym czasie znajdowały się w Izraelu indywi-dua (nie wyłączając i czasu obecnego) które się obawiały wszelkich nauk świeckich, jako niezgodnych z religią, z pobożnością; ale te nie-zawodnie nie należały do światłej sekty essejezyków. Josephus Fla-wiusz o nich mówi, iż ci myśliciele wyprzedzili wszystkich mędrców greckich co do czasu.

(1) Talith, okrycie używane przez izraelitów w czasie modlitwy.

której językiem zwyczajnym była dziwna mieszanina greckiego, aramejskiego, łaciny, syryjskiego i hebrajskiego. Członek Sanhedrynu powinien był być dobrym lingwistą; nie wypadło bowiem ażeby się znalazł w konieczności odwołania się do przekładu pośredniczącego tłumacza, gdyż ten przekład może być niewiernym. Wymagano od niego nie tylko nauki w najrozciąglejszem znaczeniu tego wyrazu, ale także i znajomości najfantastyczniejszych cieniów nauki, jak astrologii, magii i innych, a to w celu iżby on jako prawodawca i sędzia mógł także ocenić uczucie ludowe odnośnie do tych wiadomości, bardzo wówczas rozpowszechnionych. Prozelici, eunuchy, niewolnicy, wyzwolenicy byli ściśle wyłączeni ze zgromadzenia zarówno jak wszyscy ci, którzy nie mogli udowodnić prawnego pochodzenia swojego od kapłanów, lewitów lub izraelitów. Wyłączeni także byli gracze hazardowni, lichwiarze i tacy którzy zajmowali się nieprawym handlem. Przepis dotyczący się wieku kandydata stanowi, iż ten nie miał być zbyt starym, z obawy ażeby jego władza sądenia nie była zbyt osłabioną, ani też zbyt młodym, z obawy iżby taż władza w nim nie była niedojrzałą lub zanadto pośpieszną. Wymagano też dowodów obszernej nauki teorycznej i praktycznej, gdyż tylko stopniowo człowiek wznosił się z niskiego urzędowania w swęj wiosce do godności senatorskiej. Nakoniec dodano jeszcze i ten piękny przepis, iż powinien być żonatym i mieć własne dzieci.

Głębokiej nędzy familijnej okoliczności mogą być przedstawiane przed jego trybunał, wymaganem tedy jest, ażeby posiadał serce pełne współczucia.

O praktycznem wykonywaniu sprawiedliwości przez Sanhedryn, powiemy gdy dojdziemy do samego kodexu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OTYLIA.

(Z angielskiego).

I.

Jest w hrabstwie Wilts miejsce, przesłiczna równina, zewsząd na słońce otwarta. Nie nad nią piękniejszego na wiosnę. Pośród zielonej darniny wznoszą się tu i owdzie cieniste zagajenia z buków i jałowcu o żółtym kwiecie, w których gnieźdzą się kosy a słowiki świergocą piosnki majowe. Na korze jednego z buków można jeszcze przeczytać, choć z wielką trudnością, gdyż jest zartę ręką czasu, imię *Otylia*. Od wschodu, z równiny wychodzi droga do folwarku znacznie rozszerzająca się dochodząc do zabudowania w pół arystokratycznego, w pół miejskiego stylu, z wieżycami, których chorągiewki wybiegają po nad drzewa. Na zachód równina spuszcza się nagle ku przesłicznej dolinie przerniętej maleńką rzeczką, po której przechodzi wiejska kładka. W głębi ze trzydzieści domków otoczonych staremi wiązami gromadzi się około kościoła i plebanii.

Było to, lat temu dwadzieścia, miejsce ustronne; i jak dziś tak i wtedy wielce usposobiało do marzeń. Jego właściciel jednak rzadko je nawiedzał. Wolał on objezdzać folwarki, albo, — jeśli to nie był dzień jarmarku, w którym zwykł jeździć do miasta na pogawędkę z sąsiadami, — powoził swą żonę w modnym koszykowym ekwipażu zaprzężonym pysznymi szkockimi rumakami. Zdarzyło się jednak, że tego dnia gdy wyrznięte zostało imię, o którym wyżej mówiliśmy, dziedzic chcąc widzieć jak też buki wzrastają, skierował swe kroki w stronę murawy. Czyniąc ten przegląd natrafił na syna ryjącego na korze drzewa końcem myśliwskiego noża ostatnią głoskę pięknego imienia: *Otylia*.

— Co tu robisz, Augustcie? — rzekł p. Bryant surowym tonem. Oto mi piękna fantazyja; kaleczyś młode drzewka? Chcesz pewnie aby pousychały.

Pan August był to dorodny dwudziesto-letni młodzieniec, mający wkrótce otrzymać stopień oficera. Przechodziły już jednak małe chmurki po jego domowych stosunkach, a nawet dnia tego

ojciec podczas śniadania otrzymał rachunki z podpisami syna, na które mocno się krzywił.

Złapany na uczynku nasz kapitan w perspektywie, zwrócił się ku ojcu w taki sposób aby zakryć sobą *corpus delicti*, owe nie-
szczęsne głoski.

— To nic—mówił jękając się—ja nic złego nie robię. Ba-
witem się ot tak, czekając na gajowego Wilcoxa i na jego sfore....
Ale, ale, czy widział też ojciec szkodę, jaką króliki robią w mło-
dym zbożu? Trzeba temu zaradzić, bo inaczej nasz dzierzawca za-
desperuje się. Pójźmy ojcze, ja ci to pokażę...

Mówiąc tak August poprowadził p. Bryant do zasiewów. Skoro się cokolwiek oddalili, przezorność opuściła młodego czło-
wieka. Nie wiem co mu tam przeszło przez głowę, lecz zapo-
mniał i o drzewie i o napisie; zaczął się spuszczać pochyłą ścię-
szką, prowadzącą do doliny zostawiając ojca samego na drodze do
mieszkania.

P. Bryant przestał już myśleć o szkodzie przez przyszłego
dziedzica wyrządzonej; ale nieszczęście nadało, że wracając tą sa-
mą drogą spostrzegł skaleczone drzewo. Zaczął mu się przy-
glądać.

— „Otylia...” mruknął po kilkakrotnem odczytywaniu na-
pisu, którego świeże jeszcze litery wyraźnie odbijały na korze
drzewa; cóż to za oryginalne imię?

Na raz jeden zacny ten obywatel uderzył się w czoło. Przy-
pomniał sobie, że inię to, niepomieszczone w szeregu świętych
w kalendarzu, nosiła młoda i piękna Szwajcarka przebywająca
od roku w charakterze nauczycielki u pani Mowbray, żony pa-
stora tej okolicy.

Nie tracąc czasu wrócił do pałacu, aby spiesznie uwiadomić
panią Bryant o swém odkryciu.

Pani od razu całą tę rzecz pojęła.

Skutkiem stosunków z probostwem miała ona sposobność
sama ocenić wyjątkowo wysokie przymioty panny Berthal; strze-
gła się atoli wymówić słowa na jej pochwałę, obawiając się obu-
dzić tym sposobem imaginacją Augusta, świeżo przybyłego
pod dach rodzicielski. Niestety! jakaż straszna pomyłka! Au-
gust mimo to zauważył piękną cudzoziemkę, a ten dziwny napis
na drzewie aż nadto przekonywał, że był nią zajęty. Zgrozą
przenikniona matka natychmiast udała się do probostwa, dla
rozmówienia się z panią Mowbray.

Wielkie było zakłopotanie pani Mowbray, bo też w tru-
dnym zaiste znalazła się położeniu. Z jednej strony mając nau-
czycielką którą szczerze pokochała, a z drugiej panię Bryant, któ-
rą lękała się; starała się usprawiedliwić jedną, a nie urazić dru-
gą. Wreszcie ośmieliła się delikatnie przedstawić pani Bryant,
że zadaleko rzecz posuwa. Jednakże przekonanie jej mocno zosta-
ło zachwiane, gdy pani Bryant zwróciła jej uwagę na niektóre
szczegóły: z trwożą przypomniała ona sobie, że dzieci wracając

z przechadzki bardzo często w swych opowiadaniach wtrącały imię p. Augusta. Raz znalazł on w krzaczku gniazdko sikorek, to znów wiewiórkę im złapał, innym razem zabił królika w ich oczach. Jeszcze jeden szczegół, który niemniej p. Mowbray przeraził; oto zauważyła, że prawie od miesiąca młody ten człowiek przesiadywał całemi godzinami łowiąc ryby w rzece tuż przy ogrodzie probostwa. Wszystko to wydało jej się teraz podejrzanem, lecz powiedziała jeszcze słów kilka, starając się obniżyć ważność tej sprawy.

Pani Bryant nie była kobietą którąby można wymówkami uspokoić. Wysłała natychmiast bojaźliwą przyjaciółkę, aby wybadła swą guwernantkę co do schadzek, jakie ci młodzi ludzie między sobą mieli.

— Rozumiesz pani—dodała—ile mi na tém zależy, aby w sam czas przerwać te manewra. Mój syn, człowiek takiego urodzenia i takiej przyszłości, miałby się przywiązywać do podobnej dziewczyny! Sprawiedliwy Boże! nigdybym tego nie znośła. Idź pani!

Pani Mowbray byłaby chętnie uchyliła się od włożonego na nią obowiązku. To też z rumieńcem na twarzy i źle ukrytym pomięszaniem, poszła wybadać swe dzieci do ogrodu.

— Czy dawno widzieliście p. Augusta Bryant—zapytała ich.

— My go codzień widzujemy—powiedziała najmłodsza dziewczynka. On zawsze z nami chodzi.

— Ach!—rzekła matka, schylając się jakby dla zerwania kwiatku—więc on z wami chodzi? A co do was mówi?

— On prawie nie mówi do nas. Skoro przychodzimy na to wzgórze, na trawnik, on siada z panną Otylią, mówiąc że go noga boli i rozmawiają sobie podczas kiedy my pleciami wianki z polnych kwiatów. Prawda mamó, to szczególna rzecz, że pana Augusta zawsze noga boli, ilekroć jesteśmy w lasku bukowym.

Biędua Mowbray! serce mało jej nie pękło na te wyrazy. Lecz sumienie kazało jej wiernie słowo w słowo powtórzyć je pani Bryant, która czekała na nią w salonie.

Gniew wielkiej damy nie miał granic. Wybuchła w obelgi przeciw intrygantce, która jej chciała jedynaka uwieść wbrew prawom socyalnym. Jednocześnie rzucała na p. Mowbray oskarżający wzrok jakby na współniczkę Otylii. P. Bryant chciała się widzieć z winowajczynią i rozmówić się z nią po swojemu; lecz pan Mowbray, przywołany na radę oparł się temu. Przewinienie panny Berthal nie było jasne, a w każdym razie za stosowniejsze uważał on, ażeby młoda panienska wytłumaczyła się przed jego żoną, aniżeli przed matką tego młodego człowieka; coby mogło doprowadzić do niemiłej sceny.

Pani Bryant poddała się choć nie z wielką ochotą, powagę jednak pastora uszanować musiała. Podniosła się więc jak obrażona Juno. Następnie, nim wyszła, taką rzuciła strzałę z Parnasu:

— Proszę cię, moja dobra pani Mowbray, nie bierz też nauczycielki, nie poradzisz się mnie wprzódy. Nigdy dosyć ostro-

żności w takich razach. Ja mam wiele stosunków i za kilka dni przedstawię ci osobę bardzo przyzwoitą.

— Jaktó! czy podobna! chciałabyś więc paui?...

— Tak jest, koniecznie!

P. Mowbray była przerażona. Pobiegła do swego pokoju, gdzie długo płakała. Nareszcie zdobyła się na odwagę, poszła do pokoju dzieci, a wysławszy je do ogrodu, po długich namysłach, ogródkami poczęła wypytywać pannę Berthal. Wszelako nie potrzebowała długo mówić, ażeby dać się zrozumieć. Otylia odgadłszy cel przyścia matki swych wychowanek, stała się purpurową; następnie słodkim i głębokim tonem, który tylko blondynkom właściwy, powiedziała:

— Tak jest, pani; często widuję p. Augusta i często z nim rozmawiam: jestem narzeczoną p. Augusta.

— Narzeczoną!—zawołała p. Mowbray—ależ co pani mówisz, panno Otylio? czyś pani zmysły straciła?

— On mnie kocha—ciągnęła dalej Otylia, spuszcżając oczy, i całą jej twarz rozpromienił dziwny wyraz szczęścia—a.. wyznam pani, że i ja go kocham.

Zora pastora nie wierzyła uszom swoim. Cała ta sprawa przechodziła o wiele jej domysły. Zaczęła jej czynić wyrzuty, które starała się uczynić surowemi:

— Oh! niebaczna! Czyż mogłam spodziewać się tego po pani. I godziłoż się to trzymać w tajemnicy, i nie mnie nie powiedzieć?

— Przebac mi—moja droga paui—dawno już chciałam ci się zwierzyć, jakby matce własnej, oh! bo też ty jesteś matką dla mnie; lecz on tego sobie nie życzył. Zawsze mi mówił. „Nie, nie, jeszcze nie. Poczekaj pani aż ojcu powiem.”

— Ojcu! Boże miłosierdzia! I kiedyż to on chce go zawiadomić?

— Jak tylko dostanie patent oficerski, na pożegnaniu: a że mu ojciec nie nigdy nie odmówił, jest pewnym jego przyzwolenia.

— Chyba August zmysły stracił, albo panią oszukuje. Ani ojciec ani matka nie zezwolą nigdy na to małżeństwo. Pani nie wiesz co to za duma u tych parweniuszów: oni marzą tylko o połączeniu się z jaką starożytną hrabiowską rodziną. I wiem o tém że mają zamiary względem Lady Harriet Hardy.

— Ależ August nie kocha lady Harriet; wydrwiwa zawsze jej śmieszne pretensye i żółte włosy.

— Dajmyż pokój włosom téj panny; ich kolor nie nas nie obchodzi. Doprawdy, ja podziwiam zimną krew pani. Jakże możesz mówić o takich rzeczach, kiedy ja z przyczyny paui pograżoną jestem w zamęcie trwogi i zmartwienia?... Boże mój! a tak mi dobrze z tobą było, dzieci tak cię kochają!... i będę zmuszoną wziąć jakie stare straszdyło, jak ta ostatnia nauczycielka z rekomendacyi p. Bryant.

Teraz przyszła kolej na Otylię, zuieszala się. Zbladła i rzucając wzrok trwogi na p. Mowbray:

— A więc mnie pani oddalasz?...—zawołała. Oddalasz mnie, ponieważ jestem kochaną przez uczciwego człowieka!

Z tém wszystkim, rozłączenie było nieodzowne. Pan Mowbray nawet był za tém, choć czuł całą niesprawiedliwość podobnego postępowania. Winien był beneficjum swoje dziedzicowi, a więc i jego woli: czuł się w obowiązku być posłusznym. Długą miał pastor rozmowę z Otylią, w której nie ganiąc jej wprost, wykazał całą nierozwagę podobnego postępowania i radził aby wyrzekła się miłości bez nadziei. Dodał: jeśli go pani na przyszłość zachęcać będziesz, to tak jakbyś go zagnęła do nieposłuszeństwa woli rodziców.

— Nie zapomnę tych słów, panie Mowbray, nie mogę ich zapomnieć. Mniejsza o to! Oddalam się! Więc nikt nie będzie narazonym na cierpienie, bo mnie tu nie będzie.

Taką była jej odpowiedź. Z żoną pastora otaczającą ją najczulszemi pieczyotami matki była równie zrezygnowaną; lecz powtarzała jej ciągle, z niewinną wytrwałością, że w swém postępowaniu nie widzi nic nagannego.

Ta niewiadomość winy, powtórzona pani Bryant, nie mogła jednak ułagodzić wyniosłej dziedziczki. Skoro znalazła się w obec winnej, zaczęła ją zarzucać obelgami. Lecz obrażona duma szlachetnej dziewczyny wkrótce ją do milczenia skłoniła. Tylko odwołując się do uczuć prawości, otrzymała od Otylii powtórzenie obietnicy p. Mowbray poprzednio uczynionej.

Z drugiej strony, August Bryant miał także dużo do zniesienia. Gwałtowne sceny jedua po drugiej następowały w Woodbridge-Hall. Prośby i błagania nie mogły przełamać tej pysznej pary. P. Bryant oświadczył swemu synowi, iż jeśli raz tylko zobaczy się z panną Berthal, on cały swój majątek zapisze na dobroczynne zakłady.

II.

Wierna swej obietnicy, Otylia starała się dotrzymać słowa, choćby ją to nawet życie kosztować miało.

Liczne były listy od Augusta tajemnie jej przesyłane; lecz na nie się zdały prośby, błagania, któremi ją ten młody człowiek na wszystko zaklinał, aby się z nim widziała. Otrzymał tylko te słowa:

„Przyrzekłam, że cię nie ujrzę więcej, i dotrzymam obietnicy; zapomnij o mnie.”

Przez cały tydzień poprzedzający jej wyjazd, ani razu nie wysłała z prośbą. Lecz wieczorem w przed dzień wyjazdu, kiedy dzwon z Woodbridge-Hall wybił godzinę obiadową, dziewczyna sądząc się pewną, iż nikogo nie spotka, zarzuciła z po-

śpiechem szal na ramiona, przeszła furtkę ogrodową i biegnąc wązką ścieszką prowadzącą na równinę, zwróciła się ku gajom bukowym: chciała raz jeszcze ujrzeć to ukochane miejsce, przybytek tylu chwil szczęścia.

Tu ona po raz pierwszy zobaczyła Augusta, tu po raz pierwszy serce jej uderzyło, gdy ją czule nazwał po imieniu Otylią. Tu oni spędzali długie godziny, siedząc obok siebie na kwiecistym trawniku, podczas gdy dzieci z rozwianemi od wiatru włosami swobodnie tuż przy nich płąsały. Ileżto razy ukazywał jej w dali prześliczną dolinę, pola, odległe łąki, mówiąc zarazem o dniu w którym ona będzie panią tego wszystkiego: nigdy nie powątpiewał, nigdy nie przewidywał żadnych przeszkód.

„Moi rodzice, mówił, szalenie mnie kochają. Nic nie odmawiają swemu jedynakowi. Zapewne, że będzie z początku trochę hałasu, jak się to przytrafia i wtedy, gdy proszę ich o nadatkowy stuftunowy bilet, ale jak się uprę, to z pewnością będziesz moją żoną.”

Młoda i pełna ufności, obca angielskim obyczajom i życiu, tém więcej niezachwianym wyobrażeniem państwa z Woodbridge-Hall, Otylia wierzyła tym słowom; wierzyła całą duszą, i odtąd też żyła w sferze złudzeń, złożony przyszłość swoją w ręce młodego człowieka, który urzeczywistniał w jej oczach ideał młodości i wdzięku tyle pożądane przez każdą młodą dziewczę.

A dziś, samotnie siedzącej pod temiż bukami przy zachodzie słońca, nasuwały się razem wszystkie te wspomnienia, źródła tylu boleści. Rozproszyły się owe piękne marzenia jak mgła nocy przy porannym wietrze. Odjedzie... a nazajutrz o tejsze godzinie, cały świat dzielić ją będzie od ubiegłego szczęścia.

Leżało tam kilka gałązek, które roztrągniony August odłamał przy ostatniej wspólnej rozmowie: zerwała z nich kilka listków a poniósłszy do ust, schowała przy sercu swoim.

Jednakże czas mijał, o czém Otylia wcale nie myślała. Słońce od dawna już schowało się za pagórek; noc zastąpiła zmrok wieczorny.

Wtém posłyszała czyjeś kroki na trawniku: w chwilę po tém August już był przy jej boku.

— Znajduję cię przecież okrutna! — zawołał — cały tydzień cię nie widziałem! Czy chcesz przyprowadzić mnie do szaleństwa?

Twarz Otylii zajaśniała uczuciem szczęścia, które natychmiast powstrzymać się starała.

— Przyrzekłam, Auguste! — zawołała ze smutkiem — drogi Auguste, nie powiniśmy widzieć się więcej: proszę zostaw mnie samą.

— Nie widzieć ciebie! czyżto podobna?

— Ależ ja przyrzekłam, mówię ci.

— Więc mnie już nie kochasz? I któż to śmiał wydrzeć pani tę obietnicę? Chciałbym wiedzieć.

— Twoja matka, której wolę znasz dobrze. Obowiązkiem pana jest zapomnieć o mnie, a moim uciekać... Bywaj zdrów.

— O tobie zapomnieć! nigdy. Ja tobie uczyniłem ślub i święcie go dotrzymam. Czyż nie przyrzekłem kochać cię do śmierci?... Teraz, Otylio, Kocham cię stokroć więcej, odkąd starają się nas rozłączyć... Lecz do tego nie przyjdzie. Postanowiłem, bądź co bądź, wyłamać się z tej tyranii. Jedźmy razem, zgadzasz się pani? Już od ośmiu dni szukam cię, aby ci to powiedzieć!

— Uciekać?... z panem?

— Proszę cię Otylio daj się ubłagać. Wszystko przygotowałem. Dziś wieczorem, o jedenastej, powóz oczekiwać nas będzie z drugiej strony mostu. Ja już tam będę. Pojedziemy na całą noc, a we dwadzieścia cztery godzin będziesz żoną moją. Widzisz więc, wszystko się układa jeśli ty przystaniesz.

— O! nigdy, wielki Bóże! Jak śmiesz robić mi pan podobne propozycje? i pocóż ja tu się znajduję?... Posłuchaj mnie, panie Auguste. Pani Mowbray całą prawdę mi przedstawiła; pan jesteś dzieckiem jeszcze... tém samém podległym ślepo woli ojca do której powinien się stosować. Poddaj się więc, mój przyjacielu. Co do mnie, nie zaślubię cię nigdy wbrew woli rodziców. Taki związek ściągnąłby na nas przekleństwo, a ja nie chcę być przyczyną takiego nieszczęścia... Mówiąc to, Otylia skierowała swe kroki ku domowi. August rzucił się ku niej.

— Odchodzisz pani, a ja nie ujrzę cię więcej? Zostawiasz mię samego... na pastwę okrutnej boleści, nie mówiąc nawet gdzie się masz udać?

— Wracam do Szwajcaryi, do ojca; jedyne to dziś moje schronienie.

— O niegodziwi Mowbraye! jak mogli taki cios ci zadać! Przynajmniej napiszesz pani do mnie, nieprawdaż, napiszesz aby mi powiedzieć, że nie zapominasz o mnie.

— Zapomnieć o panu! oh! nie, póki żyć będę; lecz pisać do pana nie mogę. Byłoby to naruszeniem mojej przysięgi... wtedy tylko, zrobić to mogę—dodała patrząc się w niebo gwiazdzone — jeśli Bóg ulituje się nad nami i zmieni serca twoich rodziców.

— Bądź tego pewną—zawołał młody człowiek trochę uspokojony. Przyjmijmy więc terazniejszość jako niennikioną, a miejmy nadzieję w przyszłości. Tak, droga pani, powrócisz, a wtedy cały świat będzie u nóg twoich.

— Niestety! Jest to życzenie bez nadziei. Pan Mowbray utrzymuje że to jest niepodobieństwem.

— Znów pan Mowbray!... Przypuśćmy że mówi prawdę... to przecież nie zawsze dzieckiem będę. Za rok będę pełnoletnim, a zatem panem siebie podług prawa. Wtedy przyjadę, aby cię zaprowadzić do ołtarza, a jeśli mnie ojciec wydziedziczy... żyć będziemy z mojego żołdu."

Otylia spuściła głowę nie mówiąc, i poczęła się oddalać.

„Żegnaj cię, moja narzeczono?—zawołał August, zatrzymując ją po raz ostatni—żegnaj najdroższa, życie moje! Mam adres twojego ojca, w Szwajcaryi ujrzysz muie za rok, jeśli nie prędkiej.”

Otylia zaledwie miała siłę wymówić słowo pożegnania i znikła, rzucając ostatnie spojrzenie na Augusta.

III.

Rok przerwy nie nie znaczy w życiu ustalonym; kiedy sny nasze się urzeczywistniają, kiedy skończą się próby, kiedy nakoniec niemamy się już czego obawiać, ani nie wyczekiwać w życiu z téj strony grobu naszego. Ale dla serca które czeka i cierpi, ileżto smutnych godzin do przebycia! Ile dni boleści, ile nocy bezsennych! Obdarzona gorącą duszą a wątłym ciałem, Otylia Berthal nie mogła bezkarnie przenieść téj okrutnej próby. Przebywszy kilka miesięcy w Szwajcaryi, przyjęła nowy obowiązek. Po roku kiedy wróciła do domu na wakacje, jej matka uderzona została raptowną zmianą jaka zaszła w całej postaci téj młodej paupienki. Jednakże wypoczynek, powietrze ojczyste i czułe starania ożywiły wkrótce ten piękny kwiat pochylający się już na swój łodydze.

Zbliżył się dzień 28 lipca. Pomimo całe usiłowanie Otylia nie mogła nie myśleć o tym dniu który spoczywał na dnie jej duszy, jako uroczystość mająca nadać jej zupełnie nowe istnienie: dnia 28 lipca August Bryant stał się pełnoletnim. Nieszczęśliwa dziewica, mówiąc prawdę, nie wiele pokładała nadziei w tém zdarzeniu; nie zdawało jej się aby pełnoletność młodego oficera mogła zmienić usposobienie rodziców; lecz ileżto rzeczy nieprzewidzianych w tém życiu, ile nadziei młodość posiada, a August tak solennie przyrzekł połączyć się z nią, że Otylia czekała choćby tylko dlatego aby go pożegnać na wieki.

Zadnego listu nie było cały dzień. Mimo wielkiej niecierpliwości, Otylia wypełniała swoje zatrudnienia domowe jak za zwyczaj; pomagała matce w gospodarstwie, zagrała sonatę Mozarta staremu ojcu, i przeczytała mu nim zasnął długi artykuł z Gazety Zurychskiej. Położywszy do snu swą piękną głowę na poduszce, młoda dziewica pomyślała że nie był znów tak bardzo zastraszającym brak wiadomości, która według wszelkiego prawdopodobieństwa wyprawioną była w sam dzień 28 lipca, i że zatem trzeba jej dać czas do przybycia. Ten jednak termin odkładany aż do ostatnich krańców, nie zmienił nic w położeniu. Miesiąc wakacji przeszedł nie przynosząc żadnej nowiny.

Mówią iż nadzieja nigdy nie zamiera. Jest to jednym z dobrodziejstw człowieka. Otylia więc wierzyła wbrew nadziei nawet, gdyż ściskając swą matkę w chwili odjazdu, rzekła do niej pocichu:

— Jeśli matka odbierze list pod moim adresem, to proszę mi go przesłać.

Biędna matka westchnęła, odgadując że był jakiś tajemny stosunek między listem oczekiwany a bladością często zjawiającą się na twarzy jej córki.

Cztery lata upłynęły, co uczyniło pięć, od dnia w którym pożegnała się z Augustem w bukowym lasku w Woodbridge Hall. Zawód nauczycielki zaprowadził ją w dom pewnej rodziny szkockiej, która należała do najszanowniejszych w hrabstwie Perth. Miała ona wtedy lat dwadzieścia dwa. Świeżość młodociana znikła pod wpływem długiej goryczy, zawodu ostatecznego i powszednich trudów; ale wyraziście jej oczy i słodycz fizyognomii nadawały Otylii wielki jeszcze powab. Ceniona przez państwo Ashburnot, rodziców swych wychowanek, byłaby niczem nie zamięszała zadowolenia domowego, gdyby wąłosć jej zdrowia, objawiająca się uporzeczywym kaszlem, nie dawała im czasem powodów do niepokoju,—wcale zbytęcznego, jak mówiła młoda nauczycielka, gdyż kaszel ten był mało znaczącą chroniczną doległiwością. Jej spokój niczem nieprzerwany, jeduostajny humor, czasami nawet miła wesołosć towarzysząca jej słowom i czynom, wykazywały w niej duszę równie szlachetną jak prostą, a przynajmniej obcą wszelkim wstrząśnieniom serca.

W tym jednak dniu gdy ją zastajemy w Szkocyi, ta pogoda która stała się przysłowiową w rodzinie Ashburnot, dziwniej doznała zmiany. Od dwudziestu czterech godzin Otylia zdawała się zostawać pod wpływem jakiegoś gwałtownego wzburzenia. W przeddzień wieczorem, zamiast zejść do salonu, kazała powiedzieć że jest oierpiącą i zamknęła się w pokoju. Nie ukazała się i na śniadanie; następnie w godzinie przechadzki, towarzyszące jej uczennice uważały że z twarzy wyglądała tak jakby po długim płaczu.

Za powrotem z przechadzki, pod pozorem słabości która zmuszała ją wrócić na świeże powietrze, powiedziała swym uczennicom aby na nią czekały w pokoju przeznaczonym na lekeye.

Widziano ją oddalającą się w kierunku grobli położonej nieopodal od dworu.

IV.

Biędna Otylia! Sądziła że rana jej zablizniła się, a ona tymczasem stała otworem i krew sączyła z niej straszniej niż kiedykolwiek.

Przypadek nieprzewidziany, jeden z tych trafów dziwnych, które czasem tak wielką rolę grają w życiu ludzkim, zamięszał spokój w którym niby sobie upodobała, i rzucił na łono burz śmiałą żęglarkę.

Powiedzmy wkrótkości co się zdarzyło.

Było to w porze myśliwczej, w czasie gdy rodzina Ashburnot przyjmowała u siebie liczne i świetne towarzystwo. Pomiędzy myśliwcami przybyłemi w przeddzień do Ashburnot-Castle, był jeden którego Otylia wcale nie spodziewała się tam spotkać. Przechodząc przez wielką salę zamkową, zadrżała na imię Augusta Bryant, wymówione przez jednego ze służących. Zaledwie zdolała umknąć niespostrzeżona, i ukryła się w swym pokoju umierająca ze wzruszenia. Ale widziała ona dobrze swego dawnego wielbiciela, widziała jak wypiękniał, jak te pięć lat dodane do jego młodości uwydatniły jego mężki wdzięk, i od tego czasu przestała żyć.

Co czynić? Zejść się z nim w obec świata jako z nieznanym, gdy ten człowiek zaprzysiągł jej wieki miłość? Nie śmiała się narażać na takie niebezpieczeństwo. Oddzielić się od niego, zamknięta w zupełnej samotności przez cały czas jego pobytu; nie dać mu poznać że on mieszka pod tym samym dachem co i ukochana niegdyś przezeń Otylia? Było to może najrozsądniej ale zarazem najokrutniej; środek ten na całe dalsze życie gorzkie zostawiał jej wspomnienie.

Pod wrażeniem tych uwag, nie wiedząc czego się trzymać biegła jak szalona w stronę małej rzeczki przeryniającej jedną z tych przestrzeni błotnistych tak zwyczajnych w Szkocyi.

Widząc jej wzruszenie febryczne, możnaby sądzić iż rzuciła się w przepaść tej czarnej wody kręcącej się u stóp wysokiego tartaka do którego pędziła z pośpiechem. Mrok nagle zapadał; drzewa, krzaki, nierówności gruntu, wszystko to pogrążyło się w jakąś szarą nieoznaczoną barwę.

Wtém, Otylia usłyszała krzyk, który już, jak jej się zdawało, po dwakroć uderzył jej uszy. Tym razem ozwał się on z podwójną siłą. Otylia zadrżała. Widocznie nie było to wołanie pasterza, ani budnika. Był to raczej głos rozpachy człowieka w niebezpieczeństwie. Pobiegnęła natychmiast w kierunku rzeki. W miarę jak się zbliżała, grunt stawał się miękkim i ruchliwym, niezadługo pogrążyła się w mule aż po kostki. Nagle przypomniała sobie, że ta część wybrzeża bardzo była niebezpieczną z powodu błotnistej gruntu, i że podobno w tych stronach miał się znajdować słup odcinający trzęsawiska od gruntu twardego. Chcąc się zorientować spostrzegła po za sobą ogromny kloć drzewa do połowy zagrzeźnięty w trzcinie. Wróciła natychmiast tą samą drogą dziękując niebu za wczesne ostrzeżenie; następnie zmieniając kierunek, szła z biegiem rzeki aż do miejsca gdzie wybrzeże tworzyło załamek, zostawiając całkiem zajęta przez trzęsawisko. Tam się zbliżywszy usłyszała znowu krzyk, lecz już zbliżony i bardziej rozpaczliwy. Otylia przyspieszyła kroków. Spostrzegła wkrótce jakąś postać ludzką do połowy w mule pogrążoną po nad roślinną zielonością, która zdradliwie okrywała powierzchnię trzęsawiska. Nieszczęśliwy oddalony był od niej zaledwie na cztery lub pięć kroków, twa-

rzą do brzegu zwrócony, z kął oczekiwał ratunku. Zapadłszy mimo woli w ruchome bagno, zapóźno poznał niebezpieczeństwo, i napróżno usiłował wydobyć się z tamąd. Ile razy próbował wyswobodzić się, powierzchnia zielonym trawnikiem ubarwiona, podnosiła się jak płyn błotnisty a on wpadał coraz to głębiej.

— „Nie ruszaj się, stój spokojnie, w imię Boga!—wołała młoda Szwajcarka—idę ci na pomoc.”

Instynktem i świadomością miejsce wiedziona Otylia, wsunęła się wzdłuż krzaków, następnie osmieliwszy się, postawiła nogę na kawałeczku ziemi dosyć jeszcze twardej i dopadła stariej wierzby, której konary zwieszały się ponad trzęsawisko.

Wtedy, otoczywszy pień jedną ręką, drugą podała nieznanemu, który ją schwytał z siłą ginącego.

W tej samej chwili spotkały się ich oczy. Otylia wydała krzyk stłumiony: poznała Augusta Bryant.

Młody Anglik patrzył na nią okiem człowieka stojącego w obec śmierci, wzrokiem błędnym i obłąkanym... Następnie raptowny rumieniec okrył mu licę...

— Otylia!...—zawołał głosem stłumionym. Zasłużyłem na karę: Bóg jest sprawiedliwy.

— Podziękuj Stwórcy że mnie tu znajdujesz—odpowiedziała dziewczica, zapominając o wszystkiém w obec rzeczywistego niebezpieczeństwa. Za pomocą mojej ręki może się pan dostać aż do mnie... Spróbuj... O Boże mój! zbaw nas, zawołała, czując się pociągniętą ku przepaści.

Siła ciężenia wywierana na nią przez Augusta sprawiła iż ręka otaczająca pień drzewa raptem opadła. Byłaby się Otylia bez wątpienia pograżyła w przepaść, gdyby nie to, iż lewą ręką schwyła gałąź wierzbiny, August zaś, jeszcze się więcej zanurzył w trzęsawisku.

— Nie, to napróżno; jestem zgubiony... oh! jakąż okropną śmierć.

— Nie, Auguste, pan nie umrzysz. Stój spokojnie; nim pomoc przyjdzie, ja cię podtrzymywać będę. Gdzie są towarzysze polowania?

— Muszą być co najmniej o milę ztąd. Trzymają się drugiego brzegu rzeki. Oszalałem, czy co, żeby zapędzić się aż tutaj!

— To nie, wołaj pan tylko, może nareszcie ktoś usłyszy.

Zebrał siły żeby wołać i krzyczeć ciągle. Gdy ustawał, Otylia powtarzała ten krzyk tonem przeciągłym i złowrogim. Głosy ich ginęły w pustej przestrzeni. Słuchają, sądząc że usłyszą jaki szelest w oddaleniu; ale nie, nie, to plusk wody spokojnie opodal płynącej, i świst wiatru między gałęziami.

Powoli, minuta po minucie, ciało nieszczęśliwego pograżało się; nielitościwa otchłań otwierała już swą paszczę.

Otylia czuła, iż ją siły opuszczają; zimny pot okrył jej twarz. Sądziła iż jej się ręka złamie. Spróbowała puścić gałąź i ukłękła obok Augusta, aby go podtrzymać obiema rękami, co

jój się powiodło; lecz szlachetna dziewczica, pozbawiona sił i energii, czuła że zdrętwiałe jój członki nie stawiają już oporu w pogrążaniu się w przepaść. August zrozumiał to.

— Otylio!—zawołał—dość jednej ofiary: porzuć mnie.

— Nie mów tak, panie Auguste. Bóg nas może zgubić oboje, lecz zarówno może nas ocalić. Módlmy się.

I w cudownym uniesieniu, dziewczica patrzyła w sklepienie gwiazdami zasłane, jak niegdyś przy ostatniem ich widzeniu.

Jakąż to różnica od owego wieczoru na łąkach w Wood-bridge-Hall.

— Oby cię Bóg błogosławił, Otylio! szlachetna dziewczico! takąż to twoją zemsta!...

Nastąpiła chwila milczenia, przerwana szmerem który usłyszeli między gałęziami.

Niestety! był to tylko ptaszek szukający na noc schronienia dla siebie.

Nastąpiło nowe znużenie. Augustowi pozostała już tylko głowa i jedna ręka ponad bagniskiem. Ręka podtrzymująca go opada bezsilnie. Dysząca, zrozpaczona Otylia czyni ostateczne wysilenie ze swego więzienia, aby śmierci wydrzczyć ofiarę, a jój płacz i łkanie rozlegają się echem żalobnym po całym wybrzeżu.

Słuchajcie! Czy to echo obiega? O! nie, tym razem najwyraźniej odzywa się głos ludzki... a po nim drugi już więcej zbliżony.. Następnie po nad ich głowami pokazują się latarnie na wzgórzu.

— Gdzie jesteście?

— Tutaj, odpowiada August nadzieją do życia powrócony. Tu, śpieszcie się, bo będzie zapóźno.

Przybiegają, rzucając mu liny. Jeden z przybyłych unosi Otylię omdlałą, inni wyciągają nierozważnego myśliwca z przepaści, która tylko co miała go pochłonąć.

Westchnienie pełne radości, będące również oznaką dziękczynienia niebu, wychodzi z ust Augusta, skoro go już sztywnego i trzęsącego się złożyli na ziemi stałej. Podano mu fiaskę z winem dla orzeźwienia, lecz oddajmy mu sprawiedliwość, pierwszą myślą jego była Otylia.

Podbiegł do niej. Młoda panienska prawie bezwładna leżała na ziemi, na ręce się opierając: trzymała chustkę przy ustach.

Przy świetle latarni spostrzegł August krwawe plamy na chustce.

V.

Ostatnia scena naszego dramatu dzieje się w pokoju sypialnym, w którym młoda dziewczica marmurowej bladości, podobna raczej do posągu spoczywa na kanapie pod oknem.

— Czy pan Bryant może wejść?—zapytała uchylając drzwi mała dziewczynka.

— Poproś—rzekła Otylia tak słabym głosem, że zaledwie dosłyszeć ją było można i zaczęła poprawiać fakły białego szlafrocza.

August Bryant wszedł ostrożnie i usiadł przy chorób.

— Lepiej się pani dziś czujesz, nieprawdaż?—rzekł czule i z szacunkiem. Doktor wielką robi nadzieję, a nie potrzebuję pani mówić jak mnie to cieszy.

— Doprawdy? Czegóż on się spodziewa?—zapytała Otylia, zmuszając się do uśmiechu.

— Że pani wkrótce będziesz zdrową: wszystkie zatrważające symptomata już znikły.

— Nie, panie; pan temu nie wierzysz, ani doktor, ani nikt.

— Ach! gdybym temu nie wierzył, jabyłem dostał pomieszania zmysłów.

— Dlaczego?—zapytała, wpatrując się w młodzieńca omdlałym wzrokiem.

— Bo miałbym przekonanie, że ja panią zabił. Czyś nie narażała własnego życia aby mnie uratować?

— Nie mów pan tego i pozwól że ci powtórzę to, com już raz powiedziała w krytycznej chwili: nie przestanę dziękować Bogu za to że mnie posłał ku tobie; większego szczęścia pragnąć nie mogłam.

— Ty jesteś zadoskonalą dla tego świata, Otylio! Nie mogę bez śmiertelnego zawstydzenia wspomnieć o przeszłości. Ale—dodał z niedostrzeżonem wysileniem i tekkiem drzeniem głosu: jestem gotów naprawić mój błąd, jeśli mi go pani przebaczyć zechcesz.

Na te słowa biedna dziewczyna ani uradowała się ani zadziwiła: w oczach jej było tylko cierpienie.

— Jak pan długo kochałeś mnie po naszym rozłączeniu?—zapytała.

— Oh, ja ciebie zawsze kochałem, Otylio! Okoliczności tylko nie dozwoliły mi przekonać cię o tém. Byłem bardzo niešťęśliwy po twym odjeździe. Tworzyłem mnóstwo projektów dla zbliżenia się do ciebie. Następnie otrzymałem nominację na oficera, zmuszony byłem odpłynąć na Malte. W tém obozowém życiu, wiadomo, obowiązki i roztargnienia kolejno wyczerpują człowieka. Ale nigdy cię nie chciałem opuścić, Otylio, i przyrzekałem sobie odszukać cię prędzej czy później. Wypadki odciągały to ode dnia do dnia. Ojciec mój umarł. Żałoba, interesa zagmatwane, matka która potrzebowała obecności mojej... Cóż ci mam więcej powiedzieć? Czas upływał. Sądziłem, że może zapomniawsz o mnie. Uznaję przebóg! niewdzięczność moją. Przebaczysz-że mi? Nie odepchniesz mnie od siebie? Uczynię wszystko aby cię uszczęśliwić, chociażem takiego losu niegodzien.

Kończąc te słowa August, ujął rękę Otylii i trzymał ją w swych rękach, a oczyma wyzywał o odpowiedzi.

— „Zapóźno już, mój drogi—szepnęła skłaniając ku niemu ociętałą głowę. Mało mi już czasu do życia pozostaje. Zresztą, przebac mi, panie Augustcie, to co ci powiem: gdybym nawet mogła wyzdrowieć, nie zostałabym twoją żoną.

— Dlaczego? — zawołał August tonem zadziwienia—więc mnie już nie kochasz?

— Owszem, ja cię kocham, jam kochała cię zawsze od chwili gdy ci to powiedziała na łące w Woodbridge-Hall; ale ty mnie nie kochasz.

— Ja ciebie nie kocham?—zawołał młodzieniec z prawdziwem wzruszeniem. Ach, okrutną jesteś Otylio! Jabym nie miał kochać ciebie, mojego anioła stróża! której nadludzkie poświęcenie ocaliło mnie od najokropniejszej śmierci!

— Przebac mi raz jeszcze; ty mnie kochasz przez wdzięczność, jako kobietę umierającą. I masz słusność, mój Augustcie, bo maie tu niedługo. A pozwól mi przytém dodać jeszcze i to, że wiem więcej, niż się spodziewasz. Pani Ashburnot powiedziała mi wszystko. Ty kochasz młodą lordównę, piękną i godną ciebie, z którą wkrótce masz tu się spotkać!...

— Ach, jęknął przerażony oficer, niema jeszcze nic stanowczego; jest to tylko daleki projekt, i!...

— Nie wypieraj się, mój przyjacielu; co do mnie, jestem z tego bardzo uszczęśliwioną. Nie uwierzysz, jak modliłam się za ciebie i za nią, obyście ręka w rękę szli razem ku życiu wiecznemu, w którym połączymy się wszyscy. A jeżeli dusze tych co żyli wracają na ten świat, to ja wrócę aby czuwać nad wami i nad waszemi dziećmi, i aby waszém cieszyć się szczęściem.

Gdy Otylia wymawiała te słowa, August głęboko wzruszony zakrywał sobie twarz obu rękami.

— Otylio!—zawołał szlochając—zawiniłem bardzo. Jeżeli coś może poprawić mnie w przyszłości, to chyba wspomnienie takiego jak ty anioła.

— Nie; powiedz raczej wspomnienie śmierci, której zbliżka w oczy zajrzałeś. Bóg widząc żeś nie dojrzał jeszcze do przyszłego życia, pozostawił cię na świecie, aby ci dać czas do poprawy.

Otylia spoczywa na cmentarzu w górach szkockich: August przechadza się często z żoną i dziećmi po łąkach Woodbridge-Hall.

M. K.

MORMONI.

We wszystkich doktrynach mistycznych połączonych z religiami najdawniejszej starożytności, znajdujemy smutną i straszną jedność co do głównych początków i zasad, jakoto: ukarania pierwszego grzechu, potrzeby expijacyi, pracy i trudu nałożonych człowiekowi, wspomnienia jakiejś straszcnej katastrofy w której ród ludzki zaginął.

Ztąd pochodzi że wszystkie rody ludzkie chciały zatrzyć pierwotną plamę. W miarę organizowania i rozwijania się społeczeństw, wyłonił się naturalnym porządkiem rzeczy podział na kasty (mianowicie w organizacyi pierwotnej), oparł się on po części na podziale naturalnym, na podziale wyływającym z nierówności ludzkich intelligeneyi. W zasadzie podział ten był moralny i religijny, bo opierał się na *inicjacyi* religijnej. Z wpływem wieków, jakkolwiek dwie te zasady kardynalne rozmaicie wzrosły, lub rozmaicie się zatarły, pozostały jednak na dnie dwa dogmaty; ten mianowicie w religii: że w przyszłym życiu człowiek otrzyma nagrodę lub karę za swe tutaj postęпки na ziemi; i ten drugi społeczny, którego się najzagorzalszy republikanin nie wyprze: że niema ludzi równych sobie zupełnie, bo rozwój umysłu, talent, geniusz, zasługa, zawsze stworzą nową hierarchię. Nagle, w połowie XIX wieku, w środku przesiąkniętej nowymi ideami Ameryki zjawia się lud, naród, garstka, kasta czy sekta, która ustrojem swoim społecznym czy religijnym obala z gruntu dawne historyczne podstawy, która służąc za nieznaną dotąd i nowy *experiment*, w przyszłym życiu widzi bezwarunkowo szczęście i wesele, a w tém wyrzeka się odznaczeń i wyższości, poddając się kornie, fanatycznie pod wolę i wyroki jednego naczelnika wybranego ze swego grona. Sekta ta zwie się Mormonami.

Wychodząc już choćby ze stanowiska nauki historycznej, i z interesu ogólnie ludzkiego; nie może podobne zjawisko nie obchodzić myślącego człowieka, jakkolwiek odgraniczonego od miejsca wydarzeń tysiącem mil, zupełnym zabezpieczeniem od

możliwości szkodliwego wpływu, i odmiennością tradycyji religijnych i narodowych. Mormoni, ci odszczepienicy bieżącego stulecia, rzucający rękawicę ustalonemu dotąd porządkowi, skrytykowanemu już fermentowi dziejowemu, przyjętemu już i przyznanemu porządkowi świata więcej i mniej cywilizowanego, to zawsze rzecz godna uwagi i zastanowienia, to zawsze moment który nie może przejść mimo wiedzy poczuwających się do tego, iż są ogniwami jednego wspólnego łańcucha ludzkości. Z tej wychodząc zasady, nie wahamy się podzielić z czytelnikiem, krytycznym poglądem na tę sprawę, popartym najdokładniejszymi i najnowszymi źródłami jakie się zebrać dało; tém mniej się wahamy ze rozwieleniem się Mormonów w środku Ameryki potrąca o kwestyę polityczną nie małego znaczenia—o czem pomówimy obszerniej w samym ciągu opowiadania.

I.

Józef Smith, założyciel sekty Mormonów urodził się w roku 1805 w Stanie Vermont, hrabstwie Windsorskiem. Zdaje się, że był wizyonerem, lecz przedewszystkiem oszustem. Ojciec jego miewał także wizye, jak równie i matka która uważała się za cudownie wyleczoną z śmiertelnej choroby, skutkiem czego tłumaczyła Biblię według swego widzi mi się, miewała objawienia, rozgłaszając, że wszystkie religie fałszywą idą drogą. Otóż i dosyć przygotowań, ażeby zamącić głowę dziecka marzydłami. Nadto, młody Smith nie miał ani ukształcenia, ani zdolności sądenia rozsądnie. Trochę czytał, pisać i rachować, to było wszystko, czego go nauczono. Utrzymywał się z ręcznej pracy za najmem dziennym, a ożenił się z córką restauratora. Umysł zapalał się łatwo, gdy przy tak lichem ukształceniu, ma się tylko do czynienia z Biblią, do której jako komentarz użytą jest polemika gadatliwych dzienników, wrzaski klójących się sekt, i natchnienia słabej własnej głowy. Nadto trzeba tu wziąć na uwagę stan umysłów w Ameryce: uczeni i literaci tamtejsi tworząc małe kółko dyletantekie, stoją odosobnieni bez wywierania jakiegobądź wpływu na opinię publiczną. Amerykanin jest niepodległym, więc stolarz stawia się na równi co do mądrości z historykiem, krytykiem, filozofem czy teologiem z profesyji. Wrota stoją otwarte na oścież wszelkim innowacyom religijnym. Obliczono w samym Nowym-Jorku sekt przeszło 150, a nie obliczono jeszcze wszystkich. Tkwi już w rasie pewien zarys mistycznego szału; kupcy, plantatorowie, negocyanci, słowem ludzie najpozytywniejszych zatrudnień, ludzie biegli przedewszystkiem w sztuce rozmnażania dollarów, schodzą się na zgromadzeniach zwanych *shoutings*, gdzie prawią kazania, płaczą, modlą się, czują zetknięcie się z duchami, i spowiadają swe grzechy publicznie a z wielkim jękiem. Najgłębiej poruszył Smitha tak zwany *revival* odbyty w Manchester

wtedy gdy miał lat 15. Przypatrzył się tam najrozmaitszym sektom, jak dyskutowały ze sobą, odprawiały kazania, jak się nawzajem podniecały. *Revival* na które zjeżdżają się z bardzo daleka, są to metody rozpalania się i podniecania. wywołujące często ekstazy, zawsze prawie entuzjazm, często zaś choroby umysłowe. Smith wyszedł ztamtąd zmięszany, jakby opętany potrzebą religii a niewiedzący którą wybrać. Wkrótce potem schronił się do lasu, i miał widzenie. W trzy lata potem, miał drugie. Objawienia rozpoczęły się na dobre, tak że jeżeli podaniom wierzyć można, miewał je codziennie w chwili każdego ważnego wydarzenia. Trzeba się wyrzec wszelkiego sceptycyzmu i krytyki, ażeby pojąć co się dzieje w podobnych głowach. Przypuszczalnie sądzić można, że popadł w podobny stan co Mahomet. Nieuk, uparty, inagnacyjny, przejęty był jednak wielką ideą, powtarzając ją zaś często innym, wmówił ją nareszcie w siebie i nie umiał już odróżnić kłamstwa od prawdy. Podobnie dzieje się z aktorem, który przejęty swą rolą, rozplywa się wreszcie we łzach nieudanych. Istotnie też, patrząc na jego życie i śmierć, potrzeba wierzyć, że sam uwierzył w bajkę którą wymyślił.

Wymysł ten czy bajka, zdradza się najgrubszym szarlatanizmem z jakim kiedykolwiek ośmielono się wystąpić. Takiego fałszerstwa niema nawet w Koranie. I tak: w r. 1827 anioł objawił nowemu reformatorowi, że Ewangelia napisaną jest na blaszkach złotych ukrytych na wzgórku Cumorah, razeni z parą okularów diamentowych, z pomocą których można je odcyfrować i przetłumaczyć. Prorok udał się tam, widział je; w cztery lata potem anioł dozwolił mu blaszki zabrać, które jednak już w roku 1838 ukrył napowrót dla przeszkodzenia proffanom pragnącym sprawdzenia. Dalej przekopował pismo owych blaszek, które jest po prostu pismem fantazyjnym, naśladowującym niezle kalendarz meksykański, i wziął się do przekładu; lecz ponieważ sekretarz jego skradł mu 100 pierwszych kartek przekładu, przyszło mu przeto natychmiast rozsądne objawienie nakazujące mu rzecz tworzyć na nowo, ażeby znów profani nie odważyli się porównywać obydwóch kopii. Po ukończeniu przekładu, udał się z trzema przyjaciółmi do lasu, gdzie mu znowu anioł objawił, że owe blaszki pochodzą od Boga, i że tekst jest ścisły i dokładny. Po takim zapewnieniu, podpisali wszyscy certyfikat, który później podpisało innych ośmiu świadków. Prorok postąpił ostrożnie, jak mało który notaryusz. Nareszcie ukazała się księga; poprzednio tylko nowe objawienie nakazało jednemu z uczniów spieniężyć cały majątek na zapłacenie kosztów druku. Teraz pytanie. co zawiera ta księga, czém ona jest właściwie? Jest ona opowieścią fantastyczną, obejmującą roczniki dawnych ludów Ameryki, którzy jak wiadomo, pochodzą od Hebrajczyków osiedlonych tamże po zbudowaniu wieży Babel i po niewoli Babilońskiej. Według Smitha napisaną została około r. 420 przez Mormona i zakopaną na wzgórzu, gdzie ją właśnie znalazł w 1400 lat potem. Rzeczywiście trudno o kompilację

bardziej płaską, pospolitą, i luźniejszymi zapelnioną anachronizmami, sprzecznościami i błędami gramatycznymi, a co gorsza to, że nie jest ona nawet oryginalną ale wziętą z fantazyi Salomona Spaldinga, który ją wymyślił dla zabawki w r. 1809. Wygląda ona więc na przeróbkę z jakiego starego romansu.

Ogromna ilość objawień stała się dalszym komentarzem i dopełnieniem, aż jeden z uczniów Orson Pratt ułożył całość w system. Jest on taki: „nie ma ducha, wszystko jest materją, każda cząstka materji obdarzona jest siłą i rozumem, i istnieje po całą wieczność. Najintelligentniejsza (cząstka) która jest Bogiem Ojcem, uorganizowała inne. Pod przestworzami Boga Ojca jest wiele innych bogów, którzy stancwią władzę najwyższą i ulepszą światy. Człowiek jest jednym z członków tój wielkiej familii. Jest on zaszczipiony w niebie przez Boga i na Jego podobieństwo. Tam otrzymuje pierwsze swe wychowanie, tam cieszy się krewnymi niebiańskimi. Ztamąd przysłany na ziemię, gdzie przywdziewa powłokę śmiertelną. Wyszędłszy z tego ciała, wchodzi w świat trzeci, który jest światem duchów. Nareszcie powraca do nieba, zaopatrzony ciałem wiecznym z mięsa i kości, z pomocą którego, je, pije, kocha się, działa, myśli i używa wszystkiego, czego można użyć. Ażeby człowieka doprowadzić do tego stanu doskonałości, trzy dano objawienia: Mojżesza, Chrystusa i Smitha. Tamte były przygotowawcze, to stanowcze. Celem ostatniego jest „złączenie wszystkich sekt węzłem miłości.”

Pomijamy dalsze wywody i przepowiednie co do zmartwychwstania np., które według Smitha ma nastąpić w r. 1890, a które chyba o tyle jest ciekawem, że wszystkie narody staną się wówczas siostrzycami, że wszędzie będą koleje żelazne i telegrafy, że świat cały będzie miał jedną stolicę główną, jeden rząd, jedną świątynię, jedną wiarę i jeden chrzest.”

Marzydła te przypominają cokolwiek czasy pierwszej epoki chrześcijaństwa, w której każdy tworzył sobie wiarę z marzenia.

W Mormonizmie przeto możnaby się dopatrzeć materjalizmu XVIII wieku, śladów panteizmu niemieckiego, zarodków socjalizmu, spirytyzmu, krótko mówiąc, bardzo wielu ogólników wypowiedzianych z emfazą, a mających pretensję do dogmatu. Doktryna ta, jak słusznie powiada jeden ze znakomitych krytyków Mormonizmu, jest „religią szweców i mularzy wychowanych na Biblii, a trzymających się za pośrednictwem gazet na wysokości nowoczesnego ducha. Bóg obleczony ciałem, dobrze się im wyobraża. A potem, jest to wielce przyjemnie mniemać, że się jest świętym, że się będzie panować tysiące lat na ziemi, że się zakończy życie w otoczeniu kobiet i wielu innych przyjemności.

Smith zaczął od nawrócenia swych braci, swego ojca i matki;—z pięcioma wiernymi ustanowił kościół w d. 5 kwietnia 1830 roku. Dnia 1 czerwca tegoż roku było ich już 30-tu, wielu popadło w ekstazę, prorokowało, oglądało otwarte niebiosy; nawrócenia stawały się liczniejsze, uczniowie rozchodzili się na wszystkie strony, wieścić nową Ewangelię niewiernym.

W następnym roku, dla szybszego rozszerzenia swej wiary, założył dziennik i wydał *Księgę objawień*. Przełożył na swój sposób Nowy Testament, obrał w hrabstwie Jackson miejsce na przyszły Syon, ustanowił zakon Melchizedecha, przepisał budowę świątyni. W d. 22 czerwca 1833 r., dar biegłości w językach objawił się po raz pierwszy między świętymi, (tak się przezwali reformatorowie). Przepędzili noc całą na rozmowie językami których nigdy przedtém nie znali. Dar ten dwojakiego był rodzaju: jedni mówili nie rozumiejąc tych języków, drudzy rozumeli je niemówiąc nimi. Równocześnie, objawienia wzmogły się. Smith kupił egipski papyrus, tłumaczył go, znajdując w nim autentyczne pisma Abrahama i Józefa. Uczniowie jego byli tylko gotowymi do ofiar, że już w r. 1836 mógł ukończyć świątynię Kirtland. Kosztowała go 40,000 dolarów. W dniu tym ukazali mu się Mojżesz, Eliasz i Elizyusz oddając mu klucze kapłaństwa. Kilku uczniów widziało, jak aniołowie podczas ceremonii zasiedli pomiędzy nimi. Przez pięć dni trwały te extazy i rozkosze duchowe. Nowa religia szerzyła się i ustalała, a Smith podtrzymywał ją dwojakim talentem: organizatora i zręcznego negocyanta. Obrął siedzibę w *Nauvao*, które wówczas składało się z 6-u chałup, gdy już w rok potem składało się z 250 domów mormońskich. Cudu tego dokazały: zmysł praktyczny Amerykanina i jego obrotność. Reformator otrzymał od rządu Illinois kartę inkorporacyjną i przywileje czyniące Nauvao miastem wolnym. Teraz stworzył on hierarchię, zebrał milicję, założył towarzystwo rolnicze i przemysłowe, przewodniczył podczas obrzędów, wymierzał sprawiedliwość, postępował za zgodą ogółu, jak prawdziwy naczelnik państwa. Mieszkańcy tego kraju rodzą się organizatorami. Poczęto się z nim rachować. Generał Bennets upraszał go o poparcie jego kandydatury na prezydencję kraju Illinois, i nazywał go nowym Mahometem, wyższym od tamtego i od Mojżesza. W r. 1844 miał kazanie w obec 20,000 słuchaczy. Ośmielił się nawet pretendować o najwyższy urząd w Stanach Zjednoczonych, posławszy w tym celu w różne strony Stanów 244 misyonarzy, i ogłosił program reform, który nieoznaczonością przyrzeczeń, oryginalnością cytat chaldejskich, elastycznością tyrańskich patryotycznych i liberalnych, zdolnym był pokusić uboższych duchem, którzy przecie składają większość rodzaju ludzkiego. Do tej godności wyniosło go prześladowanie.

Słusznie powiedziano, że fanatyzm to krzemień: im go więcej uderzać, tem silniejsze daje iskry. I tak w r. 1832 zbito Smitha, oblepiwszy go pierzem i smołą, zabawka ludowa praktykowana w Ameryce. W następnym roku, Mormonów z Missouri atakowali sąsiedzi, ci usiłowali się bronić, lecz na żądanie gubernatora, złożyli broń. Wtedy skorzystano z chwili, zabijając ich jak dzikiego zwierza. Ocaleni, uciekli w hrabstwo Clary, lecz i ztąd wyгнаła ich nienawiść publiczna. W Missouri uformowała się liga celem wygnania wszystkich. Rabowano do-

my, męża Amandy Smith i kilkoro jej dzieci zabito w jej oczach. W *Hacons Mill* w 1838 r. ubito 400 osób, a Mormoni postradali wszystkie ziemie które ich kosztowały 20,000 dolarów. Żądali sprawiedliwości i opieki, gubernator odpowiedział im że opinia publiczna jest przeciw nim, a wreszcie kazał uwięzić Smitha. Udano się po opiekę do prezydenta Stanów Zjednoczonych Van-Burena. Ten odpowiedział im: „wasza sprawa słuszną jest, lecz nie mogę nic wam dopomóc, inaczej straciłbym głosy prowincyi Missouri.” Mormoni przeto wyemigrowali z Illinoia i wtedy założyli miasto Nauvoo, gdzie wzrosł w potęgę. Wtedy także oburzenie publiczne przeciw nim wzmogło się do wysokiego stopnia. Trzydzieści ośm razy stawiano Smitha przed trybunałami, a zawsze uwalniano go dla braku dowodów. Nienawiść nieprzyjaciół potężniała tém bardziej, że Mormoni nazywali się „dziedzicami wybranymi tej ziemi, a świętymi w przyszłości.” Z pięcioma armatami ruszono na Nauvoo. Gubernator chcąc zapobiedz wojnie domowej, uwięził Smitha. W dniu 26 czerwca 1844, setka ludzi przebranych i uzbrojonych obległa drzwi więzienne; straż uprzedzona, wpuściła napastników. Smith wypalił do wpadających z rewolweru, i rzucił się ku oknu chcąc tamtędy uciec; lecz w tej chwili trafiony kilkoma kulami spadł z wysokości 20 stóp krzyżując: O Panie, Boże mój!

II.

Gdy się w mieście rozeszła wieść o śmierci proroka, przywdziano ogólną żalobę. Mormoni ze łzami i jękiem, poszli szukać ciała swego męczennika, przechowawszy je potajemnie z obawy zemsty wrogów. Na meetingu w r. 1845 postanowili kraj opuścić, czując że tu nie ma dla nich ni spoczynku, ni opieki.

Zanim opowiemy przygody wędrowki, jakiej drugiej nie ma sobie równej w historyi, nie możemy się wstrzymać na tém miejscu od kilku uwag.

Nie łatwiejszego jak szyderstwo i obrzucenie śmiesznością tych sekciarzy. Szarlatanstwo niezgrabne, oszustwo pospolite, wymysły komiczne założyciela, zdolne są rozśmieszyć dzisiejszy umysł trzeźwy, lub oburzyć ultra wiernych którejby odnogi z ustalonych religii chrześcijańskich. Rękopism Spaldinga, miecz Labana, mumia egipska, aniołowie odwiedzający—to baśnie dobre dla małych dzieci lub prostaczków. Podobnie niektóre instytucje Mormonów polityczne i społeczne obszerne dają pole do żartu i komicznej interpretacyi; lecz przyznać trzeba, że jeżeli życie i czyny reformatora odkrywały słabą stronę nowej sekty, to śmierć jego stała się jej stroną silną i wzmacniającą. Na szczęście, nie żył on tak długo, iżby przygody jego życia były powszechnie znane, iżby słowa jego przeciwników: „patrzcie na jego twarz bezwstydną, czyż w takiej może odbić się coś boskiego” wpływowo podziały mogły. Smith, przeczuwając instynktem

sekiarza, że ziarna nowej nauki najlepiej rozplenią się we krwi męczenników, wchodził umyślnie i ustawicznie wrogom swym w drogę. Trzymał się on zasady, że chcąc być prorokiem, trzeba być kamienowanym; to też stało się życzeniom jego zadość. Trzydzieści ośm razy sądziły go trybunały, a zawsze uniewinniły; w tém już tkwi próbka jego zręczności, bo każde przesładowanie zwiększało szeregi prozelitów.

W najbliższe otoczenie Smitha wkradła się niezgoda, a wielu z świętych groziło że prorok ich zagłąda potajemnie do butelki. *Rigdon*, towarzysz i współnik który pierwszy ogłosił romans *Spaldinga* jako przekład blaszek złotych, opuścił go i oszustem obwieścił. Inni poszli za jego przykładem, a lubo udawało się zjednać reformie zwolenników żyjących w dalszych okolicach a więc nie znających reformatora osobiście, to jednak rozprzęgłaby się sekta, gdyby mieszkańcy Wschodu nie przekształcili nieumyślnie proroka na męczennika. Banda złoczyńców skutecznie wykonując rozkaz prawa, zabijwszy go, podbudziła ducha całej sekty. Odtąd tysiącami liczone tych, którzy wierzyli misyonarzom, ci zaś, ponieważ prawo nie karało zabójców, rozgłaszali, że niebo pomści się tego morderstwa. Śmierć Smitha, pokryła jego błędy; zapomniano o jego nieuctwie, chuciach, chytrności, łupieżctwie, ambicji, a pamiętano tylko o męczeństwie, które poprawy, wyżej wzniosło nową doktrynę, aniżeli całe życie pełne świętości i poświęcenia uczyniłoby to było w stanie. Przygody takiego proroka, kłócącego się ze swemi apostołami o dług ciągnący nowego kościoła, przekomarzającego się ze swą żoną *Emmą*, która nie chciała uznać doktryny: „żon duchowych;” proroka ustawicznie posądzanego o złodziejstwo i pijanstwo, trafiały się już i w dziejach starożytnych, nigdy jednak nie były natury zdolnej zachwycić praktycznego Amerykanina. Atoli dzięki tak na czasie popełnionemu morderstwu, oszust i złodziej przemienił się w prawdziwego proroka, w następcę—jak głosili uczniowie—*Mojżesza* i *Chrystusa*.

Nowym następcą zabitego był *Brigham Young* pospolitego pochodzenia, ale umysłu bystrego i bardzo zdrowego rozsądku. Za jego rządów ucichły zatargi sekty, co więcej, ścisnęła ona swe zerwane szeregi, skupiła się w jednym celu, podwoiła gorliwość, rozszerzając daleko dzieło swęj propagandy. Za poradą *Younga* uznającego że po ostatnich zamieszkach niepodobna jest pozostać na miejscu, postanowiono opuścić brzegi *Mississipi*, a rozpiąć namioty w jednej z odległych puszczy zachodniego kraju, w którym ziemię deptali tylko czerwono-skórni *Indyanie*, czyli w puszczy amerykańskiej nie należącej do nikogo. Podziwiać już trzeba samą zuchwałą śmiałość postanowienia. Poza łąkami *Zachodu*, poza górami skalistemi, rozciągało się pustkowie skaliste i słone, a tak strasznie nagie i wyschłe, że nie podbudziło nigdy jeszcze niczyjjej chciwości, niczyjjej ochoty przywłaszczenia. Ziemię tę oddał jeden z papieży w średnich wiekach koronie

hiszpańskiej, która znów oddała ją jako rzecz bez wartości republiki Meksykańskiej. Lecz ani Hiszpanie ani Meksykanie nie ośmielili się tak daleko zapuścić, ażeby w końcu posiąść to odłogiem leżące pustkowie. W pośrodku pustyni płynęło przyczajone morze martwe, straszniejsze od *Bahr-Lout* morza Lota. Jezioro zawierało w sobie trzy części wody a jedną soli; przystanie których kończyły tam dochodziły, czuć było zgnilizną, źródła okoliczne dostarczały wody słonawej, a brzegi w obrębie kilkomiłowym oblepione były solą białą. Brzegi te nie mogły iść w porównanie nawet z Ghorem w Syrii; były jeszcze obrzydliwsze, bo miały wodę stojącą, nieczystą i ograniczoną bagniskami i trzęsawiskami, z których wydobywały się nieznośne wyziewy. Na uwieńczenie całej tej nędzy dodać trzeba, że ta puszcza soli, kamienia i zgnilej wody, była jakby zamknięta pasmem gór, na wschód skałami *Skalistemi*, na zachód górami Sierra-Nevada, których szczyty tak wysokie jak Mont-Blanc i wiecznie pokryte śniegiem, zakrywały ją od reszty świata. Czerwonoskórni Indianie waleśający się w tych bagnach w poszukiwaniu korzonków lub robaków, liczyli się do najdzikszych i najbardziej upośledzonych moralnie z pomiędzy swęj rasy. Gromada zubrów, stado mewek, chimara szarańczy ożywiały tę płaszczyznę w rzadkich chwilach. Na wiosnę, gdy cokolwiek zieloności pokryło powierzchnię ziemi, gdy lekki meszek trawy lub kwiatek szalwii leśnej lub kilka zblakłych słoneczników odskoczyło od ziemi, natychmiast jakby za magicznem skinieniem zjawiały się szarańcze, ogalając z listków najchudsza roślinkę, najmniejszą gałązkę. Nie ujrzyć tam było ni znaku lasów, roślina wyrosła przypadkiem, miała barwę i życie chorobliwe; szalwia i słonecznik, obie rośliny nie mogące służyć za pożywienie człowiekowi a które nadto uważano wówczas jako wielce szkodliwe dla bydła, kwitnęły jedynie w tej ziemi niewdzięcznej, wypalonej i przeklętej.

Podróżnicy którzy przebywając po przesmykach gor *Wasath* rzucili okiem na tę okropną krainę, opowiadali że życie tam zamarło, że nie było tam ani zieloności, ani strumyka, ani źródła, a głębizny czy ziemia wydawały sól tylko.

Opuszczono i skazano niejako tę olbrzymią przestrzeń ziemi na osierocenie, ponieważ nie wydając ni drzewa ni świeżej wody, nie pozwalała się wyżywić człowiekowi cywilizowanemu, skąpiąc mu schronienia. Tego atoli zdania nie podzielał Brigham Young. Pamiętał albowiem doskonale, że gdy który z braci jego zapuścił rydel w ziemię, czyto w Kirklandzie, w Ohio, czy w Missouri, czy w Nauvo w Illinoi, zawsze wynadgradzało tę pracę obfite żniwo, a nowy prorok, ufając swym muskularnym członkom, swęj potężnej prawicy, swęj nieugiętej woli o której miał się sposobność przekonać, nabrał wiadomości i przekonania że nawet ta przeklęta dolina nie poskąpi mu zasłużonego żniwa. Young, stolarz z powołania, umiał zrębać drzewo, obciosać polano, zbudować wózek czy taczki, naostrzyć kół, słowem stworzyć tymczasowe schronie-

nie. Wiedział także, że *święci* któremi miał rządzić nie zleknią się ani pracy, ani mozolu. Byli to po większej części rzemieślnicy nowej Anglii lub rolnicy Zachodu, to jest ludzie którzy gotowi byli zawsze przyłożyć rękę do czegoś, nie cofając się przed niczem. Odpowiednia liczba anglików czy francuzów, zginęłaby usiłując tylko przebyć te płaszczyny i te góry; lecz każdy zrodzony w Ameryce rodzi się do wszelkiej roboty, do wszelkiego przedsięwzięcia; jest na zawołanie bankierem, rzeźnikiem, stolarzem, komisarzem, mężem stanu, ujeżdżaczem koni, wszystkiemi czem chcecie. Jest to człek pefen pomysłów, i tak: jako piekarz stawia wam mosty, jako kaznodzieja ujeżdża dzikiego konia, jako adwokat smaży wam przepyszne ciastka.

Brigham Young nie tań przed sobą, że uczniowie jego twardej użyją doli przy przejściu tych wielkich nieurodzajnych płaszczyn, przy spinaniu się na kupy olbrzymich kamieni zwanych gorami skalistemi; ale osądził swoim praktycznym rozumem, że najszersze cierpienia fizyczne nie zwyciężą człowieka który postanowił niebezpieczeństwu zajrzeć w oczy, z herkulesową pracą i mać się w zapasy bez drgnienia, bez obawy śmierci. Przedewszystkiem zaś postanowił dać osobiście przykład. Lekkie wygnańców wózki mogły pomieścić dostateczną ilość żywności i nasion, a jakaś ilość *whisky* wystarczała na poprawienie alkaliów morza gorzkiego wpływającego z przystani. W niezlicznem gronie wygnańców znajdowały się mlęczarki, piekarki, szwaczki i praczki. Dzieciom nawet nie wolno było próżnować, gdyż małe amerykanki umieją doić krowę, a młode yankesy uczą się bardzo wczas powozić.

Oddział pionierów (z których wielu zamieszkuje jeszcze dolinę jeziora słonego) posłano naprzód, celem zbadania drogi i zdania sprawy, poczem Brigham wydał rozkaz pochodu. Natychmiast wszystkie rodziny w Nauvao poczęły robić przygotowania, zamyślając przedsięwzięcie bez wahania podróż, jakiej drugiej historya nie zna od czasów, gdy Mojżesz przeprowadzał izraelitów z ziemi egipskiej. Zgromadzili naprędce zapasy, jarzyny, nasiona, i z tuzin beczulek z wódką. Poczem zaprzęgli swe muły i woły do swych wiejskich wózków. Ci którzy byli zbyt ubodzy aby sobie kupić wóz lub bydlę do dźwigania ciężarów, sporządzili taczki i wózki ciągnięte przez człowieka.

Ażeby uciec przed nieprzyjaciołmi, opuścili Nauvao w pośród najostrejszej zimy, przechodząc Mississipi po lodzie i puszczać się w drogę daleką na mil tysiąc pięćset. Szli okolicą bezdrozną, pozbawioną mostów, wiosek, jednego choćby zajazdu, bez źródeł, gdzie nie ujrzyć było ani bydła, ani łąk, ani wykarczowanego pola. Według opowiadania jednego z wygnańców, pozostawili wszystko tam, z kądem się puścili na wygnanie. Pó zostawili: uprawione pola, ogrody, piękne domy zdobne dywanami, fortepianem i innymi przedmiotami zbytku. Dość powiedzieć, że przestrzeń jaką mieli przebyć, równa się odległości z Londynu do Lwowa, albo jak ktoś obrachował, sześciorakiej odległości z Kairu do Jero-

zolimy. Przestrzenie jakie mieli przebywać, zaludnione były Pawlami, Shoshonami, wilkiem i niedźwiedziem, a przecięte wartkim strumieniem, i rozerwane kawałkami łańcucha gór. Stając u celu podróży, to znaczy po przecierpieniu tysiąca trudów, po przetrwaniu tysiąca niebezpieczeństw, znaleźli się wreszcie nad brzegami morza *martwego* kąpiącego dolinę nieplodną. Nową ich ojczyzną była ziemia skrapiana wodą słoną, było pasmo łąk zasiane gorzkawą solą.

III.

Dzieje tej podróży świętych, tak jak je opowiadają Young, Wells, Taylor i inni starcy którzy brali w niej udział, przeszywają boleścią serca słabe, lecz wzmacniają i hartują dusze odważne i silne.

Wówczas, gdy wypędzono Mormonów gwałtem z ich pól i mieszkań, dnie były krótkie i śnieg pokrywał ziemię gęstymi płatami. Z wyjątkiem trochę zapasów potrzebnych na drogę, niewielkiej ilości zboża i kartofli zachowanych na przyszłe zasiewy, potrzeba było wszystko na łup zostawić, więc domy które sami zbudowali, świątynię która już była na ukończeniu, i groby święto wykopane. Zimno mroziło ręce i nogi dzieciakom. Głód i pragnienie udrećzało młodych i starców. Potrzeba było, ażeby wyszukiwać kroplę wody, przebywać niezmierzone stopy piasku, w których wózki zagłębiały się po dyszel. Zjawisko naśladujące obszar wody, oszukiwało ich często swą złudną powierzchnią, a i wtedy nawet gdy się dowlekli do jakiegoś strumyka lub przystani, mogli się tylko napić wody gorzkiej, która nie była zbyt bezpieczną. Dnie trwały krótko a przeszywały mrozem, tem więcej że nie prócz namiotów z płótna nie chroniło karawany w tych uocach straszliwej zimy. Konie padały w drodze, choroba zaraźliwa wszczęła się między bydłem, tak iż mleko stało się rzadkością, a obawa ażeby mięsa nie zabrakło nazajutrz, nieomylną. Trzeba było pozostawić w tyle ubogich, starców i chorych z eskortą młodych ludzi, bez których trudno się wszakże przychodziło obejść.

Nie na tém ograniczały się straty, jakie wycieńczały siły wygnańców po pierwszym peryodzie wędrówki, gdyż w chwili gdy potrzebowali jak najwięcej rąk zdrowych i silnych, wybuchła wojna meksykańska, a rząd meksykański który nigdy nie czuł się dość silnym ażeby nad tymi wygnańcami rozciągnąć opiekę, nakazał im teraz dostarczyć broni i ludzi. Brigham Young odpowiedział jak przystało na dobrego patryotę, to jest pobłogosławił pięciuset mormonów, kwiat młodzieży, i kazał się im złączyć z armią.

Uszczupleni brakiem tak potężnego zastępu, przeprawili się wygnańcy przez Missouri na promie zbudowanym przez nich samych. Posuwali się naprzód w niezmierzoną okiem pustynię, za-

znacząc ile się dało swój pochód na karcie jeograficznej, rzucając lekkie mosty na wartkich wodach które im zagradzały drogę, zbierając trawę dla bydła i zasiewając zboże dla tych, którzyby tędy przechodzili później. Stawiali tymczasowe chatki w których się mogły przespać dzieci, wydrążali lochy w ziemi, znajdując w nich ochronę przeciw śniegom. Karmili się nędznie, pili wodę niezdrową, dziczyzna jaką się im udało zabić na równinie jako: łos, bawół i antylopa, krew im zatrująca. Prawie całą *whisky*, którą wzięli ze sobą z Nauvoo celem poprawienia wody słonawej, zabrano im w drodze; wysłańcy zaś rządowi powybijali dna u beczulek pod pozorem że wygnańcy przeznaczają tę wódkę dla Indian, którym nie wolno było przedawać gorących trunków. Cztery beczułki uratował Brigham Young osobiście. Ten jedynie raz widziano proroka w niepohamowanym gniewie. Już beczułki przeniesiono na prom, gdy wtém celnik zjawił się i bez pytania począł wybijać klepki u dna. Skoro Brigham ujrzał podnoszącego młotek po raz drugi, dobył rewolweru, wymierzył doń zawoławszy:

— „Precz z ręką, bo przysięgam na żyjącego Boga, że skoro dotkniesz się tej beczki, zginiesz.”

Urzednik zeskoczył na ląd, nie niepokojąc już więcej.

Dwie jeszcze grasowały choroby. Jedna objawiała się zbiegnięciem twarzy na podobieństwo kredy, obwiśnięciem bezsilnym nóg i rąk, słowem, stanem rozpaczliwej martwoty; druga odpadnięciem skóry z rąk w taki sposób, jak gdyby ją obskrobano ostrzem noża, tysiącem bąbli na grzbiecie i króst na dolnej powiece, jakoteż ozuakami szkorbutycznymi na palcach. Prócz tego wielu chorowało w namiotach na dysenterję, a inni jeszcze na szkorbut.

Wielu z świętych nie miało dość odwagi ażeby wytrwać aż do końca, wielu też padło z wysilenia a ciała ich zakopano w puszczy. Codziennie nowy pogrzeb, codziennie świeża żałoba. Śmiertelność zawsze jest wielką na tej drodze, nawet dzisiaj mimo porządných stacyi, w których można zjeść świeżo i zdrowo. Cóż dopiero było wtedy? Wygnańcy utracali braci setkami.

Gdy duch wątlęc zaczął, muzykanci grali arye wesole i wojenne, a wnet łączyły się z niemi głosy wygnańców, zapominających o swęj nędzy. Za dnia śpiewali hymny, wieczorem tańczyli przy ogniach biwakowych. Wypędzono umyślnie smutek, ascetyzm i powagę tak z obozu jak z głowy. W liczbie rzadkich skarbów które uwieziono z Nauvoo znajdowała się także prasa drukarska i czcionki. Dziennik wydrukowany nad brzegiem rzeki wlewał słowa odwagi, i udzielał potrzebnych rad.

Po przebyciu piasków i przystani zaznaczonych odtąd na karcie pod nazwą Nebraska i Dakota, przybyli do stóp pierwszego szeregu tego nieregularnego łańcucha gór, z którego geografowie zrobili całą grupę nazwawszy ją *górami skalistemi*. Ani śladu ścieżki na tych przerażających wyżynach, piramidy śnieżne pokry-

wały wszystkie przesmyki. Jakimże więc cudem udało się świętym przebyć te szczyty, i powlec za sobą woły, wózki, zmuszeni nadto zatrzymywać się dla znalezienia żywności, dla upieczenia chleba, przygotowania posiłku, bez pomocy, bez przewodnika? Rozwiązania tej zagadki nie powtórzą wam nigdy starcy bez zalanania się łzami.

Najmłodszy i najodważniejszy szli naprzód, onito przepędzali niedźwiedzie, wilki, węzów grzechotników, onito polowali za łosiem lub dzikim rogaczem, uprzążając w ten sposób drogę kobietom i starcom. Nareszcie gdy osiągnięto szczytu szyi gór, można było przyjrzyć się całemu pasmu wyschłych płaszczyn, łożyskom rzek powysychanych, brzegom bez zieloności, nizinom alkalicznym, bagnetom słonawym i ciasnym a węzowym wąwozom. Całe dni, całe tygodnie, trwał ten pochód po przez te Sierry opuszczone, i po przez te doliny, które jakby chciały siłą wyprzeć ztąd człowieka! Zapasy się wyczerpywały, dziczyzna stawała się rzadszą, czerwonoskórni Indianie napadali, a jako cel podróży, osiągnięcia którego jeszcze nie byli pewni, rozciągała się puszcza bezwodna w której mieli zamieszkać.

Lecz ta srogość natury bynajmniej ich nie przestraszała. Nie rachowali oni nigdy na raj ziemski; wiedzieli bardzo dobrze, że nikt nie myślał nigdy zdobywać na Indianach tej krainy nędznej i dzikiej. Szukali spokoju i wolności, szukali miejsca któreby im pozwalało wejść w harce z naturą, mierzyć się z jej potęgą; a potem zwołać braci i wykrzyknąć: patrzcie, oto nasza ojczyzna!

Gdy już schodzili z ostatnich pochyłości, prowadzących do odludnego zamieszkania, zatrąbili na swych polowych rogach, a echo radośne rozechodzące się po dolinie zawtorowało pierwszy raz może od dawnego czasu, radosnemu biciu serca. Na pochyłości ponad Jordanem, tam, gdzie Brighamowi objawił się anioł, narysowali pian nowego miasta, i zbadali bieg wody kryjący się na szczytach. Ku wielkiej pociesze, nie tylko odkryli źródła świeżej wody, lecz i okolice leśne, pochyłości i wzgórza pokryte murawą. Nie stracono ani minuty. Brigham Young tak mawiał w podobnych razach: „Pierwszym obowiązkiem świętego, gdy się osiedla w tej dolinie, jest przygotowanie jarzyn, poczem hodowanie nierogacizny i drobiu, uprawy ziemi i budowy własnego domu: reszta znajdzie się później.”

Taki to duch genialnej organizacji przewodniczył wygnańcom. Stanąwszy u kresu bolesnej wędrówki, na krańcach dzikiej i wysuszonej puszczy, postanowili stworzyć z niej ziemię obiecaną, i rzeczywiście według pojęć i zasad Mormonów stała się im ona Kanaanem, w każdym zaś razie państwem niepodległym, niezawisłym od mocarstw sąsiednich, od intryg politycznych, od różnowagi, *juste milieu*, i t. p., to jest od medykamentów politycznych praktykowanych w stariej Europie.

IV.

Obrotność, zabiegłość, wytrwałość ręki zmieniły wnet fizyonomię tej doliny. Wodzie z wzgórków kazano płynąć nowym biegiem, polom zasianym i odświeżonym plon wydawać, domom wyrosnąć z pod ziemi, bydłu, owcom i jałowicom spasać wykwiłtą trawę przyległych wzgórz i łąk. Zaprowadzono warzelnię soli, tartaki, zaszczerpiono sady owocowe obradzające, bujne w niedługim czasie, pobudowano drogi. Pastuchy mormońscy zagłębiając się w wąwozy odkryli sosny, bzy, drzewka wydające bawełnę, brzozy, bukszpan, czyli krótko mówiąc przepyszny materiał budowlany. Nowa Jeruzolima powstawała z ziemi. Rozpoczęto budowę świątyni i wydaniem dziennika. Orzechowe drzewa i inne zasadzono w sprzyjających rozrostowi miejscach. Czerwono-skórni Indyanie, którzy tak długo byli postrachem wszystkich podróżników Wschodu, ugłaskali się z pomocą podarków i dobrych słów, tak że w przeciągu kilku miesięcy stali się sprzymierzeńcami białych, których niedawno przedtem mordowali. Przekonano się też, że żywienie Indyan mniej za sobą kosztów pociąga, aniżeli gnębienie. Ta polityka polegająca na żywieniu dzikich, polityka przyjeta przez Brighamą, utrzymała się odtąd aż do ostatnich czasów, z wyjątkiem trzech wypadków, wynikłych skutkiem nieporozumień.

Przez kilka lat musieli Święci ustawiczną toczyć wojnę z szarańczą i świerszczem polnym, tą plagą dawniej ziemi Chanaan; lecz dzięki mewkom jeziora i siłom przez nich zastawianym wyniszczyli je, ocalając w ten sposób zboże i owoce.

Dwanaście już upłynęło miesięcy, a Mormoni trzymali się cało w tej puszczy. Nietylko że ich nie ubywało, ale owszem liczba wzrastała. Już i zarabiali pieniądze. Rok za rokiem, ludność się zwiększała a z nią i bogactwa, tak iż dzisiaj nazwiska kupców mormońskich znane są na giełdach: londyńskiej i newyorkskiej, a miasto ich jest jednym z cudów świata.

Jakiężże tajemnicę; potędze przypisać ten zadziwiający wzrost społeczeństwa osiadłego w pustyniach? pozbawionego wszystkiego co zapewnia życie i bezpieczeństwo? Wszakże niedawno temu, dolina ta rodziła tylko szalwię i słonecznik, a wygnańcy przybyli z próżnemi rękami, nie wiedząc nawet jak uprawiać tę ziemię od której wyczekiwali zbawienia! Jakim cudem dopełnili Mormoni zadania, które inni koloniści Zachodu uznali za niemożliwe do osiągnięcia? Przebyli niezmiernie przestrzenie z najwyższem męstwem, energią, w największej karności, bez szemrania i jęku; przebyli przeszkody, jakichby się uląkł inny najhartowniejszego ducha człowiek. Gdzie szukać źródła wytrwania? Powie kto: w fanatyzmie, my powiemy: w wierze; powiemy, że jeżeli zdolności fizyczne *Squattera* i *Trappera* (poszukiwaczy złota) znaczną tu były pomocą, to jednak główną przyczyną, głównym motorem olbrzymiej siły wytrwania, była ta wiara, bez

której nikt jeszcze nie wielkiego nie dokonał; wiara, że założą stolicę Boga, metropolię rodu ludzkiego: wiara, że są wskrzesicielami świata. Ta wiara czy, jak kto chce, ten fanatyzm, sprawiły, że Utah należy dziś do Younga i do tego ludu, że stanowią kościoł o 200,000 duszach, i armię o 20,000 bagnietach. Wolno się śmiać ze Smitha, z bajek przez niego wymyślonych, z urządzeń społecznych i religijnych, ale mimo to, ten obóz fanatyków istnieje i coraz bardziej się rozwija. Mury nowej Jerozolimy już się wznoszą, dziecy są przyjaciółmi świętych, rozliczne gromady misjonarzy każą w rozlicznych miejscach, a tysiące słuchaczy nie odwraca się ze wstrętem od Ewangelii „podług Józefa Smitha.” Nareszcie Amerykanie czują to najlepiej, że kwestyi mormońskiej nie można już tak zbywać śmiechem, gdyż nowy kościół stoi i trzyma się mocno, przestał już być marzeniem, efemerycznym zjawiskiem.

Święci mieszkający w Wielkiej Brytanii uważają obecne swe mieszkanie jako ziemię Egipską, jako ziemię wygnania którą pragnąc trzeba zamienić na ziemię szczęśliwszą. W ich oczach Ameryka jest Chanaanem, a miasto Utah nową Jerozolimą. Ubodzy, starcy i chorzy mogą umrzeć w dotychczasowej siedzibie, gdzie są, jak się wyrażają, w niewoli; ale bogaci, młodzi i zdrowi obowiązani są według wiary mormońskiej, podążać ku ziemi obiecanej. Tysiące świętych emigruje z Anglii, jakkolwiek ich tam jeszcze tysiące zostaje. W Londynie, Liverpoolu, Glasgowie i innych miastach posiadają oni szkoły i kościoły, drukują książki i dzienniki, mało bardzo znane teologom londyńskim. Prasa angielska nie zajmuje się nimi, bo siedzą spokojnie, nie skarżą się na nikogo i na nic, i nie tworzą żadnego stronnictwa politycznego. W wyższym społeczeństwie angielskiem nie ma wyznawców mormońskich, więc też o Mormonach nie mówią, ale w Bostonie, Nowym Yorku, Waszyngtonie stają się oni strasliwą zagadką, nie wróżącą nic dobrego, a grożącą przemianą się w niepomiarłą potęgę. Już mianują swych deputowanych, już też i stawiają armie na stopie wojennej. Colfax, prezydent Ojca Prawodawczego, konferował z Youngiem, a kongres nazaczył kommissyę specjalną zajmującą się sprawami Utah. Przyjdzie czas i to niedługi, że potrzeba się będzie rachować z mormonizmem nie tylko w izbach, uniwersytetach i sądach, ale i na polu bitwy.

Jak się zachowa w tym razie lud amerykański? Rozwiązanie tej zagadki nie tak łatwe, ponieważ nie rozstrzygnięto jeszcze jak dalece, tolerując religię, upoważnia się postęпки wynikię z tej religii. Mormonizmu nie można dziś lekkomyślnie pomijać, gdyż w dziwaczności ich zasad musi się jeduak mieścić jakieś ziarnko prawdy żywotnej. Mormoni żyją i rosna w pomysłności, ludzi zaś idących w górę z pracy i przemysłu, nie można nazwać szalonymi. Domy ich dobrze utrzymane, ulice czyste, ogrody przepysznie uprawiane, pokój gości w ich miastach,

nie spotkać tam pijaka ani nałożnicy. Żadna sekta w Stanach Zjednoczonych nie założyła tyle szkół elementarnych. Widząc zaś ich sposób życia i wiedząc ich przekonania, podrażnieni może więcej jeszcze jesteśmy właśnie ich przymiotami, aniżeli bylibyśmy ich zbrodniami.

Mormoni dokazali rzeczy niepospolitej.

W pośrodku wolnego ludu stworzyli potęgę despotyczną, w kraju nie uznającym religii państwa, postawili kościół swój ponad prawa ludzkie; w łonie plemienia anglo-saksońskiego przyjęli ideje i wielką liczbę zwyczajów indyjskich. W dziewiętnaście wieków po Chrystusie, przywrócili obyczaj istniejący w Syrii na 1900 lat przed Chrystusem.

Z *wigwamu* Soshonów wzięli sobie modłę poligamii nie tyle starożytnego pochodzenia ile jest namiot patriarchy; Abrahama obrali sobie jako typ człowieka doskonałego, gdyż opuścił dla miłości Boga, dom swój, rodzinę i ojczyznę. Również Sara jest typem doskonałej kobiety, bo nazwała męża swego: „panem” i ustąpiła mu służebnicy Agar. Skutkiem czego upowszechnili zdanie, że nie mogą pobić naśladować Abrahama, i że ewangelie, wszelkie prawa i instytucje ludzkie powinny być unieważnione, skoro się znajdą w sprzeciwieństwie ze zwyczajami Abrahama. Depcząc nogami odkrycia umiejętności i doświadczenie historii, ogłaszają, że obowiązkiem jest człowieka cofnąć się wstecz, i przyjąć formę rządu kapłańskiego i ojcowskiego jaki istniał w Syrii, temu lat cztery tysiące. Odrzucają jako rzeczy niemające żadnej wartości, wszelkie zdobycze postępu wieku i myśli ludzkiej; jako: *wolność indywidualną, życie rodzinne, wolność słowa, równość w obliczu prawa, i im podobne.*

W zamian za te przywileje, wymagają karnego i ślepego posłuszeństwa, uznają wszechmoc człowieka bez ukształcenia i nauki, którego podoba się im uważać za namiestnika Boga tu na ziemi.

Nikt nie myśli nawet sprzeciwić się w czemkolwiek woli Younga. On jest najwyższym rozławnikiem najwyższych urzędów i godności, słowo jego działa czarodziejsko i potężnie. Istotnie też zasługuje na to, jako pierwszy przewodnik, jako dusza całej tej wyprawy i późniejszej potęgi Mormonów.

Energiją, zręcznością, wytrwaniem, obfitością skutecznych pomysłów, umie on mówić ponad swemi współtowarzyszami, a nieuctwem, błędami, upodobaniami podobny jest ludowi i dla tego stał mu się miły.

Tak więc, Mormoni zmieniwszy myśl, wiarę, i ziemię na której się osiedlili, zmienili także zasadę rodziny. Smith już głosił poligamię, lecz sprawa ta wydawała się z początku tak potworną, że jej zauchano. Atoli raz osiedleni w Utah, co znaczy: odgraniczeni od wszelkiej ludzkiej uorganizowanej społeczności tysiącem mil, nie wahali się przez usta swego proroka Younga obwieścić nowe objawienie. Postawili jako jeden z punktów

wiary, że w przyszłym świecie, każdy będzie panował nad swemi dziećmi, którzy stanowią będą jego królestwo, że więc im więcej dzieci mieć będzie, tém więcej posiadzie chwały; dalej, że ponieważ lud ich jest ludem wybranym, więc trzeba się starać rozmnożyć go jak najwięcej. Tkwi w tém pojęciu pierwiastek Islamu, czyli teokracja przeniesiona w ognisko rodzinne. Przypatrzmy się postępowi nowej zasady. W r. 1858, 3600 Mormonów miało po kilka żon, 2200 po 4 i więcej, sam Brigham miał ich 17.

Jeżeli wielu radowało się jedną tylko żoną, to przyczyną tego szukać w braku kobiet. Ci którzy mogli mieć kilkadziesiąt a nie chcieli, uważani byli za ludzi z małą wiarą.

Bezwątpienia, że podobny stan rzeczy tak nienaturalny, sprawa tysiące cierpień dotkniętym; lecz cierpienia te złagodzone są tém, że kobiety zgadzają się na to własnowolnie; mormonizm zaś głosi, że święty ocala tą świętością i swą żonę, i że tém więcej uchodzi za świętego, im ma więcej żon: dlatego widzieć tam można młode dziewczęta ubiegające się o starych mężów, których liczba lat, a więc i liczba kobiet uzdatnia przed innymi na świętych. Zdarza się także, że żona bogatego błaga go aby jeszcze inne poślubił, gdyż to przyczyni mu świętości; w tym celu sama stara się o rękę dziewcząt i serdecznie ubolewa gdy jej ręki dla męża odmówią.

Fanatyzm wystarcza tu za wszelkie rozumowanie, lubo podróżnicy którzy badali kraj ten i ludzi, zapewniają, że rzadko gdzie spotkać można kraj, w którymby kobiety były ciotliwsze i moralniejsze. „Prostytucya jest tam nieznaną wcale, powiada jeden z nich: mężczyźni zajęci są pracami ręcznymi, nie widziałem tam ani próżniaków, ani pijaków, ani graczy, polygamiści są najlepszymi ojcami i mężami.” Słowem, nowe to społeczeństwo żyje z godną podziwu przykładnością.

Zachodzi teraz ostatecznie pytanie, czy tak szczególnie uorganizowane społeczeństwo jest w stanie długo się utrzymać? Ażeby na to odpowiedzieć ile się da, potrzeba przypomnieć, co je właśnie dotychczas trzyma. Powtarzamy, że: 1) odosobnienie od reszty społeczeństw, 2) entuzjazm, fanatyzm, czy jak kto chce nazwać ich wiarę, i 3) zręczność dotychczasowego ich naczelnika. Jeżeli więc Brigham umrze, trudno będzie znaleźć drugiego mogącego mu dorównać. To jedno. Co się zaś tyczy entuzjazmu obawiać się trzeba o jego trwałość, gdyż historia nie wykazała dotąd jeszcze ani jednej sekty religijnej, któraby opierając się tylko na entuzjazmie, dłużej nad 100 lat istniała. Nareszcie przypuścić trzeba, że puszcze się zaludnią, a z postępem zaludnienia i cywilizacya w swym biegu niewstrzymanym przeniknie tę odrębną społeczność, a wtedy czyż można ręczyć za utrzymanie się takiego kraju, który się opiera na poniżeniu i upodleniu kobiet, na nieuctwie publicznem, na ustaleniu w tak nienaturalny sposób świętych zasad rodzinnych? Cywilizacya z całym swym gruchojącym zasobem: umiejtności głębokich, wolności cywilnej i religijnej, małżeństwa

odpowiedniego celom ludzkości, wyrzucić musi zlepek sztuczny, trzymany dziś tylko nadzwyczajnymi i naprężonymi środkami.

Nie można nie wysnuć sobie tego sądu, poznawszy dokładnie dzieje tej sekty. Być może, że sąd ten omyli, dziś jednak w każdym razie dziękować sobie może trzeba za to ryzykowne doświadczenie, któremu poddać się chce garstka ludzi na korzyść całej ludzkości. „Takie olbrzymie operacye, jak się wyraził słusznie jeden z krytyków tej sekty, dokonywane na tysiącach, w oczach naszych, niezmierniej są korzyści dla postępującej naprzód ludzkości.”

Dla bliższego obznajmienia czytelników, z samą miejscowością podajemy kilka jeszcze szczegółowych opisów dzisiejszych siedzib mormońskich, zebranych na miejscu przez jednego z najszybszych turystów.

I. PRZEJŚCIE PRZEZ GÓRY.

Minąwszy fort Bridger, natrafia się na zejście spadziste, poprzerywane i zienieniejące. Droga jest jeszcze nierówną, zasypaną kamieniami, trudną do rozpoznania; tu i owdzie trzeba przebyć zaokrąglony szczyt, tam znowu zagłębić się w przepaści lub biorąc pozolnie po piaszczystym gruncie. Lecz ogólnie rzeczy biorąc, począwszy od płaszczysty ciągnącej się na wzniosłości suchych Śierrów wrogo piętrzących się dla człowieka, droga ciągle jest spadzistą. Niżej trochę, widzi się potoki płynące z gór, i ciasne wąwozy, gdzie dziką szalwią zastąpiła wysoka trawa świadcząca o żywszej cokolwiek vegetacyi, nawet już i kilka skurczonych krzewów zaczyna się ukazywać w szczelinach i wydrążeniach. Karłowaty dąb i klon przybierają już strój jesienny: fiolet i czarny. Nizkie jodły i cedry przyozdabiają krajobraz, słychać zdala mruczenie wody w mieliznie, długie frezle balsaminu i wierzb znaczą krętą drogę źródeł płynących wzdłuż brzegów. Już się kończył dzień, gdyśmy szybko minęli Muddy-reek (brzeg błotnisty), już i noc zaskoczyła gdyśmy stanęli przed Quaking-Asp; a jakże zostaliśmy, zdziwieni gdy okrążywszy kręgowaty wzgórek, ujrzeliśmy nagle taką światłość, jak gdyby dolina i wzgórze zapłonęły w ogniu. To był obóz Mormonów. Setka wózków przysuniętych jeden do drugiego jakby w łuku, a to według systemu przyjętego w biwakach celem obrony przeciw Indyanom, zajmuje ponurą dolinę; wierchołki i szerokie grupy skał zakrywają gwiazdziste niebo. Przed każdym z wózków pali się wielkie ognisko, w około którego kręcą się kobiety, mężczyźni i dzieci. Jedni zajmują się wieszczerzą, inni tańczą lub śpiewają dla rozrywki. Woły, muły i konie tworzą dziwaczny obraz złożony z szczęśliwych kontrastów formy i kolorów. Psy drzemią przy ognisku, lub biegają naszczejkując na pocztę. Trąbki, fujarki i cymbały, zmieszane w jeden obór, rozweselają to dziwne i niespodziane widowisko.

Jeszcześmy nie zesli z wyżyn płaszczyzny, a już przeczuliśmy, że Eden świętych nie zbyt oddalony; dalej więc zbliżamy się do tej dziwnej doliny jeziora słonego, która przyciąga zarówno wieśniaka francuzkiego jak robotnika z Manchester i biednego zebraka z White-Chapel.

W godzinę potem, przybywamy do stacyi Bear-River (brzeg niedźwiedzia) utrzymywanej przez biskupa Myers, członka angielskiego kościoła Mormonów. Biskup ten posiada tylko 2 żony: jedna z nich mieszka z nim razem. Nadto czeladka biskupa składa się z jednej służącej, z dwóch czy trzech mężczyzn i z jednej angielskiej rezydentki, której serce w wielkiem jak mi się zdawało niebezpieczeństwie. Żona prałata jest damą w całym znaczeniu tego słowa, elegancką i ujmującą. Podczas gdy zwilżamy nasze suche gardła, wylewając przytem nie jedno wiadro wody na głowę i twarz, ona z całym wdziękiem pięknej gosposi przygotowuje naszą kolację.

Jakkolwiek głodni byliśmy i zmęczeni, musieliśmy jednak przyznać że ten Myers jest wzorem biskupów dla tego świata dzielnych pracowników. Wyrażenia jego nie celują wytwornością, intonacyi nie ma też zbyt melodyjnej, ręczyłbym także że nie umie po grecku ani słowa; lecz co umie doskonale, to przyjął i posilił podróżnika, którego noc, zimno i burza sponiewierały do nitki. Nasz biskup podnieca ogień na kominie, dorzuca chrustu, kraje barana (jedyne mięso świeże, jakieśmy od osmu dni ujrzeli), wychodzi wreszcie dla naczepiania wody i zaopatrzenia naszego powozu w słomiankę, ochraniającą nogi nasze od zimna. Częstuje nas prawdziwą herbatą, smacznym chlebem, nawet masłem w miejsce gotowanej szafwii, ciężkiego pieczywa i szczypty soli któremi nas dotąd częstowano. Kotlety były wyborne, tak iż ta uczta górską, okraszona wdziękiem i grzecznością dam, przeważała najpyszniejszą ucztę naszych wielkich miast.

Opuszczamy więc Bear-River, nie bez szacunku dla tej strony żywota biskupiego i dla tego stanu pracowitego duchownych, stworzonego przez Brigham Younga.

Powóz nasz pędzi po moście Echo-Canyon a pod wiszącą skałą.

Patrząc w nocy przy migocącym się blasku gwiazd jesieni, wydaje się on masą fantastyczną skał, szczytów, urwisk i przepaści, wydaje się dziwaczniem widowiskiem zachwycającego wejścia.

Nazajutrz bardzo wczesnie, dosięgliśmy rzeki Weber, gdzie dla zaspokojenia długiego naszego postu, nie dostajemy nic prócz biskoptów i podeszwy, którą nazywają mięsem. Niedługo potem, widzimy przed sobą Coalville pierwszą wioskę mormońską.

Składa się ona z kilku chat z drzewa, z kilkoma próbami ogrodów i kilkoma zasianymi polami. Dzicy Utezyccy i inni posiadacze kilka lat przeltem tej puszczy, polowali tu na łosie i ob-

dzierali sobie najswobodniej skórę. Znaleść tu można węgiel kamienny, trochę wody i trochę drzewa. Nasz przewodnik objaśnia nas, że te chaty mormońskie które mają dwoje drzwi, oznaczają że właściciel ma dwie żony; troje drzwi oznacza trzy żony i t. p.

Gdyśmy sobie przypomnieli te wyschłe pola któreśmy przebyli, naszą podróż sześciodniową po przez urwiska i przepaście, musieliśmy uwielbiać odwagę, wytrwałość i fanatyzm ludzi, nie wahających się iść w zapasy z tą straszną doliną.

Oto i Coalville, miasto a raczej zarodek miasta w pośród gór, wyrosło ono w głębi dzikiej przepaści, którą przekleli inżynierowie i turyści jako niezdołną wyżywić człowieka lub zwierzę. A teraz! Sier rozwoją w taczkach ponad brzegiem, woły spasają się na wzgórzach, psy czuwają przy chatach, wieprze grzebią ziemię, kury skaczą w okolo brzegu, a konie parszają w podwórzach. Dzieci różanego lica, oczu niebieskich, włosów złocistych, zdradzających pochodzenie angielskie, bawią się przed drzwiami, przewracając się na słońcu; młode dziewczątka od 9—10 lat doją krowy, chłopaki w tymże wieku popędzają konie, kobiety zajmują się kuchnią i praniem, mężczyźni zbierają kartofle lub owoce, łupią drzewo albo przerzynają deski.

Wszyscy zajęci pracą, wszystkim idzie robota żwawo i korzystnie.

Z pomiędzy zielonych gałęzi, dojrzyć można wychylający się łuk pięknego białego kościoła.

Trochę niżej ku dolinie, panorama się rozszerza, widać liczne trzody rozpieczętowane na ogromnych pastwiskach. Przejeżdżamy obok hotelu Kimballa (stacya pocztowa) utrzymywanego przez syna Hebera Kimballa. Człowiek to bogaty, wyznający wiarę mormońską a który się schronił w te góry ze swemi trzodami, fortuną i swemi trzema żonami. Utrzymują, że go apostołowie wypędzili z miasta świętego, jako pijaka i sprawczającego zgorzenie publiczne. Święci są, jak mówią, nie ublagani dla występku: za den węzeł rodzinny nie ochrania winnego przed wyrokiem kościoła.

W Mountain-Dell, mieszkaniu biskupa Hardy, posiadającego żon ośm, z których trzy mieszkają z nim razem w tej opustoszałej siedzibie w pośród gór, napotkaliśmy małego Indianina z plemienia Utów. Ten mały dziki, przedany przez swego ojca i w ten sposób oderwany od zatrudnień swojej rasy, nawrócony został na mormonizm i przyrzekł sprawować się bardzo pięknie. Na nas robił on wrażenie chłopca bardzo przytomnego. zdolnego zaznaczyć różnicę między wilkiem dzikim a kotletem z barana. Nie nawidzi on z całego serca czerwonoskórnych Indian, swych tatuowanych braci. Jedna z żon biskupa opowiadała nam, że młody ten mormon kupiony za kilka dolarów, nie jest bynajmniej głupim; że pracuje, gdy go do tego przymuszają; lecz że jest z usposobienia enliwym, a śpi z wielką lubością na słońcu; że kocha się w koniach

i jest dobrym woznicą, słowem że tkwi w nim materyał na cale dobrego służącego.

Mormoni mają sobie właściwe pojęcia o pochodzeniu czerwono-skórnych Indian. Uważają ich jako gałązkę ludu hebrajskiego która porzuciła Palestynę ażeby się osiedlić w Stanach Zjednoczonych, i to w epoce, w której lud ten dzierżył jeszcze władzę kapłańską. Później, skutkiem nieposłuszeństwa, wygnańcy ci nie tylko stracili władzę kapłańską ale i białosć swęj skóry, zwywy polot imaginacyi i szlachetność fizyognomii.

Ztądto kłątwa niebios ciąży nad nimi i nad ich rodem. Pochodzą oni z rasy poświęconej, która zasłużyła sobie na gniew niebios. „W jakimś czasie, którego termin zależny od Boga, mówił mi Brigham, łaska zostanie im przywróconą: wówczas przestaną złe wyrządzać a nauczą się czynić dobrze; wówczas osiedlą się w miastach, staną się na nowo białymi i postępować będą jak przystoi na naród kapłanów.” Istotnie jednak, potrzebaby co najmniej cudu ażeby przemienić Utczyka albo Pawniana w coś coby cokolwiek chociaż podobnym było do Aarona lub Jozuego.

Przed ostatnią wojną cywilną, przed zaiesieniem niewolnictwa w Ameryce, ogłosili święci prawo terytoryalne pozwalające kupować dzieci indyjskie obojga płci, celem chrzczenia ich według rytuału kościoła mormońskiego, i celem nauczania ich jakiegoś pożytecznego rzemiosła. Czerwono-skórni Indianie nie bardzo się skłaniają do sprzedaży swych dzieci, można jednak w dolinie spotkać wielką liczbę tych młodych dzikich, ulegających powyższemu prawu. Dzisiaj, są oni naturalnie tak wolnymi jak biali, lecz jeszcze leniwi, jeszcze okrutniejsi i przebieglejsi.

Zona biskupa, której nie jeden zawód otworzył oczy, poczęła wątpić o doskonałości planu rządowego pragnącego odrodzenia Utów i Bannocksów; przyznaje ona że kłątwa wisi nad tym rodem, lecz ma nadzieję że gdy ta będzie zdjęta, że wtedy czerwonoskórni staną się pracowitymi i postępować będą po ścieżce zbawienia; lecz i tego nie tai przed sobą, że tylko od Boga a nie od ludzi zawisło to polepszenie. Droga prowadząca od Mountain-Dell do bassinu jeziora słonego, otwarła się przed nami nagle i niespodziewanie. Obraz roztoczony przed naszymi oczami i to z której-bądź spojrzeliśmy strony, stanowi jedno z sześciu czy siedmiu panoram przepysznych, istniejących na tej ziemi. Nie można się więc dziwić, że biedny wygnaniec, wyszły z lochu z Liverpool lub z piwnicy z Blackwell, mając nadto wyobraźnię podbudzoną zapalem religijnym i umartwieniami, sądzi się nagle przeniesionym do rajy ziemskiego.

U stóp śnieżnych wyżyn gór Wesatch, rozciąga się szeroka płaszczyzna, sięgająca na północ aż po siny horyzont. Zdaje się, że aureola złociona niezrównanego bogactwa, pokrywa całą dolinę: są to niezliczone słoneczniki rozsiane szciodrze tak jak nasze stokrotki, lecz oświecone słońcem zwrotnikowem; dalej jeziora, stawy i nieprzeliczone strumyki; na lewo można dostrzedz wznoszą-

ce się aż po obłoki pasma gór, które Indyanie zowią *Oquirrh*. Na wprost nas wychyla się świetne miasto, nowa Jerozolima ze swą zieleniejącą opaską. Po nad miastem płynie Jordan przerywający płaszczyznę na to, ażeby donieść świeżej wody z Utah do jeziora słonego, którego niebieska powierzchnia raz zaciemnia, to znowu odświeża niezmierną dolinę. Z samego nawet jeziora, mającego sto mil angielskich wszcz a 150 wzdłuż, wyrastają dwie pagórkowate wyspy, purpurowej barwy: wyspa Antylipy (dziś wyspa Kościoła) i wyspa Stansburg. Po bokach i po nad lazurem jeziora biegną czarne góry, nieregularne i malownicze: wysokości wyschnięte Utah i Newady.

Atmosfera czysta i łagodna, technie świeżością i wonią powiewów morskich północnych, pożyczą świeżości z gór spuszczaających się z szczytów Wasathu, gdzie śnieg i lody całe trwają lato. Powietrze jest tam tak przezroczyste, że Black-rock (czarna skała) położona o 25 mil od jeziora słonego, zdaje się wyrastać na kilka tylko łokci odległości; wierzchołki zaś rozdzielone jeden od drugiego na 60 mil, zdają się należeć do jednego pasma.

Niżej cokolwiek w dolinie, złocista aureola kąpie cały krajobraz w jakiejś słodkiej jasności. Miasto ma pozór szerokiego parku, w którym uderza ogromna liczba zbitych do siebie drzew ciemno-zielonej barwy, rozdzielonych tu i owdzie jakimś kioskiem białym, jakąś kapturką lub innym budynkiem. Po nad miastem, na wysokości górującej po nad niem, rozciąga się obóz ze swemi namiotami i barakami. Obóz ten uzupełnia obraz, a barwa jego wpada w żółtawą, białą i zieloną krajobrazu.

II. NOWA JEROZOLIMA.

Marzenia nocne i odkrycie źródła tryskającego z boku wzgórza, rozstrzygnęły wybór miejsca na nową Jerozolimę. Źródło to nie płynęło szerzej jak Xenil, który dał początek Grenadzie przemieniając wyschlą ziemię w ogród. Brigham Young opowiadał, że przebiegając góry w poszukiwaniu nowej ojczyzny dla swego ludu, widział we śnie anioła, który stojąc na wzgórzu pochyłym wskazał mu miejsce, gdzie się miała wzniesć świątynia Mormonów. Prorok, zwiędzając koryto jeziora słonego, zaczął od poszukiwań ostrokągu który spostrzegł. Skoro go tylko dojrzał, dojrzał zarazem źródło wody czystej wytryskujące z podwalin skały, które też nazwał: „Przystanią miasta.” Jerzy Smith i inni pionierowie zwrócili źródło ku gruntom pokazniejszym, gdzie zasadzili kartofle; poczem, poszli na północ, oznaczyli granice świątyni w formie ogromnego kwadratu. Kwadrat ten dziesięć-morgowy jest jakby sercem miasta, miejscem świętym Mormonów, *haremem* młodej Jerozolimy Zachodu.

Nowe miasto rozciąga się między dwoma wielkimi jeziorami, jeziorem Utah i Słonem, tak jak miasto Interlacken mię-

dzy Brienz i Thun, jakkolwiek odległości są daleko znacznie-sze. Dwa morza wewnętrzne Utahu mogą uchodzić za rzeczywiste morza, jeżeli je porównamy z ślicznemi jeziorkami Alp berneskich. Rzeka nazwana dziś Jordanem, płynie z Utah ażeby wpaść do jeziora Słonego; lecz zaledwo tylko zmywa kończyzny miasta, a ponieważ spływa w niziny doliny, więc aż dotąd nie stała się pożyteczną dla irrygacyi. Brigham Young powziął myśl kanału ciągnącego się z jeziora Utah do miasta, a bieżącego z dolnemi płaszczyznami pasma Wasatchu. Wykonanie tego planu kosztować będzie bardzo wiele, lecz użyźni niezmierną przestrzeń ziemi. Jeżeli miasto będzie się mogło swobodnie rozwijać i jeżeli kanał wkrótce będzie przekopany, to grunta w których dziś tylko kamienie, piasek i szalwia, porosną niedługo w winnice i ogrody.

Miasto zajmujące, jak mówią, trzy tysiące morgów, między górami i rzeką, podzielone jest na cząstki dziesięciomorgowe z podpodziałem pięciomorgowym, który ostatni uważany jest jako dostateczny do utworzenia chaty i ogrodu zwykłej wielkości. Co się tyczy świątyni, jeszcze jęj nie zbudowano. Położono dopiero fundamenta, są one z massywnego granitu; dziesięć morgów zostawionych na Sanctuarium (ołtarz) zajęte już pierwszemi robotami. Wyniosły mur otacza te budowle, nędzny to mur, słaby i bez wszelkiego zakroju sztuki, podobny raczej do muru z błota aniżeli do roboty mularskiej. Gdy już roboty ukończone zostaną, urządzą cieniste aleje i parter kwiatowy.

Kwadrat przeznaczony dla świątyni, służył do narysowania planu całego miasta. Z każdej strony tego ogrodzenia, wychodzi ulica szeroka na sto stóp, która postępuje ku płaszczyznie, ciągnąc się w linii prostej. Ulice równoległe, takiejże szerokości, blyszczą się z północy i południa, ze wschodu i z zachodu. Wszystkie zasadzone robiniami, roszone podwójnym biegiem wody pochodzącym ze źródeł wzgórza. Ulice te na północ dochodzą aż do gór, i jeżeli nie dochodzą do jezior, to z braku mieszkańców. Na papierze i w imaginacyi ognistej kilku zagorzałych, przestrzeń ta całkiem już jest wypełnioną.

Wielka ulica wychodzi od kościoła. Ulica ta zapełnioną jest białemi domami prywatnemi i sklepami. Chciano z nięj z początku zrobić ulicę arystokratyczną miasta i zwała się „Ulicą Wschodnią świątyni.” Tam znajdowały się także bióra dziesięcin, hotel Rady, rezydencye Younga Kimballa i Wellsa, trzech najgłówniejszych reprezentantów kościoła mormońskiego.

Z początku piękne tu rosły drzewa, lecz kupcy zmusili Younga i świętych do cofania się; wexlarze, restauratorowie i tandeciarze opanowali całą tę przestrzeń. Poświęcono piękne drzewa dla ułatwienia pakowania i ekspedywania towarów. Ogródki ślicznie utrzymane, zapełnione brzoskwiniami i jabłoni mi okazującemi domki z cegły, ustąpiły miejsca wystawom sklepowym i szyldom przekupniów. Część kupiecka miasta ulicy Wielkiej,

jest szeroką, zakurzoną, niebrukowaną i źle budowaną. Ulica ta daje próbkę każdej z trzech faz każdego amerykańskiego miasta; możnaby nazwać te trzy fazy: wiekiem drzewa, wiekiem cegły i wiekiem kamienia. Wielka liczba najpiękniejszych domów jest z drzewa, większa z *adobe* z paoy, to jest z cegieł wyschłych na słońcu, jak to zwyczajem bywa w Egipcie, i jak to praktykuje się dziś w Kalifornii i Meksyku; bardzo mało z czerwonego kamienia i z granitu. Pałac rady jest z czerwonego kamienia, tak jak i wielkie magazyny Golda, Ilmünga, Gilberta. Clawsona, gdzie sprzedają wszystko jak w tureckich bazarach: lichtarze, wino szampańskie, proszek złoty, materye, herbatę, scyzoryki, konserwy mięsne i łapki na myszy. Sklepy pomniejszych (cukierników, siodlarzy, perukarzy) restauracye, hotele i domy prywatne pierwszego rzędu, budowane są z cegły suszonej na słońcu. Domy budowane z *adobe* ulegają wprawdzie rozpamięciu przy wielkich deszczach, lecz są na oko błyszczące, w zimie wygodne, w lecie świeże. Można dostrzedz jeszcze kilka nieforemnych chałup, zabytków z pierwszego wygnania. Trochę niżej, ku południu, oko ginie w przestrzeni, drzewa znów się pokazują.

Nic lepiej nie wskazuje różnicy w środkowej i ruchliwej części tego miasta, między tém miastem a Kansas, Leavenworth lub Denver, jak zupełny brak kramików. W hotelach nie ma bufetów, na ulicach nie ma domów gry ani rozpusty, ani zadużej winiarni. W hotelu w którym stanąłem, utrzymanym przez pułkownika Little, jednego z dawnych kościoła mormońskiego, nie można dostać ani wina, ani piwa, ani likieru. Dają herbatę trzy razy dziennie. Nie zapraszają tutaj bezustannie do wypicia: *claret-cobber*, *whisky-bourbon*, *Tom and Jerry*, *mint-julep* i innych napojów; pod tym względem olbrzymia różnica między tém miastem a Leavenworth, gdzie na 3 domy zliczysz jeden szynk.

Po przebyciu części kupieckiej miasta, natrafiasz na plautacye, któremi Brigham chciał przyozdobić wszystkie swe ulice. Szeregi akacyj zacieniają brzegi strumyków; domki są odległe na 30—40 stóp od gościnnca, sklepienia znikają jakby przyduszone zielonością brzoskwiń, jabłoni, winogron, a wszystko to podniesione blaskiem świetnym róż i słoneczników.

Po prawej i lewej wielkiej ulicy i równolegle, biegnie wielka liczba dróg całkiem sobie podobnych. Gościńiec twardy i pełen kurzu, wilgocony małemi strumykami, zasadzony robiniami, bawełną i filareą. W każdym podziale wyżej oznaczonym, wznosi się domek otoczony drzewem owocowem. Kilka z tych mieszkań dość wielkich i ponętnego pozoru, płaciłyby się bardzo drogo w Europie. Inne są tylko chałupkami o 4—5 pokojach, w których rodziny polygamiczne w razie kłótni, miałyby wielki kłopot gdzie stanąć na około walczących. W niektórych sadach widzieć można ładniutkie szałety szwajcarskie: są to mieszkania niektórych żon właścicieli. „Do kogo należą te domki? pyta-

śmy się chłopca wskazując na kilka willi ulicy Wielkiej." „Do rodziny brata Kimballa” otrzymaliśmy odpowiedź.

W części miasta wyżej położonej, dostrzegliśmy ogrody Hirama Clawsona, także jednego z dawnych kościoła Mormonów. Rozkoszny to ogródek; brzoskwinie, śliwki i smaczne jabłka jakże tam dojrzewają, dostawały się i nam podczas pobytu naszego w tym mieście, cośmy zawdzięczali najmłodszej żonie Hirama. Od frontu wysuwa się wielki dom zamieszkały przez pierwsze żony świętego i przez jakie 20 ich dzieci. Ale najrozkoszniejszym białem schronieniem, któreśmy dostrzegli w kąci, schronieniem zasłoniętym prawie różami i wijącym się kwieciami, jest siedziba najmłodszej żony Hirama, Alicyi, jednej z córek Brigham Younga. Tutaj usłala sobie zaciszne gniazdko, w którym żyje wraz z czterema małemi chłopczkami. Powiadają że rozporządza ona wolą swego pana i męża, prawie tak jak córka sułtana rozkazująca w haremie. Nesbit, Anglik nawrócony na wiarę mormońską, zamieszkuje ze swemi dwiema żonami i licznem ich potomstwem, przesłiczny domek położony na wyżynach miasta, na wprost domu Clawsona. Wielka część miasta składa się dziś jeszcze ze świeżych gaików i sadów, oczekujących właściciela któryby je ożywił.

W *First South Street* (pierwsza ulica południa) wznosi się teatr i ratusz, piękne budynki, budowane w stylu niebardzo rozpowszechnionym w Ameryce Zachodu.

Ratusz służy za punkt siedziby policji i sprawiedliwości. Policja mormońska szczyci się agentami milczącymi a sprężystymi, którzy czuwają wszędzie, a rękę mają skora do pochwycenia za kołnierz złoczyńców. Nie ma tak drobnego faktu, o którymby nie wiedzieli. Jeden z moich znajomych, wracając przez ciemne ulice z teatru, zaczepił damę mormońską dobrze sobie znajomą. Nazajutrz otrzymał w swoim hotelu wizytę pewnego gentemana, upraszającego go usilnie ażeby już nie zaczepiał rozmową owęj damy po zachodzie słońca, chyba gdyby szła z ojcem. W porze zimowej, znajduje się prawie zawsze 700—800 kopaczy w mieście, i także liczba młodych Skandynawów. Każdy z nich z nożem u pasa, z rewolwerem w rękę, wrzeszczy w niebogłosy żądając piwa, whisky, kart i kobiet tyle ile im potrzeba. Wszystko to uchodzi u świętych za przedmiot zbytkowy, którego też żądającym nie chcą wydać. Policja trzyma burzliwych na wodzy, a sprawia się tak dobrze, że sędziowie Zachodu mocno się dziwią tej sztuce obchodzącej się bez rozlewu krwi. William Gilpin, gubernator w Colorado i inni, mają tylko pochwały dla agentów takiej policji surowej i tajemniczej, lecz czynnej i zręcznej.

Co się tyczy sądów, nie mieliśmy sposobności zapoznać się z nimi. Jeden z sędziów, któregośmy raz spotkali zaprosił nas bardzo grzecznie ażebyśmy się przysłuchali wydawanym przez niego wyrokom. Rozmawialiśmy w korytarzu, czekając przy-

wołania pierwszej sprawy; gdy się jednak dowiedział, że należy do linii obronczej Albionu, drapnął odesławszy wszystkie strony do domu. Sędzia ten, gdy czynności sądowe nie wymagają jego obecności, przepędza wolne chwile na przedazy korzeni na ulicy Wielkiej. Znając dobrze jego sklepik, zachodziliśmy nieraz do niego na szklanke seltzu i na wypalenie cygara, ale nie udało się nam odtąd nigdy ujrzeć go przy spełnianiu obowiązków sędziego.

Miasto posiada dwa źródła siarczane, powyżej których kazał Brigham Young pobudować baraki z drzewa. Wstęp do jednej z tych łaźni nic nie kosztuje; woda mająca własność rozwalniająca i odświeżająca dochodzi do temperatury 92 stopni Fahrenheita.

Na ulicach nie spostrzeżesz żebraka, rzadko kiedy pijaka, a zawsze jest nim żołnierz, obey, lub kopacz. Nikt nie wygląda na ubogiego. Mieszkańcy są daleko łagodniejsi i grzeczniejsi aniżeli wszyscy inni w okolicach Zachodu. Drzewa, woda i bydło nadają ulicom cechę pasterską, którejby nadarmo szukać w innym mieście gór albo równin. I tak: na dole, pod robinjami, wół którego spędzono z paszy, tam dalej krowę doi pyzate chłopię, tu i owdzie stoją lekkie wózki gotowe do drogi w strone góry. Wygnańcy ogorzałego lica, powracający z łąk, układają się pod akacyami, uprzyjemniając sobie leżenie moczeniem nóg w zimnej wodzie strumyka.

Ulica Wielka, centrum ruchu, nastęrcza więcej jeszcze scen malowniczych. Trzeba ją zwłaszcza widzieć wtedy, gdy przybywa grono wygnańców. Właśnie w chwili gdy piszę, taki się rozwija udramatyzowany obrazek przed memi oczyma: karawana, którąśmy prześcignęli ponad Bear-River przybyła do celu swęj podróży. Składa się z 60 wózków, z 400 wołów, i z 600 dusz, kobiet, mężczyzn i dzieci, wszystko anglicy i francuzi. Wózki zapełniają ulicę, bydło rozciąga się na słońcu, ludzie zdają się weseli i ożywieni, i nic dziwnego po ukończeniu tak dalekiej podróży, po przez morza, przez Stany Zjednoczone, łąki i góry. Kobiety i dzieci wyglądają wychudnięci i zczerniali. Kurz, błoto, zmęczenie; i niedostatek nadają im wyraz dziki i nadaturalny. Z prawdziwym mozołem uda się rozpoznać w tych malowniczych grupach okrytych łachmanem, roztropnego rolnika z Montmouth, starannego rzemieślnika z Woolwich, lub wyświeżonego robotnika Londynu. Przed magazynami zdejmują ładunek z mułów. Kopacze z Montany i z Idahoe w ogromnych butach, ściśnięci w pasie szerokimi trzosami, włóczą się koło nowoprzybytych. Gromada Indyan długowłosa, napółnaga, milcząca, targuje się o towar najpośledniejszy i najtańszy. Oto i jezdziec, przybrany w sombrero, na dzielnym koniu roznosi tumany kurzawy: to Meksykanin; tu znowu dandys z Kalifornii a tam dalej dwóch oficerow z pobliskiego obozu, w niebieskich mundurach.

Atmosfera przeczysta, cudownej przejrzystości. Deszcz rzadko pada w dolinie, mimo że codziennie prawie burze huczą w górach. Wówczas chmura wznosi się ku górcom zachodnim, grzmi ponad

brzegami, grożąc potopem miastu, a gdy się rozleje w ulewę i rozprószy w burzę, bieży dalej ku góróm Wasath, skropi szczyty i ginie w śniegach dalekiego widnokregu.

III. TEATR MORMOŃSKI.

W Londynie, Paryżu czy Nowym Yorku kościół nie pozwoliłby teatrowi nabrać takiej przewagi, jakiej tenże używa u Mormonów. Brigham Young z wielu względów, nie ma ani wzoru ani poprzedników. Jako wielki kapłan całkiem nowej religii, urządził swój teatr wprzód jeszcze, zanim się fundamenta świątyni z ziemi podniosły.

Każdemu wiadomo, że sztuki dramatycznej początku szukać trzeba w religii, i że komedję nazwano: „Szkolą obyczajów.” Brigham chciał się widocznie we wszystkim oprzeć na zasadach pierwotnych; tak co do życia familijnego cofnął się do Abrahama, co do życia społecznego do zasad Tespijskich.

Kapłani dali początek teatrowi starożytnemu i nowożytnemu. Ponieważ doświadczenie dowiodło, że tak w mieście Mormonów jak i w Nowym Yorku ludzie lubią się bawić, śmiać i wzruszać, dczegóżby więc naczelnicy ludu nie skorzystali z tysiąca sposobności nadarzających się za pośrednictwem sceny i nie pozwolili ludowi wzruszać się przedmiotami które ich wzruszyć powinny? Dczegóżby równie Brigham nie posłużył się teatrem, azeby głosić moralność?

Dczegóżby nie wyćwiczył swych aktorów i swe aktorki w ten sposób, izby z nich stworzyć wzory cnoty, nauczycieli wymowy i elegancyi? Dczegóżby wreszcie nie miał się starać o pogodzenie uczuć religijnych z przyjemnością?

Być może, że Young przesadnie wyobraża sobie korzyści jakie osiągnąć może z przedstawień teatralnych w mieście, gdzie dopiero istnieją szkoły elementarne; lecz bądź co bądź, postanowił doświadczenie doprowadzić do końca. Wystawił przeto teatr, a obecnie sili się na złożenie trupy wzorowej.

Zewnątrznie, teatr ten jest budynkiem doryckim dość niezgrabnym, w którym jednak architektowi udało się osiągnąć efektu za pomocą bardzo prostych środków. Wnętrze, dobrze wentylowane niema ani łóz, ani firanek, z wyjątkiem dwóch łóz podpartych kolumnami; głębia biała z kilkoma ozdobami, przyczynia się wiele do nadania sali charakteru lekkości. Parter, przychylony aż do orkiestry, pozwala wszystkim widzom widzieć dokładnie, to też miejsca parterowe są najwięcej cenione, niektóre zaś ławki są wynajęte różnym rodzinom. Tamto można widzieć każdego wieczoru duchownych i biskupów otoczonych żonami i dziećmi, śmiejących się i klaskających ze swobodą studencką. Fotel poręczowy, ustawiony w środku parteru, zachowany jest dla Younga gdy ma ochotę

przyjść zabawić się między swoimi. Gdy woli zasiąść w łoży, jedna z jego żon, Eliza poetka, Henryetta blada, Amelia wspaniała lub inna, kołysze się tymczasem w fotelu proroka, śmiejąc się głośno podczas sztuki. W około tego honorowego miejsca, ustawione są ławki dla dygnitarzy, mających prawo otaczać swego szefa jako dla Hebera, Kimballa, pierwszego radcy, Daniela Wellsa drugiego radcy i naczelnika siły zbrojnej, Jerzego Smitha apostoła i historyka kościoła, Jerzego II Connona apostoła, Edwarda Huntera biskupa prezydenta, dawnego Stonhouse redaktora naczelnego *Daily Telegraph* i dla wielu innych Mormonów drugiego rzędu. Z każdej strony sceny znajdują się dwie łoże, których się ze sali nie widzi: jedna jest łożą, w której siedzi prorok gdy chce pozostać sam i rozmawiać spokojnie z przyjacielem, druga służy dla młodych dziewcząt, których imiona figurują na programie wieczornym a które się tam sadowią dopóki nie zawoła ich na scenę rola. W ogóle, obmyślano tu dobrze wszelkie wygody dla każdego.

Dzięki staraniom i czujności dyrektora Hiram Clawsna, można powinszować Brighamowi, że stworzył ze swego teatru coś, co się zbliża do marzonej doskonałości. Poza szeregiem lamp wszystko idzie najdokładniej, zgoda i jedność panują w pośród najhuczniejszej wesołości. Ani w sali, ani w przysionkach sali nie dostrzedz zamieszania scen, nieporządku tak kompromitujących teatr Drury-Lane, ani też owych kobiet nieporządnych, ani dzieci w łachmanach, ani pijaków. Ponieważ Mormoni nie piją gorących trunków a i palą rzadko, więc pozwalają sobie jedynę a niewinną rozkosz, to jest wysysania brzoskwiń. Przekładają także nad inne: krótkie kazania i krótkie sztuki. Zastłona podnosząca się o 8 godzinie, spada o 10 i pół, poczem Mormoni mający zwyczaj wieczernia przed teatrem, idą na spoczynek. Nigdy też rozrywka nie przerywa pracy, która ich czeka nazajutrz: już o szóstej rano rozlega się dzwonek wzywający na śniadanie.

Lecz podziwiać trzeba dopiero to, co się znajduje poza zastłoną a mianowicie: szerokość kulis, doskonałe oświetlenie, czystość nadzwyczajną. Znam kulisy i korytarze scen europejskich; lecz ani we Włoszech, ani w Austrii nie dbali architektki tak pieczołowicie o dobro aktorów i aktorek co tutaj. Garderoba artystów to prawdziwy salon. Dekoratorowie mają pracownię przyzwoitą, kostiumiery zaś i przełożony nad akcesoryami mają ogromne magazyny. Każda aktorka, jak bądź podrzędną gra rolę, ma swoją garderobę gdzie nie wolno wchodzić nikomu.

Brigham pojął, że jeżeli chodzi rzeczywiście o reformę teatru, to potrzeba przede wszystkim zacząć od kulis. Przed oczyszczeniem sceny, potrzeba rehabilitować artystów, dlatego zbudował salę do przebierania się i łożę dla swych aktorek. Lecz uczynił więcej jeszcze, bo na zachętę i przykład, powierzył rolę własnym córkom. Trzy z tych młodych sułtanek, Alicya, Emilia i Zina, należą do towarzystwa. Miałem zaszczyt być przedstawiony najmłodszej, żonie starego Clawsna, a wkrótce zostaliśmy przyja-

ciółmi. Objaśniła mnie ona w wielu punktach co do reformy i idei ojca jej o teatrze.

— Co się mnie tyczy—mówiła—nie lubię występować w komedjach, lecz ojciec mój życzy sobie ażebyśmy ja i siostry moje grały kiedy niekiedy, zdaje mu się albowiem że niema prawa ządać tego samego posłuszeństwa tylko od dziewcząt ubogich.

Brigham Young nie tylko musiał teatr reformować, ale po prostu go stworzyć.

Każdy dyrektor teatru mocnoby się czuł zakłopotanym, gdyby musiał szukać artystów po teatrach, z których najbliższy oddalony jest od niego na 700 mil. Artysty szukać trzeba wszędzie: w sklepie, w pracowni, za komptoarem, w córce rolnika, bo kobiety bogate pogardzają stanem aktorskim.

W Nowym Yorku, w Saint-Louis, w Chicago, teatr nie koniecznie słyńie jako szkoła cnoty, a zawodu aktorki nie wybierają dotąd jeszcze ojcowie z przyjemnością dla swych córek; to też i Brigham nie tai przed sobą, że usiłowania jego uczynienia teatru szkołą obyczajów, mają do walczenia z zastarzałym przesądem społecznym.

Jakieś obłoki niemoralne unoszą się nad teatrami całego świata, a miasta Ameryki Północnej mają sobie pod tym względem najwięcej do zarzucenia. Złe to pochodzi ze złych tradycyi, ażeby mu więc zaradzić, poświęca Brigham część siebie, to jest własne dzieci, jedyne osoby zdolne przeprowadzić w tej dolinie dzieło odrodzenia w tym kierunku. Z tej też wychodząc zasady, można Alicję i Zinę słusznie uważać jako dwie kapłanki, dwie dziewice obarczone obowiązkiem oczyszczenia sceny z dawnego plugastwa.

IV. ŚWIĄTYNIA.

Teatr spełnia tutaj w życiu społeczném także zadanie jak kościół w życiu religijnóm. Pierwszy jest symbolem przyjemności ziemskich, drugi typem przyszłej chwały. Salę widowisk zbudowano pośpiesznie, ponieważ widowiska należą do tych rzeczy, na które trudno czekać; świątynia przeciwnie będzie zbudowaną powoli, z powagą, jaka przystoi dziełu mającemu trwać wiecznie.

Mormoni pochlebują sobie, że mają dosyć religii we krwi, ażeby się obejść w razie potrzeby bez form religijnych. Słyszałem raz kazanie Bryghama do gromady wygnańców, i wyznają, że praktyczna strona tego przemówienia byłaby mnie mocno zdziwiła, gdyby nie moja poprzednia znajomość proroka, która mnie już należycie przygotowała. Oto mniej więcej tak się ono da streścić: „Bracia i siostry w Chrystusie! Pan wybrał was, a łaska Jego przywiodła was przez góry aż w tę tutaj dolinę, gdyż pragnie On przyspieszyć dojscie do skutku swego królestwa tu na ziemi. Zmęczeni jesteście i słabi po tak długiej wędrówce.

Odpochnijcie jeden dzień, dwa dni, gdy tego będzie potrzeba! A potem powstańcie i postarajcie się o sposób do życia. Nie łamcie sobie głowy nad obmyśleniem waszych obowiązków religijnych, gdyż Bóg wybrawszy was celem odrodzenia, nie porzuci was. Rozpatrzcie się w dolinie, gdzie was przywołała Opatrzność.

Pierwszym waszym obowiązkiem będzie nauczyć się jak rośnie kapusta, a przy kapuście kartofel, a przy nim pomidor i cebula. Potem nauczcie się wyżywienia nierogacizny, budowania domów, uprawiania ogrodów, hodowli bydła i pieczenia chleba, krótko mówiąc, pierwszym waszym obowiązkiem jest: żyć. Potem ci z pomiędzy was którzy nie mówią tylko po duńsku, francuzku i niemiecku, powinni nauczyć się angielskiego, tego języka Boga, języka księgi Mormonów, języka nowych świętych. Zaczniście od tych rzeczy, reszta przyjdzie z czasem. Niech będzie Bóg z wami i pokój Pana Jezusa Chrystusa."

Śmiało twierdzić można, że żaden naród w świecie nie łoży tyle pieniędzy na budowę kościołów co Mormoni. Dobrowolnie składają na kościół dziesięcinę ze wszystkich produktów; pierwszym zaś poleceniem jakie dają święci prozelytowi jest praca ręczna, jako ofiara, przez którą, według praw boskich, człowiek oczyszcza się z plam grzechu i otrzymuje spokój wieczysty. Święci pracują z zapałem, który inni obracają na polemikę. Nie pogardzają dyskusją, lecz przekładają motykę i rydel.

Dlatego rosną oni w pomyślność, gdzieby inni marnie zginęli z głodu. Inżynierowie utrzymujący, że setki innych ludzi nie znaleźliby w tej dolinie środków wyżywienia, nie mylili się tak bardzo, jak mógłby przypuszczać ktoś który się już przypatrzył dziełu Younga. Bridger stary kopacz gór Wasath, nie marnował nieopatrnie pieniędzy, gdy ofiarował po 1000 dolarów za każde ziarno zboża zebrane w tej dolinie. Ci którzy uważali tu kolonizację jako niemożliwą, myśleli zapewne o ludziach zwyczajnych kierujących się pobudką, zwyczajną i pospolitą, i mieli słuszność, gdyż tacy zginęliby w tych pustkowiach. Ziemia jest tutaj tak suchą, tak niepłodną, że mimo namiętności pracy Mormonów, nie mogą oni uprawiać naraz więcej jak cztery morgi, podczas gdy mieszkańcy Kansas lub Missouri uprawiają ich z łatwością czterdzieści. Gdyby nie nadzwyczajna czynność i pracowitość Mormonów, musieliby oni tak jak Denver, najdalej w przeciagu dwóch lat prosić o żywność Stany Ohio albo Indjany.

E. Lubowski.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Posiedzenie doroczne Akademii francuskiej. Raport pana Villemain—nagroda cnoty. — Szkoła wysokich studyów: Mowa ministra przy rozdaniu nagród uczniom w Sorbonie. — Tom Xty Rocznika literacko-dramatycznego pana Vapereau. — Podzwonne ś p. Belletrystyce. — Gustaw IIIci na dworze francuzkim przez pana Geoffroy. — Wiadomości literackie.

Akademia francuzka odbyła doroczne posiedzenie pod prezydencją hrabiego Carné: on wyliczał nagrody rozdaue cnotcie. Pan Villemain, sekretarz wieczysty, zdał sprawę z literackiego konkursu. Znawcy wytwornój krytyki, niecierpliwie zazwyczaj oczekują tego sprawozdania. Pan Villemain chociaż od niejakiego czasu nie zdrów, nie zawiódł oczekiwania swoich wielbicieli: choroba nie osłabiła bynajmniej jego władz umysłowych, przeciwnie, cierpienie dodało sądom jego bezstronności.

Najpierw głos zabrawszy, sekretarz wieczysty zwrócił uwagę na wrastające ciągle trudności akademickiego sprawozdawcy. Dzieł nadsyłanych na konkurs coraz więcej, pisarze coraz ważniejszych dotyczą kwestyi; na polu filozofii i historii, w powieściach czy w poezyi, wszędzie spotykasz trudne do rozwiązania problemy. Nie łatwo w takim razie orzekać o literackiej zasłudze, nie łatwo wskazać bezwzględną prawdę. Wśród dzieł tylu niepośledniej wartości, akademia musiała się ograniczyć na wyznaczeniu nagród utworom najwyżej pomyślanym i najmoralniejszym, które stanowią piśmiennictwo zdrowe.

W rzędzie pism takich, akademia stawia wzniosłe *Studyum Petrarki*, dokonane przez professora paryzkiego wydziału literatury, pana Mezières. Książkę tę rozbieraliśmy obszernie na tém miejscu przed kilką miesiącami. Pan Villemain polecając ją uważe powszechności, powiada: „Malowany przez pana Mezières wizerunek Petrarki, podnieca do czystości, wskazuje ideał doskonały. Rozmaitość opisów, wyprowadzone na scenę charaktery, przykłady

odwagi, dobroci, cnoty, przyjaźni, zamiłowanie piśmiennictwa, miłość ojczyzny, żywo tam zajmują czytelnika. Znacomity talent pisarski autora, utrzymuje to zajęcie w równej mierze od początku do końca." Rzeczywiście. Wiele uczuć tkliwych i poważnych budzi imię patrioty włoskiego, który w XVI wieku tak żywy wpływ wywierał na umysły: zachwyty najczystszej miłości, głębokie zamiłowanie nauki, namiętna miłość Italii, to żywioły Petrarki.

Obok tej książki której akademia dała dwutysięczną nagrodę, pan Villemain postawił drugą, równie nagrodzoną. Jestto profesora historyi pana Hubault uczona praca pod tytułem: „*Les Grandes Epoques de la France.*” Streszczając swoją ocenę sekretarz wieczysty powiedział, że to jest „ćwiczenie pamięci, rozsądku i czucia narodowego, ofiarowane młodym umysłom; kraj pokazany przez pomniki, odzwierciedlony w jego wielkich ludziach, naród określony kilku wybitnymi cechami swojego szczepu. Książka ta uczy kochać Francję i dobrze jej służyć.”

Powyższa praca nie jest obszerną: jeden tom illustrowany. Autor zaczyna od Vercingetorixa a kończy z Ludwikiem XVI na progu rewolucyi. Opowiadanie nie ciągłe, ale wybór scen i obrazów z epok w których się dokonała praca formacyi gruntowej kraju, w których rozwinęły się ustawy, w których chwala Francyi najżywiej zajaśniała w błyskawicach oręża. W te ramy autor wsunął wizerunki wielkich królów i sławnych mężów, którzy się najwięcej do wielkości Francyi przyczynili.

Wynika ztąd ważna nauka, że najwyższy wzrost geniuszom daje energia i ciągłość pracy. Stara Francya zbyt zapomniana przez nowe pokolenia, ukazuje się w tej książce po przez wieki w odległym blasku swęj prawdziwój jasności. Jestto niewątpliwie budująca książka dla francuzkiej młodzieży.

Przez Milet'a profesora filozofii, napisana „*Historia Descartesa przed 1637 rokiem*” otrzymała także dwutysięczną nagrodę. Autor wskazuje jak podróże i matematyka kształtowały geniusz, uwidamia jego pracę moralną, w geometrze i fizyku wskazuje spirytualistę. Widzimy Descartesa przed ogłoszeniem jego „*Discours de la Méthode.*” Wiadomo jak żywym światłem tryśło to pismo wśród ciemności rozmaitych systematów filozoficznych, które się pojawiły w Europie od XV wieku. Historia kształtowania myśli Descartesa skreślona przez niego w sławnej *rozprawie*, daje ochotę badania bliższego źródła, w których się poił i zapłodnił ów umysł potężny. To jest przedmiot pracy pana Millet: wskazując niedostateczność naukową metafizyki ówczesnej, przypisuje on potęgę myśli Descartesa badaniu nauk ścisłych. Millet mienj filozofią syntezą wszystkich nauk: jedność ich starganą, ona odbudowuje przez analizę.

„*Essais sur le droit public et privé de la Republique d'Athènes*” praca Jerzego Perrot otrzymała dwutysięczną nagrodę. Utalentowany pisarz potrafił okrasić pozornie jałowy przedmiot. Tom nagrodzony zawiera tylko prawo publiczne Ateńczyków, jego źródła

i organizacją prawniczą, ale zawsze to piękny obraz najpiękniejszej stolicy. Autor uwidamia ową żywotność, z powodu której wszechstronnie zajaśniali wielcy mężowie Aten. „Perrot opisuje i wielbi Ateny, ale nie spodziewa się drugich i nie stawia ich za wzór nikomu:” powiada Villemaine, definiując książkę kilką słowy.

Pana Audiat studyum *Życia i dzieł Bernarda Palissy* otrzymało także nagrodę od akademii. Życie tego artysty-garncarza, związane z ówczesnemi prześladowaniami religijnemi we Francyi, bardzo jest dramatyczne i budujące. Nie można bez wzruszenia czytać dziejów tego syna ludu, który z ubogiego i ciemnego chłopięcia, wyrosł na uczzonego i sławnego męża: całą swą naukę i sławę, Palissy sobie zawdzięcza.

Wielką nagrodę Goberta dano panu Dareste profesorowi literatury w Lyonie, za *Historję Francyi od jęj początku do panowania Ludwika XV* („l’Histoire de France depuis les origines jusqu’au règne de Louis XV.”) Okres od czasów barbarzyńskich do końca ubiegłego stulecia, autor zamknął w 6-ciu tomach. Jestto streszczenie historii, ale złożone z dat pamiętnych i ważnych wspomnień. Pan Villemain unosi się nad rozumnym układem tego dzieła. „Wolnomyślne i w pokojowym duchu napisane, powiada, doprowadzające do naszych czasów, otrzymuje nagrodę ustanowioną przez hojnego obywatela, na korzyść prawdy przeszłości i dobrych rad przyszłości.”

Drugą nagrodę Goberta dano panu Felixowi Faure za *Historję św. Ludwika*. Król-rycerz, którego zarówno wielbi Bossuet i Voltaire, dziś studyowany jest jako prawodawca: uznano, że ustawy jego są daleko wyższe od jego czasu.

Pan Villemain oznajmił powszechnie, że nagrodę Bordin’a ufundowaną na zachętę wysokiej literatury (3000 fr.), akademія przernaczyła tego roku margrabiemu Noailles za trzech tomowe dzieło p. t. „*Henri de Valois et la Pologne en 1572.*” Sekretarz wieczysty dość obojętnie mówi o tém dziele; powiada, że autor natchnął się językiem polskim i widokiem kraju; że początek téj pracy ważnym jest dla Francyi z powodu tragicznych wspomnień Coligniego, jego ufności w obietnice dworu i jego usiłowań służenia polityce którą uzbroili się później Henryk IV i Richelieu. „Autor, powiada pan Villemain, opisuje ówczesny stan Polski, jęj ustawy i zamieszki. Potém przystępuje do elekcyi i nowego panowania, do kresu którego wnet dobiega. Margrabia chciał zapewne uniknąć pisania naraz dwóch dzieł, albo przystawiania zbyt długiej przedmowy do zbyt krótkiego panowania. Ale ten warunek był nieodłącznym od przedmiotu. Żywość uczuć i opowiadania, poprawia tę nierówną całość. Dzieło jest całym życiem szczeru: historyk go szuka i opisuje w przeszłości, opowiada jego wady i niepowodzenia. Akademia nagradza to wymowne studyum.”

Nagrodę Thiersa dano p. Maryuszowi Topin, za dzieło p. t. „*L’Europe et les Bourbons sous Louis XIV.*” Książka ta, ułożona z dokumentów znajdujących się w archiwach ministeryum spraw

zagranicznych, wedle pamiętników pp. Torcy, Saint-Simon, Lafare i Villars, zawiera o stosunkach Francji z Polską w owej epoce i o pokoju Utrechtskim, wiele ciekawych szczegółów. Znać w pi-sarzu ucznia Thiersa, równa jasność i trzeźwość. Należała mu się ta trzechletnia nagroda trzech tysięcy franków, której historyk Napoleona I rzekł się i zostawił akademii na zachętę studyów historycznych. Topin opowiada ambasadę Poligniac'a w Warszawie, rady dawane przez niego Janowi III-mu, jego projektowane dla Polski przymierza, jego obecność podczas bezkrólewia i popie-ranie kandydatury francuzkiego księcia, który korony nie chce, słowem, cały ten ustęp z życia sławnego dyplomaty. „Ponieważ powiedział p. Villemain, książka ta powiększa sławę dyplomatyczną kardynała Polignac, wydatnia zdrowy rozum Ludwika XIV nawet po błędach długiego powodzenia; ponieważ oddaje sprawiedliwość godnej jego starości i ówczesnej Francji, akademia przeznacza temu dziełu nagrodę Thiersa.”

Akademia nagrodziła także książkę Alfreda Nettement, p. t. „*De la seconde éducation des filles.*” Chociaż autor tego nie mówi, książka jego jest widocznie napisana z okazji kursów publicznych otwartych dla dziewcząt w Sorbonie, które dały powód do żywej polemiki w Paryżu.

Pan Nettement jest przede wszystkim polemistą; walka, to żywioł jego świetnego umysłu; całą wiedzę używa na obronę swoich pojęć, ale w polemice zachowuje zawsze przyzwoitość i przekonywającą moc, którą daje jedynie silne przekonanie. Jestto zacięty przeciwnik skrzywionych pojęć moralności, które dziś są w modzie. Z tego powodu książka jego może być dobrym przewodnikiem dla rodziców chcących ukończyć wychowanie córek odebranych z pensyi. Autor czerpie swe rady z historii i rozwija takowe metodycznie. Świadomy dziejów i piśmiennictwa krajowego, napisał pięknych kilka kartek o pani Séwigné, pani Maintenon i przez nią ufundowanej pensyi Saint-Cyr; mówi także o Janu Jakóbie Rousseau i wychowaniu w XVIII wieku. Jestto użyteczna i przyjemna książka.

Pan Alfred Bonneau dostał medal wartości 1500 fr. za studjum p. t. „*Madame de Beauharnais de Miramon.*” Właściwszy tytuł tej pracy: historia miłosierdzia w XVII wieku. Pani Miramon była najpiękniejszym filarem dobroczynności w owych czasach, kiedy klasy wyższe myślały jedynie o zabawie i używaniu.

W dziale poezyi uwieńczono, tylko pana Theuriet tom wierszy p. n. „*Chemin des bois, poésies et poèmes.*” Wygłaszając nagrodę, p. Villemain uwiadomił, że na przyszłość akademia nie będzie zadawała poetom przedmiotu, tylko nagrodzi poemat złożony z dwustu wierszy, które najlepiej oddadzą myśli godne naszego czasu. Muza, z natury swojej nieposłuszna, nienawidząca komydy, zapewne z tego rozporządzenia będzie zadowolona.

Przedmiot zadany do nagrody wymowy, był „*Discours sur J. J. Rousseau.*” Otrzymał ją p. Gidel, professor retoryki w Li-

ceum Bonaparte. Talent tego pisarza znany. Jeszcze w 1864 r. professor Gidel dostał od akademii napisów nagrodę Bordin'a za uczony memoriał o *literaturze greckiej nowoczesnej*, od wieku XII—XV, w którymto okresie wskazał w Morei, Konstantynopolu i na Archipelagu, ślady francuskiej literatury średniowiecznej. Przedmiot obszerny wymagał znajomości języków starożytnych, wschodnich i średniowiecznej literatury francuskiej. Wszystko to posiada w niepospolitej mierze p. Gidel. Ze studyów jego wynika, że piśmiennictwo francuskie nieposiadające epopei jak *Iliada*, *Nibelungen*, lub *Boska komedya*, zaludniło jednak Europę figurami epicznymi. Nawet nowoczesna Grecya pożyczała od Francyi legend i bohaterów: w poematach greckich, Belizaryusz, ów ostatni obrońca Cesarstwa Rzymskiego, przybrał kształt kawalera *okrągłego stołu*, nieprzypominający bynajmniej konsularnych postaci wielkiej Rzeczypospolitej.

Po tém pierwszém powodzeniu, Gidel otrzymał od akademii francuskiej nagrodę wymowy za studyum: „*Sur la vie et les ouvrages de Saint-Evremond*.” Obraz kolorowy pierwszych lat XVII stulecia, ukazał w pełni talent autora.

Pan Gidel nie jest więc nowicyuszem w akademii. Dzisiejsze jego konkursowe studyum Jana Jakóba, pan Villemain zowie „dziełem doskonałym, tak pod względem sprawiedliwości poglądu jak talentu pisarskiego.” Przedmiot jednak był trudny, z powodu pełnej sprzeczności natury Jana Jakóba, filozofa-artysty, człeka pysznego i czułego, który wzbudził tyle namiętnych uwielbień i tyle gryzących nienawiści.

Gidel uczuł żywo i wymownie, wyraził co było wielkie i oryginalne w tej potężnej organizacyi; jednak surowo gani przywary i błędy Roussa, które się, stały jak mówi Villemain „niebezpiecznymi sofizmatami.”

Kilka ustępów z Rozprawy p. Gidel, czytał w końcu posiedzenia Kamil Daucet. Słuchacze przyjęli je rzesistemi oklaskami, i zawyrokowali, że uniwersytet paryżki może się poszczycić tak świetnym pisarzem.

Z powyższej, dłuższej, chociaż ogólnej analizy wynika, że tego roku wszystkie prawie nagrody akademii francuska rozdała za prace historyczne. Nigdy też rzeczywiście, nie poczuło tak ogólnie potrzeby przeglądania roczników przeszłości. Krytycy i uczeni dzisiejsi oddają się tej pracy z bezprzykładną gorliwością: rzekłbyś że umysł ludzkości w pełni posiadania siebie, usiłuje co prędzej odszukać tytułów swojego szlactwa.

— Pierwszą nagrodę cnoty, akademii dała tego roku murzynce imieniem Nimfa. Hrabia Carné pięknie opowiedział historią tej wyzwolonej niewolnicy, która skoro pan jój stracił majątek, żywi go własną pracą tając przed nim swoje poświęcenie.

Dawny właściciel Nimfy, niejaki Peillon, osadnik zrujnowany przez trzęsienie ziemi w Pointe-à-Pitre, żył jakiś czas w Tulonice

z okrucichów dawniej fortuny; ale fundusz ten nie długo się wyczerpał. Potem wspierała go rodzina, a skoro od niej zabrakło pomocy, poczciwa służąca postanowiła utrzymywać pana pracą rąk własnych, zostawiając go w przekonaniu że rodzina zawsze mu poświęca płaci. Chcąc utaić poświęcenie przed tym dla którego się poświęca, zacna ta niewiasta, chociaż już w podeszłym wieku, w nocy na chleb dzienny zarabia. Podczas kiedy pan jej śpi smacznie, murzynka bieży na brzeg morza i łowi tam ślimaki, które sprzedaje na targu przed obudzeniem pana. Kiedy wzburzone morze moczy biedną sługę, ona szczęśliwa, bo się spodziewa obfitego połowu za który kupi panu dobry obiad. Ale skoro słońce położy spokojne fale, skoro brylantowa pogoda ziemię i niebo raduje, serce Afrykanki ściśnięte... bo im dzień piękniejszy, tym połów mniejszy, a jak towaru braknie, zmuszona błagać pomocy poczciwych sąsiadów. Ci nigdy jej nie odmawiają, ale za jałmużnę żądali zwierzzeń... i tym sposobem wydało się jej bezprzykładne poświęcenie, inaczej niktby był o nim nie wiedział.

Zaprawdę, nagroda Montyona nigdy lepiej nie była użyta; to tylko szkoda że taka mała: trzy tysiące franków! Czémże są te pieniężne nagrody cnoty w porównaniu z temi jakie otrzymuje niecnota? Istna ironia! Szczęście, że prawdziwa miłość bliźniego znajduje nagrodę w sobie samój, poświęca siebie z takim o sobie zapomnieniem, że nietylko nie liczy na żadną zapłatę na tym świecie, ale nawet nie projektuje wyzyskania tym sposobem dla siebie od Pana Boga wygodnego miejsca w niebie. Bóg też „co radzi o swęj czeladzi” takim na ziemi rajskie wydzielił rozkosze: jedynie trwałém, niebiańskim szczęściem na tym padole płaczu, jest ta radość wewnętrzna, jaką daje ofiara z siebie złożona po prostu, bez myśli o jakiejbądź nagrodzie. Szkoda że p. Carné nie zwrócił na to uwagi słuchaczy: w kraju gdzie nic za darmo, wskazanie tej boskiej monety którą ubogie prostaczki dobroczyńcom swym płacą, dałoby może do myślenia.

W chwili egzaminów i popisów francuzkiej młodzi, najważniejszym jest raport ministra oświecenia, w którym tenże proponuje cesarzowi dwa ulepszenia nauczania publicznego: wprowadzenie *pracowni poszukiwań* (laboratoires de recherche) i założenie *szkoły wysokich studyów*.

Wprowadzenie laboratoryów do poszukiwań naukowych, otwiera zdolniejszym uczniom pracownice dziś wyłącznie przystępne profesorom: ulepszenie znakomite.

Szkoła praktyczna wysokich studyów, jest mniej prostym pomysłem i wymaga rozważli. Pan Duruy w swoim wydziale znalazł się w podobnym położeniu jak władza w swojej sferze działania: spostrzegł że mu brak ludzi. Rząd daremnie ich szuka: nie znajduje nikogo prócz Rouhera. Minister oświecenia umyślił stworzyć sobie profesorów, na których zbywa szkołom wyższym. Szukał spo-

sobów rozwijania współzawodnictwa naukowego, i postanowił założyć *szkółkę* młodzieży, którąby można zapewnić katedry wydziałów. Pan Duruy dostrzegł czego brak dzisiejszemu wychowaniu wyższemu we Francyi, i wie co uczynić należy żeby je podźwignąć. „Professorowie nasi, powiada, przemawiają do powszechności zmieniając się co lekcyja, przybyłej dla słuchania przez godzinę mówcy przyjemnego, powszechności nie znoszącej czysto naukowego wykładu. Muszą więc nadawać swoim wykładom kwiecistość wymagającą wiele pracy. Czas użyty na tę wygładę, nie stracony: lekcyje wykintne, dowcipne, często oklaskiwane, podnoszą poziom oświaty powszechniej, a w czasach w których improwizacya literacka popłaca, utrzymują zamiłowanie w naukach trudnych i mozolnych. To już wielka usługa oddana krajowi. Niech nasze wydziały ściągają i nadal licznych *słuchaczy*, ale dajmy im także środek zatrzymania przy swoich katedrach i tworzenia *uczni*.”

Nagana lekkich wykładów paryzkich professorów zbyt łagodna. Zamiast podnosić poziom ogólnej oświaty i utrzymywać zamiłowanie nauk trudnych, professorowie w paliowych rękawiczkach przyczyniają się do rozpowszechniania nauki powierzchownej, której szerzeniu się we Francyi zapobiedz należy. Duruy przedsięwziął tedy, wykluczyć z wysokich studyów psujący je dylettantyzm, a zastąpić go erudycją, która sama jedna może je odrodzić. Obaczmy teraz jakimi środkami minister zamierza dojść do tego celu.

Jaka jest *szkoła wysokich studyów*, której potwierdzenie otrzymał minister? Jaka jej myśl zasadnicza? Myśl tę wyraża pan Duruy w swoim raporcie.

„Nauka, powiada, jest wprawdzie ciałem doktryn, których się można nauczyć w sali kursów, ale jest także narzędziem, którego trzeba używać; ażeby go zaś umieć użyć, nie dość słyszeć profesora mówiącego, trzeba się wprawiać w użytkowanie.” Uwaga ta stosuje się nie tylko do nauk przyrodzonych, ale w pewnej mierze do filologii i historii. Trzeba uczyć się pracować; trzeba wiedzieć jak się obchodzić z tekstami, jak czynić poszukiwania: słowem, trzeba umieć się uczyć.

Tę naukę pan Duruy zamierza dać młodzieży w sposób dwójaki: wyznaczając im korepetytorów kierowników, i otwierając zakłady naukowe, ażeby ich nauczyć patrzeć własnymi oczyma i robić własnymi rękoma.

Wszystko to w teorii bardzo rozsądne. Będzie korzyść widoczna z wyciągnięcia większego pożytku dla nauk z zakładów takich jak obserwatorium, muzeum historii naturalnej, paryzkie muzea archeologiczne i archiwa. Wszystkie te zakłady mogą oddawać większe usługi, niż oddają będąc przystępne jedynie uczonym lub specjalistom.

Chwalebne także rozporządzenie dające uczniom *szkoły wysokich studyów* możność dojścia do doktoryzacyi i katedry nauczania wyższego, daleko krótszą drogą niż zwykła, nader długa, wiodąca koniecznie przez stopnie naznaczone programem. Wszystko tu zale-

ży od zdolności. Owóż zasługa kandydata do katedry, da się oznaczyć innymi sposobami jak egzamin w przedmiotach oznaczonych, albo konkurs publiczny. Minister dobrze czyni, że tak otwarcie występuje przeciw przesądowi programu, egzaminom, stopniom: daje sobie tym sposobem więcej ludzi do wyboru i większą wolność wyboru.

Ostatni paragraf dotyczy missyi naukowych za granicę, które zwierzchność będzie poruczać uczniom *szkoły wysokich studyów*. Jeżeli przez missye minister rozumie ułatwienie akademikom francuzkim zwiedzania uniwersytetów zagranicznych, słuchania tam niektórych wykładów, poznania innych ustaw i metod, przejęcia się tam duchem nauki na którym francuzom zbywa, takie missye mogłyby wydać wyborne owoce: same jedne stanowią już przeobrażenie wysokich nauk. W tém, pan Duruy usłuchał rad ludzi biegłych w przedmiocie wyższego nauczania.

Cała trudność w wykonaniu projektu.

Duszą nowej ustawy jest komisyja nieustająca, postawiona na czele każdego wydziału szkoły, i rada wyższa dająca jój kierunek. Te ciała będą orzekały o przyjmowaniu uczni, o bursach do rozdania, o uwolnieniu od stopni, o missyach naukowych. Wszystko za tém, będzie zależało od składu tych rad: tyleż będzie warta ustawa ile stosujące ją osoby.

Nie może być inaczej. Projekt ministra ma głównie na celu wydzwignienie wysokich nauk z wyboju uniwersyteckiego, rutyny stopnia i programu. Ale od programu i rutyny wyzwolić się można jedynie zwiększając swobodę decyzji i oceny osobistój. Wtedy wszystko zależy od wyboru osób powołanych do kierowania i orzekania. Najlepszy egzamin taki, w którym egzaminator jakim zechce sposobem przekona się o zdolności kandydata, ale pod warunkiem, że egzaminujący będzie nie tylko człowiekiem kompetentnym, ale prawdziwie wyższym: postaw na tém stanowisku człowieka miernego, uczonego pedanta, a nie otrzymasz żadnego skutku.

Tu więc skała o którą się rozbić może cały plon nowój siejby. Pan Duruy weźmie ludzi jakich ma pod ręką, to jest uczonych składających ten właśnie uniwersytet, o którego ulepszenie chodzi, mających właśnie te przestarzałe tradycje, których pozbyć się trzeba. Minister składa swoją radę wyższą z dostojników, figur rządowych, pomiędzy którymi są zapewne ludzie niepospolici, a nawet zdolni do nowego zadania, ale po większej części koniecznie niezgodni z duchem, który pan Duruy chce wprowadzić w wychowanie publiczne.

Taka jest fatalność ustaw: stwarzają one obłądne koło. Rząd osobisty chciał tu dać wolność. Minister oświeccenia chciałby wychowanie publiczne zwrócić do poważnych studyów. Może do tego dojdzie w naukach ścisłych i obserwujących, które z natury swojej lepiej przypadają do postępu tego rodzaju; ale co do filologii i historii obawiać się można, że *szkoła wysokich studyów* nie wyzwoli francuzów z lekkomyślnych wykładów i panowania retoryki.

W przemowie mianój na konkursie powszechnym w Sorbonie, pan Duruy dał zadawalniające wiadomości w przedmiocie wychowania elementarnego i wyższego. Powiedział, że Ciało Prawodawcze połączyło usiłowania swoje z usiłowaniem rządu w przedmiocie oświaty. Do wydatków jakich wymaga uzbrojenie i prace publiczne, Izba dodała fundusz jeszcze nie dostateczny ale drogocenny, ku rozwinięciu zakładów szkolnych, pomnożeniu narzędzi nauczania, ulepszeniu warunków professorów i daniu uczonym udoskonalonej bronii, której oni téż potrzebują w wielkich walkach przedsięwziętych ku zdobyciu prawdy. Sam budżet wychowania wyższego powiększył się o przeszło 600,000 franków. „Dzięki téj chojności, stanie nowa szkoła. Nie będzie ona kształcić oficerów, jak Saint-Cyr i szkoła politechniczna; professorów, jak szkoła normalna; przemysłowców, jak szkoła centralna; inżynierów, jak szkoła dróg i mostów, min i *Constructions navales*; prawników i lekarzy, jak wydział prawa i medycyny: będą ztamtąd wychodzić uczeni. Chcę powiedzieć, że tam wchodzić będą w warunkach najlepszych do pracy płodnej, ci którzy poczują w sobie szlachetną żądzę dociekania tajemnic natury i ludzkości.”

Tu minister wyliczał dobrodziejstwa *szkoły wysokich studyów*, poczem dał kilka liczb dotyczących wychowania dorosłych.

Tej zimy mimo głodu i wynikłego ztąd niedostatku, blisko 800,000 osób uczęszczało we Francyi do szkół wieczornych, gdzie 39,000 professorów czekało na nie z wykładem. Obok 33,000 szkół dobrowolnych, w ciągu czterech miesięcy utworzył się budżet, także dobrowolny, 2,200,000 franków. „Uważajcie panowie, dodał w końcu minister, ten fakt pocieszający począwszy od szkół elementarnych, gdzie cisną się tłumy, aż do wielkich naszych zakładów naukowych, gdzie znakomici professorowie wykładają, wszczął się ruch umysłowy który podnosi dusze: *mens agit molem*.”

„To téż, chociaż talenta objawiają się rzadziej w formie w jakiej przywykliśmy je widzieć i wielbić, chociaż sztuka pisarska dziś zbyt rzadko zachwyca umysły subtelne; mniemam, iż się gotuje dla nauki potężne życie umysłowe: pamiętam że Descartes, Pascal, Fermat, spółcześni Kepler'a, Bacona i Galileusza, byli zwiastunami naszego wielkiego wieku literackiego.

„Wy, professorowie, którzy dźierzycie źródła tego wyższego życia, zachowujcie je zdrowe i pokrzepiające. Niech z nich młodzież czerpie zamiłowanie dobra i piękną, miłość ojczyzny, poszanowanie praw i poczucie obowiązków, które samo jedno dają prawa.”

Donosiliśmy o rozpoczętój, z rozkazu ministra oświecenia publickacyi raportów o postępie nauk i piśmiennictwa we Francyi; Publikacya ta, natchniona wystawą powszechną, już ukończona. *Postęp* jej hasłem, minister zażądał żeby wykazano postęp we wszystkich gałęziach wiedzy; wielkość i płodność ustaw obecnie Francyi rządzących, miały wynikać z każdego raportu. Redaktorowie

mieli, bądź co bądź, skreślić pochwałę czasu bieżącego. Dodawszy do tego przymusowego programu, współzawodnictwa i kamraderye, zrozumiemy, że przedsięwzięcie musiało stać się podobne do wystawy, musiało zostać zbiorem świecideł rozłożonych dla olśnienia gawiedzi. Historia piśmiennictwa za drugiego cesarstwa, jeszcze nie napisana.

Na szczęście, dokumenta do tej historii istnieją. „*Rocznik literacki i dramatyczny*,” który pan Vapereau wydaje od lat dziesięciu, jest notatą wszystkiego co napisano w tym okresie, a zarazem dość bezstronną krytyką.

Na czele dziesiątego tomu który wyszedł obecnie, Vapereau daje rzut oka na stanowisko literatury we Francji. W tym poglądzie ogólnym, nie patrzy z właściwego stanowiska. „Nasza literatura dzisiejsza, mówi, niema się wprawdzie z czego pysznić, ale też nie jest tak ubogą jak twierdzą systematyczni nieprzyjaciele naszego czasu.”

Inaczej należy postawić tę kwestyę. Ubóstwo, bezpłodność, to wyrazy, w których się trudno porozumieć. Chcąc ocenić epokę, jedyny sposób porównać ją z inną. Porównajmy ostatnie lat dwadzieścia z trzydziestu poprzedzającymi, a obaczmy jak uderzający jest upadek. To jedyny środek porozumienia. Oceny stanu umysłowego, jak oceny pogody: jeden mówi że zimno, drugi że ciepło, pytający nie wie czego się trzymać. Ale jeżeli spytasz jaka była temperatura wczoraj, a jaka dzisiaj! termometr wnet trudność rozwiąże.

Do sprawiedliwej oceny stanu francuzkiego piśmiennictwa kilka dat wystarczy. Weźmy je co lat dziesięć, idąc od Restauracji aż do roku 1867, którego bogactwa wylicza pan Vapereau. W 1817 umiera pani Staël: przyznać trzeba, że w piśmiennictwie też coś z nią umarło. W 1827 wychodzi *Kromwell* Hugona, manifest szkoły, która, nie powiem że zostawiła głębokie ślady w piśmiennictwie francuzkiem, bo przeciwnie uderzony jestem lekkością tego śladu, ale który rozpoczyna zawód wielkich poetów. W r. 1837, wychodzi *Mauprat*, *Jacques*, *Andre*, powieści, które jeżeli nie dały całej miary talentu autora, naznaczyły jego doniosłość. Te rozpoczynają szereg znakomych utworów innych pisarzy, których nazwiska przywodzą cały świat wspomnień, a których domniemanych następców nie widzimy...

Idźmy dalej. W 1847 wychodzą „*les Girondins*,” książka której nie należy sądzić doświadczeniem i oziębłością, dzisiejszą: jestto ostatni oblok ognisty, w którym zniknął poeta. W 1857 umarł Musset, przedstawiciel ostatni trzydziestoletniej literatury francuzkiej, krytyk poeta, który zamyka ten okres oceniając go sprawiedliwie, pisarz który nie tylko nie zmalał, ale rósł do ostatniej chwili. Po jego śmierci, można śmiało powiedzieć, że era literatury pięknej we Francji zamknięta.

Wyrokując tak, nie myślimy wcale powstawać na nasze czasy: jestto najgubniejsze uprzedzenie. Człowiek który chce zostać

żywym, powinien być w ciągłej magnetycznej komunikacji z terażniejszością, ona bowiem, jak natura, jest daleko silniejszą od nas i pełną niespodzianek. Nie żądamy tedy nie rozsądnie od czasu terażniejszego żeby był reprodukcją albo dalszym ciągiem czasu przeszłego. Broń Boże! znamy prawo postępu w sztuce i w nauce; twierdźmy, że sztuka się rozwija kiedy z wieku na wiek inaczej pozostając zawsze w zgodzie z pięknnością. Niech nam drugie Cesarstwo pokaże swoją literaturę, a pewno nie zarzucimy jej że nie wyobraża już dawnych autorów i dawnego sposobu myślenia; niech nam drugie Cesarstwo pokaże swój ruch umysłowy, swoich znakomitych pisarzy, czytelników, zajęcie ogólne spekulacją *nieproduktywną*, jakąś uprawę umysłową, dystynkcyą; wzniosłość myśli, która stanowi literaturę piękną, jak dobre zachowanie ukształconą społeczność: niech nam pokaże kilka książek znaczących, książek takich które sobie jedno pokolenie wyrывa a drugie odczytuje: niech nam pokaże jedno arcydzieło, a skłonimy się nisko przed jego umysłową potęgą.

Ale niepodobna pokazać czego niema.

Któż dziś odczytuje? Mało kto nawet czyta. *Przeglądy* opuszczone, Francuzi przeglądają dzienniki... i to jeszcze większość znajduje, że gazety polityczne zbyt są poważne, ledwie świstki zabawne zniesie: *Mały dziennik* i *Latarnia*, dzisiejsza literatura francuzka!

Utyskując na literacką bezpłodność naszych czasów, nie zapominamy o kilku pisarzach, którzy w pewnych zaletach nie ustępują autorom z epoki poprzedniej; ale ci są odosobnieni, z niczem nie powiązani, nie odpowiadają żadnej potrzebie ogółu. Autorowie ci, są błędnymi ognikami, które zdradzają zgniliznę? Może to zwiastuny nowej ery? chociaż, pomiędzy nami mówiąc, wydają nam się na to zbyt zręczni a za mało naiwni. W każdym razie, oni nie stanowią tego co się zowie piśmiennictwem.

Wszystko się z sobą wiąże. Gdyby tylko o literaturę chodziło, nie ufalibyśmy naszemu sądowi i smakowi. Ale weźmy inne sztuki, literatura jest bowiem sztuką we Francji, przejrzyjmy malarstwo, porównajmy dwie wystawy: wystawę powszechną 1855 i wystawę 1867 roku. Przypomnijmy sobie jak wyglądała szkoła francuzka na pierwszej z tych ekspozycyi, przypomnijmy owe przepyszne sale, któreśmy wam opisywali przed dwunastą laty, gdzie tak różnorodnie błyszczały genjusze, objawiały się tak potężne usiłowania... Potem spojrzjmy na bezduszną biegłość, która nas uderzała na zeszłorocznym konkursie: przepaść dzieli te dwie wystawy!

A dzisiejsza architektura? A te nowe kościoły? te nowe paryzkie domy co stoją jak szafy o ośmiu szufladach ustawione w linii pod sznur wyciągniętej. Dlaczego rada miejska nie ograniczyła się na podwyższeniu nam opłaty od wody i światła, na rozszerzeniu ulic i skróceniu odległości? Czemu stawiają marmurowe

świadczenia skażenia swego smaku. Nowe kościoły, nowe teatra, wszystko to słabe a preteazyonalne. Nie które nowe budynki jak izba handlowa, można nazwać zbrodniami dokonanymi na estetyce.

Nie jeden pyta, jak się to dzieje, że za czasów Fidiasza lub Odrodzenia, poczucie piękna było wszędzie? że wszystkie sztuki, wszyscy artyści zdają się ożywni jednóm wzniosłóm natchnieniem? że twory najrozmaitsze noszą toż samo piętno dobrego smaku? Teraz wykryła się tajemnica: tak było wtedy z pięknem jak dziś z brzydotą. Wszystko się wiąże w jednym okresie: epoka ma swój charakter, albo swój brak charakteru. Są wieki wielkie, czarowne, niszczące, budujące, śpiewające, handlujące, frymarczące, a jakibądź jest geniusz wieku, wszystko się nań składa przez jakieś zjednoczenie tajemnicze. Cesarstwo nie jest może przyczyną wszechstronnego zniżenia Francji, jest może jego wyrobem.

Po tém, nie trudno wyciągnąć dalsze horoskopy upadku literatury, gdyż powtarzam, na konanie jej patrzymy. Francuzi będą dalej budowali, malowali, *upiększali*, ale uprawy piśmiennictwa pięknego zaniechają; będą władać piórem coraz więcej, ale już nie będą pisać: stanie się z literaturą, jak z poezją. W przeszłym liście staraliśmy się wykazać dlaczego poezya ustępuje miejsca prozie; też samą myśl rozwinąwszy, zrozumiemy dlaczego proza piękna, powoli znika ustępując miejsca prozie powszedniej.

Piękna proza ma to wspólnego z poezją, że zależy na doborze wyrażen. *Belletrystyka*, to zbiór wytwornego wystowienia myśli wyższego rzędu, wyrażen obrazowych, dowcipu, przenośni, wszystkiego co wykwiłne, malownicze, uderzające, co wzrok czaruje, zachwyca uszy, umysł na wyższy ton naciąga. Posługiwać się pierwszém lepszém słowem, w którem nie znać ani nauki ani dowcipu, używać wyrazów płaskich, powszednich, to nie wysławiać myśl, ale gadać bezbarwnie: to nie pisać, ale notować.

Są dwa rodzaje wystowienia: powszechne i wyjątkowe, czyli literackie. Literatura jest sztuką. Owoż, sztuka wymaga dwóch rzeczy: kunsztmistrzów i publiczności, któraby ich rozumiała. Żeby sztukę piastować i rozumieć, trzeba pewnej swobody umysłu, wzniosłego kierunku myśli, rozbudzenia życia duchowego; trzeba wykształcenia, pogody, chwil wolnych od powszedniej troski. Tego wszystkiego brak nam dzisiaj. Dla tego nie mamy ani wielkich artystów, ani czcicielów sztuki, ani wielkich pisarzy, ani znawców, ani autorów, ani czytelników.

Nie ma pisarzy, kiedy, co na jedno wychodzi, wszyscy piszą. Każdy bazerze dlatego właśnie, że już nikt nie pisze. Belletrystyka znikła, bo dobry smak, przygotowanie do niej potrzebne, a nasz wiek już nie rodzi takich delikatnych i powoli dojrzewających owoców. Przestają myśleć *nie produkują*, odkąd czas stał się pieniądzem. Żeby pisać, trzeba mieć coś do powiedzenia; że mowa tylko o interesach, styl handlowego listu wystarczy. Giełda też

układa dziś słowniki, a telegraf obcina frazesy jak szpalery, nie dbając czy liść przetnie, czy kwiat opruszy, czy otrzęsie owoce...

Pisarze czujący potrzebę dobrego wysłowienia nie długo będą tak opuszczonemi jak poeci. Myśl powszechności gdzieindziej: poszła na podbój materialnego świata; wyszukuje, kopie, kuje, handluje, zbiera pieniądze. Każdy dobija się dla siebie słonecznego miejsca; wolnego czasu coraz mniej. Bogatymi są *z bogaceni*, którzy nie otrzymali zamłodu wykształcenia. Wykształcenie literackie jest już rzadkością; nie długo będzie osobliwością. Jeszcze lat kilkanaście, a na literata ludzie patrzeć będą z szyderczym podziwem z jakim już na uczonych spoglądają. Uwaga, interes społeczności gdzieindziej. Demokracja rośnie... a demokracja to podnoszenie poziomu powszechnego a zniżanie wierzchołków. Demokracja, to mierność, właśnie dlatego, że to panowanie tłumu.

Ludzkość materialnie z tego kierunku skorzysta, ale czy umysł ludzki nic na tém nie straci? To pytanie.

Nie dawno, pewien wykształcony francuz chwalił nam *Mały Dziennik* mieniając go wielkiem dziełem tego wieku; widział w nim nauczyciela który uczy Francją czytać. Zgoda, odparłem, ale kto zaręczy, że Francya nie pozostanie przy tym elementarzu? Kład jęj przyjdzie apetyt na inny chleb duchowy? Czyż mniemasz, że przyjdzie czas w którym już nie będzie ani oraczy ani rzemieślników, w którym każdy będzie mógł badać starożytność, uczyć się historii, wysysać belletrystykę? Już to nie klasy tak zwane wyższe, podniosą do siebie niższe, ale przeciwnie: te zniżą tamte. Powtarzamy: średnia się podniesie, ale kosztem kwiatu oświaty, który jest pięknością i wonią społeczności.

Świat dzisiejszy ma czas tylko na dwie rzeczy: na pracę która daje mu chleb, i zabawę która go od téj pracy odrywa. Ale zabawa ta nie potrzebuje być wykwintną, przeciwnie: powinna być energiczna a łatwa: we wszystkim do Amerykanizmu dążymy.

Nie skarżę się na to, tylko stwierdzam. Co na tém tracą potęgi literackie, zyskuje dobry byt ogólny, jednak czasami nasuwa się pytanie, czy ludzkość nie straci z jednej, co zyska z drugiej strony? Czy społeczność może się obejść zupełnie bez geniusza i smaku, bez literatury i sztuk pięknych? czy podniesienie względne mass, nagrodzi całkowicie nieobecność wielkich ludzi, którzy wielkimi czynili wieki, których imiona były we wszystkich ustach, dzieła we wszechpamięci, a których wpływ w końcu przenikał aż do najniższych warstw społecznych i przeobrażał, mimo ich wiedzy przyszłe pokolenia?

Nie usłyszymy odpowiedzi dalekiej przyszłości.

Pan Geffroy wydał w dwóch tomach dzieło historyczne pod tytułem „*Gustave III á la cour de France.*” Jak wiadomo Gustaw III król Szwedzki, ten którego zamordowano 1792 roku na maskaradzie, przekazał swoje papiery bibliotece Uniwersytetu w Upsalu,

z poleceniem żeby je rozpieczerowano dopiero w pięćdziesiąt lat po jego śmierci. Dziś te papiery są przystępne dziejopisom; z nich pan Geoffroy wziął główne materyały do biografii Gustawa III, powiększył dzieło wiadomości wyczerpnęte z archiwów francuzkiego ministerjum spraw zagranicznych.

Historya napisana sposobem francuzkim: autor pojmuje swój przedmiot artystycznie, tworzy malownicze grupy, uwydatnia w obrazie główną figurę i stawia ją w pełnym świetle. Dzieło ma jeszcze inny powab: w stosunkach Gustawa z Paryżem na tle historyi szwedzkiej, odbija się jak w zwierciadle, historia ówczesna Francyi.

Francya była wtedy mentorem Europy. Nie tylko kopowano wydane przez nią wzory, tłumaczono jęj książki, politycy nawet od nięj brali przykłady i przejmowali jęj teorye. Jako silne królestwo, była pierwowzorem władzy monarszjęj. Naczelnicy innych państw, naśladowali dwór i rząd wersalski. Monarchowie Północy mianowicie, usiłowali u siebie zaprowadzić taką władzę jaka była we Francyi. Karol XI w Szwecyi oparłszy się na niższych stanach, zgniółł arystokracją.

Jednak, szlachta szwedzka szczęśliwsza od francuzkiej, wzięła znów przewagę, chociaż nie na długo, bo nie umiała z tęj przewagi wyciągnąć korzyści dla ogólnego dobra. Są tylko dwa państwa, w których arystokracya umiała rządzić: Rzym i Anglia.

Cóżkolwiekbydz, sejm szwedzki po śmierci Karola XII wyszedł z nicestwa w które wtrąciła go władza monarsza, znów ujął ster rządu i oddał go w ręce szlachty. Konstytucya 1720 roku uczyniła ze Szwecyi rzeczpospolitą arystokratyczną. Sejm sam tylko mógł się rozwiązać; dzierżył absolutną władzę prawodawczą; wyrokował o pokoju i wojnie, królowi tylko nazwa została.

Taki stan rzeczy trwał przez lat pięćdziesiąt, aż do zamachu stanu Gustawa IIIgo. Ten półwiekowy okres nazwano *czasem wolności*. Nazwa byłaby trafna, gdyby wolność zasadzała się na ograniczeniu lub skasowaniu władzy monarszjęj. Ale potrzeba prócz tego jeszcze wiele innych rzeczy: trzeba żeby swoboda nie była swawolą, żeby zapewniła pomyślność i wielkość kraju; trzeba żeby ta wolność była wolnością dla wszystkich: trzeba nakoniec żeby stała zawsze na wysokości obowiązków jakie wkłada.

Inaczęj działo się w Szwecyi. Członkowie sejmu ubodzy sprzedawali się dworom zagranicznym. Położenie wewnętrzne stawało się z każdym dniem trudniejsze. Zagrożona przez Rosyją, popierana przez Francyę, Szwecya podzieliła się na dwa stronnictwa: rossyjskie i francuzkie, zwane wtedy partyą *czapek* i partyą *kapeluszy*. To ostatnie stronnictwo wojenne, wzięło górę, i wtrąciło kraj w siedmioletnią wojnę.

Takie było położenie Szwecyi, kiedy książę Choiseuil stanął u steru rządu we Francyi. Ten, dla jęj dobra uznał za stosowne utworzyć w Szwecyi partyę tronową; sądził że będzie miał w Szwecyi tęp pewniejsze narzędzie, im ona więcéj do monarchii abso-

lutnej powróci. Okoliczności przysługiwały mu w tym zamiarze. Domniemany następca tronu, ten który miał panować pod nazwą Gustawa IIIgo pragnął odzyskać prerogatywy królewskie, był gorącym zwolennikiem Francji. Takiego właśnie człowieka potrzebował książę Choiseuil: minister uznał że Gustaw potrafi podnieść tron i przed niczem się nie cofnie żeby tego dokazać.

Gustaw urodził się 1746 roku. Ojciec jego był niedołęga; matka, siostra Wielkiego Fryderyka, była piękna, rozumna i dumna. Król przyjmował spokojnie upokorzenia od sejmu; ale królowa znosiła je z trudnością. Stany spostrzegłszy niecierpliwość z jaką Ludwika-Ulrycha dźwigała jarzmo, starały się cięższém je uczynić. Oskarżyła ją szlachta że zastawiła klejnoty koronne żeby zapłacić swoich stronników. Wynikło ztąd śledztwo i surowa nagana dla króla. „Królowa—było tam powiedziano—przybyła do tego królestwa żeby być małżonką Waszjej Królewskiej Mości, nie na to żeby powiększała trudności rządu.” Siostra Wielkiego Fryderyka wszystkie urazy swoje do szlachty przekazywała synowi. Nie ona jednak go wychowywała. Sejm wzięwszy ten trud na siebie, dał królewiczowi za gubernera hrabiego Tessin, jednego z naczelników stronictwa *kapeluszy*.

Hrabia Tessin spędził część życia w Paryżu, gdzie go d'Argeuson przezwiał szwedzkim Lukullusem; lubił sztuki, pisał romanse. Są jego „*Listy starca do młodego księcia*” które miały wziętość w czasie kiedy wszyscy zajmowali się pedagogią, kiedy mniemano że wychowanie panującego ulepszy społeczność. Wydrukowany z rozkazu stanów, ten utwór Tessin'a, został przetłumaczony na wszystkie języki.

Tessin był ideałem ówczesnego mentora. Sam opowiada, że co rano, podczas kiedy ubierano królewicza, on pokazywał mu obrazki rozmaitych rzemiosł naśladując głosem i gestem ruchy i odgłosy tych robót. Instrukcje i rady dla swojego ucznia pisał wierszem. Niektóre są bardzo pocieszne. I tak np. radzi *siedmiolatniemu* Gustawowi żeby się strzegł „palących pocisków.” Nauki polityczne Tessin'a nie mniej górnym stylem wyrażone jak lekcje moralności. Wszczepiając w ucznia poszanowanie czterech stanów królestwa, porównywa je do żywiołów: „szlachta jest *ogniem*, przez swój zapał wojenny; duchowieństwo *woda*, przez spokój swojego zadania i obowiązek powściągnięcia namiętności; mieszczaństwo, to *powietrze*, przez zdolność roznoszenia handlu po całym świecie; włościanie są *ziemią*, przez przywiązanie do roli.”

W dziesiątym roku życia Gustaw miał za gubernera hrabiego Schoffera, jeszcze więcej niż Tessin przywiązanego do szwedzkiej konstytucji, którą uważał za najdoskonalsze dzieło jakie z rąk ludzkich wyszło. W jego programie nauk, stoją obok siebie: prawo naturalne i ludzkie, moralność, logika, metafizyka, arytmetyka, fizyka, rolnictwo, handel i przemysł.

Uczeń nie wiele jednak korzystał z tak rozległej nauki, Stany wymagały żeby im zdawano sprawę z postępów królewicza;

w raportach czytamy: „Króliewicz niema zdolności do kalligrafii, ortografii, ani gramatyki; geografii wcale niezna: wstręt jego do pracy jest nieprzewyciężony. Daleki od wszelkiej poważnej myśli, od wszelkiego uczucia religijnego, ma serce puste i pustą głowę.”

Zdaje się jednak że Gustaw musiał mieć trochę sprytu i trochę pamięci, kiedy się nauczył na pamięć *Henryady*. Wolter płakał z radości dowiedziawszy się o tém. „Prawda, rzekł, żem ją napisał dla nauki królów, ale nie spodziewałem się że wyda owoce nawet na Północy. Umieram zadowolony, za lat pięćdziesiąt już nie będzie przesądów w Europie.”

Marmontel nie mniej rozczulony myślą o szczęściu jakie młody monarcha obiecuje światu. Gustaw napisał do niego list który oblewając łzami Marmontel woła: „Nigdy w życiu nie doznałem tak głębokiego i lubego wzruszenia.” Czyniąc postowi szwedzkiemu w Paryżu to zwierzenie, francuzki filozof dodał: „Jakżeś szczęśliwy że możesz zwać *swoim księciem* ten wzór monarchów!”

Zaprawdę, ów rozumny wiek XVIIIsty ma swoje kawałki wcale nie mądre...

Brakowało już tylko Gustawowi niedorzecznego ożenienia: pomyślano i o tém. Miał lat ośm kiedy Stany zaręczyły go z córką króla duńskiego. Matka króliewicza niechętnie na ten związek patrzyła. Spełnił się niemniej, przeto. Małżeństwo zawarte 1766 roku, było o ile możności najniezszczęśliwsze. Księżniczka była tak zimną, że ją przezwano statua Komandora; mąż jój tak nie lubił, że z nią nie żył, zkąd świekra, Ludwika Ulrycha, powzięła wątpliwość co do urodzin Gustawa IV.

W dwudziestu pięciu latach, w chwili kiedy śmierć ojca miała go powołać na tron, margrabia de Bouillé w pamiętnikach skreślił następujący wizerunek Gustawa III: „Twarz długa, rumiana; oczy duże, bardzo żywe; czoło po lewej stronie spłaszczone dziwnie; nos długi, orli; fizyonomia otwarta.” Pan Geoffroy daje jego moralny obraz, nie bardzo pochlebny. „Praca nigdy nie skupiła uwagi Gustawa: miał nieuleczoną lekkość charakteru i umysłu. Do tego próżność ogromną, która rozwinięta przez niegruntowne wychowanie, dała mu przesadzone pojęcie o zaletach i przywilejach jego osoby. Jednak ponieważ był bystry z natury, przyswoił sobie nieco szlachetnych pragnień XVIII wieku. Nie jednostajny i niestały, skłonny do zwierzeń i wybuchów, Gustaw był stworzony na ofiarę zasadzek dyplomatycznych, stworzony do podpalania wojen niezszczęśliwych. Porywczosć i nieogłędność, uczyniły zeń na ówczesnej scenie świata figurę zajmującą i dramatyczną.”

Dramatyczną niezmiernie! poczuł to Auber i Verdi. Czy zajmującą? to pytanie. Gustaw III był pyszałkiem dość powszednim, pół oszukiwanym a pół oszukującym liberałem, który na większą chwałę filozofa, zaprowadził w Szwecyi monarchią absolutną w stylu Ludwika XV. Francuzów naśladował całe życie: uważał siebie za ucznia tej społeczności, którą znał tylko powierzchownie. Wielka tedy była jego radość, kiedy książę Choiseul zaprosił go do Francyi

dla widzenia się z królem; jeszcze większa, kiedy sejm pozwolił mu jechać.

Wyjechał *incognito* pod nazwiskiem hrabi de Gothland. Było to roku 1771. Choiseul, na zaprosiny którego przedsięwziął tę podróż, właśnie upadł, ale giętki Gustaw do nowego zwrócił się ministra i zażądał żeby mu było wolno ofiarować obródkę pieskowi pani Dubarry. Ujął sobie tém króla: przyjął go dobrze, a salony jeszcze lepij. Filozofowie mianowicie witali go z zapałem. Rulhiere wprowadzał królewicza, Marmontel czytał mu swoich „*Inkasów*” w rękopiśmie; sam nawet Rousseau się udobruchał i oddał mu wizytę.

Gustaw poszedł złożyć czołobitność pani du Deffand, wyroczni ówczesnych salonów literackich. Pani du Deffand bardzo pochwlebiła ta uprzejmość królewicza; oto wyrok tej arcy damy wyjęty z jej listów: „Mamy tu książąt szwedzkich, bardzo miłych. (Gustaw podróżował z bratem). Nie żądają żadnych ceremonii, przyjmujemy ich i sadzamy do kolacyi w małej kompanii, jak zwykłych gości. Wiedzą o wszystkiem co się dzieje. Następca tronu rozmawia przyjemnie: grzeczny, wesoły, łatwy. Zostaną tu aż do Wielkanocy.”

Podczas pobytu książąt szwedzkich w Paryżu, ojciec ich umarł i Gustaw został okrzyknięty królem. Wtedy zaczęto do niego przemowy: w akademii nauk i akademii francuzkiej, wszędzie gdzie wszedł słyszał tu swoje panegiryki; pochlebców znajdował nawet przy stole. Pani du Deffand była u niego na kolacyi i opisuje ją księżnom przyjaciółkom. Literatura i piosneczki stanowiły podstawę tej biesiady. Przed kolacją odczytano po raz drugi przemowę, którą d'Alembert miał w wigilią do króla w akademii nauk. Rzecz tam była o filozofii i filozofach, prześladowaniu i zwycięztwach przez jakie zawsze przechodzi prawda; była pochwała monarchów którzy ją protegują, pochwała młodego króla szwedzkiego, nieboszczyka jego ojca, matki, brata, króla pruskiego i króla francuzkiego. Mowa wydała się przydługą... oczywiście przed kolacją. Nareszcie siedli do stołu. Ale zaledwie otarli usta, wrócili do literatury, którą wówczas tyleż karmiono się w Paryżu co chlebem. Ambasador szwedzki p. Creutz wydobyl z kieszeni i odczytał panegiryk młodego króla, taki, że aż się Gustaw III zażenował. Obecne damy literatki, śpiewały potem modne piosneczki *postępowe*. Lektura rozmaitych wierszy Woltera przeciągnęła się aż do północy, poczem goście pożegnali gospodarza. Oto jak bawiono w Paryżu królewiczów roku Pańskiego 1771.

Gustaw był w Paryżu od trzech tygodni, kiedy stracił ojca i otrzymał koronę. Wyborna sposobność do odegrania roli monarchy filozofa. Odegrał ją też znakomicie: wszystkich filozofów oszukał. Trzeba czytać co mówi w *Pamiętnikach* Marmontel. Istna komedia! Warto przytoczyć kawałek tego filozoficznego stylu.

„Przybył na on czas do Paryża szwedzki następca tronu. Od dawna zakochany w autorze „*Belizaryusza*” życzył widywać mnie często. *Je lui fis ma cour...*, a kiedy się dowiedział o śmierci króla

ojca swojego, byłem jedynym cudzoziemcem którego przyjął w pierwszej chwili boleści. Widziałem w nim jedyny egzemplarz młodzieńca dość rozumnego żeby się martwić szczerze tórn że został królem. „Jakie nieszczęście! rzekł do mnie, być obarczonym koroną, i obowiązkami których nie jestem w stanie spełnić. Przybyłem dla nabyć od was potrzebnych wiadomości, i oto mi przerywają naukę; muszę wracać nie miawszy czasu oświecić się i poznać ludzi; z nimi wszystkie poufne stosunki są mi teraz wzbronione, muszę pożegnać na wieki przyjaźń i prawdę.”

— Nie, Najjaśniejszy Panie, odrzekłem tłumiąc łkanie: prawda ucieka tylko od monarchów którzy ją odpychają.. Ty kochasz ją, ona pójdzie za tobą. Czułość twojego serca, otwartość charakteru, czyni cię godnym tego żebyś miał przyjaciół. Będziesz ich miał.

— Ludzie ich rzadko mają, królowie nigdy—odpowiedział.

— Oto jest jeden! — zawołałem przyklękając— który ci pozostanie wierny...

— Dzięki tobie— odpowiedział,— ale jeden to mało dla mnie obdarzonego tak kochającym sercem.

Zabawy i panegiryki jeszcze czas jakiś zatrzymały Gustawa III w Paryżu. Tłumaczył się że go zatrzymuje słabość brata i polityka. Nakoniec, czuły ten i filozoficzny młodzieniec odjechał 18 marca 1771 roku, po sześciotygodniowym pobycie, wywożąc w głowie plan zamachu stanu, a w kieszeni pieniądze potrzebne na urzeeczywistnienie zamiaru powziętego w liberalnej i filozoficznej Francji.

Drugi tom dzieła pana Geoffroy obejmuje historję zamachu stanu wykonanego przez Gustawa III w Szwecyi z pomocą dworu francuzkiego. Autor czyn ten usprawiedliwia i usiłuje dowieść iż był dokonany dla dobra kraju.

Pan Juliusz Gaillard przełożył na francuzkie „Pamiętniki Maksymiliana.” Publiczność została zawiedziona, gdyż z tych pamiętników nie dowiedziała się nic ani o wyprawie francuzkiej, ani o cesarstwie Meksykańskiem. Są to wspomnienia i wrażenia z podróży, daleko wcześniejsze od polityki awanturniczój która Maksymiliana zrobiła cesarzem. Pierwszy tom pamiętnika cofa czytelników do dwudziestego roku księcia, kiedy jako oficer marynarki austryackiej zeglował na statku *Novara* około brzegów Italii i Hiszpanii. Dla tych którzy tam nie szukają polityki, dzieło jest zajmujące: dwudziestoletni akademik niemiecki, poetyczny, żywo czujący piękność natury i sztuki, zwiedzający po raz pierwszy Italiją z Goethem a Hiszpaniją z *Childe Haroldem*, nie pisalby inaczej wrażeń z podróży jak ten nieszczęśliwy przyszedł cesarz meksykański.

— Pan Bouillet wydał w jednym tomie przekład tragedyi Eschylesa. Przekład jest równie zręczny i wierny jak tłumaczenie *Iliady* i *Odysei* przez pana Leconte de Lille, jak Szekspir Franci-

szka Hugo. Można powiedzieć teraz że franczkie piśmiennictwo posiada przekład Eschyla.

Dotąd tłumacze wygładzali go i oczyszczali, bez skrupułu, tak przekładali jego tragedye jak dragomany tłumaczą mowy monarchów wschodnich: ambasadorowie czytają je obrane z przenośni i kwiatów. Eschyles dla francuzów jest *dzikiem* z hordy Szekspira, którego trzeba umyć i ubrać, zanim go się przedstawi publiczności dobrze wychowanėj.

Bouillet pierwszy raz przetłumaczył bez poprawek owego niepoprawnego poetę. Zastosował do niego prawo odwetu któremu poddane jego dramaty: słowo za słowo, wiersz za wiersz, plama za plamę. Tam gdzie Eschyles jest szorstki, tłumacz nie usiłuje być gładkim; nie czesze go kiedy się jęży... nie zaokrągla jego elipsów, nie osłania omówieniami nagości jego wymowy. Przekład śmiały jak text. Taki system przekładu dosłownego, jest obowiązkowy względem poetów większych niż natura. Można pióru dozwolić igrać, skoro dotyka opuszczonej literatury wieków klasycznych. Ale biblia, Veda, Homer, Eschyles, Dante, Szekspir wszystkie węgielne księgi ludzkości, narzucają tłumaczowi obowiązek dosłowności. Język ich z treścią jedno stanowi: naruszyć ich kształt, to targnąć się na ich ducha. Nie filtrujemy wody świętych źródeł.

— Dnia 27 sierpnia umarła w Bruxelli żona Wiktora Hugo, z domu Faucher. Zwłoki jęj wedle woli zmarłej złożono obok córki pochowanej w Villequier, wiosce przy ujściu Sekwany. Mąż i synowie odprowadzili trumnę do granicy francuzkiej. Pani Hugo w równym wieku z mężem, przez lat pięćdziesiąt była nicodstępną jego towarzyszką. Przykładna żona i matka zostawiła ślad i w literaturze: ona jest autorką wydanėj bezimiennie książki pod tytułem: „*Victor Hugo raconte par un témoin de sa vie.*”

— Eugeniusz Ténat wydał w Paryżu tom pod tytułem: „*Paris en decembre 1851, étude historique sur le Coup d'Etat.*” Pierwszy raz ten wypadek historyczny i polityczny dotąd, opowiedziano bezstronnie. Autor potrafił zachować uniarkowanie, o ile podobna, zastawił się historiją urzędową, kazał mówić dokumentom: urządził się tak aby go ani oskarżać ani karać nie było można. Podawszy fakta, pan Ténat zostawia konkluzją czytelnikowi. Wydanie wystawione na sprzedaż o czwartęj, o szóstej było rozkupione. W ciągu dwóch godzin rozerwano 25000 egzemplarzy tēj książki. Jestto wymowny dowód rozbudzenia umysłów paryzkiej powszechności, która jak wiadomo, książek teraz prawie nie czyta.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Powieść z dawnych czasów, skreślił Maurycy Dzieduszycki.
Lwów. 1868 str. 192 in 12.*

Od lat przeszło trzydziestu tak obficie rozwijająca się powieść polska, że liczebnie nie ustępuje wielu literaturom zagranicznym, pod względem historycznego obrazowania przeszłości, nie przedstawiała i dotąd nie przedstawia zadawalniających rezultatów. Nasza historyczna powieść, mniej więcej zbliżająca się do tych ideałów, jakie wskazuje krytyka, nie sięga po za wiek XVIII; a to do tyła jest prawdą, że nawet ci sami mistrze powieści historycznej z tego czasu, jak np. Henryk Rzewuski, jeżeli wybiegną poza ową tajemniczą linią demarkacyjną, tworzą tylko blade ramoty, w których nie wiek i nie ludzie, o jakich piszą, ale raczej przegląda w nich tylko indywidualny nastrój powieściopisarza i sposób jego zapatrywania się na przeszłość. Oczywiście, że taka powieść historyczna, jako wkraczająca w niewłaściwą dla niej sferę tendencyjności, nie może odpowiedzieć słusznym wymaganiom krytyki estetyczno-historycznej. I zaprawdę, nie mówiąc już o dawniejszych tego rodzaju próbkach, Bernatowicza, J. U. Niemcewicza i t. d., ale czyżbyśmy tego samego powiedzieć nie mogli o Zamku Krakowskim, o Zygmunto-wskich czasach, o Stańczykowej kronice, o Agay-Hanie, o Szwedach w Polsce Czajkowskiego, o Janie Kochanowskim Hofmanowej, o Zemście panny Urszuli i o Niewieście w trzech wiekach D. Magnuszewskiego i wielu innych? Każda z owych powieści, mając nawet pewne względne swoje zalety, nie może być nazwana powieścią historyczną. Nie chodzi nam tu wcale o rozmiar, o skalę powieści; niech to będzie maluczki obrazek, niech będzie epizod drobny na jakiś jeden tomik zakreślony: ale za to niech będzie rzetelnym, zupełnym a prawdziwym *obrazem* przeszłości, w którymby bohaterowie myśleli, mówili i działali, nie tak tylko, jak to na kartach kronik widzimy, którzyby nietylko odstawiali poważną swą stronę dziejową; chodzi tu o to raczej, żeby powieściopisarz umiał dać

obraz powszedniego, prywatnego ich życia, zgodny z prawdą dziejową. Dla dopięcia celu tego, niedość jest fantazją wypełniać owe próżnie, jakie w historii spotykamy: potrzeba tu nie małych studyów historycznych, starożytnicznych, żeby właśnie umiejętnie a prawdziwie odtworzyć całą różnicą fizyognomią domowego życia przodków naszych. Z drugiej znowu strony nie starczą tu i same jedynie studia, sama erudycya historyczno-starożytnicza: potrzeba mieć prawdziwy talent, potrzeba umieć ożywić i w ruch wprowadzić owe postacie, jakie martwemi zgłoski zapisane zostały na kartach dziejów; potrzeba, jedném słowem, skojarzyć erudycyą historyczną ze zdolnością, z wyobraźnią twórczą, żeby dać taki obraz któryby miał być prawdą dziejową i nie kłamał wymogom piękna artystycznego.

Zresztą, mając w pamięci twórcę w Europie powieści historycznej, nie możemy zapomnieć i o tém, że obok dwojga powyższych warunków, potrzeba jeszcze owę wielką *miłość*, z której jedynie i jedynie tylko tryskają żywotne źródła, prawdy i piękna; potrzeba, powiadamy, jak ów marzyciel szkocki z Abattsfordu, umiłowac tę przeszłość, o której mówić mamy, tych ludzi i ich czyny. Wielcy artyści, mistrze i wielkie dzieła sztuki nigdy bez téj miłości obejść się nie mogli.

Przy takim poglądzie naszym, z niemłą ciekawością, a nawet powiedzmy prawdę, z serdeczném zainteresowaniem się, wzięliśmy do ręki „Powieść z dawnych czasów” p. Maurycego Dzieduszyckiego, zwłaszcza, kiedyśmy się przekonali, że rzecz dzieje się na początku XVII wieku. Autor Piotra Skargi i wieku jego, autor Zbigniewa Oleśnickiego i innych rozpraw i monografii historycznych, zdawał się pod wielą względami odpowiadać owym wymaganiom, o których wspomnieliśmy przed chwilą, a przede wszystkim, znana powszechnie erudycya tego pisarza oraz rozmiłowanie się w owych ludziach i w owych sprawach, które tak umiejętnie bronić potrafił, dawało nam możność przypuszczenia, że jego „Powieść” doprawdy przypomni „dawne czasy.” Po przeczytaniu wszakże przekonaliśmy się, że powieść ta dziwnie uboga w koncepcye artystyczne, a wcale nie artystyczna w opracowaniu. Kanwą tego pseudo-historycznego obrazu są dwa, że tak powiem, obozy, zazdrośne i nienawistne sobie, katolików i kalwinów; na kanwie téj, lokalizując ją w ziemi Czeskiej, uwydatnić pragnął autor życie domowe przodków naszych, albo może chciał tylko w sposób powieścio-pisarzski odtworzyć jakiś szczegół wyczytany w notatkach familijnych. Ale przypuszczając i to najskromniejsze założenie, widzimy, że nie zostało ono usprawiedliwioném, bo wykonanie rozwinęło się ze wszelkimi wymaganiami sztuki.

Przesadnie mocny cień tego obrazu stanowią kasztelaństwo Dębińscy, ich syn i pastorowie kalwińscy; Dębińscy i ich służba używają wielu godziwych i niegodziwych sposobów, bo i próby otrucia, do porwania Heleny Kurdwanowskiej niewinnej ofiary zatargów

familijnych i przesądów szlacheckich i po wielu niepowodzeniach doprowadzają w końcu zamiar do skutku. Celem porwania tego była pewna obawa zmniejszenia fortuny a oraz chęć wydarcia z rąk katolików dziecka, które należeć było powinno do rodziny dysydenckiej; Helena bowiem zrodzona była z ojca katolika, a z matki należała do rodziny kalwińskiej, a mianowicie pani kasztelanowa była jej ciotką. Bohatorem i obrońcą porwanej Heleny miał się stać Stanisław Trzebiński, chorąży ussarski, a w istocie stał się tylko biernym pośrednikiem do wielolicznych układów, prośb, listów rozmaitych bliższych i dalszych protektorów, katolików; jakoto: K. Piotra Skargi, Andrzeja Bobolego, ojca Stanisława, ojca Heleny, zagadkowej postaci lutnisty Walka, a głównie stolnikowej sandomierskiej, u której przed porwaniem mieszkała Helena. Ci tedy wszyscy stanowić mają światłą stronę obrazu i społem przyczyniają się do tego, że w końcu biernemu bohaterowi „Powieści” udało się osiąść serce a zarazem i weale niezłą fortunę, wyzwolonej z pod przemocy kalwińskiej panny Heleny. Pan Maurycy Dzieduszycki, zanim zdążył do tego szczęśliwego portu doprowadzić bohaterów swoich, musiał wprawdzie wyczerpać wszystkie tajemnice spójni artystycznych, jakie spotykamy w różnokształtnych baśniach od Szeherezady począwszy aż do... Rinaldo Rinaldiniego. I w istocie, żeby jako-tako powziąć wypadki, autor nie mógł się obejść bez wywracania kolebki, bez maszkar jakichś i temu podobnych trywialności. A znowu bierność głównego bohatera doprowadził do upokorzenia: mężny chorąży ussarski, wstawiony czynami wojennymi pod Orszą, pod Kałuszynem, w „Powieści” przeistacza się w bryftregiera i nie umiejąc zdobyć się na coś stanowczego męzkiego, wozi tylko listy od jednej osoby do drugiej, żeby chociaż tym sposobem *wyprocessował* boginię serca swego... a w najważniejszej chwili, kiedy Jerzy Dzieduszycki i Bernard Kurdwanowski, ojciec Heleny, zjawiają się w domu kasztelanstwa Dębińskich z mocnym postanowieniem wyzwolenia porwanej Heleny, i naówczas nawet bohater powieści bierze na się dziwną rolę, woźnicy... Co za wstrzemięźliwość chorążego ussarskiego!

Takiego przeto zestawienia wypadków „Powieścią” we właściwym znaczeniu nazwać nie można: artystyczne powiązanie części więcej niż słabe; dyalogów w którychby się same przez się wypowiedziały i z akcji odstaniały osoby i ich charaktery, nie widzimy weale. Osoby tu nie mówią od siebie, dopowiada za nich wszędzie autor; p. M. D. nie dał nawet nam możliwości przeczytania w *oryginalne* choć jednego z tych listów, któremi tak sowiec zapełnia powieść. To też ani jedna postać nie odtworzona umiejętnie: — i ów starzec, co zjadając dobre śniadania, oświadcza się przez usta autora, że „coraz bardziej niedomaga” i owa poważna matrona, która właściwie nic obywatelskiego nie robi, nie wymurowała nawet, jak Trubiński „grobu dla siebie;” i owi bohaterowie powieści Stanisław i Helena — smutne automaty, popychane na różne

strony okolicznościami zewnętrznymi; i Boboli, i sam Skarga nawet — wszystko to takie blade, bezbarwne, martwe....

Patrząc znowu, na „Powieść z dawnych czasów,” t. j. na historyczną, jeszcze mniej czujemy zadowolenia. Zapytajmy bowiem siebie, jaką z wyprowadzonych tu na widownię osób nazwać możemy historyczną? Poważną postać księdza Piotra ukazał nam autor na chwilę, ale po to tylko, byśmy się przekonali, że mu donoszono o wszelkich zakulisowych tajemnicach rodzin szlacheckich. Czyż to ten sam posągowy człowiek, czy to ten szczytny mówca sejmowy, prosty, ognisty, promieniejący natchnieniem i poświęceniem swoim?... Nie! i sam pan Dzieduszycki lepiej go kiedyś odmalować umiał! Może Bobola? Pokazał nam autor, że siedzi on w królewskich komnatach na Wawelu, posłów przyjmuje, listy pisze... A przecie, któż nie wie, że w tym czasie gwar życia publicznego był tak wielki, tak potężny, że pulsacyą tego życia czuć było można nie tylko w obozie, na sejmie, na owym starym Wawelu, ale i w domu szlacheckim, chociażby nawet... dyssydenckim. Gdy zatem autor nie miał na celu dać nam całego tego wielkiego obrazu dziejowego, gdy zdała tylko kazał nam słuchać dalekiego echa szczęku oręża; toć przecie jeszcze i w życiu potocznym, szczęśliwie pochwyconym, dostrzedzbyśmy zdołali owe „dawne czasy.” Ale, niestety! wszystko, co tam widzimy, takie stereotypowe, jednakie, że do wszystkich „czasów” wybornie zastosować się daje: starzy się modlą, młodzi się kochają, słudzy słuchają poszeptów pańskich... jak wszędzie, jak zawsze! Z innego znowu względu jeżeli gdzie, to w powieści właśnie p. M. D. mógł zapomnieć o polemicznym kierunku swego: powieścio-pisarz jest przedewszystkiem *objektywnym*, jest beznamiętnym opowiadaczem; skoro zaś do opowieści domiesza się mniej lub więcej *subiektywne* nasze na ludzi zapatrywanie, rzecz cała traci na wartości: gdy np. czytelnik w tym razie wcale nie ciekawy jest wiedzieć, co sądzi o kalwinach i kalwinizmie p. Dzieduszycki; szuka on raczej *obrazu* powieściowego, któryby dał się sprawdzić w rzeczywistości, t. j. w historii. Weźmijmy np. kapłanów dyssydenckich: czyż doprawdy wszyscy pastorowie kalwińscy byli tak mizernymi służalcami panów i tak grubymi ignorantami, jak ich odmalował p. M. D.? A jeśli te postacie nie są wyobrazicielami kapłanów dyssydenckich w ogólności, ale jednostkami tylko, to w takim razie p. M. D. mógł wystawić ich przed oczy ludziom, ale z jednym tylko przedewszystkiem warunkiem: udowodnienia, kto i co to za jedni? W przeciwnym bowiem razie, i powieść będzie miała barwę polemiczną, jaką przywykliśmy spotykać w innych pismach autora. Jakkolwiek jest nasz zapal klerykałny, na stanowisku wszakże powieścio-pisarza, opowiadającego zdarzenia, zaszłe przed 250 laty, wolno jest być nieco spokojniejszym... Oczywiście: te i tym podobne kwestye nie miałyby miejsca w recenzji, jeśliby p. M. D. był prawdziwym powieścio-pisarzem historycznym i odmalować potrafił „dawne czasy” w żywym historycznym czynie.

Zresztą, chybabyśmy w końcu za tło historyczne uważać chcieli owe bibliograficzne wspominki Hippiki Dorohostajskiego, Żywotów Skargi i t. d.? albo może owe specyały kuchni polskiej XVII wieku, wyjęte z dzieła „*Compendium ferculorum*”, v. zebranie potraw przez urodzonego Stanisława Czernieckiego? Zaprawdę, dla Chińczyka chyba wystarczy taka historia, która głosi o tém, jak cesarz niebieski spał, co pił, co jadł... ale u nas nieco więcej od historycznego opowiadacza wymagać się zgodzono.

Nie—to trudno! powieść historyczna w najgorszym razie jest to mozaika: kamyczków drobnych znaleźć można wszędzie, w pamiętnikach domowych, w *silvach rerum*, w muzeach wreszcie, w bibliotekach; ale trzeba być mistrzem, żeby z nich dzieło sztuki ułożyć, trzeba mieć owo namaszczenie, ową chryzmę bożego natchnienia, żeby z tych maluczkich, martwych kamyczków stworzyć obraz wielki, żywy a piękny, bo prawdziwy.

Cóż więc nam przynosi ostatnia praca p. Dzieduszyckiego? Nie napisał on wprawdzie powieści, ale za to złożył świadectwo wielkiej prawdy sądu o nim jednego ze znakomitszych historyków naszych, który powiedział, że „w pracach naukowych Dzieduszyckiego nie widać wieku, ani zdolności twórczych,” że niema tam życia rzeczywistego, jedno „wyschłe liście przeszłości; człowieka nawet w nich nie widać, bo ludzie rozplynęli się tam w drobiazgach, w cytatach, w polemice.”

A. Budykiewicz.

De Poloniae post Henricum interregno 1575—6. Dissertatio inauguralis historica, quam consensu et auctoritate amplissimi in alma Litterarum Universitate Viadrina Philosophorum ordinis ad summos in philosophia honores rite capes- sendos die V mensis Martii 1866 hora XI publice defendet Sigefridus Hüppe, Posnaniensis. Adversarii erunt etc. Vra- tislaviae. Typis F. W. Jungferi. 8vo, str. 32.

Otóż jedna z tych rozpraw doktorskich, które zwykle tak mało pociechy światu uczonemu przynoszą. Piérwszy i ostatni stopień naukowy w Niemczech jest doktor. Młodzieniec, złożywszy egzamen przed professorami, których wykładu słuchał, pisze rozprawę i broni jęj publicznie przed kolegami, których sam na oponentów zaprasza. Obrona rzeczywiście jest łatwa, i po niej młodzieniec zostaje doktorem filozofii. W inaczej urządzanych uniwersytetach, stopień doktorski jest ostatnim wieńcem naukowej zastugi; zanim się tedy doktorstwa w nich dostąpi, potrzeba czegoś więcej, jak egzaminu i niewinnej rozprawy. Potrzeba badać, poświęcić się nauce, pokazać jakieś dowody pracy i samodzielności; potrzeba zalocić się przed narodem, przed literaturą, przed

wszystkimi uczonymi kraju, jakiemi dziełami i pokazać, że się nie tylko uczyło i nauczyło, ale że się strawiło naukę, że jest się w siłach dalej w niej postępować, bo rzecz to pewna, że człowiek sam się najwięcej nauczy, jeżeli mu uniwersytet, wykłady professorskie, drogę studyów rozjaśni. Lecz w Niemczech zwykle pierwszą pracą naukową młodzieńca jest *dissertatio inauguralis*, a po niej zaraz następują *summi in philosophia honores*, które same z siebie nie dają prawa do zajęcia nawet skromnej, nauczycielskiej katedry w gimnazyach. Zaiste trudno wymagać od takiej doktorskiej rozprawy oryginalnych poglądów, samodzielnych badań, głębokich studyów, wielkich dowodów znajomości przedmiotu. Co najwięcej, rozprawy te stanowią popis z erudycją. Są wyjątki, ale bardzo rzadkie. I młody uczoney zawsze zyskuje palmę zwycięstwa na doktorskich turniejach, bo opór mu stawiają koledzy, którzy w nauce tak samo daleko postąpili, jak i on sam: wszyscy pierwsze stawiają kroki. Turniej wygląda cokolwiek na spór jednokrotnych ze ślepyimi. Jedni i drudzy mało wiedzą, a spory uczone zawodzą. Bo o cóż sporu być nie może i z jakim przygotowaniem w nauce? Oczywiście te spory i rozprawy nie mają żadnego wpływu na postęp nauki. Są, czy nie są, rzecz to dla literatury obojętna. Formie zadosyć się stało.

Rozprawa doktorska, *dissertatio inauguralis* p. Hüppego nie odeszła na krok od swoich dawniejszych wzorów. Być może z p. Hüppego wyrobi się potem badacz pożądaný i bardzo pożądaný, bo w nauce mało, bardzo mało obrabianej, jaką jest niezawodnie historia polska: materiałów naszych więcej się znajdzie, niż gdziekolwiek w innem społeczeństwie, bo u nas historia żyła wszędzie, ruszała się tak w kościele, jak i na dworze, tak samo w zamku, jak i na szlacheckiej zagrodzie. Pracowników do spisywania, do obrabiania jej źródeł nigdy dosyć zachęcać i werbować nie można; zatem i z p. Hüppego może wyrośnie badacz, témbardziej, że jak z jego żywota widać (*vita authoris* zawsze bywa na końcu *dissertationis inauguralis*) z Berlina umyślnie się udał do Wrocławia, ażeby słuchać Röppela, bo poświęcić się pragnął przedewszystkiem badaniom polskim: „*Poloniae historiam, minime adhuc cognitam, arcius complecti.*” Lecz to sprawa przyszłości dopiero. My patrzmy na to, co jest. Widzimy że tylko jest próbka, usiłowanie, nie więcej. Próbka ta dowodzi dobrych chęci, nie dała jednak historycznego obrazu, nie wypowiedziała nowych poglądów, zatem, jak ze wszystkiego widać, nie wyprowadziła na jaw nowych zdolności, zapowiedziała tylko, że jest człowiek, który się chce poświęcić badaniom przeszłości polskiej. Uważaliśmy nawet prędzej niekorzystne strony, jak korzystne rozprawy. To wcale nie dobrze, bo młody autor nie zaleca się przez to pierwszým wystąpieniem swoim.

Co najprzód uderza w rozprawie, to ten pozór naukowości niemieckiej, który jest tak wstrętny jasnemu umysłowi polskiemu. Cytacyi niezmiernie wiele i do tego próżnych, niepotrzebnych. Weź-

my pierwszy przykład. Autor wspomina np. mimochodem o panowaniu Henryka Walezego i przywodzi moc źródeł, w których można cokolwiek znaleźć o tém panowaniu. Pomieszane tu źródła z przerobieniami historycznymi: jest tu więc Sulikowski i Hajden-sztajn, Bielski i Fredro, Zawadzki i Dudycz; Lengnich z Lauterbachem obok Albertrandego i *Wiadomości* Mosbacha, obok Relacji nuncyuszów i t. d. Jednakże autor mało i tych źródeł przywiódł. Jest ich albowiem niezmiernie więcej. Cóż gdyby przyszło wyliczać szczegółowe rozprawy i opisy? Otóż w każdym razie niepotrzebny jest ten popis z erudycją, bo pisząc o jednym bezkrólewiu, autor nie ma, nie mógł mieć na celu, spisywać źródeł, ale opowiadać jedną chwilę z dziejów narodu. Zresztą, do spisu źródeł nie przystępuje się nigdy w przypisku i to, choćby najważniejszej rozprawy, i nigdy nie opłaci się taka praca, jak podobne dzieje bezkrólewia: dla napisania albowiem tej drobnostki, autor potrzebował przerzucić najminiej sto kilkadziesiąt książek i rękopismów.

Po tym drugi niemiecki naród. Głównym i jedynym źródłem opowiadania służy Orzelski. Rzecz prosta. Lecz ten Orzelski w oryginalnie dotąd nie wydany, tylko po polsku i to nie dawno. Zawsze to pisarz w literaturze prawie nowy. Cóż z tego, że przez trzy wieki dzieło jego przechowywało się w rękopiśmie, po bibliotekach? Cóż z tego, że wszyscy historycy, badacze, chociażby z nazwiska tylko, znali Orzelskiego? że autorstwo jego nie podlega nigdy żadnemu zarzutowi? Dla p. Hüppego to wszystko jeszcze nie dosyć, i musi wprzód zważyć wiarygodność podania. Oszczędził nam na szczęście rozprawy, dowodzącą, że pamiętniki Orzelskiego są rzeczywiście pamiętnikami Orzelskiego. A był powód do rozpisania się uczonemu na niemiecki sposób. Nie darował jednakże nam sądu swojego w tej okoliczności. Oświadczą się tedy, że *non est dubitatum, neque unquam dubitandum*, że Orzelski był autorem swoich pamiętników. Przypominamy sobie innego autora i inną rozprawę, w której długo dowodzono, że można spuścić się na listy Des Noyers'a, jak gdyby bez tego upoważnienia nikt listów tych nie czytał i nie uważał ich za źródło historyczne: wiele z nich jeszcze przed uczonym wywodem utonęło w *Portofolio Maryi Ludwiki Raczyńskiej*.

To pozorne cechy uczoności niemieckiej, które zapowiadają nam prędzej erudyta, niżeli męża, mającego ożywić naukę, stworzyć w niej nowe widoki.

Są przecież niebezpieczniejsze wskazówki. Autor nie bierze się z miłością do swego przedmiotu, ale przychodzi jako zimny obserwator. Zapewne jest to jakaś także miłość, boć się nikt nie poświęci pracy, której nie cierpi, ale to miłość ujemna. Nie chęć wyuczenia się przeszłości dla poznania życia przodków, dla objaśnienia zasad, praw i obyczajów narodowych, zapaliła p. Hüppego, ale ciekawość anatoma, który ciała zmarłe rozcina, żeby zobaczyć jaki był powód choroby, jaki był skład tego ciała. Dla obojętności, a nawet dla urągania się stoi otworem to pole.

O samój rozprawie p. Hüppego nie ma co mówić. Autor przepisywał, streszczał znakomite dzieło Orzelskiego. Trzy tomy, pełne najbarwniejszój, najwięcej zajmującej treści, zebrał na 30-tu stronicach. Praca bardzo niewinna, i nie wiemy dla czego miała autorowi przysporzyć wawrzynów, *summos in philosophia honores*. Autor jednak zdaje się sądzić, że *exegit monumentum*. Mówi bowiem, że pierwsze bezkrólewie polskie po Zygmuncie Auguście, opisali: Piliński (*Das polnische Interregnum 1572—3*, Hajdelberg. 1861) i Reimann (*Das polnische Interregnum nach dem Tode Sigismundi Augusti* u Sybla w *Historische Zeitschrift* 1864, tom jedenaśty); jemu więc wypadło opisać drugie bezkrólewie, bo z pierwszém rzecz skończona. Trzeciemu pisarzowi wypadnie już tedy następne opisywać bezkrólewia, dla pierwszych dwóch nie już roboty nie zostało. Czyż takie przyznanie autora, nierównoznaczne z tém, *exegi monumentum*?

Autor na końcu rozprawy pokładł różne tezy, zwyczajem niemieckim. Z 7-iu kilka jest historycznych; autor twierdzi np., że Zygmunt Stary nie miał na uwadze sprawy Polski, kiedy w Prusiech królewieckich osadzał księcia lennego. Niezawodnie. Dalej autor twierdzi, że Stefan Batory umarł z trucizny, źle przez lekarzy leczony. I to bardzo być może. Nareszcie autor dowodzi, że zniślenie świętego cesarstwa rzymskiego w roku 1806, wyszło narodowi niemieckiemu na korzyść. Zapewne.

Dnia 19 października 1866 r.

Julian Bartoszewicz.

Wspomnienia Padwy. Notatki z podróży zebrał Stanisław Krzyżanowski. W Krakowie w drukarni „Czasu” W. Kirchmayera, nakładem autora. 1868. W 8-ce str. 81 i kartka.

Wspomnienia Padwy nie stanowią żadnego osobnego ustępu z podróży po pięknej Italii, ale są po prostu zbiorem materiałów archeologicznych i pamiętnikowych. Autor podróżował jednak po Włoszech, bo jak powiada „w przelocie zwiedził Padwę.” Będąc na miejscu wielkich, naukowych wspomnień, w mieście, w którym bawili się i Zamojski i Stefan Batory, w którym tyle młodzieży naszej pobierało wyższe wykształcenie, autor „starał się zebrać wspomnienia, tyżące się Polski i jój dziejów.” Cel zacny, który podróże nasze za granicą mieć winny, bo dosyćby już nam zaprawdę było tych przeglądzin Europy dla samój ciekawości: trzeba tam jechać albo dla nauki, albo dla zbierania ojczystych pamiątek, rozrzuconych po świecie. Dziękujemy nawet autorowi, że nam oszczędził opisu podróży, który zwykle jest zbiorem wrażeń osobistych schwytaných w przelocie. Nie każdy, jak Kremer, odbywa podróż po Włoszech. Takie *Wspomnienia Padwy* umiejętnie dokonane miałyby

swoją zasługę i znacznie większą, niżeli wszelkie wspomnienia i kartki z podróży.

P. Krzyżanowski w Padwie przepisywał tedy nagrobki polskie, znajdujące się po kościołach, zbierał pamiątki i zaglądał do bibliotek, czy się z nich nie da co wyciągnąć dla dziejów polskich.

Nagrobki polskie w Padwie wielu już przepisywało. Zamieścił ich najprzód kilka Starowolski w *Monumenta Sarmatarum*. Wylizował je ogółem i Michał Wiszniewski w swojej *Podróży do Włoch, Sycylii i Malty*. Po Wiszniewskim Kraszewski aż dwa razy, naprzód w artykule osobnym: „Padewskie nagrobki” drukowanym w piśmie zbiorowém „Po ziarnie” i później w swoich „Kartkach z podróży.” Artykuł „Nagrobki” jest nawet jednym rozdziałem „Kartek z podróży.” Nie tykamy innych podróżników. Kraszewski chciał, zdaje się wyczerpać przedmiot, to jest w całości przepisać wszystkie nagrobki i napisy polskie. W przelocie swoim wszelako przez Padwę nie miał na to dosyć czasu i nie zwrócił na to dosyć uwagi; nagrobki jednak dokładnie przepisał. Wyczerpał przedmiot epigrafiki dopiero p. Krzyżanowski, bo i najmniejszego napisu nie opuścił. Jest to jego zasługa. Teraz już podróżnik polski w Padwie niepotrzebnie będzie się zajmował epigrafiką ojczystą, lepiej niech zagląda do bibliotek, których to materiałów znowu, p. Krzyżanowski nie wyczerpał.

Nagrobków polskich w Padwie, w kościele u św. Antoniego jest wszystkich jedenaście. W katedrze jest dwunasty jeszcze nagrobek Włocha, doktora, który leczył Władysława IV. Zasługa zbioru p. Krzyżanowskiego w tém, że przepisał wszystkie, jak są, po łacinie i po włosku, że ich na polskie nie tłumaczył, że ich nie streszczał, ale jak należało sumiennemu archeologowi, głoska w głoskę, ze skróceniami nawet, co już niepotrzebno, przepisywał. Cała rzecz w tém, czy zawsze dobrze te nagrobki odczytywał, ale zdaje się, że i o to spokojnym być można, bo nie w jedném miejscu p. Krzyżanowski poprawia Starowolskiego, a miał go ciągle widać pod ręką i stronnice *Monumentów* zawsze skrzętnie przywodzi, co znowu się chwali. Pokazało się, że Starowolski nie znał wszystkich nagrobków, na się rozumieć tych, które były jeszcze za niego. Po Starowolskim zaś trzy jeszcze nagrobki przybyły. Nie tylko Starowolski, ale każdy z podróżników naszych kogoś opuścił. Autor miał pod ręką i Niesieckiego. Nagrobki padewskie porównywał z jego dziejami szlachty, żeby bliżej takim sposobem oznaczyć osobę, której pamiątkę nagrobek podaje. I to bardzo sprawiedliwie.

Znakomici ludzie spoczęli w Padwie, kanclerz koronny Stanisław Miński, kasztelan gnieźnieński Erazm Kretkowski, głośny w swoim czasie podróżnik do Ziemi Św., do Nilu i do Gangesu. Toż inny podróżnik do Ziemi Św. Adam Żaliński, dwóch Sapienhów, cześnik i stolnik litewscy z czasów Zygmunta III i Władysława IV. Daty ich śmierci i różne szczegóły życia podawane na kamieniach nagrobnych, są to fakta dla archeologii krajowej. Na piaskowcu Kretkowskiego znajduje się piękny łaciński wiersz, który mu Jan Kochanowski napisał. P. Krzyżanowski z całym zamięłowaniem zna-

wcy najdrobniejsze notując szczegóły opisywał i te miejsca kościoła, kaplice, w których stoją nagrobki i samą ich powierzchowność.

Lecz nagrobki nie stanowią jeszcze wszystkich pamiątek polskich w Padwie. W tymże kościele św. Antoniego jest ołtarz polski wykuty z marmuru szarego, który jak mówi autor „smętnie się odbija w półcieniach kościoła.” Jest to ołtarz św. Stanisława, pełen także napisów łacińskich, które stanowią pamiątki. Autor zebrał, że tak powiemy dyplomatarysz tego ołtarza, ku czemu posłużyły głównie już poszukiwania jego w archiwach. Wypisał téż autor z akt padewskich kilka dokumentów urzędowych, w których rodzina albo znajomi upraszali miasto o pozwolenie stawiania nagrobków zmarłym krewnym. Zawsze się tu przemawia w imieniu narodu polskiego, przez co należy jednak rozumieć tylko młodzież polską, która w Padwie pobierała nauki, bo jak wiadomo, średnio-wieczne akademie rozdzielały się na osobne narody. Tak więc i naród polski był reprezentowanym w Padwie i pierwsza jego prośba o wystawienie ołtarza św. Stanisława, odnosiła się do roku 1593 (str. 21).

Król Stanisław August w *Prato della Valle* postawił między wielu posągami marmurowymi, pomniki dla królów Jana Sobieskiego i Stefana Batorego. Napisy łacińskie z obudwóch także w dziele swoim pomieścił p. Krzyżanowski. W obec Wiszniewskiego który epigrafiki polskiej w Padwie dotyka tylko z niechęcią, który Alexandra Kazimierza Sapiechę nazwał krajczym koronnym, kiedy go nagrobek pisze: *Dapifer in Magno Ducatu Lithuaniae*, który śmierć tego Sapiechy kładł na rok 1599, zamiast na rok 1619, p. Krzyżanowski dobrze się wcale wydaje; lecz dodajemy, że po Kraszewskim nie tyle już potrzebnie spisywał nagrobki. Pochwaliliśmy jego sumiennosc. Znajdujemy przeciw drobne wprawdzie różnice od tekstu napisów, jakie podaje p. Kraszewski, np. w nagrobku Żalińskiego; jak widzimy z treści, Kraszewski tu się nie myli i p. Krzyżanowskiego błędne jest wyczytanie.⁹ Kraszewski ma tę jeszcze wyższość, że czasami podaje potrzebne bardzo objaśnienia. Tak, na nagrobku Kretkowskiego jest niezrozumiały napis końcowy: *Et hoc de consensu nobilium de Lanzarotis* (tu u Kraszewskiego jest znowu inaczej, *Lazarotis*) *et ex eorum liberalitate*. Kraszewski objaśnia, że Lanzarotowie posiadali jakieś prawo patronatu do kaplicy św. Bartłomieja, w której stoi nagrobek. Toż inne objaśnienia Kraszewskiego są trafniejsze, jak te suche p. Krzyżanowskiego sprawdzania w Starowolskim i Niesieckim. Czasami może zadaleko nawet w tych sprawdzaniach idzie autor *Wspomnień Padwy*. Obadwaj Sapiehowie np. i Alexander Kazimierz stolnik, i Krzysztof cześnik mają za matkę Annę, księżniczkę Wiśniowiecką; obadwaj zaś za ojca Mikołaja, tylko jeden wojewodę witebskiego, drugi mińskiego. Trzeba być z takimi objaśnieniami bardzo ostrożnym, żeby mimowolnie drugiego w błąd nie wprowadzać. Napozór, zdaje się, gdybyśmy wierzyli powadze objaśnień p. Krzyżanowskiego, że to

może rodzeni bracia i podobnobyśmy się pomylili. W inném miejscu łęklawie p. Krzyżanowski się domyśla, czy *Niccollo Paccio Vescovo Somogliensi in Luthuania* ma znaczyć biskupa żmudzkiego? (str. 27). Tutaj właśnie z pewnością mógł zaręczyć, że jest mowa o biskupie żmudzkiem. Należało tylko zajrzeć do Niesieckiego, któryby tę rzecz stanowczo objaśnił.

Ze wszystkiego płynie przekonanie, że p. Krzyżanowski nie usposobił się jeszcze do badań poważnych.

Dotąd epigrafika polska w Padwie. P. Krzyżanowski tę ma zasługę, że w sposób, że się tak wyrazim dyplomataryszowy, spisał wszystko, co widział. Tak wydawał *Monumenta* swoje Starowolski, tak wydają dzisiejsi uczeni wszelkie *Inscriptiones*, które pozostały po starej cywilizacji. Przepisywanie nagrobków w jakim opisie podróży, ponieważ cel dzieła zawsze tam bywa inny, ma tę niedogodność, że nauka nie odnosi z niego wszystkich korzyści, jakieby mogła odnieść z podróży przedsięwziętej li tylko w celu archeologicznym. Najprzód nie wierzy się w takim razie w zbytnią dokładność przepisywań, bo są w przelocie schwytywane, i powtóre, nie wierzy się w ich zupełność, to jest, że wszystkie przepisane. Książka p. Krzyżanowskiego pierwsza w to poradziła.

Ale jaką wartość mają wypisy z bibliotek padewskich, które stanowią dobrze połowę *Wspomnień Padwy* p. Krzyżanowskiego? Tę zagadkę już w żaden sposób sobie wytłumaczyć nie możemy.

Mająż być to materiały historyczne?

Zapewne, i to są materiały, ale bez treści, bez najmniejszego dla nas znaczenia. Mogą mieć wartość pamiątek, ale dla samej Padwy.

Jest tu najprzód „wiadomość historyczna o przejeździe i krótkim pobycie w mieście Padwie księżniczki polskiej i królowej Maryi Amelii, małżonki Karola, króla obojga Sycylii, przez Hieronima Ferarri, doktora, 1738,” która nie ma żadnego związku z historią naszą. A dalej, co może zajmować opis jej krótkiego pobytu w Padwie? To rzecz doktora Ferarri'ego, który był erudykiem, archeologiem. Z powodu bowiem przyjazdu królowej polskiej nakreślił w swojej, „Wiadomości historycznej” dzieje Padwy, a raczej spisał te osoby z rodzin panujących, które, od najdawniejszych czasów Padwę zwiedzały. Wyliczenie to długie i wielką część samego opisu zajmujące. Więc opis sam nic naucz polskiej nie przynosi, a w tym opisie jeszcze wiele próżnych kartek, na których niema nawet wspomnienia Polski. I po co to nam?

Wyliczony tam wprawdzie w spisie osób przejeżdżających przez Padwę i Henryk Walezy, wymieniona jest i Marya Kazimira Sobieska, kiedy z ojcem swoim, kardynałem d'Arquin jechała po śmierci męża do Rzymu. Więcej byłyby zajmujące opisy ich przyjęcia w Padwie, aniżeli Maryi Amelii, ale czytamy o tém zaledwie same okolicznościowe wzmianki. Na nieszczęście, oprócz opisu doktora Ferarri'ego, znalazł się i drugi opis przyjazdu Maryi Amelii.

P. Krzyżanowski bez uwagi na to, że śmiertelnie znudzi, wypisał całkowicie i jeden i drugi. Dodajmy nawiasem, że Ferarri mylił się w datach: przejazd Henryka Walezego postawił pod rokiem 1547, jeżeli to nie jest myłka druku; ale może i nie zmyłka, kiedy napisał doktor, że Walezy jechał obejmować tron Francji po Karolu IV.

Przepisał dalej p. Krzyżanowski do swojej książki: „nader rzadki druk” jak się wyraża, który znalazł „w księgozbiorze muzeum cywilnego *della Ragione*” o przyjęciu w Padwie królowej Bony, kiedy wracała z Polski do Włoch. Chociaż i to drobiazg, jednakże podobno to będzie najważniejsza i jedynie ciekawa część *Wspomnień Padwy*. Królowa Bona albowiem jest potężną dziejową osobistością.

Wszystkie te wypisy z bibliotek padewskich porobił p. Krzyżanowski w oryginale włoskim, dlatego *Wspomnienia Padwy* są przeważnie książką włoską i więcej stanowią materiał historyczny Włoch, niż Polski. Najlepiej posługują samej Padwie. Książka p. Krzyżanowskiego należy do bibliografii padewskiej.

Są ludzie dobrej woli, którzyby chcieli położyć zasługę jakąś względem rzeczy publicznej, ale nie umieją wziąć się do tego, chociaż wierzymy, że chcą serdecznie. P. Krzyżanowski należy widocznie do kategorii tych ludzi. Nie mając potrzebnej po temu nauki ani zdolności, mógłby służyć nauce nie własnymi studjami, ale materyalnem literatury poparciem, że tak się wyrazim, mecenasowstwem. Nieoceniona szkoda, że nie słucho takich, którzyby mu lepiej niezawodnie poradzili. Sam cytuje kilka ciekawych rękopisów, jakie przeglądał w bibliotekach padewskich. Każdy z nich wydany byłby może ważniejszym od tych jego *Wspomnień Padwy*. Przeważnie całą księgę spisał materyałów, kryjących się po bibliotekach włoskich. Te wydawać trzeba. Pierwsza lepsza relacya naszego usza całkowicie wydana miałaby zasługę, do jakiej daleko *Wspomnieniom Padwy*. Ale w takim razie żeby co pożytecznego zrobić, trzeba by posłuchać ludzi, którzy coś potrafią i coś umieją.

5 września 1868 r.

Julian Bartoszewicz.

POWIEŚCI I ROMANSE NIEMIECKIE NAJNOWSZYCH CZASÓW.

- 1) Romans obyczajowy. 2) Romans ludowy. 3) Romans historyczny i społeczny.

„Zasłużony dwa razy” romans przez *Golo Rajmunda* w trzech tomach. Hanower 1868.—„Błądny ognik z Argentierès” romans przez *Filipa Galena*. Berlin 1868.—„Skarb” romans przez *Ernesta barona Bibra* w trzech tomach. Jena 1867.—„Dziad Wiktora Emmanuela” romans historyczny przez *L. Szubara*. Detmold 1867.—„Przygody lokaja” romans w 3ch częściach *Karola Holteja*. Wrocław 1868.—„Włóczęga” romans *Fryderyka Benedykta*. Lipsk 1867.—„Dziwacy” obrazy charakterystyczne z najnowszych czasów przez *Franc. Mich. Feldera*. 2 tomy. Lipsk 1867.—„Córka króla jaj” romans historyczny przez *Franc. Lubojackiego*. Jena 1868.—„Życie i śmierć” romans przez *Augusta Szradera*. 2 tomy. Lipsk 1868.—„Sam na świecie” romans w 4ch częściach przez *Franc. Nemmersdorfa*. 3 tomy. Berlin 1868.—„Ilka” węgierskie opowiadanie wiejskie przez *Karola Szrötera*. Berlin 1868.—„Macoszka” opowiadanie przez *Jadwigę Bohl*. Wrocław 1868.—„Hohenszwangau” romans i historia 1536—1567 przez *Karola Gutzkowa*. 5 tomów. Lipsk 1868.

Gdyby każda powieść czy romans rozwijały przed naszymi oczami obraz poważny i rzeczywisty, podniesiony tylko idealnie, to powitalibyśmy go z uniesieniem, bo żaden rodzaj poezji nie nadaje się właściwiej przez swą formę swobodną i pozwalającą na urozmaicenie, do przedstawienia czytelnikowi jakbądź ukształconemu, serca i świata w jego rozlicznych pojawach i kolidacjach; żaden rodzaj poezji nie jest tak wybornym zwierciadłem. Znakomici niemieccy poeci mało pisali powieści, popadła więc ona w ręce takich, których talent na trudniejszą formę zdobyćby się nie potrafił, a raczej którzy talent ten zasadzają na złożeniu z tysiącznych reminiscencyj jednej nowj fabuły, podszytj bardzo sztuczną, bardzo naprężoną, a raczej skombinowaną fantazyą. Charaktery mają oni z góry już uporządkowane niby w pułkach podręcznej szafki; wybierają z niej jaki się nadarzy, przykrajają trochę, stosownie do wymagań, do potrzeb chwili, i oto wyskoczyła z mózgu Minerwa! dzieło gotowe! W ten sposób ukuwszy kilka kilkotomowych produkcji, nabiera się rutyny, powieść jedna ściga drugą, nazwisko się rozpowszechnia, księgarze przywykli widzieć nazwisko tak płodnego autora w swj czyteln, podejmują się coraz nowych nakładów, publiczność czytając co chwila toż nazwisko na coraz nowych tomach nabiera poszanowania dla człowieka, co tak szybko tworzy książki—ot i sława gotowa; lecz czy ona przedzie do potomności, to inne pytanie! Ogólne te uwagi zastosować można niekoniecznie do samych niemieckich pisarzy; i u nas zdarzają się takie warsztatowe wyroby, takie ilością tomów imponujące powagi

powieściowe, a są może szkodliwsze że są rzadsze, że więc są powszechniej czytane. Różnica między wyrobami naszymi a obcymi jest może ta, że obcy pisarze nie sadzą się na morał, na rozwiązanie według przepisu: występki musi być ukarany, cnota nagrodzona. I jakież z nich pożytek? Ukształceni, obdarzeni własnym sądem, rzucają książkę znudzeni lub ze wstrętem, nieukształconym zaś przewraca się często w głowie i sercu, w najlepszym zaś razie, w głowie ich pozostają pustki jakie były przedtém. Powieść powinna być zwierciadłem życia i świata, walk i trudów, cierpień i nadziei; powinna być obrazem charakterów w kolidyzi z tym światem i wymogami życia; powinna być, jakeśmy to już rzekli, czerpaną z rzeczywistości ale owianą technieniem idealnym, dozwalającym wierzyć, że sprawy i czyny tego świata tak nieraz zmusne, ohydne lub pospolite, urządziła potęga nieziemska dla celów niekonięcznie wypowiedających ostatnie słowo tu na ziemi. Ten powiew idealny, jeżeli przenika utwór pisarski, nadaje mu odrazu stygmat duchowy, wartość nie kilkodziową. Zobaczmy, o ile utwory o których mówić chcemy, podciągnąć się dadzą pod rzeczone uwagi.

Fabula powieści „Dwa razy zaślubiony” (Zweimal vermählt) jest taka: Bogaty bankier Rosdall, młody człowiek dzielnego niby charakteru, nienawidzi niejakiego Geltorpa dawnego buhaltera jego domu, który przენiewierzywszy się, uciekł przed wieloma już laty do Ameryki. Powieść zaczyna się od tego, że Rosdall poślubia zakochany Weronikę Astenberg, kobietę nader idealnego charakteru. W pięć lat potem po najszcześliwszém ich pożyciu, zjawia się ów Geltorp z żądaniem pieniędzy, a co dziwna jest on ojcem Weroniki nie dotychczas o tém nie wiedzącej. Rosdall dowiedziawszy się że Weronika jest córką nienawistnego Geltorpa przestaje ją kochać (jak gdyby się to tak dało!), zarzuca jęj podstęp i kłamstwo, gdyż ta w piérwszém przerażeniu zataiła obecność ojca; Weronika zniosłszy upokorzenia cierpliwie, prosi męża o rozwód, a to w tym celu, ażeby dać ukochanemu mężowi swobodę, ale nadarmo. W jakimś czasie później, zachorowała siostra Weroniki, Ewa, wdowa mieszkająca samotnie—wolno więc jęj jechać do choręj. W czasie jęj nieobecności pali się dom męzowski, a synek ginie bez śladu. Donoszą o tém matce w tym sensie, jakoby syn jęj już nie żył. Za całą odpowiedź przychodzi znów wieść do męża, że żona umarła. Teraz odgrywa główną rolę siostra Ewa. Przecierpiała wiele, ojciec zastrzelił się już poprzednio, ona traci majątek, tak że z biedy musi przyjąć miejsce damy do towarzystwa u pewnej angielski. Przechodzi znów dziwne koleje i spotyka się z Rozdalem, który poznaje w nięj swą za zmarłą mianą małżonkę, i poślubia ją po raz drugi. Weronika, ażeby męża oswobodzić, kazała się po śmierci Ewy również za zmarłą ogłosić, i żyła odtąd pod nazwiskiem siostry, rachując na podobieństwo twarzy nawet między najbliższymi znajomymi! Inwencya przyzna każdy, za śmiała i za nieprawdopodobna. Ideą zasa-

dniczą tego romansu ma być, ponieważ Rosdall jest rygorystą pod względem moralności, że: „dobroć lepszą jest od ostrego prawa”. Ale ta idea nie jest bynajmniej przeprowadzoną, bo p. Rosdall jestto okrutnik niesprawiedliwy, gnębiący najniewinniej żonę a nawet mówiąc otwarcie: głupiec. Czyż dzieci mogą odpowiadać za winy rodziców—a tembardziej tu, czyż żonę i matkę godzi się prześladować za winę ojca, o którym nadto (jakim cudem to także nie wyjaśnione) nie wiedziała że jest jej ojcem? Prowadzenie artystyczne nader jest słabe, epizody gmatwają tok akcji, styl lichy i w wielu miejscach nie gramatyczny, charaktery przesadzane aż do karykatury. Jeżeli mimo to dajemy sprawozdanie z tej nowości, to powoduje nas chęć obznajmienia czytelników z różnorodnym sposobem pisania mało znaną u nas literaturą, a wreszcie sama nowość książki. Każdy zrozumie, że jaskrawość, przyprawa używana w awanturniczych złej szkoły francuzkich romansach, zastąpić tu mają pogląd na życie, robotę artystyczną i pierwsze pojęcia psychologiczne.

Autor romansu p. t. *Błądny ognik z Argentieres*, (das Irrlicht von Argentières) widoczny miał zamiar odmalować jeziora genewskie i dolinę Chamouny z jej górami i lodami. W tym celu każe w tém miejscu odgrywać rolę swemu bohaterowi. Jest nim baron, Herman Weber von Saaleck, leżący ciężko ranny w zakładzie leczniczym. Przełożona tego zakładu tak określa jego dzieje: Herman Saaleck przyszedł pan majoratu, poświęcił się śpiewowi który doprowadził do wysokiego stopnia doskonałości, i zostaje nadwornym śpiewakiem i szambelanem pewnego groshercoga. Zaręcza się z włoską śpiewaczką, a bratu odstępuje majoratu. Ale włoszka porzuca go zdradliwie. Wtém wybucha duńska wojna, Herman idzie walczyć, pod Alsen kula pierś mu przeszywa, a jakkolwiek przychodzi już do zdrowia, jednak nie wiadomo czy dawny swój głos odzyska. To wprawia go w smutek. Gnany tęsknotą, przyjeżdża do Szwajcaryi,—tu na jeziorze lemańskim poznaje prześliczne zjawisko, w której się znów zakochuje. Ona w nim, kochają się i kłóćą, aż wreszcie pan Herman Weber, gdy właśnie brat jego umarł, prosi ojca dziewczyny o jej rękę, już jako baron Weber von Saaleck, pan majoratu w Saleck w Turyngii i były szambelan, były nadworny i poufny śpiewak Jego Królewskiej Wysokości Groshercoga von X.

Nudny ten romans ma tylko trzy tomy objętości. Wprawdzie miłosne sceny przeplatane są opisami wzniosłych scen natury, których autor oczywiście naocznym był świadkiem; lecz z tém wszystkiem piękną zasadniczą myślą, znajomości ludzkiego serca, podniosłości przedmiotu ani szukaj. Główny charakter którym jest pan baron, opisany jest w ten sposób, iż ma tyle szyku i przystojności, że *kelnerzy w oberży mocno są zdziwieni, gdy w księgę podróży zapisuje się tylko jako prosty mieszczuch, jako Herman Weber!* ale i panna Wanda Sauliér, jego ideał szwajcarski, odkrywa w nim coś znaczącego od zwyczajnego Hermana Webera.

Spryt niepospolity jak na bohaterkę idealnego romansu! Pan baron jest to człowiek bardzo porządny, uczciwy i dzielny, ale to wszystko nie stanowi jeszcze żadnej nadzwyczajności, którą jednak autor chciał koniecznie obdarzyć swego bohatera. Nie stanowi jęj nawet nadzwyczajne pragnienie zostania pierwszym w świecie śpiewakiem! Gdyby nim nawet został, choćby jakim *primo tenore*, to jeszcze mu daleko do nadzwyczajności mającej olśnić i czytelnika imaginację rozbudzać! Dodajmy do tego, że najwyczałniejsze i najpospolitsze przygody i rzeczy opisuje autor z zaciętością archeologa. Dowiadujemy się naprzykład, jak byli ubrani kelnerzy usługujący do herbaty, jakie były potrawy, jak wyglądały stołki i osoby siedzące na nich, począwszy od brody a skończywszy na najmniejszym guziczku ich sukni. Niestosowne porównania, przesada i deklamacye nużą i tak już znużonego do syta czytelnika!

„Skarb” (Die Schatzgraeber). Zmieniamy dla tego tytuł, że lepiej w ten sposób rzecz objaśnia. Nader prosta i zwykła jest treść tego romansu. Właściciel skarbu dał go do schowania w czasie wojennym swemu przyjacielowi. Ten nagle umiera, a z jego śmiercią ginie wszelki ślad skarbu. Skutkiem tego wynikają nieporozumienia, podejrzenia, poszukiwania, a zarazem usiłowanie wynalezienia skarbu nadprzyrodzonymi siłami. Przypadek atoli pomaga, skarb znajdują. Autor wplótł dosyć zręcznie wielką liczbę oryginalnych figur, przez co wyrodziło się wiele sytuacji, trzymających czytelnika w ciekawości. Prawda, że te sytuacye nie zawsze sprawiają przyjemne wrażenie, naprzykład w rozdziale: *Stelc i jego gospodyni*. Lecz cóż począć, kiedy romans powinien mieć trzy tomy? Trzeba sobie radzić jak można, wplatać opowiadania nie należące do rzeczy, trochę dysertacyi, i jeszcze więcej dziwaczności szerokiego rozmiaru. Autor wcale szcudrobliwie obszedł się ze swoim piórem, nie żałował go bynajmniej; gdy wspomiał o budynku, zaraz dał dokładne jego określenie, gdy napomknął o przechadzce, zaraz doręczył opis pięknej natury. Więć też w ostatniej części nie zbywa na trywialnościach i podobnej im niesmacznej zaprawie.

Skłonność autora ku okropnościom nadnaturalnym, widoczna szczególnie w samych początkach, gdzie się objawia w sposób zdolny zawrócić całkowie głowę czytelnika. O język nie chodziło autorowi tak dalece, w wielu miejscach grzeszy niegramatycznością i niedbałością. Mimo tych wad, można tuszyć o przyszłości pisarza.

Romans historyczny, p. t. „Dziad Wiktora Emanuela”, Szubara, ciągnie się przez dwieście stronnic, a te dwieście stronnic rozszerzają się bardzo niezgrabnie nad zdarzeniem nieprawdopodobnym z życia Emanuela Filiberta, księcia Sabaudyi. Główną oś stanowi nieposzlakowany charakter wieśniaka Jana Pardy, który księciu niewiedząc że to książę (nie wielka sztuka), wiele nagadał prawd gorkich, za co go tenże kreował sędzią. Tenże Pardy skazuje niedługo samego księcia, który kazał zamordować hrabiego Montreal spiskowca, i skazuje własnego syna za pomaganie w tenże morderstwie. Wyrok przeciw księciu unieważnia prawo, brutusowski zaś

wyrok unieważnia sam książe. Pardy zostaje wielkim sędzią Sabaudyi, syn zaś jego hrabią.

Zbiór tych niedorzeczności nazwany historycznym romansem, nie może przypaść do smaku czytelnikom pragnącym zdrowszej strawy, dlatego wolimy przejść do tak zwanych romansow ludowych (Volksromane). Jakiś czas wydawało się, że „wiejskie historie” wyczerpują romanse ludowy, tak iż obok nich nic już innego w tym rodzaju istnieć nie może, i że one stanowią go przeważnie. Tymczasem łatwo z przebiegu niejednej obcej literatury przekonać się można, że idylliczne uwielbianie wieśniaczego stanu, bynajmniej nie przypadało do gustu, być może dlatego że w takich codziennych wydarzeniach jakie zająć mogą w oborze, stajni, czy w wieśniaczej izbie, trudno doszukać się awanturniczego choćby powabu. Przeciwnie wiadomo że *romans awanturniczy* kwitnął w pełnym rozwoju w Niemczech, jak znowu w Hiszpanii romanse opisujące łotrów i urwisów; dość tu przypomnieć romanse Mendozy lub Grimmelshausena: *Simplicissimus*. Ludzie niższych stanów byli bohaterami, których awantury nie ograniczały się do jednego miejsca, lecz nieodłączne były od rozlicznych podróży. W Niemczech reprezentuje rodzaj ten przeważnie *Karol Holtei*, którego; „*Włóczęgi*” „*Ostatni kome-dyant*” dorównywiają dawnym wzorom. Toż samo da się powiedzieć o ostatnim utworze tegoż zgrzybiałego autora p. t. „*Przygody lokaja*.” (*Erlebnisse eines Livreediners*). Już sama forma ma ludową barwę, bo trudno o większy kontrast jaki panuje między Holteiem a pisarzami akademickiego stylu, np.: *Grimmem Hermanem* lub *Pawłem Heysem*.

Okresy Holteia to stylistyczne bezdroża, to mowa ze wszystkimi skróceniami zwyczajnymi w codzienném życiu; jego zwroty to albo wyrażenia pełne siły, albo zwroty szlęzkiego dyalektu. Co więcej, autor nie waha się posłużyć nieortograficznemu listem wplecionym w tekst romanse, a to dla nadania mu pierwotnej oryginalności i prawdy. Pierwszy atoli rozdział usprawiedliwia ten proceder, gdyż dowiadujemy się, że p. Wojciech Szmidtmajer, ów lokaj, sam napisał swe Pamiętniki, a p. Holtei tylko je opracował bez zmiany jednak sensu i charakteru. Któżby więc w autentycznych Pamiętnikach lokaja szukał stylu? W romanse tym mile chwytają za serce: pewien ton pobożnego przywiązania do miejsc rodzinnych, i szczerze, naturalne objawy uczuć. Niema w nim sztuczności, co jest właśnie jego zaletą. Prócz tego znaleźć tu można prawdziwe żywioły ludowego dramatu jako i rozlicznego rodzaju drastyczne awanturki, bijatyki, miłostki z tój i z tamtój strony Renu, a wszystko to ciosane z jędrnego drzewa, pozbawionego ozdób i arabesków. Czyż podobny rodzaj utworu można mierzyć artystyczną skalą? Nie, gdyż jego celem jest swobodne wyrażanie poetycznej indywidualności. Kto zna dzieła Holteia, ten pozna natychmiast starego malarza wyrazistych scen, malarza pełnego humoru, niemogącego się jednak pozbyć ani swych politycznych mrzonek, ani zamiłowania w kreśle-

niu rafinowanych scen niemoralnych. Nie zamierza on bynajmniej zepsuć kogo, broń Boże; lecz pragnie przedstawić swego bohatera przechodzącego najrozmaitsze niemoralne otchłanie. A jeszcze trzeba wiedzieć, że autor wiele skrócił, wiele opuścił, niby z owych pamiętników oryginalnych.

W XVI rozdziale tłumaczy się poniekąd autor mówiąc: „Zapoznam was z dwoma osobami, o co podniesiecie na mnie wrzask potężny. Przygotowany-m na to. Lecz Abel i Wiktoryna liczą się w życiu Wojciecha (bohatera) tak jak błyskawica i burza w naturze. Kogo piorun przestrasza, to niech załka uszy; kogo błyskawice ślepią, ten niech zakryje oczy. W tej książce często jeszcze będzie grzmieć i łyskać, i grad będzie padać, a ulewy brud pozostawia; lecz potem się rozjaśni i pod wieczór słońce wejdzie na czystym błękitnym niebie.” Pytamy się jednak autora na co każe brnąć przez brudy? Tłumaczenie się że to oryginalne pamiętniki, uchodzi panu Szmidmajerowi lokajowi, ale nie p. Holteiwowi autorowi, tém więcej że humorystyka jest w stanie wstrętne nawet rzeczy artystycznie przedstawić. Prawda i to, że ten humor opuszcza często autora, a zastępuje go pewien rafinowany cynizm, który przechodzi granicę dozwoloną pisarzowi ludowemu. Historia Abła i Wiktoryny jest tak ohydną, tak brzydko-realistyczną, że jej śmiało moralizującemu autorowi niemieckiemu pozazdrościć mogą p. Ponson du Terrail, Champfleury i inni notujący z gruba realisci. Przyznać trzeba na tém miejscu, że literatura polska czerns podobnym na szczęście, wykazaćby się nie mogła. Historia ta jest wyszydzeniem przepisu francuzkiego kodexu: *la recherche de la paternité est interdite*, nie będziemy więc jej tu streszczać. Niema ona ani poetycznego wdzięku, ani nie daje żadnego rezultatu. Istotnie „przygody lokaja” są rozmaite i wyczerpują najzupełniej najszerszą skalę sytuacji.

Przygody bohatera w Berlinie i Paryżu dowcipnie są zaprawione. I tak: bohater jest jakiś czas kancelistą u adwokata, lecz porzuca to rzemiosło, gdyż uczuwa wyrzuty sumienia z powodu zawikłań jakim także pomagać musiał; potem zostaje lokajem u pewnego dyplomaty i jedzie z nim do Paryża, gdzie zawikłany znowu w rozliczne przygody i zetknięcia z tajną policją; poczem kolejno służy u pobożnego radcy tajnego, u hrabiego gracza z profesyi, u bankruta bankiera, u pięknej hrabiny Berty która zapłaciła mężowi swemu za tytuł hrabiowski, tak iż tenże zaraz po weselu musiał się z nią rozłączyć, nareszcie zostaje służącym w pensyonacie. Ze synem pewnego doktora i z programem tegoż pensyonatu objeżdża prowincję, pokazując właśnie tego syna jako próbkę wychowania owego pensyonatu. Dość oryginalny pomysł tej pedagogicznej reklamy. Teraz kroczy już bohater drogą poprawy. Wkrótce powraca do swój ojczyzny, i w zamku gdzie służył w pierwszych latach młodości, służy i dalej jako dozorujący zdrowia syna właściciela, to znowu reumatycznego ojca. Lata starości ma tutaj zapewnione.

Tendencja tego romansu mimo pewnych wyskoków jest ostatecznie moralną, atoli trudno nie dostrzedz uwielbienia serwilizmu, wyrażającego się w sposób za nadto osobisty. Dobry sługa zastępuje rzeczywistość na uznanie, ale żeby pod pozorem apoteozy libery, uciekać się do wyrzekań i obwinień pewnych warstw i pewnych kierunków stulecia, to za wiele.

Romans Fryderyka Benedyxa p. t. „Włóczęgi” (Landstreicher) przypomina „Włóczęgów” Holteia, różnią się jednak wielce warianty do jednego i tego samego motywu. „Włóczęgi” Benedyxa to prawdziwi lotrzy, oszuści i rabusie, ci owi uczeni proletaryusze którzy po ukończeniu nauk a w oczekiwaniu posady, pędzą żywot beczynnie, aż się targną wreszcie na porządek społeczny. Wołą wyraźną autora było, porównać włóczęgów z nauką, z włóczęgami bez ukształcenia (z romansu Holteia), więc téż bohatera swego, kandydata teologii Ehrenfrieda wprowadza w bardzo bliskie stosunki ze zbrodniarzami. Żywiołów dawnego romansu awanturniczego jest tu podostatkiem, lubo bez wszelkiej awanturniczj romantyki, lecz przeciwnie z całą szerokością kryminalnej prozy. Czytelnik staje się świadkiem złodziejskich i zbójckich napadów, fałszywój gry i fałszywych wexłów; zapoznaje się z inspektorami więzień i domnów roboczych, słowem cały pęk ilustracyi i ozdób kodeksu kryminalnego znajdujemy w tym romansie. Niema tam tylko scen ulubionych Holteiowi, scen rażących przyprawą assa-fetydy.

Młodość bohatera Ehrenfrieda opowiedziana dość zajmująco, życie zaś szkolne młodzieży męskiej aż nadto szczegółowo. Autor na ławkach szkolnych wyszukuje sobie przyszłych bohaterów. Oto zuchwały synek bogatych rodziców, — poznamy go później jako szulera, oszusta; oto skarżący przed professorami swych kolegów, i później nie chybia tego rzemiosła.

Bohater, kandydat teologii, traci jednę posadę przez powiedzenie mowy pogrzebowój sprzeciwiającej się mowie oficjalnego mówcy, drugą przez zbyt racjonalne kazanie o cudach stworzenia, co się nie zgadzało z poglądem kollatora. Z biędzy zostaje Ehrenfried dyrektorem muzyki wędrującej trupy aktorów, których życie daje sposobność zajmującego skreślenia rodzajowego obrazka. Takie antecedenecye i stosunki z aktorami przeszkadzają mu znowu w otrzymaniu posady proboszcza, którj mu chciał udzielić burmistrz pewnego miasta, a znow jako nauczyciel w pensjonacie żeńskim nie może pozostać, gdyż kierowniczką zakładu pokochała się w nim na zabój, bez jego wzajemności. Teologiczna przeto karyera całkowicie zwichnięta. Rzuca się na pole muzyki, i jako dyrektor orkiestry zarabia na chleb.

Łaskawa Muza komedyjna Benedyxa nawykła już do tego, iżby przed zapadnięciem zasłony pobłogosławić kilka par. Tak się téż i tu dzieje. Ehrenfried żeni się z Konradyną którą kochał od dawna, Werner z Adelgundą i t. p. Język Benedyxa prosty ale poprawny. Benedyx to mąż reprezentujący mieszczańską prozę życia. W niniejszym romansie staje on w obronie zbrodniarzy, ich

społeczeńskiego stanowiska już po odcierpieniu kary; żąda on zniszczenia martwój formy a wprowadzenia natomiast prawdziwój ludzkości. Z tego stanowiska uważany romans niepoślednie ma zalety, tak jak potężną to wydaje się ironią, że Ehrenfried, czyniami które mu jako *człowiekowi* największy przynoszą zaszczyt, niemożliwym się czyni jako teolog. Tak powieść idzie żywo, znać że autor jest dramatycznym pisarzem. Czyni on też częste digressye z pola teatru, literatury i muzyki, jedna z nich najciekawsza, ta która gwałtownie uderza na tak zwaną: „Szekspiromanię.”

Autor wiejskiej powieści p. t. „Dziwacy” (Sonderlinge) odróżnia się od Bertolda Auerbacha, Józefa Ranka i wielu innych przedstawicieli tego powieściowego kierunku, tą ważną właściwością, iż jest sam wieśniakiem, a więc pisze z własnego życia i doświadczenia.

Podczas gdy inni idyllą wiejską odgraniczają się od reszty świata, od prądów życia, rozkoszując się arkadyjską ciszą, przeciwnie ten syn wsi usiłuje wyjść z ciasnych granic, przywołując w ciche swe doliny, religijne i polityczne prądy bieżącego czasu.

Ktoby jednak sądził, że autor chłop, musi być nieokrzesany albo musi błędzić dziwacznym i ograniczonym poglądem, teby się bardzo pomylił, gdyż dzieło rzeczzone jest owocem ukształcenia i znakomitej pisarskiej biegłości. Prawda, że prostoduszny popęd tworzenia będący główną przyczyną autorowi w napisaniu dzieła, odróżnia dzieło jego o tyle od innych będących wytworem gorączki tworzenia, iż gdy tamte nacechowane są rutyną pisarską, w utworze jego postęp i doskonalenie się coraz widoczniejsze z postępowaniem samej pracy, ale czyż mistrze rodzą się gotowi? Autor widocznie czyni postępy podczas samego pisania, *rozpisuje* się, że się tak wyrazimy, co zawsze jest lepiej aniżeli gdy kto już się *wypisał*. Opowiadanie z początku utykające i niepewne, nabiera w ciągu energii, podniosłości i znaczenia.

Treść taka: Dwaj bogaci chłopcy *Barthle* i *Sepp*, pierwszy pełen zabobonów, pobożniś, drugi lekceważący innych dlatego, że sobie dość nauki przyswoił, żyją ze sobą w takiej niezgodzie jak Montechi i Capuletti. Naturalnie nie brak Julii (córka *Barthla* *Maryanna*) i *Romea* (syn *Seppa* *Franciszek*) uszczęśliwionych w końcu małżeńskim ślubem.

Długo romans przesuwają nam przed oczami obrazki rodzajowe, nie wzbudzając wyższego zajęcia, dopiero ożywia się wszystko z przyspieszeniem katastrofy. *Sepp* albowiem pomaga swemi pieniędzmi oberżyscie miejscowemu w pobudowaniu młyna, w tym celu każe ściąć wał drzewny chroniący przeciw spadkowi lawin górskich. *Barthlego* znowu podjęła cyganka posądzeniem, jakoby mu *Sepp* było czarował. Gdy mu istotnie krowa zachorowała, biegnie *Barthl* do lasu ażeby się posłużyć poradzoną przez cygankę środkami. W lesie spotykają się obaj przeciwnicy, *Barthl* wyczytuje z twarzy *Seppa* szyderstwo. Wraca do domu i zastaje już krowę zdechłą. Tego mu nadto, wie on, że lawiny grożą

spadnięciem, i że wróg jego niemi zagrożony; ażeby więc przyspieszyć katastrofę, każe woźnemu gminy, wystrzelić z karabinu między lawiny śnieżne. Strzał rozległ się tysięcznym echem, zmieszanym z krzykiem rozpaczki Seppa. Barthl słyszał ten krzyk i zaklął jeszcze srożej. Prawie z objęciem śmierci wyrwali wieśniacy potłuczonego Seppa, lecz Barthl umiera (pogodziwszy się poprzednio) skutkiem wzruszenia, w jakie go wprawił los spadającego Seppa

Inwencya nader szczęśliwa, wypływająca z charakterów, a tém sprawiedliwszą wydaje się karą, że uparty i zarozumiały Sepp mało nie ginie przez lawinę, której spadek ułatwił sam unyślnie i ze złości woli, Barthl zaś fałszywy i przesądny pobożniś umiera skutkiem własnego podstępu. Opisy natury piękne, ogrzane ciepłem uczucia, podniesione rysami prawdy. Już w pierwszym tomie znajdujemy przepyszne opisy natury, obyczajów i życia wieśniaków alpejskich. Autor ma tę jeszcze zaletę, że przeprowadza konsekwentnie tendencję polecającą: usiłowanie życia wspólnego: asocjacyi, o czem zwykle chłopci niemiecscy i słyszeć nie chcą. Radzi on, iżby odosobniający się i dziwacy spłynęli w jedno, stworzyli organiczną całość, iżby działali jeden dla drugiego.

Miejscem w którym się odgrywa rzecz historyczna romansu p. t. *Córka króla jaj* (die Tochter des Eierkönigs) jest duńska okolica nadbrzeżna w bliskości wyspy Sylt. Król jaj, osoba poważana we wsi, ma urząd zbierania jaj ptaków morskich wylęgających się w nadbrzeżach, i rozdzielania ich między gromadę. Król ten nazwiskiem *Lille Peer* schodzi zaraz z początku z widowni, a całą uwagę zajmuje odtąd córka jego *Inge*, która odebrawszy ukształcenie u pastora, nie może teraz przyzwyczaić się do prostaczego życia wyspiarzy. Odmawia ona ręki kapitanowi *Take* dzielnemu marynarzowi. Zdarza się, że lady Abermarle, ochmistrzyni królowej duńskiej Karoliny Matyldy, zjawia się na wyspie skutkiem rozbicia okrętu. Polubiła *Inge* która ją pielęgnowała w chorobie, i zabrała ze sobą do Kopenhagi, gdzie wkrótce tak samo polubiła ją królowa. Autor opisuje teraz szczegółowo życie u dworu półszalonego Krystyana VII wraz ze wszystkimi wypadkami i przejściami. Silnemi farbami maluje królowę związaną z doktorem Struensec i stronnictwo królowej wdowy, działającej w porozumieniu z marszałkiem dworu Holkiem, a usiłujące zgubić królową małżonkę. Struensec tryumfujący zrazu, ginie na rusztowaniu a z nim królowa.

Na takiémto różnobarwnym tle historycznych wypadków snuje się dalszy los bohaterki romansu. Zaślubia ona potajemnie hrabiego Gideona von Rancau, lecz wkrótce porzuca ją ten zmienny dworak i zostawia losowi jaki spotkał stronników królowej. Ojciec hrabiego oddaje *Inge* oprawcom. Kapitan *Take*, ów pierwszy odrzucony konkurent, ocala ją osobistym poświęceniem i to w chwili, gdy oprawcy mają ją utopić. W jego też domu znajduje nieszczę-

śliwa schronienie, aż wreszcie mąż, dręczony wyrzutami sumienia, błaga o przebaczenie.

Historyczna strona romansu trzyma w ciekawości czytelnika, a i ta część książki nieci, gdzie się znajduje opis natury na wybrzeżu morskiem i wyspie.

„Życie i śmierć” należy do romansów kryminalnych. Otrucie dziecka mające na celu schwywanie dziedzictwa, oto ós główna, około której kręą się pracowicie dwa duże tomy. Nie bez celu, który objaśnimy poniżej, podajemy tu treść tego lichego romansu. Podejrzenie otrucia pada na młodą Amalię Boze, macochę domniemanie zatrutego chłopca. Podejrzenie ztąd urosło, że opiekun chłopca, wykazuje dokument, w którym Amalia (po śmierci męża uniwersalna dziedziczka), zapisuje lekarzowi nieboszczyka męża 25000 talarów. Owenowi opiekunowi umierając pozostawił ów doktor a jego przyjaciel dokument, i na mocy tego grozi tenże wdowie zaskarżeniem, jeżeli mu nie odda swęj ręki. Amalia, o której miłość stara się młody Armin, odrzuca propozycje grożącego, lecz jest w śmiertelnej obawie, gdyż dokument ów rzeczywiście sporządziła, lubo nie dla lekarza ale dla brata jęj męża. Chciała tym darem ulagodzić starającego się natarczywie o jęj miłość! Nader to dziwny pomysł szanownego autora! Chodzi więc o wynalezienie zaginionego syna nieboszczyka męża, którego tóż rzeczywiście wynajdują. Wszystkie przeto intrygi przecięte, chłopiec naturalnie nie był otruty, a szczęśliwe pary żenią się odwiecznym zwyczajem praktykowanym na świecie a głównie w powieściach i komediach.

Taka to treść. Dla polskiego czytelnika przyzwyczajonego (przyznać trzeba bez pochlebstwa) do zdrowszj strawy, do mnięj awanturnicznych i zawikłanych wydarzeń w powieści; cudactwa te wydają się jeżeli nie śmieszne, to przynajmniej tak liche, iż ze wstrętem porzucić gotów książkę. I nie weźmiemy mu tego za złe, nawet przy następnym czterotomowym romansie, którego podajemy treść i rozbiór dla obznajomienia czytelnika z bieżącą literaturą niemiecką. Potrzeba dużo ziarnek piasku przesypać, zanim się znajdzie złote; poczekajmy, może przecie natrafimy na nie. Ten czterotomowy romans nosi tytuł: „Sama na świecie” przez Franciszka von Nemmersdorfa, będącego jak się zdaje pseudonimem zakrywającym kobietę.

Autor przenosi nas w samą śmietankę towarzystwa, czemu nie uchybia bynajmniej wypadek kryminalny należący do motywów powieści. Zastrzelił się guwerner w hrabioskim domu, a raczj niewiadomo czy się sam zastrzelił czy mu kto dopomógł. Tym ktosiem ma tu być passionat, hrabia Bärenburg mający na niego podejrzenie iż trwa w stosunkach miłosnych z panną hrabianką Judytą, a jęgo córką. Hrabiance przeznaczono iż prawie ciągle żyć musi samotna i opuszczona. Po śmierci albowiem ojca, macocha jęj tak ją brzydko przedstawia narzeczonemu hrabiemu Dagobertowi, że aż zmuszona dom rodzicielski opuścić, i wstąpić na deski teatralne. Zyskuje ogromne powodzenie jako aktorka,

lecz i tu prześladowają ją liczni wielbiciele, a między innymi brat zastrzelonego professor Korn, który grozi jej nawet skargą kryminalną, tymczasem zaś czerni ją painflectiańskiemi artykułami po gazetach. Lecz nagle zjawia się obrońca; baron Robert von Hårdenstein, który *oddawna* już przekonany był o jej niewinności, a teraz w tm przekonaniu bardziej się jeszcze umocnił. Znalazł albowiem dzienniczek zastrzelonego gubernera (Deus ex machina!) z którego każdy mógłby się przekonać że pan gubernier miał w głowie zajczki; czy jak kto chce, że był napt waryatem. Atoli szlachetny baron dopiro wtedy zakochuje si w hrabiance-aktorce, gdy narzeczona jego pikna hrabina Lilli Wolfskeehl uciekła z jednym z Brenburgw. Drczy wic teraz professora, który a skutkiem tego i pijatyki do której go baron namwił, umiera, poczem oddaje baronowskie swe serce hrabiance.

Cały swiat wystpujcy w tym romansie złożony z urwisw, niepoczciwych i łotrw, szczeglniej zaś warstwa klasy niszej, sredniej czy mieszczaskiej. Na czysto nie wychodzi zupełnie sama nawet bohaterka. Mimo to przyznać trzeba autorowi czy autorce zrczne wladanie pirem, co sie zaś tyczy wartoci caego utworu, to życzyby mu trzeba wicej prawdy, mniej chorobliwoci w pociach, i mniej w ogle awanturniczj fantazyi. Bajka powieciowa jeeli chce mic oglne znaczenie, powinna sie opiera na rysach powszechnie budzcych zajcie, a wic na psychologicznych, na zaczerpanych z natury istotnej czlowieka. Wolno przeprowadza osobiste pogldy czy tendencye, ale w takim razie zyskuje sie tylko co najwicej podziw jednj koteryi lub kasty.

Na szczcie moemy wolniej odetchn, i szczerze pochwalic wiksz opowiastk wgiersk p. t. „Ilka.” Rzecz tj opowieci nie zawikana, prosta, nie ułożona wspaniale ale zmylnie i trafnie; odbywa sie w Karpatach, której cudowne okolice przepysznie nakrelone.

Mlody Paweł Garai syn kowala wiejskiego, powrcił po ukoczeniu szkł do swego dzielnego ojca i do swj sliczniuchnej Ilki, crki miejscowego oberzysty. O Ilk stara sie take zamozny Wladysław Zallar, niegdys towarzysz lat dziecinnych Pawa. Nieprzyjty, uczuwa w sercu nienawi do Pawa. W nienawici idzie dalej, bo sie chce zemci. W tym celu wypowiedzia staremu kowalowi niespodzianie dlug zahipotekowany, chcc go w ten sposb zubożyć, a nawet w pewnym szynku koo Pesztu namawia znanego wlczg: „elaznego Benedykta” aeby dom kowala podpalił. Pnij budzi sie w nim sumienie „a gdy niedlugo istotnie pozar wybucha w domu kowala (podobno podozony przez cyganw), biegnie on na ratunek z najwiszm powiczeniem. Stary oberzysta ojciec Ilki umiera skutkiem pozaru, lecz wprdy błogstawi dzieci swoje i Pawa, poczywszy ich rce. Slub musi by z powodu zaskych okolicznoci przyspieszony. Jest to pora zimowa, a Ilka ze łzami w oczach ali sie że niema dziewicj ozdoby, kwiatka rozmarynu; lecz wszake Paweł yje, on wianka poszuka,

choćby to życiem miał przyptać. I rzeczywiście chodzi tu o życie, bo na Dunaju pełno kry lodowej, która pędzi z taką siłą, że wyrwa drzew korzenie, burzy domy, zarywa brzegi. Do Pesztu trzeba się dostać koniecznie. Siada więc Paweł z dwoma towarzyszami w lekkie czółno i puszcza się na drugą stronę. Już po niemalych trudach dosięgli środka rzeki, gdy nagle potężna kra uderza o czółno i zanurza je głęboko. Ratunek prawie niepodobny, chwila straszna; wtém zjawia się oswobodziciel, który z narażeniem własnego życia ratuje tonących. To Władysław Zallar, rywal Pawła. „Nie dziękuj mi—ręczę do Pawła—odwetowałem tylko dobrym czynem nieopatrzne słowa, które były przyczyną wielu łez i cierpień! Ten ratunek ulży memu sercu: bądź Pawle szczęśliwy, i niechaj ona będzie uszczęśliwiał!” Paweł przywozi swęj narzeczonę, świeży, kwitnący rozmaryn; kosztowało go to tyle a może i więcej co owa rękawiczka wydarta lwu z ballady szyllerowskiej. Nazajutrz ślub, Władysław przyczajony w kościele, patrzył na państwa młodych, a potem zniknął bez wieści.

Prosty ten romans ęci tym jeszcze powabem, że maluje wienie narodowe stosunki. Rozkoszne to, pełne siły i prawdy obrazki, w których autor poetycznie przedstawia: życie pastusze, pustkowi, ruch w karczmie na pustkowi, wesoły zbiór winogron w jesieni, zimowy krajobraz i piętrzący się krami Dunaj. Piszący musiał sam być naocznym świadkiem i czuć prawdziwie, ażeby potem stworzyć całość tak ponętną.

A teraz słów kilka o kobietach autorkach. W dzisiejszych czasach nie tylko u nas, ale wszędzie namnożyło się autorek. Literatura na tém nic nie straciła, lecz nie powiemy żeby tak dalece zyskała. Jest między nimi wiele pożytecznych pracowniczek, umiejących zastosować swe zdolności dla dobra przedewszystkiém płci swojej, której potrzeby, słabości i dążenia najlepiej znać mogą; lecz jest więcej takich, które szczyptę swego talentu marnują na przerabianie w formie powieściowej oryginalnych myśli, znakomitych swych poprzedniczek, na przykład pani Sand. Z tego przerabiania wylega się zwykle coś, co nie dorównywa talentowi tamtęj; lecz co ją prześciga w dziwaczność fantazyi, lub w zuchwałym zakroju emencypacyjnym. Wpływ nieszczęsny pani Sand nie tylko w literaturze ale i w wychowaniu młodych kobiet nie da się tu załatwić kilkoma słowami; lecz nie od rzeczy będzie tu już napomknąć, że naśladować wielkich mistrzów, potrzeba mieć trochę przynajmniej ich talentu, inaczej utwór staje się potwornie dziwaczny, lub śmiesznie nielogiczny. Dowód tego widzimy na naśladowcach Hoffmana. Toż dzieje się z imitatorami pani Sand. Jęj przebaczymy w imię artyzmu, zgubne apostołstwo fatalnych namiętności, ale nie przebaczymy nigdy kartowatym naśladowcom głoszącym też zgubne zasady w bardzo lichęj formie, bez żadnego przekonania, bez świętego ognia którym bądź co bądź gorzej pierś każdego prawdziwego artysty.

Są znowu autorki, które się posługują skwapliwie całym przyborem jaskrawości francuzkiego romansu, polegającego na nadzwy-

czajnościach, na efektach niezém nieuzasadnionych, na wypowiedzeniu wojny urządzeniom społecznym i obyczajowym, na apoteozowaniu bohaterów wyszukanych w błocie, tak, że gdy się czyta ich utwory, zdawać się każdemu może, że czyta lichy przetożony lichy romans francuzki. Tego rodzaju autorek, posiada literatura niemiecka sporą liczbę wzrastającą niemal z każdym dniem; lecz autorek takich, któreby talentem swym kierowały w ścisłych granicach kobiecego doświadczenia i uzdolnienia, nie wiele. Jesteśmy tego zdania, że jeżeli romans lub powieść napisana przez kobietę, mają być czémś więcej aniżeli dyalogiem konwersacyjnym, jeżeli chcą mieć wartość trwałą i niezawodną, to powinny dać czytelnikowi wierny obraz kobięcego serca, jego radości, zawodów, bólów i namiętności; to powinny nam nasunąć przed oczy te stosunki, w których działalność kobiety widoczna, albo w razie kollizyi z obyczajem społecznym, prawami czy okolicznościami tę walkę, którą ona staczać musi w cichéj pokorze, w anielskiéj cierpliwości.

Powieści tego rodzaju życzyć trzeba jak najwięcej; z przyjemnością téż rzetelną wyciągamy z powodzi romansów niemieckich, któreśmy przeglądali, opowiadanie pani Jadwigi Prohl, które godne jest ze wszech miar przekładu na język polski. Tytuł jego jest: „Macoszka”. (Stiefmütterchen), a treści dostarcza szlachetna kobieta w trudném i przykrém stanowisku macochy. Co to jest macocha? Jest to kobieta w położeniu pełném trudów, niesprawiedliwych zarzutów z jednéj lub drugiéj strony; autorka zaś przez usta bohaterki owéj pani radczyni tak stan ten określa:

„Grzechem to i hańbą, że w dzisiejszych czasach walczących tak zwycięzko z każdym przesądem, nie walczą tylko z przesądem wszczepionym przeciw macochom. Prawda, że są takie, które krzywdzą dzieci, ale czyż matki zawsze dobrze względem swych dzieci postępują? Czyż między dziesięcioma nie ma najmnij jednéj takiej, która przez lekkomyślność czy głupotę albo z innych jeszcze przyczyn nie krzywdzi daleko srożej swych dzieci; czyż nie ma takiej, która nie dając im dobrego wychowania, albo zaniedbując ciało ich i duszę, oszczędziwia ich daleko więcej aniżeli macocha? Lecz jakże się zwykle dzieje? Zaledwo nauczymy się alfabetu, już czytamy o złości macoch; cóż więc dziwnego, że dorósłszy strachamy się na samą myśl dostania się pod ich berło. Matka umiera w największém przerażeniu, bo się obawia macochy dla swych dzieci. Woląaby raczej żeby zmarniały fizycznie i moralnie między sługami, aniżeli żeby miały macochę. Od piérwszój chwili, gdy macocha przestąpi próg domu, trwa już przesąd zobopólny dzieci i macochy, tak, że ta staje się podejrzliwą i niespokojną, dzieci zaś leniwie wypełniają swój obowiązek. Wszystkie jéj czyny tłumaczą fałszywie, do broć jéj nazywają słabością, surowość okrucieństwem, łagodność obojętnością, oszczędność skąpstwem i Bóg wie czém jeszcze. Macocha musi być albo doskonałym aniołem, znoszącym wszystko z rezygnacją, albo smokiem pożerającym wszystko naokoło, żeby tylko obronić swe prawa”.

Ileż prawdy w tej definicyi! Wprawdzie macocha w tej powieści nie jest doskonałym aniołem, ale jest doskonałą kobietą w najczystszej znaczeniu tego słowa. Straciwszy wczas rodziców, pielęgnowała długie lata chorą siostrę, aż ją niespodziewanie zamożny człowiek poślubił. Lecz teraz właśnie obsiadły ją nieszczęścia, wprawdzie nie zesłane losem, nie straszne wydarzenia, ale boleści duszy, zawody i upokorzenia bez końca, tak, iż się czuje nareszcie złamaną na duszy i ciele. Wstępując jako macocha w dom owdowiatego męża, zastaje tam ciotkę zazdrosną o gospodarstwo, któremu dotąd przewodniczyła. Ciotka przeto odwraca serce młodszych dzieci od niéj, starsze zaś córki także przez nią wyuczone, opierają się krnąbrnie każdemu jéj postępkowi nacechowanemu dobrocią; wpośród tego mąż, nie pojmujący jéj cierpień, nie popiera jéj swoją powagą, przeciwnie gdy traci majątek i zdrowie, obchodzi się z nią szorstko i niesprawiedliwie. Po śmierci męża i własnego dziecka musi nieszczęsna walczyć z biędą, ale mimo to, wychowuje młodsze dzieci swego męża aż do chwili w której im los zdołała zabezpieczyć, poczem dopiero wraca do rodzinnego domku. Najstarsza córka odrzuciła pomoc swéj macochy. Nie przyjąwszy uczciwego człowieka pragnącego ją poślubić dla jakiegoś młokosa, przekonywa się potem że się pomyliła w wyborze i szuka opieki w domu ciotki, która ją niegdyś psuła pieczyotami w rodzicielskim domu. Lecz tu wkrótce upokorzona dotkliwie, czuje że wzgardziła szlachetnym sercem, pełna więc skruchy powraca do macochy, która zapomina uraz i przyjmuje ją z otwartemi rękami. W jéj domu przebacza jéj dawny wzgardzony narzeczony, z którym, uszlachetniona nieszczęściem, zawiera związek małżeński.

Autorka tej powieści znaną jest już z pism poświęconych młodemu wiekowi, w nowym tym utworze społecznego niemal znaczenia, dała nowy dowód talentu w szlachetnym i użytecznym kierunku. Podziwiać tu trzeba charakterystykę psychologiczną nadzwyczaj trafną, rysunek sytuacji jasny, prosty i zrozumiały, a co najważniejsza, że opowiadanie kończy się harmonijnie, niby mistrzowska sonata, bez krzyczących dyssonansów, bez owych naprężonych efektów, odurzających głowę i serce. Nareszcie morał, nie wypisany wielkimi cyframi na wzór ostrzegających szyldów, nie pożera artystycznej strony, nie wywołany też umyślnie i natarczywie, ale wysuwa się sam z siebie, mimowiednie, z etycznej treści i z artystycznego opracowania samego materiału.

Dzieło p. t. Hohenschwangau jednego z bardzo płodnych pisarzy, jakim jest niezawodnie Karol Gutzkow, daje owoc pracy i studyów, różniący się od formy zasadniczej romansów historycznych Waltera Scotta i od nowéj formy historycznego pamiętnikowego romansu. Można powiedzieć, że stoi w pośrodku między obydwojma. Nie pomijając znaczenia historycznego romansu, w którym znajdujemy obraz obyczajów przeszłości, który cały zaludniony jest miejscami niemieckiej historii: miastami (Reichstädte) i rycerskimi *burgami*, jakoteż wspaniałemi postaciami zamierzchłych czasów,

przyznać jednak trzeba, że romans nowoczesny lepiej przypada wszechstronnie ukształconemu Gutzkowowi, umięjącemu z niepospolitą bystrością wyszukiwać tendencji i potrzeb terażniejszości. Przenikniony on świętym ogniem nowych żywotnych idei, dla tego tak łatwo i ponętnie stwarza obraz obecnego wieku. Atoli romans historyczny może być arcydziełem, ale nigdy czynnikiem w pośród innych czynników poruszających żyjące społeczeństwo. Dziwna jednak, że najlepsi dzisiejsi pisarze niemieccy, przerzucili się tak stanowczo w dziedzinę historyczną; tak na przykład H. Laube w swoim niedawno co wydanym romansie z czasów wojny trzydziestoletniej, a teraz Gutzkow w Hohenschwangau. Prawda że epoki które sobie obaj wybrali, to tryskające świeże strumienie historycznego oceanu; Gutzkova pchnęły też zapewne do tej pracy obszerne i daleko sięgające studia, bystry wzrok i wprawne pióro w obrazowaniu. Te przymioty przyczyniły się do możności rozwinięcia przed oczyma czytelnika, skończonego pod wielą względami rysu wieku reformacji. Autor pod tytułem swego dzieła umieścił napis: „Romans i historia.” Tak blizkie jednak sąsiedztwo szkodzi artystycznej jedności. Utwór będący w połowie romansem a w połowie historią, przypomina cokolwiek Horacyuszowską kobietę z rybim ogonem. Historia powinna w romansie stanowić tło, opogę zdarzeń, eter duchowy, którymby one były owiane; historia powinna być materiałem potrzebnym do pojedynczych scen, ale nie powinna wplatać się w utwór poetyczny jako czynnik samodzielny i osobny: jednem słowem powinna wsiąknąć w romans w sposób chemicznego procesu. Romansopisarz nie powinien gonić za sławą historyka, chociażby posiadał jego talent. Wszędzie trzeba zachować uczucie wolności poetyckiej, przywiązującej nas całym czarem do własnych kreacji, dopiero w ogniu inwencji (fantazyi) niechaj się strawi historyczny materiał.

Gutzkow powołuje się na artystyczną robotę dzisiejszych historyków, utrudniającą tém samem nie mało współzawodnictwo romansopisarzy; lecz właściwy powab romansu polega na trzymającym w nateżeniu powiązaniu łańcuchowóm zdarzeń, które to powiązanie jest właśnie wpływem poetycznej siły kreacyjnej, nie mającej nic wspólnego z pragmatycznością historyi. I tak: historyk opisując nam charakter bohatera daje nam rzecz całkowicie już skończoną i gotową; gdy tymczasem romansopisarz rozwija w naszych oczach szczegółowo pojedyncze rysy charakteru, motywuje je psychologicznie, rozsuwa krok za krokiem i oświeca kolorytem płynącym z wewnątrz i zewnątrz. Twierdzenie Arystotelesa: że poezya filozoficzniejszą jest od historyi, da się zastosować i do romansu historycznego, gdyż prawdziwe wskrzeszenie historycznego życia stanowi w pewnej mierze poetyczną intuicyę, której nigdy nie zastąpi sucha analiza historyka.

Dzieło sztuki jako takie, nie znosi obok siebie innych bogów, romans zaś jest dziełem sztuki w prozie, a jakkolwiek reguły jego nie są ściśle wytknięte i przepisane, to jednak wolno mu przera-

biać surowy materiał: historyczny, obyczajowy czy statystyczny, byle nigdy nie zstąpił ze swych artystycznych wyżyn.

Ztąd przeto wynika, że przeplatanie romansu historią sprzeciwia się już w zasadzie jedności artystycznego organizmu; co więcej, rzetelne przeprowadzenie zapowiedzenia: „romans i historia” wytworzyłoby dwugłowe jakieś monstrum, Siamskich potwornych bliźniaków. Wprawdzie w rzeczonym romansie talent i rutyna pisarska ochroniły autora przeciw niemu samemu; lecz i tak już daje się błęd ten uczuć w kilku miejscach, błąd mącający jasność epicznej kompozycji i epicznego stylu. Artystyczne prawa mszczą się na każdym pragnącym się z nich wyzwolić.

Do takich błędów zaliczamy rozsiane w romansie liczne spostrzeżenia statystyczne, i sucho-historyczne, nie wpływające bynajmniej na działanie głównej intrygi. Tak na przykład, opisując jadące wozy z miedzią, robi autor natychmiast wycieczkę statystyczną, lokalną i niezmiernie szczegółową, lub znowu rozszerza się nad etymologią niektórych nazwisk z zaciekleścią archeologicznego heraldyka. Takie nudne szczegółki i wiadomości psują wrażenie, oddalając uwagę czytelnika.

Drugie szkodliwe następstwo z mieszania historii w romansie jest to, że obok charakterów zwracających naszą wyłączną uwagę, spotyka się wielką liczbę historycznych osobistości, na które patrzeć trzeba jak przez mgłę, albowiem te rzadko ukazując się na scenie, gmatwają interes ogólny zmuszając do ciągłego orientowania się. Swobodną przeto żeglugę fantazyi tamuje ciężar historycznej wagi; historyczne fakta i nazwiska rzucane w tok romansu, uderzają się co chwila z postaciami fantazyjnymi, a z tego podwójnego gospodarowania romansu i historii wypływają usterki szkódczące niemało całości. Usterki te widoczne zwłaszcza przy końcu, gdzie niepodobna nie dostrzedz pośpiechu w robocie autora. Tam, gdzie najwięcej pragnęlibyśmy zaspokoić naszą ciekawość, gdzie za szeroko pchnięte ramy potrzebaby ograniczyć podniesieniem najgłówniejszych osób, przy nich zatrzymując szczególną czytelnika uwagę i sympatyę; tam właśnie wysnuwają się kartki ciężko historyczne, zalecające się jak każda kronika przetykana tylko poetycznymi arabeskami. Dziwna też panuje nieproporcjonalność w architektonice romansu: założenie rozwinięte szeroko i wspaniale, wykonanie ścieśnione i pośpieszne; ekspozycja nie pozwalając odechnąć styka się tuż, tuż, ze samą katastrofą spadającą nagle, a nakreśloną sucho, kronikarsko, nieodpowiednio romansowi. Tak nagłego i nieproporcjonalnego zakończenia można było uniknąć ograniczeniem w początkowych tomach.

Mimo tego rozrzucenia i rozproszenia, bohater główny stoi w pośrodku, a czyny jego wiążą jednolicie fantazyjne i historyczne zdarzenia wysunięte z tego labiryntu Ariadny. Bohater ten, to nie historyczna figura, to kreacja poetyczna. Nie odznacza się on wielkimi czynami, przeciwnie występuje jako strona cierpiąca, budzi współczucie popadnięciem w różne zawikłania a nie energicznymi

czynami. Lecz to właśnie jego zaleta, gdyż w bohaterze romansu powinien się odbijać duch wieku; w jego rozwoju rozwój stulecia, w jego usposobieniu ogólne usposobienie. Czytelnik powinien że tak rzekę, patrzeć przez oczy bohatera, a wtedy dopiero potężniejszą wrażenia, wydatniejszą fakta i osobistości. *Otthenreich*, bohater romansu, ukazuje się jako przeniknięty reformacyjnym pathos, a swoim życiem daje czytelnikom obraz usiłowań reformatorskich, z początku niepewnych i walczących z wrogimi wpływami, potem dopiero wzmocnionych i wzrosłych, aż do zupełnej samodzielności.

Wszędzie, gdzie autor epoki czy figury historyczne, uzmysłowił i rozwinął własną fantazją, wszędzie czytelnik czuje się porwanym, to też w tym kierunku przypomina Gutzkow żywo *Freitag*: „Obrazy z przeszłości niemieckiej.” Trudno wyobrazić sobie plastyczniejszego rysunku jak jest w „Hohenschwangau” tam gdzie przychodzą opisy życia patrycyuszów w niemieckich Reichstadtach, ich fizygnomii podczas sejmów, obecności cesarza niemieckiego, książąt i panów, awanturniczych wędrówek ówczesnych mężów ruchu, uczonych, doktorów i kaznodziei. Istotnie duch epoki reformacyjnej wybija się tu na zewnątrz z całą wierną naiwnością, prawdą niemal teologiczną, bo objaśniającą punkta sporne starego i nowego kościoła.


Możnaby wnioskować, że Gutzkow w trzech swoich olbrzymich romansach dopełnił się całkowicie: I tak: „Rycerze ducha” (*Ritter vom Geiste*) były wyrazem nowoczesnego protestantyzmu w najróżnorodniejszych kierunkach i najdelikatniejszych odcieniach. „Czarodziej z Rzymu” (*Zauberer von Rom*) wyrażał nowoczesny katolicyzm, „Hohenschwangau” zaś jest romansem z epoki reformacji, a przedstawiający na historycznej podstawie walkę protestantyzmu z katolicyzmem.

We wszystkich tych trzech romansach przebija się najgłębsza znajomość dogmatycznych kierunków, co dla niemieckiej narodowości oswojonej i przyzwyczajonej do zatargów teologicznych, niemałą jest podniętą.

W dwóch przedewszystkiemi grupach koncentruje się najgłówniejszy interes romansu: i w domu *Baumgartnerów* w Augsburgu i w *burgu Grumbachów* w Würzburgskim. Zewnętrzne połączenie grupp tych ze sobą skutecznia nietylko bohater *Otthenreich* przez to, iż służy z początku u radcy, a potem u rycerza (*Grumbacha*), ale i to, że *Baumgartner* pada ofiarą *Grumbachów*. Współczucie czytelnika zwraca się najprzód ku starobawarskim patrycyuszom, potem ku frankijskim rycerzom, aż dopóki wspólny los nie łączy razem uszlachconych mieszczan i staro szlacheckie rody. Oczywiście jednak oświecił Gutzkow jaśniej i piękniej grupę mieszczan: stary radca ze swemi synami, córkami i synowemi, życie miast, i burgu *Hohenschwangau* jako siedziby patrycyusza, to pyszne rozdajowe obrazki. Ponieważ zaś romans od tego burgu nazwisko swoje bierze, więc też było umyślnym zamiarem autora, grupę tę uwydatnić przed innymi w opowiadaniu.

Już w pierwszym tomie anarchia w państwie szeroko jest traktowaną, co też niezmiernie utrudnia zrozumienie i ogólny pogląd. Środkowy punkt stanowią brandeburgowie, których krzyżujące się linie wymagają niepomiernych wiadomości genealogicznych; aż wreszcie margrabia Albrecht wpleciony zostaje w losy głównego bohatera Otthenreicha. W tém miejscu jakkolwiek obfitość dat przestrasza, jednak wyż wzmiankowana nieproporcjonalność między ekspozycją a wykonaniem, mniej już razi. Drugi punkt środkowy stanowi Grumbach, który ma wszelkie potemu warunki, ażeby zostać właściwym bohaterem historycznego romansu, tém bardziej że romans ten kończy się Grumbachowską katastrofą. Autorowi jednak udało się zaledwie tyle, iż pozyskał spólcucie czytelnika dla planów tegoż Grumbacha; tam jednak gdzie spory Grumbachów przybierają dramatyczne, tragiczne niemal znaczenie, gdzieby najpospolitszy pisarz nieomieszkał podsyconą uwagę zaostrzyć koniecznym efektem, tam wytworna historyczna muza Gutzkowa, pogardliwie porzuca swego bohatera. A szkoda! gdyż wprowadzenie czytelnika właśnie w téj chwili w pasmo intryg wygnańców, skreślenie ich upadku świetnemi farbami, odzwierciedlenie mu duszy bohatera w takim stanie, byłoby stworzyło obraz porywającej siły! Zamiast tego, historyk pozazdrościł poecie, i zakończył suchą kroniką opowiadanie, które powinno było pozostawić za sobą długą i tęskną zadumę.

E. Lubowski.



PRZEGLĄD TEATRALNY.

„*Adryanna Lecouvreur*,” dramat w 5 aktach E. Scribe'go przedstawiony d. 18 września b. r. na scenie Wielkiego Teatru.

Scribe, autor przeszło czterechset dzieł dramatycznych od r. 1815—1860, nie rachując tu romansów które mu się udawały nie-szczególnie, na takie sobie zasłużył zdanie jednego z najznakomitszych krytyków francuzkich, pana Sainte-Beuve: „Natura ludzka (u Scribego) nie jest może malowaną tak szeroko, szlachetnie i z taką głębokością jakiej wymagamy w dziełach skończonych, ale zawsze przedstawia ona wiele urozmaicenia i delikatnych odcieni; uważam ją téż za niezmiernie podobną do natury paryżanina: słowem komedia jego, jest ideałem niekoniecznie nieprawdopodobnym epoki bez ideału. Jestto ni mniej ni więcej tylko romans z wysokości balkonu, entresoli, komptoaru, gdyż cała klasa średnia a przecież dość dystygowana, nie marzy o niczym lepszym. Nikt lepiej i wierniej od Scribego nie odwzorował szczegółów pozytywnych, rysów charakterystycznych intrygi i użycia, przemysłu ozdobnego i eleganckiego.... W sytuacjach zaś przyjemny dowcip i zmysłowość uczciwa, zachwycają publiczność...”

Nie będąc ani optymistą, ani pessimistą w sądach o świecie i ludziach, umiał jednak nadać swym utworom charakter i wdzięk, który przetrwa wiele dzieł dramatycznych późniejszych pisarzy. W najnowszych czasach ustaliło się powszechne zdanie o Scribe'm jako o autorze średniego talentu, jako o komedyopisarzu wyłącznie mieszczańskim, nie umiejącym wznieść się nad poziom obrazków codziennego życia i codziennych zatrudnień. Zdanie to zbyt surowe, spychające go na stanowisko pisarza chwili, a więc tworzącego dzieła przemijającej wartości.

W Scribego dziełach jest wdzięk, prawda i uczucie, a jeżeli nie wywiera na nas silnego i niespożytego wrażenia, to dla téj przyczyny którą wytknął p. Sainte-Beuve, to jest dla braku ideału, którego znaleźć nie mógł w dążeniach, obyczajach i postępie społecznego sobie społeczeństwa.

Dramat: *Adryanna Lecouvreur* napisał w r. 1849. Zanim zastanowimy się nad samą sztuką, powiedzmy kto były głównie jéj

osoby: Maurycy de Saxe i Adryanna Lecouvreur, Nie obchodzą nas tu dzielne czyny wojenne hrabiego Saskiego, które mu zjednały rozgłosną sławę w Europie swojego czasu, i najwyższe dostojęństwo we Francyi; powiedzmy tylko że był piękny, silny, wspaniałej budowy, że miał wielkie oczy niebieskie, pełne ognia, oświecające rysy twarzy wydatne i energiczne, które łagodził uśmiech wdzięczny i serdeczny. Według podań, był on siły tak potężnej, iż łamał w rękę podkowy i talary, co zapewne odziedziczył po swym ojcu Augustcie II, i był dowcipnym, czyli jak to zwali wówczas: miał trafne słowa (*mots heureux*). Żołnierz kochał a żołnierz jego, co najlepiej charakteryzuje odpowiedź jaką dał jednemu z dowódców wymagających podczas jakiejś bitwy, ażeby poświęcił dwudziestu grenadyerów. „Co? zawołał, dwudziestu granadyerów? Nie, raczej dwudziestu dowódców!” Przygody sławne, awanturnicze, z których prawie zawsze wychodził bohaterem, zakończył w 54 roku życia, żegnając się z tym światem bez żalu, w prostocie i rezygnacji. Oto co rzekł do swego lekarza: „Doktorze, życie snem tylko, moje było piękne, cóż kiedy tak krótkiel” Śmierć tak nagłą przypisywali jedni tajemnemu pojedynkowi z księciem Conti, a to skutkiem zatargów miłosnych o księżną żonę; inni zaś skutkiem sprzeczki zaszłej między dwoma tymże wodzami. Cokolwiekbądź, promień romantyczny który oświecał cały żywot burzliwy hrabiego Maurycyego, świecił nad nim do ostatka. Umarł nie pozostawiwszy potomka w prostej linii; córka zaś jego naturalna urodzona w r. 1748, była babką sławnej dzisiejszej pisarki pani Sand.

Podobnaż krótka notata historyczna wystarczy i co do osoby panny Adryanny Lecouvreur, artystki francuzkiej pierwszorzędnej. Od pierwszych lat dziecięcych lubiła deklamować wiersze, a deklamowała je tak pięknie, że obywatele rodzinnego jej miasta, zapraszali ją często do swych domów. Wkrótce poczęła występować w małym teatrzyku, a niedługo pouczywszy się kilka miesięcy u sławnego Legranda, wstąpiła do teatru strasburgskiego, gdzie jednak rok tylko bawiła. Za powrotem do Paryża (1717) debiutowała w roli *Monimy*, z olbrzymiemi powodzeniem. Grała kolejno role *Elektry*, *Berenisy*, a w miesiąc potem została przyjętą do teatru Comédie-Française. Pracowała wiele nad tém, ażeby przejąc ton naturalny, i pozbyć się owiej deklamacji przesadzonej i śpiewającej, która była zwyczajem poprzedników, z wyjątkiem Barona, a którą głównie sławna Duclos na dwadzieścia lat przed nią, wprowadziła w modę. Adryanna przewyższała wszystkie artystki tragiczne, umiejętnością słuchania swego interlokutora; w scenach niemych twarz jej wyrażała wszelkie wzruszenia i uczucia, jakie przejmowały duszę mówiącego z nią. Postawę swą umiała podwyższyć godnością, a chód majestatycznością. Mimo te wszystkie zalety nie byłaby doszła do takiej sławy, gdyby nie jej stosunek z hrabią Maurycym de Saxe, który wywarł stanowczy wpływ na całe jej życie. Dla niego, gdy został księciem Kur-

landzkim, zastawiła swe srebro i drogie kamienie za 40,000 franków.

Powiadają, że niestałość i niewierność Maurycego przyprawiły ją o śmierć, według atoli innych podań, którym prędzej wierzyć można, została otruta przez jakąś księżną rywalkę. Ciało jój, któremu odmówiono pogrzebu, wywiózł potajemnie jeden z jój przyjaciół w doróźce, i pochował w rogu ulicy de Bourgogne, w domu mającym Nr. 109. Wolter napisał z tego powodu wiersz p. t. „Śmierć panny Lécouvreur,” za który wygnano go z Paryża na czas jakiś. Dla wiadomości artystów dodajemy, że istnieje piękny portret Adryanny, malowany przez p. Coypel'a.

Tak więc, Scribe w tragedyi tegoż nazwiska trzymał się ściśle prawdy historycznej, o którą wreszcie w tym razie tak dalece, a nawet wcale, nie chodzi. Nie wiele albowiem może to kogoś gniewać, że panna Lecouvreur mimo gorącej miłości i poświęcenia dla hrabiego de Saxy miała prócz tego jeszcze dwoje dzieci równocześnie prawie, i wielu innych adoratorów, pomiędzy którymi Woltera zacytować warto. Do hotdów przyzwyczajoną była od pierwszjej młodości.

Bohaterką chciał mieć autor Adryannę tak jak zatytułował, dlatego nie wiele się troszczył o wydatność reszty figur, a choćby i takiego hrabiego Maurycego, najgłówniejszej po Adryannie osoby. Dlatego cały interes koncentruje się w jój osobie, a wszystkie inne ważne nawet, jak księżna de Bouillon rywalka, służą tylko do podniesienia głównego interesu. Na tém zyskuje niezawodnie tytułowa rola, stając się przeto popisową, lecz traci wartość sztuki. Scribe nadzwyczaj zręczny w technice scenicznej, umie od pierwszych scen nawiązać drobnemi węzłami intrygę, tak, iż ta rośnie w ciągu akcji, a gdy dojrzeje, każdy snadno dostrzedz może przyczyn i nieuniknionej konsekwencji katastrofy. Stanowi to w autorze dramatycznym niepospolitą zaletę, lecz połączoną z pewnemu niebezpieczeństwem, gdyż zwykle w tych razach poświęca się dla teatralnych efektów, psychiczne prawdy. Dość tu przypomnieć ostatnią scenę piątego aktu, scenę konania Adryanny. Ażeby bohaterka odegrać mogła scenę Ofeliowską odmiennęj tylko formy, pozwalają jój najspokojniej umierać ci, którzy ją ukochali nad życie: Maurycy de Saxe i reżysser Michonnet. Do podtrzymywania i cucenia mdlejącej wystarczyłby jeden z nich, a rozsądek a raczej serce powinno podyktować chęć spieszego i skutecznego ratunku otrutęj. Każdemu z widzów nasuwa się mimowoli ta konieczność sformułowana może nawet trywialnie, lecz wynikająca z pragnienia prawdy, której nie wolno pomijać w utworze dramatycznym.

Scenicznosc przeto i teatralnosc przewaza rozwój wewnetrzny, tak nieśmiertelnem piętnem cechujący Szekspirowskie dzieła. Scribe nie rozumie namietności, która u Szekspira stanowi podstawę wszystkich niemal charakterów, zwłaszcza kobiecych. Kobiety Scribego kochają się elegancko, dworsko, konwencyonalnie

i słodko, tak samo się nienawidzą i zazdroszczą; taka naprzykład księżna de Bouillon niezałująca trucizny dla swój rywalki, nie daje się poznać z gwałtownej namiętności, z szału zaślepiającego głos sumienia a więc usprawiedliwiającego poniekąd czyn zbrodniczy: przeciwnie zatrująca kwiaty, która cechowała panią de Brinevilliere lub inne truciicielki z czasów Ludwika XIV. Ten brak motywów poruszających pierś każdego, ten brak wiecznie gorejącego płomienia jakim jest zawsze w dramacie silna namiętność, lub wielkie uczucie odmalowane ale według swój natury, to jest niepohamowanie, z podruzgotaniem wszelkich przeszkód, osłabia zajęcie się widza w wysokim stopniu, tak iż je ratuje jedynie zręczne nawikłanie sceniczne, kunsztowna budowa i pełne werwy dyalogi, któremi Scribe celuje.

Najwyraźniej wychodzi charakter bohaterki. Adryanna kocha miłością ślepą i bez granic, słynnego z urody i z czynów awanturnicznych Maurycego. W tej miłości utonęła tak głęboko, że zapomina o różnicy społecznej, a przesądach wówczas barbarzyńskich prawie, przeciw powołaniu aktorki. Nie pojmuje podzielności uczucia, kochanka swego pragnie mieć wyłącznie dla siebie, żyć dla niego i poświęcić się; więc też niedziw że przekonanie jój o miłości innej dlań kobiety, tyle dodaje jój odwagi, gdy piętnuje zniewagą czoło dumnej księżnej, w obec świetnego zgromadzenia (scena deklamacyi), i nie dziw potém gdy się sądzi zdradzoną (scena przysłania bukietu), że w taką zapada rozpacz i pognębienie. Lecz zato jakże blade i obojętnie narysowany obok niej przedmiot jój uczuć! Niewiedzieć do ostatniej chwili, czy kocha Adryannę prawdziwie, czy tylko bawi się nią tak jak księżną. Ani razu nie daje poznać prawdziwego stanu swój duszy, tak że prawie gniewać się trzeba na kobietę poświęcającą życie swe, cześć i mienie, dla takiego maryonetkowego amanta.

Nasuwa się tu pamięci postać Lestra w Maryi Stuart, który tak samo niezdecydowany między Maryą a Eżłbietą, osłabia wrzenie apostrof miłosnych Maryi ku niemu.

Nie ma więc w Adryannie ani silnego kontrastu, ani tragicznych charakterów: są zaledwie tragiczne okoliczności. Całe szczęście dla dramatu, że księżna de Bouillon pomyślała o otruciu, sama usuwając się zbyt nagle i przedwcześnie, inaczej trudno byłoby przewidzieć rozwiązanie. Rywalka tego gatunku co księżna powinna by pożyczyc sobie choćby odrobinę makbetowskiej farby i podniecić działanie osobiście.

Rzekliśmy, że dramat ten jest raczej rolą popisową bohaterki. Istotnie, artystka ma tu szerokie pole uwydatnienia swego talentu, lecz ma zarazem niezmierne do pokonania trudności. Deklamacya, uczucie miłości, przestrasz, zazdrość, duma, nareszcie obłąkanie i konanie, przedstawiają aż nadto różnorodnych momentów, zdolnych wykazać obszerną skalę przyrodzonych lub na-

bytych pracą i umiejętnością darów. Można się poszczycić zasobami, wystarczy ich dla wszystkich. Ta atoli różnorodność, te przejścia raptowne z jednego uczucia w drugie, ażeby się zwały w jedną harmonijną całość, w jeden niby ze spiżu ukuty posąg, potrzebują niepośledniego artysty, niepospolitych studyów. Najmniejsze zboczenie z określonego z góry planu, cokolwiek choćby chybiona, pominięta lub przesadzona część z całości organicznej, niweczą złudzenie, sprawiając wstręt lub niesmak.

Lecz pani Palińska należy do tych niepoślednich artystek, i nie leniących się w pracy, nie pogardzających długimi i nużącymi nieraz studyami. W grze jój znać zawsze pilne obmyślenie z góry, i wytrwałą pracę; — nie zawiodła téż i tym razem jako Adryanna Lécouvreur.

Od początku do końca znać było hartowne przyłożenie ręki do trudnego dzieła, w wielu miejscach zapoznawała nawet widzów z przepychem i bogactwem swych zasobów, że tu policzę między innymi apostrofę do Kornela, scenę bukietową i obłąkania aż do sceny konania, w ogóle zaś wywołała zasłużone sprawiedliwie za swój talent i pracę oklaski.

Ponieważ każda rola większa, a témbardziej ta, wymaga warunkowo kilkakrotnego przedstawienia, wpływającego niepomału na ustalenie pewności w grze artysty, więc nie zdajemy sprawy z pojedynczych szczegółów, przeciw którym coś zarzucićby się dało ze względu właśnie na ową konieczną harmonię całości; chcemy tu tylko zwrócić uwagę szanownej artystki na dwa, zdaniem naszym, większe usterki. Pierwszym była scena deklamacyi. Ton cichy, ponury, groźny, huczący jak strumień który płynie w zakrytym przesmyku gór, i nagle dopiero wybuchający gwałtownie, jest wprawdzie obliczony na efekt i nie chybia téż często takowego; lecz przeciwnym jest tutaj prawdzie i naturze. Naszém zdaniem, wiersz:

„O nieba, jakąż ciężka moja wina!

nie wymaga cichego skupienia, szeptu zgrozy, lecz owszem powinien być wygłoszony dobitnie; z krzykiem wyrwywającym się pomimowolnie z piersi. Fedra czuje fatalizm ciężący na niej, nie uniknie swego przeznaczenia będącego następstwem zaślepiającego ją namiętnego szału. Alluzja w tych wierszach mająca posłużyć Adryannie przeciw jój rywalce, wybija się dopiero w aaktistofie a najdobitniej w tych końcowych rymach:

Enono! ja w tych kobiet nie wstępuję ślady,
Których pokoju, zbrodnia już zmieszać nie zdoła,
I którym wstyd już więcej nie rumieni czoła!

Otóż pani Palińska w tym końcowym wierszu położyła najwybitniejszy nacisk na wyraz *rumieni* (mieni), co przeistoczyło całkowicie znaczenie, a raczej co wygłoszone mylnie, musiało chybić zamierzonego efektu polegającego najwidoczniej na nacisku

wyrazu *wstyd*. Byłby to drobny w inném miejscu usterek, gdyby tu nie psuł wrażenia jednéj z najlepszych scen sztuki.

Po mistrzowskiém odegraniu sceny obłąkania, jednéj z bardzo trudnych, p. Palińska wyszafowałszy zbyt wiele uczucia i przejęcia się (co właśnie bierzemy na karb pierwszego przedstawienia nie dającego nigdy w tak potężnej roli odrazu pewności); uczuła się złamaną i pozbawioną na chwilę siły głosu najpotrzebniejszej w tym razie. Zbyt żywe przejęcie się przeszkodziło oddaniu w wiernych szczegółkach, jeżeli już o nie chodzi, — powolnego konania, wynagrodziła to jednak drgnięciem konwulsyjnym śmierci plastycznie piękném.

W księżnie de Bouillon (pani Niewiarowskiej) nie było znać i śladu namiętnej zawiści i zazdrości, prawda że bardzo słabo przez autora zaznaczonej, była za to arogancya wielkiej pani względem rywalki niższego stanu. Pani Niewiarowska ma doświadczenie sceniczne, któremu trzebaby tylko dodać cokolwiek ognia wewnętrznego, stanowiącego właśnie siłę i prawdę. Książę jej małżonek (p. Zótkowski) był w całym znaczeniu tego słowa wielkim panem, a ma tę zasługę, że idyotyzm danego sobie charakteru łagodzi, co wielce pomaga sytuacyom.

Michounet (p. Rychter) sympatyczna postać oddana przez tegoż artystę z właściwym mu talentem i szczęśliwém zawsze usposobieniem. Toż samo powiedziećby trzeba o p. Chazeuil (p. Stolpem) i o Maurycym de Saxe (p. Swieszewskim).

E. I.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Wrzesień 1868 r.—Do najważniejszych prac jakie się w naszych czasach pojawiają, należy dzieło Zygmunta Antoniego Helcla, które się obecnie w Krakowie drukuje. W r. 1858 wydał uczony ten prawnik, nakładem Gustawa Sennewalda (ojca), „Starodawne prawa polskiego pomniki”; teraz przygotowuje tom drugi tychże „pomników” i w druku znacznie je posunął. Na czele dzieła mieści się: „Księga prawa polskiego z wieku XIIIgo spisana przez bezimiennego Niemca,” wynaleziona w księgozbiornie radcy miejskiego Neumanna w Elblągu. *Kodex* ten napisany w niemieckim języku, przez bezimiennego Niemca, a pochodzący niewątpliwie z XIIIgo wieku, jest dla nas nadzwyczaj wielkiej wagi, albowiem jest pierwszą tego rodzaju księgą opowiadającą nam prawo zwyczajowe z owych czasów, gdy jeszcze pisanego prawodawstwa, a mianowicie statutowych układów Kazimierza Wielkiego nie było. Z. A. Helcel, podając tekst

oryginału w starożytnym języku Niemców, załącza w przypisach wierny swój przekład. W sierpniowym zeszytu naszego pisma, podaliśmy: „Wiadomość o Sądach Bożych, czyli Ordaliach w dawniej Polsce,” podług tegoż rękopismu, przez Romualda Hubego. Nie wiedział ten badacz, że Z. A. Helcel, cały ten zabytek już wydrukował w ogromnym swém dziele, bo sto arkuszy ścisłego druku będzie obejmować, w wielkiej 4ce, z których już 27 na czysto jest odbitych. To też szczegółowo mamy obszernie opisy tych *sądów Bożych* w formach pojedynku na miecze lub kije, przez rozpalono żelazo, lub pławienie w wodzie; oprócz wielu innych praw zwyczajowych. Kiedy Z. A. Helcel w r. 1858 ogłaszał *pomniki* wyżej wymienione i korzystał w nich z księgi zwanej *Colloquiorum*, w archiwum aktów ziemskich i grodzkich krakowskich zachowanej, nie wiedział że są dawniejsze daleko, bo sięgające XIV i XV wieku, które przed nim utajono; a ich znalazło się później czterdzieści i jedna. Z tego skarbcza ukrytego, do swego nowego wydawnictwa skorzystał, a chociaż przykuty do łoża w opłakanym stanie zdrowia, z żelazną wytrwałością pracy zamierzonyj dokonał. Obecnie drukiem jęj zajęty. Wypisy z tych ksiąg ułożone systematycznie, stanowią drugą część dzieła p. n. „*Prawo polskie w praktyce sądowej XIV i XV wieku.*” Tekst łaciński zaczyna się od 41 stronnicy, opatrzonei potrzebniemi przypisami przez wydawcę. W ciągu roku, pomnikowe to dzieło w druku ukończone zostanie.

— W drukarni S. Orgelbranda, nakładem autora wyszła „Tabliczka dzielenia, ułożona na wzór tabliczki mnożenia Pitagoresa, przez Alexandra Karasowskiego.” Praca ta skromnych rozmiarów, zasługuje na powszechną uwagę wszystkich którzy się zajmują wychowaniem młodzieży. Przywodzimy tu przedmowę autora:

„Doświadczenie przekonywa, że dla młodocianego wieku najtrudniejsze bywają początki arytmetyki, a że niema nauki do którejby nie były potrzebne rachunki, zatem nie należy zaniedbywać użycia, choćby najmniejszych środków ułatwiających dzieciom gruntowne poznanie pierwszych czterech działań arytmetycznych, jakeimi są: *dodawanie, odejmowanie, mnożenie i dzielenie.* Wiadomo, że dzieci początkujące, pierwszych dwóch działań uczą się zwykle, to na palcach, to na gąłkach, to na innych tym podobnych pojedynczych jednostkach, jakie pod oczy im podpadają dotąd, dopóki nie zapoznają dobrze numerów czyli cyfr; mnożenia zaś nie inaczej jak po nauczeniu się wpieryw napamięć, znanęj powszechnie *tabliczki mnożenia*, którą na wrywki biegle umieć powinny, i którą zwykle umieją jako niezbędną potrzebną do wykonania tego trzeciego działania. Wprawdzie też sama tabliczka posługuje i przy skutecznianiu czwartego działania jakeim jest *dzielenie*; ale że jęj dotąd w odpowiedniu odwrotnym porządku do dzielenia niema ułożonyj; przeto wszyscy nauczyciele wiele pracy i mozołu z początkującymi ponoszą, zanim czwartego działania nauczyć ich potrafią. Chcąc temu zaradzić, i chcąc żeby dzieci z podobnąż szybkością i łatwością wykonywały *dzielenie* jak *mnożenie*, trzeba żeby się przedewszystkiem także na pamięć uczyły podobnej

tabliczki, jaką ułożyłem na wzór Pitagoresa, aby każdy początkujący przystępując do dzielenia miał w pamięci swęj gotowe już wypadki, które mi by bez namysłowo, prawie machinalnie, jak przy mnożeniu mógł się posługiwać."

— Wiele lat pracy ś. p. Hieronim Łabęcki, niegdyś vice-dyrektor wydziału górnictwa, poświęcił na ułożenie Słownika górniczego: polsko-rosyjsko-francuzko-niemieckiego i rosyjsko-polskiego z dodatkiem *Glossarza* średniowiecznej łaciny górnicznej w Polsce. Rękopism ukończony jeszcze za życia autora, wyszedł obecnie z druku i już znajduje się w handlu księgarskim.

— Zapowiedziane przez nas dzieło, z którego daliśmy wstęp tłumacza w jednym z poprzednich zeszytów, wyszło w starannej edycji z drukarni Józefa Ungra p. n. „Wielość światów zamieszkiwanych. Studium, w którym wykładają się warunki zamieszkalności ziem niebieskich, roztrząsane ze stanowiska astronomii, fizjologii i filozofii naturalnej, przez Kamilla Flammariona, dawnego pomocnika astronoma przy obserwatorium cesarskiem w Paryżu, profesora astronomii, redaktora Kosmos, członka wielu towarzystw uczonych i t. d. z pięcią tablicami figur astronomicznych. Z drugiego wydania francuzkiego, przełożył po polsku J. Waga." (W wielkiej 8ce, str. V, 322 i LXIII wykazu abecadłowego wszystkich osób wzmiankowanych w tém dziele z dołączeniem krótkiej o ich życiu wiadomości). W końcu tego dzieła jest: „*przypis tłumacza obejmujący kilka uwag o nowém słownictwie chemiczném polskiem*" zasługujący na bliższe rozpatrzenie specjalistów w tej gałęzi nauki.

— Nakładem Michała Glücksberga księgarza, wyszła powieść J. I. Kraszewskiego p. n. „*Kamienica w długim rynku*." Jest to przedruk z czasopisma *Bluszczu*, w którym poprzednio umieszczoną była.

— W Tygodniku Ilustrowanym, czytamy obszerną rozprawę Karola Estrejchera: „*Kilka słów o repertoarze*." Zajmująca i wyczerpująca ta praca, jest ważnym przyczynkiem do dziejów teatru naszego. W témże piśmie pokazała się pierwsza próba cynkorytu, podług sposobu Karola Beyera.

— W Kłosach czytamy ciekawy list Alexandra hr. Fredry, który w całości przywodziśmy, jako ważny dokument dla dziejów literatury naszej. Z niego się dowiadujemy o prawdziwym powodzie zamknięcia czcigodnego autora *Ślubów panińskich*, od lat trzydziestu. Jest to odpowiedź na odezwę redakcyi Kłosów, przy przesłaniu mu numerów tego pisma, poświęconych jego uczczeniu:

„Dziękuję Wam za Wasz list uprzejmy, dziękuję serdecznie za wianek rzucony na krawędź mego grobu. Prawda, że po długiej przerwie, ulegając nałogowi, *napiisałem kilka sztuk*, ale mylném jest mniemanie, które zdaje się być ogólném, że *milczenie moje jest spowodowane obrażoną niegdyś miłością własną autora*. Nie! Ja milczę, bo wiem, że społeczeństwo coraz nowych kształtów wymaga, że piękne mogą być kamienne pomniki, ale miłszemi będą zawsze

świeże kwiaty, chociażby w nieładzie rzucone. Milczę, bom już bardzo stary, bom bezsilny, bo nie chcę w nowe szranki w zardzewiałej występować zbroi. Jęj szczątki wszakże zostawię w spuściźnie; czy się zaś jeszcze kiedyś na co przydadzą, tego życzę sobie, ale wiedzieć nie mogę.

Lwów, 31 sierpnia 1868 r."

Wiemy że A. hr. Fredro, jedną z nieznanych i ukrytych w tece sztuk swoich, podarował znakomitemu artyście dramatycznemu Janowi Królikowskiemu, ale dar ten drogocenny, otrzyma dopiero po zgonie autora.

— Kazimierz Stadnicki autor ważnej monografii dawniej drukowanej p. n. *Synowie Gedymina*, wydał w r. zeszyłym we Lwowie, nową pracę: „*Bracia Władysława Jagielly Olgiardowicza*” oparte na źródłach współczesnych lub najbliższych owych czasów. Studium to krytyczne wysokości, zasługuje na bliższą uwagę badaczy naszych.

— W bibliotece Sieniawskiej (w Galicyi) odkryto nieznaną, a jedną z pierwszych edycji „*Żywota Chrystusa Pana, Opecia*.” W Wilnie znalazło się tegoż dzieła wydanie z dobrze dochowanym tytułem i z datą 1539 roku na drzeworytach.

— Dwa mamy opisy miasta Poznania ogłoszone drukiem: po polsku J. Łukaszewicza, po niemiecku Oehlschlagera. Teraz wydany został: „*Przewodnik dla zwiedzających Poznań*.”

— Przy braniu ziemi do wału ochronnego na Pradze, wydobyto z głębi pięć urn, z których jedna tylko w całości wydobyta została wraz z kośćmi. Urna ta nakryta była drugą, która po wydobywaniu natychmiast się rozsypała.

— W lesie do dóbr Magnuszewskich należących, w kwietniu r. b., włościanin Kochanowski ze wsi Cecylówki znalazł 114 sztuk monety srebrnej i jedną złotą, rozmaitej wielkości, pochodzące z czasów Zygmuntońskich, i dwie łyżki srebrne, z kształtu podobne do teraźniejszych czerpaczek używanych do śmietanki, z trzonkami prostymi i owalnemi. Na łyżkach tych są następne napisy już ledwie czytelne:

1. „Kto mię ztąd wyniesie,
Pewnie go dar wzniesie.”
2. „Gdych sobie radzy
Tam spełnicz nie wadzy.”

— Wyszedł tom III dzieła A. Przeddzieckiego: „*Jagiellonki polskie*.”

— W r. 1857 w Wiedniu, w drukarni uniwersyteckiej L. K. Zamarskiego, wyszedł tom pierwszy znakomitej wartości dzieła p. n. „*Dzieje powszechne ułożone na wzór roczników, kronik i właściwej historii z dziej obrazem symboliczno-chronologicznym i geograficznym przez Stanisława Zarańskiego*. Tom I ery chrześcijańskiej obejmujący...

mujący czas od roku 1 do 1000go" (w 8ce str. 403). Uczony autor oddawna przygotował tom 2, i ten nakładem Towarzystwa naukowego krakowskiego będzie wydany. Wówczas krytyka odda przynależne zalety ważności i znaczeniu tej pracy. Przypominamy, że w roku jeszcze 1864 autor ten napisał godną uwagi rozprawę: „O sposobach wykładania dziejów” która umieszczona w 32 tomie Roczników Towarzystwa naukowego krakowskiego, wyszła w oddzielnych odbitkach.

„Wydawnictwo Towarzystwa przyjaciół oświaty w Krakowie” rozpoczęło swoją działalność od wydania książeczki p. n. „O zasadach w układaniu dzieł elementarnych.” Kraków w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1869. (w 12ce str. 64). Praca to znamienitego pióra. Jakkolwiek rozprawa ta bezimiennie została wydana, możemy objawić nazwisko jej autora. Jest nim p. Stanisław Zarski. Tegoż pióra w r. b. wyszło w Krakowie dzieło, nakładem księgarni wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych: „Zarys dziejów nauki czytania w celu zawiązania dydaktyki narodowej i reformy elementarza.” (w 12ce str. 198).

— Utwory niedawno zmarłego malarza lwowskiego w kwiecie wieku Grottgera, znajdują zagranicą coraz więcej wielbicieli. W Wiedniu fotograf Angier zjął kopie jedenastu rysunków jego, a to czyniąc zażycie żądaniom powszechnym. Z dawniejszych rysunków Grottgera, kopie dokonane przez fotografa lwowskiego Szajnocka, zajmują także nieposłedne miejsce.

— Nakładem księgarni katolickiej Jaworskiego w Krakowie, wyszło świeże wydanie ojczystych dziejów p. n. „Wieczory pod Lipą.” Wydanie to znacznie jest powiększone i 45 drzeworytami ozdobione.

— W Pradze Czeskiej, jeszcze w roku 1866, nakładem autora w tłoczni E. Gregra wyszła: „Stenografia polska ułożona według organizmu języka polskiego przez Mirosława Sucheckiego członka niemieckiego Towarzystwa stenograficznego w Pradze, z tablicami autografowanemi” (w 8ce, str. 16 i tablic 11).

— *Od redakcyi Kroniki Rodzinnój.* — Ostatni poszyt Kroniki Rodzinnój na miesiąc wrzesień kończy pierwszy rok istnienia pisma tego, którego wydawnictwo rozpoczęto 1go października zeszłego roku. Czytelnicy mając je przed oczyma sami najlepiej osądzić zdołają, o ile odpowiedziało założeniu naszemu a służyć ku pożytkowi i rozrywce umysłowej Rodziny, ze względu na potrzeby składających ją osób. Nam samym, mówi redaktorka, nie pozostaje nic więcej jak złożyć im dzięki za wsparcie swém współczuciem usiłowań naszych, przez które utrwaliłi istnienie pisma, i zarazem wyrazić najżywszą wdzięczność znanym powszechnie w literaturze z talentu i zacnych dążeń współpracownikom, którym winni jesteśmy jedynie, zarówno obecne powodzenie Kroniki, jak i pewność rozwijania jej nadal w tymże samym kierunku.”

— Zarząd biblioteki miejskiej w Poznaniu (po Raczyńskich) oddano profesorowi Sosnowskiemu.

— P. Mieczysław Lajtgeber, od początku roku 1867 wydaje w Poznaniu użyteczny *Przegląd bibliograficzny piśmiennictwa polskiego*, którego cena jest bardzo niską; prenumerata bowiem roczna za 10 numerów wynosi 2 złp. 20 gr. Jestto w ogóle spis tytułów wszystkich prawie dzieł wychodzących gdziekolwiek w języku polskim, lub chociaż w obcych językach, ale ściśle literaturę polską obchodzących. Przy niektórych tytułach są kilkowierszowe zalecenia. Jak wydawca dba więcej o korzyść czytelników niż własną, z tego się okazuje, że przy niektórych dziełach ostrzega kupujących. Tak np. w Nr. 3 z r. b. przy wzmiance o świeżo wyszłych w Lipsku *Poezyach obłąkanego*, znajdujemy komentarz: „Autor dołączył do swych poezyi uwagi zeszepeczone bluźnierstwem na religie chrześcijańskie. Miałżeby chcieć w ten sposób okazać, co obłąkani mogliby myśleć o religii? Książki tej dopókić zawierać będzie te uwagi, nie można każdemu dać do ręki.”

W Nr. 4 tegoż *Przeglądu* znajdujemy odezwę wydawcy, w której uprasza Redakcyę wszystkich pism czasowych o przesłanie mu jednego numeru lub zeszytu pism, na których jest wymieniona cena, a to celem wydania zupełnego cennika wszystkich pism peryodycznych polskich.

† Dnia 25 sierpnia r. b. umarł w Krakowie ksiądz Ludwik Łętowski, biskup Jopejski, dziekan katedralny krakowski. Był to mąż pełen zasług jako kapłan, obywatel i pisarz. Obszerny i szczegółowy życiorys zgasłego biskupa, podał w Encyklopedyi Powszechnej F. M. Sobieszczański. Z prac literackich do najważniejszych należą: „Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich” (cztery tomy. Kraków 1854 r.) i „*Katedra na Wawelu*,” dzieło pomnikowe, w wydaniu przepysznym, drukowane w Krakowie z chromolitografiami, wykonanemi w Bruxelli przez Stroobanta. (W wielkim arkuszowym formacie, str. VIII, 104, r. 1859). Zwłoki zmarłego pochowane zostały w tej samej katedrze, której tak dokładny opis podał nam w swém dziele.

Redakcyę Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Sierpień, 1868.

Sierpień, 1868.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

w Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		749.40	749.54	750.42	750.93	750.073	+17°.1	+19°.8	+18°.5	+16°.7	+18°.03
2		751.07	751.16	750.79	751.72	751.185	13.8	19.2	19.6	13.7	16.58
3	☉	751.81	751.90	750.66	752.61	751.745	11.7	19.1	25.4	17.3	18.38
4	Apog.	752.61	752.19	750.06	749.48	751.085	15.0	20.3	16.3	15.5	16.78
5		749.02	747.61	746.42	747.28	747.563	15.2	17.4	20.2	16.8	17.29
6		747.71	747.41	747.24	747.35	747.428	15.1	20.4	22.7	18.7	19.23
7		748.78	749.00	749.24	750.48	749.375	16.7	22.0	27.2	18.7	21.10
8	Górw.	751.64	752.33	752.17	753.09	752.308	17.3	24.8	28.8	21.6	23.13
9		755.58	756.24	755.89	756.00	755.928	20.8	26.0	23.7	21.4	24.45
10		756.71	756.62	754.90	754.04	755.568	18.1	22.4	26.9	21.2	22.18
11	☾	752.30	751.43	749.42	748.42	750.393	20.8	26.5	31.8	23.0	25.53
12		748.46	748.37	747.89	748.52	748.310	20.0	26.8	30.9	24.0	25.43
13		749.89	750.02	749.35	750.14	749.850	20.0	27.4	31.1	22.4	25.23
14		751.20	751.52	751.39	752.75	751.715	18.8	25.7	28.8	20.6	23.43
15		753.81	751.94	754.60	755.41	754.715	18.5	27.5	30.8	22.3	24.78
16		756.26	756.91	755.71	755.70	756.145	20.0	25.6	27.0	19.6	23.05
17		754.68	754.15	751.65	751.54	753.005	17.1	25.3	29.2	20.8	23.20
18		751.07	750.96	749.89	750.75	750.668	18.6	26.7	29.2	20.7	23.78
19	Porig.	750.18	750.35	749.17	750.08	749.945	17.0	24.3	28.2	22.6	23.02
20		750.16	750.32	749.53	750.03	750.010	17.3	25.1	26.0	19.6	22.00
21	Rev.	750.35	750.65	749.63	750.26	750.223	16.7	25.2	28.4	21.8	23.03
22		749.3	749.22	746.54	746.27	747.915	19.2	25.2	28.4	18.5	22.83
23		744.13	743.95	742.85	745.23	744.040	14.6	21.8	19.2	16.3	17.95
24		747.33	748.45	749.77	751.00	749.138	15.4	18.4	19.8	13.9	16.85
25	☾	752.52	753.54	753.33	753.18	753.143	11.2	17.6	22.0	15.2	16.50
26		753.63	754.85	755.48	756.27	755.058	15.7	18.2	17.7	13.7	16.33
27		756.27	756.86	755.57	755.00	755.925	11.9	17.0	19.2	13.5	15.40
28		752.49	751.35	748.72	749.64	750.550	11.4	19.4	17.3	12.3	15.10
29		750.28	749.64	748.10	747.03	748.763	8.9	14.0	16.5	12.1	12.88
30		743.91	743.94	744.51	746.71	744.703	10.7	13.4	12.7	11.2	12.00
31	Apog.	748.84	750.19	750.44	751.64	750.278	9.0	14.6	16.5	12.1	13.05
Śr.		751.026	751.149	750.365	750.921	750.865	+15°.92	+21°.84	+24°.08	+17°.98	+19.96

Wilgotność średnia dzienna	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Ilość wo- dy co do wysokości w milim. dész-śnie- czu gu	Wysok. wody na Wiśle stop. na m, p
	6	10	4	10	6	10	4	10		
	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.		
81.8	poc. desz.	napół pog.	pochm.	pochm.	PnZ1.	Z1.	PnZ1.	PnZ1.	3.7	2 4
72.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	Z1.	PnZ1.	PnZ1.	0.2	2 4
75.5	pochm.	pochm.	napół pog.	napół pog.	Z1.	Pn1.	PnW1.	Pn1.		2 2
90.6	pochm.	pochm.	poch. desz.	pochm.	Pn1.	Pn1.	Z1.	PdW1.	44.2	2 1
91.2	pochm.	poc. desz.	pochm.	pochm.	Pn1.	PnZ1.	PdW1.	W1.	10.6	2 1
79.7	poc. mgła	pochm.	pochm.	nap. p. m.	Pn1.	Pn1.	Pn1.	PnZ1.		2 1
70.8	napół pog.	pogodny	napół pog.	pogodny	PnW1.	PnW1.	PnW1.	Pd1.		2 1
71.8	pogodny	pogodny	pog. z ch.	napół pog.	Pd1.	PdZ1.	Pd1.	Pd1.		2 0
68.3	napół pog.	napół pog.	pochm.	pochm.	Z1.	PdW1.	Pd1.	PnW1.		2 0
63.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn1.	Pn1.	W1.	W1.		2 1
65.9	napół pog.	pog. z ch.	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.		2 4
64.7	pogodny	pogodny	napół pog.	napół pog.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.		2 11
58.2	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	0.3	2 2
53.9	napół pog.	pogodny	pogodny	napół pog.	W1.	W2.	W1.	W1.		2 8
60.6	pochm.	napół pog.	napół pog.	pochm.	W1.	PdW1.	W1.	W1.		2 5
58.8	pogodny	napół pog.	napół pog.	pogodny	PdW1.	W1.	W1.	PdW1.		2 2
60.9	pogodny	napół pog.	mgł. sucha	mgł. sucha	W1.	W1.	PdW2.	PdW1.		2 1
60.8	mgł. sucha	mgł. sucha	mgł. sucha	mgł. sucha	PdW1.	PdW2.	W2.	W1.		1 11
62.6	mgł. sucha	mgł. sucha	mgł. sucha	mgł. sucha	W1.	PdW1.	W2.	W1.		1 9
68.8	mgł. sucha	mgł. sucha	nap. mg. s.	nap. p. m. s.	W1.	PdW1.	PdW1.	W1.		1 8
67.3	mgł. sucha	mgł. sucha	napół pog.	pochm.	PdW1.	PdW1.	W1.	PdW1.	0.1	1 7
63.5	nup. mg. s.	nap. mg. s.	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW2.	PdW2.		1 6
89.5	pogodny	pogodny	poc. desz.	poc. desz.	PdW1.	PdW2.	Pd1.	Z1.	32.7	1 6
76.3	pochm.	napół pog.	napół pog.	pog. z ch.	PdZ1.	PdZ1.	Z1.	PdZ1.	2.6	1 6
72.4	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	Pd1.	PdZ1.	PdZ1.	PdW1.		1 6
82.3	pochm.	pochm.	poc. desz.	poc. desz.	PdZ1.	Pn1.	PnZ1.	PnZ1.	8.8	1 5
78.7	napół pog.	pogodny	napół pog.	pogodny	Pd1.	PdW1.	Pn1.	W1.		1 5
80.5	mgła	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	Pd1.	Z1.	Z1.	0.8	1 5
84.2	pogodny	napół pog.	pochm.	pochm.	PdZ1.	Z2.	Z2.	PdZ1.	0.2	1 6
94.3	poc. desz.	poc. desz.	poc. desz.	pochm.	Pd1.	Pd1.	W1.	PnZ1.	20.2	1 7
83.8	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.	1.9	1 6
72.5									12.63	1 11.3

	m.	°.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.865	27	8.856
Najwyższy barometr dochodził d. 16 o g. 10 r.	756.91	27	11.571
Najniższy — — d. 23 o g. 4 po poł.	742.85	27	5.803
Średnia dzienna zmiana barometru	2.482		1.100
Największa dzienna zmiana barometru d. 23—24 o godz. 4 po poł.	6.92		3.068
Średnia wysokość barometru jest większa o	1.391		0.816
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	749.474	27	8.240
Średnia temperatura sierpnia wynosi	+ 19 ^o .96 C.	+	15 ^o .97 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.99 „		1.59 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 22—23 o godz. 4 po poł.	9.2 „		7.4 „
Średnia temperatura sierpnia jest większa o	1.98 „		1.59 „
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	+ 17.98 „	+	14.38 „

Termometrograf wskazał: Maximum: + 32^o.1 C. = + 25^o.7 R. d. 11 po poł.
Minimum: + 8.1 „ = + 6.5 „ d. 31 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 72.5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 12.9 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 0.2 setnych od normalnej (72.7).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 126.3 mil. czyli 55.99 lin. par.; więcej o 54.5 mil. czyli 24.16 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w sierpniu spada (71.8 mil. czyli 31.83 lin. par.).

Dni pogodnych 9, napółpogodnych 11, pochmurnych 11.

— deszczu 13: (d. 1, 2, 4, 5, 13, 21, 23, 24, 26, od 28 do 31).

— mgły 2: (d. 6 i 28).

— mgły suchej czyli śreżogi 6: (od d. 17 do 22).

— błyskawic i grzmotów 1: (d. 23).

— błyskawic bez grzmotów 1: (d. 22).

Wiatr panujący południowo-zachodni i wschodni.

Sierpień był pogodny, suchy i ciepły. Średnia jego temperatura jest + 16,0 stop. R. o 1,6 stop. R. wyższą jak w stanie normalnym (14,4 stop. R.) jak również o 1,6 stop. R. jak w r. z. Z początku miesiąca przy wietrze zmiennym dni były wilgotne i dość ciepłe, od d. 7 do 22 włącznie, przy wietrze południowo-wschodnim lub wschodnim i niebie pogodnym, powietrze było niezwykle gorące i suche; do najgorętszych należą dni 11, 12 i 13, których średnia temperatura wynosi 20,3 stop. R. o 5,3 stop. większa od normalnej; w końcu miesiąca temperatura nagle zniżać się zaczęła, dni początki były chłodne i dżdżyste. Największe ciepło dochodziło 25,9 stop. R. d. 11, najmniejsze 6,5 stop. R. d. 31. Największa zmiana dzienna temperatury 7,4 stop. R. przypadła z d. 22 na 23. Barometr przez cały miesiąc nie wiele odstępował od stanu normalnego i mało bardzo stan swój zmieniał; największa jego zmiana dzienna 3,07 lin. par. przypadła z d. 23 na 24. Deszcze padały często i bardzo obficie z początku i w końcu miesiąca, za to w środku podczas wspomnianych dni gorących i suchych, prawie zupełnie nie miały miejsca. Wody z deszczu spadło co do wysokości 55,99 lin. par. z czego $\frac{1}{2}$ przypada na d. 4 (19,59 lin. par.), $\frac{1}{4}$ na d. 23 (14,50 lin. par.), a $\frac{1}{6}$ na d. 30 (8,96 lin. par.). Dni deszczu było 13 o i więcej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy jak zwykle; stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 7,2 : 10,7 : 12,4; gdy tymczasem w b. m. tenże stosunek jest jak: 9 : 11 : 11. Wiatr panujący był południowo-wschodni i wschodni.

Od d. 17 do 22 włącznie, niebo prawie zupełnie od chmur wolne, pokryte było gęstą mgłą suchą czyli śreżogą, którą spowodowały pożary lasów i torfowisk w okolicach Petersburga, Moskwy, Rygi i Narwy.

D. 13 o godz. 2 ięj w okolicach m. Zakroczymia a d. 14 około m. Włocławka i Kowala miał miejsce niezwykle uragan połączony z wichrem, gradem i ulewym deszczem.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 1 cali 11,3 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 12..... stóp 2 „ 11 „ „

„ „ najmniejsza „ d. 25—28.... stóp 1 „ 5 „ „

SAMOTNIA.

(Z HEYSEGO).

Burze gwałtowne, ciągnące od południa wstrząsały morzem przez kilka dni. Na urwistych wybrzeżach Sorrentu poruszyły one soki żywotne w rozłożystych figach, tchnęły w nie istnieje wiosenną siłę i grunt zwilżyły obfitą ulewą. Wezuwiusz, według spostrzeżeń niektórych mieszkańców, wrzał i głucho wewnętrzne jego szemrania blizki zapowiadały wybuch; to też sąsiednie domy zdawały chwiać się w podstawach, a nocą słyszano brzęk narzędzi metalowych ułożonych w szafach.

Ale kiedy w ostatnim dniu kwietnia słońce zapanowało nareszcie nad tém wzburzeniem, miasteczka w dolinie Sorrentu stały nieruchome i nietknięte pośród winnic i sadów pomarańczowych; nie rozwarły się opoki dla pochłonięcia ich, szalone morze nie zdołało czarnymi falami przerzucić się za brzegi, by ściągnąć do swych przepaści to, co ludzie szczepili tam od wieków.

Tego dnia po południu, młody poeta, mniejsza o jego imię i narodowość, wychodził z domu, w którym pomimo woli, niby w więzieniu zamknęła go burza. Całemi dniami spoglądał on z okna w pieniaące się morze, nogi okrywwszy płaszczem, bo ściany jego komnaty zionęły przenikliwym chłodem; czapkę nasunął na głowę, kielich po kielichu popijał wino, daremnie usiłując obudzić w ciele najmniejsze uczucie ciepła. Szczupły zapas książek, jaki mu towarzyszył w podróży, pozostał w Neapolu, a w domu oberżysty.

gdzie obecnie przebywał, niepodobieństwem było odkryć najmniejszy drukowany świstek, prócz kalendarza i książki modlitewnej. Ileżto razy chciał się on, że nigdy w samotności nie zdejmie go nuda. Jego częste a strzeliste wezwania do muzy, którą błagał o towarzystwo, nikły w szumie nawałnicy: aż wreszcie zimno wytępiło wszystkie w jego sercu myśli, nie zostawiając nic, prócz gorących życzeń ujrzenia czémprędzej słońca.

I ukazało się słońce, i poeta nasz połowę tego błogosławionego dnia przebył uroczyście na ganku, kąpiąc się w jego promieniach; a kiedy nareszcie po obiedzie udał się ścieżką pod górę, wszystkie zastygłe w nim uczucia ocknęły się z nową energią. Nigdy jeszcze wiosenne słońce nie wydało mu się tak wielkiem, złocistém, potężném; nigdy tchnienie morskie nie przenikało mu tak świeżo do szpiku kości. Liście na drzewach figowych przez jedną noc podrosły na długość palca. Połowa słonecznego dnia wystarczyła krzewom na pokrycie się śnieżystą szatą kwieciami. I gdziekolwiek spojrzy podróżny, znęcony wonią, wszędzie na łąkach spostrzega garście fijołków ciągnące się w nieskończoność. W powietrzu migają tłumy motyli zrodzonych nadedniem; po wszystkich drogach uwijają się ludzie, to pieszo, to w grzmiących kolaskach. To znowu rozlegają się dzwony kościołów i kaplic na milę wokoło, to wesołe okrzyki chłopców którzy pną się ku *Sant'Anna*, wiosce osiadłej na pochyłości góry, dla przyjęcia udziału w nabożeństwie; to znowu piosneczki niewiast które albo ręką w rękę śpieszą na nieszpór, albo z wysokości dachów błędzą oczyma po falach morza.

W miarę jak nasz poeta, idąc po lekkiej pochyłości, oddalał się od tych radosnych gwarów świątecznego dnia, ścisnęło mu się serce na myśl, że nie może dać ujścia uczuciu wdzięczności jakie ogarnęło go na widok cudów tyłu. Jakżeby on chętnie z wysokości skały zawiódł pieśń uroczystą ponad tym krajobrazem, pieśń bez słów, proste echo wszystkich głosów wiosennych, które brzmiały około niego; ale miał powód powątpiewać, iżby głos jego był godnym tłumaczem tego co doznawało serce. Z jakimże uczuciem zazdrości przypominał sobie tenora, przy którym tyle rozkosznych wieczorów przepędził w Rzymie. Co! maż on pro-

bować, czy nie zapełni tu przestrzeni swoim suchym głosem? Jakżeż on nędzny własnym wydawał się oczom, niemy jak ryba, cichy jak kij który trzymał w ręku, pośród tego śpiewającego i harmonijnego uszczęśliwienia natury!

„Jakiémto prawem uznają poezycę za najwyższą ze sztuk pięknych? zawołał z gniewem. Czyż poezya zdolną jest ulżyć piersiom rozpychanym podobnemi jak tu wrażeniami? Niech tu przyjdą najwięksi z tych, którzy kiedykolwiek mieli na swe rozkazy melodyjne słowa, a zobaczycie że oni równie jak i ja, ich skromny następcą, pozostaną niememi wobec ogromu. Czém tu sławić, w sposób nieco znośny, to światło, ten eter, morze i zapachy, które wiatr przynosi mi z pomarańczowych gajów? Ostatni z pomiędzy tych có chępią się z posiadania muzy, tancerz nawet, będzie miał nad nimi przewagę. Ten wyskok ku niebu, ku wielkiej wszytkości, wyrazi on przynajmniej znakiem lub giestem, całą swoją osobą, on od stóp do głów zionąc będzie upojeniem swém. A dopieroż malarz! Najpospolitszy, najgłupszy, byle tylko potrafił rzucić na papier linie tój góry, klasztor na jój krańcu, dalej lasy, granice morza, na pierwszym planie położyć to drzewo świeżo złamane wichrem; jakżeż on czuć się będzie szczęśliwym? A jeżeli na domiar szczęścia jest to mistrz, jeżeli może w barwy swe wpromienić tę drgającą jasność na żółtawych ścianach gór, a tam, w głębi, rozproszyc morze, które kurczy się i rozszerza i rzuca bałwany swe, jak szczątki tkaniny srebrnej, wyobrazić mgły w których kąpie się Wezuwiusz, i dzwonnice białe między młodemi liśćmi kasztanów!”

Pod wpływem tych dziwnych nieco wzruszeń, siadł na odłamie przy drodze, ponuro spoglądając dokoła. Zaskoczył on poniekąd na to, aby to poczucie nieudolności zamąciło jego zapał, wyszedł bowiem z tém mocném i dumném przekonaniem, że zewnątrz z pewnością napotka muzę, która go od niejakiego czasu przestała nawiedzać. Włożył do kieszeni zwitek papieru, i za każdym urwiskiem skały, w każdym zakątku gaju lub ogrodu, spodziewał się znaleźć temat do jakiego urywku poezyi lirycznej. W chwili powszechnego rozkwitu, i on również poczuł bezmyślną a próżną chęć wykazania jakiegoś objawu swój skromnej istności. Każdy wié o tém zapewne z doświadczenia, że to wielkie

dzieło odrodzenia natury podnosi go, podżega do niesłychanych przedsięwzięć, że go niepokoi jakaś nieokreślona chęć stworzenia czegoś, że nie chciałby sam pozostać bezczynnym i martwym w chwili gdy wszędzie wysypują się kwiaty. Na nieszczęście, ta gorączkowa exaltacya wyradza najczęściej czezość i zniechęcenie.

Jakoż przyjaciel nasz powoli skłonił się ku rezygnacyi, nie uwolniwszy się jednak od uczucia zazdrości, jakie żywił względem tych, którzy podług niego lepiej opatrzeni byli.

„Otóż zaczynają wyruszać ze swych nór, mrucał z miłą gniewną; zapowietrzają kraj swojemi kartonami, parasolami, stołkami polowemi i siadają do tego stołu, który ustawiła natura. Dla nich dosyć wyciągnąć ręce, aby je napełnić. A gdy zmysły nasycą rozkoszą, jeszcze nadto, jako podarunek gospodarza, jako czarę biesiadną, zabierają z sobą szkice i studia, które odżywiać będą ich wspomnienia ilekroć uczują tego potrzebę. Ale my? ale ja? Czyż te psotne bóstwa dlatego mnie tu znęciły, by mnie moeniżej upokorzyć? Niedošćże, iż już w Rzymie spaliłem wiersz mój o dziewicy z Frascati, zobaczywszy portret jêj na wystawie? Cóżby znaczył Petrarca z całym swoim talentem wobec płótna, na którémby Tycyan uwięził postać madonny Laury? Kiedy jeszcze nie umiano malować, o! wtedy to były dobre czasy dla poezyi. Pokazuje się, że słowa są to émy niezdolne dolecieć nawet do kraju szaty jaką stroi się natura. Na Północy, gdzie nie ma ani barw, ani kształtów, poezya może się mniemać królową: tu jest ona żebraczką!”

Podczas tego bluźnierczego monologu, oka nie spuścił on z morza, które ciemniało coraz bardziej i na którém tu i owdzie tylko długie świetlane pasma przecinały cień. Nie przyszło do głowy zgorączkowanemu marzycielowi, że w tej chwili malarz nawet rzuciłby pędzel z rozpaczą. Co właściwie stanowiło tu urok obrazu, — to rozmaitość tonów i gra odbłyśków w kolejnym pochodzie żywiołów. Potrzebaż odpierać inne pociski, jakie on w zaślepieniu swém przeciwko muzie wymierzał? Wiemy z kim mamy do czynienia; z jednodnostką należącą do tój drażliwej klasy ludzi, którzy dla tego tylko, zdaje się, otrzymali dar słowa, aby wiecznie przeczyć samym sobie. I być może ten sam człowiek w końcu

tego opłakanego dnia, w którym chciałby był uciec o sto mil od miejsca pobytu, opamięta się i nie pozazdrości nawet samemu Apellesowi.

Wprawdzie zjawisko jakie ukazało się na lewo od drogi nie mogło złagodzić jego rozdrażnienia; przeciwnie zionął on słowami gniewu:

„Same tylko kontury! zawołał gwałtownie; kilkanaście linii i koniec! Jak ona wygląda idąc stępa na swoim ośle, jedną nogę opierając silnie napłask o grzbiet zwierzęcia, koniuszczkiem drugiej prawie dotykając ziemi; łokciem prawym wsparta na kolanie, brodą muskając rękę która igra z naszyjnikiem, twarzą zwrócona na zewnątrz ku morzu. Jakiż to nawał, jaki ciężar czarnych na szyi kędziorów! Widać odbłyśk czerwonawy, zapewne to strój koralowy, nie; to kwiaty granatu świeżo zerwane. Wiatr igra z jej chusteczką lekko owiniętą koło szyi; oblicze jej ciemno purpurowe; ciemniejszy jeszcze heban jej oczu. Gdybym mógł w tej chwili zbliżyć się do niej i prosić aby zatrzymała się z półgodzinki tak jak jest, i gdybym uniósł z sobą choć sylwetkę tego wspaniałego zjawiska, byłaby to zdobycz na zawsze godna zazdrości. Gdy tymczasem, jeżeli za powrotem spróbuję opisać jak ono było pięknem, powiedzą: „Szczęśliwy, ktoby ją był mógł odmalować!” Nie, wy nie zdołacie uchwycić tej gracyi w spoczynku, tej pełni siły i młodości, tych rysów cudownych, tej głowy która schyla się i wznosi równo z krokiem zwierzęcia, tej królewskiej postawy i nóżki dziecięcej, która buja się niedbale. Pójdźcie wy wszyscy, co władacie pędzlem, i spróbujcie odtworzyć to zjawisko czarowne!”

Podniósł się i czekał na podróżną, która nie zważając na nieznajomego, nie zmieniała swój postawy, tylko popędziła osielka, uderzając go końcem uzdy. W tej chwili przesunęła się mimo poety, wciąż idąc brzegiem drogi, tak iż on w zamian za pozdrowienie, które zmuszony był głośno wypowiedzieć nie będąc przez nią widzianym, otrzymał tylko kiwnięcie głową; prawda że poruszenie to odkryło mu zwój czarnych włosów zebranych na szyi najpiękniejszej w świecie.

Zjawisko to było jakby otoczone jakąś atmosferą spokoju i pogody. W przejściu swém dziewica żadną zmianą

w wyrazie twarzy nie okazała, iżby spotkanie to mogło spowodować w niej jakieś wzruszenie lub choćby ciekawość bardzo naturalną, kiedy w godzinie samotnej, na ustronnej ścieżce gór, młody mężczyzna i kobieta spotykają się oko w oko z nienacka. Byłaż ona panną czy zamężną? Nasz podróżny nie pod tym względem wnosić nie mógł ani z jej ubrania, ani z ułożenia. Pierwsza młodość zdawała się już w niej omdlewać; ale jeżeli w tej nieruchomej twarzy nie można było znaleźć śladów wyrazu oczekiwania, obietnic lub zastrzeżeń młodej dziewczycy, zato świeżość i jasność, tak rzadkie u dziewcząt miejscowych, ożywiały kontur jej lica. Ubranie jej było napoły miejskie, tylko spódniczka jedwabna zdawała się nieco krótszą a stanik więcej wycięty w ramionach. Zawinęła ona wąskie rękawy, czoła nie osłoniła od słońca; szeroki kapelusz słomiany wisił u grzbietu osiołka.

Dopiero kiedy na zakręcie drogi miała mu zniknąć już z oczu, poeta porwał się z postanowieniem i szedł prosto ku niej przyspieszając kroku. Wkrótce stanął w pobliżu niej; ale osiołek, który miał także swoją ideę, szedł wciąż brzegiem pozostawiając bardzo mało miejsca między kapeluszem słomianym i górą.

Kiedy poeta zawiązał rozmowę, dziewczica ani na chwilę nie odwróciła się ku niemu. Głos jej był poważny, narzecze neapolitańskie. Wreszcie, pomimo krótkość odpowiedzi, nie widać było z tonu jej ani chęci odepchnięcia zagadującego, ani zamiaru ujęcia go wyrachowaną niedostępnością.

— Wracasz z Sorentu, piękna dziewczico — zapytał.

— Nie: z Meta.

— Byłaś tam u przyjaciół?

— Byłam w kościele.

— I zmierzasz do Sant' Agata na odpust?

— Nie, panie.

— A czyż nie ta droga tam prowadzi?

— Nie, panie.

— Zechciej mi ją pokazać.

— Musisz pan wrócić — rzekła nie obracając się — i udać się pierwszą ścieżką na lewo, która cię wyprowadzi na wielki gościniec.

— Jeżeli mam wracać, to wolę wyrzec się odpustu niż przyjemności podróżowania obok ciebie, dopóki nie stanę się natrętnym.

— Jak się panu podoba: nie dla mnie samą tę drogę zrobiono.

— Wiesz, że byłoby to bardzo uprzejmie z twój strony, gdybyś chciała główkę nieco ku mnie zwrócić.

Dziewica uskuteczniła to spokojnie, bez najmniejszego śladu wzruszenia w rysach.

— Dlaczego? — zapytała — co mi pan masz do pokazania.

— To ty, przeciwnie, masz mi pokazać.

— Ja?

— Jesteś bardzo ładną: pokaż mi oczy swoje.

— Morze piękniejsze jest odemnie: patrz pan lepiej na nie, jak na oczy które nie mają co panu powiedzieć.

— Ja na morze patrzę codzień z mojego balkonu.

— Ale nie ja. Pozwól mi więc pan korzystać ze sposobności. I oblicze jej odwróciło się znowu.

— Czy morze nie zewsząd widać z gór? — zapytał cudzoziemiec.

— Młyn mego brata jest tam w głębi tego wąwozu, przy którym skała tworzy załom: krzaki porośłe na wierzchu tamują nam widok.

— Więc mieszkaś przy bracie?

— Tak, panie.

— Ale niedługo przy nim mieszkać będziesz, chyba że chłopcy tutejszej okolicy łuskę mają na oczach.

— Co mi tam po chłopcach! U brata lepiej mi niż wszystkim kobietom od Sorrento do Neapolu.

— A czy nie doznajesz jakich nieprzyjemności od bratowej?

— Mój brat nie ma żony i nigdy mieć nie będzie. On i ja, ja i on, czegoż nam więcej potrzeba prócz opieki Najświętszej Panny?

— I jesteś pewną że tak będzie zawsze; że nigdy żadna dziewczyna nie zajmie mu serca?

— Tak pewną, jak tego że żyję. Ale co to pana obchodzi? I ręką popędziła osiełka tak żywo, że aż potrząsnął uszami.

— Dlaczego brat nie towarzyszył ci do Meta — zapytał znowu cudzoziemiec, choć go to również mało obchodziło.

— On nigdy nie oddala się od młyna, chyba jak idzie do spowiedzi, tam na górę do Deserta.

— Czy chory jest?

— On nie może na nikogo patrzeć, tylko na mnie. I widok morza sprawia mu przykrość od czasu jak... Ale któż pan jesteś, że mnie tak wypytujesz? Czy pan jesteś ksiądz, czy może z policyi?

Poeta nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Ani jedno, ani drugie — rzekł — ale czyż nie ty sama zmuszasz mnie do zadawania ci pytań? Gdybyś się twarzą zwróciła ku mnie, wkrótce zaprzestałbym mówić; a tak, to wynagradzam sobie dźwiękiem twojego głosu.

Zmierzyła go poważnym wzrokiem i rzekła: — Co pana tak twarz moja zajmuje? Czy pan jesteś malarzem?

Pomilczał chwilę i uczuł odzywający się gniew na to, że malarzom tylko wolno iść za piękną kobietą. W istocie, któż ma się o to urażać? To wynika z ich rzemiosła. Szczęśliwi ci, co idą w świat z takim paszportem. Bo on, chociażby i miał w moc sztuki swęj prawo studyowania rysów pięknej dziewicy, ale jak jęj to dać zrozumieć; jęj, która pewnie ani wyobrażenia nie miała o szlachetnej korporacji poetów?

Niechże i mnie się raz dostanie, pomyślał w duchu i zawołał z całą bezczelnością:

— Tak, malarzem jestem i jeżeli pozwolisz... Ale jak ci imię?

— Teressa

— Jeżeli pozwolisz piękna Teresso, odprowadzę cię do młyna, i naszkicuję portret twój w albumie.

To dosyć ryzykowne żądanie stawił jęj tém śmiej, że był niezmiernie ciekawy poznać brata Teressy i rzucić okiem na życie domowe tęg samotnej pary. A gdyby przyszło nałożyć głowę, to znalazłby przecie jaki wykręt. Wreszcie czyż to kłamstwo nie powstało z najgwałtowniejszej potrzeby? Nie byłoz dlań niepowstrzymaną koniecznością patrzeć wciąż w oczy Teressy?

Ona zamyśliła się chwilę; następnie rzekła:

— Jeżeli pan jesteś malarzem, zrób mój portret, dla brata. Jak umrę, będzie miał mnie wciąż przed oczyma taką, jaką byłam za życia. Widzisz pan ten szeroki strumień który wybucha z wąwozu i w poprzek drogi rzuca się w dolinę? To on obraca nasz młyn. Musimy zwrócić się na prawo

i iść z jego biegiem. Deszcz wzmógł go bardzo; niepodobna przejść po wązkiej ścieżce wąwozu. Poczekaj pan, siadź na mojego osielka, ja go poprowadzę.

— Ty go będziesz prowadzić, pieszo! Nie, Teresso: na to nie pozwolę.

— To pan nie pójdziesz dalej; bo choćbyś poszedł boso, tak jak i ja, w wodę, to nie znasz drogi i co chwila będziesz się potykał.

Zatrzymała swego bieguna i lekko skoczyła na ziemię. Podczas kiedy on stał wahając się, zaniepokojony myślą, że ją zwodzi, ona zdjęła trzewiki i pończochy z drobnych nówek, i rzucając nań spokojne wejrzenie, wzięła napowrót lejce.

— Niechże i tak będzie — rzekł z uśmiechem — choć to niegrzecznie wygląda, że ja mężczyzna, tobie zostawiam całą niedogodność położenia.

Wskoczył na siodło i zbliżyli się do strumienia, Teressa naprzód, z lejcami okręconemi koło ręki. Stanąwszy u brzegu strumienia, rzuciła ostatnie i długie spojrzenie na morze; następnie, nie zważając na wodę pluszczącą koło niej, zstąpiła na prawo w strumień który głośno szeleścił po dużych kamieniach i wypełniał całą szerokość wąwozu. Wszczywał się tam chłód, i miasto jasnego światła, nastał półmrok, a po obu stronach wąwozu zwieszały się gęste krzaki.

Siedząc na osielku, który ostrożnie przestępował z kamienia na kamień, cudzoziemiec obryzgiwany pianą po same kolana, podniósł oczy i o kilkaset kroków nad sobą spostrzegł młyn śmiało zawieszony w szczelinie skały i szary jak ona. Koło stało nieruchomie z powodu niedzieli; poza szelestem wód nie było nic słyhać, tylko krzyk bujającego nad wąwozem krogulca, który zdawał się rzeźwić pierś parą unoszącą się z nad wody.

Tymczasem Teressa szła jedną stroną wzdłuż ścian wąwozu. Chwilami droga ukazywała się pod jęj stopami, to znowu zapadała w głąb'. Dziewica milczała wciąż. Trudno wreszcie byłoby prowadzić rozmowę w głuszającym rozgwarze wód, który wzdłuż wydrażonej drogi stokrotnie sam się odbijał. Dopiero za zbliżeniem się do domostwa rozstały się ściany; droga wyszła z wody; młodzieniec, jak tylko uczuł grunt twardniejszy pod nogami zwierzęcia,

zeskoczył na ziemię, rad że przynajmniej ktoś trzeci nie był świadkiem jego awanturniczéj peregrynacyi.

Młyn bowiem był pusty; cudzoziemiec i wtedy nawet gdy go miał przed sobą, patrzył nań jak na dekoracyę teatralną. Okiennece były zamknięte; drzwi z brunatnego drzewa, oprawione w szary kamień, nie miały klamki i zdawały się nie do przebycia. Teressa poruszyła haczyk u sztachet wiodących do stajenki wykutéj w skale i wprowadziła tam osiełka. Potém, lekkiem naciśnieniem na drzwi od domu, ku wnętrzu, otworzyła je i przestąpiła przez próg, wskazując drogę towarzyszowi podróży.

Jeden rzut oka starczył mu do rozpoznania się w mieszkańcach. W środku obszerna komnata obejmująca całą głębokość budynku; z boku ognisko; ciężki stół i stołki pośrodku; w szafce przyrządy gospodarskie; na prawo od strony skały, izba z łóżkiem; na lewo, przyrząd młyński z kołami. Drzwi wybite w murze dawały widok na przestrzeń zieloną, obrzuconą w jedném miejscu długim promieniem światła. Przestrzeń ta mająca kilka prętów kwadratowych obszaru, była tak wyniesiona nad poziom wody, że można było na niéj założyć ogród; ale wysokość stawu i chłodne powietrze nie sprzyjały uprawie kwiatów, tak, że grunt okryty był tylko trawą, którą skubała na wybrzeżu pasąca się koza. Ale w miejscu, gdzie przez otwór góry wnikał oderwany promień słońca, rosły, — o rozkoszne dziwo! — dwie piękne pomarańcze pośrodku łąki, wprawdzie mało osypane owocem, ale błyszczące świeżością.

— Czy brata niema, Teresso? — zapytał cudzoziemiec.

Ona powiodła spokojnie oczyma po łące i rzekła:

— Nie widzisz go pan na łące, tam, gdzie zamyka się wąwóz? Strumień wstrząsnął murem który go utrzymuje w łożysku, to brat mój sypie teraz groblę poza wałem, ażeby nie zalało łąki. Brat mój myśli o wszystkim, wszystko zrobić potrafi. Mógłbyś pan szukać tysiąc lat po całym świecie, nie znajdziesz nikogo, coby miał więcej rozumu jak on.

— I czemuż marnuje go w téj samotni?

— Taka jest jego wola.

— A czyś ty wzrosła w tym młynie, Teresso, czyś nigdy nie widziała światła więcej nad to co świeci w gałę-

ziach tych pomarańcz? Nie sędzę; wszak to nie po krótkiej drodze do kościoła w niedzielę ogorzało twe lice.

— Nie—odpowiedziała—cztery lata niespełna jak mieszkamy razem i jak Tomasz kupił ten młyn. Kiedyśmy mieszkali w Neapolu i kiedy Tomasz zajmował się rybaństwem, nie miał on jeszcze wyobrażenia co to jest młyn i jak się obracają koła. I zaraz pierwszego dnia po sprowadzeniu się tu, kiedy dawny młynarz umarł, puścił wszystko w ruch, tak jakby całe życie swoje nic innego nie robił. O! Tomasz, to człowiek! Nawet na dworze niema dzielniejszego!

W ciągu jej mowy cudzoziemiec nie zdołał dostrzedz rysów człowieka, który krzątał się bez wytchnienia na skraju łąki, nie obróciwszy się ni razu w stronę młyna. Widział tylko wysoką postawę, czarne włosy kręcące się pod szarą czapką, przyodziewkę z ciemnego sukna lekko spływającą po ramieniu.

— Co w nim obudziło wstręt do miasta i do tak koryzystnego rzemiosła?—zapytał siostry stojącej obok.

Ona jakby nie usłyszała zapytania.

— Wiesz pan co?—rzekła doń—siadaj i zacznij mój portret, ażeby był skończony nim brat mój wróci. Wtedy zapytam go, czyj to portret, a jeżeli go pozna, zapłaci panu wiele będziesz żądał, bo trzeba ci wiedzieć, że my wcale nie jesteśmy ubodzy. Mieszkając w Neapolu brat mój trzymał siedmiu rybaków i w siedm łodzi wyprawiał się na morze, a mógł był nawet kupić grunt zamiast tego młyna. Na co mu te pieniądze, z troską która mu ciąży na sercu! Siadaj pan, przestanę już gadać; musisz pan narysować na papierze usta moje nieme i to bardzo dokładnie, i oczy i wszystko.

Poeta nasz znalazł się w bardzo przykrém położeniu, widząc iż rzecz przybiera zakrój poważny.

— Troszkę tu zaciemno—rzekł, a serce biło mu mocno.

— Idźmy na łąkę.

— Tam znowu zajasno, Teresso. Nie uwierzysz, jak to trudno znaleźć odpowiednie światło.

— Zaczekaj pan!—zawołała, i spiesznie otworzyła okiennice. Teraz zdaje mi się że w izbie jest bardzo miłe

światło. Ja przynajmniej, gdybym się była uczyła, narysowałabym pana bardzo podobnego na ścianie.

— A więc śmiało—zawołał—zaczynajmy.

Podsunał dwa krzesła pod okno wychodzące na strumień i prosił ją aby usiadła. Ciemny rumieniec oblał lica dziewczycy, kiedy uczyła na sobie badawcze jego wejrzenie; oczy jój, nad któremi rzęsy wznosiły się i opadały, migocząc jak skrzydła mewy, razem stanęły nieruchomie i w chwili skutkiem wyteżenia wzroku okryły się mgłą wilgotną. Prosił ją, aby dała całą swobodę swym ruchom, że i mimo to robota nie pójdzie gorzej. Nie mógł przenieść na siebie, aby się cokolwiek nie zająć jój włosami.

— Teresso!—zawołał.

— A co?

— Nic...

W obec wielkości wyciśniętej w jój spojrzeniu, nie mógł zdobyć się na żadne słowo czułe lub pochlebne. Jakżeż czoło jój było szerokie, silne i jednolite! Jaki spokój w zgięciu brwi! Przeklinając chwilę która uczyniła go poetą a nie malarzem, mocno postanowił z półgodziny krzątać się, jak gdyby zajęty był rysunkiem i nasycać się jój widokiem; potem podrze swą ćwiartkę papieru, zmówi nieudanie się na złe światło, na oczy niewywczasowane,—i pożegna ją.

Wybrał miejsce, udał że rozpoczyna, gdy spostrzegł naprzeciw siebie, portret mężczyzny w czarnych ramach, zawieszony w sypialni, który nastreczył mu sposobność przerwania roboty.

— To piękny portret brata!—rzekł, i wstał, aby mu się przyjrzeć zbliska. Czyjego to pędzla? To wyborna robota! Twarz pełna spokoju i zapału! Jeszcze ciekawszy jestem zobaczyć go.

— Tego, którego wyobraża to płótno, nie zobaczysz pan już za życia.

— Więc to nie brat?

— To jego przyjaciel: umarł zamłodu i wiele łez popłynęło po nim.

— Wspomnienie to sprawiło ci przykrość, Teresso; wybacz mi te niewczesne pytania.

Usiadł znów przy oknie. Rumieniec spadł z jej oblicza, oczy zdawały się zagasłe. Po chwili, w której nic nie było słyhać prócz szmeru w wąwozie, ona zaczęła sama:

— Masz pan słusznosc, był to człowiek zarazem łagodny i namiętny; dziecko mogłoby go zwieść, ale dla tych których kochał, rzuciłby się był w Wezuwiusz, gdyby tego odeń zażądali. „Ludzie wszyscy są źli”—mawiał Tomasz; ten jeden był mu wyjątkiem, i słusznie. Kto spojrział na niego, był przekonany, że czystsza dusza nie istniała pod słońcem. Cóż dziwnego, że Tomasz nienawidzi morza, które pochłoneło mu takiego przyjaciela? że ma serce zbolale od dnia, gdy udał się z nim na połów ryb, z którego powrócił sam? Nikt mu niema za złe, że od tej chwili stał się ponurym i powziął wstręt do swego rzemiosła.

— Więc on był rybakiem, tak jak i twój brat?

— Był to śpiewak, syn biednej rodziny rybackiej, rodzice jego żyją jeszcze. Kiedy był jeszcze dzieckiem, serce topniało słysząc go śpiewającego w kościele. Później, jeden z jego stryjów kazał go uczyć śpiewać; przeznaczono go do opery. I wyobraź pan sobie: w przeddzień pierwszego występu, kiedy cały Neapol o tym tylko mówił, pod wieczór przyszedł on do mego brata; znali się z sobą od dzieciństwa i byli ściśle związani. „Tomaszu—rzecz—czy popływamy jeszcze po morzu? — „Mam jeszcze zajęcie Nino — odpowiada brat—muszę zwinąć sieci i poczekać na Beppa, mojego robotnika.— „Zostaw go w domu, Tomasz, ja ci pomogę; podwójne krzyżyki nie wybiły mi z głowy dawnego rzemiosła.” I wypłynęli oba... widzę ich dotąd, brat mój przy rudlu, Nino przy wiosle; włosy jego lśniły się pod wieczornym słońcem; oczy jego zwrócone były na nasze mieszkanie: obraz ten wciąż mi przed oczyma stoi. Zaledwie słońce zaszło, słyszę uderzenia wiosła, biegnę do drzwi na ich powitanie. Ale Tomasz był sam jeden w łodzi, uderzał w wodę jak szalony, i zawołał na mnie: „Dobry wieczór, Teresso! pozdrawia cię Nino! śpi on już tam, na dnie morza.” I nic już nie słyszałam więcej.

— To rzecz okropna! Tak młody i pełen nadziei! Ale jakże to stać się mogło, skoroć byli we dwóch i mieli łódź?

— Ciężar sieci pogłębił ją. Kołek za który sieci były zaczepione raptem się wysunął i wyskoczył w morze.

Nino przechylony wyciągnął ręce dla pochwycenia sieci i zaplątał się w nie; łódka przewraca się do góry dnem, a Tomasz wypłynąwszy na wierzch, zobaczył tylko pusty statek płynący spokojnie w purpurze wieczorniej.... Po jego przyjacielu został tylko kapelusz i czarna wstążka, którą doń kilka dni temu przyczepiłam.

— Biedny Nino!

— Żal go panu? Poszedł on prosto do nieba i śpiewa swoim złocistym głosem przed tronem Madonny! Żałuj pan brata mojego, bo spokój jego serca pogrzebiony w falach i żaden mu go nie powróci nurek. Od tego dnia nikt nie widział uśmiechu na twarzy mojego biednego Tomka. Przed odejściem w góry spalił on łódź i sieci, a na brzegu tłumy stanęły i mówiły: „Dobrze robi biedny chłopak!” Bo wiadano o tém, że oni żyli jak dwaj bracia.

Zamilkła i wzrok zatopiła w głębi wąwozu. Cudzoziemiec trzymał na kolanach éwiartkę papieru i myślą odgadywał szczególną dolę wypisaną na obliczu dziewicy. Zdało się że zeń wszelka gorycz zesza, i że czysty obraz młodzieńca objawiał się jój duszy, a dźwięki jego „złocistego głosu” brzmiały w jój uszach. Tém żywszém było jego przeżalenie, gdy te rysy szlachetne zaćmiły się pod wrażeniem jakiejś gwałtownej namiętności. Jak łabędź na widok węża, porwała się z krzeszła ze drzeniem i krótkim syknięciem; pierś jój wznosiła się i opadała nagle, usta zbladły i otwierały się konwulsyjnie.

— Teresso, na Boga! co ci jest? — zawołał poeta.

Ona daremnie siliła się powiedzieć słowo. Wtedy wzrok młodzieńca poszedł za jój wzrokiem, który utkwiał w jednym punkcie na skraju wąwozu. Ale to co zobaczył zwiększyło tylko jego ciekawość, bo przedmiot wychylający się z drogi podwodnej nie miał nic przerażającego. Była to postać niemniej powabna jak Teressa. Młoda kobieta, blondynka, cało czarno ubrana, szła drogą ku młynowi, ostrożnie stąpając po wodzie. Buciki i pończochy trzymając w lewej ręce, w prawą zebrała fałdy spódniczki, wprawdzie nieco śmieliej niż Teressa. Kapelusz słomiany, przy którym powiewały szerokie czarne wstążki, spadł jój na ramiona jak gdyby go wiatr zsunął, i odsłaniał twarz pogodną, zdala po-

łyskującą białością i szkarłatem. Oczy spuszczone wyszukiwały drogi.

— Kto jest ta kobieta, Teresso? — zapytał młodzieniec — i dlaczego twarz twoja mieni się na jój widok?

— I cóż on na to powie — szepnęła do siebie Teressa, nie zważając na jego zapytanie. Jeszcze wypiękniała... tём gorzej! Zkąd ten czarny ubiór? Czyżby stary umarł!... Najświętsza Panno!

Tłum myśli przemknął po jój głowie. Niech przyjdzie, rzekła, niech przyjdzie! Nie boimy się jój, znamy ją dobrze. Potém, przypominając sobie, że nie jest samą zawołała pośpiesznie: — Musisz pan wejść do tój izby." Ta kobieta nie powinna cię tu zastać; ona mnie nienawidzi, i Bóg wie jakie robiłaby plotki na mój karb, gdyby zastała tu obcego mężczyznę. Wstań pan, i na miłosierdzie Boże, sprawiaj się cicho, aby cię nie usłyszała. Sądzę, że niedługo zabawi.

— Jeżeli przeszkadzam, Teresso, odejdę drugą stroną wąwozu.

— Nie rozpoznałbyś pan drogi, a nie chcę abyś schodził i przechodził obok czarownicy.

— Ale czy zwróciłaś uwagę, Teresso, że gdy brat wejdzie do tój izby i zastanie obcego...

— Mój brat mnie zna! — odrzekła dumnie. Proszę wejść.

— Jeszcze słowo. Kto ona jest? Czego się od nię obawiasz?

— Wszystkiego, ale znam Tomasza. Jest to stryjenka nieboszczyka. Kiedy znaleziono ciało, które morze wyrzuciło, niedaleko Puzzuoli, jój oko było suche: może Bóg jój przebaczy, ale ja nie! bo ona nienawidziła mnie o to, że ja za piękniejszą uchodzę. Teraz chce mi odebrać brata, podstępna! Ale Tomasz ją zna: on i ja, ja i on, nikt nas nie rozdzieli! Wejdz pan do izby i nie ruszaj się; ja potém powiem bratu, dlaczego tak zrobiłam.

Wpuściła go do izby i drzwi za nim zamknęła; usłyszał następnie jak z całym pośpiechem biegła na łąkę. On zaś, pozostawszy sam w więzieniu, nie mógł zrazu oprzeć się jakiegóś przykrości i niespokojowi. Wszakże wzięło nad tём górę to, co było interesującym w jego przygodzie; namyślił się co ma czynić w razie jakiegobądź wypadku. Tymczasem oglądał różne przedmioty młynarskiego gospo-

darstwa, tak dla siebie obce, które stały oparte o ścianę. W rogu stało łóżko Tomasza, na kołdrze leżała książka modlitewna, w głowach do ściany przybita była kropielniczka. Jedyne światło wnikało tam od strony koła wielkimi otworami, poprzez które widać było skały i urwiska z przeciwległego brzegu wąwozu. Ale w ścianie oddzielającej klatkę młynową od wielkiej izby środkowej spostrzegł on również otwór, który dozwalał obejmować okiem większą część tej izby. Siadł więc przy tym otworze i z ciekawością oczekiwał tego co tam zajdzie.

Wkrótce brat i siostra, wracając z łąki, weszli do młyna. Spostrzegł więc twarz Tomasza pod gęstą czupryną czarnych kędziorów, bliźnięcego podobieństwa z twarzą siostry. Ruch głęboki i powstrzymywany w mięśniach ciała, oko ciemne i groźne, nadawały złowrogi wyraz jego postaci. Długo stał on przed stołem z rękami skrzyżowanymi na piersiach i chwilami poruszał głowę, jakby uważnie słuchając siostry, która zbliżona doń, szeptała coś cicho i namiętnie, czego cudzoziemiec usłyszeć nie mógł. Ale myśli Tomasza zdawały się być gdzieindziej. Chwilami drgały mu wargi, ale milczał przez cały czas. Zdawał się nie mieć więcej nad lat trzydzieści; cudzoziemcowi zdawało się, że nigdy nie widział piękniejszej męskiej postaci.

Wtém zastukano do drzwi zewnętrznych. W mgnieniu oka Teresa odstąpiła od brata i rzuciła się w krzesło przed kominkiem, przy którym stała jej kądziel. Gdy Tomasz, nie zmieniając postawy, zawołał: „Wolno!” i drzwi się otwały, Teresa obracała wrzeczono, jakby od godziny była przy robocie. Rysy jej przybrały wyraz zimnego spokoju.

Młoda kobieta weszła z miną cokolwiek wahającą, i przy pierwszych powitaniach poprawiła na sobie ubranie, widocznie dla pokrycia zmieszania. Otrząsnęła krople wody z brzegów sukni, postawiła buciki na podłodze i wsunęła w nie bosc nóżki. W każdym jej poruszeniu była miękkość, gracya, częścią wyrachowana, częścią instynktowna. Twarz jej ożywiona znużeniem drogi, zdawała się rozognioną. Czarny ubiór tém dziwniej odbijał rzadką w tych południowych stronach białosc płci i jasność płowych jej włosów. Niższą była od Teressy, ale pełniejszej i giętszej tuszy,

ruchów zwawszych. W oczach jęj iskrzyły wszystkie ognie neapolitańskiego nieba.

— Dobry wieczór, Teresso. Jak się miewasz, Tomaszu?—zapytała.

— A, to ty, Łucyo— odezwała się dziewica. Co cię sprowadza z Neapolu do naszej samotni?

— Siadaj, Łucyo, i rozgość się — rzekł brat, nie poruszywszy się z miejsca.

Łucya na to zaproszenie usiadła przy oknie, wciąż zajmując się ubraniem... — Miałam interes do Carotta, rzekła zdejmując kapelusz i poprawiając włosów które spadały jęj na czoło; więc z powrotem wstąpiłam i do was, Teresso. Droga w te okolice przykra, mieliśmy bardzo zły czas.

— Dla naszego młyna był on bardzo pożądany, woda wezbrała — odpowiedziała Teressa tonem urwanym. Łucya wodziła oczami po pokoju i ukradkiem spojrzała na Tomasza, który z pozorną obojętnością kreślił jednę przy drugiej linię kawałkiem kredy leżącej na stole. Trzy te osoby wiedziały, że przyjdzie wymówić słowo stanowcze, i każda z nich chciała innęj zostawić pierwszeństwo.

— Przynieś szklanke wina dla Łucyi— rzekł Tomasz. Teressa ani ruszyła się z miejsca od roboty. Kobieta odezwała się po chwili wahania:

— Dajmy pokój winu, mało mam czasu. Wieczór nadchodzi a mój statek czeka na mnie w zatoce Carotta, bo chcę wrócić na noc do Neapolu. Jakżeśmy się dawno nie widzieli! Czenu nie przychodzisz do Neapolu, Teresso? Zima musi być przykrą tu, w górach.

— Żadna pora nie jest mi przykrą przy bracie—odparła Teressa. Poco mam chodzić do Neapolu: nic a nic mnie tam nie ciągnie.

Zamilkli wszyscy troje. Nareszcie młynarz zwrócił się do siostry, mówiąc spokojnie: „Czyś podesłała osiełkowi na noc?”

Teressa zadrzała, zrozumiawszy jego zamiar; ale podniósłszy oczy poznała po stanowczém spojrzeniu brata, że taka jest jego wola niecofniona: prędko więc złożyła w kąt wrzeczono, opuściła komnatę i nazewnątrz umyślnie krzątała się hałaśliwie, aby oddalić od siebie wszelkie podejrzenie, że poszła podsłuchiwać.

Serce zaczęło bić poecie na miejscu obserwacji, gdy dwoje tych ludzi zobaczył sam na sam. Choć przeszłość ich znaną mu była tylko w połowie, już na zasadzie tego co wiedział przeczuwać mógł jedną z najdziwniejszych scen. Zatrzymywał wzrok to na młynarzu, to na pięknej kobiecie siedzącej przy oknie i własne jego położenie stawało się co chwila przykrzejszém, kiedy pomyślał, że słów mających wyjść z ust tych dwojga osób, ludzkie ucho słyszeć nie powinno. Już myślał usunąć się w najoddalniejszy zakąt izby w której się znajdował, ale każdy krok mógł go zdradzić, tak że zmuszonym się widział pozostać na miejscu.

Milczenie w sąsiedniej komnacie trwało jeszcze czas jakiś: potem ozwała się Lucya:

— Twoja siostra nienawidzi mnie, Tomaszu; cóżem ję złego uczyniła?

Brat ruszył ramionami.

— Często—mówiła dalej—nie mogę się uspokoić na myśl, że to może ona jedna zatrzymała cię tu, zdala od nas. Ona zazdrośną jest o każde słowo jakie powiesz do innéj: ona chce cię mieć dla saméj siebie.

— Mylisz się—odparł sucho;—ja miałem własne powody do opuszczenia Neapolu.

— Wiem, Tomaszu, wiem. Że po takim nieszczęściu morze mogło ci obrzydnąć: to i dziecko zrozumieć. Ale to nie byłoby potrwało, gdyby cię Teressa nie nakłoniła do zamknięcia się w tém ustroniu dzikiem i odludném. Czyż nie równo w nas wszystkich ten cios ugodził? Ale pomimo to trzeba zdać się na wolę Pana Boga i pozostać z ludźmi. Złe tak jak i dobre pochodzi z nieba; nie powinno ono nas tak zatwardziaćmi czynić, ażebyśmy aż mieli znienawidzić ludzi, którzy nic na to nie pomogą!

— Nie pomogą! To jeszcze pytanie.

Spojrzała nań przenikająco.

— Nie rozumiem cię, Tomaszu. Wielu rzeczy nie rozumiem od twego wyjazdu. Dlaczego listy moje, które ci pisałam przez wiejskiego chłopca Angelo, pozostały bez odpowiedzi? Zaręczał mi, że ci samemu do rąk je oddał obydwu: inaczej, mogłabym sądzić, że ci Teressa zabroniła odpisywać!

— Listy? Spaliłem je.

— A cóż dziś odpowiadasz na nie?

— Mąż twój umarł, jak powiadał mi Angelo. Bardzo mi to przykro, był to poczciwy człowiek, i to com przeciw niemu zawinił, bardzo mi dziś jeszcze na sumieniu cięży. Jesteś młodą i piękną, Łucyo; niebawem znajdziesz drugiego: bądź z nim szczęśliwą.

Mówiąc to, rzucił zdala od siebie kawałek kredy, i z rękoma w tył zaczął chodzić po izbie; ona patrzyła za nim smutno i rzekła:

— Czy Teressa wie, że ja jestem wdową?

— Ubranie twoje dopiero teraz dało jęj znać o tém; przez te cztery lata imię twoje nie powstało na ustach naszych.

— Jeżeli nie czytałeś listów moich, to nie wiesz, że mąż mój zapisał ci trzysta piastrów. Ale musisz sam przyjść do Neapolu i stawić się do sądu pokoju, gdzie są złożone pieniądze.

— A niech tam leżą i do dnia sądnego—odparł bez namysłu—albo może wolisz je oddać na ubogich. Co do mnie, ja nie pójdę po nie, choćbym miał nie wiedzieć jak gwałtowną potrzebę, do czego, dzięki Bogu, daleko. Pieniądze od twego męża, Łucyo! prędzejbym umarł z głodu.

— Co ty mówisz? — dodała cicho, a głos jęj drżał z przerażenia. — Co mam o tém myśleć? Dawniej przecież inaczej bywało między nami, Tomaszu.

— Tém ci gorzej!

Powstała z krzesła, postąpiła krokiem ku niemu, niespokojnym wzrokiem szukając jego oczu, których Tomasz nie odrywał od stołu.

Stanąła tuż przy tym stole, naprzeciwko niego; gwałtowność poruszenia wstrząsnęła nim i oczy jego wzniosły się do góry: cała groza zrozpaczonej namiętności wyryła się na jego twarzy.

— Ja nie odejdę ztąd - rzekła z energiczném postanowieniem—póki nie powiesz mi wszystkiego. Tomaszu, mąż mój umarł, Nino oddawna spoczywa w grobie. W domu moim twoja siostra będzie panią, a ja sługą jęj. Na pierwsze przykre słowo z méj strony będziesz mógł mnie wypędzić, jak gdybym podłożyła ogień pod dom twój. Ty mówisz, i ja to widzę, że twe serce nie zmieniło się; któż tedy staje między nami, Tomaszu?

Stół drżał na którym opierał się młynarz.

— Ja ci powiem—jęknął głucho—ale zaraz potem idź i o nic mnie więcej nie pytaj:—między nami stoi Nino!

— Zwodzisz mnie, odpowiedziała — chcesz odwrócić myśl moją od Teressy, dlatego abym ja jęj kiedy nie odpłaciła za jęj dzisiejsze względem mnie sprawki. Prędjęj czy później pożalujesz ty tego, żeś sobie igraszkę czynił ze mnie, biednej kobiety, a potem odepchnąłeś od siebie! I ona ukaraną będzie za to, że wbrew naturze, ukrywa cię tu przed słońcem, jak skąpiec skarb swój. Odchodzę.

— Na krew Chrystusa Pana, Łucyo; ja cię nie zwodzę. Jest wprawdzie jedna rzecz, której siostra nie przebaczyła ci dotąd; ale to nie to, i ty nie wiesz co znaczą te słowa, kiedy powiadam: że Nino stoi między nami. Nikt tego nie wie, a Teressa najmnij; gdyby wiedziała, umarłaby.

— A gdybym ja wiedziała?

— Zapomniałabyś na zawsze o biednym Tomaszu, i nie znalazłabyś już nigdy drogi do tego młyna.

Ukrył twarz w obu dłoniach.

— Mylisz się—rzekła — to nie może nigdy nastąpić! Wszystko co stoi między nami jest widmem: ukaż mi je, a jedno moje słowo rozwieje tę marę; a jeżeli nie, to nie znajdę spoczynku ani w dzień ani w noc, i nie upłynie rok a dowiesz się, żeś mnie wtrącił do grobu!

Zadrżał wstrząśniony zgrozą i zdawał się staczać ostatnią walkę. Następnie, znękany, z twarzą zaognioną, wlepił w nią długie spojrzenie, i rzekł:

— Musimy raz skończyć; nie chcę powtórnie być narażonym na tę straszną mękę, by widzieć się z tobą i wyrzekać się ciebie. Przysięgnij mi na zbawienie duszy, Łucyo, że nie powiesz nikomu tego, czego nikt nigdy z ust moich nie usłyszał, a co ty masz usłyszeć. Nawet przy konfesyjonałach i na łożu śmiertelnym, żeby i jedno słowo nie wyszło z ust twoich! Nie chodzi tu o moją krzywdę, gdyby ludzie dowiedzieli się o tém, ale Teressaby tego nie przeżyła. Przysięgnij mi!

Podniosła rękę: „Na zbawienie duszy przysięgam ci, Tomaszu, że nikt o tém wiedzieć nie będzie, prócz ciebie i mnie.“

Westchnął głęboko i rzucił się na krzeszło, ręce oparł na kolanach i oczy utkwiał w ziemię.

— Łucyo — rzekł półgłosem — powiedziałem prawdę; Nino stoi między nami, teraz po śmierci, tak jak dawniej za życia. Był on czysty i bez zmayı, jak Abel, i on także trafił na swojego Kaina. Kain uciekł na pustynię: teraz rozumiesz?

Milczała.

— Masz słuszność — mówił dalej. Kto może zrozumieć? Ale są chwile, w których człowiek oddaje się piekłu, kiedy jakoby siedział w człowieku jakiś duch obcy, który krępuje wszystkie dobre myśli a złym pozwala tylko robić wszystko co im się podoba. I czyż wtedy człowiek sam winien jest temu, co ztąd wynikło? Chciałbym znaleźć księdza, któryby mi to wytłumaczył: nikt nie może.

Jak ja kochałem Nina! Zabiłbym był waryata, któryby mi coś złego o nim choć skinieniem powiedział. Kiedy śpiewał, zapominałem wszystkich trosk; kiedy wchodził do mnie, dom mój się rozjaśniał. Do własnego brata, do syna, nie możnaby mieć więcej przywiązania. Byłem nim dumny. Kiedy w Neapolu zaczęto mówić o jego głosie, powtarzałem ludziom jak szalony: „To nasz Nino, mój dawny towarzysz z dziecinnych lat.” I takem się z niego chełpił, jak gdybym głos jego ułowił w morzu i darował mu go. A jak on ze mną postępował! Kiedy był już sławnym, kiedy śpiewywał u książąt i hrabiów, kiedy piękne panie ubiegały się o jego spojrzenie, on tak jak dawniej przychodził do nas i wolał być z nami jak gdziekolwiekbydz; a czasami kiedym go spotkał na ulicy Toledańskiej, idąc z sieciami na ramieniu, on porzucał znajomych, brał mnie pod rękę i szedł ze mną kawał drogi. Nikt nie był tak uprzejmym jak on, ani cienia fałszu, ani jednej plamki na sercu!

Mógłby być kochankiem wszystkich kobiet w Neapolu; ani dbał o to. Ja sam często żartowałem z niego; nie wiedziałem wtedy co go odwracało od przypadkowych miłości.

Jedyne złe jakie mi wyrządził, było to, że mnie zaprowadził do swego stryja, kiedy ten opuściwszy Kapucę osiedlił się w Neapolu i kupił Syrenę. Przybył on głównie tam dlatego, aby być świadkiem powodzeń Nina, które były jego dziełem. Oh! dlaczegoż on i ciebie sprowadził, Łucyo! Od tej chwili ja utraciłem Nina, nie z jego wprawdzie winy. Ale

prócz ciebie i mnie, któż mógł mieć mu za złe, że dba o honor stryja?

Nigdy on nie czynił mi żadnych wyrzutów z powodu moich sprawek miłosnych, choć nie było mu to bardzo miłym, gdy mu opowiadał o tej lub owej kobiecie, która trzymała mnie w swoich sieciach. On był niewinnym jak archanioł Rafał; ale znał on świat i wiedział że nie wszyscy są jemu podobni, a świata przekształcać nie myślał. Nawet kiedy domyślił się stosunków naszych, Łucyo, nigdy, słowo nagany przez usta jego nie przeszło. Ale wiesz o tém dobrze, on jeden odwracał nasze projekta i podstępny. Pieniłem się o to, sto razy przysięgałem w duchu, że jak go tylko zobaczę, zerwę z nim jeżeli nie przestanie strzedz progów twego domu zazdrośniej niż sam stryj, niż brat lub kochanek. Bo on nie był w tobie zakochanym i zazdrość w niczém nie przyczyniała się do jego postępowania. Ale gdy go w tej chwili zobaczył, ugryzłem się w usta, słowa nie mówiąc, a moja wyuzdana ku tobie namiętność wolniała na jego głos.

On zdawał się czytać myśli moje w sercu. Często mawiał mi o swym stryju, wystawiając mi jego dobroć, uczciwość i wszystko co on dla niego uczynił. Potem patrzył na mnie wzrokiem ufności, jakby chciał mi powiedzieć: „Nie, Tomku, niepodobna abyś ty zasmucił człowieka, któremu przyjaciel twój zawdzięcza wszystko.”

Rozumiałem ci ją go wybornie, ale potem kiedy znów zobaczył ciebie, wściekłość namiętności obalała wszystkie moje postanowienia, wszystkie skrupuły. Sumienie moje schło jak drzewo obok potoku lawy. I trwać mi rok cały w takim położeniu, mnie, com nie miał nigdy cierpliwości dłużej nad dwa tygodnie! Już raz, kiedy stryj udał się do Ischia, pamiętasz, i my oddechaliśmy swobodnie, a on przyszedł prosić o pokój w Syrenie, dla przepisania nót, pod pretextem że hałas w domu przeszkadzał mu robić, już wtedy powziąłem myśl czarną. Chciałem mu wlać do wina tego com dostał od jednej znajomój mi osoby; to miało uspić człowieka na dwadzieścia cztery godzin. Ale przeraziłem się. Gdyby też to była trucizna? Albo gdyby głos jego na tém ucierpiał? Dałem pokój, ale zostało mi żądło w sercu

przeciwko niemu, i odtąd unikałem go, bo widok jego raził mnie, jakgdyby on nastawał na moje życie.

Zbliżał się dzień w którym on miał wystąpić w operze. Wiesz Łucyo, jakeśmy się z sobą ułożyli na wieczór. Gdybym był nie znał ciebie, mógłby mi dom zgorzć do fundamentów, nie byłbym się ruszył z miejsca w teatrze przed ostatnią nutą śpiewu, który miał być tryumfem Nina. A teraz myślałem tylko o tém co nastąpi dla mnie, jeżeli po pierwszym akcie wysunę się ku Syrenie, gdzie pod pozorem słabości miałaś pozostać i nie towarzyszyć wujowi do teatru.

W przeddzień przyszedł do mnie Nino, jak wiesz, i chciał bym mu towarzyszył na morze. Czy anioł, czy szatan wydał mu nasz projekt? Bo wiedział o wszystkim, i za ledwie wypłynęliśmy na morze, wypowiedział mi to w oczy, a pierwszy raz dopiero z tém się do mnie odzywał bez ogródki. Wyparłem się. „Tomaszu, zawołał, jeżeli mi nie przyrzekniesz, w imię naszej stariej przyjaźni, odstąpić od swych zamiarów, stanie się to dla mnie nieszczęściem. Będę śpiewał jak kruk, wygwizdają mnie, i wszystkie moje nadzieje w proch się obrócą; bracie mój, rzekł, wymagam tego od ciebie. Mógłbym pójść do stryja i zawiadomić go, ale wtedy wiedziałby jaką ma żonę, a choćbym i nie wymówił twojego imienia, niemniej jednak rozdzieleni byłibyśmy na zawsze: przyrzeknij mi więc, wszakżem wart téj ofiary od ciebie.” Milczałem uparcie, wpatrując się w sieci, i w końcu nie słyszałem już nic z tego co on do mnie mówił, bo obraz twój stał przedemną a krew świstała mi w skroniach.

W godzinę potem wróciłem sam w łodzi na brzeg...”

Ostatnie wyrazy spływały głucho i niewyraźnie. Dwie te postacie: on na krześle, z twarzą coraz bardziej ku kolonom schyloną, ona blada jak trup, były nieruchome jak dwa posągi. Tymczasem w komnacie zaczynało już się zciemniać, a nazewnątrz poza szelestem strumienia brzmiał głos Terressy, która śpiewała barkarolę jakby dla oznajmienia bratu, iżby oszczędził jój przykrości dłuższego oczekiwania. Jakoż głos jój wyrwał go z zadumy. Wstał z krzesła i przechylił się ku kobiecie stojącej nieruchomie:

— Nie, Łucyo, ja wtedy nie skłamałem. Sieci pociągnęły go w przepaść, nogi mu się uwikłały; nie ja przechyliłem łódź!... Ale to nie wszystko. Jam się jeszcze trzymał

na krawędzi, kiedy on był już w morzu. Złodowaciałem, oczy moje błędne utkwily w toni która zamknęła się nad jego głową; widziałem bąble wody które zdawały się wołać na mnie: „On tam jeszcze oddycha!” A teraz, teraz jedna ręka wychyla się z bałwanów, szukając ratunku w ręce przyjaciela, odległą była odemnie zaledwie na długość łodzi; pierścień srebrny błyszczał pod słońcem na palcu: dość mi było podać mu wiosło i on byłby żył, Łucyo! Czyż nie chciałem go ocalić? Czyż nie powinienem był chcieć? Nie trzymałem wiosła na kolanach; dość mi było ręką poruszyć, a ręka z pierścieniem byłaby za nie pochwytiła. Ale szatan był w mojej piersi i paraliżował każdą moją żyłę i zatrzymywał każdą kroplę krwi; byłem jakby okuty w łańcuch, jak uderzony apoplexyą, w głowie mi się zawracało; chciałem krzyczeć i oczu nie odwracałem od tej ręki, a ta ręka zagłębiała się, naprzód po pierścień, następnie po koniec palców, aż znikła.

Wtedy dopiero piekło mnie puściło. Krzyczałem jak wściekły, wyskoczyłem z łodzi tak że aż się wywróciła, dałem nurka, wypłynąłem na wierzch, zanurzyłem się znowu, a znaleźć go nie mogłem, chociażem ze sto razy skakał po sztukę monety, by ją z dna morskiego podjąć.

Nareszcie wróciłem do łodzi, z sercem rozdartem rozpaczą. Ale jeszcze nie dopiłem miary. Kiedym wszedł do domu, siostra moja zwinęła się sama w sobie jak płomień gasnący. Pierścień na tej ręce był jój pierścieniem; w przeddzień z nim go zamieniła... a jam nic o tém nie wiedział!“

Znowu upadł na krzesło i podniósł twarz w górę z oczyma zamkniętymi. Cudzoziemiec z młyna słyszał długo wychodzący jęk z jego piersi, która zdawała się obciążoną snem okropnym, gdy nieszczęśliwa kobieta przesuwała kilkakrotnie ręką po czole, jakby zcierając krople zimnego potu. Straszne rzeczy które usłyszała, wyszlachetniły jój rysy miękkie, nacechowane zmysłowością: stała się piękniejszą jak wprzódy, ale nie myślała już o tém.

Tomasz zdawał się przebudzać z półsenności.

— Czy jesteś tu jeszcze, Łucyo?—zapytał szybko. Czego chcesz jeszcze od Tomka? Czy nie widzisz między nami tej ręki z pierścieniem srebrnym, która wszędzie wznosi się przedemną, skierowana ku niebu? Gdybyśmy stanęli u sto-

pni ołtarza, i gdybyś mi podała rękę z pierścionkiem złotym, włosyby mi powstały na głowie, oczy krwią zaszyły, złoto wydałoby się srebrem, ręka Łucyi ręką Nina, i szatany wypędziłyby mnie z kościoła batami. Wróc do siebie, Łucyo, zapomnij o wszystkiém, dochowaj przysięgi i módl się za Tomasza!

To mówiąc powstał i zbliżył się do komina. Cudzoziemiec zobaczył Łucyę drżącą z gwałtownego wzruszenia. — Czyż te rzeczy nie zmieniają się nigdy? — zapytała głosem cichym.

Odwrócił się i wstrząsnął głową na znak zaprzeczenia.

— Niechże cię więc Bóg ma w swój opiece, Tomaszu; niech Madonna ześle pociechę w serce twoje, a nocą sen na oczy twoje. Płakać po tobie będę całe życie, ale dziękuję żeś mi powiedział wszystko; inaczej nie mogłabym znieść téj myśli, żeś mną pogardził. Dziękuję ci za to, że mnie jeszcze kochasz; nie odwykaj od tego, boć mi ta jedna tylko zostaje pociecha.

Już się nie odwrócił ku niéj, nie widział potoku łez które cicho płynęły z jéj oczu, nie widział poruszenia, które uczyniła oburącz na znak pożegnania, ani gwałtownego wysiłku by się odwrócić i wyjść. Zostawiła drzwi za sobą otwarte, a siostra, która zaraz po ich rozłączeniu się weszła szybko do izby, zastała go jeszcze przy kominie.

— Tomaszu — zawołała ona szlochając, z okrzykiem namiętnéj radości, i objęła rękami milczącego brata— Tomaszu, zerwałś z nią, jesteś moim, zostajemy dla siebie!

Wtedyto dopiero spostrzegła ona okropną bledość na czole tego człowieka i przestraszyła się:

— Przebóg! — zawołała — więc ty tak nad tém cierpisz? Nie, Tomaszu, tak być nie może; ja nie chcę abyś to czynił dla mnie. Głos twój jeszcze ją może osiągnąć; zawołaj ją, bracie! Powiedz jéj...

— Przestań, lube dziecię—przerwał brat stanowczo, usiłując nagiąć usta do uśmiechu, gdy oczy jego spadały na czoło jéj z wyrazem bolesnego a gorącego uczucia — stało się, wszystko skończone. Nie spełniam żadnej ofiary, wierzaj mi siostró, nie spełniam jéj dla ciebie. Choćbyś ty się nie była obudziła z omdlenia przed czterema laty, ja był-

bym jój był dziś powiedział to samo. Zapada noc, pójdę jeszcze pod wąwoz zobaczyć groblę. Przyjdę wkrótce do ciebie z powrotem, moja siostró, moja Teresso. Dzień jutrzejszy będzie dniem nowym.

Pocałował ją w czoło i wyszedł drzwiami prowadzącymi do łąki.

Długi czas upłynął nim cudzoziemiec odważył się otworzyć drzwi od izby w której siedział. Teressa przestraszyła się jego widokiem: zdawało się że zapomniała zupełnie o jego obecności. „Słyszałaś pan wszystko, rzekła poważnie, nie lękaj się abym cię wypytywała. Tomasz nie chciał mówić przy mnie, to dla mnie dosyć. Czy jest gdziekolwiek na świecie brat podobny mojemu? Powiedz pan, czyż los mój nie godny zazdrości? O Tomaszu!”

Skłonił głowę na znak potwierdzenia i podał jój rękę. — Dobranoc Teresso — rzekł. Nie potrzebuję cię prosić, abyś nigdy nie mówiła bratu, kto podsłuchał jego rozmowę z Łucyą. Byłaby to dla niego straszna rzecz, pomyśleć że obcy człowiek świadkiem był sceny, w której siostra....

— Nigdy on wiedzieć o tém nie będzie — odpowiedziała uroczyście. Zasmucić podobnego brata! Czyżby mi to kiedy przez myśl przeszło, mnie, dla której onby życie oddał?

Musiał odwrócić się, aby nie zdradzić przykrego wrażenia, jakie na jego sercu czyniło to niewinne oddanie się człowiekowi, który wydarł jój to co miała najdroższego. Słowa najgłębszej litości snuły mu się na języku: powstrzymał je, bo ona oczekiwała od niego powinszowań, zapewnień, że los jój rzeczywiście godnym jest zazdrości. Spojrzał na srebrny na jój palcu pierścień, spojrział na portret zmarłego wiszący na przeciwległej ścianie, i pomyślał: Oto co Tomasz ma przed oczami codziennie i o każdej godzinie, i musi znosić siostry swój kochanie!

— Teresso — rzekł — niech Bóg zachowa ci pokój, który ocaliłaś. Bądź zdrowa! unoszę z sobą obraz twój, inny jak mniemałem, ale niezatarty.

Zstępując z wąwozu, mówili mało po drodze którą znowu odbył na grzbiecie osielka. Kiedy opuścił Teressę po drugiej stronie prądu, pozostał długo jeszcze na tém samym miejscu z okiem zwróconém ku młynowi a chłodne wyziewy strumienia igrały po jego rozognioném czole.

Noc zapadła. Jeszcze nie mógł wyruszyć z powrotem. Myśli wciąż wodziły go w dal ku wyżynom po różnych ścieszkach.

Wszedłszy na wysokość skały zachodzącej daleko w morze, dostrzegł na zrębie człowieka, którego włosy rozwiane wiatrem spadały na twarz; człowiek ten wpatrywał się w morze, gdzie w kierunku Carotta, ku Neapolowi, lekka łódź snuła się pod żaglem. Cudzoziemiec zdawał się poznawać tego człowieka i wiedzieć kto siedział w łodzi, to też w głębokim wzruszeniu udał się ścieżką najbliższą, która wyprowadziła go do siedzib szczęśliwszych ludzi.

Objawiła mu się muza, za którą daremnie wzdychał dzień cały, ale o ponurém, spiżowém obliczu, i długo poza północ nie dopuszczała snu do jego powiek.

M. K.



TALMUD.

PRZEŁOŻYŁ I OBJAŚNIENIAMI UZUPEŁNIŁ

Izaak Kranstüek.

(Ciąg dalszy).

Obecnie zastanowimy się nieco nad temi szkołami i akademiami do którycheśmy się tak często odwoływali, i których Sanhedryn tworzył, że tak powiem, szczyt i najwyższe uwieńczenie.

Na ośmdziesiąt lat przed Chrystusem, szkoły kwitły po całym obszarze kraju; wychowanie było przymusowe. Gdy przed niewolą nie znajdujemy ani jednego wyrazu na oznaczenie „szkoły,” było ich wtedy przynajmniej dwanaście w spolicie używanych. Kilka z niezliczonych maxym ludowych z owój epoki dowodzą jak wielką wagę, do nauki w życiu narodu przywiązywano.

„Jeruzalem zostało zburzone z powodu, iż zaniedbano wychowania młodzieży” (1).

„Świat pozostaje w swoim bycie tylko zasługą dzieci, które chodzą do szkoły” (2).

„Młodzież szkolna nie może być oderwaną od nauki, nawet gdyby jêj obecność była potrzebną do budowania świątyni” (3).

„Zajmowanie się nauką wyżej jest cenione nad przyniesienie ofiary do świątyni Pańskiêj” (4).

(1) B. Mecya, fol. 30. (2) Gitin, 25. (3) Sabbath 120.
(4) Tamże 45.

„Mędrzec wyżej jest ceniony niż prorok” (1).

„Szacunek przynależny nauczycielowi jest wyższy nad szacunek należny własnemu ojcu, gdyż ten wydał cię tylko na świat znikomy, a tamten utorował ci drogę do nieśmiertelności” (2).

„Szczęśliwy syn który został wykształcony przez swojego ojca, będzie go szanował jako ojca, a zarazem jako nauczyciela. Szczęśliwy ojciec, który wykształcił swego syna” (3).

Wielkie kollegia czyli Kehiloth otwierały się tylko na kilka miesięcy do roku. Trzy tygodnie przed ich otwarciem dziekan przygotowywał studentów do kursów które miał wyłożyć rektor, a zadanie to stawało się tak trudnym w miarę powiększenia się liczby uczniów, że trzeba było naznaczać po siedmiu dziekanów. Wszakże metoda wykładu nie była taką, jaka się praktykuje w uniwersytetach tegoczesnych. Professorowie nie wykładali kursów, któreby uczniowie, jak student Fausta, mogli odnieść do siebie czarno na białym. Tam wszystko było życiem, ruchem, sporem. Jedna kwestya wywoływała drugą, odpowiedzi były często ukryte w allegoryach i parabolach; zapytujący był doprowadzony do znalezienia samemu odpowiedzi przez analogią,—uderzająca to zgodność z metodą Sokratesa. Nowy Testament przedstawia liczne przykłady tej metody wówczas używanój.

Najwyższy szacunek w opinii publicznej nie przypadał kapłanom, co do położenia których panują jeszcze pojęcia bardzo niedokładne, ani szlachcie, ale właśnie mistrzom zakonu, mędrcom, uczniom mędrców (4). Jest coś prawie niemieckiego w tym głębokim szacunku okazywanym stale przedstawicielom nauki i wychowania, jakkolwiekby byli biednymi i jakkolwiek niskim było ich stanowisko. Po większej części, najznakomitsi doktorzy byli tylko skromnymi rzemieślnikami. Byli fabrykantami namiotów lub sandałów,

(1) Baba Bathra 12. (2) Baba Mecya 33. (3) Berachoth.

(4) „Uczniami mędrców” tytułowali się właśnie sami uczeni przez skromność, jak mędrcey greccy mianowali się dla tej samój przyczyny „lubiącymi mądrość” (filozofami); zdaje się wszakże, iż tytuł ten zachowywali dopóty, dopóki przez wyświęcenie nie zostali podniesieni do godności mistrza.

tkaczami, cieślami, garbarzami, piekarzami i kucharzami. Jeden nowo wybrany prezydent został znaleziony przez swego poprzednika, złożonego z urzędu dla okazanej przez niego pychy, całkiem czarny i posmołony w pośród stosów węgla. Najbardziej nienawidzili oni lenistwa i ascetyzmu. Pobożność i nauka były istotnie szanowane tylko wtedy, kiedy szły w parze z ręcznym zatrudnieniem. Oto kilka z maxym owęj epoki:

„Dobra jest nauka zakonu w połączeniu z praktycznym zatrudnieniem, albowiem zetknięcie się obydwóch, oddala człowieka od grzechu” (1).

„Rzemieślnik zajęty pracą nie ma obowiązku wstawiania przed uczonego” (2).

„Wyższego szacunku godzien jest ten, co się utrzymuje z własnej pracy, niż człowiek którego całą zaletą jest sama tylko bogobojność” (3).

To tak wysokie stanowisko oznaczone dla pracy, miało z jednej strony na celu iżby nauka nie chełpiła się zbyt i nie stawała się przedmiotem niesłusznego uwielbienia; z drugiej zaś strony ochronienie narodu od dziwactw nabożniaków. Tych właśnie ostatnich należało się zawsze obawiać. Kiedy świątynia została obrócona w popiół, znajdowali się ludzie, którzy rzekli się używania mięsa i wina. Gdy im to pewny mędrzec wyrzucał, oni jemu z płaczem odpowiedzieli:

— Niegdyś mięso, jako ofiara, było używane na ołtarzu Bożym, ołtarz został zrujnowany; dawniej lano wino na cześć Boga w świątyni, teraz to ustało.

— Ale — odrzekł tamten — wszakże jadacie chleb, a przecież były ofiary i z chleba.

— Masz słuszość, mistrzu, będziemy tedy jedli tylko owoce.

— Noszono ofiary Bogu także i z owoców.

— Wstrzymamy się więc także i od tych.

— Ale pijecie wodę, a były obrzędy wykonywane także i laniem wody w przybytku Pańskim.

(1) Trakt. Aboth, rozdz. 1, Miszna 2.

(2) Trakt. Kiduszyn fol. 32.

(3) Trakt. Berachoth fol. 8.

Wtedy nie wiedzieli już co odpowiedzieć. Mędrzec atoli pocieszył ich zapewnieniem, iż ten, który zniszczył Jeruzolimę, przyrzekł ją także odbudować; dodał wszakże, iż boleść, jak w pewnej mierze uczuta, jest słuszną i przyzwoitą, tak nie powinna być przesadzoną, aby osłabieniem ciała, nie uczyniła cię niezdolnym do pracy (1).

Druga, bardziej jeszcze uderzająca anegdota jest o mędrceu, który przechadzając się po targu napełnionym ludźmi, spotkał proroka Eliasza (2) i spytał go: „Kto z pośród tego niezmiernego tłumu będzie uczestnikiem wiecznego życia?” Na to prorok wskazał mu palcem osobę nędznej powierzchowności, strażnika więziennego: „ten, albowiem był litościwym dla więźniów;” następnie dwóch rękodzielników bardzo pospolitej powierzchowności, którzy przechodzili pośród tłumu i rozmawiali wesoło. Mędrzec zbliżył się natychmiast ku nim i spytał, czemuby oni sobie wieczną szczęśliwość zeskarbili? Ci, mocno zdziwieni, odpowiedzieli: „Jesteśmy biednymi rzemieślnikami, żyjemy z naszej pracy. Wszystko co na naszą korzyść przytoczyć można, jest to, że się staramy zawsze być

(1) Opowiadanie to o R. Jozue'm (w trakt. Baba Bathra fol. 60) kończy się nakazującą konkluzją: iż nie należy ze strony hierarchicznej zwierzchności przeciążać gminy zanadto uciążliwemi rozporządzeniami. Zasada ta okazuje dobitnie sposób myślenia starożytnych tych mędrców. Tak z tego przepisu jak z wielu innych miejsc talmudycznych przekonywamy się jawnie, iż ci mistrze zakonu upatrywali godność człowieka i moralną jego wartość, nie w zewnętrznym wykonywaniu samej tylko obrzędowej części religii, albo w zrzeczeniu się używania darów Bożych, ale raczej w pożytecznym życiu, w serdecznej pobożności, w czynnym przykładaniu się do ulżenia cierpień swoich bliźnich, i w ogóle w przyczynianiu się do szczęścia społeczeństwa. Takie były zasady tych przewodników duchowych w starożytności, tak ich naśladowały światło jednostki z pośród ich następców we wszystkich wiekach.

(2) Prorok Eliasza był jednym z głównych czynników Agadowych w Talmudzie. Nim się twórcy tych legend i podań posługiwali ile razy szło o rozwiązanie kwestyi nie podpadających pod logiczność trzynastu prawideł ustanowionych do wykładania Pisma Śgo, ile razy szło o niesienie pociechy utrapionym, o udzielenie rady potrzebującemu jej, o objawienie jakiegóś szczytnej myśli, lub o wnoszenie błogosławieństwa w dom pobożnego i zasłużonego biedaka. Powołanie się na tego męża Bożego w każdym razie, było tem właściwsze, że on żywcem wzięty był do nieba. 2 ks. Królów, 2, 11.

w wesołym usposobieniu i zachować wrodzoną nam prostotę. Ile razy natrafiamy na człowieka zasmuconego, zbliżamy się do niego, rozmawiamy z nim, rozweselamy go, dopóki nie zapomni o swoim zmartwieniu. Gdy się dowiadujemy o ludziach będących z sobą w nieporozumieniu, rozmawiamy z nimi, uspakajamy i godzimy ich między sobą. Oto cała nasza zasługa" (1).

Zanim zakończymy ten peryod rozwoju Miszny, musimy jeszcze o jednej lub dwóch okolicznościach wzmiankę uczynić. Ten to peryod widział początek chrześcijaństwa, i tu właśnie upatruję właściwe miejsce dla wskazania zgodności zachodzącej w wielu punktach między chrześcijaństwem a talmudem, który to przedmiot w ostatnich czasach był często brany pod rozbiór. Gdyby ogólne nasze pojęcia o różnicy między judaizmem a chrześcijaństwem, nie były zanadto zagażowane, toby czytelnicy nie byli wielce zdziwieni wielolicecznym podobieństwem, zachodzącym w dogmatach, parabolach, allegoryach i przysłowiaich znajdujących się w ewangeliaich i księgach talmudycznych. Nowy Testament, jak mówi Lightfoot, pisany „pomiędzy żydami, przez żydów i dla żydów” może mówić tylko językiem owęj epoki, tak co do formy, jakotęż w znaczeniu ogólnym, co do treści. Jest znakomita liczba punktów istotnego zetknięcia między Nowym Testamentem a Talmudem, których teologowie zdają się dobrze nie rozumieć; albowiem wyrazy jak „zbawienie, chrzest, łaska, wiara, odkupienie, odrodzenie, syn człowieczy, syn Boży, królestwo niebieskie” nie zostały wynalezione przez chrześcijaństwo, jak to pospolicie się sądzi; były to wyrazy pospolite w judaizmie talmudycznym, którym chrześcijaństwo nadał znaczenie wznioślejsze i czystsze (2). W Talmudzie

(1) Owym mędrceem był R. Beroka (Taanith, 22). Zasługą więziennego stróża było to, iż starannie czuwał nad niewinnością kobiet i strzegł ich gorliwie od napaści pogańskich współwięźniów. Legenda ta również nam wskazuje światło zasady twórców Talmudu, oraz kogo oni uznawali godnymi uczestnictwa wiecznego życia. Przestrzeganie czystości obyczajów, pocieszanie strapiionych, ustalanie zgody i miłości braterskiej w społeczeństwie. Zaprawdę, nie małe to zasługi, nie małe to cnoty towarzyskie!

(2) Wyrazy te, do Talmudu przeniesione zostały ze świętego źródła, z Biblii, a zatem, wedle wiary tak judaizmu jak i chrześcija-

znajdujemy nagany równie gwałtowne i równie żywe, wymierzone przeciwko *służbie Bożej, wykonywanéj samemi tylko wargami*, przeciwko tym „którzy z zakonu robią ciężar dla ludu;” „przeciwko przepisom odnoszącym się do drobiazgów;” przeciwko kapłanom i faryzeuszom. Tajemnice kardynalne nowéj wiary są odrębnego rodzaju, ale moralność, w głównych jéj zarysach jest też sama w obu księgach.

Owa wielka zasada: „czyń drugim, co chcesz, ażeby tobie czyniono,” przeciwko której Kant energicznie ze stanowiska filozoficznego protestował, jest zacytowana przez Hilela prezydenta, który umarł kiedy Jezus miał lat 10, nie jako coś nowego, ale jako maxyma stara, powszechnie znana, a stanowiąca zasadę całego zakonu. Błędem największym jaki kiedykolwiek popełniono, było, że brano na początku oddzielne jednostki lub szczególne klasy za cały naród, a następnie brano, jakeśmy to uczynili, judaizm z czasów Chrystusa za judaizm pustyni, sędziów, a nawet za judaizm Abrahama, Izaaka i Jakóba. Judaizm z czasów Chrystusa, do którego obecny, dzięki zwłaszcza Talmudowi, bardzo się zbliża, i judaizm pięcioksiągu są względem siebie tém, czém Anglia nowożytna względem Anglii Wilhelma Rudego, albo, czém Grecya Platona względem Grecyi Argonautów. Jest to chwała chrześciance, że on zebrał te nieocenione płody ukryte w szkołach i w „cichém zgromadzeniu” uczonych, ażeby niemi wzbogacić ludzkość. Pasterzy, a nawet trędownych uczynił uczestnikami tego królestwa niebieskiego, którego Talmud jest pełen, od pierwszej aż do ostatniej stronicy. Nie potrzeba nam tu mówić o owocach jakie z tego zasiewu urosły w całym obszarze świata. Ale nie można zbyt protestować przeciwko temu fałszywemu pojęciu, jakoby Boga zemsty nagle zastąpił Bóg miłości. „Będziesz kochał swojego bliźniego jak samego siebie” jest nauką Starego Testamentu, jak to sam Jezus nauczał swych uczniów (1).

nizmu, bezpośrednio od Boga pochodzą; z téj tedy przyczyny musiały, w samym początku, mieć pod każdym względem znaczenie tak doskonałe, że już później nie mogły więcej pozyskać ani na wzniosłości, ani na czystości.

(1) Nauka, tak biblijna jak tradycyjna wyobraża nam Boga jako pełnego łaski i miłosierdzia; karci On grzesznika, ale tylko

Zakon, jakieśmy to widzieli i jak jeszcze zobaczymy, rozwijał się ze ścisłością nadzwyczajną, że nie powiem uciążliwą; ale on porządkował tylko czynności zewnętrzne. Wiara serca, dogmat, na którym się święty Paweł szczególnie opierał, było czemś, co faryzeusze cenili wyżej nad ten zakon zewnętrzny. Jest to coś, mawiali, czego żadne rozporządzenie nie może nakazać, ale co przewyższa wszystko (1). Jedną z ich maxym było: „Wszystko jest w mocy nieba, wyjąwszy bojaźń nieba” (2).

Mojżesz, mówi Talmud, otrzymał polecenie aby narodowi nadał sześćset trzysta przepisów; tę liczbę Dawid spro-

w czasie odstępstwa tegoż. Lecz „niechaj bezbożny opuści swoją drogę, a człowiek grzeszny swoje myśli, niechaj powróci do Wiekuistego a On go obdarzy miłosierdziem; do *naszego Boga*, który jest *hojnym w odpuszczeniu*” (Iz. 53, 7). Gdy Mojżesz błagał Boga o objawienie mu Jego Majestatu, Bóg mu odpowiedział: Ja swoją wszechdobroć przed tobą przeprowadzę, wymienię przed tobą Imię Przedwiecznego, że się lituję nad kim się lituję; że obdarzam miłosierdziem, kogo obdarzam (2, K. M. 33, 19) a dalej: „Bóg przeciągnął przed jego obliczem i głosił: Bóg, wiekuisty, jest Bogiem miłosierdzia, łitości, nieskory do gniewu, pełen łask i prawdy, przechowuje łaskę na tysiące, odpuszcza przestępstwa, przekroczenia i grzechy.” (Tamże 34, 6, 7).

O Hilelu później będzie mowa, tu tylko zacytuję jedno jego zdanie, jako odnoszące się do obecnego przedmiotu. Ludzie—mówi Talmud—dzielią się na trzy rodzaje: są prawdziwie cnotliwi, średni i prawdziwie występni. Nadejdzie dzień sądu dla wszystkich. Cnotliwi otrzymają zaraz swoją nagrodę, występni ulegną karze, ale co się stanie ze średnimi? O nich mówi szkoła Szamai: iż ci pójdą do piekła, gdzie będą karani za popełnione grzechy, ale powoli wzniosą się coraz wyżej, aż w końcu oczyszczeni zostaną. Nie tak!—mówi szkoła Hilela—co się tyczy średnich, to Bóg, *który jest źródłem łaski nachyli dla nich szalę ku łasce*. Nie jestże to najszczytniejsze wyobrażenie o Bogu miłosierdzia i miłości?

(1) Talmud, w ogóle, uważa całą część obrzędową religii jedynie za środek do osiągnięcia właściwej jej istoty, którą jest uszlachetnienie serca, wzniesienie myśli ku Bogu, i uzacnienie całej wewnętrznej istoty człowieka; to zaś może być osiągnięte jedynie przez współdziałanie serca, przez połączenie wewnętrznej myśli z zewnętrznym wykonywaniem obrzędu. „Modlitwa bez myśli, jest to ciało bez duszy” (Berachoth 16). „Obrzędy religijne wówczas tylko mają swoją wartość, gdy im towarzyszy ożywcza myśl serca.” (Tamże).

(2) Tamże, 16.

wadził do jedenastu, albowiem tak brzmi piętnasty psalm: „Boże! Któż będzie przemieszkiwał w Twoim namiocie, któż może przebywać na świętej Twój górze? Ten co postępuje nieskazitelnie, wykonywa cnotę, i mówi prawdę tak jak ją w sercu czuje; nie obmawia językiem, bliźniemu krzywdy nie przyczynił, wzgardliwie o przyjacielu się nie wyraził, podłymi pogardza, bogobożnych zaszczyca, nie zmienia swój przysięgi, nawet gdy ją na własną wykonał szkodę; swych pieniędzy na lichwę nie daje, nie pozwala się przekupić na szkodę niewinnego: kto tak postępuje, nigdy się nie potknie.” Prorok Izajasz zredukował je do sześciu, gdyż tak mówi: (33, 15): „Kto postępuje sprawiedliwie; z prawością mówi, wzgardza korzyścią przez ucisk zyskaną, otrząsa ręce od przyjęcia przedajności, zatyka ucho by nie słyszeć krwiożerczości, i zamyka oczy aby złośliwości nie widzieć; ten przemieszkiwać będzie w wysokościach, skalna twierdza to jego gród, jego chleb będzie mu dostarczony, jego woda jest mu zapewnioną.” Prorok Micha. (6, 8), sprowadził je do trzech, i tak je ustanawia: „Objawiono tobie, człowieku, co jest dobrem i czego Wiekuisty po tobie wymaga, jedno, abyś wykonywał sprawiedliwość, miłował prawdę i w pokorze postępował przed Bogiem twoim.” Następnie znowu Izajasz do dwóch je zredukował: „Tak rzecze Bóg: przestrzegajcie sprawiedliwości i wykonywajcie cnotę, a rychło moje zbawienie nadejdzie, moja łaska się objawi (56, 1). W końcu Amos sprowadził wszystkie do jednego: „Albowiem tak objawił Bóg domowi Jakóbowemu: Szukajcie mnie a znajdziecie” (5, 4). Przeciwno tej ostatniej redukcji protestuje R. Nachman, utrzymując, iż pod wyrażeniem „szukajcie Boga” nie jeden zrozumieć może wykonywanie całego obszaru obrzędów religijnych, ale, utrzymuje ten Rabi, właściwą treść religijną zamkniętą w jednym prawie podaje nam prorok Habakuk w słowach: „A sprawiedliwy w swojej wierze żyje” (2, 4) (1).

(1) Podałem cały ten ustęp talmudyczny, lubo tekst w niewielu go streszcza słowach, aby okazać czytelnikowi na czem właściwie rabini starożytni istotę religii uzasadniają, i co podług nich stanowi właściwą zasługę człowieka w oczach Boga. Ustęp ten zawarty w trakt. Makoth fol. 23,

Co się tyczy faryzeuszów czyli *odosobnionych* (1) nie masz grubszej pomyłki ani bardziej przestarzałego uprzedzenia nad to, jakoby tworzyli oni sektę znieawidzoną przez Chrystusa. Nie tworzyli oni sekty zarówno jak katolicy nie stanowią sekty w Rzymie, albo protestanci w Anglii; ani nie byli nienawidzeni przez Chrystusa i apostołów, jakby to można było sądzić na pierwszy rzut oka z kilku ustępów nieco gwałtownych Nowego Testamentu. Albowiem faryzeusze w owéj epoce, cokolwiek Józef o nich mówi, byli w właściwém znaczeniu ludem trzymającym się w opozycyi przeciwko „roszczeniom Heroda.” Sadyceusze stanowiący wyższą

(1) *Pruszym* w Talmudzie, wyraz oddany przez faryzeusze, ma dwa znaczenia, stosownie do tego, jak ten wyraz, pisany w duchu języków semickich, bez samogłosek, będzie czytany. Jedni tedy czytają *Péjruszym*, co się tłumaczy przez „objaśnienia, komentarze.” W takim razie faryzeusze są to ludzie którzy przyjmują zasady biblijne wedle objaśnień i tłumaczenia mędrców, czyli zachowują zakon tradycyjny, w przeciwstawieniu z tymi, którzy się trzymali literalnego znaczenia Pisma Śgo. Drudzy czytają *Paruszym*, co znaczy *odłączonych, odosobnionych*. I to znaczenie nie jest bezzasadném. Powracający z niewoli Babilońskiej Izraelici znaleźli w Palestynie wiele obcych żywiołów, tam osiadłych. Przybysze ci, lubo po części przyjęli religią krajową, zachowali wszakże swoje zwyczaje i obyczaje i tylko słabym węzłem złączeni byli z właściwym judaizmem. Obczyzną swoją zarażali wielu krajowców i przeciągali na swoją stronę; oznaczeni oni są w Talmudzie mianem „am hoorec” *lud ziemski*. Od tych miészaniców gorliwi we wierze swoich ojców powracający, *odłączyli się i odosobnili*. Ci to „odłączeni”, czyli faryzeusze, stanowili właściwie jądro narodu, obywatelstwo, klasę uczoneą, istotną dźwignię kraju. Oni to opierali się z całą siłą Sadyceuszom (Cadykom, ówczesnej familii kapłańskiej, potomkom arcykapłana Cadoka, który jeszcze w kościele Salomona tę najwyższą godność religijną piastował) dążącym do utworzenia hierarchii w kraju, oni to stanowili istotną siłę Machabeuszów. Pod ten płaszcz i pod tę nazwę faryzeuszów podszywali się i ludzie niegodni, ludzie, którzy przesadą w gorliwości wypełnienia obrządków dla oka wykonywanych, chcieli pozyskać zaufanie ogółu, dla tém łatwiejszego dopięcia utajonych celów i zamiarów. Tych to ludzi wątpliwéj moralności, którzy mianowali się sami faryzeuszami, Talmud wylicza kilka odcieni (o czem dalej w tekście) i mianuje ich trafnie ogólną nazwą „Cwojim” *zafarbowani, różowani*. Jeśli gdziekolwiek znajdujemy zarzuty czyniono faryzeuszom, to takowe niezaprzeczenie wymierzone były przeciw tym Cwojim.

klasę w narodzie (1), ci wolni myśliciele, którzy na przekór faryzeuszom wynosili pod niebiosa ważność ofiar i dziesięcin przez siebie pobieranych, ale którzy obok tego zaprzeczali nieśmiertelności duszy, są zaledwie wymienieni w Nowym Testamencie. Oskarżenia tak często napotymane przeciwko biegłym w Pismie Świętém, i faryzeuszom były bardzo źle zrozumiane. Jest to punkt nie ulegający żadnej wątpliwości, że znachodzone pomiędzy faryzeuszami ludzi najpraktyczniejszych, charaktery najszlachetniejszych, naczelników postępowego stronnictwa najoświećszych. Rozwój zakonu był w ich ręku niczém inném, jak tylko środkiem zachowania ducha, posunęli się oni do tego stopnia, iż często zbaczali ze znaczenia litery, to bowiem uważali jedynie za osłonę zewnętrzną; zakon był dla nich tylko środkiem zachowania życia i zapału; za pośrednictwem właśnie zakonu ustanowili oni prawo: aby pozostawić każdej epoce słuszne prawo tłumaczenia przepisów religijnych, odpowiednio do własnych jej potrzeb i zgodnie z własnym uznaniem.

Ale było wiele nieczystych owiec w tój trzodzie. Było wielu ludzi, którzy wyzyskiwali na własną korzyść dobrą reputacją całego zgromadzenia; jest to fakt, przez całą owczesną literaturę często dowodzony. Talmud czyni pełniejsze gorczy i uszczyplwsze jeszcze, niż Nowy Testament, zarzuty, temu co nazywa „plagą faryzeizmu” „ludźmi uróżowanymi,”

(1) W owęj epoce Sadyceusze zajmowali najwyższe w kraju stanowisko. była to, że tak powiem, szlachta kapłańska. Na czele powróconych z niewoli stali dwaj mężowie: Jozua, potomek Cadoka, jako arcy-kapłan, i Zerubabel z familii Dawida, który miał piastować władzę świecką; tój atoli, ani on, ani jego potomkowie, ściśle biorąc, nie posiadali. Lud izraelski, pod ten czas, przestał być samoistnym. Przeszedł on z pod panowania Persów pod panowanie Egipcyan, a następnie Syryjczyków. Istotnym rządcą kraju był zawsze namiestnik przez właściwego władcę przysłany. Król lub książę Izraelita był zaledwie cierpiany, a tem mniej zostawiano mu jakakolwiek władzę rządzenia. Inaczéj się rzecz miała z arcy-kapłanem który reprezentował życie religijne w narodzie. Jego powaga była tém znakomitszą, iż urząd który piastował był jedynym krajowym, a do tego otoczony jeszcze blaskiem świętości. Wkrótce téż przywłaszczył on sobie i atrybucye władzy świeckiej o tyle, o ile na to namiestnik kraju pozwolił. Przeciwno takiéjto potędze musieli walczyć faryzeusze, którzy zmierzali do równouprawnienia wszystkich klas ludności.

którzy „czynią źle jak Zymry a domagają się nagrody takięj, jak Pinchas” (1), tym, którzy „każą dobrze a działają źle.”

Przedrzeźniając ich przesady co do kombinacyi logicznych, tychże podziałów i podpodziałów ścisłych, Talmud rozróżnia siedm klas faryzeuszów, z których jedna tylko jest godną tego nazwiska: 1. Są najprzód ci, którzy wykonywają wolę Boga, dla przyczyn ziemskich. 2. Ci, którzy stawiają małe kroki, mówią do wyprzedzających ich towarzyszy: czekajcie tam na mnie, ja mam dobry czyn do wypełnienia. 3. Ci którzy kaleczą głowę o ścianę, dla uniknienia widoku kobiety (2). 4. Święci w miejscu (3). 5. Którzy się proszą o wskazanie jeszcze jakiego dobrego czynu, aby go mogli wykonać. 6. Którzy są pobożni gdyż się obawiają Boga (4). 7. Prawdziwy faryzeusz, który wypełnia wolę swojego Ojca w niebie z miłości dla niego. Pomiędzy tymi, w całym znaczeniu *faryzeicznymi* mistrzami z epoki Miszny, których imiona i niezupełne życiorysy nas doszły, znajdują się ludzie najznakomitsi, ludzie, u stóp których zasiadywali pierwsi chrześciance, ludzie, których maxymy w codzienném użyciu w ustach narodu będące, okazują, że byli obdarzeni niezwykłą mądrością, że byli pełni pobożności, dobrzy i ożywieni szlachetną odwagą. Tę pobożność i odwagę mieli często sposobność stwierdzić krwią własną.

Po tym słabym szkicu moralnej atmosfery z czasu, w którym Miszna stopniowo była układana, przechodzimy do samego kodexu. Ta massa rozporządzeń, przepisów, zakazów i nauk, starych i nowych, z których jedne tradycyjne czyli pochodne, drugie utworzone dla potrzeb chwili, przybrała rozmiary tak olbrzymie, iż niepodobném było objąć wszystkich w stanie ich rozproszenia, a zwłaszcza pod postacią ustną,

(1) Król Janai umierając zostawił żonę rozpaczającą o los własnych dzieci, obawiała się albowiem faryzeuszów, których mąż nielitościwie prześladował przeszedłszy sam na stronę Sadyceuszów. Umierający król, który znał pobłażliwość i niemściwe usposobienie swoich przeciwników uspakajał swoją żonę cytowanemi w tekście słowami. (Sota 22).

(2) Udawając świętoszków chodzą z zamkniętymi oczami, aby przypadkiem nie spojrzeć na kobietę, a przez to tłuką głową o mur.

(3) Chodzący z głową mocno ku ziemi nachyloną.

(4) W tekście: gdyż się obawiają kary. (Tamże).

jak to sobie łatwo można wyobrazić. Trzy razy, w różnych epokach, starali się trzej znakomici mistrzowie ułożyć je w sposób systematyczny. Trzeciemu dopiero się to udało. Był to najprzód Hilel I, za prezydencyi którego Chrystus przyszedł na świat. Hilel ten, zwany także drugim Ezdraszem, urodził się w Babilonii. Pragnienie wiedzy sprowadziło go do Jerozolimy. Był on tak biędnym, mówi podanie, że raz, nie mając monety dla opłacenia odźwiernego akademii, wdrapał się na dach, gdzie przez umieszczone tamże okno przysłuchiwał się wykładowi, a to w czasie mroźnej nocy zimowej. Z rana dopiero, kiedy okno zasłonięte ciałem nie przepuściło światła, znaleziono go okrytego śniegiem i ocucono do życia. Należy mimochodem zaznaczyć, iż zdarzyło się to w dniu sobotnim, albowiem, według Talmudu, ratowanie w niebezpieczeństwie będącego człowieka, znosi świętość sabatu. Jeżeli idzie nawet o najmniejsze dziecko, należy zgwałcić sabat bez najmniejszego skrupułu, gdyż dodają, dziecko to będzie zachowywać więcej niż jeden sabat za tego, który ten dzień zgwałcił aby je uratować. Tu nie możemy się wstrzymać od zaprotestowania przeciwko pospolitemu pojęciu, jakoby sabat judaiczny był dniem ponurój surowości. Przeciwnie, był to dzień wesela i radości, dzień święta, który zaszczycano piękną odzieżą, lepszym niż zwykle pokarmem, winem, rześistém oświetleniem, rozmaitemi przysmakami i różnemi rozrywkami. Najwyższe zaś wyrażenie uczucia godności zaufania w samym sobie i niepodległości ducha zawarte jest w téj maxymie: „Żyj raczej w dzień sabatu tak, jak żyjesz w dniach powszednich, abyś tylko nie potrzebował ludzkiej wspomogi.“ Czynimy tę uwagę mimochodem.

Około 30 roku przed Chrystusem, Hilel został prezydentem. Roczniki Talmudu są pełne jego słodyczy, jego pobożności i łagodności. Kilka ze zdań jego dadzą go lepiej poznać, niż jakiegokolwiek oszkicowanie.

„Bądź” mawiał on „uczniem Arona, miłuj spokój i staraj się o ustalenie spokoju; miłuj wszystkich ludzi i sprowadź ich do zakonu” (1).

(1) Aboth I, 12. O Aronie mówi podanie iż on ze wszystkich sił starał się o ustalenie spokoju między ludźmi i o nakierowanie ich na drogę cnoty. Gdy wiedział o dwóch ludziach zwaśnionych

„Nie zaufaj samemu sobie, aż dopięro w dniu śmierci” (1).

„Nie sądź swojego bliźniego, aż będziesz w tém samym co on położeniu” (2).

„Ktokolwiek nie wierzy w naukę, jest niedowiarkiem” (3).

„Biada temu kto czyni naukę środkiem do zbogacenia się.”

Zaraz po skończeniu wykładu Hilel zwykle spieszył do siebie. Zapytany raz przez uczniów o przyczynę tego pośpiechu, odpowiedział, iż musi się zajmować swoim gościem. Nalegany o wymienienie tego gościa którym się codziennie zajmował, rzekł: to jest własna moja dusza, która dziś jest tu, a jutro tam (4). Raz przyszedł poganin do Szamaj, na-

z sobą starał się zbliżyć do jednego z nich, a wspomniawszy przed nim imię przeciwnika dodawał: właśnie się z nim widziałem, rozmawiałem o tobie; nie uwierzysz ile on dobrego o tobie mówi, jak on ciebie pod każdym względem chwali, ubolewa tylko mocno nad tém, żeś ty na niego rozgniewany, chciałby się zbliżyć do ciebie ale się obawia abyś go nie przyjął za chłodo. Następnie z tym samym manewrem udawał się do drugiego, i tak obydwóch przysposabiał, iż przy pierwszym spotkaniu się obaj wzajemni nieprzyjaciele podawali sobie ręce i serdecznie się godzili. Że zaś ten mąż Boży pozwolił sobie w tym razie pominąć się z prawdą, uczynił to z tej zasady, iż Talmud pozwala uchybić prawdzie tam, gdzie idzie o zgodę i spokój między ludźmi. Wskazuje nam Talmud w tym punkcie wzór z samego Boga. Sara albowiem mówiła: jakże ja mogę rodzić, kiedy *mój pan* (mąż) jest starym. Bóg powtarzając jej słowa Abrahamowi powiedział: „Czemuż to śmiała się Sara mówiąc: jakże ja mogę rodzić kiedym *ja* stara” (1, M. 18, 12, 13). Bóg tedy sam podał inne słowo, aby nie dać przyczyny do niesnaski w małżeństwie. O usiłowaniu jego do umoralnienia ludzi mówi tradycja, iż Aron właśnie do nieczobnego człowieka się zbliżał, rozmawiał z nim, chodził, i okazywał mu swoją przychylność; tamten więc myślał sobie: O gdyby arcy-kapłan wiedział o moich niecznych postępkach, niezawodnieby odemnie stronił, należy więc się poprawić ażeby tego zaszczytu nie stracić.

(1) Tamże 2, 5.

(2) Tamże 2, 5.

(3) Człowiek pozbawiony wszelkiej wiedzy, nie może się ochronić od grzechu, ani nieuk nie może być prawdziwie pobożnym.

(4) W zgiełku codziennego życia, w zetknięciu się człowieka ze światem zewnętrznym, dusza bywa zapominaną, zaniedbywaną; a wszakże i ona dopomina się swojego prawa.

czelnika szkoły współzawodniczej ze szkołą Hilela i wyjawiał, iż chce przejść do judaizmu, pod warunkiem iżby jemu mistrz wyłożył zasady tej wiary w czasie tak krótkim, jak on (poga nin) będzie mógł ustać na jednej nodze. Mistrz go ofuknął i wygnał (1). Następnie tenże udał się do Hilela z tém samem żądaniem. Ów mędrzec przyjął go z dobrocią, zgodził się na jego żądanie i streścił mu całą religią w odpowiedzi, która odtąd rozpowszechniła się daleko po świecie:

„Nie czyni drugiemu, czego byś nie życzył, aby drudy tobie czynili; oto cała treść zakonu, reszta jest tylko jego komentarzem.”

Przytaczają też jego odpowiedź charakterystyczną, daną jednemu z tych umysłów, które lubią nachodzić swemi niedorzecznymi pytaniami:

— Ile jest zakonów?—pytał się raz ktoś Hilela.

— Dwa, odrzekł tenże: zakon pisany i zakon ustny. •

Na to znowu tamten rzekł:

— Chcę przyjąć pierwszy, ale nie uważam za potrzebę wierzyć w drugi.

— Usiądź, rzekł mu Hilel, i zaczął go uczyć pierwszego dnia liter alfabetu w zwyczajnym ich porządku; nazajutrz zaś pokazał mu też same litery, ale w porządku zupełnie odwrotnym.

— Jakże to, mój nauczycielu, zagadnął nawrócony, wszakżeś mnie wczoraj zupełnie inaczej uczył? Otóż, odrzekł Hilel, jakeś wczoraj z wiarą przyjął moją naukę, co do pisma, tak przyjmij odemnie z wiarą i to, co cię ustnie o zakonie uczyć będę.

Zdaje się, iż Hilel zrozumiał całą potrzebę uporządkowania i uproszczenia tej niezmierniej massy podań ustnych. Było niemniej jak sześćset przepisów w kwestyi jeszcze zostających, Hilel spróbował sprowadzić je do sześciu, ale

(1) Tekst talmudyczny brzmi: „Szamaj odepchnął go prętem mierniczym, który trzymał w ręku” co w przenośni znaczy: musiał go oddalić dla zasady, podług której on religią uważał i cenił. Szamaj bowiem znany jest jako skrupulatny przestrzegacz części obrzędowej religii, którą, bądź co bądź, do najdrobniejszego jej punktu chce mieć wykonywaną, w sprzeczności z Hilelem, dla którego duch wszystko znaczy.

umarł, a dzieło, które przedsięwziął, zostało przerwane na cały wiek (1).

Po nim nastął Akiba, ubogi pasterz, który pokochał córkę najbogatszego a zarazem najdumniejszego w Jeruzolimie

(1) Można by jeszcze wiele o tym prawdziwym w starożytności mędrca napisać, tu tylko podam jeszcze dwie okoliczności wyświełające jego charakter. Najprzód co do jego łagodności: dwóch się założyło o znakomitą naówczas kwotę, z których jeden utrzymywał, że zdoła Hilela doprowadzić do gniewu. Wybrał na ten cel najstosowniejszą jak mniemał, chwilę, bo krótko przed nadejściem Soboty, kiedy właśnie znany ze swej łagodności mistrz siedział w kąpieli. Zaszedł tedy pode drzwi i powtarzał donośnym głosem: Jest tu Hilel? „Hilel śpiesznie rzucił na siebie płaszcz, wyszedł i spytał z uprzejmością: Czego żadasz mój synu? Na to tamten: Mam ci przedłożyć ważną kwestyą! — Wyjaw ją mój synu! — Czemuż, spytał tamten, mają Babilończykowie okrągłe głowy? — Twoje zapytanie, synu, jest w samej rzeczy bardzo ważne, odpowiada zapytany: to ztąd pochodzi że nie posiadają biegłych akuszerok. Zaspokojony niby pytaniem odchodzi, ale po krótkim czasie wraca i w ten sam sposób wywabia znakomitego męża. Na uprzejme znowu zapytanie czego by sobie życzył, odpowiada powtórnie, iż ma ważne zadać pytanie. — Pytaj mój synu, rzecze bez najmniejszej urazy Hilel. — Chciałbym wiedzieć, mówi tamten, czemu Thermudejczykowie mają zamglone oczy? — Ważna to w istocie kwestya, mój synu, odrzekł tamten: przyczyną tego jest, że mieszkają w piaszczystej okolicy. Po chwili natrętny badacz znowu wraca, i zwykłym krzykiem: jest tu Hilel, wywołuje mistrza. Ten okryty płaszczem zjawia się poraz trzeci przed nim i łagodnym tonem pyta, według swojego zwyczaju — czego sobie życzysz mój synu? — Ważna kwestya sprowadza mnie i obecnie do ciebie: czemuż Afrykanie mają szerokie podeszwy? — I ta kwestya mój synu, nie mniej jest ważną od poprzedzających, odrzekł Hilel, to dla tego że mieszkają w okolicach bagnistych (zmuszeni przeto są chodzić boso). — O, zaczął tamten, miałbym ci jeszcze wiele kwestyi przedstawić, gdybym się nie obawiał nadużyć twojej cierpliwości! — Żadną miarą, odpowiada tamten, otulając się swoim okryciem i stawając przy nim. Pytaj ile chcesz, a ja chętnie twoją ciekawość zaspokoję. Tu już pytającemu cierpliwości zabrakło: — czyś ty to Hilel, woła, którego nazywają księciem w Izraelu? a na otrzymaną odpowiedź: właśnie ja nim jestem, odpowiada: daj Boże, ażeby tobie podobnych więcej w Izraelu nie było! — A to czemuż? pyta Hilel zaciekawiony. — Oto dla tego odpowiada ten, że mnie twoja nieograniczona cierpliwość pozbawiła summy czteryestu zuz (moneta srebrna). — Bądź, mój synu, na drugi raz przeczerniejszym, możesz wiele razy jeszcze takie summy stracić, a Hilela do gniewu nie doprowadzisz.

Dwa następujące przykłady wyjaśnią, jak ten przewodnik duchowy narodu pojmował swój czas i jak do niego przepisy religijne

człowieka, a który, dzięki téj miłości, stał się z pasterza jedynym z najznakomitszych uczonych swojego czasu, „drugim Mojżeszem,” ale Akiba także nie dopiął celu. Prace jego zostały przerwane przez kata rzymskiego. Atoli dzień jego męczeństwa widział, jak mówią, urodzenie tego (1), który

umiał zastosowywać, jak on oceniał duch zakonu i o ile go wyżej stawiał nad znaczenie litery. Trzecia Ks. Mojż. (25, 29, 30) przepisuje, iż dom, w mieście murem otoczonym, sprzedany, mógł być napowrót wykupiony przez pierwszego posiadacza do końca jednego roku; nieodkupiony do tego terminu, stawał się na wieczne czasy własnością nabywcy. Często się zdarzało że biedny sprzedający mógł dopiero ostatniego dnia roku zebrać potrzebną na wykupienie sumę. Ale nabywca na ten właśnie dzień wydalit się umyślnie z domu i drzwi zamknął, ażeby sobie tym sposobem własność kupna na zawsze zapewnić. Prawo to utrzymało się mimo wynikającą ztąd niesprawiedliwość w literalnym swém znaczeniu aż do czasów Hilela. Dopiero ten mąż postępu ustanowił, iż jeżeli nie będzie posiadacza w domu, należy drzwi wyłamać, albo pieniądze wnieść do świątyni aby nie pozbawić prawego posiadacza jego własności przez podstęp drugiego. Inny jeszcze dobitniejszy przykład jest następujący: wedle ustaw Mojżeszowych (5 Ks. 15, 2) z każdym siódmym rokiem jako odpustnym, następowało przepadanie długów dotychczas nie uiszczonych. Prawo to, o ile jest wynikiem miłosierdzia i ducha ludzkości, mogło tylko mieć swoje zastosowanie w narodzie dopóty, dopóki ten zajmował się w całym znaczeniu tylko pługiem i trzodą, dopóki handel, ruch i komunikacya w kraju zamknięte były w najciaśniejszych granicach; tam bowiem pożyczki były małoważne, zaciągnięte tylko jako dobroczynność w chwili istotnej dokuczliwości biedy od majątniejszego i miłosiernego sąsiada. Szkoda więc, odpuszczeniem długu zrzadzona, nie mogła być wielką i zwykle ze strony bogacza policzaną była na karb dobroczynności. Inaczej się rzecz miała przy późniejszych stosunkach narodu. Komunikacya przybrała obszerniejsze rozmiary, handel się wzmógł, a interesa wymagały obrotu znaczniejszych summ, a tém samem, zapewnienia kredytu na większą skalę. Jeśliby zatem zostawiono prawo przepadania kredytu w roku odpustnym w swojej mocy, pociągłoby to za sobą najszkodliwsze skutki, byłoby to, jak sam Talmud się wyraża „zamknięciem drzwi przed pożyczającymi.” Hilel więc i w tym razie usunął literę prawa dla społecznego dobra. Ustanowił ażeby strony odtąd się układały w sądzie, i ażeby pożyczki udzielano zostały z wyraźnym warunkiem nie przepadania długu w roku odpustnym. Nowe to prawo uzyskało ogólną sankcyą, weszło w praktykę i przyczyniło się do polepszenia ogólnego bytu.

(1) Biorąc zwyczajem wschodnim za punkt oparcia słowa mędrca „słońce wschodzi i słońce zachodzi.” (Kaz. Sal. 1, 5) Rabini mówią iż nigdy wielki człowiek nie schodzi ze świata, zanim zrodzi

spełnił to przedsięwzięcie, był nim Jehuda święty (1) nazwany także, w całym znaczeniu wyrazu, Rabenu (nauczyciel nasz). Około roku 200 po Chrystusie została ukończona redakcja całego prawa niepisanego w jeden kodex; jakkolwiek i redakcja ta była jeszcze ustną, zredagowaną ona została po niezmiernych wysileniach nie jednęj szkoły ale wszystkich szkół, nie za pomocą jednęj metody, ale za pomocą kilku sposobów, kompilacyi, rozbierania, porównania, streszczenia. Kodex, w czasie kiedy został zredagowanym, był już przestarzały w kilku swoich częściach.

Więcej niż na ćwierć wieku przed zburzeniem świątyni, Rzym odebrał Sanhedrynowi sądownictwo karne. Niezliczone przepisy dotyczące się służby w świątyni, ofiar i t. p. utraciły już wiele z istotnęj swęj pierwotnęj wartości. Prawa dotyczące się roli zachowywane już były po największej części w samęj tylko Palestynie, a bardzo mała tylko część ludności trzymała się kraju, który wówczas prawie już stracił charakter świętości. Mimo to jednak cały kodex został przyjęty jako text klassyczny przez niezliczone akademie w Palestynie i w Babilonii; został on przyjęty nie tylko jako pomnik starożytnego prawodawstwa, ale zarazem jako zbiór praw, które lada dzień, po przywróceniu państwa, miały wejść w wykonanie, zupełnie jak poprzednio.

II.

Miszna składa się z sześciu działów. Te zawierają po siedm, dziewięć, dziesięć, jedenaście i dwanaście traktatów, które się znowu rozpadają na pięćset dwadzieścia cztery rozdziałów. Podamy pobieżnie treść tych działów.

się równy jemu następcą. I tak w dniu śmierci R. Akiby urodził się R. Jehuda. W tym samym dniu, kiedy ten umarł, przyszedł na świat Rawa; w dniu śmierci tegoż ujrzał światło dzienne R. Aszy; arcykapłan Eli umierając zostawił po sobie proroka Samuela (Kiduszyn 71).

(1) Talmud podaje przyczyny dla których ten mistrz zakonu otrzymał tytuł „święty” a które miały być uzasadnione w jego pobożności. Uczony Lewinsohn, dowodząc, że tytuł ten nadany mu został dopiero po śmierci, widzi w nim naśladowanie zwyczaju Rzy-

Dział I. *Nasiona*. Wykład praw rolniczych, rozpoczynający się traktatem o modłach. Dział ten traktuje o dziesięcinach i darowiznach dla kapłanów, lewitów i biednych, o płodach ziemi, o roku odpoczynkowym (odpuŝnym), o mięszaninach zabronionych w zasiewach, o zwierzętach, o odzieżach.

Dział II. *Święta*. Traktuje o sobocie, o dniach świąt i postu, o pracach w dniach tych zakazanych, o obrzędach przepisanych na każde z tych świąt, o ofiarach przynoszonych w świątyni w każdej z tych uroczystości. Każde święto ma osobny swój traktat, jak: święto wyjścia z Egiptu (Pesach), święto Nowego Roku, Dzień odpuŝny (traktat o uroczystości tego dnia, jest jednym z najbardziej uderzających całego dzieła), święto namiotów i uroczystość Hamana (Estery).

Dział III. *O kobietach*. Traktuje o zaręczynach (1), o małżeństwie, o rozwodach, o uczynionych ślubach.

mian, u których wielej ludzie szczególniej zasłużeni w podtrzymywaniu wiary, świętymi byli zwani. Tak cesarz Justynian do innych tytułów łączył jeszcze i Sacratissimus Princeps. Dowodzi ten badacz, iż wiele jeszcze tytułów znachodzonych w Talmudzie są wzięte od Rzymian i innych narodowości.

(1) Zaręczyny w owych czasach, nie były tém samem, czém są obecnie u Izraelitów. Akt zaręczyn zwany w Talmudzie „Kiduszyn” *uświęczone* był właściwem już zawarciem węzła małżeńskiego a unieważnienie tego aktu wymagało formalnego rozwodu religijnego ze strony męża. Sama ta nazwa już wskazuje ważność jaką zakon nadaje związkowi małżeńskiemu. W samej téż rzeczy, samo kojarzenie tego związku, jak i cały stan małżeński, miały zawsze u ludu izraelskiego znaczenie świętości, i czystość obyczajów w tym względzie była zawsze wzorową.

Ale o ile sam ślub i stan małżeński w pierwotnej uroczystości dotychczas się przechowały, o tyle akt zaręczyn inne przyjął znaczenie, a nawet inną zupełnie nazwę. To co rozumiemy przez zaręczyny, nazywa się obecnie u Izraelitów „Tuojim” co po polsku znaczy *warunki*. W samej téż rzeczy, akt na ten cel spisany, po jednostajnym wszędzie wstępie, składa się z samych warunków, tak samo jak każdy inny akt spółki, kupna lub t. p. Pochodzi to ztąd, iż przez długi czas bardzo młodo, prawie dzieci żeniono, należało tedy wymienić, ile rodzice zaręczonych obowiązują się dać młodym w posagu, jak długo każdy z nich ma utrzymywać młodą parę po weselu własnym kosztem w swoim domu, do jakiej summy ma dochodzić wartość podarków wzajemnie udzielać się mających i t. p.

Dział IV. *Szkody*. Dział ten zawiera wielką część prawodawstwa cywilnego i karnego; mówi o przepisach co do rzeczy znalezionych, o kupnie i sprzedaży, o zwykłych układach pieniężnych, o największej zbrodni jaką prawo zna, t. j. o bałwochwalstwie, dalej o świadkach, przysięgach, o karach prawem przepisanych, i o samym Sanhedrynie. Dział ten kończy się zbiorem zdań zwanych *Aboth* „od ojców.” Traktat ten ostatni zawiera wiele maxym moralnych, najwznioślejszych, jakie znane są w historii filozofii moralnej.

Dział V. *Przedmioty święte*. Traktuje o ofiarach, o pierworodnym i t. d., o rozmiarach świątyni (*Midoth*).

Dział VI. *Oczyszczenie*. Mówi o przepisach dla lewitów, o różnych przepisach higienicznych, o rzeczach i osobach nieczystych, o ich oczyszczeniu i t. d.

Jest niezaprzeczenie więcej porządku i metody w *Misznie* niż w *Pandektach*, jakkolwiek nie znaleźliśmy w jej układzie tego ciągu logicznego i ścisłego jaki *Majmonides* i inni tam odkryli. W samą rzecz sądzimy iż my nie posiadamy *Miszny* w jej pierwiastkowej postaci. Co się tyczy traktatów szczególnych, to *Miszna* jest wolną od wszystkich prawie wad, które szpecą *codex rzymski*. Znajduje się tam z pewnością mniej praw sprzecznych, mniej powtarzań, mniej wciskanych dodatków niż w *Digestach*, które pomimo usiłowań *Triboniana*, obfitują w *germinationes*, *leges fugitivae*, *errativae*, i t. d., a co do wolności z jaką się tu wyraża o przedmiotach fizycznych, to powagi kompetentne zgodnie przyznają, że język *Miszny* jest daleko czyściejszy, niż język *kazuistyków średniowiecznych*.

Prawa zawarte w tych sześciu działach są różnego rodzaju. Znajdują się między niemi ważne i mniej ważne, jedne są stałe, drugie czasowe. Są to, albo rozwinięcia jawnych przepisów *Pisma Śgo*, albo podania odrębne, mające związek z *Pismem Śtém* jedynie drogą wnioskania. Stanowią one

Już samo wyrażenie „on” lub „ona pisze dziś *warunki*” albo „jestem zaproszony na *warunki*” w tym właśnie punkcie gdzie się właściwie serca powinny kójarzyć, nie zgadza się z obecnym pojęciem społecznym. Spodziewać się nałoży, że przy obecnej zmianie samych stosunków (ustala albowiem mania żenienia dzieci) ta nazwa zmienioną zostanie.

zakazy, postanowienia, rozporządzenia, przepisy, lub tylko *Halacha* Mojżeszowe przybyłe z Synaj; tak samo, jak prawo rzymskie składa się z *senatus-consulta*, z uchwał ludowych, z edyktów, z *responsa prudentium* i t. d. Wyjawszy w punktach spornych, *Miszna* nie podaje jak i kiedy które prawo zostało postanowione. Rzadko kiedy tylko czytamy formułę wstępną: N. N. świadczy; słyszałem mówiącego N. N. i t. p.; gdyż nie przyjęto nic do kodexu, czegoby autentyczność już poprzednio nie była stwierdzoną. Nie masz w tej mierze żadnej różnicy między prawami wielkiej doniosłości a małoważnymi, między *Halachami* dawnymi a nowymi. Każdy przepis, przyjęty jako tradycya albo większością głosów ustanowiony, stawał się niejako przepisem religijnym, uświęconym przez Boga, lubo było zawsze dozwoloném powagom następnym wieków toż prawo na nowo rozierać albo je uchylić (1); mamy w tém dowód, że jedną z głównych przyczyn niedopuszczania piśmiennęj redakcyi kodexu była obawa, ażeby ten nie został stałym i niezmiennym. Można prawie z pewnością twierdzić, że we wszystkich wypadkach zdarzających się w praktycznym życiu, radzono się raczej *Miszni* niż prawa Mojżeszowego, i to też było naturalnym. Któż w trybunałach Anglii nowożytnęj odwołuje się do *Magna Charta*?

To ogólne poszanowanie dla wszystkich bez różnicy przedmiotów zawartych w *Miszni*, znajduje najdobitniejsze swe wyrażenie w słowach samego jej redaktora, w słowach służących za godło całemu zbiorowi: „Bądź tak skorym i tak uważnym przy wypełnieniu przepisu małej napozór wagi, jak nim jesteś przy wykonaniu najważniejszego prawa, gdyż nie znasz nagrody przywiązanej do każdego z nich. Porównywaj zawsze stratę którąbyś mógł ponieść przez wypełnienie dobrego czynu, z błogiem zadowoleniem które uczujesz po jego dopełnieniu; porównywaj również chwilową roz-

(1) W samej rzeczy mamy wiele przykładów w Talmudzie o uchylaniu dawnych praw jak i o ich zmodyfikowaniu, (zob. w dopisku o *Hilelu*), jak również o zaprowadzeniu nowych, przez czas i okoliczności wymaganych rozporządzeń. Wszakże nie każdy rodzaj ustaw oddany został pod rozporządzenie przewodników narodu lub gmin; tak np. nie mogą ulegać zmianie kardynalne artykuły wiary, jak jedność Boga i t. p., również prawa naturalne przez religią nakazane, jak miłość bliźniego i t. p.

kosz, doznana przez wykonanie przestępstwa z nieszczęśliwymi jego skutkami. Uprzytomnij sobie bezustannie te trzy okoliczności, a nigdy nie będziesz grzeszył: wiedz, iż jest nad tobą oko wszystko widzące, ucho wszystko słyszające, i księga, w którą wszystkie twoje czyny bywają zapisywane (1).”

Miszna, wyjąwszy dział poświęcony moralności, jest dziełem w całej istocie swojej praktycznym. Miszna nie zajmuje się metafizyką, ale ma przedewszystkiem za cel być kodexem cywilnym. Pomimo to jednak, nie opuszcza nigdy sposobności, aby wpajać w ludzi te zasady wzniosłej moralności, które panują nad ścisłą literą prawa. Więcój ona bierze pod rachunek samą myśl kierowniczą w spełnieniu zamiaru, niż sam czyn spełniony. Ten który sobie wmawia, iż wykonywa coś dobrego trzymając się litery zakonu, wówczas, kiedy uczucie ludzkości powinno go popychać do jego zaniechania, ten nie jest miłym ani Bogu ani ludziom (2). Odwrotnie, kto z wolnej woli wypełnia czyny, których prawo nakazać nie może, ten, jedném słowem, który się nie zatrzymuje przy granicy sprawiedliwości, ale przechodzi jęj linię na stronę miłosierdzia, ten zyskuje sobie „pochwałę mędrców (3).”

Za ścisłe wypełnienie pewnych obowiązków człowiek otrzymuje nagrodę już w tém życiu, jest to zysk, ale kapitał

(1) Aboth 2, 1.

(2) Kogo można nazywać „nabożnym głupcem?” tego np. co widzi kobietę tonącą w rzece i powiada sobie: nie mogę jęj ratować, bobym musiał jednocześnie w nieprzyzwoity sposób na nią patrzeć. (Sota fol. 21).

(3) Przykład to lepiej wyjaśni. Rabie, synowi Barchany potłukli noszarze beczkę z winem, za co im ten zabrał wierzchnią odzież. Gdy go wyrobownicy oskarżyli przed Rawem, sędzia kazał oskarżonemu wydać zabraną odzież.— Czyliż tak przepisuje prawo?— spytał skazany.— Nie inaczej, odpowiedział sędzia, jest na to wyraźny przepis, albowiem mędrzec przepisał (Przysł. Salom. 2, 20): „Abyś postępował drogą wspaniałomyślnych.” Nie zadowoleni tém jeszcze wyrobownicy, zaczęli się żalić, iż po całodziennęj pracy wracają o głodzie do domu.— Zapłać im umówioną zasługę— nakazał dalej sędzia.— Czyliż i na to masz przepis prawa?— spytał zdziwiony Raba.— Niezawodnie— odrzekł tamten— gdyż jest napisano (tamże) abyś przestrzegał kolei szlachetnych.” Naturalnie iż skazany chętnie do tych przepisów się zastosował. (Baba Mecya fol. 83).

bywa w zupełności zachowanym, i oddany będzie dopiero w życiu przyszłym. Obowiązki te są: szacunek okazywany rodzicom, wykonywanie czynów miłosierdzia, przebywanie rano i wieczór w domu nauki, gościnność, odwiedzanie chorych, wyposażenie niezamożnych dziewczyc, oddawanie ostatniej przysługi zmarłym, zachowanie należnej uwagi w modlitwie, pogodzenie zwaśnionych, a gorliwe zajmowanie się nauką przeważa te wszystkie. Miszna nie zawiera ani słowa o piekle. Za wszystkie pogwałcenia zakonu były kary ustanowione i z duchem prawa zgodne, albo téż zagrożenie karą tajemniczą, nagłą i gwałtowną, przez samego Boga zesłaną „wykorzenienie“ albo „zagłada“ o którym mówi Pismo Święte (1). Śmierć zmazuje wszystkie grzechy. Błędy mniej ważne okupują się żalem, miłosierdziem, ofiarami i dniem odpustnym.

Grzechy popełnione przeciwko ludziom nie uzyskują od Boga odpuszczenia aż po zupełnym zaspokojeniu pokrzywdzonego i zupełnym pojednaniu się z tymże. Najwyższa godność polega na zajmowaniu się nauką zakonu; jest to nie tylko dowodem wysokiego wykształcenia umysłowego, ale nadto, w samej tej nauce jest zasługa, która uszczęśliwia człowieka w doczesnym i wiecznym życiu: „Bastard uczony wyżej jest ceniony od arcykapłana nieuka.“

Trudnoby było podać tu rozbiór tych praw, ale o tym możemy zapewnić, że tak ich przyjaciele jak i nieprzyjaciele przyznają, że są one w ogólności w całym znaczeniu ludzkie, pomimo niektóre przepisy wyjątkowe i surowe, wydane w dniach nieszczęścia, w czasie rewolucji i reakcji. Przepisy te zresztą nie były i nie mogły nigdy być w praktyce zastosowane. Co do wykonywania prawa, panuje tu liberalizm prawie nowożytnych poglądów, który tu się wyraża przez przysłowia, jak następujące:

Kiedy Pismo Święte mówi: „Będziecie przestrzegali moich rozporządzeń i praw moich, które wykonywać ma człowiek, aby przy nich żył (3 K. M. 18,5)“ to Talmud wyjaśnia „ażeby przy ich wykonywaniu żył, ale nie ażeby umarł; to znaczy: o tyle cię te prawa zakonu obowiązują, o ile przy

(1) 3. Ks. Mojż. 20, 3.

nich możesz życie zachować, ale nie aby cię życia pozbawiły albo ci je ciężarem uczyniły (1).

„Kto wykonywa wszystkie te przepisy, ten już musi być chyba *świętym*.“

„Zakon został dany dla ludzi, a nie dla aniołów.“

Co się tyczy praktyki administracyjnej w wykonywaniu sprawiedliwości, Miszna czyni wyraźną różnicę między prawem *cywilnym* a *kryminalnym*. W jednym i drugim potrzeba jak najściślejszego badania i dochodzenia; ale gdy pierwsza wymaga wyrokowania trzech sędziów, potrzeba w drugiej trybunału składającego się z nie mniej jak dwudziestu trzech. Pierwszym obowiązkiem sędziego cywilnego jest zawsze, jakkolwiek jasnąby była sprawa przed niego wytoczona, poradzić przedewszystkiem stronom układ.

„Kiedy to, mówi Talmud, sprawdzają się słowa psalmisty że się *sprawiedliwość* z *życzliwością* spotykają? Wówczas kiedy dwaj przeciwnicy przyjmują układ pokojowy (2).“

Byli zarazem urzędnicy miejscowi specyjalni i „sędziowie pokoju“ czasowi, wybierani *ad hoc* przez strony. Zapłata wzięta przez sędziego za sądzenie, unieważnia jego wyrok. W razie gdy sędzia żył z pracy rąk, było mu dozwolonem brać wynagrodzenie jedynie za stratę czasu. Oskarżyciel był odprawiony z niczem, jeżeli żądał więcej niż się jemu należało, ażeby tym sposobem mieć sobie przysądzoną istotną należność. Trzech połączonych w jednym procesie przeciwko innej stronie, nie mogło się podzielić na jednego oskarżyciela i dwóch świadków. Sędzia powinien na to uważać ażeby obie strony były prawie jednostajnie odziane, to jest ażeby jeden z przeciwników nie nosił bogatych sukien, gdy drugi odziany był w łachmany (3). Sędzia nie powinien

(1) Zdanie to światłego i liberalnych pojęć mistrza, Rabi Izmaela, o tyle uzyskało sankcyę w Talmudzie, iż je często powtarza np. Sanhedryn 74. Aboda Zara 27. Jama 85.

(2) Sanhedryn 6.

(3) Wszystkie te przepisy objęte są w traktacie Sanhedryn, a wszystkie mają swoje psychologiczne zasady. To ostatnie rozporządzenie ma podwójny cel: najprzód iż biedny straci odwagę i nie ośmiela się w obec bogato wystrojonego przeciwnika bronić swojego prawa; powtóre ażeby sędzia nie dał się zmiękczyć na widok nędzy. Dla tego mawiano do bogacza: Ubierz się tak jak ten; albo: odziej jego tak, jakęś ty odziany.

nie słyseć w przedmiocie sprawy inaczej, jak w obecności obydwóch stron. Zagrożenia wymierzone przeciwko sędziom są tak liczne jak są uderzające:

„Ten co przyznaje komuś w sposób niesprawiedliwy dobro drugiego, okupi to przed Bogiem ceną swojej duszy.“

„W chwili gdy sędzia zasiada dla rozsądzenia sprawy swoich bliźnich, powinien w umyśle widzieć wyostrzony miecz wiszący nad swoją głową.“

„Biada sędziemu, który moralnie przekonany o niesprawiedliwości sprawy, daje się uwieść przez świadków, gdyż Bóg zażąda od niego rachunku.“

„Dopóki strony są przed tobą, uważaj obie za równo winne, a gdy się oddalą od ciebie, uważaj obie za niewinne, albowiem zgodziły się na wyrok.“

Trudnoby znaleźć prawodawstwo karne bardziej ludzkie i łagodniejsze, od starożytności aż do dni naszych. Gdy w przypadkach cywilnych, wymagających zgromadzenia przysięgłych, większość jednego głosu wystarcza na uwolnienie albo skazanie; to natomiast w przypadkach kryminalnych większość jednego głosu decyduje tylko uwolnienie, ale wymaganą jest większość dwóch głosów aby wyrzec potępienie. Na świadków w sprawach cywilnych przypuszczeni są ludzie wszelkiej klasy z wyjątkiem tylko graczy w kości, zakładających się na lot gołębi, lichwiarzy, ludzi sprzedających płody zakazane (zob. 3 Księ. Mojż. rozdz. 25) i niewolników; wyliczone tu klasy nie mogły ani sądzić ani świadczyć, bądźto za oskarżonym, bądź téż za oskarżycielem; wszakże w sprawach kryminalnych, i tylko gdy idzie o obronę, przypuszczeni są za świadków wszelkiego rodzaju ludzie bez różnicy. Badania świadków oskarżających odbywały się w tym punkcie z największą ścisłością. Rota zawierająca skrót prawideł na użytek sędziego w odnoszeniu do świadków w sprawach kryminalnych, była tak uroczystą i poszanowaną nakazującą, iż prawie się nie zdarzyło, ażeby człowiek krzywoprzysięstwem wystawił na niebezpieczeństwo życie drugiego.

W jaki sposób, zapytuje Miszna, należy uczynić wrażenie na świadkach wezwanych do złożenia świadectwa, gdy idzie o życie lub śmierć człowieka? Sprowadzają ich przed sąd i mówią do nich: może świadectwo, które macie obecnie

złożyć, pochodzi nie z istotnego przekonania, ale z przypuszczenia; możecie tę wiadomość otrzymali ze słuchu, choćby nawet od człowieka najbardziej godnego wiary: to bądźcie przekonani iż najściślej co do tego punktu badać was będziemy. Wiedźcie, iż proces w sprawie pieniężnej nie jest tém, czém sprawa w której idzie o życie lub śmierć bliźniego. W procesie pieniężnym człowiek może się okupić pieniędzmi i tym sposobem uzyskać przebaczenie; inaczej się rzecz ma tam gdzie człowiek może życie stracić: tu bowiem krew niewinnie skazanego jak również krew najpóźniejszego jego potomstwa, spada na fałszywego oskarżyciela i na fałszywego świadka, przez wszystkie wieki; tak bowiem czytamy o Kainie, zabójcy własnego brata, gdyż tam jest napisano: (1 Ks. Mojż. 4, 10) głos *krwie* (w liczbie mnogiej) twojego brata *wołają* (również w liczbie mnogiej) wołają do Mnie; chce to powiedzieć iż Kain zgubił wraz z Ablem całe pokolenie, które onby zrodził. Adam został stworzony sam jeden i od niego dopiero cały świat się wypełnił; to nas naucza, iż kto zabił jednego człowieka, popełnia taki grzech, jakby wytępił cały świat. Z drugiej zaś strony, wszystko to nie powinno was wstrzymywać od wyjawienia prawdy, gdyżbyście jej zatajeniem uchybili przepisowi (3 Ks. Mojż. 5, 1) „Jeżeli nie powiē, to twój grzech nosić będzie (1).“

Talmud nie zna prawa odwetu: oddawać miarę za miarę, mówi, to należy tylko do samego Boga. Rany zadane powinny się wynagradzać pieniędzmi, i w tym punkcie faryzeusze przewyższają Sadyceuszów, którzy obstawali przy dosłownem tłumaczeniu tego wiersza (2). Kary najwyższego stopnia, chłosta i śmierć przepisane w kodexie Mojżeszowym, wymierzały się z ludzkością niepraktykowaną, jakęśmy to już powiedzieli, ani we współczesnych trybunałach starożytności, ani też w trybunałach europejskich, aż do ostatniego pokolenia, które nas poprzedziło. Liczba wymierzonych razów wynosiła najwyżej 39. Ale sam kodex karny, zalceając zawsze zasadę miłości bliźniego jak samego

(1) Cały ten ustęp: Sanhedryn fol. 34.

(2) 2, ks. Mojż. 21, 24, 25, gdzie jest powiedzianem: „Oko za oko, zęb za zęb” i t. d.

siebie, nakazuje natychmiastowe zmniejszenie tój liczby, skoro tylko życie ukaranego okazuje się w niebezpieczeństwie. Jakkolwiek licznémiby były zbrodnie oskarżonego, można mu było wymierzyć tylko jedną karę za wszystkie razem. Nie można nawet było nakazać jednocześnie karę pieniężną i chłostę.

Starania, jakie miano o życiu ludzkim, były w saméj rzeczy nadzwyczajne. Sędziowie, mając wyrokować w sprawach głównych, powinni byli pościć aż do wieczora. Wyrok nie został wykonanym tego samego dnia, w którym był wydany, ale dnia następnego był jeszcze raz wzięty pod rozwagę Sanhedrynu. Aż do ostatniej chwili szukano okoliczności łagodzących, któreby mogły przechylić szalę na korzyść więźnia. Miejsce egzekucyi było w pewnej odległości od sądu, aby dać czas jakiemuś świadkowi lub samemu oskarżonemu na przypomnienie sobie, jeśli można, jakiejś nowej okoliczności łagodzącej. Przy drzwiach sądowych był postawiony człowiek z chorągwią w rękę, a w niejakiéj odległości drugi człowiek na koniu, dla natychmiastowego zatrzymania egzekucyi, wrazie gdyby jaka nowa okoliczność była podaną. Pozwolono samemu oskarżonemu zatrzymywać się 4 i 5 razy, i kazać się na nowo zaprowadzić przed sędziów, jeśli miał coś powiedzieć na swoją obronę. Przed nim szedł herold który obwoływał: „Ten a ten, syn tego a tego, jest prowadzony na karę za spełnienie takiéj a takiéj zbrodni, świadkowie, którzy stawają przeciwko niemu są ci a ci; jeśli kto wie coś na jego korzyść, niechaj przyjdzie i objawi.“ Na 10 metrów od miejsca egzekucyi przemawiano do niego: „Przyznaj się; takie albowiem jest wyznanie po każdym wyprowadzonym na śmierć, a ten, co się przyznaje ma udział w życiu przyszlém. Na to mamy wskazówkę w osobie Achana, do którego Jozue powiedział: (Joz. 7, 19) „oddaj synu mój cześć Bogu Izraela (1).“ Gdy-

(1) Do tój odezwy Jozuego i do wyznania Achana, Miszna cytuje jeszcze wiersz 25 tegoż roz. w którym podane jeszcze są słowa Jozuego do prowadzonego na śmierć przestępcy: „Jakżeż tyś nas umartwił! oby i ciebie Bóg też umartwił tegoż dnia!“ Z tych dwóch słów ostatnich wnioskuje Miszna, iż *tegoż dnia* znaczy tylko w życiu doczesnym, w przyszlém zaś będzie zbawionym, a to z powodu przyznania się.

by nie mógł złożyć wyznania zupełnego, uczono go téj formuły: „oby moja śmierć była odpokutowaniem za wszystkie moje grzechy.” Aż do ostatniej chwili był otoczony i podtrzymywany oznakami głębokiego i uroczystego współczucia. Kobiety Jerozolimy tworzyły towarzystwo, które dostarczało napoju zmieszanego z octu i mirry, a ten miał skutek opjum, dla usypiania czułości człowieka na śmierć skazanego. Cztery były rodzaje kar głównych: kamienowanie, spalenie, ścięcie i uduszenie. *Krzyżowanie nie było wcale znanem w prawie Mojżeszowém.* Miejszem kamienowania był dom, wysoki na dwa piętra, a kamienowanie w Misznie, znaczyło tylko złamanie szyi skazanego. Główny świadek miał spełnić obowiązek kata i strącić przestępcę; jeżeli upadł na pierś, obracano go na kark, jeżeli upadek nie zabił go na miejscu, drugi świadek powinien był rzucić drugi kamień na serce; a gdyby jeszcze żył, to cały lud starał się przyśpieszyć jego śmierć przez rzucanie nań kamieni. Śmierć przez ogień i uduszenie były bardzo do siebie podobne. W jednym i w drugim razie przestępca był zanurzony aż po pas w ciekłym bagnie, a dwóch ludzi ściskając około jego szyi sznur otoczony miękką materią, sprawiali natychmiastowe uduszenie. W karze ognia, rzucano mu jeszcze kłot rozpalony w gardło, w chwili kiedy otworzył usta dla wydania ostatniego tchu. Trup był chowany w osobnym, dla przestępców przeznaczonym miejscu. Po pewnym jednak czasie kości zbierano i chowano w grobie rodziny skazanego. Krewni odwiedzali wtedy sędziów i świadków, jakby do powiedzenia im: nie mamy do was urazy, gdyż wydaliście wyrok sprawiedliwy. Zwykłe obrzędy żałoby zewnętrznej nie były w podobnych razach zachowywane, ale nie zabraniano płaczu w pierwszych dniach, gdyż powiedziano „zmarwienie pochodzi z serca.“ Dóbr winowajcy nie konfiskowano. Kara śmierci była w praktyce uchyloną jeszcze zanim Rzymianie odebrali Sanhedrynowi prawo wyrokowania o niej. Jeszcze i tu dał się uczuć łagodzący wpływ „tradycyi“ zmniejszaniem ostrości kodexu Mojżeszowego. Badanie świadków stało się tak ścisłym, że wydanie głównego wyroku było prawie rzeczą niemożliwą. Jeżeli pomimo tych utrudzeń, karogodność została uwidocznioną, starano się wynaleźć jakiś brak formalności, a kara została zamienioną na wieczne wię-

zienie. Mistrze późniejszego peryodu, a zwłaszcza R. Akiba, który obok swoich marzeń o polepszeniu obywatelskiego bytu ludu izraelskiego, nie tracił nigdy z widoku reformy sądownictwa, nie wahał się otwarcie oświadczyć za zniesieniem kary śmierci. Sąd który wydał wyrok śmierci raz na 7, a nawet raz na 70 lat, otrzymywał nazwę „sądu morderczego.“

Taką jest Miszna, to treściwe zebranie sądownictwa za peryód obejmujący lat ośmset. Zbieracz ich, R. Jehuda, usunął wszelkie tradycje nie posiadające zupełnej autentyczności, zarówno jak wszystkie dyskusje i komentarze nie wymagane konieczną potrzebą. Z tychto ostatnio wymienionych materiałów, zebranych, ułożono rodzaj kodexu ustnego, nie posiadającego ogólnego uznania. Posiadamy jeszcze Misznę tak zwaną *zewnątrzną* (Berajthoth) powstałą na kilka wieków po zredagowaniu Miszny oficjalnej (1), następnie mamy jeszcze rozprawy i dodatki należące z prawa do Miszny, a nazwane *Tosefta* (uzupełnienia) (2), a nakoniec egzegetykę i metodologią części Halachicznej (Syfre, Safra, Mechilta) (3), których znaczna część została następnie włączoną do Talmudu.

Miszna ułożona we formie kodexu stała się z kolei tém, czem dla niej było Pismo Święte, t. j. podstawą do rozwinięć i rozpraw. Należało jej nadać harmonijną łączność z Biblią; należało objaśnić miejsca zaciemnione przez rozmaite domysły; powstawały nowe podania; wynaleziono nowe metody; kazuizm i tu wywarł swój wpływ, tak samo jak w szkołach prawa istniejących w Rzymie, Aleksandryi, w Berycie,

(1) Berajthoth ułożył R. Chija, zwany wielkim, uczeń właśnie R. Jehudy i w obec swojego mistrza; a zatem nie w kilka wieków po kompilatorze Miszny oficjalnej, ale właśnie za jego czasów. Nazywa „zewnątrzną“ ma znaczyć *odrębna od właściwej Miszny*.

(2) Tosefta, ma za autora R. Hoszę, również ucznia R. Jehudy. Treść poprzedzających, jak i tych ksiąg jest taż sama co późniejszej Gamary, t. j. rozwijanie i objaśnienie Miszny.

(3) Syfre, traktuje o dwóch ostatnich księgach Mojżeszowych, a przypuszczalnym tego dzieła autorem jest R. Szymon Ben Jechai. Safra, ułożył również według przypuszczenia R. Jehuda bar Eloi, ma ona za przedmiot 3 ks. Mojżeszową. Mechiltot jest kilka, przypisywane różnym autorom.

a ztąd utworzyła się Gemara. Są dwie Gemary: jedna, utwór szkół istniejących w Jeruzolimie, została zredagowana w Tyberyadzie, a nie w Jeruzolimie, około r. 390, po Chrystusie, nazywa się Jeruzolimską; pisaną ona jest w języku, który można nazywać Aramejskim zachodnim (1). Druga, ułożona w Syra w Babilonii, wydana przez dwóch rabinów, Rawinę i Aszę (365—427 po Chrystusie). Uzupełnienie tego kodexu, które wymagało 60 lat dla zbierania i przerabiania, należy się szkole Seboroim w końcu V wieku naszej ery. Gemara Babilońska jest utworem akademii istniejących w Syra, Nehardea, Pumbeditla, Mechuza i w innych miejscach; jest wynikiem poszukiwań 6 lub 7 pokoleń. Talmud ten jest pisany w języku aramejskim wschodnim.

Ani jeden, ani drugi z tych kodexów nie był w samym początku ułożony na piśmie, ani nie został zachowanym w całości. Zachodzi przynajmniej wielka wątpliwość czy była kiedy podwojna Gemara dla sześciu a nawet dla pięciu pierwszych działów Miszny, gdyż dział szósty bardzo wczesnie wyszedł z użycia. Obok tego zaginęło wiele i z tego co istniało. Talmud Babiloński jest przynajmniej cztery razy obszerniejszy niż Jeruzolimski. Jego trzydzieści sześć traktatów zapewniają obecnie w naszych wydaniach, wydrukowanych razem z najważniejszymi komentarzami Raszy i Tosafoth, ściśle 2947 arkuszy, w dwunastu tomach in folio. Paginacja tych foliantów jest jednostajną we wszystkich wydaniach. Nie możemy tu opowiedzieć w jaki sposób Talmud stał się stopniowo tęp czym Miszna była dla Gemary, i czym Pismo Święte było dla pierwszych biegłych t. j. textem; nie możemy tu również szczegółowo podać, jak Amoraim (Rozprawiacze), Seboraim, (Objasniacze),

(1) Gemara, wyraz syryjski, jest jednoznaczającym z wyrazem hebrajskim talmud; tak jeden jak i drugi znaczy *nauka*, ale zwykle nazwa syryjska wyraża sam tylko komentarz do Miszny, gdy pod *talmudem* rozumiemy oboje razem wzięte. Jeruzolimski nie obejmuje wszystkich działów Miszny, i dla tego też jest nieporównanie mniejszej objętości niż babiloński. Zredagowany on został przez R. Jochanem. Co do języka, to oba Talmudy mają za tło język hebrajski (ze zmianą niektórych form) z przyjęciem wielu wyrazów, mianowicie technicznych, z języków obcych. Jeruzolimski posiada ich więcej greckich, rzymskich i syryjskich, a w babilońskim żywioł perski przeważa.

i Gaonim (Przewodnicy) (1) uczynili z niego ognisko swię działalności nmysłowėj przez cały ciąg wieków, jakie zaś ztąd powstały bez końca komentarze, rozprawy, wykłady, rozwiązania, wieści, wyciągi i t. d. tego wyliczyć niepodobna. Dodamy tylko, że Talmud, jako taki, nie został nigdy zatwierdzony przez naród na zgromadzeniu ogólném lub szczególném. To prawda, że jego postanowienia prawne, jako pochodzące od najwyższych powag, utworzyły podstawę prawa religijnego i zasadę wszystkich następnych postanowień. I to prawda, że Talmud jest najważniejszym kodexem kanonicznym żydowskiej tradycji. Mimo to wszystko zawdzięcza on popularność swoją obcej przyczynie. Podczas prześladowania żydów w państwie Perskiem, za Jezdegarda II, Firuza i Kobada, zostały szkoły zamknięte na przeciąg lat około 80. Żywy rozwój prawa został przerywany, dzieło tym sposobem otrzymało najwyższą sankcyą, o której zapewne nie marzyli jego twórcy. Nie potrzebuujemy dodać, że owa sankcyą, która się milczeniem przywiązywała do tego dzieła, odnosiła się wyłącznie do jego części prawnej (Halachicznej). Druga jego część, agadystyczna czyli legendowa, stanowiła *poezyą*, ulubioną przez kobiety, dzieci i przez umysły spokojne i rozmyślające, które znajdują swą przyjemność w kwiatach i w śpiewach dzikiego ptastwa. Często „pewne znakomitości” oświadczały się przeciwko Hagadzie, potępiały ją i odmawiały jej najmniejszej nawet iskierki rozumu; ale lud przywiązał się do niej i powoli nadał jej wyłącznie encyklopedyczną nazwę *Midrasz*. Teraz należy nam powiedzieć kilka słów o języku, w którym pisane są te dzieła; to albowiem zapozna nas z rodzajem życia i z obyczajami umysłowemi tej epoki.

(1) Amoroimi tytułowali się właśnie sami twórcy Talmudu, aż do czasu ułożenia go na piśmie. Ostatnimi z nich byli: Merymer syn Rawiny i Mar syn Aszy, którzy dokończyli dzieła swoich ojców. Mędrycy po nich zwali się Sabaroimi, a ten tytuł utrzymał się nieco dłużej nad sto lat. Następnie nastał czas Gaonów, trwający przeszło czterysta lat. Od dziewięciu mniej więcej wieków przewodnicy duchowi noszą tytuł *rabinów*.

III.

Język Miszny jest hebrajczyzną tak czystą, jak można się spodziewać znaleźć w owej epoce. Naród sam mówił, jakżeśmy to wyżej powiedzieli, chaldejskim, czyli zepsutym aramejskim, pomieszczanym z greckim i łaciną. Wiele modlitw z owej daty (1), również Targum (2) i Gemara są pisane w tym języku. Sama też Miszna nie jest wolną od żywiołów obcych, które wówczas wszędzie wtargnęły. Znajdujemy tam zapożyczonych z języków klassycznych wiele wyrażen prawnych, wiele nazw różnych płodów, świąt pogańskich, narzędzi, pokarmów i napojów, owoców i odzieży. Jest to ciekawy dodatek do ciekawej historii wyrazów. Dar przesłany przez Semitów, za dawnych czasów fenickich, po za morza, przywrócony im został po upływie szeregu wieków. Dali oni starożytnym Grekom nazwisko wag i miar, korzeni i aromatów, które też wszystkie są wyrazami hebrajskimi; przesłali szafir, jaspis, szmaragd, piękne materye na odzież i samą odzież, gdyż w samej rzeczy *Χιτών* jest to hebrajska nazwa tuniki Józefa w Biblii (3). Narzędzia muzyczne, rośliny, naczynia stołowe, przedmioty do pisania, a nakoniec i głównie, sam alfabet, wszystko to pochodzi od Semitów. Ale też języki grecki i łaciński oddały im te dary z lichwą w peryodzie talmudycznym, na wielkie zakłopotanie scholastyków i słownikarzy następnych czasów. Sam język aramejski, jak wzmiankowaliśmy, był językiem ludu. Było to narzecze jasne i malownicze, przedziwnie się udzielające, nietylko do wytworności epigrammatycznej Gemary, ale zarówno i do poetycznych wyrażen w codziennych zjawiskach. Narzecze to przeszło aż do wołania nocnych stróżów, aż do hasła straż-

(1) Ułożeniem tych modlitw, jak również aktów małżeństwa i rozvodu, w języku, naówczas przez ogół ludności używanym, mędrzy dali późniejszym przewodnikom duchowym wskazówkę, jak mają pojmować swój czas, i jak do niego potrzeby ludu zastosowywać.

(2) Targum, czyli tłumaczenie Biblii. Tłumaczenie pięcioletniego księgu uskutecznił Onkelos Rzymianin, który przyjął wiarę Mojżeszową; księgi proroków przetłumaczył Jonathan ben Uziel: tak jeden jak i drugi należał do twórców Miszny. Tłumaczenie innych ksiąg biblijnych jest przypisywane różnym uczonym. Targumy te są wydrukowane we wszystkich prawie wydaniach Biblii razem z textem.

(3) I Ks. Mojż. 37, 3.

ników świątyni i do zwykle używanej formuły urzędników lewitycznych. Na nieszczęście, ta poezya miała niekiedy swoje niedogodności. Myśli, czysto metafizyczne, które następnie stały się dogmatami, przybierały, dzięki niepewnej frazeologii, istotnie potworne kształty. Ale język ten stał się w szeregach ludu dziwną mieszaniną. Jakkolwiek naród hebrajski był obdarzony właściwą zdolnością ocenienia przedmiotów właściwych każdemu z ówczesnych języków (aramejski przypada najlepiej do elegii, grecki do hymnów, hebrajski do modlitwy, łaciński do śpiewów wojennych, jak mówi stare przysłowie), jednak mieszał wszystkie razem, prawie tak jak to czynią Pensylwanijczykowie za dni naszych. Zresztą narzecze to stanowiło wierny obraz tych, którzy z niego uczynili stały język. Ci „mistrze prawa” składali stowarzyszenie najróżnorodniejsze w świecie. Zasiadali między nimi nietylko krajowcy przybyli z różnych stron obszernego Cesarstwa Rzymskiego, ale także ludzie urodzeni w Arabii i w Indyach; okoliczność ta tłumaczy nam wiele dziwnych zjawisk w Talmudzie. Każdy prawie wyraz, odnoszący się do przedmiotów domowych lub politycznych, jest pochodzenia greckiego lub łacińskiego, albo obydwóch zarazem; forma zaś jego jest często tak wątpliwą i przestarzałą, że scholastycy tak klassyczni jak i semityczni musieli się często uciekać do archeologii i do słownika starożytności aby znaleźć klucz do niego. Wyrazy rolnicze stanowią tu jedyny wyjątek. Jedyne tylko rolnictwo z kilkoma jeszcze rzemiosłami zachowały stare wyrazy semickie i swojskie; okoliczność ta świadczy przeciwko tym, którzy utrzymują, jakoby naród miał wstręt do rolnictwa. Od czasów Jozuego Hebrajczykowie nie przestawali oceniać szczęścia zasiadania w cieniu swojej winnicy i swojego figowca. W tym punkcie odsyłamy czytelnika do podanego przez Misznę idyllicznego opisu processyi, odbywanej ze wszystkich stron do Jerozolimy z pierwsnkami owoców, w towarzystwie dźwięku fletów, z wołem ofiarnym idącym dumnie naprzód ze złożonemi rogami i z wieńcem liści oliwnych na głowie (1).

(1) Traktat Bikurym, rozdz. 3. Wyraz „Bikurym” znaczy własnie *pierwiosnki*, którym cały ten traktat jest poświęcony, a to odnośnie do V ks. M. rozdz. 26.

Talmud przedstawia nam rzeczywisty i doskonały obraz zwyczajów kosmopolitycznych i zbytku z ostatnich dni Rzymu, obraz, który się powtarza tylko u małej liczby pisarzy szkoły, tak klasycznej jak i późniejszej. Znajdujemy tam wzmiankowane: rybę hiszpańską, jabłka kretańskie, ser bityński, soczewicę i bób z Egiptu, cytryny greckie i egipskie, wino włoskie, napój medyjski, zyphus egipski. Sprowadzano odzież z Peluzyi i Indyi, koszule z Cylicyi a zasłony z Arabii. Wspomnimy mimochodem o materyach arabskich, perskich i indyjskich, o których także Gemara wzmiankuje. Możemy tymczasem przepowiedzieć, że jeżeli archeologia i lingwistyka zaczną zwiedzać to pole, nie opuszczą go tak prędko.

IV.

Szukaliśmy długo najlepszego sposobu do wytłumaczenia naszym czytelnikom jak Hagada, ten drugi prąd Talmudu o którym w przedmowie mówiliśmy, przerywa nagle bieg Halachy, gdyśmy sobie przypomnieli postępek pewnego starożytnego nauczyciela. Było to w czasie gorących godzin popołudniowych na Wschodzie. Gdy Rabi ten wyjaśniał jakiś zawikłany i subtelny ustęp prawa, spostrzegł że jego słuchacze zaczynają z wolna zasypiać. Nagle zawołał: „W Egipcie wydała jedna kobieta na raz sześćkroćtysięcy ludzi.” Można sobie wyobrazić zadrzenie słuchaczy na to opowiadanie o zdumiewającej płodności egipcjanki. „Kobieta ta, ciągnął dalej nauczyciel spokojnie, nazywała się Jochabed, i była matką Mojżesza. Ten albowiem przeciwważył cały lud Izraelski wychodzący z Egiptu, cnotą i zasługą” (1). Po tém krótkim zboczeniu legendowem nauczyciel wyjaśniał dalej swój przedmiot z jurisprudeneyi, a jego słuchacze już tego dnia nie usnęli. Człowiek Wschodu ma szczególną, sobie właściwą organizację umysłu. Jego skłonność do słówek dowcipnych i głębokomyślnych, do historyi i powieści, jego pociąg do

(1) Talmud naucza: że ten co wykształcił człowieka, poprowadził go na drogę cnoty, moralności i religii, wchodzi w prawo jego rodzica i może się nazywać jego ojcem. Tym sposobem Mojżesz był ojcem sześciukroć stu tysięcy ludzi wyszłych z Egiptu: ztąd to cytowana alluzya.

parabol i przypowieści nie opuszcza go nawet przy najpoważniejszych badaniach. Zdaje się, że on ich potrzebuje dla utrzymywania w czynności prądu swoich myśli. Są to zabawki dorosłych ludzi Wschodu, Hagada ma także swoją egzygetykę, swój układ i właściwą sobie metodę. Wszakże nie ze wszystkiém możemy się zgodzić na uczony podział Hagady na homelityczną, moralną, historyczną, ogólną i szczególną.

Hagada, jakieśmy to powiedzieli, rozbiera Pismo Święte w szereg zdań najróżnorodniejszych. Ponieważ wszystko, od początku do końca jest zawarte w biblii, zatem powinna tam też być odpowiedź na wszelkie zapytanie; znajdź tylko do niej klucz, a wszystkie zagadnienia będą miały swoje rozwiązanie. Osoby biblijne, królowie i patryarchowie, bohaterowie i prorocy, kobiety i dzieci, ze swoim działaniem i cierpieniem, z swém szczęściem i ze swoją niedolą, ze sławą i czynami, stawali się, oprócz swój historycznej rzeczywistości, symbolami i allegoryami. A co text biblijny opuścił, uzupełniła Hagada z wielokrotném urozmaiceniem: Hagada wypełniała przerwy na wzór proroka patrzącego w przeszłość; tłumaczyła przyczyny, rozwijała historią, znajdowała stosunki między najodleglejszymi krajami, narodami i wiekami, a to często z zajmującą trafnością; wyprowadzała najwznioślejszą moralność z najpospolitszych faktów. To wszystko uskuteczniała w sposób do zadziwienia prędki i nagły, ztąd pochodzi, iż często tych fantastycznych dziwactw odrazu nie pojmujemy.

W samej rzeczy dziwna to istota, ta Hagada, ta prorokini pozajerozolimska, która się zjawia niespodzianie, gdzie i kiedy jej się spodoba, potem niknie tak nagle jak się zjawiała.

Pojmujemy w zupełności zakłopotanie średniowiecznego teologa albo nawet uczzonego z obecnych czasów, który zajęty śledzeniem najsubtelniejszych zwrotów rozprawy naukowej na stronicach Talmudu, przechodzi na tych stronicach od geometrii, botaniki, finansów albo czegokolwiek innego, do podróży w dniu sabatu, do zbioru zboża, do rachunku dziesięcin i podatków, kiedy on nagle uczuwa, że tak powiem, iż mu brakuje gruntu. Wszelkie głosy milkną, drzwi i mury sali wykładu nikną z przed jego oczu, a natomiast wznosi

się Rzym wielki, to *Urbs et Orbis*, ze swém życiem i z rozma-
itą swą życiodajnością. Albo téż zjawiają się kwitnące win-
nice otaczające miasto wzgórków: jest to miasto Jeruzalem,
owe miasto złote, a dziewice w bieli przechadzają się jak-
by jakie widma. Słysząc zwrotki z nuty przez nie śpie-
wanéj; rytm ich harmonijnego tańca wznosi się i opada: był
to poważny dzień odpustny, który w poetycznej z tą powagą
dnia sprzeczności, dziewice Saronu wybierały sobie na dzień
radosny zabawy aby się przechadzać po tych polach, po któ-
rych falowały lilie białe, po tych pagórkach okrytych win-
nym szcepem (1). Niekiedy téż będzie to trąba powstania,
która zabrmi swoim przenikliwym tonem w pośród tych za-
wiłych rozpraw, i Baltazar zjawia się tu, wśród strasznój
swój uczy, opowiedzianej jeszcze z dodatkami mogącemi do-
prowadzić do obłąkania z przestachu, figura zaś ta użytą
tu jest właściwie za osobę Nerona krwawego. Zdarza się téż
że Nabuchodonozor, tyran Babilonu, wraz z całą swoją armią
zostaje tknięty straszném przekleństwem z okoliczności ja-
kiegoś ustępu prawnego, z którym ten nie ma nic wspólnego;
ale dla wtajemniczonych przedstawia on Tytusa cesarza, któ-
rego zbyt długo nazywano „rozkoszą rodu ludzkiego”. Sym-
bole i hieroglify Hagady, jeżeli kiedy należycie wytlumaczone
zostaną, będą cennym i zajmującym dodatkiem do niepisanej
historji ludzkości. Nie każdą Hagadę posiadamy w pierw-
otnej jéj całości. Nie jedna dostała się do nas tak, jak ją
uczeń podał z pamięci albo z notat urywkowo schwytych
w czasie jakiej rozprawy subtelnój, przeplatanój tysiącem
alluzji, wspomnień, poglądów, cytat i t. p. Wszakże same te
urywki zawierają szczytną myśl, wzniosłą naukę moralną,
pewną wskazówkę historyczną, albo wskazują nam stan ja-
kiejś nauki specjalnej albo społecznej z owych wieków, i t. p.

(1) Żadne święto—mówi Talmud—nie miało dla narodu być
powabu, co dzień piętnasty miesiąca Ab, i dzień odpustny; w obu-
dwóch albowiem dziewice izraelskie wychodziły wszystkie w poży-
czanych sukniach białych, aby nie zawstydzić téj, co własnej nie
posiada odzieży. Zwyczaj ten tak ściśle był zachowywany, że nawet
córci króla i arcy-kapłana, przy téj uroczystości nosiły strój nie
własny. W czasie przechadzki śpiewały wiersz Salomona (Przysł.
31, 30): Omylny jest wdzięk, marną jest piękność, niewiasta bogo-
bojna, ta jest godną chwały. (Trakt. Tanith fol. 26).

Należy nam tu dodać, że aczkolwiek Hagada często przerywa bieg rozpraw poważnych w Talmudzie, wszakże przewodnicząc rozprawy nigdy nie ginie. Zawsze po krótszym lub dłuższym zboczeniu widzimy odrazu powtórzenie pierwotnego zapytania wraz z dalszym ciągiem dyskusji.

Wreszcie, aby dać czytelnikowi ogólny szkic Hagady, odsyłamy go do Bunyana, który mówiąc o swojej książce (jest to dzieło *mutatis mutandis*, w całym znaczeniu hagadyczne), opisuje, sam nie wiedząc o tém, tak dokładnie jak tylko być może, Hagadę. „Jeżeli się chcesz wyrwać z twój melancholii, jeżeli się chcesz rozerwać bez wpadania w szal, jeżeli chcesz czytać zagadki wraz z ich rozwiązaniami; jeżeli pragniesz pograć się w rozmyślanie; czy to w tój mierze lubisz pokarm rzeczywisty, czy też wolałbyś widzieć człowieka z księżycą i z nim rozmawiać; jeśli chcesz marzyć na jawie, jeśli byś chciał śmiać się i płakać jednocześnie; jeśli byś chciał się zagładzić i bez pomocy czarów na nowo ożyć; jeśli chcesz czytać na własnej duszy, jeśli chcesz czytać bez pojmowania treści; jeśli tego wszystkiego pragniesz: weź tę książkę i zagłębiaj się w nią jednocześnie głową i sercem.”

Nie myślimy tu czynić wymówki tym, którzy w najlepszym zamiarze pozbawili cały prawie obszar Hagady wiążomości. Nie dziwimy się, że mniemane bajki rabiniczne, przedstawiane od czasu do czasu publiczności, nie doznawały nader pochlebnego przyjęcia. Talmud, który ma ostre słowo na każdy możliwy wypadek, mówi: „Pogrążyli się w oceanie i wydostali skorupę.” Wyciągi te, przedstawiane publiczności, były albo źle wybrane, albo źle tłumaczone, albo też nie należały do Talmudu, ale do jakiejś książki legend, napisanej przez żyda nowszych czasów. Herder, jako najlepszy sędzia poezji ludowej, chwalił w wzniosłych wyrazach wyciągi które znał. Jeśli mamy prawdę powiedzieć, znajdujemy w Hagadzie, nie tylko wszystkie te legendy biblijne, które islam we dwanaście wieków później opowiedział, albo wyśpiewał dla rozweselenia mędrców i prostaczków; ale jeszcze wielka część danych, które nam są znane, jako zawarte w cyklu podań średniowiecznych, w Dantem, w Bokacyuszu, Cerwantesie, Miltonie, Bunyanie, została wniesioną z wiedzą lub bezwiednie, z owej krainy cudownej, która się nazywa

Hagada. Nie przeczymy, że wielka ich część jest naciągana, nawet z punktu widzenia wschodniego.

Pewnie umysły mają dar wybierania zawsze najslabszych stron dzieła, gdy tymczasem niezręczni są zdolni do złego tłumaczenia najpiękniejszych nawet stronnic Szekspira i Homera.

Nie należy wszakże sądzić, jakobyśmy radzili przetłumaczyć w całości zbiór Hagady; nie bardziej nużącego, jak podobne przewlekłe czytanie, jakkolwiek można tam znaleźć stronnice, zdolne zadowolnić najdelikatniejszych sędziów. Urywki te, rozrzucone po Talmudzie, są nadobnej świeżości. Nie możemy na nieszczęście wskazać żadnej próbki z jej zadziwiającej głębokości wykładów, jej świetnych dramatów, a według wyrażenia Hejnego „jej pięknych, starożytnych opowiadań, jej historii aniołów, jej czarodziejskich legend, jej wzniosłych historii męczenników, jej świątecznych śpiewów i jej mądrych maxym, jej hyperbol, dziwacznych może, ale jednak tak jasnych, tak świetnych, tak błyszczących.”

Ważniejsza to rzecz zwrócić uwagę czytelnika na pole jeszcze nie zwiedzone, na metafizykę i moralność Talmudu, o tyle, o ile je nam Hagada przedstawia.

(Dokończenie nastąpi).



WIADOMOŚĆ

o życiu, pismach, wydaniach i przekładach
poezyi **Klemensa Janickiego**.

NAPISAL

Zygmunt Węcławski.

WSTĘP.

Kiedy u nas na schyłku XV i w pierwszej połowie XVI stulecia *humaniora* wzięły górę nad scholastyką i język i literatura łacińska znalazły wielu opiekunów i miłośników, liczni też pojawili się łacińscy wierszopisowicze. Ale że pomimo ruchu wielkiego umysłów, naród wówczas zajęty był głównie i wyłącznie prawie wojnami, polityką zewnętrzną i sprawami wewnętrznymi kraju, dalej sporami religijnymi, które wyższych umysłów siły i władze zupełnie pochłaniały; przeto nie mogły serca, skrepowane wreszcie Arystotelesową poetyką i Horacyuszowemi przepisami, puścić wodze uczuciom i wzbić się swobodnie w dziedzinę uroczej poezyi. Dla tego tak rzadko, jak to już często wypowiedziano, spotkać się można z prawdziwym poetą. Sąd taki dajemy o wierszopisach łacińskich głównie, bo polskich w ogóle było mało. Mieli też poeci łacińscy do zwalczenia daleko więcej trudności. Pisząc w języku obcym i martwym, który jednak w owym wieku był koniecznym w Polsce i zyskał w niej obywatelstwo: przestrzegając dalej wiernie praw kodeksu poetyckiego, których przestąpienie poczytywano za brak ogłady i erudycyi: lepsi nawet poeci nie śmieli wyrażać uczuć i wrażeń ani tłumaczyć myśli prostemi słowami, lecz stroili je klasycznymi obrazami, przyozdabiali mytologicznymi opowieściami i objaśniali rzecz swojską porównaniami wziętymi z dalekiej starożytności; a mierne talenta,

uwiązłszy w sieci klassycznej, niedostatek i próżnie w myślach starali się pokrywać to wytworném wysłowieniem, to misterną budową wiersza, to zdaniami z klassycznych starożytności wzorów zapamiętanemi. Z tém wszystkiém utwory tych poetów polsko-łacińskich stanowią ważny wcale przyczynek do naszej literatury i nie ma przyczyny zapierać się ich i wykluczać je z dziejów piśmiennictwa polskiego. Nie podzielam téż zdania Wiszniewskiego, który (w tomie VI str. 220 Hist. liter. polsk.) powiada, że jedyną zachętą do czytania prac tych jest nadzieja znalezienia opisu obyczajów i zwyczajów. Nietylko bowiem poeci owi „zachowali w utworach swoich pamięć wielu okoliczności, których dziejopis dotknąć się nie śmiał,” ale z pieśni ich dowiadujemy się nie rzadko, w jakich stosunkach kraj nasz był w owym czasie z resztą Europy i jakie miejsce zajmował w rzędzie narodów wówczas przyświecających światu. Lekceważyć przeto nie należy bardzo wielu z tych utworów; a jeżeli dotychczas pogardy i lekceważenia doznawali i doznają ci pisarze, nie wypada tłumaczyć się tém, że takich ramot czytać nie warto, lecz wyznać otwarcie, że *leń nas się chwycił*, że nie chce nam nabyć się tyle wiadomości o stosunkach społeczeństwa w starożytności ani poznać do tyła starożytne języki, abyśmy bez mozołu czytaniem tych ramot zająć się mogli i rozumieli utwory wierszopisów łacińskich dokładnie i z korzyścią dla kraju, a nie na szkodę własną. Ileżto bowiem mylnych, błędnych i fałszywych zdań, ileż niedorzeczności wcisnęło się do literatur, przekładów, monografii z powodu niedokładnej znajomości łacińskiego tylko języka. Z jak cudackiemi i śmiesznemi zdaniami spotykać się można w rozprawach uczonych i poważnych krytykach dla tego, że autorowie ich nie znają ani języków, ani społeczęńskich stosunków starożytności! Lecz przystępuję do rzeczy.

Otóż, z poetów polsko-łacińskich XVI wieku jednym z najprzedniejszych jest Klemens Janicki, o którego życiu i pismach wiadomość podać zamierzyłem. Jeżeli kto, to Janicki z pewnością nie należy do rzędu pisarzy, których utwory godziłoby się uważać za ramoty; żaden bowiem z poetów owego czasu nie jest mniej naśladowcą, żaden mniej nie gonił za błyskotkami erudycyi, wówczas tak popłacającemi.

Język łaciński jest jakby ojczystym poety językiem; utwory jego są oryginalne i przez powłokę słów zamarłego języka, przebija się wyraźnie osobistość poety, serce i uczucie narodowe. To też wielu, oceniając sprawiedliwie Janickiego i odróżniając go od zgrai wierszokletów, w szczuplejszych lub obszerniejszych ramach obraz życia i charakter poezyi nam skreślili. Ale pomimo tylu prac zdawało mi się, że moja nie będzie zbyteczną, zwłaszcza że zadaniem mojem było, w pracy niniejszej, sprostować dość liczne pomylki, mieszczące się w dawniejszych monografiach a dotyczących tak życia i charakteru, jako też pism i wydań utworów Janickiego. Zadanie to zaiste nie trudne, i bacznym czytaniem pódów poety każdy był powinien dojść do podobnego rezultatu. Daléj zadanie to, powié może nie jeden, małej wagi, bo czyż ważną rolę odgrywał w kraju Janicki, on, co ledwie lat 10 liczy autorstwa a nie spełna 27 życia. Ale dlaczegoż małoważne daty i wypadki w życiu tak skromnego, jak Janicki, poety nie mają być sprostowane, jeżeli tego dokonać można, i wystawione we właściwém świetle? Dlaczegoż nie oznaczyć ściśle następstwa utworów jego głównych, aby się przekonać, czy i jakie postępy zrobił w zawodzie swoim poetyckim? Oto, co mnie spowodowało do napisania téj rozprawki, obszerniejszój od napisanej w języku łacińskim i umieszczonej w wykazie wykładów Szkoły Głównej na rok 1864/65, bo tam obok ustalenia następstwa utworów Janickiego, chodziło mi głównie tylko o sprostowanie tekstu w wydaniach poezyi jego wielekroć sfalszowanego.

I.

Klemens Janicki (Janicius) w samo południe dnia 17go listopada r. 1516 urodził się w Januszkowie, wsi leżącej po północno-wschodniej stronie miasta Żnina w Wielkopolsce (1). Ojciec jego, zacny i pracowity rolnik, straciwszy w czasie morowego powietrza, w r. 1515 prawie w całej Pol-

(1) El. VII, 15—16 i XXI, 5—7. Jedyny *Siegert* w przekładzie siódmej elegii dzień urodzenia dobrze podał: „Siedmnasty Listopada właśnie dał mi życie.” Rok i miejsce urodzenia p. VII, 17—20 i 5—6. Wiés w rękopiśmie poezyi Krzyckiego, znajdującym się

sce panującego, wszystkie dzieci swoje, a pocieszony w smutku narodzeniem się Klemensa, wątłych sił jedynaka nie chciał wkładać w znojną w polu pracę, lecz postanowił oddać do szkół, może przeznaczając go na służbę Bożą (2). Mając przeto lat nie spełna pięć, r. 1522 chodził Klemens już do szkoły elementarniej w Żninie, a następnie do gimnazjum Lubrańskiego w Poznaniu oddany, tam pod rektorem Tomaszem Bedermanem, poznańczykiem, poświęcił się nauce języków starożytnych. Zasmakowawszy głównie w pięknych utworach poetów rzymskich, Owidyusza i Wirgilego, niebawem sam uczuł się natchnionym i prawie już od dzieciństwa wiersze pisał łacińskie (3). Kierował krokami pierwszemi poety niewątpliwie Tomasz Bederman, wydawca Hezydada i kilku rozpraw Cycerońskich, który sam też łacińskie składał wiersze. (Dopóki bowiem innych dowodów, oprócz zaczerpniętych z Janockiego i Boehmusa, nie będzie na to, że nauczyciel Janickiego zwał się Apollinarem, niech będzie wolno nam wierzyć, że owi dwaj uczeni przez „*Apollinaris quidam vir praeceptor*” i „*Apollinaris vir quidam*” rozumieli uczonego poetę, wierszopisa łacińskiego, że więc *Apollinaris* w ich biografiach Janickiego jest przymiotnikiem, znaczącym to, co *Apollineus* (4)).

W roku piętnastym życia, r. 1532 odczytał Klemens w sali, jak się zdaje, popisowej gimnazyalnej, w obec licznie zgromadzonej publiczności wiersz napisany na pochwałę Lubrańskiego, a zyskawszy poklask powszechny, umocnił się tym pierwszym powodzeniem w postanowieniu służenia muzom. Wszakże ubóstwo było na przeszkodzie zamiarom znacnym. Ojciec na dalsze utrzymanie syna przy szczupłym z roli dochodzie już nie mógł wystarczyć; i już miał Klemens, pożegnawszy się ze szkołą i z pięknymi marzeniami, chodzić za ciężkim pługiem, kiedy wyniesiony r. 1535 na arcybiskup-

w bibliot. Świdz. w Warszawie, nazwana wyraźnie *Januszkowo*; i to nazwisko zachowała aż do dni naszych. Wielkopolskę zowie poeta w epigr. 74, 11: *mea magna Polonia*.

(2) El. VII, 9—26, Bielskiego Kronik. pod r. 1515, str. 532 w wyd. z r. 1597.

(3) El. VII, 27 następ.

(4) El. VII, 31—48. Łukaszewicz: Hist. szkół, III, 484. Janociana, III, 23. Jochera: Obraz bibliogr. I, VII. (26, 407, 506).

stwo gnieźnieńskie Andrzej Krzycki, sam biegły znawca starożytności i poeta łaciński, podał rękę młodzieńcowi i wzięwszy na swoją opiekę dał wolny przystęp do swojego dworu (5).

Na dworze Krzyckiego poznał Janicki wielu znakomych w kościele i rzeczypospolitej dostojników i zawiązał przyjaźń z młodzieńcami rówieśnikami, której im do grobu wiernie dochował. Tu poznał się niewątpliwie z Dantyszkiem i Tidemanem Gyzyszem; tu pewnie zaprzyjaźnił się z Rafałem Wargawskim, któremu leżąc już na łożu śmiertelném piękną elegią dziesiątą poświęcił. Tu, na dworze lubiącym zabawy i festyny wspaniałe, z Andrzejem Kromerem, wczesnie bo już w 20tej życia wiosnie r. 1538 zmarłym bratem Marcina kronikarza, puszczał się w zawody poetyckie, kraszając i upiększając utworami, jakie im natchnienia chwilowego uniesienie poddawało, ochocze biesiady (6). Tu wreszcie Janicki pomagał Krzyckiemu w porządkowaniu ksiąźnicy i w zbieraniu dzieł rękopisnych, jak Starowolski donosi; a oddając hołd, na jaki go starczyło, opiekunowi wspaniałomyślnemu, ułożył wiosną r. 1535 elegią XI, a w listopadzie tegoż roku elegią XII (7). Nie długo jednak cieszył się poeta opieką Krzyckiego. W roku następnym trzeci z kolei prymas polski, wyjechawszy późną jesienią do Krakowa, dokąd Janickiego z sobą zabrał, tam w skutek zaziębnienia wpadł w chorobę i już z niej nie wyleczył się. Umarł bowiem Krzycki w Krakowie, dnia 10 maja 1537 r. (W czasie choroby arcybiskupa napisał Janicki elegią XIII złorzeczącą jesieni, i elegią XV do Stanisława Hozyusza; poprzednio zaś epigramata 26 i 27, a po śmierci opiekuna 28 i 29ty (8)). Na nowo, choć nie na długo, zachmurzyła się przyszłość poe-ty. Sławny bowiem Piotr Kmita, wojewoda krakowski, mar-

(5) El. VII, 49—70.

(6) Starowolski: Hecatont. XXVII. Eleg. X i epigr. 5. Janoc. II, 65. 121.

(7) Zwracam tu uwagę na to: że elegie księgi *Tristium* i księgi *Variarum Elegiarum* łączę w jedną księgę, i dlatego I elegią Var. Eleg. mianuję Eleg. 11tą; eleg. II Var. El. elegią 12tą i t. d.

(8) El. XIII pisana w grudniu r. 1536 w Krakowie. W El. XV do Stan. Hozyusza przez słowa w. 21 *sic certa sorte iubentę* rozumieć należy chorobę Krzyckiego.

szątek koronny, pan na Wiśniczu, Bachowie i t. d., podał niebawem dłoń opiekuńczą posmutniałemu młodzieńcowi (9). Odtąd pogodniejsze i weselsze nieco dni pędził poeta to w Krakowie, to w Wiśniczu, lub w innych włościach Kmity. Liczba jego przyjaciół i życzliwych mecenasów wzrastała z dniem każdym. Z Hozyuszem Stanisławem, jak widzieliśmy, już poznał się przed śmiercią Krzyckiego; tudzież za życia prymasa, albo nieco później na dworze wojewody krakowskiego zaskarbił sobie względy lub przyjaźń Stanisława Sprowskiego, wojewody podolskiego: Kromera Marcina, kanonika krakowskiego i sekretarza królewskiego: Jana Antonina, lekarza królewskiego: Justusa Ludwika Decyusza, radcy królewskiego: Augustyna Rotundus, rzecznika w Krakowie: Piotra Myszkowskiego, z którym później bawił czas dłuższy razem w Padwie! Seweryna Bonara, kasztelana bieckiego: Hieronima Łaskiego, wojewody sieradzkiego; Stanisława Górskiego, kanonika krakowskiego i plockiego, i wielu innych (10). O natręctwo jednak i chęć wsrubowania się w łaski tych dygnitarzy nie wolno posądzać Janickiego. Płaszyc się, podstępem pochlebstwem przypodobać się nie umiał; ale wdzięczności dowody chętnie zawsze dawał.

Płodna też w roku tym była muza Janickiego. Oprócz wyżej już wzmiankowanych pieśni ułożył poeta epigr. 33, w którym odpowiedział na epigr. 32 Andrzeja Kromera; opłakał śmierć małżonki, potem brata opiekuna nowego, t. j. śmierć Anny z Górków Kmiciny i Stanisława Kmity w epigr. 47 i 48 i w eleg. XIV; a jakoby chciał odegnać smutek, towarzyszący mu dotąd nieodstępnie, wylewał uczucia swoje tego roku w wesołych już prawie tylko epigramatach (11). To też był młodym; ledwie dwudziesty rok życia był przeżył; a póki zdrowie służyło, lubił żwawą ochotę i pohulanki przyjacielskie. Nie dziw przeto, że nie jeden zrobił wybryk mło-

(9) El. VII, 71—74.

(10) Pierwsza elegia z Włoch pisana do Stanisława Sprowskiego. Co dotyczy innych osób, p. Janociana I. p. 59, 25, 135, 224. O Stanisławie Górskim będzie niżej mowa.

(11) Epigr. 33 odnieść należy do czasu, w którym po śmierci Krzyckiego Janicki niebawem dostał się na dwór Kmity. Dobrze rzecz objaśnił Syrokomla w notach do przekładu poezji Janickiego, str. 184. Do wesołych epigr. liczę: 5, 24, 34, 35, 36, 37 i 38.

dzięczy, że w niejednym epigramacie można napotkać myśli i zdania mniej moralne; ale o rozpustę, któraby ostatecznie nawet zdrowie poety była podkopała i skróciła dni życia, bogdaj nikt nie ma prawa go obwiniać (12). Wreszcie rok ten w dziejach Polski smutnym wypadkiem rokoshu lwowskiego napiętnowany, dał pochop i powód poecie do popróbowania sił swoich w poezji satyrycznej, czyli raczej w elegii dydaktycznej. Napisał bowiem w końcu tego roku lub na początku r. 1538, w każdym razie przed wyjazdem do Włoch: „Skargę rzeczypospolitęj polskiej” (Querela Rei publicae (Polonae)) i „Odezwę do panów polskich” (Ad Proceres), utwory z obawy, aby nie narazić się na nieprzyjemności, starannie w tece przez poetę chowane, w gronie poufnych przyjaciół może tylko czytane i dlatego też wydane dopiero po śmierci Janickiego.

Wśród niepokoju i zamieszek panujących w kraju, w czasie najazdu Wołochów na Ruś i Podole, zatęsknił Janicki do Italii. Opowiadania Stanisława Hozyusza o Łazarzu Bonamiku i Padwie rozogniły ducha i wyobraźnię młodzieńca, który dobrze wiedział, ilu przymiotów niedostaje jeszcze pieśniom jego, aby odznaczały się potoczystością i wytrawnością znamionującą starożytne wzory, i skłoniły go nareszcie do kroku, na który długo dla nieśmiałości wrodzonej nie mógł się odważyć. Oto, zaniósł tkliwą prośbę do Piotra Kmity, aby celem gruntowniejszego wykształcenia się w naukach wysłał go do Padwy:

Zdolnościom moim zbywa, o tём wiesz, na wprawie;
 Dobywa szorstkie dźwięki z lutni strun moj zapał.
 Ty wprawy, ty uatehnienia, ty zapału zdołasz
 Przyczynić, czём Kalliope zwykła darzyć ucznia.
 Ty w krótkim czasie możesz całkiem mnie przekształcić
 I tego, co był gęsią, zamienić w łabędzia.
 Jam miękkim woskiem: łacnie ulepisz, co zechcesz;
 Tём będę, czём sztukmistrza ręka mnie uczyni.
 Oh! abys nieśmiałego serca znał zyczenia
 I, o co w duszy proszę, wysłuchał zyczliwie!

(Eleg. XVI od w. 61).

(12) Porównać można w tym względzie zdanie Masłowskiego „de vita et poesi Jan.” str. 20 i 22, z tём, co powiada Juszyński w Dykeyonarzu poet. polsk. 1, 151 i Chodyniecki w Dykeyonarzu uczonych Polaków, str. 221 pod w. Janicki.

Uczył zadosyć prośbie skromnie wyśpiewanej Kmita i w pierwszej połowie r. 1538 wyprawił w drogę, na której, jak wiemy z listu Stanisława Górskiego, do poety do Włoch pisanego, Janicki miał kilku towarzyszy. Píše bowiem Górski: „Ze zarów i cały przybyłeś do Włoch z towarzyszami i spółnikami podróży, cieszy mnie niewymownie.” Z tegoż listu dowiadujemy się oraz, że Janicki był jeszcze na sejmie piotrkowskim, odbytym w początku r. 1538: a doniesienie to najdowodniej zbija tych, co wyprawiają do Włoch Janickiego już w r. 1537 (13).

Odżył poeta, przybywszy do Padwy, i wyleczył się, jak się zdaje, w krótkim czasie z kataralnej słabości, której nabił się w podróży. Oddany cały życiu zewnętrznemu, przyglądając się rzeczom, stosunkom, ludziom zupełnie mu obcym, zapomniał na miesiąc cały o celu, w którym do Włoch przyjechał. W miesiąc dopiero po przybyciu swoim odzywa się do Łazarza Bonamika z prośbą o przyjęcie go w poczet uczniów, wyrażając oraz cześć, jaką serce jego odycha i od dawna oddać sławnemu naukami mężowi pragnęło.

W w. 35 i nastp. El. XVIII tak do niego się odzywa:

O! gdybyś moje serce znał i wiedział, ile
Cię ceni, za godnego miałbyś mnie przyjaźni!
Wierzysz-li? Jeszczem mieszkał w Polsce, a już w dali
Ku tobie dusza moja miłością pałała.
Z Hozyuszem twoim, boć on twój, o tobie często
Rozmawiałem i sławę głosiłem imienia;
I dzień ten nazywałem świętym i szczęśliwym,
W którymby los oglądać ciebie mi pozwolił.
Spełniło się. Lecz skorom zoczył cię i mowy
Twój pierwszy raz w zebraniu liczném słuhać mogłem,
Zacząłem ciebie czić, bo kochać już nie śmiałem;
I to przyczyną było długiego milczenia.

(13) Dwa listy Stan. Górskiego znajdują się w rękopiśmie willanowskim „Acta sub Sigismundo I.” Pierwszy na stron. 402 nastp. pisany 10 czerwca r. 1538 do będącego już we Włoszech Janickiego. Drugi, pisany w listopadzie l. grudniu tegoż roku, zawiera dzieje miesięcy sierpnia, września i października i ma napis: „Stanislaus Gorscius Clementi Janicio, Scolari Patavino, S. P. D.” Szkoda, że Górski nam nie zachował listów Janickiego. Ciekawy byłby drugi, jak wnosić można z odpisu. Listy Górskiego spolszczone p. w Pamiętniku Warszawskim na rok 1818 w tom. 3 i 4.

Następnie wrażenie, jakie na nim zrobiła ziemia klasyczna, ziemia bogów i bohaterów starożytnych, wyśpiewał w uniesieniu radości i zachwytu w elegii XVII do Stanisława Sprowskiego. Zapał młodzieńczy uniósł wprawdzie poetę za daleko, że w w. 79 zawołał:

Ilż byłbym szczęśliwszym, gdybym na tej ziemi
Błogiej był się narodził!

lecz jakże serdecznie uniesienia chwilowego broni, jak wymownie miłość do ziemi rodzinnej tłumaczy!

Jednakże, gdy tak losy opatrne zrzędziły,
Nie skarzę się, że synem Sarmackiej krainy.
Pod niezmierzonym niebios stropem nie ma ziemi,
Którąbym sprawiedliwie przenieść mógł nad swoją!
Podziwiam Włochy, kraj mój rodzinny czczę, wielbię;
W zdumienie mnie Italia wprawia, kocham Polskę.
Powabem nęci owa, ta potęgą prawa
Mnie dzierży; tu w gościnie jestem, a tam w domu.
Oh! oby mózg oglądać jeszcze kiedyś kraj swój
I ztąd na drogie łono ojczyzny powrócić! (14).

Z tém wszystkiem porównanie, jakie teraz uczynić zdoła, nauczyło go dostrzegać bystro zdrożności panujące w rodzinnym kraju i ujemne strony społeczeństwa polskiego; a choć ich nie wytyka z przyczyny niżej podać się mającej, to przecie przedstawiając wbrew przeciwnie stosunki obcego kraju, wymownie wskazuje, do czego zmierza. I tak w w. 68 woła:

— Bo prawo wzbrania nosić kord u boku;
To też nikt nie przypasze zakazanej broni,
Chyba że w dal od miasta w drogę się udaje.

A w inném miejscu (w. 73):

Nie wygląda jak boju płac sejm; miecz ni poisek
Wśród obrad ludu, patrz, nie szczęka ani świszczcze.

Poprzednio zaś czytamy w w. 55 i nastpń.:

(14) Zdaje się, że Janicki nie był zdrow, kiedy list ten pisał; zapewne ową kataralną słabość rozumieć należy, o której w liście Górski Stanisław wspomina.

Chędogość wielka; nigdzie rozrzutnego zbytku
 Nie ujrysz, co majątek zebrany roztrwoni.
 Zbawienną zachowują miarę w zacnym życiu,
 W pokarmach powściągliwość wdzięczną, wdzięczną w stroju.

Elegia ta do Sprowskiego w czerwcu l. lipcu r. 1538 pisana, a może i nieco rychlój. Wspomina bowiem poeta w w. 15 i 16 wypadki, które działy się wiosną tego roku; a to, co pisze w w. 21, że wenecka piechota zajęła twierdzę Obrowacz, (bo czytać należy *(broaci* nie *Broaci*), stało się w lutym r. 1538. Wypadki te zaś zowie poeta „powszechnie znanemi i nie nowemi.”

Zastanawia to, że nie do Kmity najpierw z Włoch odezwał się Janicki; dziwniejsza, że kiedy wreszcie po dziewięciomiesięcznym milczeniu zdobył się na list do opiekuna swojego (Eleg. III), widzimy poetę jakoś nie swoim. Milczenie długie tłumaczy usilnym zajmowaniem się naukami, osobliwie filozofią; a w końcu, mówiąc poprzednio zagadkowo o nienawiści pragnącej mu szkodzić, (w. 27):

A teraz podejrzenie twoje mnie udreżca
 I wrog, co je podnieta żywi i umacnia;

uniewinnia się nie wiedzieć dla czego i zaręcza, że nic nie zrobił, co by go mogło lub powinno narazić na utratę względów dobrodzieja swojego.

W. 115. Bez zmazy życie me; do winy, co by słusznie
 Twych względów pozbawiła mnie, się nie poczuwam.

Oczywiście jakieś porozumienie niedobre miał Kmity o Janickim, i powszechny głos Orzechowskiego Stanisława, zazdroszczącego pocie sławy i względów wojewody, mianuje sprawcą plotki, która może nawet przyczyniła się do tego, że ręka dobroczynna Kmity usunęła się lub usunąć się chciała (15). Dlatego poeta odzywa się w w. 29 i nastp.:

(15) Wnoszę to także z potrzeby przyjmowania zasiłków pieniężnych od Łazarza Bonamika; dalej z Eleg. XX p. k., V, 57. VI, 25. 45. Epigr. 64, 75. Co dotyczy Orzechowskiego, p. Janociana I, 135. Pamiętn. Warsz. na rok 1811, str. 196. Chodyniecki p. w. Janicki. Rękopism Krzyckiego poezji w Bibliot. Raczyńskich w Poznaniu ma tytuł „Poëmata Andreae Cricii.” In fol., bez paginacji, jest z końca XVIgo l. początku XVII wieku.

W obawie dusza moja i na przyszłość z trwogą
Spoglądam, jak na chmury wszczątek biedny żeglarz,
Trwoga we dnie mnie dręczy, a sny straszne w nocy i t. d.

Że plotka przez Orzechowskiego rozniesiona niesłusznie szarpała sławę poety i że Janicki czuł się zupełnie niewinnym, choć zawiść skutecznie, jak się zdaje, kopała pod nim dołki, to dał do zrozumienia w epigr. 21, noszącym tytuł w wydaniach: „*De innocentia*,” w rękopiśmie zaś poezji Krzyckiego (w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu pod znakiem II H. b. 7): „*Janicius Clemens in calumnias Stanislai Orzechowski, qui eum apud patronum suum, Petrum Cmitam, ex invidia accusabat.*” Epigram ten brzmi:

Często potwarz zły człowiek rzuca na niewinnych,
Pod miecz katowski poddać myśli zaczął głowę;
Lecz ciesząc się z swęj zbrodni, sam pada i ginie!
Tak niewinnych mszcząc Pan Bóg wynosi i wsławia.
Świadkiem ot Daniel, do lwiej wrzucony jaskini:
Zuzanna, co na sędziów niecnych każn wymierza.
Ufaj encie! z nią, majtku, nigdy nie utoniesz
W móżr głębiach, choć rozbitkiem miotać będzie burza!

Gdyby nie ten niemiły stosunek, niezawodnie r. 1538 i początek następnego należałoby policzyć do najszczęśliwszych chwil w życiu Janickiego.

Jeszcze Elegia XIX do Piotra Bemba, może w maju r. 1539 pisana, oddycha czerstwem zdrowiem i wesołością zacnego młodziana, oddanego gorliwie nauce, ale lubiącego oraz rozrywki, na których nie zbywało, bądź to w gronie Polaków bawiących się naukami w Padwie, bądź w domu Bonamika lub włościach kardynała Bemba. To też rok pobytu we Włoszech, jak powiada poeta w w. 9:

Rok ten na skrzydłach uleciał mi szybkich,
Niepostrzeżony wykradł się. Dlaczego?
Gdy o to pytasz ty, chlubo Wenetów,
Bembie, do Ojców policzon kościoła,
To chyba nie wiesz, że w niedoli wolno
A szczęśliwemu rąco czas ubiega.
Bo ja przynajmniej, odkąd żyję w Padwie,
Mniemam, że życie przepędzam w niebiosach
I wołam: nazbyt, zbyt jestem szczęśliwym,
Dopóki taki los służył mi będzie!

Niestety! niebawem przeminąć miały szczęśliwe chwile Janickiego. Wkrótce po napisaniu elegii do Bemba choroba ciężka napadła poetę, rzuciła na długo na łożo boleści, złamała siły ciała, choć sił ducha nadwerężyć i uszczuplić nie zdołała (El. VII, 79). Owszem, w czasie tej choroby napisał jedną z najładniejszych elegii (II) do Matki Boskiej, jakoteż piękną pieśń (El. XX) do Stanisława Sprowskiego. Pierwsza, pełna religijnej pokory, gorącą jest modlitwą znękanego bólem i cierpieniami człowieka. Posłuchajmy, jakie dzięki poeta składa od w. 11:

O! w utrapieniu zawsze najwierniejsza
 Wspomożycielko moja! Córko Boga
 I oraz Matko Najwyższego! Teraz,
 Teraz też na mnie spuść oko łaskawe,
 I sługi prośby jęklive bierz w ucho!
 Bo że mu wolno dotąd tak wyrzekać,
 Że jeszcze mowy nie stradał, to wszystko
 Tobie on winien. Tobie winien także,
 Że odrobina życia pod tą skórą,
 W zylach i kościach moich pozostała!

W drugiej pieśni do Stanisława Sprowskiego przebija i maluje się niepokój i obawa o przyszłość, obok nietajonego przed mężem wielce szanowanym uczucia nieprzyjemnego, że źle dzieje się w kraju: uczucia, z którego jednak nie śmie poeta publiczności się zwierzać. Mówiąc o Wołoszynie, którego przedtém nieraz dzielne Polaków ramię pod wodzą Sprowskich upokorzyło, a który w bieżącym roku spustoszywszy część Polski traktatem przymierza miał być powstrzymany od dalszych kroków nieprzyjacielskich, woła poeta z oburzeniem (od w. 43):

Traktatem on, co niegdyś nie przymierza
 Znał z Polską, jeno jarzmo straszne znosić
 I ciężkie pęta dźwigać się nauczył!
 Cóżby w mogiłach dziś Twój przodkowie
 Rzeczy mogli, gdyby prochy wskrzesić w grobach
 I mową nadać można?—Wolę milezców.
 Mogłaby kogo prawda słów obrazić,
 Bo prawdomówny sąd złości gmin ludzi.
 Lecz, jeśli losy zechcą, przyjdą czasy,
 Gdzie ciebie, twoich pieśnią, jaką muza
 Mnie natchnie, sławić będę; żadnej wtedy

Nie lękając się zawiści, ni gniewu,
Wyśpiewam jawnie, szczerze prawdę całą (16).

Wreszcie, może w końcu tego roku lub na początku r. 1540, kiedy Janicki już odzyskał siły i zdrowie, napisał eleg. XXI do Franciszкана, będącą wprawdzie w sprzeczności niemałej z elegią II, lecz z innych względów wcale udatną. Odznacza się bowiem wierszem gładkim i wystawieniem płynnym, lekkim, Owidyuszowem. Wymawiając się od tego, o co był proszony, odzywa się dalej:

Podaj treść młodym siłom odpowiedną,
Bez zwłoki dowód dam mej uczynności;
Lecz dać nie zdołasz; miłości rodzica
Sama osnowy dostarczyć mi może
Do pieśni moich. A gdy mi dorodną
I hymnu godną dziewicę ukaze,
Jakże uroczą pieśń wtedy ułożę!
Inaczej wtedy o mnie mówić będą:
Żem w trenach albo, Owidyuszu, tobie,
Albo też tobie wyrównał, Tybullu!
Dosyć wymownie usta i jagody
I jasnowłose warkocze wystowię,
I w głos zapłaczę, gdy mi obiecanęj
Odmówi schadzki nocnej, lub obrazi
Może miłością do innego męża i t. d.

Wszakże chociaż do sił i zdrowia wracał poeta i wdzięczność za to serdeczną wyraził w elegii IV Janowi Chrzcicielowi Montanowi, lekarzowi, który go z poświęceniem opatrywał w chorobie, a później Łazarzowi Bonamikowi, który do niego Montana i Kassana, lekarzy sprowadził, sam pocieszał w słabości i datkiem pieniężnym wspierał; przecie za radą lekarzy miał opuścić kraj włoski, tak ukochany i tyle uwielbiany, i czémprędzej wrócić do ojczyśczej ziemi, aby klimat rodzinny wpłynął zbawiennie na odzyskanie sił wycieńczonych febrą i wodną puchliną (17).

Przed odjazdem poety Bonamik, wysoko ceniący jego talent niepospolity, dał jeszcze inne dowody szacunku i przywiązania do uczonego cudzoziemca. Oto, przez pośrednictwo

(16) P. El. XX do końca.

(17) El. VII, 81 nst. El. VI.

kardynała Bemba wystarał się u papieża Pawła III o laur poetycki (Epigr. 52, 53), a przez M. Antoniusza Kontarenuś, patrycyusza weneckiego, o godność doktora filozofii. Zaszczyc ten spotkał poetę na dniu 22 lipca r. 1540. Jedno i drugie, t. j. laur poetycki i dyploma na doktora filozofii otrzymał Janicki z rąk rzeczzonego Kontarenuś, dawszy poprzednio dowody gruntownej erudycyi i wykształcenia filozoficznego w egzaminie ścisłym, odbytym na posiedzeniu publiczném professorów uniwersytetu padewskiego. O tém poucza nas brzmienie dyplomu poecie wydane go, który w całości przytoczył Łukaszewicz (w tom. I Hist. szkół w uwadze na str. 75). Powiedziano w nim między innymi na pochwałę Janickiego, że w dysputach tyle okazał bystrości, nauki i pamięci i tyle dowodów dał na to, że posiada to wszystko, czego się wymaga od wytrawnego filozofa, iż przeszedł oczekiwanie wszystkich uczonych professorów i jednogłownie i jednogłownie uznany został za gruntownie obeznanego z filozofią i naukami i t. d. Niebawem po tym akcie uroczystym Bonamik, wsparłszy zasiłkiem pieniężnym poetę, wyprawił w podróż do rodzinnego kraju do Krakowa (18).

W Padwie poświęcali się naukom wspólnie z Janickim Piotr Myszkowski i Andrzej Chwalczewski, ile z utworów poety samego wnosić wolno. Pierwszy z nich jeszcze tam pozostał po odjeździe poety, drugi zaś przed powrotem Janickiego do kraju umarł, spadłszy z konia i kark złamałszy. Wypadek ten smutny opiewa Janicki w nagrobkowym epigramacie 49:

W igrzysku rozbił głowę koń mi; w grobie
Tym przyjaciele złożyli popioły.
Za tę przysługę niech wam les pozwoli
Wrócić do kraju, czego mnie odmówił.

(18) Eleg. VI, 48 nst. P. Syrokomla, na str. 11 uwag. 4. Masłowski, str. 16 i 17. Początek dyplomu brzmi: *Significamus igitur vobis, quod coram nobis M. Antonio Contareno Equite et Comite etc.* W imieniu tego członka sławnej rodziny weneckiej *Kontarini*, zdaje się, zaszła jakaś pomyłka. Żył wtedy i słynął jako niezmordowany obrońca kościoła *Gasparo Contarini*, mianowany w r. 1535 kardynałem przez papieża Pawła III. Polityk oraz dyplomata ten zręczny umarł 1542.

Było niewątpliwie wówczas daleko więcej Polaków w Padwie; choć zdaje się, że doniesienie z rękopismu współczesnego przytoczone przez Łukaszewicza nie zupełnie na wiarę zasługuje. Wymieniony tam między innymi Stanisław ze Sprowy, gdy tymczasem z utworów Janickiego nie trudno udowodnić, że wówczas Stanisław Sprowski już był wojewodą podolskim (19). Z epigramatycznych płodów Janickiego do pobytu we Włoszech odnoszą się oprócz 49-go, także 45, 50 i może 51. Na podróży z Włoch do Krakowa Janicki, albo że nie miał funduszków na ukończenie podróży, albo, jak zwykle mniemanie, że zachorował, musiał w Wiedniu szukać przytułku. Nie wspomina wprawdzie poeta o tym wypadku w eleg. V, pisanéj może w październiku r. 1540 za powrotem do kraju i Krakowa do Piotra Myszkowskiego; ale wniosek ten wyprowadzić wolno z pieśni ślubnéj (Epithalamion) do Zygmunta Augusta, gdzie, wychwalając urodę oblubienicy królewskiej, powiada w w. 9 i nastp:

Nie z opowieści wiem to. Sam, sam ją widziałem
We Wiedniu, kiedym biedny gościł u bogacza.

Co dotyczy elegii pisanéj do Myszkowskiego, zawiera ona żywy i humorystyczny opis przeprawy z Włoch do kraju rodzinnego przez Styryą i Morawią. W przekładzie brzmi:

Jeżeli tobie i twoim los sprzyja łaskawy,
To i mnie życzliwości za wiele okazał:
Bo choć schorzały jestem i ciało nie wolne
Dotąd od owéj wody pod skórą rozlanéj,
To przecie jadu prawie nie się nie zostało
Wówczas, gdym od was w podróż puszczał się daleką.
Lecz wiesz, że żeglarz, kiedy złatał łódź nadpsutą,
Nie zaraz z nią na morze otwarte wyjeżdża,
Nie, wprzód nad brzegiem, w porcie samym jéj doświadcza,
Czy do podróży każdéj dosyć już przydatna:
Ogląda szpary, klei, zatyka i zwłoki
Żadnéj, gdy tém zajęty, nie mieni być długą.
Jam nazbyt był zapędnym żeglarzem, bom nagle
Naraził słabe ciało na daleką podróż;

(19) O Andrzeju Chwalczewskim i Falczewskim (Phalcevius) p. Przyborowskiego: Życie domowe Stanisława Chwalczewskiego, str. 7. P. Bielski: Kronika pod r. 1529.

A zniosłem na niej tyle przygód, że wędrowca
 Zahartowane siły byłyby zużyły.
 Na deszczu przez dwanaście dni nieustającym,
 Zmieszanym często nawet z gradem albo śniegiem,
 I to po krętych drogach, niedostępnym skałach,
 Po stopniach Alp na nędznym wlekąc się szlaku,
 Przez duszne mgły siarczanym wyziewów, a których,
 Jak wiesz, gór owych pasma mają w obfitości,
 I co najgorszem jeszcze i najsrozszą kaźnią,
 Przez miasta i przez wioski styryjskie jechałem.
 O! wtedy w głos wołałem. Jakże cudzoziemiec
 Szczęśliwy, co po Scytów ziemi podróżuje!
 Lud zaden, jak alpejski, tak nieokrzesany,
 Dzikszego nad nich nie ma nic, prócz wilków chyba!
 Przychodź tam w pogardzie u wszystkich, gość wrogiem,
 Osobliwie gdy płaszczem włoskim przyodziany.
 Owa, w tak niegościunym domu kąt wygodny
 Mogłem znaleźć dla siebie, przemókłszy do nitki!
 Dalej, nieświadom mowy, schorzały, na migi
 Rozmawiać i tłumaczyć zyczenia musiałem.
 A chociaż zrozumiano z czasem znaki, nikt tam
 Życzeniom moim zadość uczynić nie myślał.
 Owszem, pijana tłuszcza gdym prosił, wyśmiała
 Udając, że prośb moich nie rozumie wcale.
 Dla tegom często musiał z głodu jeść, co jako
 Truciznę niewątpliwą potywać wzbroniono.
 A skorom do Morawii zstąpił i górzysta
 Pannonia w tyle za mną cała pozostała,
 Pijałem wino wapnem zaprawne, bo pono
 Takie wino się rodzi w owych okolicach—
 Lub napój, który u nas z wrzącą pomieszany
 Bywa wodą i smak ma podobny do wina,
 Napój zaiste! wcale przyjemny, lecz zdrowiu
 Mojemu oczywiście niekoniecznie płuży (20).
 To oto, a niejedno pomijam, wycierpiał
 Wasz druh, co krótko wami niestety! się cieszył.
 Do kraju uciekł biedny, zaniechawszy nauk
 Tak prędko, by na obcej nie umierać ziemi.
 Tu bliższym już być mniema zdrowia pierwotnego;
 Pewnie wpływ jakiś technienie ma ziemi ojczystej!
 Ty zaś, któremu niebo zyczliwe wciąż sprzyja,
 Bądź zdrów i żyj naukom twoim tam oddany.
 Nie, że wiele zawdzięczam ci, o to się modłę,
 Lecz dla dobra ojczyzny kochanej i nauk.
 Kraj i nauki blasku od ciebie nabiorą,
 Niech-no prządka zyczliwa pasmo życia snuje!

(20) Zdaniem mojem mowa o miodzie; podług Wiszniewskiego, o piwie. P. Słown. Lindego.

Z Krakowa następnie, tegoż roku w listopadzie lub grudniu, wyśpiewał dziękczynną elegią VI Łazarzowi Bonami-kowi, o której już wyżej była wzmianka. W pieśni tej nauczycielowi swojemu wyraża i zapewnia najczulszą i niepoży-tą czasem wdzięczność za wszelkiego rodzaju dobrodziej-stwa, odebrane w czasie więcej niż dwuletniego pobytu we Włoszech.

Rodzinny klimat, którego wpływ zbawienny zdaniem lekarzy padewskich miał przywrócić siły poecie, nie bardzo skutecznie działał; i bywały chwile, kiedy zdawało się, że wodna puchlina zadusi i porzuci na mary Janickiego. W ta-kięj chwili niebezpiecznej napisana elegia VII, zawierająca biografią poety i niby spowiedź z życia ubiegłego. Żal poe-cie zejść ze świata w tak młodocianym wieku; żal głównie dlatego, że jeszcze nie tknął się lub nie dokonał wielu prac ważnych, którymi chciał przysłużyć się ojczyźnie i uspra-wiedliwić wielkie o nim mniemanie. Ale nadludzką prawie pomoc i sztukę Jana Antonina uznaje i dziwi się, że lekami tak długo nawet umiał wskrzeszać tylekroć konające już ciało (21).

Jednakże i tym razem cało uszedł z niebezpieczeństwa poeta i wraz z zdrowiem odzyskał wesołość dawniejszą. Zdaje się nawet, że w ostatnich miesiącach r. 1541 i przez cały rok 1542 wolnym był od dolegliwych cierpień i obło-żnej choroby. Na ten okres bowiem w życiu Janickiego przypada prawdopodobnie kilka wierszy, świadczących o sto-sunkach miłosnych, krótszych lub trwalszych, jakie miał poeta z trzema dziewczycami, mianowicie z Elżusią (Halszką), jakąś Krakowianką. Epigramy 8, 9, 22, 36 i 44 odnoszą się do tych stosunków. Że one wszczęły i zawiązały się do-pięro po powrocie Janickiego z Włoch, tego dowodzi Epig. 44, *Sub nomine Alb. St. Amici*, choć Syrokomla podług zwyczaju swego wcale zręcznie wprowadzie, lecz z obrazą prawdy rzecz przekręcił i przeinaczył w przekładzie swoim. Część tego epigramatu brzmi tak w dosłowném prawie tłu-maczeniu:

Szczęśliwy, kto przedmiotu miłości nie zmieniał
Aż do dnia, co ostatni sprowadza skon smutny.

• (21) Eleg. VII, 131 do końca.

We mnie Wenera sroga to wniesca, to tłumi
 Zapały i wciąż sprawia w sercu jakiś zamęt.
 W tym też, w tym właśnie roku trzykroć mnie w obroty
 Wzięła, wzniecając w sercu pełne trosk zapały.
 Pierwszy raz pokochałem, *gdym powrócił z Lacyum*;
 Nie na długo miłości tej jednak służyłem.
 Drugi raz silniej strzałą raził mnie Kupido
 I tём mnie z jarzma pierwszej uwolnił miłości.
 Równego losu druga doznała; jak sama
 Pierwszej, jej trzecia miłość na zgubę się wszczeła.
 Niestety! trzecia nazbyt srogo mnie zraniła
 I panuje nademną całym swym urokiem.
 Pali, dźga, dręczy, męczy, odbiera mi rozum,
 Pozbawia przytomności, śmierć lub życie daje.
 O zbyt sroga dziecino, ale pełna wdzięku,
 Co życie czynisz przykrém a śmierć pożądaną,
 Czemużes z swój ojczyzny przez kraje dalekie
 Po drodze niebezpiecznej szła za śladem moim?
 I nie było ci trudno, przejść przez Alpów szczyty,
 Na których często rumak dzielny stracił gardło?
 Wiem już, czemu ci chyże skrzydła dał Helikon,
 Wiem już, dla czego rączą stopą cię udarzył (22)!

Trzecia miłość w powyższym epigramacie opisana przedstawia nam zdaniem mojem, stosunek poety do Elzusi. Nie mogę się przeto wcale zgodzić na mniemanie p. Masłowskiego, jakoby ta miłość była idealną i tak uroczą, jak ją na str. 32 i nastp. skreślił. Owszem, zdaje mi się, że ta Elzusia ani ubogą nie była, ani poecie wzajemnością się nie odplącała, i że raczej posądzić ją wolno o zalotność, której schlebiało, że młodzieńca poetyckim bluszczem uwienieczonego i sławą okrytego wprzegła do rydwanu Wenery i na uwięzi trzymała. Bo jakże sobie inaczej wytłumaczyć słowa przepiórek posłanych kochance, które oczy Elzusi zowią „na zgubę Janickiego zrodzonymi?” O zmienności w postępowaniu dziewicy świadczy dalej epigr. 8, gdzie poeta o sobie wypowiedzi, że „*rotatur imperio ejus*” t. j. że nim kochan-

(22) „Dzieciną sroga, lecz pełną wdzięku” jest Kupidyn. Syrokomla wyraził: *Primus amor reducem Latiis excepit ab oris* tłumaczy: „Naprzód w podróży w cudzej krainie i t. d.” i tём samém przenosi widownię z Krakowa do Włoch. Dla tego też Kupidyn (podług Syrokomli) za Janickim z ojczyzny *poety*, a nie ze *swojój* t. j. z Włoch, przez Alpy przedarł się, aby serce strzałą przesyć i zranic.

ka obraca i kieruje według upodobania. O tém samém świadczy także cały epigram 9, który krom tego dowodzi, że i miłość Janickiego nie musiała być tak silną i stałą, kiedy w końcu przysięga i zaklina się, że „miłość jego wiecznie trwać będzie, jeżeli kochanka na zawsze urodę kwitnącą zachowa.” Z tém wreszcie zgadza się zupełnie to, z czém poeta w końcu wyżej w części przytoczonego epigramatu 44 do Kupidyna się odzywa:

Lecz zostań przy mnie; ze mną wraz, wiło, ulecisz;
Gdy mnie panią przejednasz i wyjednasz wiarę,
Natenczas chylżem skrzydłem uciekaj z sił wszystkich,
A i mnie, błagam o to, użyz skrzydeł swoich!

Dawniejsze elegie erotyczne o Leukorodzie i Alfezybei, spalone przez poetę, nie miały zapewne żadnej podstawy rzeczywistej i były utworami zmyślonemi wyobraźni młodzieńczej (23).

W tym samym czasie, kiedy epigramy miłosne, napisał Janicki także dwie obszerniejsze elegie, opiewające wypadki historyczne. Elegia VIII do Jana Antonina, lekarza, mniej udatna, zawiera stolicy Węgier, zdobytej przez Turków, rozpaczliwą skargę. Za mniej udatną uważam tę elegię pod względem układu i połączenia części, i co ważniejsza, dla tego, że o celu przedmiotowym pieśni poeta zupełnie zapomniał. Elegia ta bowiem, jak wszystkie prawie, mają cel podwójny: przedmiotowy i subiektywny (podmiotowy). Celem przedmiotowym niniejszej elegii jest, pocieszyć osobę, do której pisana, a subiektywnym, przedstawić smutne położenie i dolę Węgier i chrześcijaństwa. Zobaczymy, jak z tego zadania poeta się wywiązał. W początku przemawia do lekarza przyjaciela, bolejąc nad smutnym stanem jego ojczyzny; poczem utyskuje na nieczułość władców i ich nieprzezorność, że, zważając jedynie na to, co ich bliżej obchodzi, nie myślą stawić oporu i położyć tamy zespolonemi siłami zdala grożącemu a zagrażającemu wszystkim chrześcianom niebezpieczeństwu. A powinny ich przecie, jeżeli nie dawniejsze

(23) I to także, że w eleg. VII nie o tych miłośkach, zwłaszcza o Elżusi nie wspomina, dowodem jest na to, że te stosunki później się wszczęły.

zabliźnione już rany, to upadek Budzyna przynajmniej otrząsnąć i obudzić z letargu i obojętności. Po tym wstępie stolica Węgier, Budzyn, sama kreśli obraz nieszczęścia swojego aż do w. 100. Następnie zemdlona pada, we łzach się rozpluwając; lecz nie skamieniała, jak Niobe, coby niezawodnie było nastąpiło, gdyby była mogła przewidzieć, co ją i kraj później spotkało. Poeta sam przeto (za stolicę zemdloną) opowiada klęski zadane krajowi przez Turków, powtarzając się w opisach, przeznaczonych głównie dla królów, co nie pośpieszyli Węgrom na pomoc. Zapomina poeta dalej o klęskach wyrządzonych Węgrom i zastanawia się nad niebezpieczeństwem, zagrażającym chrześcijaństwu; skarży się na to, że losy zmówiły się z Turkami na zagładę chrześcijan i widzi w tym zrzędzenie Boskie i koniec świata się zbliżający, którzy różne znaki, także i zjawiska niezwykle przepowiadają. Na tym kończy się prawie elegia, w której poeta o osobie lekarza, któremu ją poświęcił, już zupełnie zapomniał; bo zamyka ją życzeniem, aby jego samego śmierć zabrała, zanim ten straszny dzień końca świata się zbliży (24).

W drugim utworze, w elegii IX do Seweryna Bonara opłakuje Janicki śmierć Hieronima Łaskiego, dając oraz jasny obraz czynnego życia męża tego i ówczesnej polityki habsburgsko-węgierskiej. Wiersz ten, jeden z najlepszych, odznacza się przed innymi zewnętrzną formą swoją. Oprócz wstępu i końca, zwróconych do Bonara, i krom pochwały na inne zasługi Hieronima Łaskiego, mieści bowiem w sobie gatunek *trenody*, mającej, jak sielanki niektóre Teokrytowe, jak Biona tren na śmierć Adonisa, Moschosa tren po śmierci Biona, jak kilka chórowych (trenetycznych) pieśni Eschylosa wreszcie. formę muzyczną tego rodzaju, że lament ten zaczyna się od dwuwiersza, który niby *versus intercalaris* t. j. wrotka (refrain) po szesnastu wierszach się powtarza i wraca. Przeznaczona zaś jest *trenodya* na to, aby Europie wykazać

(24) W elegii tej powtórzył poeta ustęp cały z poematu „*Querela Reipublicae*” z tą różnicą, że w owym opisuje najazd Wołochów na Ruś, w tej elegii zaś najazd Turków na Węgry. Powiedziano już wyżej że „Skargę Rzeczypospolitej” zachował poeta w tece. Co dotyczy Budzyna, rozumie poeta tu najazd austriacki na tę stolicę r. 1540 i oblężenie jej przez Solimana r. 1541.

dzielne przysługi, wyświadczone jój przez Łaskiego w sprawie tureckiej. Dla tego owa wrotka powtarzająca się brzmi:

Europy ludy, które dręczy Turek, płaczcie!
Oplakujcie Łaskiego mego śmierć niegodną!

W roku 1542 ułożył poeta także: *Życia królów polskich, Życia arcybiskupów gnieźnieńskich, oddawna zaczęte, Satyrę na niestałą rozmaitość odzieży Polaków, wreszcie Epithalamion* może, a z epigramatów prawie wszystkie od 52—76.

Epithalamion bez zaprzeczenia jest najpiękniejszym utworem Janickiego. Rozpada się na dwie części. W pierwszej: „*Ad Sigismundum primum, regem Polonorum*” wzywa poeta Zygmunta Starego do radości z powodu ożenienia syna i że doczekał się chwili tak błogięj w późnej starości i w kraju szczęśliwym a uszczęśliwionym przez niego. Poczém zastrzegłszy sobie otwartość i szczerłość, bo:

„Nie będę cię wystawiał królu, jak pochlebea,”

opisuje poeta zwycięstwa odniesione nad różnemi ludami, głąkoki spokój po uśmierzeniu wszystkich nieprzyjaciół panujący w kraju, zamożność Polaków, bogactwo ich rynsztunku i stroju, jakiem dawniej chyba książęta mogli się poszczycić, wzrost nauk i kunsztów różnych, np. ogrodownictwa; wielbi dalej króla, że na chwałę Bożą tyle pięknych wznosił świątyń, i że kościoły i sługi Boże hojnie wyposażył. Snać łaska Boska, jak przed narodzeniem się jeszcze Zygmunta, tak i teraz nieodstępnie towarzyszy i sprzyja królowi i jego rodowi. Z łaski Bożej sam Zygmunt jest jednym z najpotężniejszych władców, objąwszy rządy po dwóch starszych braciach w Polsce; brat najstarszy (Władysław) dzierżył rządy nad dwoma narodami: węgierskim i czeskim, a młodszy, będąc prymasem-kardynałem, wliczony po śmierci w poczet świętych Pańskich; z łaski Bożej liczne siostry (pięć) są matkami książąt germańskich; z łaski Bożej miał Zygmunt zięcia króla, córkę brata widzi na tronie cesarskim, a syna już za życia swego powołanego do rządów przez naród polski. Żaliż widok taki nie powinien rozweselić serca twojego:

„Starcze szczęśliwy, najszczęśliwszy z królów?”

Jednego przecie do dopełnienia miary radości potrzeba ci i braknie; ale i wnuka będziesz wnet oglądał; a radości większej (tak kończy poeta), chyba doznasz w niebie, do którego niech Bóg cię powoła po długich latach. Uroczy to obraz potęgi królewskiego domu i potęgi ówczesnej narodu; a wystawiony w żywych kolorach i mistrzowskim malowany pędzlem. W środku obrazu, oto siedzi na tronie Zygmunt sędziwy i czeka, promieniejący od radości, na zbliżających się syna swego i córkę cesarską a przyszłą synowę. Wkoło tronu i grodu królewskiego kraj polski rozacza swe wdzięki. Widać urodzajne niwy, ogrody zaciemnione liściem nieznanym przedtem drzew i kwiatów, w licznych zakładach naukowych rozlegają się wymowne słowa uczonych nauczycieli, a w mnogich świątyniach głos kapłanów poucza lud i wielbi Boga. Na kończynach państwa i obrazu bielejące kości i strzaskany oręż, przypominają świetne zwycięstwa, odniesione nad nieprzyjaciołmi. Na polach Woroyowa, Orszy, Staroduba, Obertyna, Buska, Kamieńca, Trębawli, Podhajców zapewniono mir słodki i głęboki krajowi. Tymczasem od południa do grodu królewskiego zbliża się orszak ślubny. Otaczają go hufce zbrojnych Polaków, a wszystko na nich od srebra, od złota; witają go rzesze mieszczan i wieśniaków w stroju bogatym, w szatach świątecznych, bo lud wszystek zbogaciał i dobrobyt rozsiadł się w kraju. Napełnia radością widok ten króla sędziwego, a potęguje radość blask i sława własnego rodu, którego licznych członków widział lub widzi dotąd osadzonych na wielu tronach państw europejskich.

W drugiej części „*Ad Sigismundum secundum Augustum, Polonorum regem*” maluje poeta naprzód wdzięki księżniczki Elżbiety (nie Anny, jak Wiszniewski pisze), córki Ferdynanda I cesarza; dalej zachęca Zygmunta Augusta, którego męstwo okazane w młodocianym wieku pod Chocimem wielbi i porównywa z męstwem Leszka Białego, do naśladowania ojca, zaleca wojewodę podolskiego, Mieleckiego, jako męża doświadczonej cnoty i męstwa, co od dzieciństwa w obronie kraju pędził życie w obozie; radzi pilnie wyszukiwać cnotę kryjącą się w cieniu i dawać opiekę naukom, podając za przykład Jagiełłę, Alexandra Wielkiego, Scypiona, Macieja króla węgierskiego i cesarza Zygmunta, i zaręczając, że ci

mężowie nauki opiszą czyny jego i sławę imienia rozniosą po całym świecie.

Dyalog zawierający satyrę na niestałą odzież Polaków, a w którym rzecz prowadzą król Władysław Jagiełło i Stańczyk, napisany dowcipnie, ważnym jest z powodu opisu rozmaitéj odzieży obywateli i wojska polskiego w owych czasach.

Z epigramu 64 do Piotra Kmity:

Prócz mnie wszyscy cię widzą; innym, mnie wyjąwszy,
 Życzliwyś; bliskiś ciałem mi, daleki chęcią.
 Widzę, żeś gniewny na mnie, ale nie wiem, jaki
 Powód i co przyczyną tak wielkiej niełaski,
 Może w czem przewiniłem; wždy ty, co tylekroć
 Największe darowałeś urazy, mnie przebacz i t. d.

dowiadujemy się dokładnie, że obojętność, którą wojewoda krakowski Janickiemu już za bytności jego we Włoszech okazywał, w kraju wzmogła się i wzrosła, kiedy aż stronił od poety (25).

Nie dziwimy się téż wcale, że człowiek tak prawy, uczciwy i nieprzebiegły, jak Janicki, mógł stracić łaski możnowładcy, jeżeli choć w części tylko prawdą to, co nam bezimienny autor *Vitae Petri Kmithae* (w tomie II Długosza Kroniki str. 1612 w wydaniu lipskiem z r. 1712) w ustępie: *Servi ac domestici Kmithae* o osobach na dworze Kmity przebywających donosi. Powiada ten osobisty może nieprzyjaciel wojewody, „że dworzanami, klientami, sługami byli ludzie skalani występkami. Oddawali się bowiem Kmicie na posługi biedacy rodu szlacheckiego i gminu, gracze, hulaki, burdy, zabójcy, którzy lękając się surowości prawa dla zbrodni popełnionych, kryli się u niego i służyli mu bezpłatnie jedynie za to, że ich zasłaniał od kary... Miał, pisze dalej tenże biograf, téż na dworze swoim ludzi świeckich, bezbożników, splamionych wielu występkami... sędziów, podsędków, szczwanych pieniaczy rój, potwarców złośliwych, którzy, przybierając minę poczciwców, podstępem i postrachem odrwiali ludzi, podbechtywali przeciw królowi i sprawy jak najniesprawiedliwiej rozsądzałi.” Otóż powtarzam, choćby w części tylko prawdą było, co temu au-

(25) Porówn. koniec epigr. 53 (do Kmity).

torowi może zawiść podyktowała osobista, Janicki nie mógł mieć powodzenia na dworze złożonym z podobnych ludzi. Jak niegdyś młodym Rzymianom na schyłku rzeczypospolitej, czepiającym się tego lub owego z możnowładców potężnych, aby nabyć wziętości i dojść do dostojenstw, tak też za czasów Janickiego u nas podobnym jemu młodzieńcom trzeba było zręcznie i dyplomatycznie sobie poczynać, aby zjednać sobie potężnego opiekuna; a niewypowiedzianie trudniejszém było zadanie, zapewnić sobie jego łaski i znosić kaprysy, nie pozbawiając się osobistej godności i nie zrzekając się swobody i niezależności w postępowaniu i życiu; zwłaszcza że intrygi i potwarz zazdrośników zadanie to jeszcze utrudniały. Co w Rzymie światowemu człowiekowi i poecie, jak Horacyusz, udało się, uczuciowemu piewcy Janickiemu na dworze Kmity udać się nie mogło żadną miarą, głównie dlatego, że sam nie znał się na dworskich fortelach i że przeciwnicy zanadto dobrze umieli korzystać z czasu jego nieobecności, tak że go zupełnie, jak się zdaje, wyrugowali z pamięci i łaski pana wojewody. Atoli na tém nie szkodował Janicki wcale, bo niewątpliwie Sprowski Stanisław, Piotr Myszkowski, Wargawski Rafał, tudzież lekarz Antonin i Rotundus wspierali poetę, któremu nawet pomiędzy obywatelami krakowskimi nie zbywało na przyjaciół. Wiemy np. z epigr. 75, że Hieronim Spiczynski, rajca krakowski i lekarz Zygmunta Augusta, zapraszał go na wieś do siebie, na co mu poeta odpowiedział następującym epigramem humorystycznym:

Chcesz miie zabrać, Spiczynski, z sobą na swe włości;
 Zgoda na to, lecz jeden podaję warunek:
 Niech towarzyszą Muzy nam, które z naszego
 Miasta rodem: dla ciebie jedna, dla mnie druga.
 Bo dziewięć Helikońskich, jakże one jeden
 Mąż, do tego schorzały, zabawić potrafi?

Gorliwa praca i pora nieprzyjazna rzuciły wreszcie Janickiego na łożo śmiertelne. W początkach r. 1543 już złożony niemocą. Wiersz do Rafała Wargowskiego (El. X) w Krakowie tego roku wiosną pisany, wyraźnie to wypowieda, a jeszcze wyraźniej utwór ostatni większy, t. j. elegia I do Samuela Maciejowskiego.

Co dotyczy el. X, sędzono powszechnie, że z Włoch pi-
sał ją Janicki. Tymczasem początek jęj wyraźnie uczy, że
pisana w Krakowie, tak że ta powszechna pomyłka nie bar-
dzo pomyślnie świadczy o uważném czytaniu lekkich i prze-
rzystych utworów Janickiego. Elegia ta brzmi w prze-
kładzie:

Umrę tu z nudów! W podróż udajesz się długą,
Rafale, stron rodzinnych zwiedzisz niwy błogie,
Ty, który nie przestajesz dawać mi dowody
Życzliwości swęj, odkąd darzysz mnie przyjaźnią.
Pojedziesz—ja tymczasem nieba będę błagał,
By cię rychło odwiozły i mnie znów oddały.
Bo bez ciebie, czém w *mieście tém* ja się orzeźwię?
Cóż twójego Klemensa bez ciebie zabawi?
Jest to miejsce, przyznaję, co samym widokiem
Każdego rozweselić i zachwycić zdoła;
W niém lud pochwały godzien, jest rzeczy obfitość,
Są rynki, mnóstwo świątyń potężnego Boga;
Wieść zawsze świeża z różnych stron świata się zbiega;
Tędy obcy na długiej podróży przejeżdża.
Nad miastem sterczą *wzgórza i wieże Wawelu*,
A obok fale Wisły płyną z głuchym szmerem.

Dosyć byłoby tego na zabicie fałszywego mniemania,
ale że z teję elegii dowiadujemy się także, że pisana jest
wiosną r. 1543, że zatém we Włoszech pisaną być nie mo-
gła, chyba że kto z Wiszniewskim i tymi, co go przepisy-
wali, utrzymywałby jeszcze, że 7 lat Janicki w Padwie ba-
wił, przeto ją całą daję w przekładzie:

I już dni lśnią pogodą, młodość świat odzyska
I skarby swe niebawem wiosna nam roztoczy.
Znów wszystko się uśmiechnie: muskać będą ptasząt
Pienia, powietrze, niwy, gaje i dąbrowy.
Lecz tém ci się ucieszą, co tego zażyją,
Nie ja, com nieustannie przykuty do łoża,
Tak, że tylu rozkoszy i tylu dóbr spólnych
Nie użyję i do mnie one nie należą.
Jedyną mi pociechą moi przyjaciele,
Którzy w długiej chorobie skracają mi nudę,
Odwiedzają i pocieszają, mrok duszy rozproszą,
Nadzieją w lepsze czasy dodawają serca.
Do pocztu ich należysz i pierwszym w ich rzedzie
Kładąc cię, słusznie twoim smucę się odjazdem.
Wierz—że mi, tak do ciebie przywykłem i ciebie

Tak silnie pokochałem sercem móm i duszą,
 Że wolałbym w dziedzinie, gdzie nie ma rozkoszy
 Prawdziwój, czas przepędzać nieskończony z tobą,
 Niż bez ciebie żyć w niebie, ucztować z bogami,
 Gdyby mi do wyboru dano to lub owo.
 Obym miał teraz nieco sił i zdrowia tyle,
 Żeby deszcze ulewne i dąs wiatrów zniosło,
 Nie sam jechałbys w podróz, ja towarzyszyłbym
 I główym byłbym twego pojazdu tłumokiem.
 Chętniebym twoje włości powitał i niwy
 Oglądał, co cię, moja rozkoszy, zrodziły!
 Ty też, gdybyś chciał, mógłbys widziéć wioskę moją:
 Niedaleko do gniazda mego od twych włości.
 Słodka ziemiol! *Już siódmy rok nie widzisz twarzy
 Janickiego twojego*, z któregoś ty dumna.
 Lecz kiedy za tém jedném głównie wdychasz, kiedy
 Li o to Boga błagasz, we dnie, w nocy prosisz,
 Wróćę, wróćę, o ciesz się, uboga zagrodo!
 Nadejdzie pora, kiedy przestąpię twe progi.
A zachowajże matkę i brata mi w zdrowiu;
 Dość smutku już doznałem, że ojciec odumarl.
 Odumarl, *mnie nie widział na oczy, gdym wrócił
 Z Auzońskiéj ziemi*, o co modlił się gorąco.
 Lecz jak głuche na jego byłyście błagania
 Prządki, tak chętném uchem słuchajcie próśb moich.
 Przyspieszcie chwilę, w której ostatnią przysługę
 Oddam mogile jego, czcząc ją tym napisem:
 „Tu leżą rolnik świata nieznanym, lecz pieśnią
 Syna-wieszczą po całej rozstawiony ziemi!”
 Lecz wracam ztąd, gdzie miłość wielka do rodzica
 Drogiego i rodzinnej ziemi mnie uniosła.
 Zazdroszczę ci, Wargawski zacny, że ojczyste
 Oglądać będziesz niwy i rodzinną strzeżę.
 Zazdroszczę, lecz zarazem życzę, by po drodze
 Weciąż dobrej wróżby ptaszę latało przed tobą!
 Niech wiatry wieją miłe, dokąd bądź się udasz,
 I ulew północ mglista na ciebie nie spuszcza!
 Przedewszystkiem niech skrzydła te przypnie ci Dedal,
 Na których się unosił uciekając z Gnosus,
 Abyś prędczej, gdzie dążysz, stanął i z powrotem
 Ztamtąd był u mnie nawet przed dniem obiecanym (26)!

(26) Rafał Wargawski, w rok po śmierci Janickiego (a może i przedtem już) był: *Custos Vladislaviensis Collegiatae, Boboviensis, Szadkoviensis, Radsiejoviensis, Skotensis parochialium Praepositus*; a r. 1545 prócz tego *Regni Poloniae thesauri notarius supremus*. Mieszkał w Warzymowie, w Łęczyckiej ziemi. Miał brata młodszego Macieja, który r. 1544 był proboszczem w Łęczycy.

Wątpliwości przeto nie ma żadnej, że elegia ta r. 1543 napisana, bo wiemy, że Janicki r. 1536 wraz z Krzyckim ziemię rodzinną t. j. Wielkopolskę opuścił i zatem rzeczywiście nie widział jęj od lat 7-iu.

Elegia zaś I do Samuela Maciejowskiego, wówczas biskupa płockiego i podkanclerza, rzewna i piękna, komuż nie przypomina wstępnej elegii *Trystyów* Owidyusza, albo 13-go listu ks. I Horacego, choć ton listu i okoliczności, w których był pisany, zupełnie są inne. Elegia ta, którą poeta zamyka temi słowami:

Jeżeli Nazonowi czytelnik wybacza,
 Że niedołą swą słabszym oplakuje głosem;
 I mnie też wyrozumie, bo pisząc te skargi
 Nie wygnańcem, lecz skrzepłym prawie byłem trupem.

jest zdaniem mojem, ostatnim większym a w ogóle przedostatnim Janickiego utworem.

Wkrótce potem wieść o śmierci brata młodszego pogorszyła oplakany stan poety. Ojciec już nie żył, brat jedyny skończył, ległszy z ręki mordercy; matkę tylko byłby mógł zastać jeszcze w wiosce rodzinnej. Oto treść epigramatu 74. Głęboka boleść wycieńczyła zupełnie siły fizyczne poety, że już zabrakło lekarzowi Antoninowi na środkach, mogących przedłużyć życie gasnące. Skończył Janicki wiosną r. 1543, nie mając spełna lat 27 i poruczywszy Antoninowi i Rotundowi (Mieleckiemu) ogłoszenie drukiem pieśni ślubnej do Zygmunta Augusta (27).

Wracając do epigramatu 74go, dodać należy, że to, co powiedziano o elegii pisaniej do Wargawskiego, prostuje oraz mniemanie mylne a powszechne o czasie jego kompozycji. Z elegii bowiem rzeczoniej dowiedzieliśmy się, że na

Wiadomości te mam z trzech autografów: 1) z listu Macieja Wargawskiego, pisanego do brata: *Lanciciae, feria secunda palmarum*, 1544; 2) z listu Wacława (*Venceslaus*), kanonika Bobowskiego, pisanego z Bobowy (*datum in Bobova*) w grudniu, r. 1546; 3) z listu pisanego 2 maja, w dniu św. Filipa i Jakoba, r. 1548. Kto go pisał, dotąd odczytać nie umiałem. P. Paprockiego i Niesieckiego.

(27) Zkąd wiadomość powzięto w rysie *Dziejów Piśmiennictwa Polskiego* (wyd. 2 większe, Poznań, 1860), że Janicki umarł 2 czerwca 1543?

początku r. 1543 żyła jeszcze matka i brat młodszy poety. Jedynie ojciec Janickiego był umarł, ale i ten nie koniecznie w czasie pobytu poety we Włoszech. Owsztem, z tego co w w. 53 czytamy: *nec me reducem conspexit ab orbe Ausonio*, t. j. nie oglądał mnie (będącego z powrotem) gdy wrócił z ziemi Auzońskiej, wolno wyprowadzić wniosek, że w drugiej połowie r. 1540, a nawet w r. 1541 przed napisaniem elegii VII mógł umrzeć. Poeta bowiem już był z powrotem (*redux*), ale go rodzic nie ujrzał, bo Klemens bawił w Krakowie i do Wielkopolski nie pojechał. Tego dowodzi także elegia VI, pisana w listopadzie lub grudniu r. 1540, gdzie w w. 63 powiada: rodzic mnie kocha, bom krew jego. Wszakże rzecz o śmierci ojca tylko mimochodem dotknięta. Wracam do tego, że matka i brat poety żyli jeszcze r. 1543. Z tego wypada, że epigr. 74 także r. 1543, i to po elegii X napisany, na którą nawet poniekąd wskazuje w. 11 i nastp. Bo kiedy w elegii X pragnie z całego serca ujrzeć swoich i powitać strzechę rodzinną, a nawet przybycie swoje oznajmia i przyrzeka, tu już nie ma po co jechać w strony rodzinne. Wreszcie tylko obolały i dogorywający człowiek mógł napisać dwa ostatnie wiersze epigramatu, o czém patrz niżej.

Starowolski w *Hekatonias* przypisuje Janickiemu, jak powszechnie czytamy w biografiach, arytmetykę także. On jednak nazywa go Clemens Joannicius. Niezawodnie tu pomyłka w nazwisku. Jak owo Joannicius już na to naprowadza, podobne dzieło możnaby prędjiej przypisać Gabryelowi Joannicius, doktorowi medycyny i filozofii, profesorowi w uniwersytecie krakowskim na początku XVIIgo stulecia, którego, jak o tém czytamy w Starowolskim i w Janociana, król Zygmunt III zaszczycił godnością lekarza królewskiego i matematyka. Oczywiście jest to prosty domysł, którego niczém więcj poprzec i uzasadnić nie zdołam (28).

Co dotyczy budowy ciała, postaci zewnętrznej, charakteru i zwyczajów Janickiego, o tém wszystkiém najdokładniejszą sam poeta podał nam wiadomość. Nie ma przyczyny, dla którejbyśmy wierzyć nie mieli, że prawdę szczerą

(28) Linde, Janociana, III, str. 165. „*Regii Medici ac Mathematici honore Sigismundus III exornavit.*” Starowolski: *Monumenta Sarmatarum*, str. 105.

napisał i że żadnej ze słabości swoich nie zataił. Byłem więc, pisze poeta o sobie w eleg. VII od w. 93:

Słabiej budowy ciała, wątłych sił, że praca
Lada jaka niebawem one unużyła;
Postaci dość przystojnej i twarzy pogodnej,
Którą często rumieniec, znak wstydu zalewał.
Wymowę łatwą wcale wspierał głos dobitny;
Na twarzy cery, bladej, słusznego-m był wzrostu.
Urazy znieść nie mogłem, a skłonny do gniewu
Wrażylem go zacięcie często w sercu długo.
Nieprzyjacielem byłem otwarcie, nie skrytym,
Lecz waśni nie wszczynałem i nie podniecałem.
Stale czytałem przyjaciół, dobranych z rozważą,
Nauczony, że skarb to jedynie prawdziwy.
Gdyby los był udzielił mi majątek wielki,
Nie byłby mnie przewyższył nikt szczodrobliwością
Ni wystawnością. To też prawdziwie królewskie
Chwaliłem zwykle słowa rzymskiego cesarza:
„Zaduego dobrodziejstwa dziś nie wyświadczyłem,
Dzień więc bezużytecznie, wstyd wyznać, stracony”!
Skory do łez, miękkiego i czułego serca,
Miałem taką odwagę, jaką miewa jeien.
Ztąd w nienawiści miałem zbroje i Pallady
Strasznej, kiedy do boju bieży, byłem wrogiem.
Wytworność, prawie jako niewiasty, lubiłem
Do przesady w pokarmach, stroju i wygodach.
Do dwudziestu lat jednak życia od dzieciństwa
Jedynie *czystą wodą* gasiłem pragnienie.
Śnać choroba wątroby ztąd się wywiązała
I ztąd dusi oddawna mnie wodna puchlina!

Ostatnie wiersze dowodzą pewnie najlepiej, jak nieuzasadnione Janickiemu czyniono zarzuty, że życie miał prowadzić wyuzdane; zarzuty, od których już powyżej go broniłem. A jeżeli w tej elegii na odparcie potwarzy umieścić te wiersze:

Wielka liczba rodaków moich mnie niesłusznie
Policzyła do ludzi oddanych rozpuście,
Zewnętrzznemi znakami w obłąd wprowadzona:
Bądź że mię lutnia, śpiewy i żarty bawiły,
Bądź że składał miłości pienia chłopcem jeszcze.

to z tego ustępu nie wolno zbyt skwapliwie wyprowadzić wniosku, że tém samém poeta niby przyznaje się do winy,

a tém mnień, że w skutek rozpusty zdrowie podkopał i życia kres przyspieszył (29). Owszem, z tego co w końcu téj samej elegii poeta opowiada:

Natarł na zastarzałe zło Antouin lekarz
Zapóźno; potwór sztukę zabiegłą pokonał.
Starannością gorliwą byłby starł go jednak
Antonin, gdyby ludzie na to mieli środki.
A tu jeszcze rodowi los ten przeznaczony
Mojemu, tak umierać; tak w pierw umarł ojciec.
Nie dziw więc, że, gulzie tyle spiknęło się złego,
Przemocy uleż sztuka musiała lekarska.

wynikać się zdaje, że dni Janickiego policzone były już od dzieciństwa, że nosił we krwi zaród śmierci, którą przyczyną przez Juszyńskiego i powyżej przezemnie podana, przyspieszyła. Trudno wreszcie przypuścić, aby młodzieńca, wskazanego od urodzenia na śmierć wczesną, gdyby bez względu na wątłe zdrowie swoje wylał się na rozpustę, aby takiego młodzieńca, powtarzam, kochali, czcili, wspierali, pielęgowali mężowie tak światli, poważni i zacni, mężowie piastujący tak wysokie dostojeństwa w kraju, których nie mało liczył Janicki pomiędzy swoich przyjaciół życzliwych lub opiekunów.

Dodawszy do poprzedniej charakterystyki to jeszcze, że wiernym pozostał wierze ojców i że gorąco kochał kraj swój Janicki, o czem czytelników z łatwością utwory jego przekonają, a będziemy mieli prawie dokładny obraz i wizerunek zacnego i cenionego w kraju i za granicą poety. Aby jednak obraz ten uzupełnić, dotknę jeszcze, zanim o poezji Janickiego mówić zacnę, kilku słowami jego rodu i stosunku młodzieńca wykształconego i na łonie muz wypieszczonego, do rodziców zapewne nieoświeconych i na życie w pocie czoła zarabiających.

Że Janicki ze stanu był kmiecego, a nie szlacheckiego rodu, tego sam nie zapiera się i tego dowodzą liczne ustępy w jego własnych utworach. Nie potrzeba więc nad tą rzeczą rozwodzić się obszerniej. Natomiast wykazać należy jasno stosunek Janickiego do rodziców, a zwłaszcza rozwiązać kwestyą, czy poeta, zaprzyjaźniwszy się z tyłu dostojnikami, wyrwany zupełnie ze sfery, do której z urodzenia był przeznaczony, nie zapomniał okazywać względów win-

nych rodzicom i oddawać im czei należnej; gdyż głosy podobno podniosły się, co na fundamencie dwóch ustępów wytykały poecie zobojętnienie i niewdzięczność. Tymczasem nie trudno się przekonać, że, gdziekolwiek poeta wspomina o rodzicu, wyraża się o nim z wielką czcią, uszanowaniem i miłością.

W elegii VII, 9, mówiąc o wsi rodzinnój, dodaje:

Tam rodzic mój uprawiał rolę zwykłym trybem,
Mąż dobry i przy skromnych dochodach poczciwy.

W tejże elegii (w. 23 nstp.) wspomina z wdzięcznością o miłości pobłażliwój ojca, który go trudom rolniczym nie chciał poświęcić i ostatniego grosza nie skąpił na wykształcenie syna. W elegii zaś X (p. wyżej) rodzicowi zmarłemu pragnie wywdziękzyć się za wszystkie kłopoty i trudy ojcowskie, kiedy za życia jego nie mógł tego uczynić; i przeprosza Wargawskiego, że go miłość wielka do rodzica i rodzinnej ziemi uniosła i odwiodła od przedmiotu.

W dwóch miejscach jednak było można pomówić Janickiego o pozorną obojętność i lekceważenie sobie rodziców. Pierwszy ustęp jest w elegii VI, gdzie Łazarzowi Bonamikowi dziękuje za niezliczone dobrodziejstwa, których doznawał od niego, i uniesiony wdzięcznością dla świętego cudzoziemca, który nim opiekował się, jak nie można starszinniej i czuliej synem własnym, tak się odzywa:

Powiedcież, jaka wdzięczność temu się należy,
Co tyle mi dobrodziejstw sam jeden wyświadczył?
Jaka ojcu? O większa! Ojciec dał mi życie,
Bonamik zaś do życia wkładał cnotliwego.
Ów dał życie, ten wskrzesił do życia i zdołał
Tém, czém rodzic mój żadnym sposobem nie zdołał.
Rodzic mnie, bom krew jego, kocha, ów pod inném
Niebem urodzonego, choć nie krewny, kocha!

Drugi ustęp jest w epigr. 74. Epigramat ten brzmi w przekładzie:

Niestety! przykrość zawsze sen wśród dnia mi sprawia
I ściąga jaki zgubny cios na moją głowę.
Wzły dzisiaj mnie biednemu cios najszorstszy zadał.
Z pewnego oto źródła wiadomość mnie doszła,

Że brat mój, gdy w południe spał pod gołym niebem
 We wiosny porze, umarł od strawy spożytej.
 A chociaż na gorącym schwymano uczynku
 Zabójcę i na cztery świata strony członki
 Rozszarpano: to bolu złagodzić nie zdoła
 Mojego, bo jedyny był to brat rodzony.
 I pocóż jeszcze ciebie, Wielkopolsko zwiedzić?
 Czemże jeszcze przynęcić możesz! Więc bądź zdrowa!
Prawie razem mi ojca i brata zabiłaś,
 Oplakać jedną tylko matkę jeszcze mogę;
 Lecz i tę zabierz, Boże, aby już nikogo
 Nie było, co by płakał na moim pogrzebie!

Ani w jednym ani w drugim miejscu, zdaniem moim,
 nie można winić poety o brak synowskiego przywiązania
 i miłości. Tam, jak już powiedziano, żywa wdzięczność
 uniosła Janickiego i podyktowała słowa uwielbienia i bał-
 wochwalczej prawie czci względem Bonamika, boć dodaje
 w końcu:

Gdyby bóstw więcej wiara wyznawała nasza,
 Jak w błędzie tym pogańskie ludy długo trwały,
 Łazarzu, ciebie niemniej czcilibym niż Jowisza
 Wielkiego, gdyż mnie więcej kochasz od rodzica!

ale czy cześć ta młodzieńca rozgrzanego światłem nauki
 i wskrzeszonego do życia jedynie za przyczyną Bonamika,
 ubliża poszanowania ojcu i uwłacza zasługom jego? W epi-
 gramacie zaś 74 boleść z powodu straty tylu osób drogich
 i myśl rozpaczliwa, że sam prawie trupem i że matce przyjdzie
 oplakiwać jedną jeszcze stratę i widzieć potomstwo swoje
 zupełnie zgładzone ze świata, a zatem społeczenie dla ro-
 dzicy, którą „opłakać jedną tylko jeszcze może,” poddaje
 mu życzenie niby bluźniercze, dla którego, że z ust dogory-
 wającego człowieka wychodzi, powinni byli mieć nieco wię-
 ciej wyrozumiałości ci, co poetę za to zarzutami obsypali (30).

(30) Głównie Masłowski, który na str. 36 po 1) fałszywie
 mniema, że elegia X i ten epigram pisane we Włoszech; po 2) słów
 epigramatu, dotyczących śmierci brata i zabójcy nie zrozumiał, bo
morderca brata poety członków nie rozplatał; a po 3) za grzech
 poczytuje Janickiemu, że odezwał się z tak bluźnierczym życzeniem.
 Kto zresztą zabójcę ukarał? czy gmina sama, w chwili wybuchu
 gniewu pierwszego, czy też rzecz wytoczyła się przed sądem wój-
 towskim?

II.

Poezye Janickiego wszystkie z małemi wyjątkami nacechowane są piętnem głębokiego smutku i rzewności, czyli tłumacząc się inaczej, jednym z pierwiastków poezyi jego jest żałoba i smutek głęboki. Opiewa bowiem w elegiach i epigramatach, to dzieje własnego życia, prawie ciągłą chorobą nękanego; to zgon bolesny osób zasłużonych w kraju lub dobroczyńców własnych; to głosi wypadki historyczne, smutne i klęskami brzemienne, co ojczyznę lub chrześcijaństwo w niedoli pogrążyły; to składa podziękę czułą za dobrodziejstwa w niedoli lub opuszczeniu odebrane od dostojników w kraju i za granicą: to wreszcie skromne wygłasza prośby o podanie mu ręki przyjacielskiej lub dłoni opiekuńczej, albo w gorącej modlitwie błaga Bogarodnicę o niemoicy i cierpien fizycznych odwrócenie. Niepodobna, aby przyczyną tego po wierszach wszystkich rozlanego smutku było to, że Janicki wiedział jako elegii i epigramatowi do twarzy smutek posępny. Owszem, własna natura skłaniała go do tego, pochopniejsza do smutku i poważnej poezyi, aniżeli do wesołości i pogodnych pieśni. Ilekroć coś przyjemnego spotkało poetę, szczęśliwy wewnętrznie znosił to spokojnie, i rzadko wrażenie krótkich, przelotnych chwil wesołych, któremi pasmo smutnych dni w życiu Janickiego się przeplatało, zapisał poeta w krótkim epigramacie. Lecz gdy przeciwności uderzyły, gdy bóle fizyczne na łoża go powaliły, gdy żądzy i pragnieniu oświecenia i ogłady niedostatek był na przeszkodzie; gdy ciosy i klęski ugodziły w kraj lub zasmuciły życzliwych mu mecenasów: wtedy pieśni składać uczyła go własna niedola, miłość kraju i społeczenie wdzięczne; wtedy próbował skargą, przekonaniem, pociechą koić żal i boleść, lub wylawszy ból duszy w słowach na papier, przywrócić jej spokojność.

Drugim pierwiastkiem poezyi Janickiego jest miłość kraju rodzinnego. Ta miłość zaprawiła kilka utworów poety gorką satyrą lub podała sposobność do nakreślenia obrazu smutnego następstw, jakie z przywar, nałogów i ułomności ziomeków wywijać się i na kraj spłynąć mogą. Umie gromić Janicki. Gdy na złe, co w kraju zagnieżdżać się

zaczyna, gdy na dumę i brak patryotyzmu szlachty powstaje, nie tai gniewu i oburzenia; siekąc i chłoszcząc, prażąc sztyderstwem lub koląc dowcipem, odkrywa bez ogródki i miłosierdzia wady i słabości społeczeństwa, odróżnia szczerłość od obłudy, prawdziwe przyjaźnie od farbowanych, poświęcenie się dla dobra publicznego od prywaty i t. d. Najlepiej pouczy nas o tém wiersz „Do Panów Polskich” w roku 1538 napisany:

Jakieżto straszne jędze do brzydkiej niezgody
Was dzgają i strącają w przepaść zguby własnej,
Panowie, zaćny rodzie, Lechowe potomstwo,
Was, co słyniecie z sławy w boju i pokoju?
Jakaż wściekłość, szal jaki losu was unosi?
Lub jakaż was piekielna potęga popędza,
Umysły pobudzając do wzajemnej wasni
I do rozterku serca podżegając bratnie?

Wszyscy macie cel jeden przed sobą wytknięty,
Miłość wasza ogarniać winna ten sam przedmiot;
A przecie, chociaż prawy tór widzicie, którym
Pójść wam wypada, każdy w inną bieży stronę?
Na przeszkodzie prywatą, nienawiść i swary,
I gniew, który warzycie skrycie w sercach waszych,
Warzycie skrycie, i choć zapaleni gniewem,
Taicie, kłamiąc twarzą przyjaźń farbowaną.

Pozdrawiacie się często nawzajem listownie
I w każdym liście pełno oświadczeń z przyjaźnią;
Choć w domu słowa głoszą co innego, kryje
Uczucia wasze chytrąj grzeczności powłoka!
Odwiedzacie się pilnie, witacie z uśmiechem,
Wzajemnie się ściskacie różnie i na przemian;
Wiwaty cudne uczytę przeciągają, cudne
I prze zdrowie zalewa się gardło obłudne
Sporem i kielichami! Ba! wy gracie także
W malowane obrazki, kładąc je na złoto!
Boć to sztuka, co mężom dostojnym przystoił
W tej sztuce też podobno ćwiczył się Kamillus
I Decyusze, co za kraj chętnie dali gardło!

Cóż mówić o podarkach? W tym względzie o lepszą
Idzicie, aby świadczył dar o zyczliwości.
Ten tego zowie panem, ów bratem i ojcem,
Ten mu zięciem, ów teściem, ci koligatami;
Jeden służby powolne zaleca ci, drugi
Lat tobie Nestorowych zyczy. Oh! obłudna
Uczciwości! O serca fałszywe, pod skórą
Owczą oddychające zajadłością wileżą!

Jak miód słodkie wasz język i postępowanie,
 Lecz pod miodem ukryty w duszy jad zabójczy;
 Nim pryskacie, gdy sprawa przed wami publiczna
 Wytacza się i względów doprasza się od was.
 Wtedy wolno ją zdeptać lub dźwignąć; lecz ledwie
 Kilku się znajdzie między wami tak uczciwych.
 Wtenczas zjadłej zawiści żagiew utajona
 Wybucho, płomieniami strzelając wysoko;
 Wtenczas różne się jawią chęci, wtenczas w toku
 Jednej sprawy burzliwa waśń skłóci umysły.
 Nie, że nie dobre zdanie, nie dasz głosu na nie;
 Nie, ten co z niem wystąpił, dawno wrogiem twoim.
 Więc za haubę uważasz, pójść za wnioskiem lepszym,
 I wolisz wiaść nagrodę własnej swój głupoty.
 Wždy dobro kraju depecesz i sprowadzasz kłeski
 Powszechne na ojczyznę, folgując gniewowi;
 A przecie, jak ów książę mędrców rzekł, zrodzonyś,
 Nie, abyś własnej patrzył korzyści, lecz kraju i t. d.

Epigramata Janickiego treści satyrycznej przyprawio-
 ne są często solą attycką; odznaczają się dowcipem bystrym,
 a szyd lekki i żartobliwy nie kole ani obraża. Słowem,
 epigramata te nawiedzone są humorystyką, rozśmieszają
 i bawią.

Do przyjaciela serdecznego, który zapewnie o urząd
 żupnika wielickiego się ubiegał, tak oto się odzywa:

Słone są pisma twoje, słone mowy, nawet
 Stół zastawiasz słonemi zwykle potrawami,
 Zaskługujesz, by czego życzyłem doprawdy,
 Król tobie żupy solne przeznaczył Wielickie (31).

Krzysztofowi Biskupskiemu taki położył nagrobek:

Pijany mnie zabija szablą, że wezwany
 Wieczorem mieć udziału nie chciałem w hulance!
 O biada! jakież w kraju naszym obyczaje!
 Choćbyś chciał, trzeźwym być ci nie wolno bezkarnie.
 Pijaństwo da przyjaciół, da sławę, zaszczyty,
 Z majątkiem dostojęństwa. Więc pij, gdyś nie głupi!

Księgę epigramatów taki zagaja wiersz wstępny:

(31) Syrokomla w przekładzie z żup wielickich (*Veliciensę ovile*) zrobił *Walenciensa*.

Na dworze mile przyjmą cię pewnie, księżeczko!
Co z tego, choć ogłady nie masz, możesz wnieść:
Długie bankiety, uczyty i śniadania długie,
Lecz kuse suknie lubi dwór i krótkie piosunki.

Wiersz na obraz Penelopy tak brzmi:

Penelope dwadzieścia lat, gdy mąż na wojnie,
Wierności dochowała, wśród natrętnych gachów.
Gdy mężów nie ma, nasze też żony powszechnie
Nabożny, by w zakonie, pędzą żywot w domu;
A, by świątobliwszemi były i nie kusił
Ich szatau, zatrzymują na noc eksorcystów!

Niesprawiedliwie osądziły Janickiego, toby go w elegiach nawet o jednostajność nużącą chciał pomówić. Choć ciał smutek, rozlany po wszystkich prawie utworach, brzmi niby oddźwięk udręczonego chorobami żywota; choć poeta sam o elegiach swoich w pierwszej wypowiedzi:

Posępna szata moja, posępne oblicze,
Bo strój ten treści mojej przystoi najwięcej:
Nic bowiem oprócz chorób, jęków, łez, boleści
Nie opiewam i nie znam; ztąd *smutny* się zowie.

przecie w żalonych tych i rzewnych nutach różnaitość jest wielka. To tęsknota, żal głęboki lub zaduma ogarnia poetę, to w smutku pociesza się nadzieją, że złe przeminie; to rozpacza prawie i zwątpił o wszystkiem; to niepokój miota nim frasobliwy, to z pokorą poddaje się woli Opatrzności, a wszędzie nastraja lutnią stosownie do usposobienia duszy. Żywsze i weselsze są jedynie eleg. XXI do Franciszka, eleg. XII do Krzyckiego, eleg. XVII do Sprowskiego Stanisława i elegia do Piotra Myszkowskiego. Poważnym nastrojem, dalekim od smutku jednak odznaczają się eleg. XI do Krzyckiego i epithalamion. Kiedy do Krzyckiego odezwał się pierwszy raz poeta, zdrow był i czerstwy i jedynie pragnienie nanki i ogłady umysłowej niepokoiło młodzieńca ubogiego; a gdy pieśń ślubną królowi śpiewał, zwalczył ból fizyczny i zajęty ważnością przedmiotu, zapominał zupełnie o sobie, o tém, co go dolegało, i wyspiewał pieśń pod względem treści, jej rozkładu, formy i wystowienia najudatniejszą.

Trzecim pierwiastkiem poezji Janickiego jest skromność i trwożliwość. We wszystkich utworach większych

mniej więcej, wyjąwszy Dyalog i Epithalamion, skromność ta i trwożliwość krępują i tamują polot śmielszy myśli. Bogdaj czy nie niskie pochodzenie i ubóstwo Janickiego Muzie odebrały śmiałość i pozbawiły rzutkości i energii! W początku elegii pisanéj do Stanisława Hozyusza, czytamy te słowa:

Więc zawsze milczéć będziesz, Muzo, i sromotnie
Trwożyé się? Przecz tak lękasz się po wieśniacemu!
Małolusznego człeka zbądź głupiej bojazni
I miej serce i t. d.

Może słowa te tłumaczą najwymowniej przyczynę ciętego i skromnego toku pieśni Janickiego, któryby chętnie nie własną tylko osobą, nie sprawami Węgier lub chrześcijaństwa jedynie, albo smutnemi wypadkami w rodach różnych zaprzętał czytelnika, ale może z energią chłostałby zdrożności w kraju się upowszechniające i bezprawia możnowładców i szlachty, dbających więcej już o prywatę niż o dobro pospolite, gdyby było można odezwać się bezkarnie z czémś takiém, gdyby nie był potrzebował lękać się poeta smutnych bardzo następstw podobnej śmiałości. Dlatego w dwóch poematach, na widok publiczny nie wydanych, gdy zbyt śmiało był wytknął i zgromił szlachty nadużycia i nieszlachetne, nierycerskie wcale życie, odzywa się, i to w „*Querela Reipublicae*” przez usta Polski saméj przemawiając do szlachty:

Lecz prawdy nienawidzisz śmiertelnie, bo prawdę
Mówiących ci pozbawiasz dostojęństw i z mienia
Obierasz!

a w poemacie „*ad Proceres*” sam do siebie:

Lecz wolę, bo tak lepiej, milczéć, aby ktoś tam
Nie ozwał się: Patrz, szewcze, swojego kopyta!

Lecz jeżeli Janicki zamilezał o nie jedném, nad czém bolał sercem, jeżeli wielu wad i zdrożności nie skarcił tak, jak na to zasługiwały, z drugiejj strony wolny jest od zarzutu pełzania i czołgania się przed możnowładcami. Choć dla niskiego rodu i ubóstwa w zależności od nich zostawał, przecie w tym stosunku dla niego może niedogodnym umiał za-

chować godność męża uzacnionego nauką i nie spodił się żadnym pochlebstwem ani zbyt uniżoną pokorą; i dla téj zacności duszy niewątpliwie był tak droгим i w taką poszedł cenę u mężów świątłych, jak Łazarz Bonamik, Jan Antonin, Mielecki i i.

Jedną z najprzedniejszych zalet poezyi Janickiego jest ta, że, jakkolwiek poeta czytał się pisarzy starożytnych, tak rzymskich jak greckich, choć obeznany był dokładnie z drobnemi nawet szczegółami starożytności klasycznej, korzystał bardzo umiarkowanie ze skarbu erudycyi swojej i nie popisywał się, jak było modą w owym wieku, wiadomościami historyczno-mitologicznemi, któremi do przesyty zasilali się później nawet jeszcze klasycy nasi i obcych literatur. Już to Olimp grecko-rzymski, wyjąwszy najwcześniejsze utwory, rzadko kiedy figuruje w poezyach Janickiego; a jeżeli gdzieś niedzie imię bóstwa wspomina poeta, użył go albo w znaczeniu przerośniętym, np. *sacra dei Clarii* i t. p., albo oznaczał nim np. nazwiskiem *Juppiter, Jovis, Tonans*, chrześcijańskiego Boga. Pod tym względem, t. j. pod względem prostoty, nie ubiegającej się za osłoną, utkaną misternie wprawdzie, lecz z samych błyskotek i świecidełek pożyczanych, Janicki najwięcej zbliżył się do Tybulla; a wiadomo, że Tybulla znów poczyna spokrewniona duchowo najwięcej z nowożytną.

Co dotyczy budowy wierszy w poezyach Janickiego, nie są one tak gładkie i potoczyste jak Tybullove; choć wielkiej łatwości w składaniu ich pocie odmówić nie można. Gdzieś widoczne są ślady trudności, z którymi łamał się i walczył poeta. Częstość wiersz jest metrycznie foremny, mniej jednak udatny; a z niedostatku tego wywiązuje się nierzadko niedostateczność druga: że myśl w mniej udatnych wierszach nie gładko się rozwija. Ostatnie jednak utwory Janickiego odznaczają się dykeją i potoczystością nienaganną.

Język przypominający wystowienie Tybullove, jest poprawny; lubo nie wszystko, co Janicki napisał, podpisałby i pochwaliby poeta złotego wieku literatury rzymskiej. Jest bowiem w poezyach poety polsko-łacińskiego dosyć naleciałości późniejszych, z jakimi tylko u Ojców kościelnych lub poetów średniowiecznych spotkać się można. Nie poczytuję

jednak Janickiemu za złe, że niekiedy według analogii utworzył zwroty, wyrażające pojęcie rzeczy nieznaną starożytnym (32); ale są formy słów i imion przestarzałe lub bardzo rzadko używane przez poetów rzymskich, a nigdy przez elegicznych, ani epigramatycznych; mają wyrazy niekiedy znaczenie dawniej im obce; są konstrukcyje zbyt często użyte przez Janickiego, z którymi u wzorowych poetów wcale nie, u późniejszych rzadko spotkać się można; wysłowienie niekiedy nie nadaje się do utworów uczuciowych i ma je chyba satyryk lub komedyopisarz: są wreszcie choć bardzo rzadko, nierówności językowe i metryczne.

Wykazawszy zalety i niedostatki poezyi Janickiego, winieniem dodać, że poeta nasz miał sławę europejską i że niemieccy, jakoteż innych narodów uczeni i rymopisowie łacińscy chwalili jego utwory i wielbili ich autora. Pomijając wszystkich innych, wspomnę tu tylko o nie złym wierszu na pochwałę Janickiego napisanym p. t. „*In novam Clementis Janicii Poloni Poematum Editionem (Boehmii) przez Criseniusa Beroensis F. A.* Oprócz tego piękny i udatny wcale wiersz na pochwałę Janickiego napisał jakiś M. K., nie Polak, ale cudzoziemiec od dawna osiadły w Polsce. Wiersz ten wydrukowany na luźnej karcie in 4to bez paginacyi, bez roku i miejsca druku, a mający napis: *In Clementem Janicium, poetam laurigerum, in genere elegiaco inter Polonos principem*, posiada Bibliot. Ossolińskich we Lwowie. Początek wiersza w przekładzie tak brzmi:

Janicki, czy na jasnej ty gwiazdzie Woznicy,
Czy na innej, co świeci na północnym niebie,
Przebywasz, (bo świetlisty Olimp bez pochyby
Objężdżając, na ziemię rodzinną z siedziby
Niebian patrzysz), pozdrawiam serdecznie z ziemicy,
Na której nie od wczora zamieszkuje, ciebie.
A pozdrawiam cię w obec polskiego plemienia,
Którego będziesz chwałą wieczną i ozdobą!
Obym w holdzie składając ci ślubione pienia,
Na twój ton lutnią strojąc mógł zrównać się z tobą!

Następnie opowiada, że czytając w młodości Owidyusza, tak pokochał tego poetę, że nieraz łzy smutku przele-

(32) N. p. *ludere pictis tabellis*. P. rozprawkę w progr. Szkoły Gł. wyżej wzmiankowaną.

wał z tego powodu, że wieszczka rzymskiego wygnano na puszcę sarmacką i że lutnia jego przepadła bez śladu. Przybywszy w dojrzałym wieku do Polski, gdy Janickiego poezye odczytał, był przekonany, że je poeta polski wydzwoził na lutni Rzymianina. Poszukiwania wprowadziły go na ślad niezawodny. Oto syn Maji, Merkury, wygłaszając proctwo, że:

Przyjdzie czas, pokonana orężem Północy
 Runiesz Romo, co Getów masz teraz w swęj mocy;
 Lecz przyjdzie czas téż, kiedy wzbudzi łacińskimi
 Pieśniami zazdrość w tobie młodzian z Scytów ziemi.

przekrył po śmierci Owidyusza lutnią wieszczka rzymskiego w jaskini tuż po nad jeziorem żnińskim. Tam po długich wiekach, kiedy morowe powietrze panowało w powiecie żnińskim i wyгнаło z domów mieszkańców do lasów i jaskiń, znajduje lutnią ojciec Klemensa, a nie wiedząc, co z nią począć, bo ręka jego stwardniała od pługa ciężkiego, podaje ją synowi małemu, aby się nią bawił. Aliści ledwie Klemens strun dotknął się, wydobywa z nich boskie dźwięki, staje się drugim Owidyuszem, i od dnia tego ziemia polska już nie jest barbarzyńską! Innych chwalców Janickiego wymienili Maśłowski i poprzednio Boehmius.

Co dotyczące wydań elegii i epigramów Janickiego, wszyscy dotychczasowi biografowie poety donieśli, że pierwsze ukazało się jeszcze za życia jego, i to p. t.: *Clementis Janitii Tristium Lib. I. Variarum Elegiarum Lib. I. et Epigrammatum Lib. I. (Cracoviae, ex officina Viduae Unglerianae. A. 1542. 8)*; ale nikt o powtórnęj edycyi tychże elegii i epigramów przed Lipską Boehmiosa nie wspomina. A przecie albo trzy edycye wyjść musiały wraz z Boehmiosową, jeżeli roku 1542 za życia poety wyszła pierwsza, albo ukazały się w ogóle dwie tylko, a wtedy wydanie z roku 1542 jest zmyślone i figuruje niesłusznie w spisach bibliograficznych. Doniesienie o wydanęj za życia poety edycyi polega i opiera się oczywiście na liście *Jerzego Sabinusa* do Stanisława Dziaduskiego pisanym w kwietniu r. 1543, (a zatém krótko przed śmiercią Janickiego) z Frankfurtu nad Odrą. W liście tym pisze Sabinus: *Et nuper editis tribus Elegiarum libris Janitius Poeta praeclarum sui specimen dedit. Za Sa-*

binusem Boehmius w wydaniu Janickiego z r. 1755 powtórza: że ukazały się elegie *bez wzmianki roku i miejsca druku* w Krakowie z drukarni Unglerowej pod koniec r. 1542, i przytacza tytuł powyżej podany (33). Zdanie zaś swoje że r. 1542 wyszły, popiera powagą i doniesieniem owem Sabinusa mówiąc: *Facit in rem nostram praecipue Sabinus relq.* (w przedmowie). Staranniejsze jednak rozpatrzenie się w egzemplarzu przysłanym mu przez Janockiego z księżnicy Józefa Andrzeja Załuskiego, na którego karcie tytułowej i nigdzie (jak wolno wnosić ze słów własnych Boehmiusa), nie było wzmianki roku ani miejsca druku, byłoby go przekonało, że nie za życia Janickiego, jeno najwcześniej r. 1545 edycja ta pierwsza mogła się ukazać. Napis bowiem nad pierwszą zaraz elegią do Samuela Maciejowskiego byłby niestósowny w edycji z r. 1542, choć i w wydaniu z r. 1545 lub 1546 jest niedorzeczny, gdyż w ogóle elegia, pisana przez Janickiego do Samuela Maciejowskiego, jako kancle-rza i biskupa krakowskiego, jest anachronizmem. Edycji téj, z której Boehmius zrobił przedruk, posiada jeden egzemplarz po dziś dzień Biblioteka Ossolińskich we Lwowie (34) i (bez karty tytułowej) Biblioteka główna w Warszawie. Tę téż edycją miał w ręku oczywiście Janocki, boć udzielił ją Boehmiusowi; a przecie wspomina on wyraźnie o roku i miejscu druku, polegając snąc na tém samym źródle, co Boehmius, jako dowodzi ustęp z listu Sabinusa przytoczony (35). Sądzę, że i Wiszniewski nie inną miał edycją w ręku, choć on o drzeworycie: tarczy z ozdobami biskupie-mi i herbem Ciołek, wspomina, o czém zresztą nikt nie donosi.

(33) Jedyne Pamiętnik Warszawski w rozpr. *Klemens Janicki* z r. 1801 donosi, że edycja Isza wyszła r. 1541 in 8vo. Według tejże rozprawy Janicki miał umrzeć już r. 1542.

(34) Tytuł pierwszego wydania (w Bibliot. Ossol.) brzmi: *Clementis Janitii, poetae laureati, Tristium Lib. I., Variarum Elegiarum Lib. I., Epigrammatum Lib. I.*; 8vo, kart nieliczb. 52. (jak w Warszaw. Bibl. Główn. i Wiszniewskiego edycji) bez miejsca druku i roku.

(35) P. *Janociana*, T. I, str. 135 i *Janotzki*: Nachrichten v. d. s. B. in d. G. Z. B., II, 44.

Zdaniem mojem nie bardzo wierzyć można doniesieniu Sabinusa. Może znał elegie Janickiego z rękopismu, może mu je sam Janicki czytał; bawił bowiem Sabinus często w Polsce, na dworze Krzyckiego, w Krakowie i i. m. (P. Sabinus eleg. III, 4. pag. 78—81) i dla tego, usłyszawszy, że wyjść mają z druku, wspomina o tém w liście do Dziaduskiego. Wspomina on wreszcie o trzech księgach elegii, kiedy tylko o dwóch ks. elegii, a jednej epigramatów mowa być może. Dalej niepodobna przypuścić, aby ślad téj edycji pierwszej zupełnie zaginał, a mniej jeszcze prawdopodobnem, aby ktoś przecie nie był miał wiedzieć o dwukrotnej edycji elegii Janickiego przed wydaniem Boehmiusa. (Boehmius swoje zowie: *denuo excussa*). A zatem zdaje się być prawdą niezbitą, że wydanie pierwsze, które posiadamy, jest z r. 1545—1548. Dedykacją zaś elegii I zrobił wydawca, zmieniawszy niedorzecznie, choć stosownie do zmian zaszłych w urzędowaniu tytuły Samuela Maciejowskiego. Zresztą wszystkie napisy elegii i epigramatów później są dorobione i ztąd wytłumaczyć można niezgodę w napisach nad niektórymi utworami (36).

Drugie wydanie jest *Boehmiusa Ehrenfried*, mające tytuł: *Clementis Janicii Poloni poetae laureati poemata*, Lipsiae, 1755. 8. *apud Jo. Georg. Loevium*. Boehmius bez krytyki wszelkiej przedrukował krakowskie wydanie, przejął jego błędy, dodał nowe i oszpecił swoją edycją interpunkcją tak fałszywą, że śmiało twierdzić można, jako mało co poezye Janickiego rozumiał. Tak np. w El. I, w w. 45—46, gdzie albo przecinek jeden po *advenio* położony był na miejscu, albo wcale żadnego nie potrzeba, Boehmius tak wydrukował:

Nuncius a quodam, media de plebe, poeta,
Advenio, parvi jussa secutus heri.

Po *heri* ma kropkę, kiedy tymczasem powinien być średnik tylko lub dwukropek, bo następujące: *ut venerer te*

(36) Różnica w napisach trafia się głównie nad epigramami, które w Krzyckiego rękopismach gdzieniegdzie są umieszczone np. Epigr. 14. *De innocentia* w rękop. poznańsk. (Bibliot. Raczyńsk.) brzmi: *Joannicius Clemens in calumnias Stanislai Orzechowski cell.*

relq. łączy się ściśle z poprzedzającym. Więcej przykładów nie przytaczam, bo czytelnik na każdej stronie tego rzadkiego już zresztą dzisiaj wydania mnóstwo ich napotka. Wspomniałem zaś o tém jedynie dlatego, aby przestrzedz, że na sąd Janockiego w takich rzeczach nikt nie powinien się spuszczać, kiedy Boehmiusa wydanie w tom. I str. 140 zowie: *nitidissimam atque emendatissimam!* Zaiste, takie wydanie nie dowodzi téż, że Boehmius był: *liberalibus artibus optime instructus* relq. (37).

Z innych poezyi Janickiego „*Querela Reipublicae Regni Poloniae, anno MDXXXVIII conscripta Clemente Janicio autore*” wyszła drukiem bez wzmianki miejsca i roku. Egzemplarz drukowany posiada Bibl. Ossol. we Lwowie in 4to, kart 4 nieliczb. Pod tytułem jest wiersz: *Ad Pium Umbra Viatorem, Clementis Janicii*, trzy pary dystychów, z których wynika, że to edycja już zmarłego autora (38). Pod napisem powyższém *Querela* i t. d. mieści się w tém wydaniu właściwa *Querela* i drugi wiersz: „*ad Polonos Proceres.*” Obydwa poemata znajdują się także w rękopiśmie poezyi Krzyckiego w bibliot. Świdzińskich w Warszawie, od stron. 245—264 wraz z wielu epigramatami Janickiego pod tytułem: *Ex poematis Clementis Janicii de Januszkowo, Andreae Cricii, archiepiscopi Gnesnensis, alumni* (39).

Życia królów polskich wyszły podług Janockiego i Wiszniewskiego naprzód w Antwerpii r. 1563 w drukarni Sylwiusa (40). W Krakowie ukazały się z napisem: *Vitae*

(37) Boehmius w przedmowie powiada: *Is vero pro ea, quae nos intercedit veteri amicitia* (t. j. Janocki); a zatem sąd Janockiego o Boehmiusie samym i o jego wydaniu jest przyjacielski! P. Masłowski, str. 27. Omyłki drukarskie w wydaniu krakowskiém i Boehmiusowem, i jak je poprawić należy, tudzież zmiany w tekście požądane wymieniłem w rozprawie łacińskiej wyżej wzmiankowanej. Tu w ogóle powiem, że prawie wszędzie, gdzie te dwa wydania się różnią, trzymać się należy krakowskiego.

(38) Trudno dociec, z kąd wieść się rozeszła, że wydanie to ukazało się w r. 1638.

(39) Rękopism ten poezyi Krzyckiego jest prawie współczesnym, bo z r. 1551.

(40) P. Wiszniewskiego list polsk. T. VI, str. 259, uwag. 377. Janociana, w biografii Janickiego. I, 132 następ.

Regum Polonorum Elegiaco carmine descriptae, auctore Clemente Janitio Polono Poeta laureato. Cracoviae ap. Lazarum Andr. 1565 w 12ce. Kart po jednej stronie liczbowanych 16. Edycją tę ma Biblioteka Ossolińskich we Lwowie. Z takimże tytułem ukazały się powtórnie w Krakowie r. 1574, w 12ce. Na tytułowej karcie drzeworyt, orzeł na tarczy, 16 kart liczbowanych po jednej stronie, z przedmową Sylwiusa do Zalewskiego datowaną z Antwerpii. Ostatnie życie jest Zygmunta Augusta. Wydanie to ma bibliot. Świdzińsk. w Warszawie. Po śmierci Stefana Batorego albo może w roku jego śmierci wyszło Życie królów z takimże tytułem, w 12ce, bez wzmianki miejsca i roku druku. Na karcie tytułowej drzeworyt: smok z napisem na wstędze: *Salus Vitae*; 16 kart druku wraz z tytułem, nieliczbowanych. W końcu mieszczą się życia Zygmunta Augusta, Henryka Walezyusza i Stefana Batorego. Wydanie to, niewspominane dotąd przez nikogo, które niewątpliwie wyszło w Krakowie, posiada Bibliot. Główn. w Warszawie. Do tego wydania, jako też do krakowskiego z r. 1574 dodano wiersz: *In Polonici Vestitus Varietatem Dialogus Cl. Janitii*. Życia królów wyszły następnie pod tytułem: *Chronicon Dynastarum Regni Poloniae, editum primitus studio ac opere Clementis Janicii P. L., nunc recensitum a Jacobo Gadebuschio*, w Gdańsku, r. 1621, w drukarni Grzegorza Rhetiusa, 4. kart nieliczb. 18. Na odwrotnej stronie karty tytułowej jest spis królów polskich, na następnych epigramata opiewające ich życia, potem „*Decastichon Memoriale*,” zaczynające się od słów: *Dux Lechus, binus, Vismirus, Consortia, Cracus* cett., dalej *Typus Dynastarum Poloniae* i odezwa do czytelnika, w której powiada Gadebusch, że, kiedy Janicki poszedł za porządkiem przekazanym przez Macieja z Miechowa, on trzymał się Bielskiego Jana, i dlatego dodał 10 epigramatów. W tém wydaniu życia królów aż do Zygmunta IIIgo włącznie opisane. Po owej odezwie do czytelnika następuje *Dialogus Vestitus Polonici Varietatem* relq. Wydanie to posiada Bibl. Ossol., Świdzińskich i podobno kórnicka Działyńskich. W r. 1670 wyszły też życia królów z recenzji *Gassoviusa*, z kontynuacją aż do Michała Korybuta, w *Stendal*, i w tym samym roku także w *Krakowie*. Pierwsze ma Bibl. Ossol. we Lwowie. Co dotyczy innych

wydań, których znaczna liczba wyszła, odsyłam do Janociana i Wiszniewskiego (p. Masłowski, str. 17) (41).

Życia arcy-biskupów gnieźnieńskich wyszły pierwszy raz w Krakowie r. 1574 z drukarni Stanisława Scharffenberga, pod tytułem: *Clementis Janitii Poetae Laureati Vitae Archiepiscoporum Gnesnensium, per Andream Tricesium, Equitem Polonum, Secretarium Regium, nunc primum in lucem Hieronymi Garvassii Cancellarii Gnesnensis cett. auspiciis aeditae*. Dodane są życia arcybiskupów gnieźnieńskich po Krzyckim aż do r. 1574 przez tegoż. Na odwrotnej stronie karty tytułowej drzeworyt, herb Grzymała, a około herbu napis: *Hieronimus Garwasky, Cancellarius Gnesnensis, Decanus Łowiciensis*. Na następnej karcie umieszczony naprzód epigramat Andrzeja Trzycieskiego: *In insigne gentis Grimaliorum* (w. 12), dalej *Clementis Janitii Po-*

(41) Wydania krakowskie z r. 1574 i drugie (bez wzmianki miejsca i roku druku) i Gadebuscha gdańskie różnią się znacznie. Różnice te są następujące: w obu krak. po „*Lechus I*” następuje „*Posteritas Lechi*” w gdańskim za to „*Laechus II*” i *Vismirus*. Żąd *Lechus II* w obu krak. jest t. s. c. *Laechus III* w gdańskim. *Lesco primus* (w kr. 1574) t. c. *Premislaus s. Lesco I* (w krak. b. m. i r. dr.) i t. c. *Lesco v. Laechus IV* (w gd.). Potem w gd. następuje *Laechus V*, czego w krak. niema. Dalej *Lesco II i III* w obu krak. t. c. w gd. *Laechus VI i VII*, a *Lesco IV* t. c. *Laechus VIII*. Krakowskie po Bolesławie Chrobrym mają epigram na *św. Wojciecha*, a po Bolesł. Śmiałym na *św. Stanisława*. Za to gd. po *Kazimierzu II* ma epigr.: *Helena cum filio i Vladislaus III*. Następnie *Lesco V albus* w obu-krak. t. c. *Lesco IX albus* w gd.; lecz ten ostatni epigr. przed wspólnymi trzem wydaniem wierszami ma 6 własnych. *Lechus VI niger* (obu kr.) t. c. *Laechus X niger* (gd.). Tylko krakowskie mają epigr. „*Henricus Probus*.” Władysław III Łokietek, Władysław IV Jagiełło i Władysław V (krak.) są t. c. Władysł. IV, V i VI (w gd.). Na Zygmunta Augusta, Henryka Waleczusza i Stefana Batorego są inne epigr. w Gd., inne w krakow. (Trzycieskiego i Klonowicza 2). Oprócz tego są w tych wydaniach różnice w nazwiskach królów np. *Siemomistus* (w krak. z r. 1574) jest *Semomistus* (w drug. krak.) a *Siemomistus* (w gd.). W gdańskim nadto przez omyłkę druk. życia Bolesł. III i Władysł. II umieszczono przed epigr. na Bolesł. II i Władysława Hermana. Wreszcie krak. w epigr. 7. *XII Palatini iterum* ma w w. 4, *Lechidis*, co w gd. poprawiono na *Lechitis*. Gd. ma w epigr. na Bolesł. V Wstydliwego w w. 1. *Sarmaticus furor* za *Tartarius furor*, a w epigr. na Leszka Czarnego w w. 1, *locustatum* (om. druk.) za *locustarum*.

loni ad Gnesnam epigr.; a na odwrotnej stronie karty drugiej wiersz Andrzeja Trzycieskiego: *Ad Gnesnam* i drugi do Garwaskiego, opiekuna swego. Od karty 3ój począwszy na każdój z następujących 48 stronnic jest jeden życiorys i herb rodzinny arcybiskupów umieszczony aż do Jakuba Uchańskiego, posuniętego na stolicę arcybiskupią r. 1562. Na 27-mój karcie wiersz Trzycieskiego do tegoż Uchańskiego, pod względem budowy wiersza i zkaład także przypominający Horacego od. I, 3. Potém następuje katalog arcybiskupów gnieźnieńskich alfabetyczny; na ostatniej zaś stronie drzeworyt; tarcza z herbem: kozieł na dwóch nogach tylnych stojący, nad łbem trzy gwiazdki. W ogóle kart nieliczbowanych wraz z tytułową 28. Wydanie to posiada Bibl. Główn. w Warszawie. W Boehmiusa wydaniu życia arcybiskupów gnieźnieńskich wraz z wierszem „*Ad Gnesnam*” przedrukowane od str. 104—115 (aż do Andrzeja Krzyckiego).

Co dotyczy epigramatów pisanych przez Janickiego, nigdy one same nie wyszły, lecz znajdują się w wydaniach elegii. Wszakże nie wszystkie tam są zebrane, i wiele zapewne udałoby się nagromadzić z innych dzieł i rękopismów. Tak np. epigram „*Ad Pium Umbra Viatorem Clementis Janicii*” wydrukowany, jak widzieliśmy, na tytułowej karcie *Querelae*. Tenże sam epigram mieści się w rękopiśmie Bibliot. Raczyńskich poezji Krzyckiego (II, H, b, 7) pod tytułem: *Epitaphium Clementis Janicii, quod vivens ipse sibi fecit*. Masłowski znalazł go także w bibliotece kórnickiej w rękopiśmie poezji Krzyckiego (42). W tymże rękopiśmie

(42) Epigram ten brzmi:

Carmine qui potui (a) tigros (b) mulcore severos,
 Non potui mortis flectere fata ferac.
 Omnia, roscidulae (c) quaecunque sub orbe Dianae
 Vivunt, sunt fati interitura suis,
 Est igitur nefas vanis (d) confidere rebus,
 Nec petit ad superos mens nisi pura Lares.

Przytoczyłem epigram ten, aby wykazać przy tej sposobności różnicę tekstu w rękopismach i drukow. *Querela* w Ossol. bibliot. a) w Pozn. Rac. *potuit* za *potui*. b) wszystkie mają: *tygres*. c) Pozn. R. *possidulae*; Kórnicki D. *rosidulae*. Quer. Ossol. *rossidulae*. Poprawilem *roscidulae* od *roscidus* „zroszony, rosisty,” co wcale

ma być wiersz Janickiego na herb Krzyckiego „*Kotwicz*” i drugi na Stanisława Orzechowskiego „*Turcica*.” W dziele zaś Groickiego „*Porządek spraw i sądów miejskich*” z r. 1559 na karcie pierwszej po tytule, jest wiersz na herb Tarnowskich z podpisem *Clemens Janicius*, w którym Polak cudzoziemcowi tłumaczy herb rzeczony. Nie wątpię, żeby w rękopismach Krzyckiego poezyi, których tyle posiadają biblioteki we Lwowie, Kórniku, Poznaniu i t. d., lub w innych dziełach więcej jeszcze epigramatów Janickiego dotąd nieznanych się znalazło.

Donosi Wiszniewski w *Hist. lit.* VI, 260. Uwag. 377, p. k., że kilka Janickiego poezyi, *miłosnych* płynnym wierszem przełożył *Franciszek Zagórski*, i w dziele: *Muzeusz poeta grecki* w Warszawie r. 1796 8 umieścił. Za Wiszniewskim powtórzyli to Lesław Łukaszewicz, str. 156 i Masłowski str. 29. Dziełko to „*Muzeusz poeta grecki o Leandrze i Erze*” przekładania Franciszka Z. (Zagórskiego) z przydatkiem sielanek w Warszawie, w drukarni Korrespondenta, 1796 r.” posiada Biblioteka Główna w Warszawie; ale napróżno szukałem w niem przekładów poezyi *miłosnych* Janickiego. Jest tam naprzód wiadomość o życiu i pismach Muzeusza; potem epos o Leandrze i Erze, do str. 22. Dalej Sielanki, w końcu nauka o wierszu Pasterskim (43). Z tém wszystkim Zagórski Franciszek rzeczywiście przełożył podobno kilka elegii, nie pieśni *miłosnych*, (bo tych niema wcale; chyba kto epigramata trzy do Elżusi przez to rozumiał). Dowiadujemy się o tém z artykułu „*Klemens Janicki*” umieszczonego w *Nowym Pamiętniku Warszawskim* na r. 1801. (Tom II str. 197). Autor artykułu tego powiada: „*Franciszek Zagórski, gładki tłumacz poematu Muzeusza, pod tytułem Leander i Hero, wydanego w r. 1796 w Warszawie, przełożył kilka elegii Janickiego na język polski. Z tych pierwszą, do Maciejowskiego (Samuela), umieszczamy.*” Poczem elegia ta wydrukowana w przekładzie. Żałuję, że tylko z przekładu téj jednéj elegii sąd wydać mogę o tłuma-

stosownym jest przymiotem *Dyany*. Podobnie w *Eleg. XII, 43 w.* czytać należy: *Surgere roscidulis flores miramur in hortis. d)* w Pozn. R. i Kórnu. D. rękop. *variis* za *vanis*. Błąd metryczny w wierszu tym (*nēfas* za *nēfas*) już dostrzegł Masłowski na str. 25.

(43) Pomiędzy sielankami oczywiście przekładów tych niema,

czeniu Fr. Zagórskiego, bo niezawodnie dokładniejszym byłby i pomyślniejszym, gdybym wszystkie przekłady tłumacza miał pod ręką. Przecie sądząc z przekładu tej jednej elegii mniemam, że Fr. Zagórski, mając najwięcej wiadomości filologicznych ze wszystkich tłumaczy Janickiego, najzdatniejszym był do odtworzenia i spolszczenia tego poety, choć nie ma tego talentu poetyckiego, co Syrokomla. Dalej Wiszniewski w tej samej uwadze powiada, że elegię wy tłumaczył *Urmowski*. Tém samém wydawcę *Almanachu Lubelskiego* na r. 1815 wydał za autora umieszczonego w almanachu przekładu trzech elegii Janickiego. W artykule bowiem „*Wiadomości o życiu Józefa Sygierta,*” napisanym przez Klemensa Urmowskiego, powiada tenże na str. 24 wyraźnie: „Z języka łacińskiego (Sygiert) z równą łatwością tłumaczył wiele poezyi współrodaka Klemensa Janickiego;” a na str. 25 dodaje: „Pomienione wyżej dzieła Józefa Sygierta zostały w rękopismach po największej części przy JW. Hr. Ossolińskim, w części daleko mniejszej przy W. Podoleckim, ojczymie onego (t. j. Siegierta); część najmniejszą posiada podpisany, mający sobie za obowiązek, przynajmniej przez wydanie na widok niektórych ułomków wypłacić dług tej czulej przyjaźni, którą miał z zmarłym.“ Umieścił następnie Urmowski przekłady następujące: Tyrteusza 4 elegie (pienia), jedno ejdyllion z Biona, z Moscha sielankę i 3 elegie Janickiego: VII, X i XVI. Jakkolwiek Sygiert daleko lepiej rozumiał Janickiego, aniżeli Syrokomla, bo znał więcéj język łaciński i zabrał się do przekładu z większą starannością, przecie przekład jego nie pod każdym względem zasługuje na pochwałę. Są ustępy, które nie oddają rzeczywistej myśli oryginału; lecz głównie grzeszy Siegiert rubasnością wyrażenia. W elegii III np. czytamy:

*W pięć lat już mały berbec do książki się biorę
I zérkam choć z daleka na Muz świętą górę.*

(w. 21) (*Devoveor studiis vixdum quinquennis honestis
Musarum et primas collocor ante fores.*)

a dalej:

*Zkąd po dziś dzień ta woda niegodziwa, pono
Chłupie we mnie i nad mą pastwi się śledzioną.*

(w. 119) (*Unde malum jecori, credo, arcessivimus et nunc
Illa vetus vitam strangulat unda meam.*)

albo: *Lubiłem piosnki, żarty i pieszczone złości;*
Z mlekiem jeszcze na brodzie nuciłem miłości,
 (w. 123) (Vel quia me citharae cantusque salesque juvabant,
 Vel quia paene puer scriptor amoris eram).

albo w el. X. 32;

Iż z tobą większą dla mnie byłoby słodyczą
Żyć w niemieszkalnej puszczy lub z okropną dziczą,
Niż gdyby nawet można, wszelkich rozkosz w niebie,
Za Panie Bracie z Bogi zażywać bez ciebie.
 (Ut malim tecum in terris, ubi nulla voluptas
 Sincera est, longas continuare moras.
 Quam sine te in coelo fieri conviva Deorum,
 Permittatur ab iis opto si qua mihi).

Możnaby jeszcze kilka innych ustępów z trzech elegii przytoczyć, gdzie, jak w ostatnim, pokazuje się niedostatek obeznania się ze starożytnością i gdzie przekręcił tłumacz myśl, nie zrozumiałwszy dobrze znaczenia słów *longas continuare moras*, albo, jak w pierwszych trzech, rubasznym wyrażeniem zeszpecił myśl oryginału; lecz sądzę, że i tych dosyć będzie, aby przekonać czytelnika, że w takim przekładzie zacierają się i ginie istotna cecha utworów Janickiego, t. j. ów nastrój poważny i owa tęskliwość rzewna, jaką właśnie te trzy pieśni są nacechowane. Trudno zgodzić się dalej na takie tłumaczenie: W Eleg. VIII, 49. *Carmina cum pleno recitavi prima theatro, Addideram menses ad tria lustra novem*, oddaje przez: „Wiosna mnie odbiegała dopiero szesnasta, Już pieśni moich słuchał gmin całego miasta.“ Podług Siegerta dalej w Eleg. X nie rodzina tęskni za Klemensem, jeno on za nią i do domowej zagrody; ojciec Janickiego także podług niego umarł, kiedy poeta jeszcze bawił w Italii. A że dla wiersza i rymu tłumacz często dodawał, czego w oryginale nie ma, np. w Eleg. X, 13.

(Fama recens semper, variis a partibus orbis).

Świeże zewsząd nowiny, *złe i dobre wieści.*

albo w el. VII, 116:

(Unguibus a teneris mihi bis decimum usque sub annum

Cruda exstinguēbat nil nisi lymphā sitim).

Do lat dwudziestu *smaku nie mający w winie,*

Żmną wodą pragnienie gasiłem jedyne.

przeto, jak powiedziano, przekład Siegerta nie zasługuje na bezwarunkową pochwałę. (Almanach Lubelski posiada Biblioteka główna w Warszawie).

O przekładzie Syrokomli (Wilno. 1851) już kilka razy wspominałem. Gdyby kto dodał to, co w przekładzie swoim samowolnie opuścił Syrokomla, gdyby sprostował to wszystko, co opacznie tłumacz oddał dlatego, że i łacińskiego języka dobrze nie znał i ze starożytnością klasyczną mało był obeznany i wreszcie miał może pod ręką edycją niegodziwą Boehmiusa; wtenczas niewątpliwie możnaby sąd wydać o tym przekładzie taki, jaki tu i owdzie czytać można, że *duch i koloryt poety szczęśliwie zachowany*. Dopóki to jednak nie nastąpi, w przekładzie tym nie mamy odtworzonego i spolszczonego Janickiego. Janicki jedynie, że tak powiem, przewodniczy tłumaczowi i wytyka mniej więcej tór, po którym rozbijała wyobraźnia lub natchnienie unosi poetę; dlatego nawet wytkniętego toru niekoniecznie pilnuje tłumacz, jeno oddala lub zbliża się do niego według upodobania albo możności. Powiadam, według możności, bo wskazówki dają się Syrokomli w niezrozumiałym często dla niego języku; wtedy więc maca, a macając, jak ociemniały, schodzi z toru i nie wraca prędzej do niego, aż jasność wyraźniejsza zabłyśnie i zrozumie znów tłumacz słowa przewodnika. Oprócz powyżej już (w Uwadze 22 i 31) przytoczonych przykładów, przytaczam tu jeszcze jeden na dowód twierdzenia wypowiedzianego. W Eleg. IV na początku apostrofę: „*Thymbraee*” t. j. Apollinie (a Apollon był bogiem zdrowia i zarazem bogiem dnia słonecznego), oddaje tłumacz przez „cząbrze leczebny!” Apollina przeto przedzierzgnąwszy w ziele (*satureja silvestris*) zniewolony był do zmian innych, i dlatego w w. 3, w którym poeta powiada: „Już prawie obłądnym biegiem cały rok zapełniłeś (dom. ty, Apollinie, jako na słońca rydwanie pojeżdżający), odkąd różne choroby mną miotają,” Syrokomla tłumaczy: „gdy w mylnych lekach dawanych nawałem, na chorém łożu cały rok jęczałem! i t. d. (Patrz początek El. XVIII. Dialog in. v. v. od w. 13 i *Ad-patronos* cett. i w. i.). Możliwo, nie przesadzając, zapełnić kilka stronnic przytoczeniem ustępów podobnych, w których tłumacz dał dowody gienialności i twórczości poetyckiej (*art. m. fingendi*), ale trudno dopatrzeć i domacać się Janickiego.

Warszawa, dnia 6 czerwca 1865 r.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Święto umarłych w Paryżu. — Święto poetów w Prowaneyi. — Ideał religijny. — Baden. — Wesele Figara. — „Les Inutiles” komedia pana Cadol. — Pan Legouvé i jego proverbe: „A deux de jeu.” — Sławni i niesławni. — Velocipedy. — Wystawa aeronautyczna w Sydenhamskim pałacu. — Wiadomości literackie.

. „Nagle zagasnął blask dzienny,
A gwiazdy w nieskończoność biorąc lot niezwykle
Zbłąkawszy się, olśnawszy, uciekły i znikły
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata.
Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było—
I wszystkie namiętności załumiła trwoga.
Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło,
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga
O światło.....”

Komuż, kto czuje i myśli, ten sen Bayrona nie pokutuje w głowie o tój pośepnej porze, kiedy na ziemi październik, a na niebie już swoje kiry rozwiesza listopad, smutny miesiąc, otwierający w Paryżu epokę uciech świętem umarłych.. Kiedy zasmucony konaniem natury i perłowym kolorem powietrza, jak w ciemnicy zamknięty więzień, skupia się w sobie i krzesiwem czucia wydobywszy iskry z pomników wspomnień, przy ich blasku rozpatruje się w swych labiryntach, prosząc Stwórcy o promień niebieskiego światła.. Komuż w tym zmierzchu, czy w niebo spojrzeć czy w serce, nie stanie w oczach oguistemi zgłoskami na tle czarném wypisany ów czterowiersz, także pod wrażeniem mgły albiońskiej skreślony:

„Gdyś wiek przeminał, wstrzymuj się u ścieku,
Ostatniem powróć na przeszłość obliczem;
Zlicz dni szczęśliwe, a wyznasz człowieku
Czémkolwiek byłeś, że lepiej być niczém.”

Nam przynajmniej ten mrok, ponury zwiastun zimy, i ta processya wśród mgły ciągnąca ku cmentarzom, zawsze na bajronowski kamerton uustraja duszę, chociaż na pierwszy rzut oka cmentarze paryzkie nie przedstawiają okropnego, ani nawet smutnego widoku. Przeciwnie, powierzchowność ich daje oku tyle zajęcia, że myśli trudno w głąb się zapuszczać. Szerokie ulice brzeżone wykwiutnemi pomnikami, białe marmurowe kaplice otoczone kwieciami i zielenią, piękne aleje prowadzące nieznacznie do wysokich szczytów, czyli do okazałych okręgów zamieszkałych przez wielmożnych nieboszczyków: oto fizjonomia tych wypchanych ludzkimi kośćmi wzgórzy, które z trzech stron nad Paryżem górują.

Kwaterny biedaków stanowią przedmieścia tych miast niemych; na Père-Lachaise okalają wieńcem pyszne pomniki bogaczy. Poznajesz zdaleka ubogie groby po ich rozmiarze, i mimo woli przychodzi ci do głowy snutna uwaga, że równość nie większa tu jak gdzieindziej, że ziemia umarłych jak ziemia żywych, ma rozmaite pokłady mieszkańców, że cmentarz jak morze, na ubitym z małych muszli gruncie, sadzi korale, perły i polipy.

Skoro dzień Wszystkich Świętych się zbliża, sklepy kamieniarzy okalające cmentarze, przybierają święteczną postać: jak na wesele stroją się w girlandy, bukiety i wieńce. Uradowane twarze architektów śmierci, same jedne uśmiechają się wśród powszechnej żałoby; zaduszki są bowiem ich zniwem, plon obfity, dochód wielki i pewny, gdyż tłum zapewnianym w tych dniach paryzkie cmentarze, nie jest cześć zbiegowiskiem ciekawych, ale rodziną tych co tam leżą, składa się z krewnych i przyjaciół, z których każdy ma sobie za obowiązek kupić i złożyć na drogim grobie hold miłości lub uwielbienia.

Rzecz dziwna, że zwykle tak płocha i cyniczna populacya Paryża, ma wysoko rozwiniętą cześć dla umarłych: widząc ją przeistoczoną w Dzień Zaduszny, całą czarną i zasmuconą pod wielkim krzyżem, anibyś się domyślił, że to ciż sami ludzie co przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni roku, frymarczą, handlują i szydzą ze wszystkiego.

Ow krzyż czarny górujący nad innemi, znaczy ogromną kościśnię, do której co trzy lata zsypują wszystkie kości wybrane z tak zwanéj *fosse commune* nie znanego u nas miejsca. Jestto grób wspólny wszystkim wydziedziczonym dzieciom fortuny, miejsce spoczynku tych, którzy po sobie nie zostawili nic coby miało jaką-bądź wartość *nominalną*, których trupa, nie wchodząca w inne wartości społeczność chętnieby zrzuciła z globu, gdyby to zrobić się dało, a że się nie da, grabarze rzucają ciało biedaka bez trumny do wspólnego dołu, na stos jemu podobnych, i dobrze posypawszy wapnem, aby długo nie zawadzał, przywalają ziemią.

Okolo tego godła wiary wzniesionego pamięci maluczkich i nieszczęśliwych, zbiera się największy tłum, jak mrowki dźwigające ze wszech stron do mrowiska przeróżne żdźbła leśne, tak tu

ludzie się cisną, żeby u stóp krzyża złożyć to uczucie, to bukiet, to obrazek, to statuetkę, to kwiatek. Stos tych hołdów rzuconych beładnie, jest wiernym obrazem szczątków co leżą pod nim, zmieszane w komunizmie zgnilizny.

Nieraz, piśmiennie i słownie, powstawano tu na ten dół wspólny; między innemi Felix Mornand mocno się oburza na ten barbarzyński obyczaj: „Jesteśmy, mówi on, mniej religijnemi niż mahometanie, oni bowiem wolą otoczyć całe miasto grobowem przedmieściem i żyć w środku cmentarza, jak niepokoić zmarłych, kiedybądź, nie we trzy lata, ale choćby we trzy wieki, bezbożnym wygrzebywaniem; jesteśmy mniej religijni niż żydzi, oni bowiem, choć bez ojczyzny, do dziś dnia potrafili uniknąć wspólnego dołu: tak dalece dbają, żeby każdy zmarły miał swój grób osobny, że temu co niema za co, kupują go za składkowe pieniądze. Na was więc samych, na was wyznawców Chrystusa, cięży bezecny, odróżający wynalazek *ludzkiego śmieciska*, tej zniewagi wyrządzonej formie człowieczeń, za którą nawet poganie karali jak za zbrodnię.”

Wymowne te słowa, jak wiele innych, nie trafiły do serca tutejszej społeczności; zdaje się że dół wspólny, jak wspólny kanał pod Paryżem, trwać będzie tak długo jak stolica.

Co także nie mile uderza cudzoziemca zwiedzającego cmentarze, to niezliczona ilość rzemiosł które tutaj żyją ze śmierci. Pominąwszy akademią lekarską która swoje rzemiosło wciąż żywi trupami; przy każdym cmentarzu są armie konserwatorów, stróżów, grabarzy, urzędników cmentarnych, cyceronów opowiadających przychodniom legendy grobów, kamieniarzy, mularzy, fabrykantów wszelkiego rodzaju sprzętów grobowych, rzeźbiarzy, tokarzy, marmurników i ogrodników pielęgnujących: na miejscu wiecznego odpoczynku zieloność, za roczną płacę wyznaczoną sobie przez rodziny nieboszczyków. Nadto jest osobna administracya pogrzebowa, tak zwana *pompes funebres*, złożona z urzędników wszelkiego stopnia, począwszy od żałobnego przodownika, aż do woznicy co wiezie ciało. Nakoniec legion policyantów osobnych, szpiegujący zmarłych, a zostających pod bezpośrednią władzą gminy i ministra.

W alejach prowadzących do cmentarza, kamieniarze i kwiatciarze, jak żydzi na Pocijowie, wydzierają sobie pogrzebową klientelę, co wprawdzie niecierpliwi czulego przechodnia, ale z drugiej strony ma to dobre, że chroni od zbyt wielkiego zadumania. W ulicach tych, widzisz zbiór nagrobków wszelakiego kształtu, urzczywistnienie najdziwniejszych pomysłów, galeryą struktur, w której każdy może swój smak zadowolnić: świątynie w guście odrodzenia, starożytne portyki, gotyckie kaplice, filary z urną lub bez urny, sarkofagi egipskie, greckie kolumny z głową lub bez głowy, napół strzaskane piramidy, obeliski w miniaturze, tablice proste lub pyszne, gładkie płyty marmuru i wykwintne

frontony: wszystko to czeka na nazwiska, po którychby łyzy spływać mogły.

Tu i owdzie, na piedestałach bieleją anioły z kamienia lub gipsu, geniusze z opuszczonemi skrzydły gaszą pochodnie, kobiety marmurowe udają żalność; czas nieubłaganą grozi kosą, trupie głowy, klepsydry, skielety, sowy, całuny, truminy i krzyże, cały ten klasyczny szereg godeł śmierci, choć złagodzony kwieciami, choć przysypyany lawiną nieśmiertelników, z pod ich złotych listeczków wзира trup, jakby się naigrawał z ludzkiej nieśmiertelności, chociażby wykrojonej z granitu.

Nie mało pięknych znalazły tu marmurów, ale upominki które w tych sklepach sprzedają dla umarłych, każdą poetyczną duszę ranią swoją prozą, składają się bowiem nieodmiennie z wieńców symetrycznie w formie okrągłej strucli ulepionych z żółtej *wędzy*; z obwarzanków papierowych, na których czarnymi literami wypisane jakieś pożalowanie lub wykrzyknik; z obrazków w czarnych ramkach, gdzie nad jakimś wierszydkami lub uwagą o *niechybnej śmierci* ułożoną stylem Baki, płacze niby wierzba, do której portretu artysty stara pozowała miotła.

Cienie poety zzymają się uczuwszy takie pożalowanie na swoim grobie. Dlatego każdy z nas jest mocno zakłopotany w tej brukowanej pustyni, ilekroć widomą oznaką chce wyrazić hołd swój wieszczom lub znakomitym mężom naszym, których tytułu na francuzkiej ziemi spoczywa. Nie trudniejszego jak dobrać na ziemi kwiat godny pamięci wielkiego poety. Ileż razy obawiając się żeby na nas Słowacki z grobu nie fuknął, psuliśmy głupią symetrią episerskich wieńców, i z białych róż październikowych, i z długich warkoczy błuszczu, z cyprysowych gałązek i nieśmiertelników złotych, usiłowali spleść jeden z takich wieńców jakie lubił... a choć nam się wydawał dość ładny, zawsze jeszcze drży ręka, kiedy nim stopy grobowca okalamy... a trwożna wyobraźnia zawsze się lęka, żeby estetyczny król-duch zbudzony szelestem tych marnych kwiatków nie zawołał: „a co to?”

Układ pomnika Słowackiego na cmentarzu Montmartre jest dość ładny, ale zbyt ubogi na grobie tego, co potok dyamentów wylał na poezję naszą, tego, który jak powiada autor *Irydiona*: „dał niebu znać o woniach ziemi i kolorach, jakimi nasz glob zakwita.”

Brak marmuru i brak przestrzeni, mocno w tym grobie razi. Na pomniku wykutym z piaskowca przez Oleszczyńskiego, sterczy krzyż opleciony błuszczem kamiennym; pod krzyżem, na stosie książek, siedzi w kąciku ptak Minerwy; medalion wyobrażający bardzo podobne popiersie poety, oparty jest o lirę z potarganemi strunami; z pod książek wysuwa się karta, na której wypisane tytuły głównych dzieł Juliusza.

Układ dość ładny; ale rzecz cała waznichna, maluchna, krucha, zaduszona dwoma obok stojącymi nagrobkami, nie czyni żadnego wrażenia, a za kilka lat zetrze się zupełnie, bo piaskowiec

nie nadający się do subtelnej rzeźby, już we wszystkich delikatnych miejscach się pokruszył.

Na Montmartre nie wiele znajduje się grobów polskich. Znacomici Polacy prócz Mickiewicza, Niemcewicza i Kniaziewicza, leżą na Père-Lachaise. Pomiędzy nimi najpiękniejsze mają pomniki Klementyna Tańska i Fryderyk Chopin. Ale te zajmujące groby na tak wielkiej przestrzeni rozsiane, że ich odszukać samemu niepodobna. Dlatego też przemysł czyczeronów cmentarnych o których wspomniałem wyżej, sam przez się pozostał w tym labiryncie umarłych. Chcąc nie chcąc zmuszony jesteś wezwać ich pomocy, jeżeli wszystkie ważniejsze pomniki widzieć pragniesz.

Czyczerony na Père-Lachaise mają jeden porządek oprowadzania: pełnią to jak wyuczony taniec. Najprzód wiodą do olbrzymiego pomnika Kazimierza Perier, którego brązowy posąg z wysokiej kolumny nad całym cmentarzem góruje. Ztamtąd prowadzą do mausoleum generała Goberta, na którym widać go, jak ugodzony śmiertelnie, spada z pysznego rumaka. Od tej grupy z karraryjskiego marmuru przychodzić idzie za swym przewodnikiem do nagrobka deputata Garnier-Pagés uderzającego trafnością pomysłu: na trumnice stoi pusta mownica. Dalej, uderza wymowny grobowiec Raspaila: do mausoleum w formie grobowca zbudowanego, przychodzi anioł śmierci: figura schowana z głową w białe draperye, pokazuje tylko rękę, którą przez zakratowane okno podaje więźniowi... Pomnik ten nie mniej silne czyni wrażenie jak ów medalion Preaulta zrobiony dla Izraelskiego cmentarza: widzisz wyrazistą głowę umarłego, odzianą cafunem; na przyściętych ustach, palec wychudły... co znaczy: znam tajemnicę śmierci, ale nie mogę powiedzieć. Jestto jeden z pomników najgłębszego pomysłu, jakieśmi spotkali.

Dalej pokazują poczerniałe grobowce Delilla, Cuvier'a, Dupuytrena, Gericaulta, Bernardina de Saint-Pierre, Józefa Chénier, obok siebie leżących Moliera i Lafontaine'a.

Ztamtąd do nowych prowadzą pomników, do grobu Balzaka, Berangera, i Musseta. Ten ostatni nader jest piękny: rzucony sam jeden, na zielonem wzgórzu, zawsze w świeże kwiaty strojny. Na wysokim portyku z karraryjskiego marmuru, stoi przepyszne popiersie poety, tém różne od wszystkich innych, że wygląda jak żywe: nieustannie mieniące się światło wśród ruchomych gałęzi, suwa niby myśli i uczucia po kamiennem czole autora *Rolły*. Czarownicą co tak cudownie ożywia marmury, jest obok posadzona wierzba płacząca, której długie warkoczce nieustannie igrają z wiatrem, i życia swojego udzielają posagowi. Stopy pomnika opasuje wieniec róż, które palając całą tęczą różowego koloru, od krwawnika aż do opalu, przytulają się do głazu miłośniczo, jakby swe miękkie czoła o zimny marmur chłodzić chciały. Pomiędzy kwiatami, na tablicy wyryto strofę, w której Musset prosi przyjaciół, żeby na grobie jego posadzili wierzbę. Na przeciwnej stronie, w cieniu, jakby przysłonięty kotarą przy-

watnego życia, wyryty ten ustęp z jego *stancy* dorobionej do muzyki Mozarta.

„Rappelle—toi, quand sous la froide terre
 „Mon coeur brisé pour toujours dormira;
 „Rappelle—toi, quand la fleur solitaire
 „Sur mon tombeau doucement s'ouvrira:
 „Je ne te verrai plus; mais mon âme immortelle
 „Reviendra près de toi comme une soeur fidèle,
 „Ecouté, dans la nuit,
 „Une voix qui gémit
 „, Rapelle-toi.”

Grobowiec Alfreda de Musset, przy blasku słońca iskrzący jak bryła śniegu; rzucony w objęcia płaczącej wierzby na stoku szmaragdowej łąki, jest ideałem nagrobków. Nie przewidywalimy go, odprowadzając zwłoki poety karawanem *ubogich* na Père-Lachaise wiezione. Prócz nas, szło *ośm* osób za ubogą trumną ostatniego poety Francyi. Chociaż jego talent nie zmałał, bo umarł młodo, śmierć go zabrała w zupełném opuszczeniu. Dopiero po pogrzebie przypomniał sobie o nim ziomkowie i wielbić go zaczęli. Zwykły to los dusz hardych, co nie wyludniają poklasków gawiedzi.

Oprowadzenie na Père-Lachaise kończy się zwykle na grobowcu Heloizy i Abeillarda, czyezerony bowiem, jak feleitonisci, poeci i muzycy lubią kończyć dzieło fajerwerkiem, wszystkie więc race wymowy zachowują naostatek.

Od czyezerona dowiedziałem się pośmiertnych dziejów owęj ksieni i owego filozofa, których dusze po legendach ludu francuzkiego pokutują.

Abeillard pochowany w przeorstwie Châlon sur-Saone, został przeniesiony potajemnie do klasztoru w Paraclet, gdzie przeoryszą była Heloiza; w kilka lat później pochowano ją jak żądała w trumnie kochanka, na cmentarzu. Ztamtąd przeniesiono ich do kościelnej kaplicy, gdzie rozłączone kości kochanków w dwóch osobnych spoczęły grobach. Druga Abessa Paracletu, uważając, że te dwa groby zawracają głowy, kazała je wynieść do kaplicy Świętej Trojcy. Tam leżały do rewulucyi. Rewulucya znów kości włożyła w jedną trumnę i zamknęła samotnie w obszernym sklepie pod kościołem w Nogent-sur-Seine. Ztamtąd dobyto je znowu i pogrzebano w ogrodzie przed *Muzeum pomników francuzkich*. W 1814 roku, ozdobiono ich grobem podwórze tegoż muzeum; w 1815 przeniesieni zostali do kościoła Saint-Germain des-Prés; potem do kaplicy Père-Lachaise, a nareszcie, w kilka lat później, do grobu gdzie spoczywają obecnie pod kamiennym baldychimem. Pokazuje się, że i umarli miewają swoje Odyssee.

Pośród chłodu październikowych mroków, w obec omdlałego słońca i poczerniałych ogrodów, zawiął tu wietrzyk z południa, który gdzieś z krańców świata zdaje nam się przynosić. woń wszystkich cierpiących kwiatów, wszystkie rozwiane podmuchem zimy zapachy...

W słonecznej Prowancyi odbyła się biesiada na cześć poetów. Uroczystość obchodzona pod wezwaniem Apolina i jego siostr dziewięciu, była międzynarodowa. Poeta prowancki Mistral i mniej sławne bardy tamtejsze zaproszeni przez Hiszpanów do Katalonii, chcieli oddać piękne za nadobne: za bal w Wenecyi i kolacją w Ferrarze, wyprawić festyn w Saint-Remy.

Całe dziennikarstwo paryzkie zostało zaproszone na tę trzydniową zabawę do Prowaucyi, w której na chwilę odżyły dawne *turnieje miłości i poezyi*. Punktem zjazdu było miasto Saint-Remy kolebka trubadurów i Michała Nostradamus. Biesiada była świetna i uroczysta.

Chwała Bogu! jest jeszcze w tym prozaicznym roku 1868 zakątek Francyi, gdzie sama wzmianka o poezyi i poetach zwraca głowy, przyspiesza serce bicie... Przez trzy dni w Saint-Remy trwały tańce, muzyka, improwizacye, ognie radośne, serenady i processye z pochodniami. Było to święto ludowe: każdy jego koszta ponosił, wrzucił nietylko pieniądze, ale serce i dobry humor do wspólnej kasy. Spraszano gości setkami: z Prowancyi i z Languedoku przybyły tłumy. Zabrakło hoteli do pomieszczenia, więc mieszkańcy rozebrali ich pomiędzy siebie jak braci, i wszystkim było wygodnie, bo skoro serce otwarte, dom zawsze przestrony. Gościnność! podobnie jak poezya należy we Francyi do rzędu wspomnień: obie te niebiańskie siostrzyce, wygnane z wielkiego kraju, na prowanckiej już tylko ziemi przebywają.

Miasteczko Saint-Remy jest bardzo malownicze. Źródła tam zewsząd się sączą nucąc niby jakieś ballady bez końca... Cyprysowe aleje, cieniste buki, tworzą w około murów świeżą, zieloną przepaskę. Ze wzgórza na którym miasteczko zbudowane, widzisz po jednej stronie żyzne doliny Tarascon'u, po drugiej pasmo Alpinów, które na szafirowém niebie rysują się białe, ostre, majestatyczne.

Ale na ten widok uroczy nie patrzyło przez chwilę miasto zajęte przygotowaniami na przyjęcie gości. Wszystkie słupy zmieniły się w kolumny kwiatów, wszystkie okna powiały zmieszczanemi chorągiewkami Hiszpanii i Francyi. Plac przed ratuszem zmieniono w salę balową: *posąg wolności* co tam od czasów rewolucyi stoi, był gospodarzem godów.

Na drodze do Tarascon'u wzniesiono dla poezyi Łuk Zwyczajki... Czyż to nie dziwne zjawisko na Zachodzie? Łuk stał w ruinach starożytnego *Glauum* targowiska, na które zjeżdżali niegdyś Grecy z Marsylii, Arles i innych sąsiedzkich miast Prowancyi.

Starożytna ruina leży u stóp Alpinów wśród winnicy. Prócz niej znajdują się tam dwa pomniki najlepiej zachowane w Gallo-Rzymskiej Francji: słońce pozłociło je z miłością, tak, że ich żąb czasu ukąsić nie może: jestto *luk tryumfalny* stojący na drodze do dziś dnia, zwanój *la Voie Aurélium i Mausoleum*, siedemnaście metrów wysokie, postawione na piedestale, na którym rzeźbiarz wyrył świątynią z korynecką kolumnadą. W przedsionku stoją duże postacie w stroju rzymskim. Ze wszystkich ruin starożytnych we Francji, ten pomnik ma być najlepiej przechowany.

Poeeci hiszpańscy przybyli do Saint-Remy nad wieczorem. Ludność miejska wyszła na ich spotkanie. Niegdyś trubadury wędrowali piechotą z lutnią na ramieniu; ale zmieniły się czasy: lutnię całkiem zarzucono, a poeci przybyli omnibusem!

Ujrawszy omnibus z Parnasu, strojne dziewczęta stojące na czatach, puściły się ku miastu cwałem z dobrą nowiną. Przyjście było rozrzewniające. Paryżanie nie mogli wierzyć oczom swoim... nie jednemu przyszła na myśl *sześćcioletnia* dziewczynka z pól Marsowych, która widząc cudzoziemców żywo podziwiających wystawę, spytała matki czy są *zapłaceni*, że się tak zachwycają? Matka ugruntowała obiecujące dziecię w przekonaniu, że tylko *najety człowiek* może zapal udawać.

Ale wróćmy do Saint-Remy, gdzie dotąd zacofani ludzie zachwycają się *gratis*. Muzyki rozstawione po drodze przygrywały gościom: zatrzymywano ich co kilkanaście kroków i wychylano puhary na powitanie. Bard Prowancyi, Mistral, którego poematy rozbieraliśmy dawniej na tem miejscu, zaprowadził najpierw Katalanów do starego domu swoich rodziców ubranego świątecznie. Na progu tego domu Mistral w nogi ucałowawszy sędziwą matkę, rzekł: „Dziękuję Wam żeście tak dobrze przyjęli naszych przyjaciół” a do nich mowę zwracając, dodał: „Tum się urodził, tum przeżył najlepsze chwile opiewając i kochając Mirielle, tu wszystkie wspomnienia mojego życia. Brakowało mi tylko pod tym dachem grona moich druchów. Przybyliście! Dzięki Bogu!—A ja—odrzekł don Balaquér z Barceliony, popularny poeta Katalonii, b. deputowany w kortezach—ja w twoim starym domu czuję się jak w mojej rodzicielskiej chacie.

Po krótkim wypoczynku, poeci wyszli na miasto. Już noc zapadła: processya ludzi z pochodniami wodziła ich po ulicach. Na placu przed kościołem zapalono stos ogromny z pachnących gałęzi drzew południowych. Około tego stosu zagrały kapele, a dziewczki i chłopcy stukając w tamburyna, kołowali i rzucali w ognisko swoje pochodnie. Był to allegoryczny obraz wymarzony w żywej wyobraźni południowego ludu; stos przedstawiał bardów ludowych: wonny płomień ich zapachu w niebo prosto idzie, jak dym miłej Bogu ofiary; lud oo miłuje swoich pieśniarzy, dorzuca swoich iskier do stosu.

Jakaż apoteoza mogła być wspanialszą od tej przenośni pomysłu prostaków? Widok był prawdziwie malowniczy i poetyczny. Wszystkie pochodnie padły na stos pachnący... sztuczne ognie błysły w powietrzu i oświeciły plac przepętaiony ludem, który około ogniska tańcował, dopóki ostatni płomień nie uleciał.

Pochodnia ożeniona z tamburynem, w ręku ludzi południowych ma wdzięk dziwny... jakąś porywającą dzikość... jestto hałas i błysk wielkich namiętności.

Serenada pod oknami poetów zakończyła pierwszy dzień zabaw. Nazajutrz w paradnym orszaku goście poszli na mszę śpiewaną, a potem do domu szkolnego, gdzie zastawiono biesiadę. Tam, obok mera, zasiadli przy stole poeci i literaci dziś sławni w Hiszpanii: Wiktor Balaguer, Antonio Terres, redaktor naczelnny hiszpańskiego dziennika *Faro bibaleur*, poeta i publicysta; Albert Quintana, mówca i deputowany Girony; don Angelon, romanso-pisarz; Edward Vidal, dramaturg; Don Pádro, sztukmistrz wysłany przez madryckie *Muses universale*; dalej siedzieli bardy prowansalskie: Mistral, Roumanille, Girard, Aubanel, Beaucaire i t. d. Pomiedzy zaproszonymi z Paryża był pan Saint-René Tailandier, Sarcey, Monselet, Dumas; była cała prassa departamentalna, merowie i adwokaci południowej Francji: razem około trzysta osób.

Obiad się składał z potraw prowansalskich. Przy deserze Mistral wniósł toast na cześć Francji i Hiszpanii; przemowę swoją zakończył temi słowy:

... „Nie jeden spyta: koniki polne, dzikie ptaki, po coście przyszli z waszemi piosneczkami? Czego od nas żądacie w tej zadłusanój epoce pracy i zniechęcenia. Czego chcemy? Chcemy żeby lud nasz nie przestał wierzyć, kochać i mieć nadzieję; chcemy żeby nasze córki nie gardziły rodzinną Prowancyą, żeby zamiast wdychać do paryzkich i madryckich wymysłów, pozostały proste, czyste i wzniosłe w prostej sukience i rodzinnej wiosce; żeby nie wdychały do próżności zepsutego świata, ale zawsze nosiły na czole arlezką wstęgę, jak dyadem królowej. Chcemy żeby nasz lud, poznał tytuły swojego szlachestwa; żeby wiedział że pochodzi z dzielnego szczepu, który niegdyś w Marsylli stawiał czoło Romie Cezarów, w Arles bił Saracenów, w Tuluzie i w Avignonie fałszywych krzyżowców, a w Tulonie lansknechtów Karola V. Chcemy żeby lud nasz wiedział że nasi ojcowie dobrowolnie się przyłączyli do szlachtetnej Francji, zachowując swój język, obyczaj i barwy własne. Niech lud wie, że język którym mówi był językiem poetyckim i literackim Europy, że był językiem miłości i oświaty. Prowancyi i Katalonii należy pierwsze miejsce pomiedzy ludami Południa. Skoro pocujemy tę starą godność naszą, na zapadłej Prowancyi zakwitną sztuki, urosną ludzie i naród spotężnieje. Piję na cześć naszej siostry Katalonii, naszej przyjaciółki Hiszpanii—Francji, naszej matki.”

Don Balaguer się zerwał i ognistą improwizacją w kastylskim języku odpowiedział Mistralowi, w końcu wniósł toast na cześć braterstwa ludów. Adwokat z Tarascou wśród rzeszistych oklasków wniósł zdrowie Wiktora Hugo, a Balaguer poprawił go, wnosząc potrójny toast na cześć Lamartina, Hugona i Musseta.

Potém deklamowano rozmaite wiersze francuzkie, hiszpańskie, prowanckie i katalońskie narzeczem. Wino prowanckie 1472 roku natchnęło improwizacye dziwnie ogniste... Zakończył je toast na cześć *wiecznej młodości*.

W tak gorącej atmosferze gościom się wydawało że się cofnęli do złotego wieku; nikt nie przypuszczał że jest o sto mil od błyszczącego a zimnego Paryża. Kto go nie zna, kto w nim nie żył, nie zrozumie jak wielka różnica zachodzi pomiędzy tonem prowanckiej biesiady, a tonem paryzkich zborów konwencyonalnych, zawsze chłodnych, pomimo rotowego ognia dowcipu i pięknych słówek których tam sypią krocie. Biesiadujący z poetami Paryżanie, ludzie wykształceni, bogato od natury uposażeni, ale wystyg i w ciągłej styczności z obojętną i prozaiczną powszechnością, wrócili z południa zachwyceni tym płomieniem, który ich na chwilę ogarnął i rozgrzał, wrócili odświeżeni zbawiennem technieniem nie kłamanej wiary, nadziei i miłości; tém mocniej poczuli brak tych trzech cnót kardynalnych w swoim świecie, brak tych skarbów ducha, bez których człowiek zawsze będzie ubogi, bez których wszystkie skarby ziemi są tylko sposobem odurzenia zmysłów, pokarmem obfitym a nie uwalniającym od duchowego głodu i czerzości serdecznych.

Bogata Francya jest ubogą, bo jej brak ideału religijnego który wzmacnia, podnosi, pociesza, uczy kłaść na szali postanowien człowieka coś więcej nad wagę ziemskiego dobrobytu. Ogół zwątpiały, a tém samém palony żądzą używania, porzucił ideał Chrystusa jako zbyt surowy. Nauki dzisiejszych moralistów téż do przekonania powszechności nie trafiają: widząc potęgę twórczą przemysłu popartego nauką, wyrobnik nie chce wierzyć w wieczność nędzy. Czuje instynktowo że dobre rozłożenie pracy, dobre użycie dostatków, pomniejszyłoby niedostatek. Myśl o przyszłym życiu, pojęcie że nie wszystko tutaj się kończy, coraz inniej umysły zajmuje: ideał moralny wybiakł zupełnie. Duchowienstwo francuzkie, które samo jedno może ideał Chrystusowy utrzymywać w massach, czém innem zajęte: leje armaty, fabrykuje Chassepoty, werbuje ochotników, myśli o odzyskaniu ziem straconych; podnosi Izabellę, restauruje Franciszka II, usiłuje rozedrzeć Włochy na troje: przy tyłu interesach politycznych, gdzież czas do wpajania w rzesze oderwania od dóbr tój ziemi?

Tak więc, z jednej strony ideał Chrystusa stał się zbyt ciężkim brzemieniem na słabe barki ludzi nie wierzących, z drugiej jest opuszczony przez swoich naturalnych obrońców nie mogących wpajać pogardy rzeczy ziemskich, kiedy sami trzymają ich się oburącz.

Francuzki wyrobnik rozumujący logicznie powiada: jeżeli rzeczy ziemskie tak mało znaczą, czemuż tak wiele o nie chodzi duchownym? Jeżeli słusznie nad ich nabyciem pracują, dlaczegoż nie mamy czynić tego samego?

W części to tłumaczy, dlaczego ideał religijny tak dziś tu mało zajmuje miejsca w duszach: apostołowie jego, teorii swoich nie praktykują, są jako drogoscazy pokazujące drogę, którą sami nie chodzą.

Brak ideału religijnego smutnie się daje czuć we Francyi. Wyrobnik szukający w swój głowie kombinacyj ekonomicznych ku usunięciu nędzy, daleko bliższym byłby celu, gdyby zrozumiał jak potężną pomoc moralność osobista mogłaby przynieść wynalazkom ekonomii politycznej. Zamiast marzyć o zniesieniu kapitału, powinienby praktykować ład, oszczędność, ofiarę; wiedzieć, że nie wielkiego nie nabywa się bez wielkiego wysiłku moralnego; że czas jest warunkiem wszelkiego przeobrażenia trwałego: że się w jeden dzień nie wyzwala klasa społeczna, że do tego potrzeba usilnej pracy kilku pokoleń; że ci co dziś są u szczytu, przez wiele wieków na to pracowali.

Nie ma przepisu na robienie łatwo i szybko trudnych rzeczy. Professorowie obiecujący nauczyć grać na fortepianie albo na skrzypcach w piętnastu lekcjach, są szarlatany okradający uczniów swoich. Ażeby co umieć, trzeba pracować całe życie, pracować tak jakby się miało przed sobą wieczność. I wtedy jeszcze, doszedłszy do końca swego zawodu, człowiek spostrzega że dopiero zaczął, że nic nie umie... tak dalece prawdą, że najdłuższe życie jest tylko początkiem.

Poczucia trwania brak Francuzom. Człowiek zostawiony sobie, odosabniający się od swoich przodków i następców, czuje że ma tylko jeden dzień przed sobą: pilno mu używać, i właśnie ten pośpiech udaremnia wszystkie jego wysilenia. Ludzkość dokonuje w tej epoce przeobrażenia które będzie korzystne, ale transformacja wymaga długiego przysposobienia. Francuzi otrzymali głosowanie powszechne. Teraz powinni pracować nad tem, żeby się stali godnymi tego zadania. Powinni się oświecać, badać gruntownie wszystkie pojęcia nowe, oczyszczać swój ideał, starać się na szkicować plan przyszłej budowy społecznej; synowie dzisiejszego pokolenia rzucają jego podstawy, wnucy obaczają powstający gmach; ukończenie jego zobaczy ludzkość, w dzień skończenia swych dziejów.

Tymczasem niech każde pokolenie pełni swój obowiązek. Naszém zadaniem podnosić siebie samych, przykładem świecić, rozpedzać ciemnotę, kształcić młodsze umysły nie zacierając w młodych sercach wiary. To tylko czynimy codziennie i wytrwale, a potomność odda nam tę sprawiedliwość, że postawieni na krancach dwóch światów, pomiędzy napadami nie chcącej umrzeć przeszłości a porywami przyszłości której urodzić się trudno, nie zaniedbaliśmy niczego co może złagodzić upadek tego co ma upaść,

niczego, co dopomaga wzrostowi czystego ziarna, którego plonu w najlepszym razie ledwie prawnicy nasi doczekają.

Paryż więcej niż kiedy rozpierzchły tój jesieni. Brak zajęcia umysłowego na polu literackim, brak ważnych wypadków spotęgował ogólny pociąg do podróży. Dotąd jedni siedzą jeszcze w Hawrze, gdzie wystawa powszechna i walki byków dostarczają rozrywki; drudzy wyjechawszy ku południowi, do Włoch zawędrowali; trzeci, a tych najwięcej, dotąd siedzą w Badenie, który stał się willą francuzkiej stolicy. Baden jest rajem Paryżanów. Nie widać tam wcale ludzi chorych; wszystko technie radością i zabawą. Nędza się kryje pod świątecznym płaszczem; zgrany, jeszcze tam jeździ kareta; nikt się nie zabija, jak w Homburgu: spokój rozlany w powietrzu, piękność miejsca, odpędza myśl samobójcu.

Rozrywki przystępne w Baden dla każdego: jedni czytają, drudzy grają w wista, trzeci w domino, czwarcy w ruletę. Grupa graczy płci obojg, jest zawsze najciekawszym przedmiotem studyów dla psychologa. Szulery nie widzą prócz zielonego stołu; rozmowa ich jednaka: „była serya dysek czerwonych przecięta czarną piątką; przegrałem sto ludwików, wygrałem sto, książę przegrał sto tysięcy, księżna wygrała ośmdziesiąt” W wieczór bywa relacya odwrotna: million pospacerowawszy dzień cały po zielonym stole, zostawia w końcu więcej zabitych niż zwycięzców.

Cechą życia badeńskiego, równość: pan przepuszczający dziennie pięćdziesiąt tysięcy, zadaje się z artystą wydającym dziesięć franków. Zabawy wspólne, bezpłatne, nie ma nawet etykiety ubioru. Najprostsze suknie widzieć można obok kobiet ubranych jak księżne w czarodziejskiej melodramie. Wieczorem, pod tym względem rzut oka ciekawy: stroje damskie przypominają tłustoczwartkową maskaradę: grube warkocze okręcone około głowy, wydały się zbyt skromne: rozpuszczono więc włosy, a jeśli ich której brakuje, wdziewa perukę a la Louis XIV, spadającą do pasa.

Raz jakiś piesek dziwnie ufarbowany wyleciał na taras: ogon miał różowy, runo pomalowane na niebiesko i żółto, nos pozłoceny. Wszyscy zaczęli podziwiać mopsika. Zdziwiony tym podziwem pewien Paryżanin rzekł obojętnie a głośno: „Nie znajduję żeby ten pies był nadzwyczajniejszy od kobiet które widzę tutaj.” Prawda że wyjąwszy wierności, analogia była uderzająca.

Muzykę słychać wszędzie: w ogrodzie i w salach. Rano bal dla dzieci małych; wieczorem bal dla dużych dzieci, albo teatr na którym występują najlepsi aktorowie paryżcy. *Wesele Figara* przedstawiono kilka razy bardzo świetnie. Arcydzieło to zawsze młode, zawsze pełne alluzyi, co jeszcze dowodzi że świat się zmienia bardzo powoli, że dziś klaskają grotom, które w 1784 roku wstrząsnęły tronem Ludwika XVI.

Dzielny to był człowiek, ów Beaumarchais, zegarmistrz, muzyk, poeta, agent dyplomatyczny, wydawca i ruśnikarz. Od niego Ameryka otrzymała te strzelby, które wypędziła Anglików.

Chcąc poznać wielostronną figurę autora *Wesele Figara*, trzeba czytać dzieło pana Loménie pod tytułem „*Beaumarchais et son temps.*” W tej monografii napisanej stylem pana Sainte-Beuve, objęty cały ruch ostatniego okresu XVIII wieku, który rewolucyjną zwiastuje, przysposabia bunt umysłów przeciw przywilejom urodzenia i nadużycia władzy. „*Vous Vous êtes donné la peine de naître*” powiada Figaro hrabiemu Almariva. To jedno wyrażenie potępiło prawo starszeństwa i konstytucyjną starą Francji.

Rzekłbyś że Beaumarchais wcielił się w tego Figara zuchwalcę, przeciwstawiającego podstęp siłę, dowcip arrogancji panów. Nader ważnym dziełem była ta komedia wyszła cała zbrojona z jego mózgu. A kiedy później, przescigniona przez wypadki, straciła wziętość, miała prawo odpowiedzieć tym co ją już za nie mieli: ja byłam poprzednikiem waszym, kiedyście jeszcze bawiany czcili, ja dziubałam je. Jakoż, Marat konował stajen hrabi d'Artois, jeszcze pisał do niego ody, kiedy Beaumarchais siedział z wszetecznicami w więzieniu świętego Łazarza za niesforność.

To zamknięcie w turmie hańby, srodze zraniło Beaumarchaigo; drugą ranę zadała mu laska księcia Chaulnes. Rada marszałków, najwyższy sąd spraw honorowych, orzekła, że książę i par, nie winien zadośćuczynienia synowi zegarmistrza. Figaro pomścił nie tylko Beaumarchaigo, ale całą liczną kastę której jedynym majątkiem i przywilejem wartość osobista.

Jest to szczęśliwy przywilej: rzeczyciwista wartość *Wesela Figara* nie dostatecznie go tłumaczy. Komedia ta miała przeznaczenie wspólne wielu ludziom, którzy przeszli rewolucyjną: uważana początkowo za hasło buntu przeciw wszystkiemu co było najświętszego na ziemi: głupota i nadużycie, zbladła w chwili uniesień rewolucyjnych. Za pierwszego cesarstwa publiczność znowu chętnie słuchała satyry szlacheckich śmieszności. Sztuka była to obcinana to zakazywana. Za Restauracji stała się wraz z *Świętoszkiem* bronią opozycji. Za Ludwika Filipa grano ją spokojnie, bez współdziałania publiczności. Za dni naszych znowu odzyskała ważność pamfletu. Dlaczego? Łatwo zgadnąć. Rzechy można, że przyjęcie jakie czyni publiczność francuzka *Weselu Figara*, jest miarą liberalizmu jej rządów.

Publiczność zarenańska nie bardzo przyjmowała Figara w teatrze badeńskim, ale Francuzi będący w przeważnej liczbie, z całej siły oklaskiwali swój dowcip rodzinny, rozsądny a obosieczny, który dalej niesie i głębiej w masy wnika niż najzbawienniejsze nauki: Francuzi żyją conceptami nie książkami.

Trupa teatru francuzkiego grała w Baden *Figara*. W Paryżu przez całe lato na scenie były zupełne pustki; teraz dopiero teatru zaczynają się powoli ożywiać.

Teatr Cluny przedstawił udatną komedię pana Cadol, pod tytułem „*les Inutiles*.” Są to ludzie bogaci z urodzenia, którzy zjadają swoją fortunę i zużywają siły jedni na wielkie głupstwa, drudzy na małe niedorzeczności. Autor przedstawia trzy okazy tego rodzaju: eleganta z trzydziestego roku; dzisiejszego *Petit-crevé* i powabnego hulakę, który niepospolite zdolności i rzadką czynność umysłu trwoni na gonienie uciechy. W tych trzech typach pan Cadol streszcza kategorię *niepotrzebnych*. Żaden z nich nie jest nowy. Akcja w którą ich rzuca nie nowsza, wzięta żywcem z *Philiberte* Émila Augier.

Młoda sierota której matka nie kochała, w opuszczeniu i samotności uroiła sobie że jest szpetna, jakby można było być szpetną kiedy się ma gorące serce i wzniosłą duszę, której piękność na zewnątrz wybija. Panna jest bogata. Miliony powiększają nieufność którą jej wzbudza urojona szpetność. W każdym pretenście do swojej ręki widzi chciwego obłudnika, który ją chce poślubić dla posagu.

Okolo tej szpetnej panny kręci się cała intryga. Zalecają jej się naraz: stary zrujnowany szlachcic potrzebujący przynajmniej miliona na wyporządzenie domu ojców; elegancik dzisiejszy, z którego tylko zły przykład zrobił galernika uciechy, i młody adwokat, który w ostatnim akcie przybywa podpisać kontrakt ślubny.. nie swój.

Mężem zostaje powabny hulaka, który przybywa na wieś odpocząć po trudach życia pracowicie niepotrzebnego. W domu swojego szwagra spotyka dziedziczkę, której ten szwagier jest krewnym i opiekunem. Syn marnotrawny odgaduje skarby ukryte tą niekłamną skromnością, gotów już się schylić i uszczknąć lijołek: uważając siebie za bogatego, nie lęka się majątku panny. Ona go kocha potajemnie. Ugoda stanęłaby więc niebawem i byłby koniec sztuki, gdyby konkurent nie ujrzał nagle że przejadł cały majątek, nie tylko swój ale i szwagra. Jakże teraz zajądąc ręki bogatej dziedziczki.

Ona sama rozwiązuje trudność. Odgadłszy co się święci, mówi hrabiemu nie ubliżając ani swój dumie ani czystości: „ożeń się ze mną i wyratuj swojego szwagra a mojego opiekuna.” Hrabia nie chce przyjąć ofiary, ona więc, korzystając z pierwszego dnia pełnoletności, zrzeka się ojcowskiego spadku. Spadek wraca do opiekuna który go oddaje bratu żony. Tym sposobem, panna poślubiając hrabiego, nie traci swoich milionów, których się wspinałomyślnie wyrzekła.

W tém wszystkiem, jak widzicie, nic nowego: ani pomysł, ani charakter, ani położenia. Ale z tych żywiołów znanych, pan Cadol ułożył sztukę nadobną; jeśli nie oryginalną, to mającą woń sobie właściwą. Wyraża on uczucia poczciwe w sposób nader miły. Subtelna to umiejętność, przedstawiać na scenie skryte wzruszenia dziewiczej duszy.

Scena naprzykład taka: Dziedziczka siedzi sama na kanapie i duma... o czym? o swojej nieładnej twarzy, o miłości której nigdy nie wzbudzi, o swoim życiu w pączku uwiedłem... Ale czyż ta twarz tak niewdzięczna jak jej się zdaje? Patrzy w lustro... zrywa różę czerwoną i chce ją włożyć we włosy... Wtém hrabia przy-padkowy świadek tego napadu kokieteryi, zbliża się po cichu... Panna w zwierciadle spostrzega jego głowę.. Zdybana na gorącym uczynku próżności, mocno zakłopotana upuszcza różę; hrabia ją podnosi... i z gestem poszanowania i miłości peluëm, sam kwiat kładzie na czarne włosy dziewczyny.

W opowiadaniu wdzięk tej sceny znika, ale w sali lubo daje wzruszenie. Jest w manierze pana Cadol świeżość, rzadka w Paryżu. Lękać się jedynie trzeba, żeby tak lekko cieniując nieja-skrawe barwy, nie wyblakł z czasem. Sztuka jego ma zapach subtelny ale słaby, czuły ale blady kolor tej *Rozy*. Takim jakim jest, pan Cadol wydaje nam się najwięcej obiecującym z młodych paryżkich dramaturgów,

W teatrze francuzkim przelstwiają teraz malutką sztukę pana Legouvé „*A deux de jeu*” którą pierwszy raz odegrano na dworze w Fontainebleau. Autor chciał stworzyć coś w rodzaju mussetowskich *proverbów*. Jestto rozmowa pomiędzy dwiema osobami, z których jedna wedle tradycyi, margrabina, druga vicehrabia. Długo rozmawiają z sobą ci panstwo, a słuchacz nie wie gdzie dają... aż w chwili rozstania dowiaduje się o co chodziło i spostrzega, że to co powiedziano nie warte było słuchania.

Na co teatr francuzki przyjmuje takie sztuki? Na co je p. Legouvé przedstawia? Temu mianowicie dziwić się trzeba wiedząc kto jest p. Legouvé. Ma on ustaloną sławę zacnego i salonowego człowieka; bogaty, jest synem akademika i sam akademik prawem sukcesyi. Szanowany, dobrze widziany przez wszystkie stronnictwa, dla wszystkich uprzejmy. miły w rozmowie, *privat docent* polecany przez wszystkie dzienniki, umiejący władać piórem i szpadą. W takich warunkach najwłaściwiejby mu było żyć sobie spokojnie, przyjmować przyjaciół zdaleka od publiczności. Ale to mu nie wystarcza. W księdze przeznaczeń napisano, że człowiek nie może być zupełnie szczęśliwy na tej ziemi. Legouvé lubi żeby się nim zajmowano, łaknie sławy... i ta słobostka psuje mu życie. Takby mu łatwo było nie napisać tej ostatniej sztuczki, albo jeżeli się już nie mógł powstrzymać, nie przedstawiać jej publicznie, tylko w swoim salonie pomiędzy dwiema filizankami herbaty. Wszyscy zaproszeni byłiby znaleźli herbatę pachnącą, grzanki smaczne, a *proverbe* gustownie nasmarowany.

Niestety, tajemny hold nie wystarcza panu Legouvé, zupełnie jak piękna ale nie znacząca w świecie kochanka próżnemu kochankowi, chce żeby jego muzie publiczność wybijała pokłony. Więc trubadur Mani'a, korrespondent liberalnych dzienników

podający się za republikanina Legouvé, jedzie do Fontainebleau, na dwór się wciska i ofiaruje owoc swej pracy. Przyjmują wdzięcznie i komplementami płacą; on to bierze za dobrą monetę i z Fontainebleau swoją komedię niesie do teatru francuzkiego. Tam, ponieważ ma podwójne plecy: urzędowe i opozycyjne, dyrektor p. Thierry nie śmie mu powiedzieć poprostu: zmiłuj się panie Legouvé, spocznij na dawnych wawrzynach, nie ubliżaj sobie przedstawiając byle co.

Tak był powinien powiedzieć dyrektor francuzkiego teatru, gdyby był rozumnym przyjacielem. Ale rozumnych mało, a mniej jeszcze przyjaciół.

Nader przykre uczucie budzi widok pisarza sławnego, który postradawszy smak i natchnienie, może utracić nabytą sławę płodami bez wartości, nie mając nawet na swoje usprawiedliwienie potrzeby pisania. Krytycy wtedy błotem jego słoneczną obrzucają tarczę, i to jest kara pyszałków. Bóg tak mądrze rzeczy urządził, że próżność, samolubstwo, są źródłem najdotkliwszych cierpień człowieka. Powinnoby to ułatwić kochanie bliźniego.... A jednak rzadko kto siebie nie najwięcej kocha. Artysci, mianowicie poeci, kapłani piękna i prawdy, w sobie rozmiłowani do szaleństwa! Dawniej ludzie, a mianowicie artyści, w świecie widzieli Boga; dziś widzą w nim wszystko prócz Niego. Dla handlarzy świat jest paką bawełny, worem pieniędzy; dla młodych mężczyzn kobietą, dla niektórych kobiet mężczyzną; dla innych salonem, koteryą, miastem; dla artystów, dla poetów w ogóle światem, jest *ja*.

Im człowiek niezaspokojony tem wszystkiem, dłużej patrzy, tem więcej wątpi... Przypatrując się ludziom, dostrzega, że odwaga najczęściej bywa junakieryą, roztropność tehorzostwem, wspaniałomyślność rachubą, sprawiedliwość zbrodnią, delikatność nieśmiałością, uczciwość organizacyą; dostrzega, że ludzie prawdziwie delikatni, wspaniali, odważni i kochający, nie mają ani znaczenia, ani uznania u ludzi. Strułaby człowieka ta smutna prawda, gdyby nie miał jako *antidotum*—*nieślawnych*.

Velocipede zwraca uwagę powszechną w Paryżu. Spotkac go można wszędzie krążącego po bitych drogach, wymijającego powozy, dokonywającego cudów zręczności pod wodzą biegłego jeźdźca. Przyrząd ten bywa zwykle na dwóch kołach; z trzeciem kołem ma więcej podstawy, jest wygodniejszy, ale idzie powolniej. *Velocipede* dwukolny, że tak powiem klasyczny, najwięcej dziwi. Nie tylko spacerujący ale biegający za interesami ludzi, stają i gonią wzrokiem dziwny wehikuł, któryby można nazwać powozem demokratycznym, bo zdaje się powołany do rozwiązania problemu taniiej jazdy osobistej.

Francuzi ze wszystkiego najpierwsi się śmieją, potem biorą pod uwagę. *Velocipede* przeszedłszy już pierwszy okres, wszedł w drugi. Śmiały ten wozik zyskał prawo obywatelstwa we Francji: ma już swoich osobnych fabrykantów, swoich profesorów i zagorziałych praktyków. Stał się nawet zamówką do zakładów. Wyścigi *velocipedów* z nagrodami zaprowadzono w Vesinet i Hippodromie. *Velosy* biegają jak wyścigowe konie. Takie wyścigi przyczynią się do ulepszenia fizycznego rodu ludzkiego, nadto, są dlań rozrywką, co nie mało znaczy.

Modny ten przyrząd dotąd jest tylko przedmiotem zabawy, ale drobne udoskonalenie wprowadzi go w poważniejsze użycie.

Nie pierwszy to raz *velocipede* jawi się we Francji. Wynaleziony w 1808 roku próbował się naturalizować w Paryżu; robiono doświadczenia publiczne w Luxemburskim ogrodzie, ale przyrząd był wtedy dalekim od tego, czem jest dzisiaj: jeździec odpychał się nogami od ziemi. Mechanizm był w kolebce. Wnet też zaniechano takiej jazdy; tylko w karykaturach przechowała się do dni naszych.

Przez lat dwadzieścia zapomniany *velocipede* pojawił się znowu w 1830 roku. Wtedy urzędnik pocztowy Dreuze, ulepszył dawny przyrząd: jeździec znajdował oparcie na osi dwóch kół, nie na ziemi: było prawie toż samo co dziś widzimy. Pan Dreuze przedstawił ten przyrząd jako wielką pomoc dla wiejskich listonoszów: mieli oni tym sposobem szybciej i łatwiej pełnić swój obowiązek.

Przyjęto projekt Dreuza i wykonano. Ale nadeszła zima. Służba listonoszów jadących na *velocipedach* okazała się nie praktyczna.. koła ślizgały się na twardszym śniegu, a nie postępowały. Można było podkuć koła, albo też nie używać ich w ślizgawicę: uznano za rzecz krótszą zarzucić cały przyrząd. Z rozkazu władzy odebrano *velocipedy* listonoszom.

W kilka lat później powróciły w innym kształcie. Były to powoziki o trzech kołach posuwające się za pomocą korby obracanej rękami jeźdźcy. Trudno było kierować takim wózkiem: zbyt męczył ręce słabsze niż nogi. Zarzucono go.

Dziś *velocipede* Dreuza z 1830 roku zmartwychwstaje. Zda się iż tą razą to wznowienie doprowadzi do użytecznego zastosowania. Wnosić to można z powszechnego zajęcia i coraz wzrastającej liczby prozelitów. Nienależy jednak przesądzać wartości *velocipedów*. Takim jakim jest, ten przyrząd oddać tylko może usługi jednostkom, przenosząc je szybko z miejsca na miejsce po dobrze utrzymanej drodze. Znowu mowa o oddaniu tych wózków na usługi wiejskich listonoszów i służb pieszych zarządu telegrafów. Zastosowanie byłoby dobre, ale praktyczne będzie dopiero wtedy, jak *velocipedy* będą mogły chodzić po złej drodze w każdej porze roku. Oddany jakim jest do noszenia listów i depeesz, *velocipede* doczeka niezawodnie losu jaki miał w 1830 roku, to jest, będzie porzucony i zapomniany. Zbyt ni pośpiech

psuje często najlepsze projekta. Trzeba wydoskonalić *velocipede* chcąc z niego mieć nie tylko zabawkę; kto nie dojrzał owoc zerwie, ukąsiwszy rzucić go musi.

Jazda powietrzna, chociaż dziś mało czyni hałasu, nie jest zaniechaną. Założono dwa Towarzystwa aeronautów: jedno we Francji, drugie w Anglii, celem udzielania sobie wynalazków poczynionych w tym przedmiocie. Towarzystwo francuzkie wydaje nawet miesięcznik pod tytułem *Aeronauta*. W piśmie tém jest sprawozdanie z poszukiwań mogących rzucić światło na trudne zadanie. Mnóstwo ludzi wierzy mocno w pomyślne rozwiązanie kierunku balonów; nad wynalezieniem go pracują mianowicie Angliacy.

Angielskie Towarzystwo Aeronautów urządziło tego lata w Sydenhamskim pałacu swoją wystawę. Towarzystwo to liczy w swém gronie największych magnatów Wielkiej Brytanii; na rozwiązanie naukowej łamigłówki poświęcają oni wytrwale swój czas i mienie. Prezesem Towarzystwa jest książę Argyll wiceprezesami, książę Sutherland, lord Grosvenor, lord Dufferin; skarbnikiem jest uczony fizyk znany z poszukiwań i odkryć dokonanych w przedmiocie jazdy powietrznej, James Glaisher.

Expozycja tegoroczna była przysposobieniem do większej, projektowanej na rok przyszły. Trwała tylko dziesięć dni. Ciężkawe są zadania naukowe, jakie wyznaczili badacze jazdy powietrznej.

Pierwszą nagrodę (62 funty szterlingi) ofiarowało Towarzystwo „dla wynalazcy *latawca*, z pomocą którego możnaby się znosić czy pomiędzy tonącym okrętem i portem, czy też pomiędzy dwoma okrętami.”

Drugą nagrodę (50 funtów) kompania pałacu kryształowego przeznaczyła wynalazcy przyrządu poruszanego parą, czy jaką inną siłą, któryby się utrzymywał i kierował w powietrzu, na wysokości przynajmniej stóp dziesięć, przynajmniej pięć minut.

Książę Sutherland ofiarował trzecią nagrodę (100 funtów) „wynalazcy maszyny, która nie będąc ani balonem ani latawcem, podniosłaby się z człowiekiem na wysokość 120 stóp.”

Czwartą nagrodę (100 funtów) ofiarowano wynalazcy maszyny najlepszej w proporcji do swojej siły, jakiegokolwiek źródło tój siły.

Dwunastu wynalazców konkursowało o pierwszą nagrodę; siedmiu o trzecią, a jedynastu o czwartą. Dwudziestu sześciu nadało wynalazki odnoszące się do kierunku balonów. Po czwartą nagrodę zgłosił się cud małejki. Stworzył go pan Shill. Jestto maszyna parowa o sile jednego konia, ważąca tylko funtów dwanaście!

Nie znamy jeszcze wyroku sędziów przysięgłych o tych wszystkich wynalazkach: poznawszy go, dopiero będzie można poznać dzisiejszy stan praktyczny jazdy powietrznej.

Pani Edgarowa Quinet ogłosiła napisane przez siebie „*Pamiętniki Wygnania*.” Jestto niby martyrologia, która łączy wyciska sentymentalnym współziomkom będącym w opozycji, a wywołuje uśmiech na usta tych, co znają większe męczeństwa. Dzieło znajduje mnóstwo czytelników.

— Professor literatury przy uniwersytecie Paryzkim, pan Meziere ogłosił zajmujące studyum pod tytułem „*Lessing et Diderot*.” Przeprowadza on porównanie dwóch sławnych krytyków, usiłując dowieść, że wiele genialnych spostrzeżeń Lessing wziął od Diderota. Nie zważając na tę dążność patryotyczną, można się wiele z tej rozprawy nauczyć.

— Pan Verner autor „*Pięciu tygodni w balonie*” wydał odyseę w podobnym rodzaju, pod tytułem „*Voyage sous les flots*.” Jestto przyjemny sposób poznañomienia młodzieży ze zjawiskami i mieszkańcami morza.

— Pan Felix Foucon wydał tom pod tytułem: „*La Nature et l'Homme*.” Jestto historia pracy człowieka, treściwy wykład podboju materji przez potęgę ludzkiego ducha: jestto wynik długich badań, tem szacowniejszy, że autor na materialne zdobycze nie zapatruje się ze stanowiska materialnego.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

O znaczeniu prawa Rzymskiego i Rzymsko-Byzantyńskiego u narodów Słowiańskich. W dodatku excerpta serbskie z praw Rzymsko-Byzantyńskich. Wyłożył, objaśnił i wydał R. Hube. Warszawa w drukarni Gazety Polskiej 1868. 8vo III i 89 str.

Pobudką do przedsięwzięcia niniejszej pracy, stał się autorowi, jak nas w przedmowie uwiadamia, krótki zbiór postanowień przypisanych cesarzowi Justynianowi, poprzedzający w rękopisach serbskich Zakonnik czyli prawo Duszana cara. Zbiór ten postanowień dotąd w rękopisach zostający p. Hube zamierzył drukiem ogłosić i co wypadnie dla objaśnienia dodać.

Rozpatrzywszy się w nim bliżej, autor dostrzegł, że w skład jego, prócz przepisów wyczerpniętych ze zbiorów Justyniańskich, weszły wyjątki z późniejszych Byzantyńskich ustaw, a mianowicie z Eklogi wydanej w r. 740 przez cesarzów Leona i Konstantyna, z ustawy sielskiej i z Nowell cesarza Konstantyna Porfyrogenity.

Rozszerzając zakres swjej pracy p. Hube zwrócił uwagę na koleje prawodawstwa w cesarstwie Byzantyńskiem i na wpływ jaki prawa tak wschodniej jak zachodniej części państwa rzymskiego wywarły na prawodawstwo ludów słowiańskich.

„Co kiedyś Savigny” mówi autor „zamierzał sobie zrobić dla Zachodu Europy, to w skromniejszych rozmiarach, ale jak mam przekonanie w pełniejszej mierze, daję dla ludów słowiańskich.”

Tak powstało dziełko o małej ilości stronic, ale treścią swoją bardzo ważne.

Potrzeba było rozległej i wielostronnej w dziedzinie prawoznawstwa erudycji autora, jego trafnego i przenikliwego sądu, znakomitego zasobu źródeł naukowych, rozgałęzionych wreszcie osobistych stosunków z uczonemi różnymi krajów, aby dać jasny, przejrzysty, chociaż treściwy obraz tego, co dotąd w dochodzeniu losów

prawa rzymskiego u ludów słowiańskich zdziałano i z bogacić naszą wiedzę pod tym względem ważnemi nabytkami.

W sprawozdaniu naszym zamierzaliśmy głównie zwrócić uwagę czytelników na tę ostatnią stronę dziełka p. Hubego, poddając bliższemu rozbirowi i uzupełniając o ile to było w naszej mocy część odnoszącą się do prawa polskiego.

Najwięcej zawdzięcza pracy autora historia prawodawstw serbskiego i bułgarskiego. Istnienie w rękopisach zbioru, który p. Hube nazwał: *Excerpta serbskie*, było wprawdzie i przed wydaniem jego pracy wiadome, lecz p. Hube pierwszy drukiem ten zbiór ogłosił, źródła jego po szczególe w prawach byzantyńskich wykazał i rzucił nowe światło na koleje prawodawstwa serbskiego.

„Dotąd.” mówi autor str. 16, „prócz licznych dyplomatów serbskich wyświetlających niektóre stosunki publiczne, znaleźliśmy tylko zbiór prawa serbskiego, a zbiorem tym był tak zwany Zakonnik cara Duszana, z którego mogliśmy byli powziąć niejaką wiadomość o wewnętrznym składzie i ustroju społeczeństwa serbskiego. Wszakże wpatrując się w niego bliżej, słusznie mogliśmy się dziwić, iż przedstawia nader mało rozporządzeń mogących rzucić niejakie światło na stosunki prywatne narodu.

Wynikało ztąd słuszne domniemanie, że nieoznaczone i niewspomniane stosunki w Zakonniku były określone przez starodawny zwyczaj narodowy.”

To domniemanie obala ogłoszony przez p. Hubego zbiór nazwany *Excerpta*. Postanowienia w tym zbiorze zawarte odnoszą się głównie do prawa prywatnego, w części do karnego i proceduralnego. Nie znamy czasu ich ułożenia, nie wiemy kto je wydał. P. Hube z rozmaitych danych które przytacza, wnioskuje dość prawdopodobnie, że w części przynajmniej powstaniem swoim wyprzedzają znacznie wiek XIVty. Ostateczna ich redakcyja w żadnym razie nad ten wiek nie jest późniejszą.

W kształcie w jakim nas doszły *Excerpta*, zdają się być częścią jakiejś nieznannej całości. Cóżkolwiekbydź, gdy pochodzenie ich rzymsko-byzantyńskie jest niewątpliwe, stanowczo dowodzą że w dawniej Serbii większa część stosunków prawnych, tak prywatnych jako też karnych i proceduralnych regulowała się podług zasad wyczerpniętych z praw rzymsko-byzantyńskich i że prawa te nie przestawały wywierać wpływu na Serbię, nawet w czasach wzrastającej niezależności od cesarstwa wschodniego.

Śledząc przyczyn łatwego przyjęcia niektórych rozporządzeń ustaw byzantyńskich, p. Hube rzuca domysł, że źródłem tych rozporządzeń mogły być właśnie prawa zwyczajowe Słowian, rozległe przestrzenie w dziedzinach cesarstwa byzantyńskiego zamieszkujących.

Text *Excerptów* zamieszczony na str. 74—89 wzięty jest z odpisu nadesłanego autorowi z rękopisu przeszłego od Szafarzyka do zbiorów muzeum czeskiego w Pradze, a będącego kiedyś własnością klasztoru Chodoszowskiego w Siedmiogrodzie. Rękopis ten

według Szafarzyka pochodzi z r. 1390. Obok tekstu podane są, o ile się wynaleźć dały, odpowiednie wypisy z pomników prawodawczych rzymsko byzantyńskich; pod spodem zamieszczono warianty z rękopisu Szyszatowackiego (klasztoru w banacie Temeswarskim) o którym dziełko p. Hubego nie udziela nam bliższej wiadomości. Poniżej wreszcie dodane jest tłumaczenie polskie tekstu.

Równie niemal co dla historii serbskiego, ważną jest praca p. Hubego dla historii prawodawstwa bułgarskiego. Można powiedzieć że on ją stworzył a przynajmniej pierwsze jej założył fundamenta. Rozpoznając tak zwany zakon sudny cara Konstantyna Wgo, stanowiący rozdział 46 księgi kormczej czyli Nomokanonów kościoła ruskiego, porównawszy go z rękopisami innych Nomokanonów, p. Hube wykazał a przynajmniej wielce uprawdopodobnił, że mamy w nim pierwotny kodex narodu bułgarskiego, i że powstanie onego odnieść można do panowania cara bułgarskiego Simeona. Kodex ten w najznaczniejszej swojej części jest przerobieniem tytułu o karach wzmiankowanej już wyżej Eklogi cesarzów Leona i Konstantyna.

Takie są główne nabytki, które nauka zawdzięcza pracy p. Hubego. Rozdział o prawodawstwie ruskiem zawiera téż dosyć cennych lubo już więcej szczegółowych spostrzeżeń. Tu jak i co do innych krajów słowiańskich, p. Hube przedstawia w streszczeniu rys prac naukowych, jakie dla wyświeccenia przedmiotu przezeń traktowanego podjęte zostały. Nie potrzebujemy dodawać jak możnóm było takie zestawienie, jak pożądaném dla postępu nauki jest przedstawić w jednym rysie stan jej obecny.

Wypada nam przecież bliżej zastanowić się nad częścią dzieła mówiącą o wpływie prawa rzymskiego na prawo polskie.

Kwestya ta jak wiadomo była wielokrotnie już u nas rozbierana, dała nawet powód do przeciągłego naukowego sporu.

Wynik swoich roztrząsań p. Hube zamyka w tych słowach:

„Bez wahania się utrzymujemy, że prawo rzymskie w zakresie naszego prawa ziemskiego tak cywilnego jak i kryminalnego, prócz kilku rozporządzeń z niego wziętych nie miało znaczenia legalnego, a w praktyce nie zaszczycano się mocą prawa pomocniczego. Znaczenie jego na tém polu było tylko znaczeniem nauki, która pośrednio tak jak inne wywody wyczerpnięte z przykładów starożytnych, z Pisma Świętego i z ogólnego rozumowania o sprawiedliwości i słuszności, mogła wywierać wpływ na postępowanie sądów; lecz jako nauka było ciągle wysoce szanowane i skrzętnie uprawiane, tak w szkole jako i w literaturze prawnej. Jedyne wpływy jego więcej bezpośrednie upatruję w naszym dawnym procesie, ale i tu nie wprost, lecz za pośrednictwem nauki processowej włoskiej wyrobionej z kombinacyi praw rzymskich z prawami kanonicznymi. Zatem i ten wpływ uważam raczej za naukowy.

Inaczej rzeczy się miały w sferze praw miejskich: tu bez zapreczenia prawo rzymskie miało sobie u nas przyznaną moc prawa pomocniczego.”

To zdanie p. Hubego jest, można powiedzieć ostatecznym wynikiem sporu naukowego, o którym wspomnieliśmy wyżej, z właściwym tylko autorowi dodatkiem co do procesu.

Spór można uważać za wyczerpany. Rzecz byłaby ostatecznie roztrzygnięta, gdybyśmy zgodzili się na takie postawienie kwestyi, jakie stało się sporu podstawą.

Zdaniem naszym przeciw chodziło w tym sporze więcej o pojęcia naukowe czy szkolne niż o rzeczywistość. Wyłożymy poniżej nasze zapatrywanie się i w czem od uczonego autora odstąpić jesteśmy zmuszeni. Uprzednio przeciw wykazać nam należy w czem sposób prowadzenia i rozwiązania sporu niedostatecznym być się nam wydaje.

Postawienie kwestyi w sporze polegało na rozróżnieniu mocy prawa uważanego bądź jako obowiązujące, bądź jako pomocnicze, bądź jako źródło naukowe. Takie są ustalone w nauce dystynkcyje. Nie zaprzeczam że były one znane i dawnym naszym uczonym prawnikom, ale nie mam ażeby w tych dystynkcyach przeszłość naszego stanu prawnego zamknąć się dała.

Weźmy za przykład, najwięcej może ustalony, przez wszystkich przyjęty wynik badań, który p. Hube powagą swoją popiera mówiąc: „w sferze praw miejskich bez zaprzeczenia prawo rzymskie miało sobie u nas przyznaną moc prawa pomocniczego.”

Z tej decyzyi nauki wynika: że prawo rzymskie w sądownictwie miejskiem o tyle tylko stosowane było i być mogło, o ile okazał się brak prawa obowiązującego.

San p. Hube przeciw rzuciwszy okiem na najznakomitszy pomnik sądownictwa miejskiego, lub raczej królewskiego, jakim jest dzieło kanclerza Lipskiego (1) trafnie dostrzegł że więcej spotykamy

(1) Lipski Andrzej wszedł na dwór królewski w r. 1596. Został sekretarzem królewskim i członkiem asesoryi, wydał w siódmym roku swego na dworze pobytu (1602) pierwszą centurę swoich obserwacji z prawa rzymskiego i saskiego. Jako deputat od duchowieństwa zasiadał w Trybunale piotrkowskim w r. 1609 a w lubelskim w r. 1610. W roku 1619 już jako biskup łucki i podkanclerzy wydał u Cezarego w Krakowie połowę drugiej century czyli obserwacji 50. Później został kanclerzem a nakoniec biskupem krakowskim. Nie odznaczał się dworskością obyczajów, jak o tém dość zabawną anegdotę przechował nam Braun. Wymiesienie swoje na wyższe godności winien był, jak to przyznaje nawet niechętny mu Piasecki, biegłości w prawie cywilném.

W dziele swoim przywoździ wyroki sądu zadwornego w liczbie około 200 i naukowy wywód ich rozporządzeń zamieszcza. Wyroki te idą od r. 1569 do 1616. Prawie połowa ich jest z lat 1591 i 1596. Dość jeszcze licznie są reprezentowane lata 1599, 1597, 1583. W roku 1626 wydał nadto Lipski: Decas questionum z prawa publicznego.

P. Burzyński w dziele swoim p. t. Prawo polskie prywatne, tom I (Kraków 1868) mówiąc o Lipskim (str. 121) drugą centurę pomija,

w nióm cytacyj z praw rzymskich jak z prawa niemieckiego. Okoliczność tę stara się wytłumaczyć p. Hube przywodząc że „do sądu królewskiego dochodziły właśnie sprawy, w których prawo miejskie nie obejmowało stanowczych rozporządzeń.”

Blizsze rozpatrzenie się w dziele Lipskiego przekonało nas przecieź, że w sądownictwie najwyższej w kraju magistratury prawa królewskiego, tém była asesorya (1) dawano pierwszeństwo rozporządzeniom prawa rzymskiego nad rozporządzeniami praw niemieckich, ile razy pierwsze okazywały się więcéj odpowiedniami rozwijającym się pojęcióm prawnym.

Tak np. w ważnej kwestyi czy bracia przyrodni bliżsi są spadku od stryjecznych po bracie rodzonym, asesorya wyrokiem z r. 1593 w poniedziałek po niedzieli postnej *Invocavit*, w sprawie między dziećmi Jana Pelliona przeciwko Albertowi Parzymiaszko, przedmieszczaninowi krasnostawskiemu dała pierwszeństwo rozporządze-

a o dziele wyraża się: że obejmuje dosyć przechowanych prawnych zwyczajów! Nie można mnić właściwie się wyrazić. Dzieło Lipskiego jest trwałym i pięknym pomnikiem jurisprudeneyi sądu asesorskiego. Kilkakrotnie było wydaném. Rozszło się go, jak mówi Förster w przypisaniu swojej edycyi z r. 1648 egzemplarzy moc niezliczona. Uważano je nawet za książkę podręczną do wyczenia się prawa ojczyzstego (tamże).

Do dzieła p. Burzyńskiego jeszcze kilkakrotnie zwrócić się nam przyjdzie. Jakkolwiek pogląd tego autora na prawo polskie jest zupełnie błędny, a w szczególach jest on wielce nieokładny, to przecieź gdy w formę naukową obleć upowszechnione uprzedzenia, dzieło jego bez sprostowania pozostać nie powiano.

(1) P. Burzyński własną powagą ustanowił w Polsce sądy wyższe, do których zalicza relacyjne, asesorskie i referendarskie, i sądy najwyższe, za jakie podaje sąd sejmowy i trybunał. W źródłach napisano inaczej. Ordynacya sądów zadwornych koronnych z r. 1680 potwierdzona na sejmie 1683 r. mówi: „*Judicia Nostra Regalia que ex primaeva sui fundatione suprema sunt*. Vol. Leg. V, 661. Ordynacya sądów zadwornych asesorskich z r. 1764 mówi: „Wszelkie dekreta w asesoryi były, są i być powinny téj ważności i mocy, jako dekreta sejmowe, relacyjne i trybunałskie.”

Właściwy podział najwyższego sądownictwa w dawniej Polsce zdaje się nam następujący. Sądownictwo to było dwojakie, według dwóch prawodawstw obowiązujących w kraju. Najwyższym sądem zwyczajnym prawa królewskiego była asesorya, najwyższym sądem zwyczajnym prawa ziemskiego trybunał. Sądy sejmowe i relacyjne tak z sobą pokrewne, że wyroki ich doszły nas w pomięszaniu zawarte w jednych i tych samych aktach, sprawowały sądy najwyższe nadzwyczajne lub specjalne. Sądy referendarskie naręszcie były tylko odgałęzieniem asesorskich, do których składu referendarze wchodzili. Sądów referendarskich nie było wcale na Litwie. W Polsce jurydykcyja ich wcieloną została do asesoryi 1764 r., a przywróconą 1766 r.; istnienie jój odrębne było rzeczą wewnętrznego sądowego porządku.

niom prawa rzymskiego uznającym tę bliższość nad prawem saskim, przypuszczającym w tym razie stryjecznych do spadku (Lipski, Centuria 1. Observ. 67, N. 6).

Do składu prawa saskiego wchodziło prawo lenne. Ale i *corpus juris* obejmowało także prawo lenne (lombardzkie). Pierwsze według decyzji nauki winno być poczytane za obowiązujące, drugie jako wchodzące w skład prawa rzymskiego za pomocnicze. W razie rozdziału lenności, saskie prawo nie uznawało praw spadkowych brata po bracie. Jakaż jednak przyjęta u nas była w tym razie *jurisprudencya*.

„*Verum tamen hac in parte*” mówi Lipski w ważnej co do sukcesyji w lennościach obserwacyi 73 (N. 16), *jus saxonicum feudale in regno non observatur: et in decidendis causis feudilibus ad consuetudines et statuta regni vel ad jus commune feudorum* (prawo lenne w *corpus juris*), *tanquam fontem et originem recursus fieri solet.*”

I w tym więc przypadku dawano prawu uważanemu przez naukę za pomocnicze pierwszeństwo nad prawem obowiązującym.

Te przywiedzenia wystarczają już, jak miuiemam na udowodnienie mego twierdzenia, że rozwiązanie kwestyi o znaczeniu u nas prawa rzymskiego, według przyjętych w nauce dystynkcyi o prawie obowiązującym, pomocniczym, lub uważanym jako źródło naukowe: nie jest dostatecznym.

Uczut to po części p. Hube. Niektóre jego wyrażenia wychodzą po za szranki dystynkcyi, waha się przeciwko je przekroczyć.

Przedmiot rozbiegany w właściwszym zdaje mi się przedstawiać światło, gdy przyglądać mu się będziemy nie ze stanowiska dystynkcyj naukowych, lecz na gruncie stosunków społecznych i ekonomicznych. Jak mocno te stosunki oddziałują na stan prawny, to wykazała nam między innymi p. Hube przechodząc we wstępie swego dziełka koleje prawodawstwa byzantyńskiego.

Więcej stanowczo pogląd ten przyjął i do losów prawa rzymskiego w nowszych czasach zastosował prawnik ekonomista niemiecki Dankwart w piśmie p. t. *National ökonomisch civilistische Studien*. Wychodząc z zasady że wszelkie prawo jest wynikiem faktycznych stosunków, mówi on (str. 28) o przyjęciu prawa rzymskiego w Niemczech co następuje:

„Przyjęcie (w Niemczech) prawa rzymskiego poprzedzone było dotkliwym brakiem, którego zastąpienia nagła zachodziła potrzeba, a potrzebie tej zaradzić ani lud ani ociężałe prawodawstwo nie były w stanie. Brak polegał na zupełnej niedostateczności swojskiego prawa. Dłaczegóż przecie stare prawo niemieckie które tak długo wystarczało, nagle w XII i XIII wieku wystarczyć nie zdołało? Jasnem jest że około tego czasu nastąpiła raptownie wielka zmiana w faktycznych stosunkach w Niemczech, która przerosła Niemców o tyle, że w odpowiedniem kształceniu prawa nie mogli nadążyć rozwojowi stosunków... Tym głęboko wnikałym

wypadkiem było pobudowanie miast.... Starannie przecież zwrócić na to należy uwagę, że skutkiem pobudowania miast, dawne niemieckie prawo nie wyszło z użycia. Było ono i pozostało w zastosowaniu do tych faktycznych stosunków, które mu dały początek... Ale zachodziła potrzeba obszerniejszego prawa o umowach, w szczególności prawa handlowego, zachodziła potrzeba rozporządzeń o nowo powstałych służebnościach miejskich (*servitutes prediorum urbanorum*) i o stosunkach sąsiedzkich wywołanych skupieniem się zamieszkań; więcj nie trzeba było niczego. Nie szło o naukowo obrobione prawo, bo naukowość była jeszcze wówczas daleko poza horyzontem niemieckim. Prawo rzymskie zaspaka-jało tę potrzebę więcj niż dostatecznie, stosowano je do nowo powstałych stosunków z pełnım przeświadczeniem iż jest odpowiednım celowi."

W podobny sposób i dziś jeszcze przejmują narody europejskie jedne od drugich zasady prawne co do nowo powstałych stosunków dróg żelaznych, telegrafów, banków i t. d. Ale przy rozbudzonej obecnie czynności prawodawczj, to przyswojenie zasad obcego prawa potrzebuje zwykle wyraźnej sankcyi prawodawczj; w dawniejszych czasach obchodzono się bez nięj, czerpano prawo tam, gdzie je znaleźć można było.

Rzucmy okiem z tego stanowiska na rozwój naszego prawodawstwa.

Trafem niespodzianym o którym zwątpić już można było, odszukaną nareszcie została księga prawa zwyczajowego polskiego z wieku XIII. Dzięki gorliwości hr. Adama Sierakowskiego, dzięki nauce i wytrwałości Helcla najdawniejszy ten zabytek naszego prawa wkrótce wyjdzie na widok publiczny, w drugim tomie Starodawnych prawa polskiego pomników. Mając sobie łaskawie udzielone wydrukowane dotąd arkusze rzeczzonego dzieła zawierające (str. 13 — 33) zabytek ten w całości, mogę poczynić nad nim niektóre uwagi.

Księga nie doszła nas w całości, lecz wnioskując z tego co nam pozostało, wątpić można ażeby wiele do końca jęj brakowało. Tak jak jest, przedstawia nam stosunki społeczeńskiego życia w takiej prostocie, że to stało się p. Helclowi jednym z powodów do odniesienia początku księgi do wieku XIII (str. 6) (1).

W rymowanym wstępie autor księgi przypisuje panowanie prawa rzymskiego w Niemczech temu, że Rzymianie podbili Niemcy i nadali im swoje prawa; o polskiem prawie powiada że żadnemu krajowi nie jest podległe, samą zaś księgę zaczyna tém, że od przyjęcia chrztu Polacy papieżowi nie cesarzowi byli podlegli i sądy ich

(1) Skłonny jestem mniemać że spisanie księgi nastąpiło w drugim dziesiątku XIVgo wieku, a to ze względu na dwa miejsca rymowanego wstępu; jedno z nich odnieś się daje do poskromienia miast (oo i p. Helcel, lubo jako wątpliwe zaznaczył); drugie *nu (nun, teraz) vernarrt*, do zawojowania Pomorza przez Krzyżaków.

nie od cesarza wyływają. Mamy tu, że tak powiem, początek sporu o wpływie prawa rzymskiego w Polsce, który dotąd naszych uczonych zajmuje. Wszakże obok politycznej strony przedmiotu, której ważności nie przeczę, jest jeszcze inna, społeczna, a ta więcej niż pierwsza otworzyła prawu rzymskiemu wrota do Niemiec. U nas w XIII wieku jeszcze prawo krajowe dla społeczności wiejskiej wystarczało i to wszakże niezupełnie. Nie było jeszcze wpływu prawa rzymskiego na prawo krajowe, ale były wpływy inne dawniejsze prawa obcego. Chociażby nawet tak zwane Sądy Boże, znane w księdze prawa zwyczajowego miały krajowy początek, to przecież, przywodziśmy tu słowa Helcla str. 5.

„Formuły modlitw i zaklęć do Sądów Bożych różnego ob-
rządku zastosowane, które autor książki przytacza jako używane i zwykłe w Polsce, wzięły swój początek i używane były również powszechnie w innych krajach zachodnich i południowych, i to niemal dosłownie w tém samym co u nas brzmieniu. Należą one do najodleglejszej starożytności wieków średnich” (może jeszcze do IX wieku).

Był więc starodawny wpływ prawa obcego na prawo krajowe; wkrótce miały nadejść czasy, w których wpływ ten ustąpić miał miejsca nowszemu.

Miasta i ich prawa raz tylko jeden w księdze prawa zwyczajowego są wzmiankowane. Te same powody które utorowały prawu rzymskiemu drogę do Niemiec, wzmocnione jeszcze dość silnym napływem cudzoziemców, spowodowały w naszych miastach przyjęcie praw niemieckich już pod wpływem rzymskiego ułożonych i dały miejsce bezpośredniemu wpływowi prawa rzymskiego.

Lecz nie tylko w miastach dała się uczuć potrzeba prawa pi-
sanego. Społeczeństwo nasze w ogóle wyszło z epoki prawa wy-
łącznie zwyczajowego w wieku XIV; nastąpiło prawodawstwo Kazi-
mierza W.

Przy jego redakcyi trudno było złożyć jakąkolwiek całość bez udawania się do prawa cesarskiego; widzimy je też, jak o tém wspomina p. Hube, wyraźnie po kilkakroć powołane.

Prawodawstwo Kazimierza W., jak to już na inném miejscu starałem się wyjaśnić (Bibl. Warsz. r. 1860 T. II str. 503) przypadło na epokę szybko rozwijającego się społeczeństwa. Jest to zdaniem mojem główną przyczyną, dla czego to prawodawstwo nie doszło nas w swoim pierwotnym układzie. Za Jagielly wydane statuta warszawskie (1423) przedstawiają znakomitą zmianę pojęć prawnych, tak dalece iż co w Wiślicy było prawem, to w Warszawie wydaje się zwyczajowym nadużyciem. Statuta warszawskie były drugiem ogólniejszem usiłowaniem legistacyi krajowej. I tu również nie obeszło się bez odwoływań do prawa rzymskiego (Hube str. 56).

Mijał wiek XV a prawo pisane żadnych prawie nie uczyniło postępów. W r. 1454, statutem nieszawskim król Kazimierz zaleca sądom aby sądziły na zasadzie statutów Kazimierza W. i war-

teńskich. *Hujusmodi autem iudicia judicentur ex libro statutorum Regni Casimiri divinae memoriae et ex statutis in Warta confectis.* Zatwierdził statut nieszwowski Jan Albert w r. 1496 (Vol. Leg. str. 250). Taka niedostateczność prawodawstwa zrodziła i potrzebę jej zaradzenia i usiłowania ku temu. Król Alexander polecił kanclerzowi Łaskiemu zebranie praw Królestwa.

Oceniając znaczenie i doniosłość tego jedyne go zbioru praw naszych urzędownie zatwierdzonego, p. Hube przywodzi że król dał rozkaz Łaskiemu, aby obok praw niemieckich mających wejść w skład urzędowego zbioru, zamieścić tak zwaną summę Rajmunda Partenopea, obejmującą wykład praw rzymskich; że tym sposobem nie tylko zatwierdził co dotychczasowym zwyczajem było uświęcone, ale nadto stanowczym wyrzeczeniem podniósł prawo rzymskie do znaczenia prawa pomocniczego obowiązującego (str. 64, 65)

Nie mogę się zgodzić na ten wykład znaczenia zbioru Łaskiego.

Już z tytułu dzieła, w którym większymi literami wydrukowano:

Commune inclity Polonie Regni privilegium constitutionum et indultum publicitus decretorum aprobatorumque cum

a dalej mniejszym drukiem:

nonnullis iuribus tam divinis quam humanis per Ser. Principem et Dominum Alexandrum etc. Non tamen in illud ipsum privilegium sed motu proprio regie serenitatis sue per adhortationem pro instructione regnicolarum proque regni ejusdem ac justitie statu feliciter dirigendis, eidem privilegio annexis et ascriptis, Mandante que sacra eadem Majestate accuratissime castigatis."

wykazuje się że zbiór Łaskiego objąć miał 1) ustawy publiczne w ogólny przywilej zebrane, 2) inne prawa boskie i ludzkie nie wchodzące w skład przywileju, lecz które król motu proprio podaje dla nauki mieszkańców i porządku sprawiedliwości.

W wykonaniu rzecz się ma nieco odmiennie. Po przemowie Łaskiego następuje naprzód instrukcja o terminach sądowych i wykonaniu wyroków, którą król *per modum consilii* do użytku poleca; następnie dekret królewski zatwierdzający przywilej powszechny, w którego skład weszły atoli nie tylko prawa publicznie uchwalone lecz i traktat Kotficza o interdyktach i niektóre bulle papieżkie; a po zakończeniu przywileju dalszy ciąg dekretu, w którym król mówi, że równie jak owe bulle w przywileju wypisać tak i poprawiony tekst praw saskich zamieścić polecił a nakoniec summę uczonego Rajmunda, co wszystko *quae omnia vidimus pro singulari eruditione & suorum subditorum gubernaculo conducibilia esse.* Dalej następują słowa przywidzione przez p. Hubego.

et quia eorum (nie summy ale wszystkiego co dołączono do przywileju) practica communiter fit in certis Regni nostri locis Jus Maydemburgense ac Theutonicum habentibus, Ideo nos ea (i tu nie tylko summa) a privato illorum usu sumentes ad com-

munem universorum subditorum nostrorum cognitionem eruditionemque (a więc dla nauki i wiadomości wszystkich poddanych) per haec scripta legavimus et tradidimus. Primum vero posuimus Librum qui a nonnullis titulatur Othonis Cesaris Ruffi etc.

Nie ma tu mowy o stosunku prawa rzymskiego do niemieckiego, ale jest ogłoszenie praw niemieckich i rzymskiego w obrobie Rajmunda dla nauki i wiadomości wszystkich poddanych.

Gdyby ogłoszenie miało, jak chce p. Hube, nadać moc prawa pomocniczego obowiązującego, to przyjąłoby wypadało że przez zamieszczenie w zbiorze Łaskiego, prawo saskie i rzymskie zostały w Polsce moc prawa pomocniczego dla wszystkich bez wyjątku mieszkańców. Że taki zamiar mógł mieć Łaski a nawet i król, to zdaje mi się dość do prawdy podobnym. We 20 lat potem wychowany pod opieką Łaskiego Śliwnicki, przygotowując swój kodeks mający mieć nazwę praw Zygmuntońskich, z polecenia króla ustnie mu przez Łaskiego objawionego, wyraźnie w projekcie dekretu królewskiego zatwierdzenie objąć mającego zamieścił, że prawo udzielone zostaje wszystkim poddanym, że znoszą się prawa saskie, a czego brak w konstytucjach prawa ziemskiego, to ma być dopełnione z nowego prawa (1). Że projekt Śliwnickiego pozostał projektem nie ulega wątpliwości; lecz żeby tak dalece odbiegał od myśli króla Zygmunta a zwłaszcza Łaskiego jak chce p. Helcel w przedmowie do wydania Śliwnickiego (VII), to za wątpliwe uważam. Śliwnicki poszedł dalej jak Łaski, lecz w jego duchu działał.

Wszakże i Łaskiemu niezupełnie się powiodło. Jak zapatriował się na zbiór jego, stan panujący w kraju, o tém ciekawą wiadomość przechowała nam prośba posłów ziemskich podana Zygmuntovi Augustowi na Sejmie w Piotrkowie z powodu protestacji duchowieństwa przeciw uchwałom sejmowym z lat 1563—5. Zamieścił ją Kukaszewicz w dziejach kościołów wyznania helweckiego w Małej Polsce (str. 234—238) ze spóczesnego rękopisu.

„nie wiemy,” mówi prośba „przecż Xięża Ichmość do innego cudzego prawa nas ciągną i zawżdy się o to starają, aby nas mieli *sub iugo suo* a rozdzielili się z swą zwierzchnością z pany a królmi naszymi, a chcąc tego już swobodnięj a bezpiecznieję użyć włożyli swoje te ustawy i swoje te *privatim* uproszone listy ku naszemu pohañbieniu a zniewoleniu między główne przywileje nasze, mając za to żeby panowie a królowie nasi mieli im nie prawa tylko *illegitime emanata* z nami pospołu poprzysięgać, a to żeby i to wszystko co w tych deszczkach stoi poprzysięgać się miało. Co jako jest *contra rationem* każdy lačno obaczy, bo w tych deszczkach stoją historye ustaw hiszpańskich, żydowskie prawa i t. d. Kotwicze, Rajmundy, Bule *et ul genus*, do czego żadna powinność ani nasza nietylko panów a królów naszych nie ściąga się.

(1) Mathiae Sliwnicii Jurium Constitutionumque Sigismundinarum descriptio str. 2.

I owszem, samże król Alexander który te statuta zebrać księdu Łaskiemu kazał, tak w potwierdzeniu na końcu mówi: „Privilegia, indulta, munimenta, statuta etc. per Illustrissimos prodecessores nostros principes, reges, reginas, juste et legitime emanatas confirmamus. A iż widzimy że od żadnego króla a Pana Naszego nic Ichnościom *juste et legitime* nie jest *datum*, przeto też tu w naszym statucie nic *confirmatum* ani *roboratum* nie mają (1).”

Proszący jak widzimy uważali się władnemi rozstrzygać czy prawo potwierdzone było też i prawnie wydane, i na téj zasadzie odrzucali moc obowiązującą nie tylko tego co Łaski do przywileju powszechnego dołączył, lecz i tego co w samym przywileju zamieścił (Kotficz, Bule i t. d.). Jak pod tym względem usposobienie zmieniało się, tego ciekawym pomnikiem są ustawy koronacyjne Zygmunta I i Zygmunta Augusta.

Zygmunt I dla szybszego wymiaru sprawiedliwości i załatwienia poszukających jój stanowi w r. 1507, ażeby zawsze za dworem byli dwaj biegli w prawie jeden świecki drugi duchowny, którzyby skarg słuchali i relacją o nich kancelaryi królewskiej czynili, a następnie z rozkazu królewskiego rezolucje wydawali (*expeditionem facient*) według prawa i sprawiedliwości.

Jestto początek referendarzy, ustalenie wpływu uczonych prawników. Widzimy że ich obowiązki odnosić się miały do wszelkich w ogóle skarg przez kogobądź zanoszonych. Nie byli oni sędziami (powiedziano na końcu: *Causae tamen judicariae Judicio juxta statutum committantur*). Z natury przecież swoich zajęć wpływ mieli na sądownictwo nadworne i z czasem stali się istotnemi członkami sądów prawa królewskiego. Ale w tych sądach wiele spraw i szlachta miewała; nie podobało jój się ulegać sądowi królewskich urzędników. Dlatego w potwierdzeniu praw koronnych w r. 1550, Zygmunt August (Vol. Leg. II str. 598) *ad captandam benevolentiam* jak mniemam obiecuje 40. „Iż w niemieckich sądziech wiele spraw szlachta miewa, gdy się takowe sprawy przytoczą, tedy je z radami które przy nas będą odprawować i sądzić będziemy, a kancelaryja z referendarzami przestuchawać ich będzie i przy stronach referować.”

(1) Wyrazy przywiedzione z konfirmacji Alexandra nie znajdują się w dekrete tegoż króla. Użył przecież podobnego wyrażenia: *juste et legitime datas et donatas* król Zygmunt I w potwierdzeniu praw na sejmie 1507 r. Potwierdzenie to wcielone zostało do zbioru Łaskiego, którego druk ukończony został 27 stycznia 1506 r. Gdy w tymże roku 19 sierpnia umarł król Alexander, przed wypuszczeniem dzieła na użytek publiczny, dodano do niego ustawy koronacyjne nowego panującego i zamieszczono je po rejestrze i bez paginacji. Dla objaśnienia przywiedzeń prosby dodać należy, że Łaski w przedmowie swojej mówi o ustanowieniu w Hiszpanii zakonów rycerskich wojujących przeciw niewiernym; w samym zaś przywileju zamieszcza znany przywilej kaliski udzielony żydom. O Kotficy, Rajmundzie i Bullach mówiliśmy już wyżej.

Łatwiej przecie było obiecać niż dotrzymać i panowanie Zygmunta Augusta odznaczyło się małą o sądownictwo króla tego dbałością.

Praca Łaskiego była pierwszym ważniejszym usiłowaniem nadania krajowi zbioru praw jego potrzebom odpowiednich. Widzieliśmy że tym potrzebom zaradzić chciano przez liczne zapożyczenia z praw kanonicznych niemieckich i rzymskiego, widzieliśmy także, że w sądownictwie ziemskim to powszechnie przyjęte nie zostało. Potrzeba jednak więcej wykształconego prawodawstwa, coraz dotkliwiej czuć się dawała. Zygmunt I i jego następcy nie jednokrotnie lecz zawsze bezskutecznie potrzebie téj zaradzić się starali. Nie możemy wchodzić na tém miejscu w szczegóły tych usiłowań; lecz zastanowić się winniśmy, jakimi drogami i przez jakie środki kształciło się u nas prawo, gdy zamierzona kodyfikacja nie nastąpiła.

Środków tych, oprócz pojedynczych rozporządzeń prawa ogólnego było głównie dwa: prejudykаты i prawa prowincjonalne lub miejscowe (*jus particulare vel municipale*). Kodyfikacja ogólna nie doszła do skutku, lecz ziemie spisywały swoje zwyczaje, miasta stanowiły dla siebie wilkirze, a pojedyncze prowincye (Litwa, Prusy) ułożyły księgi swoich praw. Wszystko to stanowiło *jus particulare* do którego w niedostatku prawa ogólnego nieraz się udawano (1).

Zamiar swój skodyfikowania, zredagowania jak się wyraża w jedną formę praw, Zygmunt I uzasadnia tém: *ut judices regni non de suo privato sensu sed ex auctoritate legum judicia exercerent* (Reskrypt do wojewodów z r. 1513 d. 18 stycznia, Tomiciana II str. 152). Sądzone więc, jak król mówi, według własnego zdania; sądzili tak ci którzy w prawie biegli nie byli. Lecz do sądów królewskich wpływali prawnicy; zasiadali oni i w radzie Monarszej. Sądy królewskie, a król był najwyższym sędzią bądź sam, bądź z radami swemi, nie mogły polegać na własnowoli, kierowały się znajomością prawa. Ztąd powaga tych wyroków któremi uświęcone zasady przeszły w moc prawa i na wykształcenie jego przeważnie wpłynęły. Najznakomitszy praktyk prawa ziemskiego Zawadzki w swoim *Processus Judiciarius*, często wkraczającym i w zakres prawa cywilnego, głównie, można powiedzieć na prejudykаты się opiera. Lecz przytaczając wyroki nie daje prawnego ich wywodu

(1) Według tego sprostować należy co p. Hube mówi na str. 67 przedstawiając systemat Załaszowskiego. U Załaszowskiego *jus particulare* nie znaczy jak p. Hube wyklada „szczegółowe prawo pisane odnoszące się do przypadku rozbieżnego” lecz prawo prowincjonalne, miejscowe, np. Statut Litewski, Korrrektura. Podobnie *jus commune* nie znaczy, jak chce p. Hube, wywodów jakie zrobić można z kombinacyi kilku przepisów wprost nie odnoszących się do przypadku, lecz przez analogią dających się do niego zastosować, lecz: Statuta et Constitutiones Regni Nostri, jak to Załaszowski sam wyraźnie objaśnia.

i pod tym względem stoi na niższym poziomie niż Lipski. Zaraz w pierwszym tytule o obligacjach przywodzi Zawadzki do 40 wyroków, wszystkie z XVI wieku. Królewskie i sejmowe, których jest najwięcej, bo te znaczącej do ukształcenia prawa się przyczyniły, idą od r. 1516 do 1567. Trybunalskie mniej niż część czwartą ogółu przywiedzionych stanowią.

Na czymże się opierały te wyroki, jeżeli, jak widzieliśmy, prawo ogólne było niedostateczne, a *de suo privato sensu* sądzić nie chciano? W znacznej części niezaprzeczenie opierano się na prawie cesarskiem, a wpływ onego uwydatnia się także i w prawie partykularnem. Że tak było, to co do ważnych zasad prawnych, będziemy się starali wykazać.

P. Hube w rozdziale swego dziełka o Szlązku przywodzi, iż do redakcyi prawa ziemskiego Szlązkiego (Wrocławskiego) w r. 1356 prawo rzymskie okazuje się jako jeden z elementów użytych do zmodyfikowania oryginału Saskiego. „Gaupp” mówi p. Hube „słusznie uważa, iż zaprowadzona w tém nowém prawie ziemskim zmiana o reprezentacyi udzielonej dzieciom córek, może być przyznana ustalającemu się wpływowi pojęć rzymskich.” Jakoż reprezentacya tak w linii bocznej jak w linii prostej była obca prawu saskiemu obowiązującemu w tej części Szlązka. Prawo to uległo u nas, lubo daleko później podobnej zmianie, naprzód przez wilkirze miejskie zatwierdzone przez panujących. Tak np. do miasta Lwowa wprowadził reprezentacyę w linii prostej przywilej z r. 1553, nadający w zatwierdzeniu wilkirza miejskiego *ius representationis* wnukom *quorum parentes non fuerant emancipati* (1).

Wkrótce potem zasada reprezentacyi zastosowana została i do linii bocznej, a to tak w prawie miejskiem jak i w ziemskim. Powołano synowców do spadku *per stirpes* ze stryjami. Podstawą stał się wyrok Zygmunta Augusta na sejmie Warszawskim 1556 w Wilią Bożego Narodzenia w sprawie Stanisława Materny z Katarzyną Żołądkową. Za tém zdaniem jako łaskawszém (*benignior sententia*) poszedł w pewnej sprawie i król Stefan (Lipski Observ. 65 Nr. 7). Zasada reprezentacyi w linii bocznej otrzymała później prawodawczą sankcyę w korekturze pruskiej stosowanej w naszym sądownictwie ziemskim (2).

Podobnie wyroki Trybunalskie zgodnie z przepisami prawa Rzymskiego unieważniły *contractus legis commissoriae* (Lipski Cent. II Observ. 32 Nr. 5).

(1) Wydrukowany w dziele p. t. Oesterreichische Stadtrechte und Privilegien von Dr. Ferdinand Bischoff. Wien 1857, porów. Załaszowski T. II, str. 205. Podobnie w Krakowie, Załasz. *ibid*.

(2) Godnym uwagi jest, iż Sliwnicki w projekcie swojego kodexu przyjmuje bezwarunkowo zasadę reprezentacyi w linii bocznej od braci (str. 96 § 214). W sto lat po nim żyjący Lipski reprezentacyą w linii bocznej ogranicza do przypadku, gdy synowcowie przychodzą do spadku z braćmi zmarłego; pomiędzy samymi braćmi stryjeczniemi reprezentacyi nie uznaje.

W taki sposób przy bezwładności prawodawstwa wyrabiało się prawo krajowe tak ziemskie jako i miejskie. Znam co przeciw powadze prejudykatów i korektury napisał Bandtkie (w Wywodzie historycznym poprzedzającym text prawa chełmińskiego, przez niego wydany), lecz rozliczanie się z dziejowemi faktami ze względem na to co według czyjego zdania być było powinno, uważam za bezowocne. Trybunały sądziły nieraz źle i bardzo źle; zgadzam się na to z Bandtkiem, lecz ztąd nie idzie żeby wyroki ich nie były obowiązujące. Ustalona ich jurisprudencya była żyjącem prawem. Powoływały się na korekturę pruską, kiedy według Bandtkiego powinny były zwrócić uwagę sejmu na niedostateczność prawa. Ta rada zapóźno przychodzi, a w żadnym razie nie byłaby skuteczną.

P. Hube mówi: „Po stutucie Wartskim nie ma już, o ile wiemy ani jednego statutu a tém mniej ani jednej konstytucyi z epoki królów obieralnych, w którejby wprost do powagi prawa rzymskiego uciekano się.” Lecz po stutucie wartskim, nie było już prawa ogólnego obszerniejszego zakresu, obejmującego część jakąś ważniejszą dziedziny prawnej; były tylko pojedyncze rozporządzenia. Za jedyny wyjątek uważaćby można prawa proceduralne, a w tych właśnie p. Hube dostrzegł wpływ prawa rzymskiego i kanonicznego. Niedostatek prawa ogólnego zapełniano prawem partykularnem i prejudykatami. W tej więc epoce wpływu prawa rzymskiego na prawo krajowe należy szukać nie w nielicznych i pojedynczości dotyczących rozporządzeniach prawa ogólnego, ale w dwóch innych wzmiankowanych źródłach prawa. Gdy zaś prawodawstwo ogólne ocknęło się z długiego letargu, zaraz w niem i uznanie prawa rzymskiego się pojawia. Świadkiem tego jest konstytucya z r. 1776 p. t. Konwikcye w sprawach kryminalnych, którą już gorszący się nią Lelewel przywiódł, jako stosowanie prawa rzymskiego w procesie karnym uzasadniająca i tém wytłumaczyć usiłował wyrok z r. 1785 na prawie rzymskiem oparty (p. Materyały do dziejów polskich. Poznań 1847 str. 274). Lelewel przeczył istnieniu przed r. 1776 wyroków na prawie rzymskiem opartych (tamże str. 273 w przypisku) a zwłaszcza za Jagiellonów i Wazów. P. Hube przywodzi sprzeczne z tém twierdzeniem wyroki sejmowe o zbrodnię obrazonego majestatu z lat 1620 i 1773, ale moc ich dowodzącą niepotrzebnie osłabia usiłując twierdząc że konstytucya z r. 1588 oznaczenie kary na winowającą *laesae majestatis* pozostawiała uznaniu sądu, skazując prócz tego winnego na utratę majątku, że to był prawem uświęcony wyjątek.

Szkoda że uczony mąż, jak z przypisku na str. 64 okazuje się, przywiódł treść tej konstytucyi z Załusowskiego. W oryginale (Vol. Leg. str. 1207.8), nic o tém nie ma. Do nieporozumienia dało może powód, że co do *crimen perduellionis* powiedziano iż król sądząc ją ma zgodnie ze zdaniem większości uczynić konkluzją, w której *juxta qualitatem excessus et illius judicis sententiam poenae debent irrogari*. Ten ustęp zastrzega przychylenie się króla do większości, ale nie rozwiązuje rąk sędziom żeby sądzą bez prawa,

według swego uznania. Przysięgali oni owszem na prawne i podymne sumienia wotowanie (tamże str. 1207) (1).

Konstytucya z r. 1588 nie zmieniła nic w stanie prawnym kraju; ustaliła tylko porządek sądowy w sprawach *laesae Majestatis* i *perduellionis* i dwie te zbrodnie bliżej określiła. Zachodziła tego potrzeba z powodu wicherzeń stronników Maxymiliana.

Stosowanie prawa rzymskiego (l. 5 cod. ad leg. Juliam) w wyrokach sejmowych z lat 1620 i 1773 nie opierało się zatem na konstytucyi z r. 1588, lecz miało swoją podstawę w stanie prawnym kraju, stanie wątpliwym, chwiejącym się, bo jak dobrze mówi w zakończeniu p. Hube „w dziejach kraju przedstawiają się dwa prądy” lecz niemniej przeto otrzymującym przeważne uznanie.

To uznanie wpływu prawa rzymskiego znalazło swój odgłos i w nauce. P. Hube przywodzi zdanie, że *jus romanum in Polonia recusatur*, jako ogólne, twierdząc że jedyny wyjątek stanowi tylko Załaszowski.

W istocie nie trudno byłoby pomnożyć liczbę cytacji stronników pierwszego zdania, nie idzie jednak za tem, iżby ogólnie nazwać je można.

Załaszowski nie stoi jeden po swojej stronie. Znając go bliżej trudno go nawet pomawiać o *paradoxa*. Lipski był uczonym prawnikiem; Zawadzki biegłym praktykiem; Załaszowski tylko systematyzującym kompilatorem, który przepisując swoich poprzedników nieraz ich nawet dobrze nie zrozumiał, którego niezaprzeczona wziętość polegała głównie na tem, że jako późniejszy zebrał w jedną wiązkę rozrzucone po mnogich pismach przepisy i zdania. Gdzieby mu przyszło w tak ważnej materii wyrwać się ze zdaniem nowem a do tego nie popularnem. Wypowiedział on wyraźniej, dobitniej, w formie więcej szkolnej to, co w gruncie twierdzili i jego poprzednicy.

Czyliż np. Zawadzki ów wielki znawca *jurisprudencii ziemskiej* kiedy mu ta *jurisprudencya wiatku* nie dostarcza, nie ucieka się do *praw cesarskich*; czyliż nie mówi (str. 47 *processus judic*): „*Debitum cui non est dies in inscriptione praefixus omni die potest repeti. Sic leges imperiales docent et praxis.*” Czyliż panegirysta trybunału koronnego, instygator Lisiecki osiwiłały w praktyce trybunałskiej nie powiada (2):

(1) Wzmiankę o konfiskacie wziął zapewne Załaszowski z drugiej doraźnej konstytucyi sejmu 1588 r. p. t. *Processus contra rebelles* (Vol. Legg. II str. 1228).

(2) Por. str. 70 dzieła Lisieckiego p. t. Trybunał Główny Koronny siedmią splendorów oświecony. Jest to dzieło uczone i zawierające dosyć ciekawych szczegółów, nacechowane przecież smutnemi uprzedzeniami. Lisiecki dużo czytał; przywodzi wielu autorów, dawnych i nowoczesnych; zna Cujaciusza (str. 75 i 193) i Bakona (*Baronis de Verulam de augmentis scientiarum* str. 52 i 68). Pomimo to niema w jego dziele ładu i składu.

„Może Polak który prawo polskie umie dobrze, osądzić *causam suae patriae* (rozumie tu Lisiecki przypadki wpływem stosunków miejscowych nacechowane); ale który przy prawie polskiem umie i źródło praw, prawo cesarskie, tenet *suae patriae causam et omnem casum* daleko lepij osądzi; absolute enim *judicat qui in omnibus eruditus est*.

Bo prawa pospolitego tak wielka jest zacność i powaga, tak wysoki jego majestat, że cokolwiek na świecie było, jest i będzie chrześciańskich monarchii, cokolwiek jest królestw, prowincyi i rzeczypospolitych, wszystko się to prawem tém rządziło, wszystko się niém sądziło i sądzi; wszystkim na świecie sierotom obronę, wszystkim ukrzywdzonym ratunek: wszystkiemu światu na ostatek sprawiedliwość to samo czyniło i czynić będzie.”

Czytając takie zdania czuł się Załaszowski upoważnionym wyrzec, że respectu *juris civilis Romani quod in corpore juris continentur, statuta et constitutiones regni nostri possunt dici jus particulare*. Załaszowski chciał być i był wyrazem spóczesnej opinii jeśli nie powszechniej, to zawsze między prawnikami przeważnej. i zdziwiłby się zapewne gdyby mu powiedziano, że kiedyś tak uczony prawnik jak p. Hube za jedyny uważać go będzie wyjątek.

Zdziwienie Załaszowskiego wzrosłoby i dorównałoby może mojemu, gdyby mógł był przewidzieć że kiedyś następcą jego w wykładzie prawa polskiego, Burzyński, prawo ziemskie zechce uważać za prawo cywilne (*jus civile*) i utrzymywać będzie że prawo prywatne polskie od XV wieku tylko szlachty dotyczyło (Prawo polskie prywatne Burzyńskiego str. 2) i pojąć zapewneby nie mógł jaką drogą do takich odkryć się przychodzi. Lecz niezawodnie Załaszowski, gdyby mu dzieło p. Hubego znane było, zastrzegając się przeciw niektórym opiniom w niém wyrażonym, uwielbiałby wraz z nami obszerną naukę autora, trafność jego sądu i jasność wykładu.

F. Z.

Wysoko przez Lisieckiego uwielbiany trybunał nie wszystkich równie zadawałniał; zapadały przeciw jego wyrokowaniu konstytucye sejmowe w latach 1627—1638 (później w 1726—1763; por. Bandtkie *jus Culmense* str. 55—60 w wywodzie historycznym). Ponieważ Lisiecki pisał właśnie w r. 1638 jak się z dedykacyi do króla okazuje, dzieło jego miało zapewne być obroną trybunału przeciw zarzutom które Lisiecki przypisuje herezyi, jako okrutnej hyenie usiłującej zwierzchności nie cierpieć, posłuszeństwa królewskiego nie znać; chłopy z stanem szlacheckim modo *democratico* pomięszając, między stanami różnicy nie mieć i nakoniec wprowadził rząd inderlandzki! (p. przemowę).

Zastanowienia jest godném, że po trybunale pozostał nam tylko panegiryk i wcale nie chlubne zdanie sejmu; kiedy po asesoryi mamy pomnik trzeźwej i naukowej jurisprudeneyi w dziele Lipskiego,

*Grecya starożytna i jej sztuka, zwłaszcza rzeźba. Napisał
Józef Kremer. Poznań 1868.*

Czwarty wiek mija od czasu, gdy duch Grecyi wraz z wy-
dobytemi z ziemi arcydziełami, występując na jaśnień dnia, objawił
ludom chrześcijańskim nieznaną im dotąd dziedzinę piękna.
W te objawione nowe dziedziny, artyści rzucili się z uniesieniem,
a sztuka dotąd wyłącznie wyrażeniem ducha zajęta, zwróciła się
ku naturze, po odpowiednie temu duchowi kształty. Niebo i zie-
mię zjednoczyć, treść i formę jednem technieniem ogarnąć, zdawało
się być na chwilę nie tylko pożądaniem, ale zadaniem człowieka.
Z takiego usposobienia umysłów trysnęła sławna w dziejach sztuk,
epoka Odrodzenia. Artyści przecuciem wniknęli w ważność ży-
cia ziemskiego, i to życie przez nich z upadku podniesione, zaja-
śniało potęgą i pięknocią. Ale przecucie nie wystarcza do ujęcia
zadania silnie i statecznie; minęła też szybko epoka Odrodzenia,
a lubo człowiek zaprzestał się wyrwać z ziemskich warunków
bytu, wpadł jednak po pewnym czasie w inny rodzaj oderwania,
zaczął myśl oddzielać od życia, w skutek czego, duch Grecyi zapadł
w cień na nowo, a sztuka mająca być przedstawieniem idealnego
życia, została Objawieniem zmysłowem idei. W tej swojej nowej
fazie, sztuka miała piękne chwile, artyści śnili nieraz cudownie,
nieraz wzniosłe; całe systematy filozoficzne przybierały w wyobra-
źni artystów plastyczne kształty, roztaczały się po ścianach pała-
ców szeregami widm, unosząc patrzącego w zamroczone krainy
czystej myśli, niy na Pola Elizejskie, kędy wedle Greków, cienia
zmarłych się przechadzają. Ale jak dawnym tak też i obecnym
pokoleniom, te sny, widma, cienie, nie wystarczały; jak niegdyś
Grek dla Elizeum, tak obecnie chrześcijanin dla nieskończonęj,
rozwiętnęj myśli, nie mógł wywołać z swęj duszy uniesienia,
i nad cienia i mary zmysłowo objawionęj idei, przełożył obja-
wienie zmysłowego życia. Sztuka zaczęła upadać, a grożące nie-
bezpieczeństwo zwróciło na nowo umysły badawcze ku Grecyi.
Filozofowie poczytali sobie za obowiązek, to przecucie artystyczne
które wywołało epokę Odrodzenia wesprzeć przekonaniem, i przy
wszystkich akademiach przeznaczonych do kształcenia artystów,
wykładał estetyki z szczególną uwagą na Grecyę, uznany został
za konieczny. Przy szkole sztuk pięknych w Krakowie, stanął
jako wykładowca, zaszczytnie już znany z badań filozoficznych
prof. Józef Kremer, a książka którą mamy przed oczyma, jest
streszczeniem tego wykładu.

Autor we wstępie mówi: „Jest rzeczą pewną, że w miarę
studiów coraz głębszych, w miarę jak piękności, cudy, a wdzięki
olimpijskie Hellady a jej mądrość odsłaniały się przed okiem
nowoczesnych pokoleń; w miarę jak poznawano ducha Grecyi
we wszystkich jego objawach i kierunkach, już nowoczesny świat

dochodził do przekonania, że znajdzie uzupełnienie swojej własnej istoty wtedy, gdy całą jasną wiedzą sobie przyswoi, tę prześwietłą puściznę po klasycznych dziejach, zmieniając ją na własną krew i ciało swoje. Zrozumiały nowoczesne cywilizowane ludy, iż żadne inne nauki nie zdołają im zastąpić zasobów i niewyczerpanych skarbów, które im nastęrcza praca około tak oryginalnego helleńskiego ludu. A dalej: „Zaiste już ani pomyśleć aby ktokolwiek pragnący dziś zrozumieć czas nasz, a chcący pracować postępowo w kierunku jego, nie policzył się z czynnikami starożytności, które pełną siłą działają wśród epoki naszej” (1).

Postawiwszy sobie takie zadanie, professor przystępuje do rzeczy. Daje na wstępie ogólną charakterystykę ducha greckiego, odnośnie do wcześniejszego Wschodu i późniejszego chrześcijaństwa, przechodzi następnie do Grecji w szczególności; bada jej ziemię, historję jej tworzenia się, jej obyczaje i religję; wreszcie przechodzi do samegoż artyzmu, bada go na wszystkich drogach, z artyzmu wywodząc i na nim sprawdzając estetyczne zasady. Przeciwno takiej metodzie, takiemu podziałowi wykładu, nie mamy nie do zarzucenia; z tém wszystkim, jeżeli pomysł jest dobry, wykonanie jego wiele pozostawia do życzenia. Professor, tak jak to z planu jego wypada, zaraz na wstępie porusza wszystkie główne jądrowe zadania swego wykładu i stawia zasady; niewiadomo jednak dlaczego żadnej z nich nie wyjaśnia do tyła, ażeby którakolwiek z nich mogła przejść na jasną wiedzę słuchacza, na fundament, na którym mogłaby się wznieść stopniowo, cała budowa mającej się nabyć wiedzy.

Wprawdzie przy wszystkich szczegółowych ustępach, prof. nawraca ku owym głównym zasadniczym myślom, ale przy tém powtarzaniu one się raczej rozszerzają niż rozjaśniają i wypełniają. Brak jasności i jedności zarówno w ujęciu, jak w jej oddaniu przez cały ciąg wykładu czuć się daje, i słuchacz zwłaszcza nieprzywykły do abstrakcyjnego natężonego myślenia, nie posiednią znajduje trudność w uchwyceniu wątku subtelnie rozcięzionego i porwanego na części. Tę mozolną drogę którą prof. słuchaczów wiedzie, przeplatają wprawdzie jasne i pełne życia opisy, to miejsce, to dzieło sztuki, które trud znośniejszym czynią, ale go usunąć nie są w stanie. Sposób przedstawienia myśli jest jednak dopiero stroną formalną wykładu; pożądanem jest ażeby forma uwydatniała myśl zamiast ją spowijać i przesłaniać, główną atoli rzeczą jest myśl sama: to też nie zatrzymując się dłużej nad sposobem wykładu, będziemy patrzeć co wykład daje, będziemy pytać co filozofia przynosi sztuce, jaki pokarm umysłom artystów przysposabia.

P. Kremer jest przedstawicielem filozofii idealnej, a filozofia ta podana w streszczeniu mówi: Sztuka historycznie dzieli się na symboliczną, której piastunem i przedstawicielem Wschód;

(1) Str. 5-ta.

klassyczną, którą uwidomia Grecya, i romantyczną, którą objawia świat chrześcijański. W pierwszym peryodzie, duch zostaje pod przewagą materji, w drugim duch i materya się równoważą, w trzecim duch „wykipia” nad materyą. Oprócz podziału sztuki na symboliczną, klassyczną i romantyczną, podziału będącego jednocześnie i oznaczeniem stanowiska historycznego i duchowego ludzkości, sztuka rozpada się w sobie na dwa działy, to jest: na dział sztuk plastycznych, i sztuk idealnych. Do pierwszego należą: architektura, rzeźba i malarstwo, mające do czynienia z materiałem ciężkim i rozwijające się w przestrzeni; do drugiego muzyka i poezya, używające materiału lotnego i rozwijające się w czasie. Pierwsze stanowisko zajmuje Wschód.

Na Wschodzie człowiek nie odgraniczał ściśle ducha od materji, i w skutek tego, ducha mieszał z materyalną naturą; nie poczuwał głęboko różności tych dwóch pierwiastków i przeto sam nie poczuwał się osobą. Wschód też najodpowiedniejsze swemu usposobieniu objawienia znajduje w architekturze jako sztuce z natury swojej symbolicznie ogólnikowo naznaczającej myśli, sztuce z roztwartem łonem nie tylko dla stopniowego wypełniania się, ale i dla przeróżnych form.

Grecya występuje na Zachodzie, zajmuje drugie stanowisko, drugą epokę w dziejach ludzkości i sztuki; tu człowiek nie tylko rozróżnia dobitnie ducha od materji, siebie od natury, i staje jako osoba, ale w moc tego wyróżnienia, jest w stanie wynieść się nad materyą i uczynić ją środkiem do osiągnięcia duchowo pożądaných celów. Wyrażenie ducha tego ludu będzie rzeźba, bo rzeźba bierze kształty rzeczywiste, indywidualne, nie odwołalnie związane z osobistością i zdolne do wyrażenia w całej pełni osoby; Grecya też przebóstwi i ubóstwi osobę, a z ubóstwieniem osoby wyniesie rzeźbę nad wszystkie inne sztuki.

Trzecie stanowisko zajmuje świat chrześcijański; dla chrześcijanina pomiędzy duchem a materyą nie istnieje różnica, ale przeciwieństwo: duch jest nieskończony, materya skończona, duch jest osobistością nieprzemienną, niezatracałą, materya i wszystkie jej kształty przemijające, znikome, bo też w świecie chrześcijańskim dualizm jakby przepaścią rozdziela ducha od materji. „Duch tęskniąc do nadziemskiej ojcowizny, cofa się w siebie, chroni się przed żywotem ziemskim, zewnętrznym, do najskrytszych, najświętszych głębin swojej istoty, które są dla niego światem idealnym, a przemawiają do niego jakby muzyką, wróżącą o nadzwyczajnych sferach. W tych cichych świętych przybytkach własnego wnętrza, duch sam sobie daje posłuchanie, sam ze siebie żyje i ze siebie się rozwija, w nich on czuje się być osobną całością.... (1).”

Z takiego usposobienia ludów chrześcijańskich wypadnie, że artyzm co dla Greka był szczęściem, tu będzie trudem a ciężkim

obowiązkiem, bo usiłowaniami pogodzenia dwóch przeciwnych i wzajem odpychających się pierwiastków. Duch zatem chrześcijański, lubo działanie swe objawi we wszystkich kierunkach, przyjmie wszystkie formy objawienia i we wszystkich oryginalnie wystąpi, formy te jednak im bardziej będą ciężkie i ściślej związane z przestrzenią, tém bardziej będą mu przeciwnie i mniej zdolne do wyrażenia nieskończonej jego treści. Siła i dosadność objawienia się tego ducha, rosnać będzie w miarę, im materiał którego do swego objawienia użyje będzie lżejszy i ztąd ze sztuk plastycznych, malarstwo będzie mu najodpowiedniejsze, bo malarstwo jakkolwiek jest sztuką przestrzenną, polega głównie na złudzeniu, a do tego w wątku swoim znajduje możność nie tylko uwidomienia bogatej i rozmaitej treści ducha chrześcijańskiego, ale możność uwidomienia przeciwieństwa materji i ducha, o które tu właśnie chodzi. Rdzenne jednak przeciwieństwo materji i ducha co sprawiło iż malarstwo w chrześcijaństwie wzniosło się wysoko, sprawia jednocześnie, iż duch chrześcijański dążąc do coraz większej swobody i dobitniejszego wyrażenia się, sięga po materiał lżejszy, rozwijający się w czasie, chwytając za dźwięk, za słowo, i dążąc do coraz pełniejszego wyrażenia się przychodzi do przekonania, „że żadna z form artystycznych nie zdoła spełnić wyczerpać treści duchowej ludów chrześcijańskich, bo ta treść ich wymaga do wyrażenia swojej istoty jeszcze innej a wyższej formy, formy już nie materialnej, (religij, filozofii) (1).”

Tę mowę idealną filozofii idealnej, my z kolei kształtując i uwidomijając sobie, widzimy, iż jako w księdze Mojżesza gdy rozrodzeni Kainici grzechami swemi napełniali ziemię, rozwarły się upusty niebieskie i woda z nieba potokami spływać zaczęła, tak tu wraz z rozwinięciem się i uformowaniem filozofii idealnej rozwarły się otchłanie myśli i idealność potokami spływać zaczęła. To co najbardziej trzymało się ziemi poginęło naprzód; zniknęła architektura i rzeźba, zniknęło malarstwo, choć w porównaniu ze swemi siostrzycami lekkie, choć w eterze się kąpiące; po nad powódź wzniosło się jeszcze skrzydlate ptastwo, muzyka, poezja, jeszcze głosy słyhać było, ale i ptakom zabrakło sił, skrzydła im nie wystarczyły, fale pochłonęły i ptastwo; na powierzchni nie widać żywej duszy: jest tylko ocean i niebo. Artyzm przepadł. Jako niegdyś Duch Boży, tak teraz absolut, unosi się samotny po nad wodami.

Ścisłe biorąc, taki jest rezultat filozofii idealnej odnośnie do sztuki. Jednakże według prof. szczerze zamiłowanego w sztuce, artyzm przepaść nie może, nie powinien; p. Kremer przyjmując zasady filozofii idealnej i w treści ją podawszy, jej rezultatów nie przyjmuje, i zamykając upusty niebieskie, ocalony w korabiu łaską Bożą ród artystów, do bezpiecznej przystani doprowadzić usiłuje. Tą przystanią, tym punktem wychylnym

(1) Str. 17 i 18.

nad powódź jest Grecya; ku niej się obraca professor, ją ocalonym wskazuje.

Opis natury geograficznej dawniej Grecyi rozpoczyna akt ocalenia; prof. zapuszcza kotwicę po przez głębie idealizmu, znajduje ziemię, i odpychając ze wstrętem twierdzenie zupełnej zależności człowieka od ziemi, jako będące tylko nową formą nowoczesnego ciałochwalstwa, chce naturze kraju rodzinnego przyznać prawdziwe, rzetelne znaczenie. Znaczenie to według prof. różnie lub zmniejsza się w miarę mniejszego lub większego wyróżnienia się ducha od materji, bo oto czytamy:

„Gdy wiara Chrystusa wybawiła ludy z mocy materji, gdy starła głowę potęgom cielesnym, już natura w jakiegokolwiek postaci wystąpi, pod każdym względem traci na mocy swojej, a dawniej potężnej przewadze (1).” Z tём wszystkiём jeżeli w chrześcijaństwie zmniejszyło się znaczenie natury, a tём samém i kraju rodzinnego, nie znikło jednak w zupełności, gdyż prof. nadmienia dalej: „Kraj rodzinny działa nie świadomie na duszę ludu, jak dom ojczyzny na jednostkowego człowieka. Obrazy na ścianach izby, w których za pacholęcych lat przemieszkał, piosenki, którym się przysłuchiwał, krzewy sądu, w którym igrał, strumyki i pagórki, które były świadkiem dziecięcych jego zabaw, trzymają pojedynczego człowieka w oczynieniu na całe życie.”

Dalsze rozwinięcie tój myśli streścić się daje w następujący sposób:

Stosunek Greka do ziemi był trojaki: mimowolny, dowolny i twórczy. Grek zostawał pod niewidomym wpływem otaczającej go natury, a że ta natura była piękną, że ziemia grecka była zbudowana wedle artystycznego planu, więc on tóż biorąc od niej natchnienie, wszystko czego się dotknął uchował pięknością, wszystko w całość artystyczną wiązał. Grek miał się do swój ziemi jasną i świadomą wiedzą, więc tóż ożywił tchem swój fantazyi góry, skały, lasy, wyspy, wody i lądy, idealizując życie natury. Grek nie przypuszczał istnienia materji samój przez się, materji bez ducha, więc z każdego kątką jego ziemi trysnęły mu roje osobistości duchowych; on naturę pociągnął za sobą i wiódł ją do coraz wyższego indywidualnego życia.

Jako na ziemi greckiej widzimy wszystkie najrozmaitsze budowy ziemi, począwszy od niebotycznych iglic alpejskiego świata, aż do nizin obszarem szerokim się rozciągających, od mórz okiem nie ścignionych aż do zamkniętych w sobie jezior i wijących się strumyków, od wyniosłych drzew Północy, aż do rozkosznych krzewów Południa: tak w twórczości Greka napotyamy tóż samą rozmaitość. Geniusz Grecyi przebiega wszystkie tony, od najniższego do najwyższego, wszystkie formy objawienia z równém zamiłowaniem i równą siłą ujmuje: że zaś

(1) p. str. 26.

ziemia grecka jakkolwiek we wszystko uposażona, przedewszystkiem swą rzezbą góruje, tak też geniusz grecki we wszystkich swych kreacyach ducha rzeźby uwydlatnia.

Z takiego przedstawienia wzajemnego stosunku Grecyi i Greka, wypłynęła dla artystów ważna nauka; bo najprzód natura dla człowieka nie jest wrogą, lecz pomocną; powtóre skoro on tylko duchem wyniesie się nad nią, skoro ją duchem swym ujmie, już ona chętnie poddaje się jego wymaganiom, z czego naturalny wniosek wypływał, że w chrześcijaństwie gdzie człowiek duchem nieskończenie wyżej sięgnął jak w Grecyi, tém łatwiej naturę ująć może, dopełnić jej braki, spotęgować jej strony dodatnie, zrobić sobie otoczenie na wzór i podobieństwo własne. Prof. jednak do tego wniosku nie przychodzi; wykazany przez niego trojaki stosunek Greka do kraju rodzinnego, nie rozwija się w żadne następstwa, nie rzuca najmniejszego światła na obecny tak zmacony stosunek człowieka do ziemi: wszystko zostaje tak jak było, w niepewności, w zawieszeniu. w mgłę, przez którą widzialny jest tylko wydatnie naznaczony poprzednio moment, historyczny i duchowy, w moc którego Grecya była artystyczną, bo nią być musiała. Artysta przebiegłszy z professorem całą ziemię Grecyi, uprzytomniwszy sobie działanie Greka na drodze religijnej, społecznej i politycznej, nie wynosi światła na przyszłość ale tylko tęsknotę do pięknej ziemi, do chwil szczęśliwych a nie powrotnych, do stałego ładu po którym niegdyś stapał ród ludzki, odepchnięty dziś od niego na zawsze wzrosłemi falami myśli.

Dział pod tytułem: „Ogólna charakterystyka artystyzmu greckiego” zaleca się szczegółowemi ustępami pełnemi prawdy i dodatniego znaczenia dla artystów. Opis fantazyi mistrza i wieszca, wykazanie kiedy artysta jest w stanie zawładnąć naturą, uwydlatnienie różnic zachodzących między sztuką Wschodu, sztuką grecką i sztuką chrześcijańską, charakterystyka każdej z nich dają artyście to wszystko, cokolwiek dotychczasowe zdobycze naukowe troskliwie zebrane i szczerze zamilowanie sztuki dać może; ale są to tylko szczegóły, dotąd pouczające artystę, dopóki się nie odnoszą do idei, szczegóły, jakoby w zapomnieniu i odstrychnięciu się od głównej zasady, wypowiedziane, jakoby wywołane mimowolnie siłą i naturą traktowanego przedmiotu; nad całością unosi się duch, co wyniosłszy się po nad wszystkie warunki bytu ziemskiego, warunków tych uzaćnić, podźwignąć, zidealizować nie jest w stanie. Myśl waha się ustawicznie pomiędzy ideą wolności i konieczności, ogólności i indywidualności, nie mogąc między temi przeciwieństwami, nakreślić stałej i ujętej dla człowieka ziemskiego granicy. I tak czytamy (1): „Wieszcz mistrz grecki umiał się wyzwolić z pod wpływów osobistych, przypadkowych, podmiotowych, własnej swojej empi-

rycznej natury, umiał wyrzec się awanturnych dążeń serca swojego i swojej indywidualności, i stworzył jedynie to, co stanowi piękność w najściślejszym słowa znaczeniu, co stanowi rzecz samą a tak był w wysokim znaczeniu piękności kapłanem. Bo mistrz a wieszcz sam był, jakeśmy wyżej rzekli, całkowitym człowiekiem, człowiekiem z jednego odlewu, w którym wszystkie czynniki i moce miarkując się nawzajem, stroiły się do siebie doskonałą harmonią. Więc też dzieło jego było także całością i pod każdym względem jednością, ztąd też następnie i forma i treść jego dzieła stanowiły w sobie zamkniętą całość, harmonię doskonałą. Prawda, że indywidualność osobista mistrza, poety na swoje prawa, bo ona rodzi właśnie jego styl właściwy (np. Michał Anioł Rafael), ale to jedynie wtedy, gdy ta indywidualność jego jest wzniesioną nad przypadkowość, gdy sama ta indywidualność jest prawdziwie artystyczną, gdy nie jest jednostkową, gdy owszem spływa z ogólnymi prawami piękności i jej tylko wyłącznie służy."

Zgadzamy się chętnie, iż wtedy gdy indywidualność wzniesiona jest nad przypadkowość, gdy jest artystyczną, służy wyłącznie piękności; ale jakimże sposobem indywidualność będąc artystyczną spłynie z ogólnymi prawami, kiedy właśnie artystyczna indywidualność jest całością w osobie, ma, jak sam autor na innym miejscu powiada „piastę w sobie, stoi o sobie." Rozumiemy łatwo że wieszcz, mistrz ma się wyzwolić z pod wpływów przypadkowych swęj empirycznej natury, ale dla czego ma się wyzwolić z pod wpływów podmiotowych osobistego ducha swego? Ażaliż to zrzeczenie się danej osobistości, nie zaś jej spotęgowanie daje moc ujęcia owych praw ogólnej piękności? Jakim sposobem i dlaczego człowiek ma być i nie być indywidualnością? Alboż Bóg w prostocie ducha pojmowany spływa się z czemś, lub coś w sobie zbiera? czyż artysta w prostocie serca idąc za religią co mu mówi, iż stworzony na obraz i podobieństwo Boga, siebie podobnym Bogu, naturę sobie podobną czynić powinien, jaśniej nie ujrzy co mu czynić należy?

Za usunięciem indywidualności mistrza idzie usunięcie indywidualności z dzieł sztuki; czytamy też dalej: „Posąg jest samotny. ciało jego jest przedstawcą całej natury, całego zmysłowego świata, posąg też cały świat przyrodzony w siebie wssał, zatem też kompozycya jego winna być ujęta wielkim wspaniałym stylem, więc posąg też z tej nawet przyczyny mniej przedstawia indywidualność, ale przedstawia ogół a rodzaj cały" (1).

Tu znów następuje pytanie, dla czego i jakim sposobem dzieło sztuki ma być i nie ma być indywidualnością. Dla czego bogów greckich w rzeźbionych posągach przed nami stojących, robić przedstawicielami rodzaju, kiedy oni dla greka byli indywidualami, kiedy to byli: Apollo lub Jowisz, Minerva lub Dianna, kie-

(1) Str. 163.

dy dziś dla patrzącego na nie artyści są indywidualiami. Jak Bóg w pojęciu prostaczka istnieje tylko jako Bóg osoba, tak w zdrowym pojęciu artystycznym istnieć może tylko rzecz, tylko istota, tylko osoba, mniej lub więcej doskonała, ale nie mniej lub więcej doskonale przedstawiona idea lub rodzaj.

To cośmy tu o ogólności i indywidualności nadmienili, dotyczy się także wolności i konieczności; bo oto czytamy: „Geniusz nie tworzy jak talent dla tego, że chce tworzyć, geniusz tworzy bo musi; bo go posiadała potęga wyższa od jego ludzkiej natury, potęga nadświatna, władająca nim, przez niego działająca” (1).

Tu znów trudno nam uchwycić rozwinną, uciekającą granicę, pomiędzy wolnością a koniecznością; powyżej indywidualność spływała się z ogólnością, przeszkadzając człowiekowi być człowiekiem z jednego odlewu, tu geniusz tworzy, bo go posiadała potęga wyższa od jego ludzkiej natury. Tak więc, im człowiek na jakiegokolwiek bądź drodze objawień ziemskiego żywota, wznie się się wyżej, tém mniej jego wolna wola, wola niedowołałnie w jego osobistości utkwiona, ma i może mieć w tém udziale. Talent może chcieć, może działać samodzielnie, geniusz musi być naczyniem, w którym istniejąca po za nim myśl wchodzi. Jak arfa eolska zawieszona w lesie, jak statua Memnona postawiona w pustyni przez Egipcyan, powtarza on dźwięki wiatrem niesione. Geniusz, istota wolna, osoba, nie wznosi się samodzielnie do istoty wyższej od siebie, do Boga osoby, i w rozważaniu doskonałej osobistości, nie czerpie podniesienia, i uwielmożnienia swego, ale jest tylko narzędziem Opatrzności, i echem nadświatnej idei. Takim postawieniem rzeczy, geniusz traci zasługę, artysta ideał; wola człowieka jest niczem lub czémś nieuchwyconém, a przeznaczenie co groźnie wyjrzało z warunków jeograficznych, ku artystom, co im ironicznie spojrzalo w oczy z warunków historycznych, z momentu dziejowego, patrzy na nich okiem bez zreniecy, gdy idzie o ich twórczość, o podniesienie ich osobiste.

Dział trzeci zawiera szczegóły. Jeżeli rzecz odnośnie do celu uważać będziemy, jest to dział najlepszy; przytaczane myty, opisy świątyń, posągów, są pełne życia; właściwy dziełom sztuki indywidualny a tém samém oryginalny charakter oddany z prawdą, wybór dzieł pod rozbiór wziętych, szczęśliwy, uwagi artystyczne przy nich zamieszczone trafne; widocznie filozof ulega magicznemu wpływowi przedmiotu traktowanego; staje się jasnym i wpływowym. Weźmy np. opis posągu Jowisza olimpijskiego; profesor nie zastanawia się już tutaj, czy posąg dokonany przez Fidiasza jest doskonałym przedstawieniem idei, ale przytacza powieść która wiarę serdeczną przechodziła z pokolenia na pokolenie heleńskie. „Podanie niesło, mówi, iż Fidiasz skończywszy dzieło swoje stanął w obec niego i raz jeszcze badawczém okiem rozpatrywał się w postaci ojca bogów; wtedy wznosił ręce modląc się

(1) Str. 103.

gorąco i błagając boga, by mu raczył dać znak, czyli zaadowolony z ziemskiego obrazu swego. A dziwy! Jasne, bezobłoczne niebiosy zapłonęły pożarem błyskawicy, a przez otwarty strop świątyni uderzył grom zwiastujący, iż Zeus pochwała *wizerunek swój*. A wszystkie ziemie greckie uważały tego za nieszcześliwego, kto choć raz w życiu nie ujrzał Jowisza w Olimpii" (1).

Takich szczegółów uprzytomniających świetne czasy sztuk w Grecyi mogliśmy wiele przytoczyć, one nam wybitnie wskazują charakter twórczości greckiej, ale professor nad niemi się nie zatrzymuje, nie wywodzi z nich wniosków, i te wielkie dzieła przemawiają doń tylko na korzyść momentu historycznego.

Badanie starożytnej Grecyi, nie zmienia, nie usuwa niczém i nigdzie konieczności stopniowego uduchowiania się świata chrześcijańskiego i porzucania przezeń grubego plastycznego materiału; nie usuwa przeciwieństwa materji i ducha, nie zmienia stanowiska sztuki uznanej za przedstawienie zmysłowe idei, nie odejmuje ze sztuk plastycznych piętna niższości. Professor powiada tylko, że Grecya ma miarkować wybryki bezuzdnej fantazyi, samowoli, swawoli; że ma być świętym talizmanem, chroniącym od zabużalności, wyzwolonego ducha, i nie spostrzega, najprzód, że takie miarkowanie nie może wznieść sztuki, ale tylko opóźnić jej upadek, bo jeżeli zadaniem świata chrześcijańskiego jest wyzwolić się z więzów materji, musi on się wyzwolić prędzej lub później; powtóre, jeżeli sztuka jest objawieniem idei, po co używać kształtów wrogich idei, kształtów plastycznych, zwłaszcza też rzeźby, która jak słusznie Pr. utrzymuje, objawić jej żadną miarą nie może i kusić się o to nie powinna.

Filozofia idealna widocznie zdarza się ze sztuką, jej zasady z zasadami artystmu; professor mocuje się z nią napróżno, i chociaż w miarę jak wykład ma się ku końcowi, cichną, uspakajają się spiętrzone fale idealizmu: artysta widzi ponad sobą jaśniejsze niebo, przed sobą, w okół siebie, uciszone wody, ale gołębiczy z róższką oliwną nie widzi, i wyteżony wzrok jego, próżno szuka w przestrzeni punktu stałego, na którymby mógł postawić ołtarz ocalającemu Bogu, i nowe, czynne, twórcze rozpocząć życie.

Ludwik Buszard.

Dokładna grammatyka języka niemieckiego, wedle nowego systemu ułożona dla szkół i prywatnego użytku przez Teofila Sikorskiego, nauczyciela gimnazyum realnego i Szkoły Handlowej. Warszawa. 1868. str. 139.

P. Sikorski w tytule swój książki obiecuje *dokładność* i *nowy system*, co miało stanowić specyficzną różnicę jego dziełka od wszy-

stkich poprzednich prac tego rodzaju. Istotnie byłoby to niepoślednią zaletą książki, gdyby te dwie cechy rzeczywiście w niej się znajdowały. Ale cóż, kiedy nie wszystkie nasze zamiary, nie wszystkie chęci stają się rzeczywistością! Tak się też rzecz ma i z gramatyką p. S. Co do *dokładności*, to łatwo każdy przekonać się może, o ile praca p. S. ustępuje pod tym względem w istotnych swoich częściach gramatyce, Franciszka Liedera. Mówimy *w istotnych swoich częściach*, bo przecież podania na osobnej litografowanej kartce wzorów pisma niemieckiego, nie można uważać za prawdziwe wzbogacenie gramatyki *pod względem dokładności*; wzory te bowiem pomieszczone tu są tylko ze względów czysto praktycznych, ażeby uczniowie nie potrzebowali uciekać się do wzorów kaligraficznych, a już w samej gramatyce mieli je przed oczami.

Co do *nowego systemu*, który miał być wprowadzony w tej książce, to niewiadomo, gdzie go szukać. Autor wprawdzie w przedmowie powiada: „Nowy system zastosowałem do ogólnych zasad filologicznych i do praktyki tak dalece, że uczniowie wedle tej gramatyki *mogą się nauczyć nie tylko rzeczy pisane czytać, ale i pisać, którego to sposobu do tej pory żadna gramatyka nie podała*. System mój obudza ogólne zainteresowanie (1), zatrudnia nie tylko oczy, usta, ale i ręce, *uczy pisać niemieckimi głoskami*.” Miałżeby ów nowy system polegać na tej kartce wzorów niemieckiego pisma, o której dopiero co mówiliśmy? Nie sądzimy. Szukając w gramatyce choćby śladu nowego systemu, znaleźliśmy podział i nazwy czasów, u nas dotąd nierozpowszechnione (str. 46 i nast.). P. Sikorski idąc za *Diesterwegiem* uważa, że każda czynność czy przeszła, czy teraźniejsza czy przyszła, jest albo dokonana albo niedokonana. Ztąd też mamy czas teraźniejszy niedokonany i dokonany, czas przeszły niedokonany i dokonany i czas przyszły niedokonany i dokonany. Właściwie cała nowość polega na nazwaniu czasu *przeszłego dokonanego* (perfectum) czasem *teraźniejszym dokonanym* a czasu *zaprzeszłego* czasem *przeszłym dokonanym*.

Przeciw wprowadzeniu tej nowości nie mamy nic do nadmienia, zwłaszcza że uczeń spotka się z podobnym pojęciem w każdej lepszej gramatyce łacińskiej lub greckiej; ale idzie o to, aby to pojęcie, które podano zostało w 1ej części gramatyki, miało jakieś zastosowanie w nauce i użyciu czasów, boć przecież tylko ze względów syntaktycznych to pojęcie powstało. Otóż tego p. S. nie zrobił; pozostawił tylko zasługę wprowadzenia nowych nazw i obszernego ich zastosowania w *odmianie słowa*. Nie jest to jednakże *zupelną nowością* w zakresie nawet polsko-niemieckich gramatyk. Już przecież F. Lieder na str. 133 swojej gramatyki (4 wyd.) wprowadził co do głównej myśli taki sam podział; tylko, że do czynności niedokonanój i dokonanój dodał jeszcze trzecią t. j. *mającą się zacząć*. Ale Lieder w dalszym ciągu swój gramatyki zaniechał tego podziału i trzymał się dawnych nazw.

Oprócz *dokładności* i *nowości* są jeszcze inne zalety, które brak poprzednich mogą poniekąd zastąpić. Jest to *systematyczność* w ukła-

dzie dzieła, tudzież jasność i ścisłość w wypowiedzeniu prawideł i tłumaczeniu zjawisk językowych: i pod tym jednakże względem dziełko p. S. bardzo chroma. Brak systematyczności jest ogólną wadą wszystkich prawie naszych niemieckich gramatyk. Zwykle to co należy do składni wykładają w nauce o odmianach wyrazów lub odwrotnie. Tak samo i tutaj. Tak np. tam, gdzie jest mowa o odmianie słów, niewiadomo zkad się naraz bierze nauka o użyciu przedimków, co przecież należy do składni. Przeciwnie zaś o przysłówku i wykrzykniku traktuje p. S. w składni, gdy to należy do tej części gramatyki. Autor podaje za przyczynę, że chciał. „by trudniejsze i ważniejsze części pierw wyłożyć.” Istotnie pedagogiczna zasada!

*Jasność i ścisłość również nie wszędzie panują. Co znaczy np. prawidło, że „przedimka pewnego używamy wtenczas, jeżeli chcemy cały gatunek lub rodzaj oznaczyć odnośnie do subjektu?” albo: „Deklinacja mocna tak nazwana, że ona najpodatniejsza ze wszystkich, że da się najbardziej naginać i skłaniać?” Toż samo można powiedzieć o całym podziale zdań od str. 127—130, gdzie np. takie są określenia: *Jeżeli orzeczeniem jest słowo nijakie, natenczas zdanie nazywa się podmiotowym*, lub: *Jeżeli zdanie dostaje jakiś przymiotnik, natenczas nazywa się zdaniem orzeczwóm* np. *Gott ist gerecht*. Takie określenia i takie podziały mącą tylko wyobrażenia a niczego nie uczą.*

Nie chcemy zaprzeczać, że tu i owdzie znajdują się w gramatyce p. S. trafne niektóre prawidła i uwagi, ale w całości swojej uważana, nie jest wyższa od dotychczasowych naszych niemieckich gramatyk.

25 września.

Chm.

Prasa w Stanach Zjednoczonych.

(Z dziennika The Broadway).

Ulica Broadway w Nowym Yorku, nie mniej jest sławną jak Strand w Londynie lub Rivoli w Paryżu. Na niejto w punkcie, w którym jest największy ruch ludności, gdzie zakłopotani przechodnie, omnibusy i różnego rodzaju pojazdy krzyżują się na wszystkie strony, gdzie ruch i ścisk panuje tak wielki, że dla zabezpieczenia bojaźliwych lub słabych przechodniów trzeba by chyba ułożyć żelazny most nad tym potokiem zaprzęgów; wznosi się gmach ogromny. Jestto redakcja dziennika *Herald*. Przepyszna budowla jest prawdziwie godnym uwagi pomnikiem, jaki wzniosła śmiała przedsiębiorczość amerykańska. Pałac *Herald'a*, z białego zbudowany marmuru, zdobny wszelkiego rodzaju drobiazgami włoskiej architektury, którego dach wznosi się nierównie wyżej od wszystkich sąsiednich budynków, jakkolwiek nie są bynajmniej karlego wzrostu,

przynęca wzrok każdego z przechodniów. Wiek jeszcze nie upłynął, jak w tém miejscu, gdzie dziś wznosi się gmach ten wspaniały, stał skromny i mały budynek Hampden-Hall, położony wtedy na końcu miasta, ulubiona schadzka politycznych agitatorów, w epoce gdy Stany Zjednoczone były tylko angielską kolonią. Tu trybunowie nabierali natchnienia i zagrzewali się na zgromadzeniach, a potem zwoltywali lud na okoliczne pola, dziś *Parkiem* zwane i wygłaszali gorące mowy, które pchały Amerykę na drogę rewolucyi. Tu to rozprawy wiodły do czynu; tu w gorący wieczór lipcowy 1776 roku, deklaracją niepodległości Ameryki uroczystie czytano armii waszyngtońskiej, pod owe czasy zajmującej Nowy York.

Później nieco, mówców z Hampden-Hallu zastąpiły na tych samych stanowiskach znakomitości innego rodzaju. Tu sławny Barnum umieścił swoje muzeum, w którym potwory królestwa zwierzęcego walczyły o lepsze z potworami rodu ludzkiego, w celu wypróżnienia amerykańskich kieszeni. Tutaj syreny z wyspy Feejee, ziemnowodne z szerokim naskórkim, kolosalne dzieci, żyjące szkielety, wielołkciowe Goliaty, i kilkocalowe zaledwie Pigmejczyki za swą potworność, nałożyli zbyt wygórowaną cenę ciekawości publicznej.

Pożar zniszczył to muzeum r. 1805. Kupiwszy grunt za siedm i pół milionów złotych właściciel nowojorkskiego dziennika *Herald* wybudował pałac, jaki dziś widzimy, który go kosztował około półtrzecia miliona złotych, razem więc 10 milionów! Cóżby pomyślano w Europie o tych kosztach na wystawienie pierwszego domu dziennikarskiego? Wewnętrzne urządzenia bióra, albo raczej pałacu *Herald'a* odpowiadają zewnętrznej okazałości. Podziemne piętro, doskonale zaopatrzone w przewidy świeżego powietrza prowadzi kolejno przez piaszczyste warstwy wyspy, na której zbudowano Nowy York, a sześćdziesiąt stóp po nad ziemią są w ruchu trzy wielkie parowe prasy, które każdego wieczora olbrzymie prawdziwie spełniają dzieło, wydając na widok publiczny 80 do 100 tysięcy egzemplarzy *Herald'a*. Na dole, obszerne bióra wychodzące na ulicę, któredy wchodzi i wychodzi publiczność, a publiczność ta jest liczną. Na każdym kroku spostrzegasz tu zbytek, przepych, kosztowne urządzenie, którychby się nie powstydział najbogatszy bankier; wszędzie artystyczne rzeźby na drzewie, marmurze i kryształowe stoliki, a posadzka wykładana w kolorowe tafelki z wyborowych kamieni. Tu znajdujemy dyrektora części przemysłowej, kassjera, komisan-tów bióra ogłoszeń i bióra prenumeracyjnego, przełożonych nad sprzedażą numerów dziennika: to stanowią całą armię redakcyjną. Inne części budynku, jak gabinety redakcyjne, sale do rozmowy i biblioteki są wielkie i urządzone wytwornie, jak tego wymaga ich przeznaczenie.

Herald dziś tak wspaniale mieszkający, ujrzał po raz pierwszy światło dzienne, będzie temu lat trzydzieści i dwa, w piwnicy. Kulawy stołek stanowił wtedy całe siedzenie obecnego właściciela

tęgo pisma, a deska położona na dwóch baryłkach mąki, była dlań bardzo wygodnym stołem, cały zaś kapitał, jakim rozporządzał wynosił 100 czy 200 dolarów, summa, która wystarczała na prowadzenie przedsięwzięcia mniej więcej przez tydzień. Właściciel ten był zarazem wydawcą i redaktorem. Pierwszy numer dziennika składał się z czterech stronnic, każda o czterech szpaltach i obejmował 39 ogłoszeń, prawdopodobnie bezpłatnych. Przy końcu kwartału cztery stronnice powiększyły się o dwa cale wzdłuż i wszerz i szpalty również się rozszerzyły, a liczba ogłoszeń pomnożyła się w stosunku z 9 na 16. W 1840 roku, karty *Herald'a* wzdłuż i wszerz tak się znakomicie powiększyły, że już każda z nich obejmowała sześć szpalt. Dziś *New-York Herald* wychodzi w ogromnym formacie arkusza o sześćdziesięciu szpaltach, z których 38 zapełniają od góry do dołu same ogłoszenia. Rozchodzi się w 80 do 100 tysięcy egzemplarzach dziennie; coroczne honorarya wynoszą, jak mówią, okrągłą sumę 300,000 dolarów czyli około 3 milionów złotych.

Człowiek stojący na czele tej fortuny i główny właściciel nowojorskiego *Herald'a* jest rodem Szkot, nazywa się James Gordon Bennett. Wylądował w Ameryce, w Halifax, w 1819 r. i wystąpił w charakterze podnauczyciela w szkole; ale wkrótce udał się do Bostonu gdzie pracował w drukarni jako korektor. 1822 r. przybył do Nowego-Yorku i tu z wyjątkiem kilku lat, które przepędził w Charlestonie, w Karolinie Południowej, mieszkał już ciągle od tej chwili, zostając w różnych obowiązkach przy pismach tygodniowych i codziennych. Gdy założył *New-York Herald*, stanął u szczytu sławy i bogactw. James-Gordon Bennett, jest silnie zbudowanym starcem, liczy lat 67, muskularny, istny typ tych Szkotów o których prawią, że są więcej z kości niż z mięsa; jest to człowiek niesłychanej energii, który poświęca całą potęgę swego charakteru jedyniej sprawie powodzenia swego dziennika. Ma bardzo piękny dom na Oxfordstreet w Nowym Yorku, elegancki pałacyk wiejski, pyszne pojazdy i t. d.; ale pośród tego zbytku i bogactw prowadzi życie niedelwie pustelnicze. Wedle zasady molierowego Skąpca *je by żyć*, ale nie żyje by jeść.

Nieustraszony Bennett nie zna żadnych przeszkód. Skoro pożar pochłonął zabudowania *Herald'a*, w kilka miesięcy po ich wzniesieniu, bynajmniej nie oddawał się rozpacz, ale z prawdziwie amerykańską flegmą przypisał to złemu losowi: „*Herald* będzie na wsi jeszcze obszerniejszym, więcej zajmującym, lepiej redagowanym, świetnym i niepodległym jak nigdy.”

Wpływ *New-York Herald'a* jest tak wielki, że ogół uważa go, za trzymającego wodze władzy nad różnemi stronnictwami, kłócącemi się o zarząd kraju. Prezydent Lincoln tak miał wysokie obrażenie o wpływ tego dziennika, że chciał go wziąć na siebie, to jest kupić tanio, ofiarując Bennettowi ambasadorstwo we Francji, ale ten nie przyjął takiego zaszczytu.

Starość nie zmniejszyła czynności właściciela *New-York Herald'a*: jak dawniej tak i teraz bierze udział nie tylko w zarządzie ale i redakcyi swego pisma. Otoczony wielką liczbą sekretarzy,

przechadzając się krokiem pędkiem wzdłuż i w poprzek swego gabinetu, dyktuje im nowoyorkskie nowiny, które mają wyjść nazajutrz. Styl w nich jest pogardliwy i szydery: jak i we wszystkich rozprawach choćby najpoważniejszych i najświętszych pióra Bennetta lub jego współpracowników. Jednym z głównych powodów przewagi *Herald'a* jest gwałtowność w napadach: kiedy raz schwyci swą ofiarę już nie puszcza jej, dopóki nie zgęmbi.

W kwestyach politycznych i społecznych Bennett dotyka i porusza sprawy najżywotniejsze: stara się zawsze wyprzedzić opinię publiczną, a pióro jego zwraca się w tę stronę, jaką wskazuje ogólne usposobienie narodu.

Dla otrzymania wszelkiego rodzaju wiadomości ze wszystkich części świata hojnie szafuje ogromnemi summami. Podczas wojny domowej w Ameryce, *Herald* miał korrespondentów w obu obozach, którzy na jedną tygodniowo korespondencję wydawali zwykle około 20,000 złp. (2000 dolarów). Korrespondentom swoim znajdującym się w kilku miejscach dano najzupełniejszą wolność rozporządzania pieniędzmi w tém przekonaniu, że pierwszy który poda jakąś wiadomość, nigdy zbyt drogo nie jest zapłaconym. Korrespondent z Londynu na swą odpowiedzialność wystął rozmowę króla pruskiego telegrafem transatlantycznym, za co trzeba było zapłacić tylko 6000 rs. Summę tę wypłacono w redakcyi bez najmniejszego zastrzeżenia lub skargi.

Dwaj główni współzawodnicy *New-York Herald'a* są: nowoyorkska *Tribune* i *New-York Times*.

Codzienna ta Trybuna (*the Daily Tribune*) w porównaniu nie wielu ma prenumeratorów; dziennie bowiem co rano rozchodzi się 20 do 30 tysięcy egzemplarzy. Jednak tygodniowe jego wydanie liczy najmniej 200,000 przedpłacicieli, i jak zapewniają, właściciele tego dziennika, w dobrych latach mają do podziału między siebie 150,000 rs. zysku. Dyrektor jego Horacy Greeley, jest również przykładem, jak Amerykanin łamać się potrafi z przeciwnościami które na drodze życia spotyka i nareszcie dochodzi do sławy i majątku. Urodził się w r. 1811, w Amherst w New-Hampshire; umysł to z natury ciekawy, miłujący naukę, którą nabył młodzieńcem jeszcze, korzystając z każdej chwili wolnej od pracy około roli ojca, biednego dzierżawcy. Dziesięcioletni Horacy Greeley przeczytał już wszystkie książki, jakich tylko mógł dostać w obrębie kilku mil w okolicy. Czytanie to odbywał przy płomieniu łuczywa sosnowego: innego światła nie znał. Czasami wymykał się do sąsiedniego miasta i tu uczył się drukarstwa ukradkiem; następnie jak stał udał się do New-Yorku, mając w kieszeni jedynie 13 rs. i 50 kop. (10 dolarów). Najprzód był prostym robotnikiem w drukarni, potem dyspozytorem teje samej drukarni, a nareszcie właścicielem i redaktorem dziennika, założywszy w roku 1841 nowoyorkską *Tribune*. Dziennik ten z zapałem i ze szczerością broni tego wszystkiego, co sam Greeley uważa za dobre i słusne. Więcej niż każdy inny dziennik, rzuca światło na osobiste przekonania redaktora. Horacy Greeley jest razem pisarzem uczonym i fejletonistą; jako

romansopisarz angielski, nie mniej jest płodnym, jak czynnym. Pi sze dziennik, idzie do kilkunastu swych biur i tu miéwa długie mowy polityczne, powraca do Nowego-Yorku i wieczorem urządza odczyt publiczny; wszystko to w dwunastu zaledwie godzinach. Prawdziwy proteusz pióra i słowa, publicysta, autor, professor, agitator polityczny, reformator socyalny, Greeley był raz nawet prawodawcą jako członek kongresu. Złaje się że żądna, jakiegobądź rodzaju i choćby najcięższa praca nie wyczerpuje jego werwy i cierpliwości.

Nowoyorski *Times* (Czas) założył w roku 1851 obecny jego właściciel, który również jak Greeley jest synem dzierżawcy. Dziennikarz ten, urodzony w roku 1820 w Lima w pobliżu New-Yorku, wychowywał się w kollegium Vermonta i tu uzupełnił swą edukacją, ucząc innych, jako pedagog. W 1840 r. osiadł w Nowym Yorku i tu dopóki nie założył *New-York Times* był redaktorem i poddyrektorem różnych pism. H. J. Rajmond dzięki bogatym przyjaciołom, mógł zaraz z początku rozporządzać znacznemi kapitałami. Ta to okoliczność sprawiła, że wystąpienie jego miało charakter niebezpiecznej konkurencji z poprzednikami, z którymi w istocie współzawodniczył taktem, talentem i energią. Nowoyorski *Times* rozchodzi się w 40000 egzemplarzach i przynosi swemu właścicielowi rocznie czystego dochodu pięć kroć sto tysięcy franków? Raymond jest politykiem rozumującym bardzo trafnie, zapalonym mówcą ludowym. Jako człowiek i prezydent nowoyorskiej rady państwa i vice-rządca miasta, a także jako reprezentant na kongresie związkowym, dał dowody swych zdolności administracyjnych i parlamentarnych. Jestto jeden jeszcze z tych przedsiębiorczych Amerykanów, których energiczna działalność wyrównywa ambicji.

Język polityczny *Herald'a* zmienia się wedle chwilowego usposobienia i nastroju ogółu. *Tribune* i *Times* są organami stronnictw: pierwsza popiera politykę radykalną, a druga zachowawczą stronnictwa republikańskiego. Wszystkie z mniejszym lub większym powodzeniem roztrząsają wszystko co zaszło, a każdy z nich liczy znakomitą liczbę czytelników, którym wszystko jedno, jakie idee polityczne lub społeczne popierają panowie redaktorzy.

World (Świat), jest dziennikiem porannym, który wychodzi w Nowym Yorku w formacie *Herald'a*, *Times'a* i *Tribune'y*. Jako organ stronnictwa demokratycznego wywiera on wpływ w stosunku do znaczenia samego stronnictwa, rozchodzi się w małej liczbie egzemplarzy w porównaniu z innemi gazetami porannymi. Cztery dzienniki: *Herald*, *Times*, *Tribune* i *World*, sprzedają się po cenie stałej sześciu kopiejek za egzemplarz: prócz tego jest wiele wydań tygodniowych i półtygodniowych, których roczna prenumerata wynosi 30 i 20 złp.

Z gazet które niegdyś zwano *wielkimi dziennikami* istnieje jedna, licząca się do wydań porannych. Jest to *Dziennik handlowy*, ogromna gazeta w arkuszu, dwa razy większa od samego *Herald'a*. Wielu kupców i przemysłowców uważających ją za powagę han-

dłową i finansową, podtrzymują ją ogłoszeniami, za które sownie płacą. Wychodzą jeszcze dwa wielkie dzienniki wieczorne. Jednym jest *Evening Post* (Kuryer wieczorny), na czele którego stoi amerykański poeta Bryant, wspomagany przez swego teścia, Parke-Godwina znakomitego publicystę i historyka i Nordhoffa, którego uważają za najdoskonalszego dziennikarza. Nie można Nordhoffowi odmówić wielkiego rozumu politycznego i szerokich poglądów w kwestyach handlowych i finansowych. Przez dobrze redagowane artykuły treści społecznej, literackiej i artystycznej, *Evening Post* stał się prawie niezbędną potrzebą klas wykształconych ludności Stanów Zjednoczonych. Cyfra dochodów jest znaczna. Za pewne podają, że w ciągu jednego tylko roku, akcyonaryusze podzielili się między sobą dwoma milionami złp. Innym wielkim dziennikiem wieczornym jest *Nowiniarz handlowy* (*The Commercial Advertiser*). Ten już był postradał dawny swój wpływ i obumarł, lecz podniósł go na nowo Thurlow Weed, szanowany i doświadczony dziennikarz, dobrze znany w Ameryce już jako agent, już jako przywódca stronnictwa. Wielkie te dzienniki wieczorne sprzedają się po 12 i 15 groszy numer.

Amerykanie z prawdziwą chciwością czytają dzienniki i w ogóle wszelkiego rodzaju pisma peryodyczne. W samym Nowym Yorku wychodzi 200 gazet, pomiędzy którymi liczy się 15 niemieckich, 2 włoskie, 2 francuzkie i 1 hiszpańska. Z tej liczby 26 wychodzi codziennie, a inne raz lub dwa razy na tydzień. Do tych wszystkich publikacji dodać należy z jaką setkę przeglądów. Ta masa albo raczej ten potop pism peryodycznych może zaspokoić wszelkie potrzeby i wymagania. Wszystkie moralności, wszystkie religie, wszystkie polityki, wszystkie literatury, sztuki, nauki, wszystkie handle, a nawet wszystkie zachcianki i wszystkie przyjemności są tu wyobrażone. Prasa amerykańska liczy 7 dzienników poświęconych modzie, i jeden *Dziennik wina*, jest także dziennik kawiarniany. Dentyści, fabrykanci powozów, krawcy, szewcy i fotografowie mają specjalne organa.

Wielka Księga Nowoyorkska (*The New-York Great-Book*) stoi na czele tygodników. Rozchodzi się w 350 tysięcy egzemplarzy. Pojedynczy numer kosztuje 15 gr. Właściciel jego Bonner zrazu był prostym robotnikiem typograficznym w Connecticut; dziś ma rok rocznie przeszło półtora miliona dochodu. Dzięki temu, iż dziennik jego jest tak ogólnie znanym i prenumerowanym, nie raz mu już zapłacono za jakie ważne ogłoszenie do 9000 rs. Trzeba mu przytém oddać tę sprawiedliwość, że potrafił zespolic siły najznakomitszych pisarzy, a jak hojnie płaci, dowodem tego, iż Ewerett b. minister amerykański i angielski poświęcił swe uczone pióro i znakomite imię na usługi *Wielkiej Księgi*. Karol Dickens otrzymał 50000 złp. za prostą powiastkę w dwóch czy trzech szpaltach. Henryk Ward Beecher (czytaj Biczur), brat pani Stowe której winniśmy *Chatę wuja Toma*, otrzymał 250 tysięcy złp. za romans *Norwood*, który się teraz właśnie drukuje. Bonner, posiada w swym finansowym arsenale argumenta, które tak

trafiły do przekonania wielu poważnych dyrektorów kollegiów Stanów Zjednoczonych, że porzucili swe uczone gabinety i stali się *ex professo* współpracownikami *The Great-Book*. Co więcej, tak jest widać ufnym w ten środek, że obiecuje iż prezydent i wiceprezydent, b. b. prezydenci i b. b. wiceprezydenci rzeczypospolitej amerykańskiej, i Bóg wie ilu ministrów i mężów stanu nazwiska będą wypisane na liście współpracowników jego dziennika. W programie na przyszłość jaki świeżo ogłosił oznajmia, że niestrudzony Greeley w *The Great-Book* wyda poufne swe zwierzenia p. t. *Autobiografia szczęśliwego człowieka*.

Jednak trzeba przyznać, że te tak wysokiego znaczenia osoby nie są najulubieńszymi pisarzami *The Great-Book*. Sylwanus Cobb, był długo i jest jeszcze głównym dostarczycielem romanśów, któremi zachwyca się ta sama publika, co zasypia nad utworami dyrektorów kollegiów a nawet prezydentów rzeczypospolitej. Karol Dickens nigdy nie napisał tak lichéj powiastki jak ta, za którą mu Bonner zapłacił 50 tysięcy złp. Beecher, jako romanśopisarz nigdy nie zrówna swéj siostrze.

Zwykła literatura *Wielkiéj księgi* bynajmniej nie należy do téj literatury niebezpiecznej, co wywołuje na licach poczciwego człowieka rumieniec wstydu i podkopuje dobre obyczaje. Te tak chciwie czytane powieści i nowelle, nie są w niczém podobne do tych niemoralnych, przesadzonych brudnych romanśów, jakeimi zarzuconą jest obecnie Francya, a które niekiedy powta zają się i w naszych czasopismach.

Pismem ilustrowaném które pod względem świetnego przyjęcia od publiczności idzie tuż po *Wielkiéj Księdze*, jest Tydzień (*The Week*) Harpera. Egzemplarz tego pisma które rocznie przynosi swym właścicielom około ośm kroć sto tysięcy złp. kosztuje 25 gr. Właściciele *Tygodnia* założyli nowe czasopismo *Bazar*, na wzór *Tygodnika* poświęconego modom, a wychodzącego pod tymże tytułem w Berlinie, i to rozchodzi się w 250 tysiącach egzemplarzów.

The Month (Miesiąc) téż Harpera jest pismem miesięczném, jedném z najlepszych, jakie w języku angielskim wychodzą. Kierunek i dążność katolicka. Pojedynczy zeszyt kosztuje około 3 złp. Prenumeratorów ma przeszło 25 tysięcy.

Wszystkie te dzienniki i czasopisma o którycheśmy wspomnieli i wiele innych jeszcze, których nazwisk nie wymieniamy rozchodzą się na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Spotkać się z nimi można na każdym rogu ulicy i na wszystkich placach publicznych, przy wejściu do świątyń Pańskich i teatrów, na stopniach omnibusów; wciskają się na foksali i na każdą stacyą kolei żelaznej, słowem krążą wszędzie od jednego do drugiego krańców Stanów-Zjednoczonych, a mieszkańcy tamtejsi tak się zrośli i przyzwyczaili do tych gazet, przeglądów, iż gdyby cudem jakim zniknęły, sądziliby że pozbawiono ich najpierwszych potrzeb życia ludzkiego.

Władysław Miłkowski.



PRZEGLĄD TEATRALNY.

„Zbójcy” tragedia Szylpera, przekład Budzyńskiego, benefits Jana Królikowskiego. Pani Modrzejewska.

Filaret Chasles powiedział że: „bez krytyki niema cywilizacji, że bez niej rzecz się ma tak jak gdyby architekt chciał zbudować dom, ale bez okien i otworów przepuszczających powietrze.” Krytyka jest wentylacją, która posługując się dalej przytoczonym przykładem, pozwala wprawdzie kiedy niekiedy wichrom i piorunowi zniszczyć wewnętrzne urządzenia domu, ale pozwala zarazem w stanie normalnym cieszyć się czystym i orzeźwiającym powietrzem. Krytyka ściga pochod ludzkości, rozszerza i wznosi myśl, jest jój aniołem stróżem lub archaniołem z mieczem ognistym, niedopuszczającym wejścia niepowołanym do podwojów rajskiego przybytku. W naukach i sztukach pięknych, wskazówki jój oświecają mozolną i ciernistą drogę wędrownikom, pragnącym się wydstać na szeroki gościniec. Idąc ślad w ślad za sztuką, porównywa ona utwór skończony czy wykonany z przewodnią ideą, i stosuje go do zasad stałych, niezmiennych i absolutnych. Niezbędnym przeto warunkiem krytyki, jest poznanie praw tej sztuki o której ma wyrokować, czyli niezbędną jest tak jak wszędzie *umiejętność*. Umiejętność ta polega nietylko na znajomości ogólnej, przeglądowej, lecz i na przyswojeniu sobie szczegółów, architektoniki, słowem wszystkiego co stanowi najwewnętrzniejszą rzeczoną jszutki organizację. Bez bogactwa szczegółów, sztuka staje się abstrakcją, zlewkiem ogólników, nieprzydatnych nikomu. Jeżeli gdzie, to w sztuce dramatycznej, zadanie krytyki niezmiernie jest ważne i żywotne. Prostużąc poglądem zdrowym, jasnym, niemal filozoficznym ogólne pojęcia, skrzywione często fałszywym długoletnim kierunkiem, może zarazem zbawieunie oddziałać na samych artystów, odsłaniając pewne tajemnice sztuki, które im jako działającym, jako bezpośrednio tworzącym, mogły się nie przedstawić w tak logicznej całości i w takim harmonijnym powiązaniu. Takie głębsze wniknięcie w kombinację utworu, w jego odpowiedniość duchowi czasu i ogólnym, niewzruszonym zasadom estetycznym, jakoteż bezstronne, wymotywowane, z *pełni przekonania* płynące uwagi o grze artysty,

nie mogą pozostać bez wpływu na rozwój i udoskonalenie sceny. Prawda, że tu nasuwa się bardzo wiele warunków nieodłącznych od jej rozwoju, a nie dających się odprawić za jednym zamachem pióra; są one wszystkie niby kunsztownie nałożonym kamieniem na kamień, z których powstaje później wspaniały budynek. Gdy jedno z nich brakuje, lub gdy się przez nieogłębność z więzadła wysunie, szwankuje budowa cała, aż i wreszcie w gruzy runąć gotowa.

Jednym z takich koniecznych, *sine qua non* warunków, jest bogaty, wyborowy i ciągle urozmaicany repertoar. Nikt nie zaprzeczy, że przedewszystkiem repertoar kształci artystę, dając mu szerokie pole próbowania sił swych samodzielnych, i zapoznania się z geniuszami myśli, oddziaływającymi elektrycznie na dzielność jego gry, na potęgę jego twórczości w wykonaniu. Miernie utwory zniechęcić muszą prawdziwie wyższego artystę, nie mającego gdzie spożyć trawiącego go ducha, ani też uzewnętrznić żywiołów krea-cyjnych, drżających w nim tak samo jak w poecie. Miernota paraliżuje i zniechęca, arcydzieło podnieca i wywołuje między artystami wielce zbawienną emulację.

Repertoar warszawskiej sceny długi czas leżał w najwyższym zaniedbaniu. Dramata i komedye odwieczne, tłumaczone z obcych języków, zabierały czas, trudziły pamięć artystów, zniechęcając zarazem publiczność oglądającą się na próżno za Szyllesem, Moliérem, Szekspirem, Hugonem i tyloma innymi, stanowiącymi Kalifornię scen obcych. O sztuki oryginalne mniej jeszcze dbano. Ukazywały się jak meteory, nie dziw też że jak one znikają. Autorowie widząc tak rzadko utwory swe na scenie, nie nabierali doświadczenia, a nie mieli gdzie zacerpać zachęty. Obecnie, a raczej od niejakiego czasu, sprostredź się daje pomyślniejszy zwrot w tym kierunku. Scena ożywiła się widocznie, jużto występami niepospolitej artystki jaką jest pani Modrzejewska, już też wystawieniem tragedyi Szyllera „Zbójców” na benefis p. Królikowskiego. O niej też jako o fakcie regeneracyjnym, wypada nam pomówić słów kilka.

Nie powiemy zapewne nic nowego, gdyż mało drugiej sztuki, o którejby pisało tylu i to najznakomitszych pisarzy. Miała ona w swoim czasie życiowe nawet znaczenie, bo odbiła się w awantur-niczym czynie niemieckiej idealno-sentymentalnej młodzieży; którego to szkodliwego wpływu Szyllerowski tragedyi, nie bez słuszności może obawiała się pani de Staël. Z pewniem zastrzeżeniem zgodzić się trzeba na zdanie Heinego, że poeta, ten mały stwórca, podobien jest w tém Bogu, iż radby swego człowieka stworzyć na obraz i podobieństwo swoje, że więc tak jak Werther, Wilhelm Meister i Faust, odtwarzają różne fazy indywidualności Getego, tak samo w niczém może nie odmalował Szyller wybitniej siebie samego jak w Karolu Moorze i w Markizie Poza. Już Szyller odpowiada na to: „Ttum gotów jeszcze w tém widzieć apologię zbrodni, którą w obraźliwie potłumilem. Nie potrzebuję dodawać, że o tyle tylko cerzy.” brazierem maluje zbójców, o ile satyra hiszpańska maluje ry-cerzy.” Gervinus zaś, o którym nie można powiedzieć, iż uogól-

niał metafizycznie pojęcia swobody, tak się wyraża: „poeta chce nam dać obraz olbrzymich namiętności, które jakkolwiek z dobrego płyną źródła, są jednak w istocie poszarpanemi namiętnościami, a co tutaj zastanowić winno to to, że mimo widocznej sympatyi dla swego bohatera, umiał jednak ponieść dobrowolnie ofiarę na ołtarzu moralnej i estetycznej sprawiedliwości. Każę on przyznać się swemu bohaterowi że dwóch takich jak on ludzi, a zburzyliby całą budowę moralnego świata. Poeta pije z kielicha samowoli ducha głębiej aniżeli Gete, a przecież wychodzi trzeźwiejszy od niego.” Wielka to i niezaprzeczona prawda, gdyż między *Szyllerem-człowiekiem*, któryby chciał pisać podobną książkę zasługującą na spalenie przez kata, a autorem „Zbójców” zachodzi niemala różnica. Niegodzi się Szyllerowi przypisywać, że najwyższy ideał (ideę) swobody, widzi jedynie w takim zbójcy, jakim jest Karol Moor. Nie, Szyller jest rzeczywiście kapłanem i to właśnie dla tego, że tę ideę Karola Moora *de facto* przewyciężył w sobie. To przewyciężenie stanowi „Zbójców.” Inny z krytyków, nazywa tragedję zawotowaniem *tabula rasa* w świecie, lecz zaprzęć nie może, że jest ona zarazem *sądem* na taką *tabula rasa*.

Pierwszy który wszechstronnie i głęboko osądził sztukę był Hegel. Powiada on: „Karol Moor traiony w serce istniejącym porządkiem rzeczy, i ludźmi nadużywającymi swęj władzy, występuje z zakresu prawa, a krusząc ścieśniające go przeszkody, i stwarzając sobie nowy stan historyczny, robi się wskrzesicielem prawa, i samodzielnym mścicielem niesprawiedliwości i ucisku. Ale ta zemsta *prywatna* okazuje się maluczką i odosobnioną w obec niedostateczności środków, i prowadzi tylko do zbrodni, gdyż mając wytepić niesprawiedliwość, sama ją popełnia. To właśnie jest nie-szczęściem Karola Moora i błędem, i z tego przyczyny dzieci tylko mogą się dać oczarować takim ideałem rozbójnika.” Na co Hinrichs odpowiada, że Karól nie mógł postąpić inaczej, sam zaś błąd nie mógłby być tak tragicznym.

Poznawszy ideę sztuki, nasunie się sam z siebie subiektywny błąd wykonania. owa nienaturalność, karykatura i przesada. Hinrichs mówi dalej słusznie, że: „Zbójcy straszniem są widowiskiem moralnego porządku świata, według którego dobre może tylko istnieć w duchu człowieka; lecz dziwne to zaślepienie, jakoby nie dobre ale złe zwyciężającą było potęgą na świecie, i że prawda i prawo, zamiast tryumfować, padają. Przecież Franciszek który umyślnie jest zły i usiłujący potargać najświętsze węzły, jakotóż Karol który tylko w błędzie źle czyni, obydwa giną wskazując swym upadkiem właśnie, iż dobro, to stała i rzeczywista potęga świata.”

Idea ta dzieli się na dwie części. Raz się pokazuje, że miecz zemsty czy Nemezis w rękach pojedynczego człowieka sprzeciwia się prawom Boga i naturze, zwracając się nareszcie przeciw niemu samemu, a potem że sceptycznie najrozumnijszy złoczyńca (Fran-

ciszek) drży nareszcie, i dusi się we własnych syllogizmach. Dwie tu przeto widoczne abstrakcje najszerszej swobody: myśl jednostki, wola jednostki w walce z uniwersum, a potem: rozum (wola) jednostki w walce z absolutnym, wiecznym rozumem.

Stosunki i okoliczności prywatne, gorzkie i bolesne zapaliły niezawodnie iskrę Szyllera geniuszu, eksplodując tragedią zbójców; tylko nie trzeba dzieł poety objaśniać psychologicznie z jego przygód i wewnętrznej istoty, gdyż doszłoby się do wniosku, (że tu powtórzymy trafne zdanie Grima) Chateaubrianda o Szekspirze. Chateaubriand albowiem wnosząc z młodości Szekspira, w której tenże rzezać miał cielecia, wyrokuje, że dlatego później tak bez litości rzezał bohaterów. Lepiej żadnych szczegółów nie znać z życia genialnych poetów, aniżeli z nich układać kryterium ducha twórczego; Hoffmeister idzie dalej, bo objaśnia charaktery wszystkie z *Szyllera człowieka*, zamiast śledzić geniusz który się w Szyllerze zindywidualizował, tak jak się indywidualizuje w każdym wielkim myślicielu i poecie. *Dzieła* zaznaczają najwyraźniej pochod jego ducha. Prawda, że wyjątek od téj reguły stanowią Bajron i Juliusz Słowacki. Pierwszy który cokolwiek pisał, czerpał z historii własnego życia, swoje ja stawiając ponad ludzkość; drugi, dusza tkliwa niby listki mimosy, rozwijał najpiękniejsze kwiaty z własnych soków, z własnej natury, swoje „ja” spajając ściśle z losami ogółu który kochał.

Hoffmeister mówi dalej: „że Karol Moor to niestychana i prze-magająca wszystko siła woli i ducha Szyllera, Franciszek zaś to umysł poety zbłąkany; że więc tak jak obie te własności zgodzić się ze sobą nie mogły, tak téż i obaj bracia w tragedyi, żyją ze sobą w nienawiści.” Rozumowanie podobne, subtelnością przypominające scholastyczne spory, strąca nadto poetę z piedestału.

Idea sztuki, będąca najabstrakcyjniejszą myślą swobody, stawającą sztorcem przeciw wszelkiemu pojmowaniu świata i historii, modeluje według siebie przedstawicieli w dramacie. Karol jest wola, Franciszek rozumem pojedynczego. Karol zawiedziony w swój wierze w pobłażanie ojcowskie, dotknięty srodze w poczuciu moralném, zniechęca ludzkość całą, i chce zastąpić opieszalą jak mu się zdaje Nemezis. Złe chce leczyć mieczem a w potrzebie i ogniem, złych sądzić z trójnoga opatrnościowego majestatu. Lecz do wytępienia złego używa równie złych środków: okrucieństwo tępi okrucieństwem; niewinni w jego pojmowaniu, powodują śmierć stu istotnie niewinnych (ocalenie Rollera): słowem obraża wszelkie uczucia ugruntowane na tradycyi choćby moralnej, i na zaprzysiężonej ugodzie społeczeństw. Jak wynagradza fałsz zgubny swego życia? Poddaniem się pod toż prawo, którym właśnie wzgardził.

Franciszek znowu, ten uosobiony cynizm i wgarda wszystkiego co święte i wzniosłe, nieuznający niczego na świecie ani teoretycznie, ani praktycznie prócz rozumu, mierzący takąż miarą czyny i usposobienia, w nieubłaganej konsekwencji, usuwa z drogi do samowładztwa brata i ojca, druzgocze wszelkie przeszkody, nai-

grawą się z religii, a przecież moralność, obyczaj stawia mu czoło w osobie Amelii nie dającej się zmieknąć, i w obliczu śmierci, niszczącej najwyrzafinowańsze rachuby i ostrożności człowieka!

Ten sceptyk, szyderca, świętokradzca każdej myśli poczętj w swym mózgu, ten w namiętnej huci rozpasany Nero, pada zgnębiony na kolana i woła: „Nie chcę być nieśmiertelnym!” Naderemnie raz już uderzony piorunem wewnętrznego sądu, sumieniem, nie umie sobie radzić, więc samobójstwem chce ukrócić nieznaną dotąd męki. Dlatego, ten zamiar samobójstwa (w oryginalnej sztuce dusi się złotym sznurem zdjętym ze swego kapelusza) jest aktem poprzedzającym sąd późniejszy.

Ta jednak idea powzięta a priori, zmusiła poetę do wyrzeźbienia odpowiednich charakterów i sytuacji, na które proste choćby doświadczenie nigdy nie powinno było pozwolić; ten Franciszek albowiem to szatan wcielony w ludzkiej postaci, to rysunek przechodzący linią rozmiary możebnej proporcji. Tomasz Carlyle w życiu Szyllera robi taką uwagę: „Takiego teoretycznego złoczyńcę wywołać musiały sądy autora o prawości i słusności, tak jak to iż Karola Moora ojciec przestał kochać, wywołało zbójcę pragnącego świat wyruszyć z posad.” W dalszej zaś konsekwencji powiedziećby trzeba, że stary Moor jest wielkim niedołągą, gdyż domyśla się podstępu syna, a przecież pozwala zamknąć się w lochu gdzie kona z głodu i zimna, i że Amalja jest damą nastrozoną piekniemi frazesami, śpiewającą czułe piosenki, ale nie mającą na tyle zdrowego rozsądku, iżby (Akt II, scena 2) we właściwej porze, w sam raz otworzyć usta i poradzić ojcu przyzwanie Karola.

Wszystko to są prawdy doświadczenia, prostego rozsądku; lecz stać się już inaczej nie mogło, jeżeli się miało spełnić przeznaczenie, a jeżeli co tutaj nadewszystko nazwać trzeba błędem, to właśnie owo zmyślanie odrębnego organizmu ludzkiego dla miłości jakiejś idei powziętj a priori. Ztąd téż wypływa, że Karol Moor jest niepoetyczny, bo jest nieprawdziwy i nienaturalny. Poeta ograniczył się, pisząc tę sztukę, całkowicie od rzeczywistości, inaczej nie śmiałby wykrzyknąć jego bohater i dowódca zbójców: „Dwóch takich ludzi jak ja, zburzyłoby budowę porządku całego świata!”

Dzisiejsza krytyka biorąc pod skalpel bezstronny rzeczoną tragedję, nie mogłaby jęj uchronić od śmieszności, gdyby jęj nie ratowało poszanowanie dla genialności poety, rozpoczynającego świetny swój pochód tak ideowym lubo zuchwałym krokiem, i gdyby nie język dziko szlachetny, wyszarpujący z najwewnętrzniejszego ducha symbolikę myśli.

Przekład p. Budzyńskiego wcale nieudatny, zaledwie wierny, ale nie nadający ani właściwego kolorytu, ani nie wybijający się na wierzch siłą, jędrnością, lub poetycznym wdziękiem.

Nie można brać za złe artystom młodym, że tragedia szerszych rozmiarów, osnuta nie na tle zwyczajnych stosunków życia, przychwyciła ich na gorącym uczynku nieudolności, a co więcj nieporadności w najjaskrawszych nawet ustępkach, w tych, w których nieunikniony m zwykle bywa prosty efekt teatralny. Owszem,

trudno się nawet ochronić od wesołego uśmiechu i żartobliwej uwagi, iż są tak mało krwiożerczemi, a tak widocznie zdradzali na;lepsze serce, że nie byli w stanie ani jednej chwili udawać strasznych rozbójników. Wtedy np. gdy liczne wojsko otoczyło obóz zbójcecki mając nieść śmierć i zniszczenie, można było usłyszeć chłopięce wykrzyki, zdradzające najoczywiściej komedię a nie prawdę, którą poeta chciał przywołać artystycznym złudzeniem. Odzywał się pan X, pan Y, pan Z, a nie Roller, Szufterle lub Koster. Koster mianowicie (p. Piasecki) oddeklamował lekcję swą jak uczeń spieszący się za miasto pograć w piłkę. Nie chcemy brać tego za lekceważenie, ale co niezawodnie, to za skutek pamięciowego bezwiednego uczenia się, które w roli nie widzi charakteru, tylko wyrazy. Grzechowi temu ulega wielu sumiennych zresztą aktorów, lecz nie mających odwagi iść naprzód i wyzwolić się na pojmujących swe zadanie.

Tak więc to, co się zowie organiczną całością, chromiało z powodu nieudolności pojedynczych; zaradzi temu chyba częste powtarzanie téj sztuki, dające możność reżyserowi zajęcia się wyjątniej młodszymi artystami, i wyjaśnienia im wagi odpowiednich sytuacji.

Spiegelberg (p. Stolpe), ten Mefistofel w miniaturze, i Szwajcar (p. Grzywiński) obroną wyszli ręką; zwróciłbym tylko uwagę pierwszego, iżby w chwili gdy mu przychodzi pierwsza myśl przerzucenia się z burszowa na rozbójników, był wyrazistszym, to jest iżby się strzegł komikowania następczącego się rolą, a stał się raczej demonicznym. Artysta dopełniając autora, nadaje charakterowi przedstawionemu przez siebie koloryt, który często trzeba odgadnąć, jeżeli go trudno wydobyć z całości utworu. Plany jego wreszcie i namowy, to nie żakowska wycieczka na spacer, ale niesienie mordu i pożogi społeczeństwu. P. Rychter w swęj roli staro Moora niewdzięcznej, nużącej, i co prawda monotonnęj, umiał zachować dramatyczne gradacje, przez co się téż nie wycieńczył zbyt wczesnie. Nie pospolite to zrozumienie, świadczące o wytrawnej metodzie. P. Palińska grająca Amalię, ten typ ultra germańskiej sentymentalnej dziewczicy, kryjącej się niegdyś po wysokich burgach otoczonych basztami i zwodzonym mostem, a w którą dziś, nam szczególnie, uwierzyć trudno, powinna się ze swą rolą obchodzić bardzo ostrożnie, ażeby nie zwiększyć i tak już potężnej dozy sentymentalizmu. W roli jęj co krok to szkopał, o który się rozbić łatwo. Nie powiemy ażeby wszystkie ominęła szczęśliwie, za często albowiem wybuchała w głośny lament, ale miała kilka scen wzorowych, tak np. scenę deklamacyi przy arfie.

P. Tatarkiewicz jako Karol Moor niepospolite czynił wysilenia, co mu się chwali, nie jego jednak wina, jeżeli rola téj jest natury, iż zmocuje nieobdarzonych potężnym głosem, i posunięta już znaczenie rutyną. Nie kusimy się albowiem widzieć znakomitego artysty w téj roli, gdyż rola ta ani go potrzebuje, ani się da podnieść właśnie dla swęj różnolitości i pewnego chaosu humani-

tarnych wyrzekań; dość wymagań, gdy artysta w roli téj trzyma się przyzwoicie, zachowując się na dwie może lub trzy efektowne prawdziwie sceny, np. scenę przy wieży, scenę śpiewu z Amalią i ostatnią scenę piątego aktu. Otóż p. Tatarkiewicz scenę przy wieży podniósł przelewającem mu pierś uczuciem żalu, oburzenia i pragnienia zemsty, chodzi tylko o to, iżby właśnie nie dał zbytńo przelewać się uczuciu, ale je miarkował reflexyą, tym koniecznym warunkiem prawdziwego artysty, ale nad rolą zawsze zapanaował. Nie wolno się poddawać inspiracyi, inspiracyę potrzeba umieć kierować.

Schowaliśmy sobie na ostatek kilka uwag o głównym bohaterze, bo nam wypada dłużej nieco się zatrzymać. Podaliśmy mniéj więcéj ideę i charakterystyczny zarys Franciszka Moora. Jest on reprezentantem negacyi wszelkiego dobra, posuniętej do nieproporcjonalnych rozmiarów; jako wcielenie zaś jest: zbrodniarzem niepospolitym, stąpającym po spełnionych okrucieństwach do celu, ścigającym pożądliwie kobietę szlachetną tém gwałtowniej, im ta niezłomniej mu się opiera. Przedewszystkiem atoli Franciszek jestto natura demoniczna. Gdy chodzi artyście o przedstawienie takiej natury idealne, musi się cofnąć wstecz do źródeł i właściwości pozytywnych, jak np. do nadzwyczajnej energii w dopięciu obranego celu, lub do niepospolitego rozumu, słowem do tego, co stoi wyżéj ponad zwyczajną złośliwość lub ponad huć niską. Przez to podnosi artysta takie demoniczne natury do znaczenia poetycznych postaci, tak iż widz może mieć obraz przekrzywienia najszlachetniejszych rysów lub znamion naszej ludzkiej istotnej natury. Zdarza się bardzo często jak np. w téj tragedyi, że poeta rysując charakter, nie pozostawił artyście żadnych punktów wytycznych, na którychby się oprzeć mogło idealne pojęcie i wykonanie, lecz wtędy artysty jest rzeczą, brak ten dopełnić fantazyą, i z najmniejszych danych uorganizować skończony charakter w tym kierunku. W tento sposób aktor prześciga a raczej zaokrągla konstrukcyę autora, co mu się bynajmniej za grzech, lecz owszem za najwyższą cechę świadomego siebie talentu poczytuje. Otóż p. Królikowski dopiął tego zadania. Wielki ten artysta w kilku scenach, mianowicie tych w których Franciszek utracą swą pewność, owiewa straszliwe swe czyny jakimś tchnieniem duchowém, obudzającem w patrzących nie ohydę lub radość z udrczenia zbrodniarza, lecz litość. Widzowi nasuwa się reflexya, że ten okrutnik pobłądził tylko pychą, ślepą ufnością w swój rozum a nie piekielnemi zamysłami zniszczenia. Osiągnąć taki efekt, to znaczny wyrzeźbić najnieprawdopodobniejszy charakter o ile się da idealnie, co jest jednym z najgłówniejszych warunków sztuki scenicznej.

Rolę Franciszka potrzebaby podzielić na trzy części. Pierwsza, gdy podstępnie i obłudnie, z łagodnością na licach, nawiązuje się intryg, druga gdy zrzucą maske i otwarcie dąży do samowładztwa, usuwając bez wahania przeszkody, i nareszcie trzecia, gdy się czuje pognębiouy, oszalały strachem i mimowolnym wyrzutem

sumienia. Te trzy chwile są wyraziście nakreślone przez poetę, żaden też artysta znaczenia ich pominąć nie może. P. Królikowski mistrz w pochwyceniu całości organicznej i zestrzeleniu jęj w je-dnym ognisku, grał odpowiednio. W pierwszej przeto mówił z ci-cha, z intonacją łagodną, draśniętą czasem tylko wężowym sykiem lub zgrzytem potępieńca: twarz skrzywioną potwornie tak jak chce poeta, ułożył ile potrzeba w spokój i godność udaną, chód zastoso-wał, bo stąpił z cicha, a czając się niby drapieżny kot upatrujący zdala ofiary. W drugiej, oblał twarz płynącym z przekonania cy-nizmem, usta zesześcił gryzącym sarkazmem, głos spotężnił, chód upewnił, a kiedy wybuchął (scena z Amelią wyrwijącą mu sztylet), to już nie taił się ani ze swą wściekłą pożądlivością, ani z wrzącą dziko w piersiach zemstą. W trzeciej nareszcie twarz wykrzywił nieznanym dotąd przestrich, bezsenne noce, widziadła przyczepione jak erynny do pięt zbrodniarza, oczy migotały błędnie, dziko, nie-pewnie, zasuwając się białkami, chód przemienił się w skok zranio-nój pantery, ruchy szamotające się w przerażeniu, głos przemienio-ny w szept lękający się zbudzić mściwe widziadła unoszące się po nad nim w powietrzu, lub znowu w dreszczem przesywający, ur-wany krzyk palonego na wiecznym ogniu potępieńca.

Wszystkie te fazy uwydatnił artysta poetyczniej i oryginal-niej, aniżeli inni znakomici artyści (Lewiński, Dawison) którzy w roli Franciszka przeważnie posługują się podniesionym głosem.

Chwalimy szczególniej grę fizioognomii p. Królikowskiego, a nad-to układ samej fizioognomii. W charakterach demonicznych namięt-ności, potrzeba się strzedz układu twarzy malującego pospolitą naturę; co więcj, rysy twarzy powinny wskazywać wprawdzie wzburzoną i poszarpaną, ale zawsze wspaniałą naturę. Fizioognomia w tym nawet razie winna obudzić współdział widza. Fizioognomia największych grzeszników powinna nas wstrząsnąć, powinna stać się widocznem łożyskiem, w którym nurtowały najstraszniejsze namiętności, i powinna zarazem natchnąć widza przeczuciem, że z niej wypadną pociski ciemnych bóstw, które się wezmą w zapasy ze światem moralnym. Zatem i fizioognomia musi mieć pewien odcień idealny. P. Królikowskiego twarz była taką pooraną bruzdą, w któ-rój się przyczaiły piekielne zamysły i namiętności, ażeby w chwili sposobnej wylecieć ztamtąd wściekłym huraganem.

O plastyczności ruchów tego artysty, mogliśmy wiele po-wiedzieć na jego pochwałę.

Jeden tylko ruch nie zdawał się nam odpowiedni: grożenie palcem Amelii przy słowach: „Ty mnie jeszcze nie znasz!” Groże-nie to kilkakrotne, wydało się nam u takiego Franciszka cokolwiek trywialne, zważywszy że był to człowiek panujący nad sobą tak długo jak mu tego było potrzeba, i że był zarazem pewny swojej zemsty. Pozorny przeto spokój w ruchach, objawiający się naprzy-kład założeniem ręki na rękę, byłby tém efektowniejszym kontra-stem z niezaprzeczoną jego siłą. Możebyśmy także przeciwni byli ponownemu rzuceniu się na wezgłowie z podwinietymi nogami,

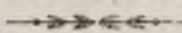
wtedy gdy go ścigają fury sumienia; ta oznaka przerażenia może-
by dała się powtórzyć w inny sposób w samym już poskoku; ale za-
leży to już po części od pojęcia charakteru Franciszka o tyle, czy
on sam przed sobą stara się jak najdłużej utaić nagły strach, czy
tóż nie myśli go już powściągać, ale mu się oddaje bezwiednie
i bezwładnie, na łaskę i niełaskę.

Zbierając w jedno nasze uwagi, wywiązuje się ostateczne sło-
wo, które inném być nie może, tylko najszczerzą pochwałą znako-
mitego talentu p. Królikowskiego, wspartego olbrzymią pracą, do-
tykalnemi i długoletniemi studjami. Pięć długich aktów nie wy-
czerpało jego głosu, bo bronika tego umiejętność, a straszliwy
okrzyk zgrozy, wydobyty jak to mówią z pod siódmego żebra, wte-
dy gdy przywołuje Daniela, długo jeszcze brzmieć będzie w uszach
zachwyconej publiczności.

Publiczność też ta, czcząc benefisanta zasługi, uwieńczyła go
wawrzynem.

Pani Modrzejewska artystka teatru krakowskiego, z dwunastu
gościnnych występów daje nam pole do szerokich sprawozdań, dlatego
odkładamy je na później, pragnąc czytelnikom przedstawić cał-
kowity obraz jęj działalności scenicznój.

Edward Lubowski.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Październik 1868 r.—Handel księgarski z upadku swego od lat kilku podźwignąć się nie może. Brak kupujących dotkliwie coraz się więcej czuć daje. Dawniej nakłady dzieł najpoważniejszej treści wywożące nieraz z górą 1000 egzemplarzy, wkrótce rozchwytywane bywały; dziś ograniczono się do mniejszej połowy, i te spoczywają na pulkach księgarskich. Nakładcy dawniejsi nabyte już i zapłacone rękopisma przechowują, niechcąc się narażać na daremny koszt papieru i druku. Powieść nawet, tak pokupna niegdyś, teraz zubożęniała w oddzielnej książce, a lubownicy jej mogą się dosyć nasycić tymi, któremi tak hojnie częstuje, nasza prassa, publiczność. Żąd wynika szczupłość zarówno w doniesieniach literackich jak sprawozdaniach krytycznych.

— Wydawca *Encyklopedy Powszechnej* S. Orgelbrand ogłosił iż od dnia 25 października r. b. do 1go lipca 1869 r. obniża komplet tego pomnikowego dzieła z 28 tomów z rubli rs. 89 kop. 25 na rubli sr. 30, a z kosztami przesyłki pocztą na rsr. 35. Po obszernym wyjaśnieniu powodów, tak niesłychanego obniżenia tej publikacji, zamyka ogłoszenie swoje temi słowy:

„Przewiduję, że fakt ten, który bezwątpienia nie przejdzie w dziejach naszego księgarstwa niepostrzeżony, niemiłe uczynić może wrażenie na posiadaczach *Encyklopedyi*, którzy nabyli to dzieło po cenie dawniejszej i którzy obecnie uważać się mogą za niesłusznie skrzywdzonych. Dla nich mam tylko tę odpowiedź:

Gdyby nie oni, *Encyklopedya* zapewneby do końca doprowadzoną nie była. Dzięki tym współ-wydawcom szanownym, którzy od pierwszej chwili nie powątpiewali o dojściu przedsięwzięcia tego do końca, którzy je swoim poparciem podtrzymywali, i choć w części podali możliwość do jego ukończenia.”

— Literatura matematyczna polska wzbogaconą została w r. b. rozprawą studenta wydziału fizyko-matematycznego Szkoły Głównej Warszawskiej p. n.: *Teorya związku między pierwiastkami funkcyi pierwotnej i jej pochodnych*. Jestto studyum zastępujące na bliższy rozbiór. (Warszawa, str. 35 wielk. 8ki).

— W roku 1867 redakcja *Gazety Lekarskiej* ogłosiła wydawnictwo: „*Biblioteki umiejętności lekarskich*” i począwszy od lipca

r. z., przy każdym numerze pomienionej gazety, wychodzą oddzielne arkusze wszystkich dzieł do zakresu biblioteki należących, których rocznie liczba do 200 wynosi. Niektóre z tych dzieł tak daleko postąpiły, że już ukazują się w oddzielnych poszytach lub tomach. Obecnie wyszedł tom I: „*Chirurgia operacyjna*” opracowana przez doktorów medycyny: Jana Kwaśnickiego, Władysława Stankiewicza i Józefa Wszębora z przedmową ś. p. professora Le Bruna.”

— F. S. Dmochowski wydał powiastkę p. n. „Pocziwość i praca, czyli historia biednej sieroty, przez autora Pogadanek niedzielnych” (Warszawa, w drukarni I. Goldmana, 1868, w 16ce, str. 75). Jest to praca poświęcona dla średniej klasy naszej społeczności, oddana stylem jasnym i prostym odpowiednio do założenia przez sędziwego autora.

— Wojciech Mielan parobek we wsi Czaple-Obrępałki, gminie Korczew, w powiecie sokołowskim, gubernii siedleckiej, wykopał garnek gliniany, a w nim znajdowało się 471 sztuk srebrnej starożytnej monety. Znakomite te wykopalisko numizmatyczne w całości przesłane zostało do Szkoły głównej tutejszej, i obecnie znajduje się w wydziale filologiczno-historycznym w celu czynienia badań naukowych.

— W księgarni p. Alexandra Szlejfstejna sprzedaje się mapka Europy dla dzieci w 17 sekcyjach, kolorowana, bardzo tanio, bo tylko po 5 kop.

— W dalszym ciągu *Biblioteczki kieszonkowej* wydawanej przez księgarnią p. Kanfmanna, wyszły: *Miłość zabijająca* Arsèna Houssay, tłumaczył z francuzkiego Tadeusz C (jeszyński) i *Zgubiony Pierścionek*, powiastka p. Edwarda Lubowskiego.

— W Krakowie wyszedł w drugim, poprawnym i pomnożonym wydaniu: „Słownik łacińsko-polski do autorów klasycznych, ułożył Zygmunt Węclewski doktor filozofii, profesor zwyczajny Szkoły Głównej Warszawskiej.” (W drukarni Czasu, nakład i własność księgarni I. M. Himmelblaua, 1868). Pierwsze wydanie ogłoszone w r. 1851, obejmowało wyrazy zachodzące w pismach Cezara, Cycerona, Liwiusza, Salustjusza, a z poetów Wirgilego, Owidjusza i Horacego. Po siedemnastu latach gdy odcycya ta wyczerpaną została, i pierwotny wydawca okazał gotowość nakładu do drugiej, professor Węclewski rozszerzył jego zakres, i nie z siedmiu, ale z ośmnastu starożytnych autorów łacińskich zebrał wyrazy. Autor ażeby objętością swoją nie o wiele przewyższał wydanie pierwsze, usunął cytaty tak z prozaików i poetów, a miejsce ich zajęło kilka tysięcy nowych wyrazów. Co dotyczy opracowania matoryału, autor (jak sam w przedmowie wyraża) głównie zwrócił uwagę na łacię klasyczną, tak zwanego złotego wieku, poetyczną i prozaiczną, a tu znowu przedewszystkiem na zwroty cyceroniańskie. Korzystał nadto z badań filologów niemieckich, mianowicie ze słownika Freunda, w którym uwzględnione są wszystkie nabytki i sprostowania poczynione przez now-

szych, bystrzejszych i sumienniejszych krytyków na fundamencie pilnego czytania i porównania rękopismów. Metody jednak Freunda nie trzymał się prof. Węclewski ściśle, bo starał się ustrzedz roz-wlekłości zbyt znacznej, jako też unikać zbyt wielkiej zwięzłości. Miał nadto na pierwszym względzie język polski i starał się podać wiernie i trafnie wszystkie odcienia w znaczeniu wyrazów. Równocześnie ukończył w druku prof. Węclewski słownik grecko-polski, który wkrótce ukaże się w handlu księgarskim, nakładem i drukiem S. Or-gelbranda wydawcy Encyklopedyi Powszechnej.

— W Krakowie, księgarnia katolicka pp. W. Wielogłowskiego i Wł. Jaworskiego wydaje nadzwyczaj staranny i dokładny przedruk, z zachowaniem pisowni tamtoczesnej *Postylli katolickiej* (większej) księdza Wujka, dziś już nader rzadkiej. Niezmiernie ważne to wy-dawnictwo publikuje się zeszytami dla łatwości nabycia. Całość będzie się składała z 200 przeszło arkuszy druku. Dotychczas zaś nadeszło 7 zeszytów do Warszawy. Nabycie ułatwia jeszcze bardzo niska cena bo wynosząca drogą prenumeraty tylko złp. 66 gr. 20 (rs. 10) za całość. Listy z prenumeratą nadsyłać trzeba do księgarni pp. Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

— W Krakowie wyszły w r. b. następane dzieła:

„O pomysłach lechickich pana Augusta Bielowskiego w obec filologii klasycznej, napisał z powodu: *Monumenta Poloniae historica* Dr. Alfred Brandowski, professor filologii klasycznej w uniwersytecie jagiellońskim” (w 8ce, str. 248).

„Przewodnik dla zwiedzających kopalnie Wieliczki, ułożył we-dług najświeższych źródeł L. K. Turski” (w 12ce, str. 35). Oprócz historycznego opisu tych kopalni soli, w końcu dodał autor spis bibliograficzny wszystkich dzieł traktujących o Wieliczce.

„Trzy rozdziały z historii Skarbowości w Polsce 1507—1532 przez L.” (w 8ce, str. 104). Zwracamy uwagę naszych badaczy przeszłości na tę pracę, zarówno ważną przedmiotem swoim, jak sumiennem a umiejętnem obrobieniem.

— We Lwowie p. Alfred Szczepański wydał rozprawę p. n. „Artur Grotger, ustęp z dziejów sztuki.” Broszura ta w obszernych rozmiarach ocenia tego genialnego artysty utwory, który w kwiecie wieku zakończył życie.

— Czytamy w Gazecie Warszawskiej: W miasteczku Mindol-heimie (w Szwabii), trzy mile od Buchlae, stacyi kolei żelaznej mię-dzy Augsburgiem a Lindau, w kościele parafialnym odnowionym niedawno, jest grobowiec Ulryka księcia Tek, zmarłego 1432 r., przedostatniego potomka panującej tam rodziny, i dwóch żon jego. Pierwszą z nich była Anna, zmarła 1425 r., córka Kazimierza Wielkiego (z jego trzeciej małżonki Jadwigi, księżniczki żeگاńskiój). Owa Anna wraz z siostrą swoją legitymowane były przez Stolicę Apostolską (jak świadczy bulla w dziele Theinera) dopiero po śmierci Kazimierza, za staraniem króla Ludwika. Kamień grobowy w Min-delheimie przedstawia jej postać w rzeźbie, z twardego piaszkowca

(ze stroju i układu pomnik podobny do krakowskiego Borkowej, w kościele KKs. Franciszkanów). Napis staro-niemiecki. W archiwum miejscowem są wzmianki o owój Annie, królowie polskiej. P. Alexander Przedziecki, który ten grobowiec odszukał i dokumenta znalazł, kazał wspomniany pomnik odfotografować i gotuje o nim wiadomość, zupełnie nowe podając szczegóły o nieznanей córce ostatniego króla z dynastji Piastów. Napomknienia p. Żegoty Paulego, naprowadziły p. Przedzieckiego na to odkrycie.

— Ostatni zeszyt dzieła zmarłego Jana Wołowskiego: „Kurs Kodexu Cywilnego” wyszedł już z druku. Tak więc obecnie wydana całość, może ulegać krytyce.

— Józef Łapiński wydał w r. b. „Geometrię zastosowaną do rękodzieł i rzemiosł” (Warszawa 1868). Wykład wspierają liczne figury geometryczne starannie wykonane. Jest to pierwsze dzieło w naszej literaturze w tym kierunku wydane, ażeby przystosować geometrię do celów praktycznych, i przynieść pomoc osobom zaledwo elementarne posiadającym wykształcenie.

— Konkurs medalu hr. Fredry na najlepsze dzieło dramatyczne, ogłoszony we Lwowie, ma być stanowczo rozstrzygnięty w pierwszych dniach listopada r. b.

— Towarzystwo Lekarskie Warszawskie, ogłosiło konkurs na najlepszą rozprawę treści topograficzno-lekarskiej, odnoszącej się do któregośkolwiek miasta, powiatu albo gubernii Królestwa Polskiego lub gubernii podolskiej, gdzie ofiarodawca Dr. Milliot (rs. 300 nagrody) młode swe lata przepędził. Ustanowienie powyższej nagrody liczyć się będzie od dnia 1 stycznia 1869 r., a jeżeliby w ciągu lat pięciu nikomu takowa przyznana nie była, Towarzystwo rozporządzi pieniędzmi według swojego uznania. Termin pierwszy oznacza się na 1 sierpnia 1871, ostateczny na dzień 1 stycznia 1874 roku.

— Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, przeznaczyło na premium tegoroczne reprodukcję z obrazu k p. Simmlera: *Przysięga Jadwigi*.

— Po kongresie archeologów w Antwerpii w r. b. odbył się podobnyż kongres w Bonnie. Z Polaków był p. Alexander Przedziecki, i miał dwa wykłady, w których mówił: o budowlach jeziornych w Czeszewie; o Światowidzie i kamieniach mekorzyńskich, będących celną ozdobą Muzeum Towarzystwa Naukowego Krakowskiego; o wykopaliskach w Dobieszewku i w Manieczkach; o prylickich bożyszczach i o kamieniach nowo-strzeleckich z napisami runicznymi.

— Teatr krakowski, posiadający truppę artystów zdolnych i utalentowanych, zagrożony jest upadkiem, podług ostatnich wiadomości, przez brak poparcia, ze strony publiczności. Teatr ten dał nam najpierwszych artystów, któremi się chlubi scena nasza, jak: Jana Królikowskiego, Józefa Rychtera, Michała Chomińskiego, a obecnie w gościnnych rolach p. Modrzejewską.

— Franciszek Winter wydał w Gocie po niemiecku rozprawę: „Cystersi w północno-wschodnich Niemczech, aż do wystąpienia

zakonów kwestujących.” Ważny ten przyczynek do dziejów średnich wieków, nieobojętnym jest i dla badacza przeszłości naszej, jeżeli przypomnimy sobie, że i u nas niemało istniało klasztorów cysterskich.

† Dnia 4 kwietnia r. b. umarł *Eugeniusz Łazowski*, professor języka i literatury polskiej przy gimnazjum akademickim we Lwowie. Kształcił się na uniwersytecie jagiellońskim w studiach prawnych; następnie był nauczycielem prywatnym i założył pensją w Tarnowie. Od r. 1848 aż do śmierci był nauczycielem przy gimnazjum akademickim we Lwowie. W tym czasie oddawał się głównie studjom nad językiem polskim i zyskał sobie wielką powagę pod tym względem w całej Galicyi aż do pojawienia się gramatyki p. Małeckiego. Prace jego drukowane są następujące:

1. Gramatyka języka niemieckiego. Tarnów 1845.
2. Gramatyka języka polskiego. Kraków 1848. (Pod imieniem Dobromysła Łazowskiego). Recenzją tej książki pomieściła Biblioteka Warszawska w 1850 r.
3. Krótki rys gramatyki języka polskiego. Lwów 1849.
4. Gramatyka języka polskiego, oparta na historycznym jego rozwoju. Lwów 1861.
5. Przypisy do starożytnej literatury polskiej. Lwów 1861.
6. Pierwsze zasady gramatycz. języka polsk. Lwów 1864.
7. Niemieckie, francuzkie i błędne sposoby mówienia, zebrane z książek, gazet i z mowy potocznej.

Prócz tego zostawił ś. p. Łazowski rękopism gramatyki polskiej, który wykończywszy zaledwo na kilka dni przed śmiercią przedłożył Radzie Szkolnej we Lwowie do aprobacyi.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Wrzesień, 1868.

Wrzesień, 1868.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

W Obserwatorium Astronomicznym Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżyc	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dziennej	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dziennej
1		752.16	752.53	752.61	752.83	752.533	+11°.4	+15°.7	+18°.8	+12°.5	+14°.58
2	☉	750.83	751.38	751.45	751.27	751.233	13.3	15.8	16.5	11.8	14.35
3		751.02	751.47	751.30	752.43	751.555	9.5	15.0	18.1	11.2	13.45
4	☽	753.05	753.24	753.39	752.92	752.900	7.3	13.3	19.5	14.6	13.68
5		753.97	754.56	753.76	755.66	754.488	10.6	13.3	21.0	15.0	15.10
6		758.37	759.68	758.84	759.96	759.463	11.8	16.7	18.8	13.8	15.28
7		759.97	760.16	758.28	757.78	759.048	10.1	17.3	22.8	17.1	16.83
8		757.67	757.67	755.48	754.97	756.448	12.8	18.0	23.0	14.8	17.15
9	☽	754.86	755.40	755.41	758.05	755.930	11.9	20.2	25.0	14.6	17.93
10		759.94	760.13	758.46	758.09	759.148	10.2	14.5	19.2	11.6	13.88
11		756.18	755.32	752.09	751.02	753.653	9.4	16.6	22.4	15.4	15.93
12		748.91	748.49	745.92	745.22	747.135	11.6	18.7	24.4	15.9	17.65
13		744.24	744.95	747.10	748.15	746.110	12.8	19.0	15.4	12.4	14.88
14		747.68	745.78	744.50	743.19	745.288	10.7	11.6	14.0	12.0	12.06
15	Porig.	743.78	744.54	745.82	746.68	745.205	9.2	11.2	13.7	7.9	10.50
16	☽	746.56	746.59	747.00	747.37	746.880	8.4	15.3	16.5	12.3	13.13
17	Nov.	747.77	748.61	748.39	748.22	748.248	9.9	15.9	17.1	11.2	13.53
18		748.00	748.37	747.78	748.23	748.095	8.5	14.6	20.4	14.4	14.48
19		749.27	750.28	749.91	750.48	749.985	10.9	16.9	21.5	14.6	15.98
20		750.03	749.64	748.08	748.15	748.973	12.0	18.6	22.8	15.9	17.33
21		747.10	748.12	747.63	747.22	747.543	13.8	15.9	19.8	12.3	15.45
22	☽	747.45	748.25	747.04	747.90	747.660	8.9	16.1	20.5	15.0	15.13
23		746.92	746.70	744.08	743.04	745.185	14.8	18.5	22.7	17.9	18.48
24		743.06	744.15	741.82	745.51	744.385	15.0	14.4	17.3	12.9	14.90
25		745.43	745.60	745.35	746.85	745.808	11.2	15.4	18.3	12.7	14.40
26		747.31	747.85	748.87	750.39	748.605	12.5	17.5	19.3	14.6	15.98
27	Apog.	751.46	751.69	749.90	749.07	750.530	9.1	14.4	20.2	14.6	14.58
28		744.75	747.26	746.55	747.00	746.390	13.8	17.9	17.5	13.3	15.63
29		747.05	747.80	747.02	747.26	747.293	12.7	17.3	19.2	13.8	15.75
30		747.28	747.11	744.78	744.45	745.905	11.0	18.8	21.6	15.9	16.83
Śr.		750.069	750.414	749.720	749.982	750.054	+11°.17	+16°.16	+19°.58	+13°.73	+15.16

Dnia	Wilgotność średnia dzienna	STANNIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Widie	
		6	10	4	10	6	10	4	10	dész.	śnie- gu	do m.p.	lino na m.p.
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	godz. wiecz.	godz. rano	godz. rano	godz. w.	godz. w.				
1	82.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	Z1.	Z1.	0.3		1	6
2	68.3	poc. dész.	pochm.	pochm.	pochm.	Z2.	Z2.	Z2.	Z1.	2.4		1	6
3	73.7	pogodny	pochm.	poc. m.	pogodny	Z1.	Z2.	PnZ2.	PnZ1.			1	5
4	77.5	poc. mgła	napół pog.	napół pog.	pochm.	Z2.	Z2.	Z2.	PnZ1.	0.2		1	5
5	85.8	pochm.	pochm.	napół pog.	pogodny	Z1.	PdZ1.	Z2.	Pn1.			1	5
6	85.1	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Pn1.	Pn1.	PnZ1.	Z1.			1	5
7	76.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z1.	PdZ1.	Pn1.	PnZ1.			1	4
8	81.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	W1.	W1.	PdW2.			1	4
9	76.8	pogodny	pogodny	pog. z ch.	pogodny	Pd1.	PdZ1.	PnZ1.	Pn1.			1	4
10	77.2	napół pog.	pogodny	pogodny	pogodny	Pu2.	PnW1.	PnW1.	PnW1.			1	6
11	71.1	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W1.	W1.	W1.	W1.			1	6
12	78.1	pogodny	pogodny	pog. z ch.	napół pog.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdZ1.	0.8		1	5
13	81.2	napół pog.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Z1.	Z2.	Z1.			1	5
14	92.0	pochm.	poc. dész.	poc. dész.	poc. dész.	Pn1.	PnW1.	PdW2.	Z1.	26.3		1	5
15	81.2	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Z1.	Z2.	Z2.	PdZ1.			1	4
16	78.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd2.	PdZ2.	Pd2.	PdZ1.			1	4
17	88.8	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.			1	3
18	89.1	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	W1.	PnW1.			1	3
19	83.5	pochm.	napół pog.	pogodny	pogodny	Z1.	PdZ1.	PdW1.	PdW1.			1	4
20	82.0	pogodny	pogodny	pogodny	napół pog.	W1.	W1.	W1.	W1.			1	5
21	85.8	napół pog.	pochm.	napół pog.	pogodny	PdW1.	Z1.	Z1.	Pd1.			1	7
22	82.7	pog. mgła	pogodny	napół pog.	pochm.	Pd1.	PdW1.	W1.	PnW1.			1	9
23	79.2	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	W2.	W2.	W2.	PdW2.			1	9
24	81.4	poc. dész.	poc. dész.	pochm.	napół pog.	Pd1.	Z1.	Z2.	PdZ1.	14.7		1	8
25	82.5	pochm.	pogodny	pog. z ch.	napół pog.	PdZ2.	PdZ1.	Z2.	PdZ1.			1	7
26	85.0	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	Pd1.	PdZ1.	Z2.	Z1.			1	6
27	89.3	pog. mgła	pogodny	pogodny	pogodny	Pd1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			1	6
28	88.2	napół pog.	poc. dész.	pochm.	pochm.	PdW2.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.			1	6
29	82.9	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pogodny	Pd1.	Pd1.	Pd1.	PdZ1.	0.6		1	5
30	75.8	pogodny	pogodny	napół pog.	napół pog.	PdW1.	Pd1.	PdW2.	Pd2.			1	5
Śr.	81.5									45.4		1	5.4

	m.	c.	L.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.054	27	8.496
Najwyżej barometr dochodził d. 7 o g. 10 r.	760.16	28	0.976
Najniżej — — d. 23 o g. 10 wiecz.	743.04	27	5.877
Średnia dzienna zmiana barometru	2.158		0.957
Największa dzienna zmiana barometru d. 11—12 o godz. 6 rano	7.27		3.228
Średnia wysokość barometru jest mniejsza o	1.135		5.502
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	751.189	27	8.998
Średnia temperatura sierpnia wynosi	+ 15 ^o .16 C.	+	12 ^o .13 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.17 „		1.74 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 12—13 o godz. 4 po poł.	9.0 „		7.2 „
Średnia temperatura sierpnia jest większa o	1.55 „		1.24 „
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	+ 13.61 „	+	10.89 „

Termometrograf wskazał: Maximum: + 25^o.3 C. = + 20^o.2 R. d. 9 po poł.

Minimum: + 6.6 „ = + 5.3 „ d. 4 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 81.5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 10.71 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest większa o 3.2 setnych od normalnej (78.3).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 45.4 mil. czyli 20.13 lin. par.; więcej o 0.8 mil. czyli 0.36 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w wrześniu spada (44.6 mil. czyli 19.77 lin. par.).

Dni pogodnych 9, napółpogodnych 8, pochmurnych 13.

— deszczu 7: (d. 1, 2, 4, 12, 14, 24 i 28).

— mgły 2: (d. 18 i 27).

— błyskawic bez grzmotów 3: (d. 11, 12 i 17).

Wiatr panujący zachodni i południowy.

Wrzesień b. r. był pogodny, nie zbyt suchy i ciepły. Średnia jego temperatura jest 12,1 stop. R. o 1,2 wyższa od normalnej (10,9 stop. R.) a o 1.8 stop. R. jak w r. z. Miesiąc ten z początku nieco chłodniejszy, później ciepły, odznaczał się w ogóle łagodną i jednostajną temperaturą; do najcieplejszych policzyć można d. 23; najchłodniejszy zaś był 15 t. m. Największe ciepło było 20,2 stop. R. d. 9 rano; najniższe 5.3 stop. R., d. 4 rano; największa zmiana dzienna temperatury 7,2 stop. R. przypada z d. 12 na 13. Barometr utrzymywał się przez cały miesiąc dość nisko i bardzo mało stan swój zmieniał; największa jego zmiana dzienna 3,22 lin. par. przypada z d. 11 na 12 o godz. 6 rano. Deszcze padały niezbyt często łącznie dość obficie. Dni deszczu było 7 o 3 mniej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był nieco pogodniejszy jak zwykle. Stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 7,2 : 11,0 : 11,8 gdy tymczasem w b. m. tenże stosunek jest jak 9 : 8 : 13. Wiatr panujący był zachodni, często także wiał południowy.

D. 11, 12, 27 i 31 obserwowano plawy na słońcu.

D. 12 w Rachowie (gub. lubelska) spadł grad wielkości orzecha laskowego i trzech wiorstową przestrzeń pokrył warstwą lodu na 6 cali grubą.

D. 27 w Witten (w Prussach) widziano rzadko zdarzające się w tych okolicach zjawisko meteorologiczne zwane fata morgana.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 1 cali 5.4 n. m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 22 i 23.... stóp 1 „ 9 „ „

„ „ najmniejsza „ d. 17 i 18.... stóp 1 „ 5 „ „

H. T. BUCKLE.

PRZEZ

Adolfa Pawińskiego.

La mente umana è naturalmente
portata a dilettersi dell' uniforme.

G. Vico. XLVII.

Przed laty czterdziestu w 1828 r. lord Macaulay kreślił o historyi następujące słowa (1):

„Nie trudno jest pisać historyą, skracać depesze, streszczać publiczne mowy, w stosownej liczbie dorzucać słowa pochwały lub nagany, przeciwieństwa przedstawiać w charakterach wielkich ludzi i wykazywać, ile się w nich mieściło sprzecznych ze sobą cnót i zbrodni, wymieniać ich własności, zalety ich lub wady: wszystko to rzecz bardzo łatwa. Ale być prawdziwie wielkim historykiem, stanowi niewątpliwie umysłową rzadkość. Jest dzieł uczonych nie mało, które w swoim rodzaju za doskonałość uchodzą. Są poetyczne utwory, które śmiało skończonemi nazwać można, jeśli im zaś jeszcze brak czegoś, to drobne ich niedostatki błędną w obec świetnego blasku całości. Powiedzieć to samo można i o mowach Demostenesa, w których niepodobna zmienić ani jednego słowa bez nadwergżenia całego utworu. Ale dzieła historycznego nie znamy żadnego, któreby choć w dalekiej części odpowiadało naszemu pojęciu o tém, jaką hi-

(1) The romance of history. London, 1828 str. 1,

storia być powinna. Nie mamy ani jednego utworu, któryby nie zbaczał mniej lub więcej w tę lub owę stronę od zasadniczego o historii pójęcia."

Te słowa pełne prawdy, te słuszne uwagi nad smutnym stanem historii kreślił lord Macaulay na początku swojego autorskiego zawodu. Jakie sobie wtedy wyrobił pojęcie o historii, tego nam nie powiedział, wymagań swych w ogólną nie zebrał teorią. W kilkanaście jednak lat później, ogłoszona jego historia Anglii (*History of England...*) może służyć za najwymowniejsze objaśnienie stworzonego przezeń ideału historycznego. Nikt Macaulay'owi zalet znakomitego historyka nie odmówi, ale jestże dzieło jego urzeczywistnieniem skończonj doskonałości, jestżeli wzorem pod każdym względem naśladowania godnym, jestżeli ideałem, do którego zdążać powinna historia? Przeczając na to odpowiedź daje głośne niezadowolenie, jakie po dziś dzień w ogóle jeszcze co do historii panuje.

Od chwili kiedy Macaulay w 1828 r. kreślił obraz smutnego stanu dziejopisarstwa, w ciągu tych lat czterdziestu niwa historyczna bynajmniej nie leżała odłogiem; przeciwnie, więcej niż kiedykolwiek krzątano się około jej uprawy. Z ożywionj w tym kierunku pracy doczekała się literatura niejednego bogatego plonu. Występowały od owego czasu całe szeregi imion głośnej sławy. Każda niemal literatura posiada więcej lub mniej uznane utwory głębokięj myśli, w artystycznj przedstawięj formie.

Grote, Guizot i Thiers, Ranke, Droysen, Gervinus i Mommsen są imiona, z którymi się łączą nieraz stanowcze w dziejach tęg lub owęj literatury zwroty. Ale mimo dość pomyślnych usiłowań pozostało dawne w literaturze niezadowolenie, dawne wyczekiwanie lepszych dla dziejopisarstwa czasów. W trzydzięci jeszcze lat po owem wyrzeczeniu Macaulay'a występuje filozof historyk, który nietylko ubolewa nad smutnym stanem historii, ale gromy potępięj rzuca w ogóle na cały dotychczasowy kierunek dziejopisarstwa.

„Historia nie była, nie jest nauką, należy ją dopiero obecnie wynieść do tęg godności.” Taką nową a trudną pracę bierze na swoje barki autor, którego imię na czele umieściliśmy, H. T. Buckle. „On to właściwie teraz wytknął prawdziwą dla historii drogę, powiadają jedni na widok nowego

dzieła; inni zaś wręcz przeciwnie utrzymując, twierdzą, że taki sposób pojmowania historii jest błędny i z najlepszego toru sprowadzić może historyczną naukę na manowce." Ożywiły się więc niebawem w obec zdań tak sobie przeciwległych spory w tym przedmiocie, powszechne budząc zajęcie.

Ustnie rozprawiano o Buckle'u bardzo wiele. W każdym liczniejszym zebraniu nie zbywało na zwolennikach, nie brakło także i przeciwników, nader łatwo dwa nieprzyjazne tworzyły się obozy. Powstawali z oburzeniem duchowni, pogardliwie odzywali się wojskowi, naturaliści nie szczędzili słów podziwienia, materyaliści poznawali w Buckle'u swego przedstawiciela. W Anglii i w krajach, w których się rozpowszechniło jego dzieło, wszędzie miały miejsce te same ożywione rozprawy. W literaturze po sobie jednak trwałych nie zostawiły śladów: piśmiennie o Buckle'u znacznie mniej rozprawiano. Nie dziwi nas to zupełnie. Zwolennicy nie podnieśli z dzieła swojego przewodcy właściwej wydatniejszej strony, bo się sami na niej nie poznali. Usprawiedliwiłoby ich można tém, co Goethe w pewnym miejscu trafnie powiada, że błąd łatwiej wykryć można niż prawdę, bo gdy błąd na wierzchu leży, prawda głęboko na dnie się kryje. Przeciwnicy ze swęj strony nie mniej trudne mieli do spełnienia zadanie, gdyż wypadało im wytknąć błędy w Buckle'a metodzie, uzasadnić należało swoją własną, jakoż i^oci się ze swego zadania nie wywiązali.

Ztąd téż praca Buckle'a nie doczekała się jeszcze gruntownego rozbioru naukowego, któryby podniósł w każdym kierunku jęj zalety, wykrył jęj niedostatki, któryby wszechstronnie oceniając pojedyncze części, wydał sąd nie pobieżny lecz poważny o całości. Może nawet i daremnie nauka na taką krytykę czekać będzie. Nie prędko bowiem znajdzie się uczony filozof-historyk, również rozległą władnący wiedzą, jak ją Buckle posiadał, który umiał wznieść się i na szczyty filozofii, zdołał ogarnąć obszary nauk społecznych i z całą swobodą obracał się w szerokiem kole nauk przyrodzonych.

W pracy Buckle'a, jak i w każdéj innéj są wszakże dwie różne co do swego znaczenia wewnętrzne strony: metodologiczna i zastosowana. O pierwszój dotyczącej zasadniczych podstaw, sądzić może i ten, kto nie włada bogatym zasobem wiadomości, niezbędnych do wszechstronnego zastosowania

różnorodnych zasad danej nauki, wydać potrafi zdanie, kto nie posiada odpowiednich środków do przekonania się, o ile przytoczone przez autora dowody odznaczają się ścisłością i dokładnością.

Znajdując się przy ocenianiu dzieła Buckle'a w jednym i drugim dopiero co wzmiankowanym wypadku, zamierzyliśmy, mówiąc o niem, dotknąć głównie ważniejszej metodologicznej strony i nad nią kilka uwag poczynić. Dzielimy się niemi z czytającą publicznością polską tém chętniej, ile że nigdzie dotychczas i w obcych literaturach nie spotkaliliśmy tych zwłaszcza wskazówek, któreby czytelnika mniej wtajemniczonego w teoretyczne zasady naprowadzić mogły na trafny a poważny sąd o całości utworu tak głośnego w literaturze europejskiej (1). Uwagi nasze poprzedzamy po treściwej wzmiance o życiu Buckle'a ogólnym rysem filozoficznego jego w historii systematu.

(1) Krótkie lecz treściwe zdanie wygłosił o Buckle'u I. G. Droysen w Sybla historycznym czasopiśmie w artykule p. n. „Die Erhebung der Geschichte zum Rang einer Wissenschaft. 1863 r. Iszy zeszyt (Świeżo przedrukowany jako dodatek do niedawno wyszłej „Historyki” tegoż autora: Grundriss der Historik. 1868. Zarysy, obejmujące aforystycznie rzucone myśli o nauce historycznej nieposledniej są wartości, zwłaszcza wśród ubóstwa literatury w tym rodzaju.). Droysen, widocznie urażony zarozumiałością angielskiego filozofa, który po tylu szlachetnych usiłowaniach nowszej niemieckiej historyografii, mimo jej lepszego obecnie kierunku, zamierza sam dopiero dźwignąć historią z poniżenia i wynieść do godności nauki,— powstał przeciwko Buckle'owi, zgromił ostre słowa kierunek, w wykonaniu zaś zarzucił autorowi gmatwanie pojęć filozoficznych i w ogóle nieład chaotyczny w myśleniu. Płatanina, zdaniem Droysen'a jest tak wielka, że o naukowój wartości całego dzieła daje smutne świadectwo, bo mówi tenże z Bakonem: citius emergit veritas ex errore, quam ex confusione. Pobłażliwszym sądem techną dość ogólne uwagi nad Buckle'em, które Steinthal tu i owdzie wtrącił w rozprawie swojej: Philologie, Geschichte und Psychologie. Berlin 1864. W ogólnych także zdaniach najprzychylniej o Buckle'u odezwał się J. St. Mill: a System of Logic, ratiōative and inductive. Tłum. niem. Schiela, 1862. Tom II: „O naukach społecznych i o metodzie historycznej.”

Buckle'a mimochodem dotknął ostrą krytyką i p. Plebański w artykule swoim: „O historycznym znaczeniu Juliusza Cezara” (Bibl. Warsz. rok 1865. T. 3 i 4. str. 169—209 i 429—463). W Revue des deux Mondes p. L. Etienne 1868 r. 15 marca str. 375—408, jak sam na wstępie wyznaje, zadowolnił się tylko wyło-

II.

Henryk Tomasz Buckle (wym. Bōkl), syn bogatego kupca londyńskiego urodził się 24 listopada 1822 r. w Lee w hrabstwie Kent, umarł 29 maja 1862 r. w 40 roku swego życia (1).

Odebrał staranne domowe wychowanie. Oddany do szkół publicznych wystąpił z nich bardzo wczesnie na własne swoje żądanie. Młody chłopiec miał zaledwie lat czternaście, kiedy postanowił samodzielnie nad sobą pracować; zdaje się że nauki chciwój naturze Buckle'a, jego gorączkowej żądzy wszelkiej wiedzy nie odpowiadał wykład w szkołach publicznych zwykle żółwim posuwający się krokiem: sam więc w poczuciu swojej dojrzałości puścił się o własnych siłach na rozległe pole naukowe. Od chwili tego kroku, w którym się jawnie już samodzielność swego rodzaju przebija, pracował Buckle we wszystkich kierunkach wiedzy ludzkiej; jego młoda, w niespożyte swe siły ufna myśl badawcza rzucała się w głębinę nauki, nie trzymała się niewolniczo utartych ścieżek, wyzwalała się wszędzie z pod zależności szkoły i rutyny. To też ta praca nieustanna najwięcej potargała siły Buckle'a i o śmierć przedwczesną go przyprawiła.

W pierwszych latach swoich zajęć naukowych powziął śmiały zamiar napisania historii cywilizacji całej ludzkości, w tym przeto kierunku rozwijał badania, ku temu celowi wszechstronna czynność naukowa jego zmierzała. Na środkach materyalnych Buckle'owi nie zbywało.

żeniem osnowy Buckle'a, dorzuciwszy kilka nie nie znaczących uwag własnych. Niedawno także zabrał jeszcze poważny głos w przedmiocie oceny Buckle'a prof. Usinger (porów. *Historische Zeitschrift* v. Sybel. I zes. 1868); rozprawia jednak głównie o dwóch mniejszych artykułach Buckle'a, o których niżej czytelnik odpowiednią znajdzie wzmiankę. *Frauenstädt* krytyki (*Blätter für literarische Unterhaltung*. 1861. Nr. 40) nie mieliśmy pod ręką, o ile sobie jednak przypominamy rozbiór był niezupełnie zadawalniający.

(1) Wiadomości życiorysowe bierzemy ze wstępu, umieszczonego przy ogłoszonych niedawno dwóch mniejszych pracach Buckle'a: *Hen. Th. Buckle. Essays. With a biographical sketch of the autor.* Lpzg 1868; oraz z przedmowy do niemieckiego tłumaczenia *Historii cywilizacji Buckle'a* w drugim wydaniu przez Arnolda Ruge.

Ojciec, który mu umarł w 1840 r., zostawił znaczny po sobie majątek. Z odziedziczonych zasobów Buckle pomnażał bibliotekę swoją, nabywał wszystko cokolwiek potrzebném mu się wydawało, tak że ostatecznie zbiór jego książek do bogatszych w Anglii należał.

Nie zaniedbywał również i innych środków kształcących umysł historyka, odbywał podróże po dalekich krajach, zwiedzał Hiszpanią, Francją, Włochy i Niemcy. W 1857 r. dojrzał owoc długoletnich prac jego, wtedy ukazał się pierwszy tom p. n. *Historia cywilizacji w Anglii* (1). Dzieło to przypisał Buckle matce swojej. Bez wytchnienia pracował dalej nad wydaniem następnego tomu, jakoż i ten w 1861 r. wyszedł na świat.

Natężone zajęcie, którego wymagało dzieło, oparte na szerokiej podstawie, wyczerpywało siły Buckle'a. Już w r. 1861 bezpośrednio po ogłoszeniu drugiego tomu omdlewały umysłowe jego władze, niknęła dawna świeżość myśli, niepoślednia pamięć, którą był od natury obdarzony, traciła swą giętkość i nieraz usług odmawiała. Za poradą lekarzy, którym ten stan rozstroju umysłowego naturalném wydać się musiał następstwem wysilenia, porzucił Buckle na pewien czas ulubione swoje zajęcia, oderwał się od jednostajnego a nużącego życia i puścił się w daleką podróż na Wschód do Egiptu. Było to pod jesień 1861 r. Zimę spędził nad Nilem. W marcu następnego roku wyjechał z Kairo podążając ku Palestynie. Zmiana miejsca, klimatu, swoboda oddziaływały korzystnie na zdrowie, pokrzepiły wątłe jego ciało. Pod koniec kwietnia czuł się jak najlepiej, niebawem lekka objawiła się słabość, która go na pewien czas w m. Nazaret zatrzymała, zkąd wszakże już z początkiem maja przeniósł się do Damaszku. Znużenie wśród przykrój podróży wywołało nowe przypadłości, nerwowa febra trawiła siły, w gorączce majaczył, często tęskne do swojej książki wydając okrzyki: „O moje dzieło, moje dzieło, pewnie go już nigdy nie dokoń-

(1) *History of civilization in England 1857*. Jest także i drugie nowsze wydanie z 1867 r. Obydwa londyńskie. Ani pierwszego ani następnego z kolei wydania nie mieliśmy pod ręką; powołujemy się w cytatach na inne jeszcze wydanie Brockhousa in five volumes, Leipzig 1865.

czę.” Siły z każdym dniem niknęły; 29 maja 1862 r. dokonał Buckle żywota a ciało jego pochowano na protestanckim cmentarzu w Damaszku.

Kilka szczegółów z prywatnego życia Buckle'a rzuca nieco światła na samą osobę i charakter. Rozmowa jego nie celowała ani subtelnością ani świetnością; nie posiadał podobno ni dowcipu ni lekkiej wesołości; wysłowienie nie odznaczało się tą gładką i przyjemną formą, z której kiedyś słyszał lord Macaulay. Im dłużej obcował z ludźmi, tém stawał się więcej milczącym. Wolał przysłuchiwać się rozmowie, niż czynny brać w nią udział.

O przekonaniach naukowych Buckle'a lub zasadach politycznych najwłaściwiej czerpać należy wiadomości z samego dzieła, jest tu najwierniejsze odbicie wewnętrznego usposobienia autora, lubo to z drugiej strony rzecz nie łatwa ze słów tu i owdzie mimochodem rzuconych złożyć jakby jakie wyznanie wiary autora. Ciekawy szczegół o religijnych Buckle'a przekonaniach przytacza Arnold Ruge, znany demokrata z frankfurtskiego sejmku, którego z Buckle'm bliższej znajomości łączyły stosunki.

W pewnym towarzystwie, gdzie o metafizyce toczyły się rozprawy, jedna z obecnych kobiet zapytała mię (Rugego), cobym myślał o nieśmiertelności duszy i kiedym na to pytanie najniewinniej odpowiedział, iż nieśmiertelność w ogóle wyraża powszechny wstręt żyjących do śmierci, podniósł się wtedy Buckle, śpiesznie przechodząc do innego dalszego grona: widocznie mu się nie podobało to lekceważące odezwanie się o przedmiocie, który go tak żywo obchodził. Towarzysz Buckle'a w podróży po Palestynie p. Stuart Glennie w tym względzie o religijném uczuciu podobnego rodzaju daje świadectwo.

Z naukowych prac pozostało po Buckle'u bardzo wiele drobnych mniej lub więcej wykończonych; bogate notatki oraz całą pozostałość odziedziczył w rękopisach stryj Buckle'a, wielce czynny zajęty adwokat, który dotychczas nie jeszcze nie ogłosił. Przygotowane rozprawy o Bakonie, Szekspirze, „o wpływie północnej Palestyny na powstanie chrześcijaństwa” zupełnie się na świat nie ukazały. Z mniejszych prac obecnie znaną jest głównie rzecz: „O wpływie kobiet na po-

stęp wiedzy" (1) i rozbiór dzieła Milla „O wolności" umieszczony w piśmie peryodycznym Fraser Magazine z 1859 (2).

Największą sławę zjednało Buckle'owi dzieło jego p. n. *Historia cywilizacji w Anglii*, którego pierwszy tom ukazał się w 1857 r. a w cztery lata później wyszedł i drugi. Śmierć nie pozwoliła dokończyć następnych tomów, które dopiero w dalszym ciągu właściwą na czele książki zapowiedzianą treść obejmować miały. Dotychczasowe dwa tomy (3) nie wypełniają jeszcze nawet pierwotnie nakreślonego wstępu. Bogaty zaś materiał przygotowany przez Buckle'a celem wystawienia dziejów Anglii i jej cywilizacji w sposobie dotychczas nieznanym, dla przedwczesnej śmierci autora pozostał w pierwotnym nieporządku i nie ujrzał światła dziennego; w niewydanych rękopisach kryją się podobno ciekawe a ważne nader ustępy z rodzinnych autor dziejów, na których zbadanie Buckle niewątpliwie więcej niż na historią innych krajów czasu poświęcił.

Wśród długiej posuchy, jaka od systematu filozoficznego Hegla i historyzoficznego układu Cieszkowskiego a w końcu od mniej znanych w świecie naukowym myśli Augusta Comte'a na niwie filozofii historii panowała, dzieło Buckle'a, osnute na szerokiej podstawie, nie pozbawione pewnej nowości pomysłu, a pod względem zewnętrznym wykładu i formy niepospolite posiadające zalety, było w rzeczy samej ożywczą rosą dla spragnionej dżdżu ziemi. W rodzinnym kraju autora wkrótce ukazało się powtórne wydanie. Sława Buckle'a rozchodzić się zaczęła i po stałym lądzie, dzieło jego przyswajały sobie literatury obce jedna za drugą, tak że słusznie powiedzieć można, iż dziś Buckle znany jest w każdym zakątku czytającej Europy. Najwcześniej przełożył Buckle'a dla niemieckiej publiczności Arnold Ruge, znany wychodźca niemiecki, przebywający w Anglii. Już na pierwsze wydanie oryginału zwrócił on uwagę swoich ziomeków, następnie i drugie przyswoił niemieckiej literaturze (4). Arnold Ruge, zwolennik żarliwy Buckle'a, umiał

(1) Polski przekład St. Czarukowskiego Warszawa 1867.

(2) Odbity powtórnie w wyżej przytoczonych Buckle'a Essays.

(3) Według wydania lipskiego 5 tomików.

(4) *Geschichte der Civilisation in England* v. Arnold Ruge. 2 wyd. Leipzig u. Hdlbrg. 1864. 2 tomy.

w rzeczy saméj starannym swym przekładem najlepiej uczcić pamięć zmarłego autora, którego znał osobiście i dla którego nauki i szlachetnego usposobienia żywił zawsze wysoki szacunek: wytłumaczył Buckle'a dla swoich współrodaków tak jasno, gładko a wiernie, że przekład Ruge'go obok oryginału śmiało na równi stanąć może. Ze wszystkich tłumaczeń, jakie się ukazały, jest to niewątpliwie najlepsze. Tu każdy najdrobniejszy szczegół trafnie jest pojęty a myśl autora w zupełności wiernie oddana. Inne literatury znacznie później zajęły się przyswojeniem sobie rozgłośnego dzieła Buckle'a.

Przed trzema dopiero laty p. Baillot przełożył *Historią Cywilizacji* na język francuzki, zdaje nam się, iż nie dorównał Ruge'mu w tłumaczeniu (1). P. Fernando Garrido przełożył część na język hiszpański (2). Dla rosyjskiej publiczności podwójne przygotowano tłumaczenie: jednego z nich dokonał Bestużew—Riumin i Tiblen. Kiedy w podobny sposób rozpowszechniane dzieło Buckle'a pozwalało o autorze, o jego nowém pojmowaniu historyi i szerszemu kołu czytelników żywe prowadzić rozprawy, to w rzeczy saméj słuszne należy się p. W. Zawadzkiemu uznanie, że swoim tłumaczeniem w tych naukowych sporach i polskiej publiczności udział ułatwił (3). Żałować tylko wypada, że przekład bardzo wolnym posuwa się krokiem. W 1862 r. ukazała się pierwsza część, w trzy lata później następna, zostaje jeszcze drugi oddział, na który niecierpliwie czekamy. Wprawdzie ostatni tom nie budzi tego żywego zajęcia co pierwszy, w każdym jednak razie istniejąca w oryginale całość byłaby dla polskiego przekładu pożądaną.

Tłumaczenie w ogóle jest bardzo gładkie, pod względem języka znać w niém chwalebłą staranność. Tém więcéj przeto razi tu i owdzie źle użyty spójnik (4), który nie zawsze

(1) *Histoire de la civilisation en Angleterre* p. A. Baillot. Paris 1865 w 5 tomach.

(2) Zob. we wstępie Arnolda Ruge. Tom II str. VI.

(3) *Historia Cywilizacji w Anglii* z drug. wyd. przełożył Wł. Zawadzki. 2 tomy. Lwów 1862—1865. Pierwszy zeszyt 3go tomu już w tych czasach także wyszedł.

(4) Zob. T. I, p. 13 w. 13, 14. str. 15 w. 5.

wiernie myśl oryginału przedstawia; czasem czuć się daje brak tej koniecznej dobitności w wyrażeniu, któraby świadczyła, iż najdelikatniejszy odcień myśli autora dokładnie schwycony został (por. str. 3). Uderza niekiedy powtarzanie jednego i tego samego wyrazu w krótkich między sobą odstępach, np. na pierwszej stronie początek: Ze wszystkich *wielkich* gałęzi wiedzy ludzkiej uprawiano *najwięcej* historią a (?) nauka jej *najwięcej* się upowszechniła (1). Nieraz przydałyby się także objaśnienia. Tłumacz zalicza Comte'a w 1862 r. do żyjących pisarzy, idąc za autorem Buckle'm, któremu wolno było w 1855 r., kiedy pierwszy swój tom przygotowywał, uważać Comte'a za współczesnego filozofa, bo ten umarł dopiero w 1857 r., w dwa lata później. Tak tłumaczone dosłownie zdanie mogłoby rzeczy nieświadomego czytelnika łatwo w błąd wprowadzić. Z tem wszystkiem przekład p. W. Zawadzkiego wysokiej swęj wartości nie traci, a zyskuje jeszcze wiele na porównaniu z innymi przekładami, któremi nieraz w ostatnich czasach obdarzali czytający ogół polski tłumacze, nie znający dokładnie języka oryginału.

III.

Dwie głównie okoliczności złożyły się na to, że u nas nie oceniono jeszcze dostatecznie pracy Buckle'a; dotychczas w przekładzie polskim znaną jest tylko pierwsza z niej połowa, to więc od stanowczego sądu wstrzymywało każdego, komu niedostępny był oryginał lub inne tłumaczenie. Z drugiej znowu strony w dziele samego Buckle'a czytelnik na każdym kroku tak różnorodny spotyka materiał, w tak śmiałych, zupełnie nowych zestawieniach, iż łatwo traci z oczu przewodniczącą myśl utworu i w końcu wielce zajmujących pojedynczych części nie jest w stanie spojć w ogólną całość. Ztąd też to bardzo naturalne zjawisko, że często najbliższe o Buckle'u słyseć się dają zdania nawet ze strony tych, którzy się jego zwolennikami być mienia. Zanim więc kilka rzucimy uwag nad „Historią Cywilizacji,” wypadnie nam w treściwych rysach wyłuszczyć osnowę

(1) Porów. tom I. str. 55.

całego dzieła, przezco ułatwić się spodziewamy dla polskiej czytającej publiczności połączenie znanych już części przekładu z brakującymi a czytelnikowi obeznanemu z utworem oryginalnym, odświeżymy w pamięci zasadnicze myśli i do zrozumienia następnych uwag przygotowujemy. Pragniemy zarys nasz ogólny uczynić jak najprzejrzystszym, żeby go jednym oka rzutem ogarnąć było można; dlatego też unikając zbytniej obszerności, nie odrywając uwagi od głównego pochodu Buckle'a poszukiwań, na mniej ważne, uboczne strony spoglądać zupełnie nie będziemy. Chcąc być względem autora sprawiedliwymi, postaramy się o ile możności własnymi jego przemawiać słowa, usuniemy tém samém wszelki pozór stronnego rzeczy przedstawienia.

Nic łatwiejszego jak utyskiwać na smutny stan jakiegokolwiek bądź nauki, żalić się na niedostateczność środków lub ograniczność sił, jakie nam natura wydzieliła. Nie trudna też zaiste rzecz, głosem zarozumienia na dotychczasowe usiłowania wieków i pokoleń powstawać i całą ich nicosić wykazywać. Nie jeden już ubolewał nad historią, jako nad nauką, której brak jeszcze tych stałych podstaw, na jakich się inne umiejętności oparły, nie jeden już pociągnięty zrazu powabem tej nauki stygnął powoli w pierwotnym swym ku niej zapale, zrażony trudnościami, jakie się nasuwają każdemu, kto jako prawodawca w tej gałęzi wiedzy ludzkiej chce wystąpić. Nic łatwiejszego jak z lekceważeniem odzywać się o dotychczasowych pracach na polu filozofii historyi i historykom wyższych odmawiać zdolności; ale dźwignąć tę naukę ze stanu niemowlęcego, w jakim się znajduje, wskazać jej drogę, po którejby do większej naukowej powagi dojść mogła, byłoby to zaiste zasługą, któraby stanąć mogła na równi obok prac, wieńczonych nazwą Kepplera, Newtona.

Buckle miota pogardliwe słowa na mrówczą a bezskuteczną pracę tylu wieków około historyi, nigdzie na tej długiej, ożywionej drodze wybitniejszej nie widzi postaci, wszędzie o karłów potracą. Należałoby 'przecież, powiada autor na wstępie, przedsięwziąć już coś na większą jak dotychczas stopę, należałoby zaprowadzić pewną równowagę między wielkim, zaniedbanym działem badań historycznych a innymi znacznie więcej rozwiniętymi gałęziami wiedzy

ludzkiej. Spodziewam się, są słowa Buckle'a, że dla historii ludzkości uczynię to samo a przynajmniej coś podobnego, co inni pracownicy zdziałali na inném polu naukowym.

Dalszy rozbiór wykaże, o ile się autor wywiązał z zapowiedzianej tak szumnie obietnicy.

Dopóki jakaś nauka zajmuje się li tylko opisywaniem, a nie podciąga zjawisk ze swojego zakresu pod pewne prawa, dopóty na miano nauki w ściślejszém znaczeniu nie zasługuje. Pozostając tym sposobem w empirycznym stanie, wie iż coś, *οτι*, istnieje, nie wiedząc, *διότι*, dlaczego istnieje. Historia zamienia się właściwie na dokładną naukę, kiedy wychodzi po za obręb zewnętrznego opisywania i łączenia z sobą szczegółowych wypadków, kiedy dąży do tego, żeby ogarnąć nieprzebrane mnóstwo szczegółów, żeby wyszukać prawa, którym zjawiska historyczne ulegają. Nazywano to dotychczas filozofią historii, zachowując miano historii, dla tego działu prac, które gromadzą w pojedynczych częściach różnorodny materiał pod filozofią historii. W takimto duchu Buckle'a „Historya Cywilizacyi” ma być nie opowieścią ale dokładną umiejętnością.

Nauka starająca się wysledzić prawa w zakresie swojego przedmiotu, czynić to winna na pewnej zasadzie. Historia, której główną jest osnową człowiek w dziejowym swoim rozwoju, przedewszystkiem jako nauka dokładna w powyższym duchu, oprzeć się powinna na dowiedzioném przypuszczeniu, że człowiek i jego czynności pewnym, niezmiennym podlegają prawom, przeciwko którym nic nie może ani wola jednostki ani siła większego ogółu ludzi.

Filozoficzna historia, jak ją Buckle pojmuje, odrzuca więc metafizyczny dogmat wolnej woli i twierdzi, że wszelkie czynności człowieka, zależąc jedynie od poprzedzających, wywiązując się jedne z drugich w nieprzebranym ciągu, noszą na sobie znamię jednostajności, albo innemi słowy, pod wpływem tych samych okoliczności, jednakowemi zawsze objawiają się następstwami. Ponieważ zaś czynności człowieka są wypadkiem starcia się objawów wewnętrznych i zewnętrznych, widoczna tedy, że cała różnaitość następstw, jedném słowem wszystkie zmiany, jakimi napełniona jest historia, wszystkie koleje, jakie przechodziła ludzkość, jój postęp i upadek, jój pomysłność, jój klęski i szwanki muszą,

być skutkiem podwójnego działania: działania objawów zewnętrznych na umysł i działania ducha na objawy zewnętrzne. Mamy tym sposobem przed sobą ducha ludzkiego ulegającego prawom własnego bytu i rozwijającego się, jeśli zewnętrzne nie działają wpływy, według warunków swojej własnej organizacji. Z drugiej znowu strony przedstawia nam się natura tak samo ulegająca swoim prawom, ta zaś w ciągłej będąc styczności z duchem człowieka, podnieca jego namiętności, pobudza jego umysł i nadaje czynnościom jego kierunek, którego by bez wpływu natury nie wzięły. Tak przeto człowiek działa na naturę, natura na człowieka a z tego wzajemnego działania wszystkie konieczne wypadki powstawać muszą. Rzeczą to jest historyka odszukać prawa wzajemnego działania, wśród których rodzą się czynności człowieka.

Przy takim zapatrywaniu się na źródło powstawania wypadków społeczno-dziejowych, dwa wielkie działy w cywilizacji przyjąć można stosownie do wpływu, jaki na siebie wzajemnie dwa najsilniejsze wywierają czynniki, człowiek i natura. Jeden w którym natura, rozumiejąc przez nią działające jej czynniki, wszechwładne swe nad człowiekiem wywierają panowanie i w najważniejszych kierunkach rozwój cywilizacyjny społeczeństwa sobą określa; drugi dział, gdzie się wzajemny wpływ równoważy lub gdzie wreszcie natura na drugie ustępuje miejsce przed potężniejszym wpływem człowieka i przy słabszym swym działaniu drogi rozwoju sama nie wytyka. Długie ludzkości dzieje dadzą się rozłamać na takie dwie wielkie połowy. Pierwotna pozaeuropejska cywilizacja zostawała pod przemożnym wpływem przyrody; natura tu oznaczyła na kilka wieków z góry jej charakter i na niej najsilniej i najwybitniej swoje piętno wycisnęła. Mniej od natury zależnym rozwijał się człowiek w późniejszej dobie cywilizacyjnej w Europie, gdzie już nie prawo natury, nie wpływy fizyczne, ale inne przyczyny odmienne w społeczeństwie wywołały zjawiska i inny postępowi wypadków dziejowych nadawały kierunek.

Na tak przygotowanej podstawie rozwija Buckle w szczegółowych częściach zasadnicze prawa, które w obu działach cywilizacji dostrzegać się dają. W pierwotnych dziejach pozaeuropejskich krajów, prawa fizyczne najsilniejsze swoje

objawiły działanie, cywilizacya zaś europejska dawniejsza i obecna albo nie ulegała tak potężnym wpływom albo zdołała się z pod nich wyzwolić, tak że w niej przeważnie prawa umysłowe albo duchowe panowanie swoje utwierdziły.

Wpływ natury na człowieka, na jego świat umysłowy i moralny, na cały ustrój społeczny, lubo dziś wszędzie mniej lub więcej wyraźnie się przebija, najwidoczniejszym atoli staje się, w owęj dobie, kiedy nauka spoczywała w kolebce, kiedy się pierwsze tworzyły zawiązki społeczne, kiedy człowiek jednem słowem w pierwiastkowym swém ograniczeniu umysłowem i przy całej swęj pierwotnej niemocy w ścisłej pozostawał zależności od natury. Matka przyroda wychowywała na swych rękach człowieka, jęj postać powierzchowna, w tylu jak wiadomo przedstawiająca się odmianach klimatu, ziemi, kształtów zewnętrznych, działała nietylko na wyrabianie się pojęć człowieka o jego stosunku do najbliższego otoczenia, ale nadzwyczaj czynnie wpływała na ukształcenie samego porządku społecznego.

Oddziaływanie zewnętrznego świata czynników fizycznych na człowieka i społeczeństwo przemawia bardzo dobitnymi słowy do przekonania każdego, ktokolwiek choćby tylko przelotnie zwrócił swą uwagę na ten przedmiot, dlatego téż i autor sam nie zbyt wiele się nad prawami fizycznymi rozszerzał; lubo znowu przyznać wypada, że w tak treściwym zestawieniu rzadko czytać się zdarza tyle trafnych uwag co do fizycznych praw, pod którými pozaeuropejskie rozwijały się cywilizacye. Tę jeszcze wypada tu podnieść okoliczność, że pod mistrzowską ręką Buckle'a mnóstwo znanych nam szczegółów z różnych dziedzin nauk przyrodzonych lub społecznych, co luźno po głowie czytelnika chodziły, łączy się i wiąże we wzajemném swém powinowactwie w jedną ogólniejszą całość i nowe zupełnie przedmiotu odsłaniają się strony. Bo téż jak wiadomo, nie szczegóły dziejowe opowiada autor *Historii cywilizacyi*, pospajane ze sobą chronologicznym wątkiem, ale całe długie szeregi zjawisk współcześnie i jednostajnie się powtarzających.

Klimat, gleba, żywność są to czynniki, które działając pojedynczo lub pospołu na człowieka, na społeczność oddziaływały w cywilizacyach pozaeuropejskich tak silnie, że jęj wydatniejszy charakter; jęj postać wybitniejszą utworzyły.

W najwcześniejszym stanie społeczeństwa, ziemia na której się wzniosła i rozłożyła społeczność, stanowi główne źródło bogactwa jak niemniej i praca, na której większą lub mniejszą energią wpływa znowu klimat i pożywienie. Gromadzące się wśród takich fizycznych warunków bogactwo narodowe jest pierwszym szczeblem w cywilizacji, bez bogactwa lub pewnego zasobu nie masz wyższych dążeń, wybiegających poza obręb pracy około zaspokojenia potrzeb codziennego życia. Ztąd bogactwo choćby nawet w szczuplejszej zebrane obfitości, pierwszy stanowiąc cywilizacyjny związek, wprowadza ze sobą nowy pierwiastek do ustroju samego społeczeństwa. Stosunek w jakim spływa bogactwo do rąk jednej lub drugiej grupy społecznej wyrabia towarzysko polityczne kształty, staje się punktem wyjścia do podziału całej ludności na pewne klasy panów i sługi, rządzących i rządzonych. Te klasy pojawiają się jednostajnie jako kasty w cywilizacjach pozaeuropejskich w Indyi starożytniej i Egipcie, w Ameryce środkowej w Meksyku i Peru. Ubóstwo sprowadza pogardę, bogactwo nadaje wpływ i znaczenie. Tak się dzieje w życiu pojedynczych osób, tak się stało i z kastami w Azji, w Afryce i Ameryce, że zyskały w skutek swego bogactwa przewagę nad pozostałą częścią ludności. Wyższe klasy łącząc w swych rękach znaczne materyalne środki, posiadały tém samém więcej sposobności do przewagi umysłowej; trzymając lud niższy w ogłupieniu, w ciemnocie na długie wieki odstrychnęły się jako panująca ludność i wyosobniły się z ustroju społecznego. Zjawiska więc społeczno dziejowe pozaeuropejskich cywilizacji, głównie sprowadzić się dadzą do objawów przez czynniki fizyczne wywoływanych, w nich się zawarła cała treść dziejowego życia tamecznych krain. Klimat, pożywienie, gleba, podział bogactwa narodowego zrodziły cały niemal porządek towarzyski.

Na świat moralny, na świat umysłowy tej cywilizacji jeszcze swój wpływ wywarły i te czynniki, które ogólnemi zjawiskami natury nazwać można. Na nieoświecony umysł pierwotnego człowieka działała potężnie natura swojemi siłami przerażającemi, swoim ogromem lub dzikością, majestatem lub rozkoszną bujnością, podniecała jego wyobraźnię i rozbudzała w umyśle człowieka błędne, fantastyczne po-

jęcia o stosunku jego do zewnętrznego otoczenia, do widzialnych lub niewidzialnych sił przyrody. W pojęciach religijnych odbił się najwidomięj wszechstronny wpływ, pod którym pierwotne zostawało społeczeństwo w najwcześniejszej dobie swojego rozwoju. Mytologia indyjska, groźna a potworna postać jej bóstw odpowiada zupełnie groźnej, dzikięj, umysł człowieka nieoświeconego przestraszającej naturze. W religijnych znowu Greków podaniach, w ich łagodnych bogach, w nadobnych boginiach odbiła się miła, rozkoszna Helady ziemia. Człowiek na podobieństwo natury swoje bóstwo tworzył i urabiał.

Gdy więc ogólna summa cywilizacji pozaeuropejskiej rozkłada się na czynniki czysto fizyczne, naturalne, za najważniejszy i jedyny środek do dokładnego i prawdziwego jej zbadania poczytać należy wszechstronną znajomość natury i jej stosunku do człowieka, do społeczeństwa. W takie też przeto opatrzyć się przedewszystkiem należy nauki, nauki przyrodzone, kto badać zamierza pozaeuropejską cywilizacją, bez nich zrozumieć niepodobna tego działu cywilizacji, gdzie człowiek ulega przemożnemu wpływowi natury.

W Europie jednak odmienny dla oka historyka odsłania się widok. Tu w całym toku dziejów powszechnych spostrzegamy dążność do zwalczania sił natury, zapanowania nad niemi. Jeśli tam rzec można natura w pierwszym mieściła się rzędzie, to tu w Europie człowiek wysuwa się na przód dziejowego obrazu. Ztąd inne, od pierwszych powstają warunki rozwoju cywilizacji europejskiej. Proces działania czynników niefizycznych ale duchowych staje się więcęj zawikłanym, zrozumienie utrudnionem; dlatego też autor zwrócił główne swoje staranie ku jasnemu wykładowi tego przedmiotu, który większą część dzieła zajmuje.

Od tej chwili coraz żywsze w czytelniku budzi się zajęcie, kiedy Buckle dla cywilizacji europejskiej, z którą tak ściśle społeczna połączona jest doba, zasadnicze kładzie podstawy. W Europie nie ma panowania sił przyrodzonych, człowiek w walce z niemi odniósł stanowcze nad naturą zwycięstwo; umiał ją podbić pod swoją władzę, zniszczyć szkodliwe działanie jej sił a w końcu na swój obrócić użytek. **Natura w Europie nie włada człowiekiem i społeczeństwem**

ale raczej jego szczęściem i ogólnym jego widokom posługuje. Życie dziejowe innym tu prawom ulega. Jak człowieka rozwój tak i zmiany dziejowe w społeczeństwie w dwóch głównie odbywają się kierunkach. Jest rozwój duchowy albo umysłowy i moralny albo obyczajowy. Rozwój ku lepszemu jednej i drugiej strony społecznego życia stanowi postęp cywilizacyjny. Dźwigniami więc postępu widocznie dwa są czynniki: umysłowy i obyczajowy. Silniejszy z nich będzie miarą społecznego postępu. Jeżeli bowiem postęp cywilizacji, jeżeli powszechne szczęście ludzkości zawisło więcej od jej moralnych uczuć niż od jej wiedzy umysłowej, wypada temi uczuciami mierzyć postęp społeczny, w przeciwnym zaś razie, jeżeli ów postęp zależy głównie od wiedzy, wypadnie przyjąć stopień i wzrost umysłowej działalności za miarę postępu.

Jest rzeczą pewną, twierdzi Buckle, że czynnik moralny w sprawie postępu bardzo słaby bierze udział i mało znaczącą odgrywa tu rolę. Tylko wiedza, światło naukowe jest dźwignią postępu, jest najdzielniejszym bodźcem, najsilniejszą sprężyną. W miejscu tém najwyraźniej nakreśliło się filozoficzne stanowisko Buckle'a, tu przy ocenieniu ważności dwóch czynników, dwóch stron w społeczeństwie: obyczajowej i umysłowej, z całą stanowczością autor *Historii Cywilizacji* wypowiedział zdanie tej szkoły (pozytywistów), dla której wiedza, nauka jest wszystkim, jest rdzeniem życiowym, najważniejszym nerwem w organizmie społecznym. W tém miejscu, kiedy przed filozofem historykiem dwie otwierają się drogi badań i poszukiwań w sprawie cywilizacji europejskiej, Buckle puszcza się gościńcem, po którym posuwał się postęp naukowy a na uboczu zostawia ścieżkę rozwoju moralnego społeczeństwa europejskiego. Ten wybór na korzyść postępu umysłowego uczyniony, to upośledzenie czynnika moralnego stanowi jakoby światło i cień w obrazie cywilizacji, jaki nam Buckle przed oczy wystawia. Tu się wyraża cały charakter stanowiska, które Buckle zajął w filozofii historii.

Żeby wykazać, że moralny czynnik wielkich nie położył i nie pokłada obecnie zasług około cywilizacji, około postępu, że takowy raczej wzrostowi wiedzy przypisać na-

leży, żeby wystawić jak wiedza w organizmie społecznym staje się niemal wyłącznym źródłem życia, najsilniejszą ruchem sprężyną, autor z wielkim powodzeniem co do zewnętrznej strony, użył całej potęgi swojego wymownego słowa. Śmiałość myśli wiążącej z sobą najodleglejsze czasy, moc słowa i wyrażenia, ożywiająca najwięcej oderwane pojęcia porywają czytelnika. Ścisłość z lekkim połotem zespolona w harmonijną całość zdradzają mistrza, który tu stanął na szczycie swojego talentu.

Postęp jest rozwojem, jest ruchem, tymczasem moralność, zasady moralności nie uległy widocznym wpływom postępu. Nieruchome, niezmiennie, te prawdy były od niepamiętnych czasów tęp, częp dzisiaj są. Dla nich nic nie znaczy cała przeszłość, cała przyszłość. Oto jest myśl zasadnicza Buckle'a. Prawdy zaś naukowe zrodziły się jako maluczkie, nieudolne, wypiastrowała je ludzkość w długim czasie rozwoju, wzrostem olbrzymim cieszą się już w dobie obecnej i wielką jeszcze przyszłość mają przed sobą. Ich więc kolejne, stopniowe wzmaganie się stanowi właściwą postępu miarę. Rażąca Buckle widzi różnicę, jaka zachodzi między nieruchomym stanem prawd moralnych a postępowym rozwojem prawd umysłowych.

„Wszystkie znakomite systemata moralne, które silny wpływ wywierały, były zawsze co do zasad swoich jednakowe, wszystkie zaś systemata rozumowe w zasadach swoich się różniły. W przedmiocie naszego moralnego prowadzenia się nie ma ani jednej z podstawowych prawd, dziś wagę i znaczenie mających, któreby już światu starożytnemu nie były znane. Czynić innym dobrze, poświęcać dla nich nasze zachcenia, bliźniego kochać jak siebie samego, przebaczać nieprzyjaciołom, ukrócać nasze namiętności, szanować rodziców i zwierzchność będącą nad nami, to są mnięj więcej zasady nauki moralnej; ale znane były one od tysiąca lat i ani jednej literki nie przysporzyły kazania, homilie i księgi nabożne, które moralisci i teologowie na świat wyłoni. Nadto zdobycze moralne, tak Buckle w dalszym swoim utrzymuje twierdzeniu, są nietrwałe; jedno pokolenie nie może ich przekazywać następnemu, każde z nich na nowo dla siebie tę mozolną musi rozpoczynać pracę a ze śmiercią osobą, ze zmianą jednego pokolenia ginie niepowrotnie i doro-

bek moralny. Zresztą wyższy lub niższy nastrój moralny dla społeczeństwa obojętną może być rzeczą. Jak uczynki złych ludzi przynoszą tylko chwilowe zło, tak i uczynki dobrych chwilowe dobro, zniesione napływem następnych pokoleń, pochłonięte nieustannym ruchem po sobie idących wieków. Ale odkrycia wielkich ludzi nigdy nas nie opuszczają; są one nieśmiertelne, zawierają w sobie te wieczne prawdy, które przeżyją upadek państw i walki spółzawodniczących stronnictw religijnych, które przeżyją nie jedno z kolei po sobie niknące wyznanie religijne. Wszystkie religie mają swoją miarę i swoje odmienne prawidła, jedne przekonania przeważają w jednym, inne w innym wieku. Nikną one jako cień, są utworem wyobraźni, są widziadłem, które się w nic rozwiewa. Tylko dzieła geniuszu pozostają, im zawdzięczamy wszystko cokolwiek mamy, są one dla wszystkich wieków i na wsze czasy, nigdy młode, nigdy stare, same w sobie noszą zaród własnego życia, płyną wiecznie nieśmiertelnym strumieniem, z istoty swój płodne rodzą następne odkrycia i w ten sposób wpływają na najodleglejszą potomność a nawet gdy wieki całe miną, działają jeszcze silniej niż w pierwszych chwilach swojego rozpowszechnienia."

Tak pełnym uniesienia zwrotem kończy Buckle ustęp, w którym wykazać pragnął wyższość czynnika umysłowego i większą jego siłę w sprawie około postępu europejskiego. Kto więc chce zbadać warunki, kierujące postępem cywilizacji nowoczesnej, ten szukać takowych powinien w dziejach wzrostu i rozpowszechnienia wiedzy umysłowej.

Z tego przedstawienia łatwo każdy wyrozumie Buckle'a sposób pojmowania Historii cywilizacji europejskiej a tém samém historii w ogóle, której najobszerniejszy i najważniejszy dział stanowi cywilizacja europejska. Postęp dla Buckle'a jest podstawą historii, gdy zaś wiedza postęp stanowi, historia więc musi być historią wiedzy. Tak przeto historia do godności nauki wyniesiona, historia jako umiejętność jest historią wiedzy oraz wykładem praw wzrostu i rozwoju umysłowości. Buckle to sam zresztą niezależnie od naszego wyводу wyraźnie oświadcza na pewnym, mało dotychczas uwzględnionym miejscu (1), kiedy mimochodem wtrąca uwagę, iż pisa-

(1) Hist. of civ. II. p. 93.

rze na to baczyć winni, że historia każdego ucywilizowanego kraju jest historią umysłowego jego rozwoju. Przytoczone tu w treści zdania zatrzymać należy w pamięci, żeby się łatwiej pomiarkować można w rozległym układzie dziejowym Buckle'a.

Historia przestająca być w myśl powyższego poglądu czczym zbiorem zdarzeń i doświadczeń niczém z sobą nie powiązanych, przeradzająca się w ścisłą i poważną naukę stawić sobie powinna jako zadanie odszukania praw umysłowego rozwoju. Zgodnie z ogólném przeznaczeniem wszystkich nauk historii wypada z pośród chaotycznego odmetu rozlewającego się na wsze strony umysłowego ruchu wykryć prawa, według których powstaje i posuwa się wiedza.

Ponieważ istota duchowego postępu nie da się zbadać z dziejów jednego wyłącznie narodu, wziął więc Buckle dla wykazania rozwoju cywilizacji w Anglii, historią Francji, Hiszpanii i Szkocji na pomoc, zamierzał, czego dla zaszczytnej śmierci nie dokonał, powołać się jeszcze na dzieje postępu wiedzy w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych. Każdy oddzielny naród w swoim życiu dziejowém pewną, w umysłowym kierunku wyrobił sobie właściwość, złożone zatem odrębne cechy w jedną wiązkę dokładniejsze o całości dać mogą wyobrażenie. Tak w Niemczech, powiada autor, gromadzenie wiedzy postępowało pośpieszniej niż w Anglii, dlatego też prawa gromadzenia wiedzy daleko jest dogodniej badać w historii niemieckiej a następnie zastosować dedukcyjnie do historii angielskiej. Podobnie i Amerykanie rozpowszechnili u siebie swą wiedzę znacznie więcej jak Anglicy, dlatego też możnaby zjawiska umysłowego ruchu w Anglii objaśnić prawami, w których się dobitniej wyraziło duchowe życie Ameryki. Francja będąc najwięcej ucywilizowanym krajem, w którym się nadzwyczaj silnie rozwinął duch protekcyjny, może objaśnić swojemi w téj mierze prawami mniej wyraźne i wybitne kierunki tegoż protekcyjnego ducha w historii angielskiej. Zasada opiekowania się lubo przemożnie rozwinęła się we Francji, w religijnym atoli albo raczej w kościelnym kierunku nie przyszła do pełnego swego znaczenia, tak jak nam pod tym względem dobitny przykład historia Hiszpanii przedstawia. W Hiszpanii bowiem od najdawniejszych czasów kościół posiadał więcej władzy i duchowieństwo

znaczniejszy wywierało wpływ na rząd i naród jak w jakimkolwiek bądź innym kraju. Dla tego też historia hiszpańska służy do wykazania wszystkich następstw, jakie z owęj ścisłej protekcji religijnej popłynęły.

W tak uzasadnionym porządku i następstwie wyszukuje autor warunki duchowego postępu; badając wszechstronnie tętno życia umysłowego, gdziekolwiek się ono pojawia w różnych a odmiennych postaciach stara się wniknąć w istotę umysłowego ruchu. Przeglądając tedy najprzód dzieje umysłowości angielskiej, Buckle dopatruje się ważniejszych jej zawiązków w połowie XVI wieku i śledzi jej losy aż pod koniec XVIII stulecia. Życie umysłowe budzić się zaczęło pod wpływem sceptycznego ducha; to pierwsze, lekkie powątpiewanie jako promień światła rozpraszało mgłę przesądów, zabobonów i opacznych pojęć. Duch sceptyczny stał się nowego rozwoju początkiem, wskrzeszał on śród długich średnich wieków skostniałe pierwiastki życia umysłowego, religijnego i politycznego. W tych wszystkich trzech kierunkach sceptycyzm czynnym się okazał.

W dziedzinie wiedzy sceptycyzm stworzył nowszą naukę. Dopóki łatwowierny umysł w dobrej wierze i w gnuśnej swój ospałości przyjmował wiekami uświęcone błędne pojęcia, dopóki powątpiewanie nie tknęło się tej całej umysłowej spuścizny, tak długo o nauce mowy być nie mogło. Powątpiewanie zrodziło dążność do dociekań i poszukiwań a z nich się poważniejsza wywiązała nauka. Raz obudzone powątpiewanie przechodziło powoli, nieznacznie i na inne dziedziny społecznego życia: ono osłabiało w politycznym względzie powagę klas uprzywilejowanych, szerszą przez to dla wolności przygotowując podstawę, skarciło swawolę panujących, ukróciło uroszczenia szlachty, zmniejszyło nawet przesady duchowieństwa. Z dwóch przedostatnich wieków angielskiej historii czerpie Buckle dowody dla potwierdzenia swoich dopiero co wysnutych założeń.

W innej znowu postaci przedstawia się autorowi „Historii Cywilizacji” umysłowość w ostatnich dziejach Francji. Gdy tu wśród innych nizeli w Anglii warunków postępował rozwój umysłowy, odmienne też wydał owoce. Przewaga duchowieństwa wstrzymywała w społeczeństwie szerzenie się reformy kościelnej, to zwierzchnictwo duchowne opóźniło

przebudzenie się skeptycznego ducha. Polityczna niedojrzałość, która powstała w skutek przytłumianej wszędzie systematycznie wolności, zrodziła konieczną, nieuchronną opiekę polityczną i opiekę umysłową. Całe panowanie Ludwika XIV jest nieprzerwanym ciągiem zastosowania tej zgubnej zasady opieki. Pierwsze przeciwko niej oddziaływanie powstało pod wpływem pojęć i teorii, które przenikały z Anglii do Francji w pierwszej połowie XVIII wieku. Rezerwały one ścisły związek, w jakim pozostawało piśmiennictwo ze stanami rządzącymi za Ludwika XIV. Wyszwanoborzona literatura wywołała niebawem przeciwko dawniejszemu religijnemu uciskowi reakcją, rzuciła się następnie nieprzyjaźnie i na świecki porządek i przygotowała gwałtowny w dziejach Francji przełom, znaną rewolucją z 1789 r. Na tém się kończy pierwsza część oryginału. Buckle w tych dwóch działach cywilizacji europejskiej we Francji i Anglii wykrył zdaniem swoim prawa postępu duchowego, tak jak to sobie na początku swojego dzieła założył. Szedł Buckle do celu drogą indukcyjną; zbierając starannie szczegół po szczególe, wiązał je w ogólniejszą całość, wyprowadzając wreszcie na tej podstawie ogólne dla historii cywilizacji zasady.

Owe prawa postępu cywilizacji brzmią w następnym sposobie:

1. Postęp ludzkości zależy od pomyślnego zbadania praw rządzących zjawiskami i od zakresu w jakim się znajomość tych praw rozpowszechnia.

2. Nim tego rodzaju powstaną badania, poprzedzić je powinien duch sceptycyzmu, duch powątpiewania, który zrazu badania pobudza i wspiera, następnie sam z nich pobudkę dla siebie bierze.

3. Takie odkrycia, w tym kierunku uczynione powiększają wpływ prawd umysłowych, zmniejszają zaś względnie choć nie stanowczo wpływ prawd moralnych, bo prawdy moralne mniej się naprzód posuwają i mniej się zwiększają niż prawdy umysłowe.

4. Głównym wrogiem postępowego ruchu, przeto wrogiem cywilizacji jest duch opiekuńczy, przez który rozumien uprzedzenie, jakoby społeczność dojść nie mogła do stanu kwitnącego, jeśli państwo i kościół troskliwej swój nad nią

opieki nie rozciągną, jeśli państwo nauczać nie będzie ludzi co czynić, a kościół w co wierzyć powinni (1).

Ponieważ jednak w badaniach nad zjawiskami duchowymi metoda indukcyjna nie jest wystarczającą, gdyż odszukanym swym prawdom pożądanęj pewności i dokładności nadać nie może, bierze więc do pomocy jeszcze i metodę dedukcyjną (2). Ta nie postępuje od szczegółów przez szczegóły do ogólnéj zasady, ale postępując odwrotnie, idzie od ogólnéj myśli do pojedynczych części. Jest więc w pewnym rodzaju sprawdzeniem rezultatów otrzymanych przy pomocy metody indukcyjnej. Drugą zatem część (nieprzetłumaczoną jeszcze) swojego dzieła poświęca Buckle dedukcyjnemu rozwinięciu zasadniczych, wyżéj przytoczonych prawd. Bogaty do tego materyał nasunęła mu historia Hiszpanii i dzieje Szkocyi.

W ciągu kilkunastu wieków dzieje Hiszpanii przedstawiają nieprzerwane pasmo religijnych wojen prowadzonych już to przeciwko katolickim Frankom, już to po zmianie aryańskiego wyznania przeciwko mauretańskim państwom, które się zagnieździły na gruncie hiszpańskim. Od Vgo aż do końca XV wieku toczy się zacięta walka niemal wyłącznie w interesie religijnym. Wśród takiego kierunku politycznego życia Hiszpanii, naturalném wydać się musi następstwem przewaga duchowieństwa i przemożny jego wpływ, jaki takowe na rząd i naród hiszpański wywierać mogło. W każdym społeczeństwie, kiedy przeważają interesa duchowe nad świeckimi, wyradza się w ludzie przesąd i zabobon religijny a z nim razem i ciemnota, którą duchowieństwo dla większego swojego wpływu podtrzymuje. W wspólnych widokach pracowało duchowieństwo razem z władzą rządzącą około przytłumienia swobodnego życia ludowego. Duchowieństwo skoro było posłuszném narzędziem dla panującej

(1) Hist. of civ. t. IV str. 1 nast.

(2) Nie jest zupełnie słuszném, o ile nam się zdaje, utrzymywać: że Buckle zalecał historykom jedynie metodę indukcyjną, jak się to nieraz tu i owdzie słyszeć i czytać zdarza. W dwóch: bowiem miejscach autor wyraźnie mówi o nierozdzielności obu metod, indukcyjnej i dedukcyjnej, zresztą druga część dzieła opiera się wyłącznie na dedukcyi.

zwierzchności stanowiło silną sprężynę do poruszania całej masy hiszpańskiego ludu. Zapał religijny połączony ze silnie rozwiniętą rycerskością, pozwolił dzielnym osobistościom, jako Ferdynandowi, Karolowi V i Filipowi II dźwignąć Hiszpanią z dawnego stanu mało znaczącego i wynieść to państwo do nieznanej prawie od upadku Rzymu potęgi politycznej. Hiszpania była za Filipa II pierwszorzędnym w Europie mocarstwem. Polityczną wielkość Hiszpania zawdzięcza nie własnej swojej wewnętrznej sile ale swoim pojedynczym osobistościom, genialnym swym mężom stanu i dowódcom. Jak tylko nie stało tych wielkich ludzi, którzy tak wysoko naciągali struny politycznego życia, wkradać się musiał rozstrój ogólny całego społeczeństwa. Razem z Filipem V zaszła i gwiazda wielkości dla Hiszpanii. Duchowieństwo, które pod słabymi następcami Filipa silniej niż kiedykolwiek wpływało na kierunek spraw publicznych, zapanowało wszechwładnie na dworze i nad całym narodem. To też zgubne następstwa takiej przewagi wkrótce się okazały, kiedy głównie za sprawą duchowieństwa wypędzono za Filipa III Morisków w 1609. Upadek rolnictwa i przemysłu był jednym z ważniejszych skutków przewrotnej nietolerancyi religijnej. Zubożenie było powszechne. Nędza materyjalna towarzyszyła moralnemu a głównie umysłowemu ubóstwu. Wszystko chyliło się do upadku. W każdym kierunku politycznego i prywatnego życia objawiał się widoczny rozkład. Z dawniej politycznej wielkości tylko pamięć pozostała i tej nawet nie miał kto przechowywać, i następnym pokoleniom przekazywać, gdyż brakło wtedy w ogóle historyków.

Wiek XVIII przedstawia w Hiszpanii widok więcej pocieszający. Pozorna, bo powierzchowna wielkość i olśniewający blask wrócił za staraniem pojedynczych osobistości.

Burbonowie Filip V, Ferdynand VI a głównie Karol III, dźwigali Hiszpanią z dawnego upadku. Przedewszystkiem ścieśniali wpływ przeważny duchowieństwa i popierali interesa świeckie swojego państwa. Karol III i jego po większej części z obcych krajów powołani ministrowie jak Grimaldi, wszelkich dokładali starań, żeby powstrzymać gwałtowny rozkład społeczny i drzemiące siły pobudzić do życia. Co zależało od osobistego wpływu, to się udało. Na kraj

spłynęły błogosławione skutki ze staranności, jaką w rządach poświęcał Karol III swojemu państwu. Przemysł się podnosił, handel ożywił, krzewiły się drogi, mnożyła się ludność, ale przesąd, ciemnota i dawna uległość, którą duchowieństwo w lud wpoilo, pozostawała jak dawniej w niespożytej swęj sile. Co pomogły pojedyncze monarchy usiłowania, kiedy lud sam w gnuśnej spoczywał ospałości i w swém umysłowém ograniczeniu. Wszystko co czyniono dla rozwoju wewnętrznego pozostawało na wierzchu, nie przechodziło do głębszych warstw społecznych. Karol III w dzień swoich imienin zwykł na żądanie zebranego przed dworem ludu madryckiego pewną wyświadczać łaskę. Kiedy w 1768 r. tój samęj chciał dopełnić formalności, ku wielkiemu zadziwieniu swemu i całego dworu przedstawiono mu od pospólstwa prośbę o przywrócenie wygnanych przed rokiem Jezuitów, żeby się Hiszpania mogła lubować widokiem tych świętych mężów.

Przeciwno prądowi ogólnemu nic nie może wola i dążność pojedynczych władców. Usiłowania ich giną razem z niemi i dłuższém nad współczesną im chwilę nie cieszą się powodzeniem. Budowa na piasku za lada powiewem runie, skoro silniejszój nie ma podstawy. Życie nurtuje tylko w samém łonie społeczeństwa i w niém ma główne swe źródło, co zaś pochodzi z góry, z inicjatywy władzy rządzącej, przesuwa się po wierzchu i efemeryczną ma trwałość. Tak się stało z Hiszpanią, kiedy zabrakło rządców, jakim był Karol III. Naród pozostał w swém uśpieniu umysłowém, otulony mgłą przesądu i zabobonu, ukołysany dziwną uległością, którą mu wpoilo duchowieństwo.

Miała, powiada w końcu Buckle, i ma Hiszpania ziemię bogatą, zaopatrzoną obficie od natury we wszystko, co rozwój materyalny wspiera i zasila; ma położenie dogodne dla handlu europejsko-amerykańskiego, nie zbywa jęj na portach, słynie bogactwem swoich kopalni srebra; miała kiedyś monarchów dzielnych, mężów stanu i wodzów pierwszorzędných, lud waleczny i rycerski; miała Hiszpania wolność municypalną, wolność polityczną stanów, ma w końcu dzwięczny język i nieubogą literaturę, miała chwile swojęj wielkości politycznej, ale nie ma w nięj prawdziwego postępu. Przesąd i zabobon w nięj

panuje, nie ma światła nauki. Jedyny zaradczy środek, nauki przyrodzone (1).

Dzieje ducha szkockiego, które autor z kolei pod koniec swojego dzieła rozbiera, służą na potwierdzenie innej jeszcze strony wyżej przytoczonych prawd dziejowych.

Szkocya wielkie ma podobieństwo do Hiszpanii, była bowiem i jest siedliskiem przesądu i zabobonu. Wprawdzie nie odznaczała się w publicznym swym życiu tą uległością ludu, jaką naród hiszpański zachował dla swoich królów, ale podobnie jak i Hiszpania zostawała Szkocya pod wszechwładnym wpływem duchowieństwa. Mimo wszakże przewagi duchowieństwa w społeczeństwie szkockim wyrosła dość bogata świecka literatura; mimo kościelnej opieki wydała Szkocya myślicieli jak Buchanan, Hume i Smith. Tę rażącą sprzeczność, jaka się okazuje między wolnomyślnym kierunkiem literatury a grubym przesądem, jaki się gnieździ w Szkocyi pod wpływem duchowieństwa, stara się autor szerokimi objaśnieniami wywodami. Kiedy bowiem zdaniem Buckle'a, w Hiszpanii w skutek panowania duchowieństwa powstać nie mogła świecka literatura i interesa świeckie wszechstronnie na tym cierpiały; kiedy w takim stanie rzeczy upadek materialny się wkładał i nędza się szerzyła; Szkocya przedstawia jakby wyjątkowe działanie duchownego wpływu. Zdaje się, jak gdyby dzieje Szkocyi osłabiały lub obalały twierdzenie wyprowadzone przez Buckle'a z historii Hiszpanii. Pod koniec XVIII wieku miała Szkocya obok grubego przesądu, krzewionego słowem i nauką duchowieństwa, szeroko rozwinięty przemysł i ożywiony ruch handlowy, miała i literatu-

(1) Rys historii ducha hiszpańskiego kreśli autor pośpieszną ręką. Na kilkudziesięciu stronicach zamierzył streścić „słowo dziejów hiszpańskich.” Zamknął je jednak głównie w obrębie trzech ostatnich nowszych stuleci, zlekka tylko jakby mimochodem potrąciwszy o długie, tysiąc z górą lat trwające wieki średnie. Wprawdzie autor sam nie przyznaje się do chęci wykończenia zarysów rzucanych ogólnie, ale i w szkicach przelotnych wymagałoby można większej siły w dowodzeniu. Tej właśnie niedostaje. Autor zbacza często od przedmiotu, poświęcając odleglejszym rzeczom pilniejszą uwagę. Czego to powiedzieć nie można o dziejach Hiszpanii od V do XIX wieku, a wszystko zdania najogólniejsze! Karola III rządy przedstawione szczegółowo jego dzieje mają wykazać pozorną skuteczność i bardzo przemijającą, działania rządowego.

rę, której przedstawiciele torowali nowe drogi w niejednej z dziedzin naukowych. Tę sprzeczność pozorną objaśnia Buckle dość szczegółowym opisem dziejów XVII i XVIII wieku. Wiek XVII w Szkocyi jest kolebką wpływu i przewagi duchowieństwa. Dwa ostatnie rozdziały ze szkockich dziejów noszą na sobie widoczne ślady omdlenia umysłowego. Autor w uciążliwej, jałowej pracy nad duchowieństwem szkockim w XVII wieku złamał żywą siłę swojej myśli i swojego słowa. Z nużącą umysł czytelnika szczegółowością zapuszcza się Buckle w drobiazgi prywatnego i publicznego życia presbteryjańskich księży, dowody toczą się z wolna, kiedy już bliski kres autor ma przed sobą. Wiek XVIII stanowiący ostatni rozdział w dziele Buckle'a jest wiekiem reakcyi przeciwko duchowieństwu. Powstała wtedy literatura świecka, naukowa, ożywiły się prace nad umiejętnościami przyrodzonymi, ale mimo to reakcyja naukowa nie osłabiła wpływu kościelnego i nie rozproszyła grubego przesądu, jakim duchowieństwo zamroczyło umysłowe życie szkockiego ludu.

IV.

Kiedy nam się o uszy wyraz prawo obija, zwykle łączymy z nim to pojęcie i znaczenie, z którym nas najwięcej oswoiło codzienne używanie, w którym je najczęściej w potocznym życiu spotykamy. Za młodu i w późniejszym czasie najliczniej zdarzają się te wypadki, w których jest mowa o prawie stanowionem, t. j. o pewnych przepisach urządzających stosunki społeczne. Na takim znaczeniu prawa urabia się nasze o niem pojęcie. Mówiąc przeto i słysząc, iż prawo zabrania lub nie pozwala, albo że przed obliczem prawa wszyscy są równi i inne tym podobne wyrażenia, przedstawiamy sobie to prawo jako stałą, nieodmienną zasadę, która określa lub wytyka ściśle i dokładnie kierunek naszej woli. Gdy nadto widzimy, iż prawo obejmuje sobą zwykle szerokie koło społecznych stosunków i wiemy, że umie dla siebie wzbudzić poszanowanie, iż żadnych prywatnych nie zna względów, żadnych nie dopuszcza wyjątków: rodzi się ztąd w nas jeszcze o niem pojęcie jako o zasadzie

wyższego rzędu, do której w każdym odnośnym wypadku bezwarunkowo nagina się wszelka indywidualna czynność.

Pod wpływem działania pewnego prawa powstaje jednostajność w objawach np. postępowania przez pewne temu prawu podlegające osoby. Nie każdą wszakże jednostajność nazywać można prawem, bo lubo prawo w rzeczy samej na jednostajności polega, jednak jednostajność pojęcia prawa zupełnie nie wyczerpuje. Jednostajność objawów w niezliczonych wypadkach może być skutkiem różnych praw albo też tylko reguły t. j. prawidła, przepisu. W obec takiej nieokreśloności wyrazu wypada więc przedewszystkiem ustanowić pojęcie prawa w ogóle i oznaczyć jego stanowisko w danej nauce. W przeciwnym bowiem razie łatwo zrodzi się niejasność, zamięszanie. Nie bez słusności żądać możemy od tego, co się nad prawami historycznymi zastanawia, żeby w części ogólnej dał ścisłe określenie tego, co przez prawo w zwykłym znaczeniu, a przedewszystkiem w historii rozumieć należy. We wstępnych zaś rozdziałach dzieła Buckle'a, które jak wiadomo tyle innych pomieściły rzeczy objaśniających, nie spotykamy żądanych przygotowawczych wywodów. Postaramy się więc dodatkowo na tém miejscu oznaczyć pojęcie prawa i kształt, jakimby się takowe w historii wyrażać powinno.

Prawo, powiadają badacze nauk przyrodzonych a z nimi tak samo i J. St. Mill utrzymuje, jest wszelka jednostajność zjawisk współczesnych, współrzędnych lub jednostajność po sobie następujących.

Takie pojmowanie prawa jest zdaniem naszym formalnym, powierzchownym, niedotykającym wewnętrznej istoty, która stanowi właściwie pojęcie prawa.

Prawo, sądziłoby trzeba, nie jest jednostajność zjawisk, ale raczej stały stosunek wywołujący jednostajność zjawisk współrzędnych lub po sobie następujących, jestto stała, nieodmienna a konieczna zależność od siebie dwóch zjawisk. Prawo jest niby siła jakaś, w której się objawia stały stosunek między przyczyną a skutkiem.

Jednostajność powtarzającej się liczby np. 10 nie będzie prawem, ale raczej stosunek liczb, z których się 10 złożyć może:

9	+	1	utworzy	10	różnica	8
8	+	2	—	10	—	6
7	+	3	—	10	—	4
6	+	4	—	10	—	2
5	+	5	—	10	—	0

Liczba 10 powtarzająca się, prawa stanowić nie będzie, ale tylko stosunek stały w różnicy dodawanych liczb do siebie. Ściąga się to nie tylko do praw współrzędnych, które nam liczby w różnych kształtach i stosunkach przedstawiają, ale i do zjawisk po sobie następujących. Jednostajnego więc skutku za prawo brać nie możemy. Jedno bowiem i to samo następstwo z działania różnych przyczyn zrodzić się może. Skutek nie będzie równoznaczącym z prawem, któremu jakieś zjawisko ulega.

I tak:

Z różnych powodów powstawać może jednostajna zmiana temperatury, ale jednostajność często wracająca nie będzie prawem meteorologicznym, dopóki nie zostanie wykazane działanie pojedynczych czynników i stale oznaczony przyczynowy związek. Do pojęcia prawa należy nieodłącznie przyczyna i skutek. Jasną bowiem jest rzeczą, iż wielka zachodzi różnica między jednostajnością zjawisk, których najbliższe przyczyny są znane, a jednostajnością zjawisk, o których czynnikach nic nie wiemy. Jednostajność pierwszą nazwać słusznie można prawem, wyrażającym się tożsamością swych następstw ciągłych i niezmiennych. Że zaś i druga jednostajność, której przyczyny najbliższe nie są znane, musi być także koniecznym wyrazem pewnego jeszcze nieodkrytego prawa, utrzymuje więc Mill mniej słusznie, iż tę drugą jednostajność prawem nazwać wypada: dla odróżnienia jednak od pierwszego należy je oznaczyć jako prawo empiryczne. Wiemy bowiem, mówiąc z Arystotelesem *οτι*, że coś istnieje, nie wiedząc *διότι* dlaczego istnieje. Na mocy takiego rozumowania prawo empiryczne byłoby prawem opartym na empiryi, nie znającym żadnych racjonalnych zasad. Zdaniem naszym jestto sprzeczność sama w sobie nazywać prawem to, co właściwie tylko jako wyrozumowany stosunek, jako racjonalna zależność przyczyny i skutku istnieć może. Cokolwiek bądź czy wszelką jednostajność zjawisk prawem empirycznym nazwać się godzi lub nie, z takiego prawa empi-

rycznego nauka wielkiej nie ma korzyści. Gdy bowiem empiryczne prawo żadnej nie daje podstawy do oznaczenia *wewnętrznej* konieczności dalszego tych samych zjawisk szeregu, o co właśnie nauce ściślej pojmowanej chodzi, tém samém już swoje znaczenie jako prawo zupełnie traci. Nauka z empirycznych praw złożona, pozostaje na niskim jeszcze stopniu.

Każda nauka, zwłaszcza nauki przyrodzone wykazują nieprzebraną ilość zjawisk jednostajnych, współrzędnych, współczesnych lub po sobie następujących. Gdybyśmy nawet powtarzającą się jednostajność zjawisk prawem empirycznym nazwali, to rozległa dziedzina pojavów przyrodzonych prawie granic nie mająca, rozpadłaby się na nieprzeliczone mnóstwo szczupłych bardzo obrębów, w którychby dostrzeżone prawa empiryczne panowały. Prawa empiryczne lub jednostajność zjawisk w ograniczonym nader szeregu równałaby się pod ilościowym względem téj indywidualności, jaka istniała w danéj nauce, nim jéj prawa empiryczne odszukano: jedném słowem, szczegółowość przeważałaby nad ogółowością. Dostrzeżona jednostajność zjawisk w pewnym zakresie, miałaby ograniczone znaczenie. Jeżeliby jednostajność taka chwilowo tylko panowała, dla pewnego tylko miejsca, i wśród pewnych warunków, jeśliby ta jednostajność przywiązana była do pewnych okoliczności; to podobne prawo empiryczne, co się już nigdy prawie nie powtarza, co w niepowrotną wpada przeszłość, byłoby bez żadnej dla nauki doniosłości. O taką więc jednostajność nie chodzi.

Nauka zgłębiając przyczynowy związek zjawisk, wnosi się na takiej podstawie do pojmowania prawa mniej lub więcej rozległego; wyszczególniając pojedyncze prawa, oznaczając ich istotę i rodzaj, określa przeto ich stopnie zależności i wzajemny pomiędzy sobą stosunek. Nazywa więc jedne prawa niższém, drugie prawa wyższemi, a inne znowu najwyższemi zasadniczemi albo głównemi. Przyjść do wyśledzenia tych właśnie zasadniczych praw, praw ogólniejszych jest najszczytniejszym nauki celem. Z takiego bowiem wyższego stanowiska ogarnia się bezmiar zjawisk i łączy je się wzajemnym węzłem zależności od jednéj ogólnej zasady.

Wschód i zachód słońca, pory roku, zmieniający się stosunek dnia i nocy, zmiany temperatury i całe szeregi innych zjawisk objaśni sobie nauka takiem jednem zasadniczym prawem, jakiem jest obrót ziemi około słońca. Wyświeci także i niezliczone inne zagadkowe pytania, kiedy siłę wzajemnego ciężenia wprowadzi do mechaniki niebieskiej. Tém najogólniejszém prawem zdaje się jest w naturze prawo wzajemnego ciężenia.

Każda oddzielna gałąź naukowa ma w swoim własnym zakresie pewne zasadnicze prawa: chemia ma swoje prawa połączeń, organiczne nauki prawa organicznego rozwoju, a obok nich mnóstwo praw drugo i trzeciorzędnych, które od praw pierwotnych lub zasadniczych zależą i wiele innych praw empirycznych, których związku przyczynowego jeszcze nie wyświecono. Nauki przyrodzone w zbadaniu praw zasadniczych znacznie się już naprzód posunęły i wyprzedziły w tym kierunku wszystkie nauki społeczne. Wprawdzie tu i owdzie w obrębie umiejętności moralnych, w dziedzinie objawów życia społecznego dostrzeżono jednostajność różnego rodzaju, pewne nawet wysłedzono w tym względzie prawa, ale brak w ogóle jeszcze dla rozległego obszaru nauk społecznych praw ogólnych, zasadniczych. Ogólniejszych praw nie mają pojedyncze nauki, na których się opiera historia, zbywa więc także na nich i samęj historii.

O takie kardynalne prawa dopomina się Buckle w swojej „Historii cywilizacji”. Wyśledzić podobne podstawowe prawa, rządzące dziejowem życiem ludzkości, było niewątpliwie ostatecznym celem jego usiłowań naukowych, bo cóżby wreszcie pomogło wykazanie jednostajności zjawisk społecznych, ale w ograniczonym obrębie jednostajności chwilowej, która ginie w bezpowrotnej przeszłości, i nigdy się już nie powtarza, albo nigdy tych samych warunków miejsca, czasu i okoliczności ze sobą nie przynosi? Na cóżby się przydało wysłedzenie praw empirycznych, działających w nieznanym dla nas sposób lub przynajmniej wśród niewiadomych nam warunków. Toż nie trudną byłoby w końcu rzeczą, przy licznych własnościach, jakie po wszystkie czasy podzielają człowiek, społeczność, państwo, wyszukać pewne podobne między niemi kształty, jednostajne stosunki i nieodmiennie powtarzające się następstwa. Prawidłowość albo je-

dnostajność w powtarzaniu się w pewnym zakresie zjawisk społecznych jest w obec wspólności źródła zkąd płyną, naturalnym i prostym skutkiem. Odszukanie takiej jednostajności wyrażającej się w ograniczonym zakresie niższego rzędu staje się dla nauki drobnym, mało znaczącym nabytkiem. Chodzi przeto w historyi o prawa ogólne, zasadnicze, któreby takie w rozwoju dziejowego życia miały znaczenie, jak w mechanice wszechświata prawo wzajemnego ciążenia. Najniewątpliwiej miał Buckle to odkrycie na myśli, a kiedy powziął podobny zamiar nie był bynajmniej pierwszym na tém polu.

Co inna szkoła filozoficzna z historyi uczyniła, podobnego dzieła chciał Buckle dokonać, wznosząc jednak gmach przeszłości dziejowej, zdaniem swoim, na trwalszych podwalinach. Jeśli Hegel (1) i Cieszkowski uważali cały świat objawów społecznych za odbicie się bezwzględnej idei, widzieli w nim ład i porządek rozumowy, to szukali powszechnego prawa załamywania się rozumu wszechświata, szukali praw nie cząstkowych z ciasnego zakresu pojawów, ale praw zasadniczych. Jakoż są według filozofii dyalektycznej ogólne kardynalne prawa, którym podlega dziejowy postęp ludzkości. Jest rozwój *logiczny* wypadków. Najdrobniejszy w dziejach szczegół, każde zdarzenie stanowi małą *tezę*, która w historycznym biegu zdarzeń wywołuje przeciwko sobie *antytezę*, tak jak przyływ morza prowadzi za sobą niezbędny odpływ, jak twierdzenie za sobą ciąga przeczenie. Z tezy i antytezy wyrasta nowe zdarzenie, co godzi sobą dwa poprzednie logiczne przeciwieństwa i staje się dla nich wzajemnie syntezą. Większy zbiór zdarzeń między sobą pokrewnych podobnież uważać można za rozleglejszą *tezę*, znajdującą w odpowiednim zakresie swoje antytezę, z jednéj zaś i drugiey wywiązuje się wyższa synteza. Pewien okres, kilka obejmujący wieków może być również *tezą*, następny antytezą, cały świat i wszystkie na nim zdarzenia są ciągłemi synteżami, a te spolem spływają do jednéj ogólnej, która jest syntezą nad synteżami (*synthesis syntheseon*). W chaotycznym napozór wirze wypadków historycznych, wypełniających sobą tak rozległą przestrzeń czasu, panuje ład logiczny. W tém wszystkiem, co się dzie-

(1) Philosophie der Geschichte, por. część wstępną.

je na widowni wszechświata, łamie się promień najwyższej myśli; wszystko się wiąże między sobą rozumną koniecznością logicznego po sobie następstwa. W tym przeto labiryncie odmian dziejowych, każdy z łatwością pomiarkować się zdoła, każdy uporządkuje sobie płataninę zjawisk historycznych, kto na podstawie dyalektycznych zasad będzie umiał poznać, czém jest dany wypadek albo okres mniejszy lub większy w częściowym lub ogólnym łańcuchu logicznym. Temu też nietrudno będzie uchylić zasłonę przyszłości i wskazać kierunek, w którym następne tegoż pasma logicznego dopełniać się będą ogniwa; z każdej tezy wróżyć można o antytezie, z całej tezy i antytezy winionych wieków sądzić można, czém będzie synteza przyszłych czasów.

W tym duchu tylko na odmiennych opartą zasadach, pojmuje Buckle naukę o prawach w historii, w tym samym kształcie co i Cieszkowski pragnąłby dojść do tego, żeby można odgadnąć drogę przyszłego postępu ludzkości. Trzeba oznaczyć, powiada autor „Prolegomenów do historyozofii i Ojczyzna nasz” (1) pojedyncze działy i sekcye ogólnego wątku dziejowego, aby się przekonać, w jakiej sekcji my się obecnie znajdujemy, które się już wypełniły a które z nich jeszcze przeżyć wypada, żeby dojść do szczytu w rozwoju wszechświata.

Należy, powiada Buckle ze swojej strony, umieć pojedyncze zdarzenia pojmować jako objawy pewnego prawa w ogólnym prawidłowym biegu spraw ludzkich a raz odkryte prawo da możność przewidywania i oznaczania dalszych wyrazów w tym samym szeregu i wytykania kierunku z danych sił, pewne społeczeństwo lub całą ludzkość poruszających.

Nie dotykając treści przyznać musimy ze stanowiska *logicznego*, że przez dyalektyczną szkołę albo raczej przez Cieszkowskiego sformułowane prawo historyczne zupełnie zadawalnia. Temi prawami logicznymi objęte są podstawowe zasady dziejowego życia i rozwoju. Związek przyczynowy jest jasno wyrażony, względnie do założenia. Każde zdarzenie ma swoje przeznaczone miejsce w długim łańcuchu

(1) Aug. v. Cieszkowski Prolegomena zur Historiosophie. Berlin. 1838 p. 44.

wypadków, a lubo dowolność bez granic przebija się w tém spajaniu logicznemi ogniwy historycznego rozwoju, to jednak szkoła dyalektyczna umiała i w dziedzinie filozofującej historii w pełnym blasku wykazać swoje zdolności logiczne, i swoją giętką, przenikliwą, ostrą myśl logiczną, wprawdzie mniej pomysłnie, zastosować potrafiła i do filozofii dziejów powszechnych.

Tymczasem wnioski, do jakich doszedł Buckle drogą indukcyjnego badania z kształtu swojego zewnętrznego wymaganiom przedewszystkiem logicznym nie odpowiadają. Wzgląd logiczny jak we wszelkich badaniach tak i przy ocenianiu ich wypadków pierwsze przed innemi trzyma miejsce. Logiczna próba nadaje naukowym poszukiwaniom hartowniejszą trwałość. Spójrzjmy z tego stanowiska na owoce Buckle'a pracy.

Przytoczone wyżej (str. 370) prawdy, które Buckle postawił w miejsce nieodszukanych a zamierzonych praw są raczej twierdzeniami niż prawami.

Pierwszy bowiem punkt, że postęp ludzkości zależy od wzrostu wiedzy, jest wyrażeniem tylko warunku, wśród którego to zjawisko umysłowe nastąpić może. Czyż jednak taki postęp jest wewnętrzną koniecznością, jest nieodzownym warunkiem życia; wszak tyle wieków upłynęło w Europie aż do XVI stulecia poza wszelkim albo raczej bez wszelkiego postępu? Tam więc gdzie umysłowość była prawie żadną, a dziejowe życie innym, szerokim jednak płynęło strumieniem, mniemane przez Buckle'a postawione prawo zastosowania nie ma i długowiekowych dziejów ludzkości nie dotyka, sobą nie obejmuje i objaśnić nie jest w stanie. To prawo tam dopiero panowanie swoje rozciąga, gdzie się wiedza budzi i rozkwita, a to wszakże tak niedawne czasy i pole tak ograniczone. Zresztą nawet i w tym razie, warunek dla zjawiska nie jest prawem. Powołując się na to, co wyżej było powiedziane, przypominamy, że nie okoliczności zjawisku towarzyszące lub warunki, wśród których się takowe dopełnia, stanowi pojęcie prawa, ale stały stosunek między przyczyną a skutkiem.

Drugie zrzędu twierdzenie mniej jeszcze niż pierwsze na miano prawa zasługuje: jest raczej tylko dodatkowym objaśnieniem dla poprzedniego, jest wyrażeniem innej, nowej okoliczności, wśród której wiedza powstawać i rozwijać się

może, mianowicie iż skeptycyzm poprzedzać musi wszelką naukową, a skuteczną działalność. Podobne wyszczególnienie nowego warunku i utworzenie drugiego z rzędu punktu było ze strony Buckle'a zbytecznym: w jednym twierdzeniu wygodne dla siebie byłoby znalazło pomieszczenie.

Trzecie zdanie, że prawdy moralne są nieruchome, mało zmienne w swęj treści, jednakie po wszystkie wieki i czasy, że jedynie prawdy umysłowe mnożą, krzewią się i rozrastają i coraz rozleglejsze w naukowych dziedzinach czynią zdobycze, nie wyraża bynajmniej przyczynowego między jedną a drugą częścią związku.

W końcu czwarty i ostatni punkt mówi o szkodliwości państwowej i kościelnej opieki. Czy skutek siły działającej jest prawem?

Streściwszy historyczne prawdy i zwięźle je wyraziwszy, ostateczny otrzymamy ich kształt w tém ogólném twierdzeniu, że postęp zależy od wiedzy, a postępu zawadą jest opieka kościoła i państwa.

Ktokolwiek czytał z uwagą pierwsze rozdziały „Historji Cywilizacji” i przypomina sobie wiernie te niedopowiedziane myśli i zamiary (1) a które się przebijają we wstępnych uwagach, ten na widok powyższych rezultatów dozna pewnego rozczarowania. To co zapowiadać się zdają zlekka rzucone myśli we wstępnej części dzieła, te świetne nadzieje, które autor niby swym poszukiwaniom rokuje i czém tak zręcznie umie sobie ująć czytelnika, nie odpowiadają widocznie pierwotnemu założeniu. Jest pewna niewspółmierność między zamiarem a ostatecznym wykonaniem; takie wrażenie wynosi najniewątpliwiéj po przeczytaniu „Historji Cywilizacji” i najzarliwsi zwoleńnik Buckle'a. Należało zaiste naukę z bogacie innemi prawami jak powyżéj przytoczone, żeby się wywiązać z obietnicy, jaką Buckle czyni na wstępie swojego dzieła, kiedy zamierza dokonać czegoś, co dawniéj już inni uczeni w różnych gałęziach dla nauk przyrodzonych zdziałali. Nie twierdzimy stanowczo, że Buckle umyślnie dla zjednania sobie czytelnika już w pierwszym rozdziale zaostreza więcéj ciekawość niż ją zaspokoić jest w stanie, że wzbudza oczekiwania, które się następnie

(1) Hist. of. civil. T. I. str. 6, 17, 161, 210.

nie ziszczają, bo autor prawdopodobnie zbyt późno sam przyszedł do przeświadczenia, iż pewna zachodzi niestosunkowość między pierwotnym zamiarem a ostatecznym wykonaniem, tak że niepodobna było pod koniec utworu obniżyć wysokiego nastroju, w którym się pierwsze odbywa przemówienie. Nieraz bowiem liczne z literatury uczą przykłady, jak u autorów pierwsza myśl poczęta jest tak jasno i pomysł rzucony tak przejrzyście, że zdaje się, jak gdyby ogólny rys był prawie z jednego odlewu; tymczasem kiedy naukowy materiał zaczyna jak ciało wypełniać nakreślone linje, to często tak tłumnie się gromadzi pod pióro autora, iż się wyłamuje z pod jego władzy, wylewa się szerzej i pierwotny pomysł jednolity i ze sobą w pojedynczych częściach zgodny, zupełnie się zaciera. Na Buckle'u to samo zrobić można spostrzeżenie. Trudno powiedzieć pod wpływem jakiego dzieła, bo żadne nas o tém nie dochodzą wiadomości, zrodził się, w Buckle'u pomysł wyśledzenia, na wzór praw rządzących naturą, podobnych praw, którym ulega życie społeczne, życie dziejowe. To jednak za pewne przyjąć można, że myśl podobna już bardzo wcześniej błysnęła w umyśle Buckle'a, i oświeciła swém słabém, niedostatecznym światłem różnorodne drogi, po których śród długiej mozolnej pracy należało zdążać do celu. Wcześniej téż i autor w jednym stałym kierunku i do jednego głównego zmierzał punktu ze wszystkimi swojemi poszukiwaniami. Ale jasno poczęta myśl pierwotna i jednolity pomysł, nie był w stanie przeniknąć całego ogromu materiału, pierwiastkowy błysk twórczej myśli nie wystarczył na oświecenie prawie bez granic będącego przedmiotu. Kiedy przyszło do wykonania zacierały się rysy główne i jasność się mroczyła. Drugi tom „Historji Cywilizacji” wydał Buckle na kilka miesięcy przed swoją śmiercią, którą prawdopodobnie spowodowało natężenie umysłowe: nie można nie zauważyć tego, iż ostatnie rozdziały drugiego właśnie tomu, zajmujące się historją Szkocką, nie odznaczają się dawną żywością i świeżością myśli. Czuje się niemal na każdym kroku znużenie umysłu, brak w ogóle tego silniejszego polotu, którym się pierwsza część w wielu miejscach tak korzystnie zaleca. To odstrojenie się umysłowe najniewątплиwiej wcześniej już nastąpić musiało, gwałtownie powstać nie mogło. Pierwszym tego obja-

wem jest prawdopodobnie utrata owego przenikliwego wzroku duchowego, która nie dozwoliła dopatrzeć się wewnętrznej niezgodności zachodzącej między założeniem a wypadkami, jakie się z toku poszukiwań wywiązały. Nie przypuszczamy bowiem, żeby Buckle przeświadczywszy się o tém iż chybił celu, przy swoim pierwotném twierdzeniu obstawał. Jeżeli więc autor nie spostrzegł sprzeczności wewnętrznej między pierwszym rozdziałem swego dzieła a jego zakończeniem, to uważny czytelnik sam się jęj dopatrzy i powiedzieć sobie w końcu musi, że przytoczone powyżej twierdzenia Buckle'a nie są prawami historycznymi.

Należy tu wszakże jedno uczynić w naszym wyrażeniu sprostowanie, że Buckle sam twierdzeń swoich prawami historycznymi nie nazwał. Przeciwnie, dał im skromniejsze i właściwsze miano prawd zasadniczych (*propositions*). Nie bez powodu jednak narzuciliśmy nazwę praw powyższym wnioskom, do jakich Buckle doszedł w swoich poszukiwaniach, bo byliśmy przygotowani pod koniec dzieła zobaczyć nie *propositions*, ale raczej wyraźnie zformułowane prawa, czego po tyle obiecującym wstępie spodziewać się mieliśmy najzupełniejsze prawo. Kiedy bowiem autor Historii Cywilizacji zamierzył wynieść historią do godności nauki, t. j. kiedy zapragnął zbudować na trwałych podstawach to, co przywykliśmy filozofią historii nazywać; kiedy wyraźnie utrzymuje, że żadna umiejętność na to zaszczytne miano nauki nie zasługuje, dopóki nie dąży do wyszukiwania ogólnych dla jęj przedmiotu praw, i gdy na prawach statystycznych wykazuje prawidłowość czynności ludzkich, na pozór tylko od woli człowieka zależnych, przygotowuje tym sposobem czytelnika do zupełnie innych rezultatów niż te, które przedstawił jako owoc swoich poszukiwań.

Z tych twierdzeń nikt' prawa przyszłego postępu przewidywać nie jest w stanie: nie dają one żadnej podstawy w myśl powyższych uwag do „nowej historycznej nauki” obejmującej prawa życia i rozwoju dziejowego.

Pod względem formalnym dyalektyczna szkoła, jak to wyżej nadmieniono, ściślej i logiczniej wyraziła swoje prawa, swoje zasady i podstawy dla historyzofii. Zrozumieć i pojąć dzieje ludzkości jako organizm historyczny, który się w przebiegu czasu ma wypełnić, przyjsć do wyrozumienia

jakie części z tego organizmu już do bytu rzeczywistego zstąpiły, żeby odgadnąć w jakim kierunku i jaką treścią następne wieki wypełniać się mają, do tego dążyła historyozofia idealnej filozofii. Z dokonanej części (1) całego historycznego procesu odtworzyć sobie w umyśle idealną całość a głównie brakującą jeszcze przyszłą część, która odpowiadać musi ubiegłemu przebiegowi, powinno stanowić najbliższe zadanie historii właściwie pojętej. Minione czyny dziejowe, zdarzenia historyczne, powiada autor Prolegomenów, są jako przedpotopowe pomniki, z których wzorem Cuvier'a idealnie odbudować sobie należy cały organizm wszechdziejowy.

Ale już nawet znacznie wcześniej przed Heglem i Cieszkowskim ściślej i subtelniej wyraziła swoje mniemane prawa filozofia historii.

Giambattista Vico (Neapolitańczyk 1668—1744) w swém „Nowej nauce” pojął także jako najszczytniejszy cel filozofującej historii, zdobycie środków do odszukania wiecznych praw, którym życie narodów ulega, wynalezienie sposobu do odsłaniania mglistej, zagadkowej przyszłości. Jakoż prawa dziejowego życia narodów, które Vico w swym głęboko pomyślanym układzie wysnuł (2), odznaczają się pod względem kształtu zewnętrznego niezbędną logiczną dokładnością. Życie narodów pojedynczych wypełniających swoją historią dzieje ludzkości, głosi tenże Vico, toczy się kołem, które ma ruch podwójny: własny około swój osi, i jednocześnie ruch postępowy. W tym ruchu, w tym wirowym biegu (3), każdy naród przez trzy przechodzi stopnie, które Vico wiekami nazywa: wiek bogów, bohaterów i ludzi (4). Mniema przytém Vico, że wszystkie strony życia pewnego narodu, wszystkie kierunki rozwoju w ściślej, wzajemnej od siebie pozostają zależności. Jednocześnie więc jeden i ten sam wiek, bądźto bogów, bądź bohaterów i ludzi odbija się jednostajnie we wszystkich zgoła prądach, jakimi płynie

(1) Aug. Cieszkowski Prol. zur Historiosophie. str. 13.

(2) Principj di scienza nuova d'intorno alla commune natura delle nazioni di Giambattista Vico. Milano 1848. wyd. Tommaseo.

(3) Nelle corso che fanno le nazioni. Tamże Lib. IV. p. 398.

(4) La prima età degli Dei, la seconda degli Eroi, la terza degli Uomini.

życie narodu: jestto niby pieśń harmonijna, na którą przeróżne, składają się głosy, a wszystkie z jednego i tego samego wylewają się tonu.

Przedewszystkiem jednostajność tę w kolejnej odmianie swojego charakteru przedstawia nam natura ogólna narodu (1). Zrazu, w swoich pierwiastkach znajdując się w wieku bogów, jest na wskroś poetyczną, twórczą a więc boską. Z biegiem czasu, powoli, nieznacznie ulatniają się z niej pierwiastki niebieskie, i ten stan przejściowy co między półboską jeszcze a czysto ludzką trwa naturą nie jestże drugim z kolei wiekiem, wiekiem bohaterów? Wreszcie ostatni nadchodzi stopień rozwoju, kiedy bogów i półbogów nikną wspomnienia, kiedy przemagać zaczyna trzeźwy rozsądek i natura społeczeństwa lub narodu czysto ludzką się staje: wtedy wiedza, wtedy rozum obowiązek panuje nad wszystkimi innymi względami, i oto jest wiek ludzki.

Z tej ogólnej natury, która na nas z wyższego stanowiska patrzenia takie robi wrażenie, powstaje i w innych kierunkach rozwoju narodu podobne jednostajne a stopniowe przeradzanie się, zgodne wszędzie z tym zasadniczym motywem życiowego hymnu, z którego płynie cała pieśń dziejowa, bogów, bohaterów i ludzi.

Tak więc przed innymi rzeczami, gdy zwrócim uwagę na kształt bytu politycznego w państwach starożytnych, trzy po sobie z kolei idące spostrzegamy rządy. Rządy boskie, któreby Grecy nazwali teokratycznymi. Bogowie wtedy jawnie i widocznie na bieg spraw ziemskich wpływają, sami prawie własną ręką posuwają koło historyczne, ich wola stanowi o losach dziejowych, wszakżeż to w Grecyi jest znany wiek wyroczni (*l'età degli oracoli*).

Postacie bogów z pośród zażyłych stosunków między ludźmi wynoszą się na szczyty Olympu i tylko słaby zostawiają swojej boskości odblask w różnych półziemskiego już pochodzenia potomkach. Są to rządy bohaterów, albo arystokratyczne (*governi eroici, aristocratici*). Heraklidów władza, ich potęgą polegała na tym ich półboskim charakterze, a czyż zresztą szlachetne rody Eupatrydów nie miały się za lepszą, półboską cząstkę wśród otaczającego ich pospółstwa?

(1) Ibid. Lib. IV p. 399, 400.

Czy w rządach arystokratycznego Rzymu nie odzywa się to samo lepsze patrycyuszów rozumienie o swoim niebieskim pochodzeniu?

Zbliżyły się wreszcie ostatnie rządy, rządy ludzkie, jedynie właściwe naturze ludzkiej (*governi umani*). Dźwignął się motłoch mniemany ze swego poniżenia. Kogo arystokratyczne rządy na równi nie chciały postawić z innymi obywatelami państwa, tego jedynowładztwo monarchiczne równouprawiło. Rozwój gminowładnej Grecji i Rzymu, co w monarchii znalazł dla siebie ocalenie, wymownie poświadcza i objaśnia trzeci i ostatni rząd, wśród którego skończył świat starożytny (1).

Nie zamierzając przedstawiać całej rozległej treści objętej prawami Vico'na, pragnąc tylko ich kształt uwidatnić zewnętrzny, ich logiczną, formalną stronę, w dalszym ciągu nie rozwijam tej troistości stopniowego przeradzania się wszystkich kierunków życia pewnego narodu. W myśl tej troistości i obyczaje, *costumi*, przez trzy przechodzą wieki: obyczaj tchnący miłosierdziem bożym, obyczaj gwałtowny, szorstki, z całą butą bohaterów i czysto ludzki, na łagodności i słodyczy osnuty.

Prawo naturalne, prawoznawstwo, powaga sądowa albo źródło praw, język i charaktery czyli znaki piśmienne wszystko ulega tejże kolejnej zmianie, która trzy niezbędne na sobie nosi piętna: boskie, bohaterów i ludzi. Nawet w liczbach, powiada Vico (2) ten sam postęp spostrzegać się daje. Z jedności familijnego patryarchatu rozrasta się wielość kształtów politycznego rządu, rządu arystokratycznego. Tu pewna ilość ograniczona rozplywa się na mnóstwo, a wszystko razem znowu uchodzi do jedności. (*Uno-pochi-molti-uno*).

Świat starożytny zamknął na tym koło swojego życia. Nastąpiła druga doba ludzkości, co się podobną kolejną postępową zmianą zaznaczyła. Wiek bogów znowu nad światem zapanował, po pierwszych czasach barbarzyńskich zagrożonych w ciemności, niewiadomości, nastąpiły nowe bar-

(1) Ciężki, nieraz dla zbytnej głębokości mało zrozumiały wykład Vico'na, zastąpiony został w treściwym naszym przedstawieniu jego pomysłu swobodniejszemu nieco wyśłowieniem, oddającym zresztą najwierniej myśl oryginału.

(2) *Ibid.* Lib. IV p. 454.

barzyństwa pomroki (1). Jako w życiu starożytnym bogowie rozświecali swym częstym między ludźmi pobytom ciemne drogi pochodzącego dziejowego, tak chrześcijaństwo w nowym świecie staje się tępym światłem dla wszystkich narodów. Kiedy Grecya w bohaterskim okresie życia swojego śmiała i dalekie na Wschód przedsięwzięła wyprawy, i Europa podobnie w takim samym nastroju swojego religijno-bohaterskiego życia krzyżowe ze Wschodem mahometańskim zwozdi boje. Arystokracja średniowieczna jest rządem eupatrydów i patrycyuszów. Zwyczaje, obyczaje, język i feodalne prawodawstwo wszystko przechodzi w epoce wicków średnich ten drugi stopień od okresu bohaterskiego do czysto ludzkiego, w którym rozsądek, wiedza, równość, obowiązki są i stają się najszerszymi podstawami społecznych stosunków. Więc wszystko na świecie wraca (2). Kiedy jeden naród dobiegnie swojego kresu i wypełni swoje przeznaczenie, nowy znowu wchodzi na tę samą kolej dziejową i po podobnej co inne narody przesuwają się drodze. Tak więc w ostatecznym swym wniosku Vico powiada: łatwo zrozumieć można powracanie i powtarzanie się spraw i rzeczy ludzkich (3); a na innym dodaje miejscu (4), możemy się tedy poszczycić, żeśmy odkryli prawo dziejowego życia nie tylko u Greków i Rzymian, ale i wieczne prawo, według którego rozwijają

(1) Ibid. Lib. V. p. 462 nazywa Vico i tempi primi e i tempi barbari ritornati.

(2) Myśl ta dość jasno się już przebija u Macchiavellego w jego Storie Fiorentine, w tych zlekka tylko napomkniętych analogiach; najwyraźniej w rozprawach o rzymskiej historii: Discorsi sopra la prima deca di Tito Livio. ed. Berl. 1796. Lib. III cap. XLIII. p. 447 i n.perchè tutte le cose del mondo in ogni tempo hanno il proprio riscontro con gli antichi tempi i t. d. Już to i Polybiusz, ten głęboki polityczny psycholog starożytności, zauważył nazywając owe powroty w Ks. VI 9, 10. πολιτειῶν ἀνακύκλωσις. Wracają τα κατὰ τὰς πολιτείας πάλιν εἰς αὐτὰ καταντῶν.

(3) Ibid. V. p. 462. Si può facilmente intendere il ricorso delle cose umane nel risorgere che fanno le nazioni.

(4) Ibid. Lib. V. p. 485... si avrà la storia ideale delle leggi eterne, sopra le quali corrono i fatti di tutte le nazioni ne' loro sorgimenti, progressi, stati, decadenze e fini, se ben fusse, lo che è certamente falso, che dall'eternità di tempo in tempo nascessero mondi infiniti.

się losy wszystkich narodów, prawo ich rodzenia się, ich postępowego biegu, ich ostatecznego upadku, przypuszczając przedewszystkiem, że w nieskończoność wieków nieskończone światy wysnuwać się będą. Oto są głośne Vico'na *ricorsi*.

Kształt tych praw bez względu na treść przez nie objętą jest taki, iż zadość uczynić potrafi najsurowszym wymaganiom logicznym. Jeżeli analogia między światem starożytnym a nowszym chrześcijańskim jest trafną i wierną, jeżeli sprawdzi się przypuszczenie Vicony, że nowa doba po tym ostatnim rozwoju dla ludzkości nastąpi; jeżeli w ogóle słusznym i uzasadnionym jest twierdzenie, że wszystkie kierunki życia pewnego narodu zostają w takim organicznym między sobą powinowactwie: to prawa wyrażone powyższym kształtem dałyby pewną podstawę do sądzenia o przyszłości, co najważniejsza, odkrywałyby pewne organiczne prawo w tym rodzaju, iż życie narodów tą samą niezmienną idzie koleją od dzieciństwa do młodzieńczości i upadku jak, i rozwój pojedynczego człowieka.

Jeśli się ktoś zgadza z Cieszkowskim, że ludzkości zadaniem jest urzeczywistnienie jej bożej myśli, jej pojęcia (1), że przeto każde zdarzenie dziejowe jest odłamem tej idei logicznej, ten prawa rozwoju, przez Cieszkowskiego podane, za zadawalniające uznać musi. Idzie tylko o to, żeby poznać, czem jest pewien wypadek dziejowy, trzeba wynaleźć miejsce, jakie w łańcuchu logicznym zajmuje, a wtedy można z danych przesłanek (tak powiada Cieszkowski w swoim Ojciec nasz) wyprowadzić konieczną syntezę, która niechybnie nastąpi. W różnorodnym „tezowaniu” wypadków jest ścisła logiczna wewnętrzna zgodność, to każdy bezstronnie patrzący na dyalektyczne formuły przyznać jest zniewolony.

Zgódźmy się na chwilę z zasadniczą myślą, jaką Buckle w swym filozoficznym układzie wysnuwa, przyjmijmy za rzecz pewną, iż umysłowość jest najwierniejszą przedstawicielką całego życia społeczeństwa: czyż przyznamy Buckle'owi, że choć w pewnej części odsłonił te nieodgadnione prawa umysłowego ruchu, kiedy takowe widocznie pozoru praw nie mają.

Jest stopniowy organiczny rozwój, powiada Vico, w dziejach narodów, jest przeto jakaś duchowa siła, która

(1) Prol. z. Histor. p. 19. Die Menschheit hat die Bestimmung ihren Begriff zu realisieren.

ten a nie inny niezmienny wywołuje porządek w odmianach i przemianach historycznych; jest jakaś siła, powiedziała by Cieszkowski, która sprowadza to kolejne objawianie się w czynach i zdarzeniach historycznych *idei* wszechświatowej, absolutnej myśli Boga, jest więc to nieodzowne objawiania się prawo; a Buckle od siebie głosi, że postęp ludzkości od wiedzy zależy? Czyż to jest prawo? Gdzie tu szukać w takim twierdzeniu tej wewnętrznej konieczności, spoczywającej głęboko czy to w naturze ludzkiej, czy też w ogóle w naturze społeczeństwa, a którą każde prawo z całą dokładnością i ścisłością wyrażać powinno. Gdzie tu znaleźć tę moc, stanowiącą wewnętrzną istotę prawa? *Lex est commune praeceptum*, powiada Papinian, *legis virtus est imperare*. dodaje Modestyn.

Buckle'a prawa oczywiście pod względem formalnym nie odpowiadają warunkom logicznej ścisłości i dokładności, ostateczny przeto wyprowadzamy ztąd wniosek, że autor celu swojego nie dopiął.

Zresztą samo wyszukiwanie praw, wyrażających się w dziejach ludzkości, za pomocą ścisłego indukcyjnego postępowania nie jest zgoła nowością, tak iż nawet w tym razie i oryginalność pomysłu nie może zrównoważyć niepowodzenia, jakiego doznał autor w wykonaniu zamierzonej pracy. Historia bowiem, pojęta w duchu metody nauk przyrodzonych, jako nauka o prawach rozwoju społecznego należy do filozoficznego systematu nowszych czasów, stanowiąc w tak nazwanym pozytywizmie jedną z nauk najważniejszych, bo wieńczących budowę najwyższej z nauk, nauki społecznej.

August Comte stoi na czele tej szkoły (1). Na lat niemal czterdzieści przed Buckle'm (1822 r.) nakreślił w ogólnych zarysach cały systemat nauk, i rzucił podwaliny nowej przezeń stworzonej nauki socyologii. W kilkanaście lat później (1839) obszerniej rozwinięte pomysły Comte'a przed-

(1) O tej wybitnej w nowszej filozofii postaci pięknie i uczenie rozprawia F. Krupiński w artykule: „Szkoła pozytywna” Bibl. Warsz. 1868, za miesiąc Lipiec, Sierpień i Wrzesień. W tekście podano przez nas zasady nauki Comte'a z naszego stanowiska w innym porządku są wyluszczone. Tém też usprawiedliwiamy w obec czytelnika Biblioteki częściowe powtórzenie znanéj już z artykułu F. Krupińskiego teorii Comte'a.

stawione w sześciotomowym jego kursie filozofii pozytywnej (1) przebrzmiały w europejskiej literaturze niemal bez odgłosu. Pewna oschłość wykładu stała się może najważniejszą przeszkodą, że olbrzymie dzieło Comte'a nie rozposzechniło się i nie wyszło poza szczupłe koło najbliższych zwolenników. Dziwne przeznaczenie zawisło nad tym utworem, nie pozbawionym w wielu swych częściach i w całym swym układzie oryginalności i nowości. Dopiero ze sławy uczniów swoich Mill'a i Buckle'a skorzystał sam mistrz pozytywizmu. Jak jeden tak i drugi filozof angielski, podjąwszy niejedną myśl z systematu Comte'a bezbarwną i bladą, tchnął w nią życie, odział urokiem zajęcia, podniósł znaczenie chwilowe i zwrócił na nią uwagę filozofującego świata.. Comte w lepszym ukazał się świetle przez pryzmat swoich uczniów i nauka jego w pełniejszych nakreśliła się zarysach. Lubo zasady na jakich Buckle wznosi historią jako umiejętność pokrótce są wyłożone we wstępnej części jego dzieła, to jednak tylko przy znajomości całokształtu filozofii Comte'a można zrozumieć cel i znaczenie nowo przygotowywanej nauki historycznej, można ocenić o ile przez Buckle'a odkryte prawdy nie odpowiadają wymaganiom i samej teorii pozytywnej.

Buckle pisze przypuszczając, że czytelnikowi nie obce są podstawy socyologii, tam wszakże gdzie się pozytywizm nie przyjął, lub tylko niewielu znalazł zwolenników, jak się to we wszystkich niemal literaturach prócz angielskiej stało, tam najbłędniejsze o dziele Buckle'a i jego zasadach wyrosły pojęcia. Tylko ze stanowiska pozytywizmu w tym kształcie w jakim go Comte wyłożył, można ocenić Buckle'a historią cywilizacji, tylko po wyjaśnieniu sobie zasad całej socyologii i zrozumienia jej składowych części można pojąć, jaką być ma historia, jakaby ją Buckle chciał mieć i w ogóle szkoła pozytywistów. W teorii, którą dla socyologii Comte nakreślił, odbija się najwyraźniej dążność, zasady i doniosłość nowej nauki historycznej.

Buckle tchnął wprawdzie życie w rzucone przez Comte'a podstawy, wypełnił je ciałem, ale pierwotne rysy zatarły się w zastosowaniu tak, iż niezupełnie wyraźnie przebijają

(1) Cours de philosophie positive par Aug. Comte. 2-me édit. p. Lâtré. Paris 1864.

się z poza ogromu zebranego materiału. Do Comte'a więc udać się trzeba jako do głównego źródła pozytywizmu dla odtworzenia sobie pierwotnego pomysłu filozoficznego, w którym historia jako ścisła umiejętność na stałych oparta podstawach, zajęła najwyższe miejsce.

Punktem najważniejszym wyjścia dla socjologii jest twierdzenie, że społeczeństwo uważać można jako organizm. Nauka badająca warunki bytu i rozwoju społecznego czyli socjologia ma na wzór innych nauk zajmujących się ciałami żyjącymi dwie części: rozbiera stan organizacyi społeczeństwa czyli stan bytu i bada warunki jego życia czyli warunki rozwoju (1). Strona anatomiczna ściągająca się do bytu społeczeństwa, jego organizacyi, jego stanu stałego mogłaby w socjologii stanowić na podobieństwo fizyki dział statyki. Strona zaś rozwoju, życia społecznego byłaby przedmiotem badań drugiego działu, dynamiki socyalnej. Nauka więc o społeczeństwie czyli socjologia w duchu szkoły pozytywnej wykazywałaby prawa bytu społecznego czyli prawa statyczne i prawa ruchu społecznego czyli prawa dynamiczne.

Społeczeństwo wzięte jako całość ma być organizmem. Żywioły w skład społeczeństwa wchodzące zostają w pewnej stałej od siebie zależności tak jak w organizmie każda część właściwe zajmuje miejsce, i każdy organ swoje odbywa funkcje dla posługiwania całości. Statyka socyalna wykrywa więc prawa organizmu socyalnego, jego istnienia. Te prawa statyczne, któreby anatomicznemi nazwać można, są wszakże małego znaczenia, lubo dla dynamiki społecznej najpierwszą stanowią podstawę. Tylko po zbadaniu pewnego społecznego stanu można przystąpić do poszukiwań nad następnym stanem i w końcu do wyśledzenia praw, które rządzą tym ruchem w kolejnym przeradzaniu się po sobie następujących stanów. Socjologia będąca w posiadaniu praw dynamicznych t. j. praw według których odbywa się ruch społeczny, wzniesie się na wysokość ścisłej nauki, bo przy pomocy tych odkrytych praw będzie w stanie oznaczać kierunek rozwoju przyszłego i kolejne po sobie następstwo jednego za drugim społecznego stanu. Cała więc przeszłość

(1) Por. Aug. Comto. Tom IV. obejmujący dogmatyczną stronę filozofii socyalnej. 48-me leçon pag. 230 i nast.

społeczeństwa stanowi jedynie i wyłącznie pole dla socjologii, w niej cały materiał dla dynamiki społecznej. Socjalna zaś dynamika staje się w tém miejscu historią, odpowiadającą wymaganiom ścisłej nauki.

W obec bogactwa i wielostronności życia, jakim żyje organizm społeczny, w obec różnaitości sił, jakie w niem działają, odszukanie praw we wszystkich kierunkach byłoby niemal niepodobieństwem. W pracy atoli takiej zaprowadzić można pewne uproszczenie i ułatwienie. Żywioły wchodzące w skład organizmu społecznego w różnym pozostają stopniu zależności i porządku. W poszukiwaniu więc praw dynamicznych wystarcza zwrócić uwagę na jedną najważniejszą siłę w organizmie społecznym, na główny motor życia, który porusza wszystkie sprężyny i wpływa na charakter wszystkich społecznych objawów. Jak w organizmie ludzkim takie pierwszorzędne miejsce zajmuje układ nerwowy, a w nim znowu mózgo-rdzenna substancya; tak i w organizmie społecznym jeden żywioł stanowi główne ognisko dla wszystkich pozostałych. To miejsce naczelne należy się życiu umysłowemu. Umysłowość danego społeczeństwa jest najwymowniejszym i najwierniejszym wykładnikiem całego jego życia. Umysłowość jest treścią, jest rdzeniem organizmu społecznego, jest warunkiem jego rozwoju. Najgłówniejszem przeto zadaniem historii będzie wykazanie praw, którym umysłowość, całe życie umysłowe podlega. Dynamika społeczna czyli prawa historyczne wyrażać powinny sposób rozwoju umysłowego, t. j. przedstawiać w dziejowym przebiegu jak ten a nie inny stan umysłowości wywiązał się z poprzedniego, jak przygotował stan następny, jedném słowem, wyraźne prawo postępu czyli raczej ruchu umysłowego.

W myśl takiego systematu, w duchu takiego pojmowania społeczeństwa jako organizmu i historii jako *dynamiki społecznej*, czyliż prawem *dynamiczném* będzie, co Buckle twierdzi utrzymując, że wiedza jest warunkiem postępu, a opieka państwa i kościoła wrogiem tego postępu?

Comte, który skreślił w zarysach główne podstawy nowej nauki historycznej, jako ścisłej umiejętności, sam także wyszukał dziejowe prawa dynamiki społecznej. Mistrz pozytywizmu umiał zastosować się do pierwotnego założenia: prawo przezeń odszukane, prawo ruchu społecznego pod

względem kształtu logicznego jest bez zarzutu; bo jest ujęte w formułę ścisłą i dokładną. Cała umysłowość nasza, powiada Comte (1), przebiega w stałym niezmiennym po sobie porządku trzy stany, teologiczny, metafizyczny i pozytywny. To wielkie prawo filozoficzne, dodaje Comte, które odkryłem w 1822 r., stanowi podstawę wszelkiej historii. W każdej z tych trzech epok pozostałe żywioły w społeczeństwie podobne przybierają kształty i w podobny przechodzą stan jak i umysłowość. Troisty ten podział przypominający żywo i co do treści wyżej już wyłuszczoną zasadniczą myśl Vicony, pod względem formalnym zadawalnia zupełnie. Jest ścisłość i dokładność, są więc dwie najważniejsze zalety, jakimi się każde prawo w ogóle ze stanowiska logicznego odznaczać powinno. Tymczasem wnioski, jakie Buckle otrzymał ze swoich poszukiwań, nie czynią widocznie zadość wymaganiom logicznym nauki pozytywnej.

W obec więc socyologii, w obec dynamiki społecznej usiłowania Buckle'a za chybione uważać należy.

Nie rozstrzygamy, kto winien: autor czy metoda.

Obszerna odpowiedź, którąby dać wypadło na to pytanie wyprowadziłaby poza obręb niniejszej sprawozdawczej rzeczy, dla nas już obecnie wystarcza, jeśliśmy zdołali wytknąć autorowi, o ile się minął z zadaniem, jakie sobie sam wyznaczył lub jakie mu postawiła wyznawana i głoszona przezeń nauka filozoficzna.

(1) Cours de phil. pos. T. IV. str. 463.

TALMUD.

PRZEŁOŻYŁ I OBJAŚNIENIAMI UZUPEŁNIŁ

Izaak Kramstück.

(Dokończenie).

Wychodząc

Wychodząc z historii stworzenia podanej w pierwszej Księdze Mojżesza, Talmud podaje rozwój wszechświata. Przypuszcza on zniszczenia po sobie następujące i powstawanie nowych światów, coraz doskonalszego stopnia. Trzymając się właściwego sobie dowcipnego i wywodowego sposobu wykładu, rabini przytaczają na poparcie swojego przypuszczenia wiersz z 1 Ks. Mojż. „A Bóg widział wszystko co uczynił i było bardzo dobre” (1, 31) oraz wyrażenie z księgi Mądrości: „Wszystko uczynił On należycie w właściwym czasie” podają *w właściwym czasie* znaczy: świat obecny nie mógł poprzednio osiągnąć tego stopnia doskonałości, który go cechuje. Poprzednio Bóg tworzył świat po świecie i niszczył je kolejno, aż stworzył obecny, a wtedy rzekł: Ten odpowiada moim zamiarom, tamte nie odpowiadały. Talmud przypuszcza materią pierwotną, stworzoną także przez Boga, z której świat powstał. Jestto dążność widoczna ku nauce pierwotnych szkół greckich. Trzy rzeczy wyprzedziły ten świat: woda, ogień i powietrze; woda spowodowała ciemność, ogień wydał światło, a wiatr-ducha

mądrości. Sposób stworzenia świata nie był przedmiotem jakiegokolwiek teorii (1).

Zaprzeczano silnie współdziałaniu aniołów przy stworzeniu świata, których istnienie było potwierdzone przez Pismo Święte i których cała hierarchia rozwinęła się pod wpływem doktryn perskich (2). W kwestyi o dniu ich stworzenia uznaném zostało jednomyślnie, że aniołowie stworzeni dopiero zostali szóstego dnia stworzenia, przed wieczorem, nie zaś na początku stworzenia, — z obawy aby niepowiedziano: Michael pomagał przy wyteżaniu sklepienia niebieskiego na prawo, a Rafael na lewo (3)."

Znajdujemy także w Talmudzie zwiastuna, od czasu do czasu objawiającego się Demiurgos gnostycznego, tego starożytnego pośrednika między duchem Bożym a światem materyi. To, co Platon nazywał *Idea*, Filon *λογος*; Kabaliści wyrazem *Azyluth'a*; to co gnostycy nazywali w całym znaczeniu wyrazu *mądrością* (*σοφία*) albo *siłą* (*δυναμις*) a Plotin *vous*; toż samo autorowie Talmudu nazywają *metatron* (4), wyraz, który prawdopodobnie nie jest niczém inném jak wyraz *Mithra*.

(1) Talmud wzbrania zapuszczać się w badanie tego, co było przed stworzeniem świata; wszakże każe zgłębiać i poznawać rzeczy stworzone. Jak wszędzie, tak i tu, cytuje wiersz z Pisma Śgo: „Albowiem badaj czasy pierwotne, które były przed tobą, *od owego dnia kiedy Bóg stworzył człowieka na ziemi, i od krańca do krańca nieba*” (4. M. 4, 32.). Widzi on w tych słowach wskazówkę, iż czas tylko od stworzenia świata i jedynie przedmioty będące pod niebem są dostępne dla umysłu ludzkiego (Trakt. Chagiga 11).

(2) Sam Talmud uznaje, iż przed niewolą Babilońską nieznano w narodzie żadnych imion aniołów, i że doktryna ta od obcych przyjętą została: „Imiona aniołów jak i nazwiska miesięcy sprowadzone zostały do Palestyny przez Izraelitów powracających z niewoli Babilońskiej (Talmud Jerozolimski, trak. Rosz hasz. 81).

(3) Dla tej samej przyczyny — mówi Talmud — został i człowiek stworzony dopiero po ukończeniu wszelkich jestestw. (Sanhed. 38).

(4) *Metatron*, Anioł najbliższy Wiekuistego. Gdy raz niedowiarek pewien spytał się Rabi Idytha: Czemuż czytamy w Pis. Św. (2. K. M. 24, 1) „A do Mojżesza rzekł (Bóg): *wejdź do Boga*,” gdy właściwie powinno być: *wejdź do mnie?* zapytany odpowiedział: iż wyrazy te wymówił *Metatron*. Wszakże Mojżesz nie przyjął żadnego pośrednictwa, albowiem rzekł do Boga: „Jeśli Twe oblicze nie pójdzie z nami, to mnie nie wyprowadź ztąd.” (Tamże 33, 15). Sanhed. 38.

Aniołowie znani po niewoli Babilońskiej, odgrywają mimowolnie rolę zupełnie odmienną od tój, jaką poprzedni odgrywali. Są oni w samej istocie mniej lub więcej perskimi, tak samo jak większa część czarów, leczeń czarodziej-skich, wpływów gwiazd, oraz wszelkie inne żywioły pogańskie od narodów starożytnych przyjęte. Nawet książe anielscy są w liczbie siedmiu jak Amesha Cnentas: ich nazwiska hebrajskie i urzędy odpowiadają jak najściślej swym pierwowzorom perskim, które ze swojej strony, jak to świeżo odkryto, były tylko nazwiskami allegorycznymi różnych przy-miotów bóstwa. Jakkolwiek powagi talmudyczne silnie powstawają przeciwko tym „praktykom pogańskim (1)” jakie-mi są leczenia sympatyczne, exorcyzmy szatanów, uroki i t. p., gdyż działanie cudów było w owych czasach w wielkiej wziętości, same czynią ustępstwa aniołom i szatanom. Obok siedmiu aniołów ksiąg, są zastępcy aniołów niższego stopnia *Yazatas* perscy, których powołanie, oprócz wykonania rozmaitego posłannictwa, jest dwojakie: chwałą Boga i są stróżami ludzi. Do chwały Boga milionami się jednoczą. O ile są aniołami stróżami ludzi (*Travashis* u Persów), to dwóch z nich towarzyszy każdemu człowiekowi (2), a ka-

(1) Wszelkie gusła, wróżbiarstwa, czarodziejstwa i wieszcz-biarstwa są w Talmudzie surowo zabronione jako „*Masse Emori*” (praktyki pogańskie) zakazane w Pis. Św. (3, K. M. 19, 26. 5, K. M. 18, 10). Do tych zakazów zalicza Talmud: przepędzenie nocy na cmentarzu w celu przejścia się nieczystym duchem; uważanie pewnych dni i godzin za szczęśliwe lub nieszczęśliwe do rozpoczynania różnych czynności. Wróżenie, w Biblii zakazane, jest to np. jeśli ktoś powie: czeka mnie niepomyślność, gdyż mnie chleb wypadł z ręki, kij z ręki opuściłem, usłyszałem krakanie kruka, jeleni zaszedł mi drogę, zając, lis zaskoczył mi drogę; nie mogę dziś rozpocząć roboty, gdyż to Poniedziałek, dzień feralny. Również się tu zalicza wyprowadzenie prognostyk z lotu ptaków, ze steru ryb, ze skoku łasicy, albo z położenia gwiazd. (Trak. Sabbath, 68).

(2) Gdy w Piątek wieczorem człowiek po modlitwie wraca ze synagogi, dwóch aniołów towarzyszy jemu po drodze: jeden dobry a drugi zły. Jeśli za powrotem z modlitwy znajdują dom w porządku, a miłość i spokój panujące w domu, to anioł dobry powiada: Oby w przyszłą Sobotę tak samo było, a zły musi pomimowoli wyrzec „Amen.” W przeciwnym razie zły ma przewagę, życzy ażeby w tym domu i w przyszłą Sobotę panowały nieład, nienawiść i kłótnie, a dobry anioł musi pomimowoli wypowiedzeniem „Amen” klątwę stwierdzić (Sabbath 104).

ždy dobry czyn przez człowieka wykonany przysparza mu jednego anioła (1), który czuwa nad jego krokami. Kiedy sprawiedliwy umiera, trzy zastępy aniołów wychodzą na jego spotkanie. Jeden mówi, według słów P. Ś. (Iza. 57, 2) „Niechaj przybędzie w pokoju;” drugi dodaje: „niechaj spoczywa na swoim łożu;” a trzeci recytuje cały wiersz: „niechaj przybędzie w pokoju, niechaj spoczywa na swoim łożu, ten co postępował w prawości.” Kiedy zaś człowiek niecny opuszcza świat, wtedy trzy armie złych aniołów występują przeciwko niemu, przyjmują go słowami: „nie masz pokoju, mówi Pan, dla niezbożnych” (Iz. 48, 22) (2).

Co do udziału Opatrzności w świecie, Talmud przypuszcza, że świat jest w rękach samego tylko Boga. Podobnie jak sam jest Stwórcą i Prawodawcą, tak też jest sam Panem samowładnym przeznaczeń. Każdy naród, mówi Talmud, wierzy, iż ma swojego wyłącznego anioła stróża, swoje horoskopy, swoje planety i gwiazdy, które, jak mniema, przewodniczą jego losom, ale nie masz planety dla Izraela, Izrael powinien spoglądać tylko w stronę Boga. Nie masz pośrednika między tymi którzy się nazywają Jego dziećmi, a ich ojcem który jest w niebiesiach (3). Talmud Jerozo-

(1) Bereszith Rabah, Parszoth Wajeceh. Każde wykonanie dobrego czynu przyczynia człowiekowi obrońcę przed Bogiem, każdy zaś niecny postępek tworzy dla niego oskarżyciela. (Aboth. 4. 13).

(2) Kesuboth 104.

(3) Podobne pojmovanie łączni pomiędzy Bogiem a człowiekiem, podobne pojęcie o dziecięcości ludzi na ziemi a ojcostwie Stwórcy w niebie, wywierało swój wpływ nietylko na stronę religijną narodu, ale też wiele się przyczyniało do umoralnienia i uszlachetnienia indywiduów, a w szczególności pobudzało do czynów ludzkości i miłosierdzia. Oto przykład: Namiestnik rzymski w Judei, nazwiskiem Turnus Rufus (tak opowiada Talmud) spytał Rabi Akiby: jeśli to prawda, jak wasze księgi utrzymują, że wasz Bóg miłuje biednych, to czemuż ich sam nie karmi, ale zostawuje bogaczom ich utrzymywanie? Czyni On to—odpowiedział R. Akiba—dlatego, ażeby bogatszym i szczęśliwszym zostawić możność zjednania sobie zasługi i znalezienia miłosierdzia na Sądzie Bożym, przez wykonanie czynów ludzkości i miłosierdzia. Ale—odrzekł tamten—podobne postępowanie względem biednych, podobne dobre czyny względem nich wykonywane, nie tylko nie mogą być policzone za cnotę i zasługę, ale powinny owszem być uważane za sprzeciwianie się woli Bożej, za nieposłuszeństwo względem Jego rozporządzeń! A na poparcie swo-

limski, pisany bezpośrednio pod wpływem zwyczajów i obyczajów rzymskich, zawiera następującą parabolę. Człowiek pewien ma patrona w znakomitęj i bardzo wysoko postawionej osobie: jeżeli mu zajdzie jakie nieszczęście, nie idzie wprost przedstawić się bezpośrednio temu patronowi, ale zbliża się do wrót domu i tam czeka; nie spodziewa się ujrzeć samego protektora ale jego ulubionego sługę lub syna, temu wyłuszcza swoją dolegliwość, a ten dopiero oznajmuje panu domu: taki a taki czeka u wrót domu; czy pozwalasz go wpuścić lub nie?

Nie tak się rzecz ma względem Boga, którego Imię niech będzie pochwalone. Jeżeli człowiekowi zajdzie jakie nieszczęście, niechaj się nie zwraca do Michała albo Gabriela, ale niech do Mnie woła a Ja mu wnet odpowiem, gdyż tak jest napisano: „Zanim wezwą, Ja już odpowiem, jeszcze oni błagają, a Jam już wysłuchał.“ (Izai. 65, 24).

Celem i końcem całego stworzenia, jest człowiek, który w skutek tego został stworzony ostatni, „kiedy wszystko już było gotowe na jego przyjęcie (1).“ Jeżeli on do-

jego zdania podał następującą parabolę: Pewien król rozgniewał się na swojego sługę, kazał go wtrącić do więzienia, wydając najsurowszy rozkaz aby go pozbawić wszelkiego pokarmu i napoju. Jeśliby tedy ktoś nad owym sługą się ulitował i wbrew rozkazom królewskim dostarczył mu pokarmu, czyliż król, dowiedziawszy się o tém, nie wpadłby w słuszny gniew na nieproszonego dobroczyńcę? Na to Rabi Akiba: Ja ci odpowiem innem porównaniem: Pewien król rozgniewał się na swojego syna, kazał go wtrącić do więzienia z zakazem dostarczania mu pokarmu i napoju. Przyjaciel króla ulitował się nad cierpieniem omdlałego syna swojego królewskiego przyjaciela i orzeźwił go jadłem i napojem. Czyliż król, dowiedziawszy się o tém, nie będzie czuł wdzięczności dla tego, który w synu usiłował oszczędzić samemu ojeu cierpienia? a miasto gniewu, czyliż go raczej hojnie nie wynadgradzi za ten dowód miłości i przywiązaniu? A w tym właśnie stosunku—dodał R. Akiba—stoimy do Boga, albowiem Pismo Św. mówi: „Jesteście dziećmi Boga waszego“ (5, K. M. 14, 1) (Baba Bathra 10, 1). Tak tedy, litość, miłosierdzie i dobroczynność, są wedle Talmudu, wynikami tej myśli, iż człowiek jest dziecięciem Boga.

(1) Bóg w tej mierze postąpił na wzór ziemskiego króla, który poprzednio wystawia pałac, następnie przysposabia uczcę, a w końcu dopiero sprasza gości. Tak samo działo się ze stworzeniem świata i z człowiekiem. Tak też opowiada Pismo Św (Przysł. Sal. 9, 1):

sięga doskonałości cnoty, wtedy dosięga wyższego stanowiska niż sami aniołowie (1).

Talmud, uważa cudy prawie tak samo jak Leibnitz uważa ruchy wszystkich członków naszego ciała, są one możliwe tylko w skutek pewnej pierwiastkowej harmonii, t. j. że bieg stworzenia nie jest przez nie przerwany, ale wszystkie istniały pierwotnie, jako z góry postanowione. Zostały one stworzone po wyprowadzeniu wszelkich jestestw w zmierzchu dnia szóstego. W liczbie tych cudów była (i to zajmie naszych paleografów) sztuka pisania, wynalazek ceniony wyżej nad wszelkie sztuki, prawdziwy cud (2). Sko-

„Mądrość wystawiła dom,” co znaczy: Bóg stworzył świat; „wyciosała siedm filarów” siedm dni stworzenia; „przysposobiła mięsiwo” całe królestwo zwierząt; „nalala swe wina” morza i rzeki; „nakryła swój stół” królestwo roślin; „porozsyłała swe dziewice sprosić” Adama i Ewę. (Sanhed. 38).

(1) W widzeniu Zacharyasza (3, 6, 7) do oczyszczonego i wśród aniołów znajdującego się arcy-kapłana Jozuego powiedział Anioł Boży: „Tak rzecze Wiekuisty Pan Zastępów: jeśli w moich drogach będziesz postępował, i będziesz przestrzegał moich przykazań; wówczas dam tobie *postępujących* wśród tych co tutaj *stoją*. Te wyrazy, talmudziści w właściwy sobie sposób, tak tłumaczą: Aniołów nazywa Biblia *stojącymi*, z powodu że się znajdują zawsze na jednem i tym samem stanowisku, czyli stopniu doskonałości, t. j. zostają zawsze takimi, jakimi ich Bóg stworzył. Człowiek atoli, przybywając na świat słabym i niedołężnym, ma przed sobą drogę doskonalenia się, którą ustawicznie postępować powinien. Dlatego też Pismo Św. nazywa człowieka cnotliwego, usiłującego stawać się coraz lepszym i mędrszym, *postępującym*. Jeśli zaś w cuocie i mądrości doszedł możliwości szczytu, wówczas wyżej jest cenionym od anioła, ten albowiem cnotę i doskonałość ma sobie wrodzone, gdy człowiek nabywać ich musiał własną pracą, bo walką przeciwko chuciom i pokusom.

(2) Talmud wylicza dziesięć rzeczy stworzonych o tój porze, t. j. szóstego dnia w zmierzchu, a mianowicie: 1) Przepaść (która później połknęła Koracha z całą jego zgrają. Zob. 4. K. M. 16, 32.); 2) Studnię (z której Mojżesz, na zlecenie Boże, dostarczył spragnionemu ludowi wody w pustyni. Tamże 21, 17.); 3) Usta oslicy (która przemówiła do Beleama. Tamże 22, 28.); 4) Tęcza (która nie istniała zaraz po stworzeniu wszechświata, ale się nagle okazała Noemu. 1. K. M. 9, 13.); 5) Manna (2. K. M. 16, 15); 6) Laska (którą Mojżesz w Egipcie cuda dokazywał. Tamże 4, 17.); 7) Szumir (owad używany wedle talmudu przez Salomona do rozłupania kamieni. Było albowiem zakazanem użycie żelaznych narzędzi do tój czynności. Tamże 20, 25.); 8) Litery; 9) Sztuka pisania; 10) Tablice

ro stworzenie zostało ukończone wraz swými domniemanými wyjątkami, nie już tam nie mogło być zmienione. Prawa natury szły swoim trybem niewzruszonym. Ci niegodziwcy, nietylko wydają moją monetę, mówi Hagada, gdy rzecz się toczy o mnożeniu się ludzi przewrotnych i o ich rodzinie noszącój na sobie charakter Boski w ludzkiej twarzy, ale zniewalają mnie jeszcze do oznaczenia fałszywój monety pocziwém znamieniem (1).

Istotne imię Boskie dla świętości swojój powinno być nie wymawiane, ale zastąpione bywa przez inne wyrazy wskazujące na Jego przymioty, jak Litościwy (Rachman), wyraz napotykaný często w Talmudzie i w Koranie. Święty, Jedyny, *Miejsce* (2), Niebo, Ojciec nasz który jest w niebie, Wszchemogący, Szechinah, czyli Wszędobytny, Odblask Boży (3).

Nauka o duszy nosi cechę szkoły Platona raczėj aniżeli Arystotelesa. Przyjęte jest pierwotne jój istnienie. Wszystkie dusze które mają kiedykolwiek być połączone z jakim ciałem, zostały stworzone raz na zawsze i są trzymane w zachowaniu od samego stworzenia świata. Dusze

(na których Mojżesz wyrzył przykazania Boże. Tamże 34, 1.). Inni doliczają tu jeszcze: Złe duchy, Grób Mojżesza, Barana patriarchy Abrahama, ofiarowanego w miejsce Izaaka. Niektórzy utrzymują że i cęgi cęgami zostały zrobione, t. j. że pierwszy ten sprzęt już był przygotowanym, inaczej kucie żelaza pierwszego, byłoby dla człowieka niemożliwém. (Traktat Aboth, 5, 9).

Zapytany raz R. Akiba przez pewnego Rzymianina: Jeśli to prawda że Bóg wasz nienawidzi bałwanów, to czemuż ich nie wyniszcza? — odpowiedział: Wszakże zdarzają się ludzie i ludy oddawający cześć Bożą słońcu, księżycowi i gwiazdom; ażaliż Bóg zgładzi świat dla tych głupców? Raz ustanowiony porządek nie może ulegać zmianie: *świat swoim trybem musi postępować.* (Sanhed. 54).

(1) T. j. iż Bóg dla utrzymania biegu natury w nadanym jój trybie, nie może naznaczyć niecnego i bezbożnego człowieka piętném złośliwości i niecnoty, aby go świat mógł poznać, gdyż podobne odróżnienie tęp samém sprzeciwiałoby się raz ustanowionym prawom przyrodzenia.

(2) Dlatego iż Bóg wypełnia wszelkie miejsce czyli wszechświat „Bóg nazywany bywa *Miejscem*, albowiem On stanowi właściwe miejsce świata” (Berajta R. Elez., roz. 35).

(3) Po każdém takiém wymówieniu podobnej nazwy Bożej, dodaje się zwykle „niechaj będzie błogosławionym.”

te mają świadomość wszechrzeczy i przebywają w sferach najwyższych. W chwili połączenia duszy z ciałem ludzkim, anioł dotyka ust dziecka i powoduje zapomnienie przeszłości (1).

Znajdujemy między duszą a Bogiem porównanie uderzające swoją prawie panteistyczną barwą: „Jak Bóg wypełnia cały świat, mówi Hagada, tak samo dusza wypełnia całe ciało, jak Bóg widzi wszystko, będąc sam niewidzialnym, tak samo i dusza. Jak Bóg ożywia świat, tak dusza ożywia ciało. Jak Bóg jest czystym, tak samo i dusza (2). Czystość

(1) Dziecko w łonie matki—mówi R. Samloj—może mieć przecucie świata na którym ma żyć, a to nas zadziwiać niepowinno, dzieje się to naksztalt snu, który śpiącego człowieka przenosi wyobraźnią z jednego końca świata w drugi (Nidah, 30).

(2) W texcie podane jest jeszcze i piąte porównanie, a mianowicie: Jak Bóg działa w utajeniu, niepojęty dla człowieka i tylko z swoich dzieł przeczuwać się daje, tak samo rzecz się ma i z duszą, o której istnieniu tylko ze skutków wnioskować można. (Berachoth 10).

O stosunku pośmiertnym ciała do duszy daje wyobrażenie następująca parabola: Antonius Pius spytał się Rabbi, jakim prawem może Bóg karać po śmierci ciało albo duszę? Wszakże ciało stawione przed sąd, może się usprawiedliwić: Tom nie ja grzeszyło, ale dusza; dowodem tego, że od czasu jak mnie ta opuściła, leżę nieruchomie i bez czucia jak kamień w grobie, niezdolne do grzeszenia. Ze swojej strony dusza może popełnione grzechy przypisywać wyłącznie ciału, dowodząc, że od czasu rozłączenia się z niem ona sobie niewinnie buja w górnych sferach, zdala od wszelkiego grzechu; tym tedy sposobem, tak ciało jak i dusza mogą wzajemnie na siebie zdać przyczynę grzechów, a tém samem uwolnić siebie od kary. Na to Rabbi: Objasnię ci porównaniem. Pewny król miał przepyszny sad, w którym dla pilnowania nader rzadkich owoców osadził dwóch stróżów, z których jeden był niewidomy a drugi chromy. Raz ten ostatni rzekł do swojego kolegi: ja tam w oddaleniu widzę śliczny dojrzały owoc, ale ja dla kalectwa nóg tam się nie dostanę, ty zaś dla braku oczu, owocu nie zobaczysz: zanieś mnie w toż miejsce, a podzielimy się zdobyczą. Jak się umówili, tak się i stało. Po niejakiem czasie przybył król do ogrodu, a nieznalazszy owocu spytał się o niego stróżów, ale obaj usprawiedliwiali się swoim kalectwem, które każdemu z osobna czyni niemożliwem przeniewierzenie się. Właściciel, domyślając się podstępu, posadził kulawego na ociemniałego i osądził ich jakby jednego człowieka. Tak samo czyni i Bóg: powraca duszę w ciało i sądzi oboje w połączeniu. Tak też mówi psalmista (Psalm 50, 4): „Powołuje z nieba w gorze (duszę) i z ziemi (ciało) dla osądzenia swojego ludu.” (Sanhed. 91).

ta duszy jest podniesiona głównie w sprzeczności do zaprzeczonej przez Judaizm nauki o grzechu dziedzicznym.

„Nie ma śmierci bez grzechu, a wszelka boleść ma swoją przyczynę w poprzedniem uchybieniu samemu sobie.”

Ten sam duch który podyktował te słowa w pięcioksięgu: „Rodzice nie umrą za dzieci ani dzieci nie umrą za rodziców” (1), chciał ażeby nikt nie był karany za błędy drugiego.

W ocenieniu grzechu, bierze się pod rozwagę chęć i zamiar; życzenie spełnienia zbrodni jest więcej karygodnem niż samo jej wykonanie (2). Bojaźń Boga czyli życie cnotliwe jest celem i końcem istnienia człowieka, jest to czémś co leży zupełnie w mocy samego człowieka.

„Wszystko zależy od Boga, wyjąwszy bojaźń Boga (3), ale godzina żalu więcej warta niż całe przyszłe życie” (4).

Pod tym względem przyznaną została człowiekowi najwyższa wolność, jakkolwiek pomoc Boga jest mu także potrzebną (5).

(1) Zestawiając te słowa zawarte w 5 K. M. 24, 16, z wyrazami znajdującymi się w 2 K. M. 34, 7, które opiewają: „Bóg karze ojców za synów do trzeciego i czwartego pokolenia, znaleźli te dwa wiersze z sobą w zupełnej sprzeczności: jeden albowiem uwalnia dzieci od kary za występki rodziców, a drugi opowiada iż sam Bóg aż na następnych nawet pokoleniach grzechy ojców poszukuje. Sprzeczność tę talmudyści w ten sposób tłumaczą: Jeśli dzieci są tak występne jak byli rodzice, wówczas Bóg je za własne i rodziców grzechy karze; dzieci zaś cnotliwe, nie odpowiadają za zbrodnie przodków swoich. (Sanhedryn 27).

(2) Większą ma zasługę ten który popełnia występki w dobrym zamiarze (np. gwałcenie świętości Sabatu gdy idzie o ratowanie człowieka), niż wykonywający przepis religijny, mając przytem myśl świecką (np. modlący się dla oka widzów). (Nazyr 23).

(3) (Berachoth 33). Przed urodzeniem człowieka przoznacza się w niebie czém on ma być na ziemi; obwołuje się tedy: czy człowiek ten będzie bogatym lub biednym, czy ma być silnej budowy ciała lub chorobliwym, mędrcom czy też nierozumnym; wszakże czy będzie cnotliwym lub występny, tego się nie wyznacza, albowiem wszystko jest w mocy Boga, wyjąwszy bogobojność. (Nida 13).

(4) Człowiek więcej wskóra skrucną i dobrymi czynami w doczesnym życiu niż przez całą przyszłość. (Aboth, 4, 22).

(5) Kto sobie złą drogę obiera, tego Bóg zostawia samemu sobie, kto zaś po drodze cnoty postępuje, tego Bóg Swą pomocą wspiera. (Sabbath, 104).

Dogmat zmartwychwstania i nieśmiertelności, wskazany niedokładnie w kilku miejscach Starego Testamentu, został uzasadniony przez Talmud (1), i wyprowadzony z kilku ustępów biblii. Liczne porównania oznaczają stosunek obecnego świata do świata przyszłego.

„Świat obecny jest *niby przedsionkiem* świata przyszłego, przygotuj się w przedsionku, ażebyś mógł godnie się przedstawić w samym pałacu” (2); albo też: „Świat obecny porównanym być może do zajazdu po drodze, gdzie się jedną noc przepędza; świat przyszły jest właściwem mieszkaniem człowieka.” „Sprawiedliwi doskonalą się, i rozwijają nawet w życiu przyszłym swoje zdolności, podnosząc je do coraz wznioślejszych potęg, albowiem dla cnotliwych nie masz zatrzymania, ani w tém ani w przyszłym życiu. Tak też i P. S. mówi (Psalm 84, 8): Kroczą od walki do walki, aż się przedstawią Bogu w Syonie” (3).

Nie mamy potrzeby opisywać po szczególe jak dusza bywa pociągnięta po śmierci przed Sąd Boży, jak wszystkie czynności dokonane za życia bywają jêj wyliczone wraz z wszystkimi towarzyszącymi tym czynnościom okolicznościami (4), przy zachowaniu nawet godziny, w której każda dokonana została. Teorye te, na wpół metafizyczne a na wpół mistyczne, mają w zupełności poetyczny koloryt pierwszych Ojców kościoła chrześcijańskiego albo Bunyana z nowszych czasów, z tą różnicą że blask wyobraźni i zwię-

(1) Często bardzo napotykamy w Talmudzie podniesioną kwestyą zmartwychwstania, usiłowano dowieść jego możliwości z natury a jego dogmatyczności z Pisma Św. Jedon z Sadyceuszów spytał się pewnego Gebihy: Wasza wiara w nieśmiertelność duszy jest niedorzeczną. Widzimy albowiem że nawet żywi umierają, jakżeż możemy przypuścić aby zmarli ożyli? Na co mu Gebiha odpowiedział: Sam niedorzecznie dowodzisz. Ponieważ widzimy wyprowadzonych na świat i żyjących ludzi, którzy poprzednio nie istnieli, o ileż łatwiej jest dla Wszechmocy Bożej ożywić napowrót tych którzy już raz żyli na ziemi. (Sanhed. 91).

(2) Aboth, 4, 21.

(3) Berachot 64.

(4) Pierwsze zapytanie zadane człowiekowi na Sądzie Bożym, jest: „Czyliś poezciwie i sumiennie sprawował twój zawód na ziemi, czyliś w obcowaniu z ludźmi postępował z prawością?” (Sabat, 31).

złości języka, które je cechują w Talmudzie, odznaczają je korzystnie od rozwlekłości wieków następnych (1). Zmartwychwstanie ma mieć miejsce przez siłę mistyczną „rosy życia” (2) w Jerozolimie, na górze Oliwnej—dodają targumy. Podług Talmudu niemasz potępienia wiecznego, jest tylko

(1) Miejsce kary i potępienia pośmiertnego zwane jest w Talmudzie i we wszelkich pobiblijnych księgach „Gejhinom.” Nazwa wzięta z doliny Gej-ben-Hinom, położonej na wschodnio-południowej stronie Jerozolimy, gdzie się odbywał zgrozą przejmujący obrzęd palenia dzieci, jako cześć oddawana bałwanowi Molochowi (zob. 2, ks. królów, 23, 10. Jer. 7, 31).

Trzy wejścia—mówi Talmud—ma Gejhinom. Jedno znajduje się w pustyni, drugie w morzu, a trzecie w Jerozolimie. (Trakt. Erubim. 19). Allegoryczne to wyrażenie chce nas nauczyć, że człowiek w każdym stanie, we wszelkim zawodzie, w każdym zajęciu, może przez fałszywe pojmowanie swojego zadania, przez niewłaściwy użytek uczyniony choćby z najświętszego środka—chybić swojego celu, popadać z błędu w błąd i spowodować zatrąę duszy.

Były wonczas sekty szukające swojego zbawienia w zrzczeniu się rozkoszy, uciech, przyjemności i wszelkich wygod świata; usuwali się od towarzystw i zamieszkiwali w pustyni, w przekonaniu iż tam bliższymi będą Boga i bardziej od grzechu oddaleni. Przeciwno tymto wytosowaną jest pierwsza część metafory: „Pustynia ma wejście do piekła.” Nie pustelniczego bytu wymaga Bóg po człowieku: czynne życie, przykładanie się do ogólnego dobra, branie czynnego udziału w pomyślności i szczęściu bliźnich: oto cel człowieka.

Druga potępia niepoczciwość w zatrudnieniu człowieka, bezsumiennosc w handlu, którego symbolem jest morze; najdrobniejsze oszukaństwo w kupnie lub sprzedaży, choćby to wynosiło tylko jedną *prutę* (szeląg), bywa na drugim świecie surowo karane. Tak tedy i morze ma drogę do piekła.

Trzecie nakoniec drzwi prowadzące do Gehinu znajdują się w samej Jerozolimie; tam, gdzie istniała świątynia Boża, gdzie noszone były Panu Panów ofiary i całopalenia na Jego oltarzu, tam gdzie cały lud Izraelski trzy razy do roku się zbierał dla służby Bożej; daje to nam wskazówkę że i religia źle zrozumiana, miasto zbawienia, może potępienie spowodować. Fanatyzm, przesada i obłudę w rzeczach religijnych, wykonywanie służby Bożej dla oka ludzkiego; wszystko to prowadzi człowieka na bezdroża. I Jeruzalem ma wejście do piekła.

(2) Z siedmiu rodzajów nieba istniejących podług zdania niektórych talmudystów, ostatnie „Aroboth” mieści w sobie skarby „życia,” „spokoju” i „błogosławieństwa” z kąd one na świat spływają. Nadto jest to miejsce pobytu dusz, tak tych, które po cnotliwym życiu z ziemi powróciły, jak i tych, które dopiero mają być z ciałem

kara przejściowa, nawet dla wielkich grzeszników (1). Kara odstępców, bałwochwalców i zdrajców trwać będzie „od wieków do wieków” (2). Ale jest tylko odstępek dwóch palców między piekłem a niebem. Grzesznik powinien tylko szczerze żałować, a wrota do miejsca gdzie wieczne szczęście przebywa, otworzą się przed nim. Żadna istota ludzka nie jest odsądzoną, dla swojej narodowości lub wyznania, od Królestwa niebieskiego. Każdy człowiek, jakąkolwiek byłaby jego wiara, byleby należał, do grona sprawiedliwych, będzie w niem miał udział (3). Kara złoczyńców nie jest podaną,

połączone. W tej samej sferze zachowaną także jest i rosa, którą Bóg zmarłych do powtórnego życia ocuci. (Chagiga 12).

Rosa ta już była używaną; albowiem Rabi Jozue ben Kewi powiada: po każdym przykazaniu wyrzeczonym z ust Przenajświętszego, niechaj będzie pochwalone Imię Jego, rozłączyła się w Izraelu dusza z ciałem, albowiem tak jest napisano: moja dusza wyszła kiedy On przemówił” (Pieśń Pieśni 5, 6), ale Bóg spuścił rosę życia i ocucił ich na nowo. (Sabat 88).

Miejscem przeznaczonym na zmartwychwstanie jest Palestyna, dokąd pobożni ze wszystkich krajów, bez doznawania jakiegokolwiek przykrości, w podziemnych, umyślnie na ten cel utworzonych próżniach, tę drogę odbędą. Powstanie każdy w odzieży w której został pochowanym, co wnosić można z ziarnka zboża, które pochowane zostało w ziemi nago a wychodzi z ziemi odziane kilkorgiem okryć, tём bardziej ciała cnotliwych pochowane w odzieży, mogą wyjść ztamtąd odziane. (Ketuboth III).

Dla łatwiejszego poznawania się członków każdej familii między sobą, ulomni powstaną każdy z swoim kalcetwem, a dopiero później ich Pan Bóg uzdrowi. Tak też opisuje Biblia: „Ja śmierć zsyłam i ożywiam, Ja ranię i uzdrawiam” (5 K. M. 32, 39). Wprzód tedy jest powiedzianém że Bóg ożywia, a następnie dopiero, że uzdrawia. Ten też porządek będzie zachowany przy zmartwychwstaniu. (Sanh. 91).

(1) Grzeszni, tak pochodzenia izraelskiego, jak i wszelkich innych narodów i wyznań, bywają sądzeni w piekle przez dwanaście miesięcy. (Rosz Haaszana 16).

(2) Zaprzeczający bytność Boga, niewierzący w objawienie zakonu, ci którzy nie przykładają się do potrzeb swojej gminy, jak również kusiele do grzechu, bywają karani w piekle przez wszystkie wieki. Samo piekło z czasem istnieć przestanie, a ich potępienie zniesioném nie będzie. O nich to mówi Chana: „Niechaj drżą ci, którzy powstają przeciwko Bogu.” (I księga Samuela, 2, 10, Tamże).

(3) Człowiek wszelkiego wyznania, jeśli tylko postępuje wedle prawideł zakonu, jest uważany zarówno z arcy-kapłanem. (Baba Kama 38).

albowiem opisy świata przyszłego zostają wszędzie ciemne. Wszakże pojęcie dane o raju wyobraża pobyt niepojętęj wspaniałości. Do tój niewypowiedzianej szczęśliwości pośmiertnej, talmudyści stosują wyrażenie biblijne: „Oko nie widziało, ani ucho nie słyszało” (1).

W świecie przyszłym nie jé się ani pije, nie masz tam miłości małżeńskiej, ni cierpienia ani zazdrości, nie masz ani nienawiści ani sporu. Tam sprawiedliwi siedzą z koronami na głowach, napawając się widokiem wspaniałości majestatu Bózego (2).

Dar proroctwa jest przedmiotem pewnej teorii. Jedno z najwyraźniejszych twierdzeń Talmudu jest, że Bóg zsyła swojego ducha tylko na człowieka odznaczającego się siłą, mądrością, bogactwem i skromnością (3). Przymioty te są bliżej określone w Misznie: „Kto jest silnym? ten co panuje nad swojemi namiętnościami.” „Kto jest bogatym? ten co zadowolony z swojego losu” (4). Zachodzi pewne stopniowanie pomiędzy prorokami. Mojżesz widział wszystko jasno, inni zaś prorocy widzieli jakby w zwierciadle zciemnioném (5). Ezechiel i Izajasz mieli jedno i toż samo

(1) Wszelka szczęśliwość wyrażona przez proroków odnosi się wyłącznie do czasów Messyaszowych na ziemi, co się zaś tycze szczęśliwości świata przyszłego, o tój żadna istota niema wyobrażenia, o niej to wyrzekł Izajasz (64, 3): „Oko nie widziało tego oprócz Ciebie, Boże. On to zdziała dla tych, co w Nim mają zaufanie. (Berach. 34).

(2) Berachoth 17.

(3) Sabbath 92.

(4) Aboth 4, 1.

(5) Jebamot 49. Ze wszystkich legend i allegoryi opowiadanych o Mojżeszu w Talmudzie i Midraszach przytoczę tu tylko jedną: Gdy Mojżesz wszedł do nieba, zdziwieni Aniołowie spytali się Przenajświętszego, niech będzie pochwalone Imię Jego: „Co też zrodzony z niewiasty ma do czynienia między nami.” Na otrzymaną odpowiedź, iż on przybył do odebrania zakonu, zadziwienie ich jeszcze znacznie się powiększyło i wyrzekli przed Nim: „Klejnot najwspanialszy, który od czasów odwiecznych zachowujesz u Siebie, chcesz teraz oddać stworzeniu z ciała i krwi? Czém jest człowiek, że Ty o nim wspominasz, czem syn ziemi, że się nim opiekujesz? (Psalm 8,5). O Panie Wszzechmogący, zostaw raczej tę wspaniałość na niebie (tam. 2), oddaj raczej nam tę najszczytniejszą naukę.” Na to Bóg zawezwał Mojżesza, ażeby on aniołom odpowiedział. Ale ten odrzekł:

widzenie, z tą tylko różnicą, że Izajasz patrzył na nie oczami człowieka miasta, Ezechiel zaś oczyma wieśniaka (1).

„Panie wszechświata, obawiam się, ażeby mnie oni nie spalili oddechem ust swoich” a gdy otrzymał pozwolenie ujęcia tronu Przenajświętszego, rzekł: „W zakonie który mam otrzymać jest napisano: Jam jest Bóg wasz, którym was wywiódł z Egiptu; ażaliż to może być zastosowane do mieszkańców nieba? czyliżeście zesłali do Egiptu; byliście wy niewolnikami Faraona? Pierwsze przykazanie w Zakonie brzmi: Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną: czyliż wy mieszkacie w pośród ludów bałwochwalczych, byście od nich ich bóstwa przejmowali? Święta ta księga nakazuje: Pamiętaj ażebyś dzień sobotni święcił, a przecież wy nie zajęci pracą, ażeby wam miał być nakazany odpoczynek. (Wyliczone przepisy odnoszą się do człowieka względem Boga). Następnie uczy: Czcij ojca twojego i matkę swoją. Nie będziesz kradł, nie zabijaj, nie cudzołóż. (Przepisy odnoszące się do bliźnich). Jakimbyście sposobem te przepisy wykonywali? Między wami wszakże nie istnieje ani miłsiwość, ani jakakolwiekbaż namiętność!” Aniołowie, uznając zasadność przytoczonych przez Mojżesza okoliczności, z zachwycenia zawolali: „O Boże, jakże świetnym będzie Twe imię na ziemi (Tamże 9). Święte te istoty niebiańskie stały się Mojżeszowi tak przychylnemi, że każda z nich udzieliła mu jakąś ważną tajemnicę, między któremi Anioł śmierci odkrył mu moc i siłę kadzidła, za pomocą którego udało się Ojcu proroków uśmierzyć wybuchłą w ludzie zarazę (4 k. M. 17, 12)—(Sabbath 88).

Allegorya ta, o ile w stylu prostym i w niewyszukanych wyrażeniach opowiedziana, jest wielkiej doniosłości, każdy jęj ustęp zawiera jakąś wyższą myśl. Aniołowie spytali: Cóż syn ziemi czyni między nami, to znaczy: czem śmiertelnik może sobie zasłużyć na nieśmiertelność? A Bóg im odpowiedział: On przybył odebrać Zakon; oto środek uzacnienia i uszlachetnienia człowieka. Jaka zaś jest najważniejsza część Zakonu? Sam Mojżesz wylicza główne religii zasady, któremi są: Wiara w Boga, w Jego Wszehmoc, która się szczególnie objawiła w oswobodzeniu Izraelitów z Egiptu. Z części obrzędowej religii Prawodawca dotyka tylko sam dzień sobotni, który też jedynie i wyłącznie późniejsi prorocy ze wszystkich obrzędów zalecali (Izajasz 56, 2; 6. Nechem. 10, 32. i w wielu innych miejscach). Następnie z powinności człowieka względem bliźnich podaje: cześć dla rodziców, dalej najkardynalniejsze zasady bytu i pomyślności społeczeństwa. W końcu, allegorya wskazuje, że Bóg pozwolił człowiekowi starać się o środki zapobieżenia niebezpieczeństwu, którą to nauką talmudyści usiłovali zbijać wiarę w *przeznaczenie* jako niezgodną z wyznaniem Mojżeszowem.

(1) (Chagiga 13). Nader trafne to porównanie. Obaj prorocy w poświęceniu swoim widzieli Bóstwo, w Jego Majestacie i Wspañiałości, obaj, jako ludzie, porównywali najwyższą istotę w niebie, do najszczytniejszej godności na ziemi, t. j. do króla zasiadającego na

Należy być posłusznym prorokowi we wszystkim, wjąwszy kiedy zaleca bałwochwalstwo.

wspaniałym tronie. Izajasz, mieszkaniec stolicy, który przywykł do widoku monarchy (według tradycji miał on być bratem królewskim), podaje swoje widzenie ogółowo. Ezechiel zaś w dwudziestym piątym roku życia wzięty w niewolę, zaprowadzony został do Babilonu, gdzie też swoją księgę napisał. Widok tedy króla musiał na nim zrobić takie wrażenie, jak na wieśniaku któremu się to poraz pierwszy zdarzyło, taki unosi się nad każdym szczegółem, każda drobnostka go zadziwia, każdy szczegół zachwycą. Tak też i ten prorok wyswięcenie swoje szczegółowo i drobiazgowo opisuje.

Uważam za stosowne podać dla niewtajemniczonego czytelnika, bliższe określenie wyrazów „prorok” i „proroctwo” w Starym Testamencie, podług objaśnienia Talmudu i późniejszych badaczy.

Wyraz, który po polsku oddajemy przez „Prorok,” brzmi w Biblii „Nowi” a pochodzi od „Niw” a pierwotne jego znaczenie jest *mowa* (Izajasz 57, 19). Początkowo wyrażenie to oznaczało *mówcę, poetę, liryka*. Ze zaś pierwotni nauczyciele narodu posługiwali się wyrażeniami krasomówskimi i zwrotami poetycznemi, ażeby tóm silniejsze uczynić wrażenie na słuchaczach, przeto wyraz ten przeniesiony został na nazwę nauczycieli ludu. Dla tej samej przyczyny wyraz *Nowi* użytym jest na oznaczenie właściwego proroka, albowiem ci zwykle w mowach swoich używali najszczytniejszej poezji, będącąż tłumaczeniem najwznioślejszego przedmiotu przez nich głoszonego, a którym był zawsze Bóg, Jego woła, Jego przykazy i Jego rozporządzenia. W atrybucyi zaś jako przepowiadacze przyszłości, ci Boscy mężowie zwani są w Biblii innemi mianami jak „Roeh” albo „Chozeh” które to wyrazy oba znaczą *Widz*. Mianem też „Nowi” oznaczonych jest wielu w Piśmie Św., od których nie mamy żadnych przepowiedni, tylko mowy poetyczne i rozdziały krasomówskie albo śpiewy liryczne.

W tём też znaczeniu znajdujemy szkołę założoną przez Samuela dla kształcenia młodzieży na przyszłych *Nowijim* t. j. przyszłych mówców i nauczycieli ludu (1 ks. Sam. 10, 6 i 19, 20). Po Samuele kierunek tej szkoły przejął Elias (2 ks. królów. 2, 2), po którym nastąpił Eliza (tamże 6, 1). W szkole tej, o ile z niektórych wskazówek P. Ś. wnieść można, głównym wykładem była religia, krasomówstwo, śpiewy religijne i wiadomości polityki owoczesnej; Uczniowie zwani są w biblii *Bene hanwijim*, t. j. *synowie* albo *młodzież* prorocza, z ich grona powychodzili też z czasem namaszczeni, natchnieni prorocy.

Założycielem pierwszej podobnej szkoły był Samuel. Ten mąż Boży widząc jak lud Izraelski w owym czasie zбочył z drogi religii i cnoty, a kapłani i przewodnicy narodu sami dopuszczali się bezprawia, jak synowie Elego (1 ks. Sam. 2, 22), a nauka boża poszła w zapomnienie (tamże 3, 1), założył instytucją dla kształcenia młodzie-

Talmud wyraźnie przeczy iżby Mojżesz lub Eliasz rze-

ży i zapewnienia narodowi mężów, którzyby byli zdolni wskazać narodowi drogę religii moralności i cnoty, którzyby mieli odwagę stawać przed królami i oznajmiać im prawdę objawiającą się w posłannictwie Bożem, i którzyby umieli słowem i piśmem do serc swoich braci skutecznie zakolać. Szkoły te rozpowszechniły się po całej Palestynie. Poprzednio bowiem istniała tylko jedna w Ranie, mieście stałego zamieszkania Samuela, później zaś znajdujemy już wzmianki o szkołach proroczych w Gilgalu, Betelu i Jerycho. Uczniowie przemieszkowali w odosobnionych zabudowaniach i stołowali się wspólnie, również odznaczali się i odzieżą. Ze szkół tych rozpowszechniły się poezya, muzyka i liryczne śpiewy w Izraelu.

Wszakże nie wszyscy późniejsi prorocy byli wychowancami tych szkół. Amos o sobie mówi: Nie jestem ja prorokiem ani pochodzę z młodzieży proroczej, ale jestem pasterzem wołów i uprawiam morwę.

Przymioty wymagane po proroku, były: mądrość, cnota, łagodność obyczajów, znajomość nauki i wiedzy, zamiłowanie prawdy, niekłamana pobożność i szczerłość w obcowaniu z ludźmi. Takie bowiem tylko zalety mogły mu zjednywać powagę i uznanie u ludu. Takich to mężów Bóg powoływał, obdarzał natchnieniem i namaszczał na przewodników narodu, na radców królewskich; oni to byli filarami Zakonu, krzewicielami wiary i nauki, przestrzegaczami moralności i obyczajności. Ufni w posłannictwie Bożem stawali bez obawy przed monarchami, wyrzucali błędy osobom choćby najwyższe stanowisko w narodzie zajmującym.

Z zaparciem samego siebie wyrzucali narodowi zdrożności, grozili gniewem bożym i zagładą, uczyli i napominali w słowach ognistych, wystawiali się na szyderstwa, obelgi i czynne pokrzywdzenia ze strony ludu, a na gniew ze strony możnych.

Trzy są główne punkta około których wszystkie mowy proroków się skupiały: 1e Wskazanie błędów, wyrzucanie grzechów i bezdroży w narodzie. 2e Zagrożenie karą i klątwą Bożą za te przewinienia. 3e Słowa pociechy oznajmionej w imieniu Boga, który obiecał, iż w końcu ulituje się nad swoim ludem, obdarzy go pomyślnością i swobodą i ukarze jego prześladowców.

Mowy te proroków, różnią się między sobą stosownie do charakterów ich indywidualnych, do czasu w którym każdy z nich żył, do stanowiska, jakie lud za jego czasów zajmował, do miejsca zamieszkania proroka, stosownie do stopnia jego wykształcenia, oraz obszaru nauki i wiedzy jaką posiadał. Co do dwóch pierwszych okoliczności, mowy proroków są wyraźne, obrazy jasne, wyrażenia dla wszystkich dostępne i zrozumiałe; wszakże co się dotyczy przyszłej szczęśliwości narodu przepowiedzianej w imieniu Bożem, tam nie należy szukać ani jasności, ani zgodności w prorocत्वach, albowiem wszystkie podane są w przenośni, w allegoryach, pod postacią tajemniczości, niedostępnej dla profanów.

czywiście weszli do nieba (1), również ażeby Majestat Boży zeszedł na ziemię niżej jak o dziesięć piędzi odległości.

Zrozumiemy lepiej filozofią religijną Talmudu, jeśli podamy kilka próbek z zawartych w tych księgach przypowieści ludowych pełnych znaczenia; tych aforyzmów i przysłów, które lepiej i dobitniej niż śpiewy uliczne cechują daną epokę i na nich zakończymy nasze badania. Sądziłiśmy stosowniejszém podać je na los szczęścia, tak jakeśmy je znaleźli, niż użyć ich do ułożenia systemu moralnego. Możemy czytelników zapewnić, żeśmy podane tu cytaty i wyciągi sami tłumaczyli z tekstu talmudycznego tak dosłownie, jak to być może.

— Bądź raczej prześladowanym, aniżeli byś miał być prześladowcą; postępuj w tej mierze za wskazówką P. Ś. Nie masz ptaka bardziej wystawionego na prześladowanie jak gołąb', a przecież Bóg go wyznaczył na ofiarę na swoim ołtarzu. Wół bywa napadnięty przez lwa, owca przez wilka, koza przez tygrysa, a Bóg powiedział: będziecie mi nosili ofiary nie z tych zwierząt które prześladują, ale z tych, które bywają prześladowane (2).

— Czytamy w P. Ś. (2 Ks. Mojż. 17, 11) że Izrael odnosił zwycięstwo, gdy w walce z Amalakami Mojżesz wznosił ręce ku niebu; czyliż to ręce Mojżesza powodują klęskę lub zwycięstwo? Nie! ale Biblia daje nam w tém miejscu wskazówkę, że ile razy Izrael spogląda ku niebu, podnosi oczy ku Bogu i upokarza swe serce przed swoim ojcem w niebiesiach, to może być pewnym Jego pomocy, w przeciwnym razie zginie (3).

(1) (Sukka 8). Jest to zdanie Rabi Josy. Utrzymuje on, że nie istota Boża zeszła na ziemię, ale natchnęła Swoim duchem ludzi wybranych. Również że żaden z ludzi nie wszedł ciałem do nieba, ale duchem wznosili się oni do Boga.

(2) (Baba Kama 93.) Żadna cnota nie jest tyle razy w Talmudzie powtarzana, żadna tak usilnie zalecaną jak *pokora*. We wszystkich innych radzi obierać drogę pośrednią między ostatecznościami, np. między skąpstwem i rozrzutnością zaleca środek, t. j. *hojność, wspaniałość*. Jedynie między pokorą a pychą Talmud nie zna pośredniej drogi, a to z obawy ażeby człowiek nie zбочzył w stronę przeciwną, t. j. ku pysze, dlatego zalecają trzymać się raczej ostatniego krańca, albowiem utrzymują, iż duma jest grzechem równym bałwochwalstwu.

(3) Rosz Haszana 29.

— Podobnież opowiada Biblia (4 Ks. Mojż. 21, 9); Mojżesz zrobił węża z miedzi, umieścił go na żerdzi, a jeżeli człowiek ukąszony przez węża spojrział na tę figurę, został uleczonym. Sądzićże że widok miedzianego węża daje, albo odbiera życie? Nie! ale ile razy Izraelici wznoszą oczy ku swojemu Ojcu w niebie, będą żyć, inaczej umrą (1).

— Czyliż Bóg ma przyjemność z mięsa lub krwi ofiar? pyta się prorok (2). Nie! On je raczej dozwolił niż nakazał (3). Z przynoszenia ofiar, mówi Bóg, wy odnosicie korzyść, a nie Ja. Objaśnia to Talmud następującem porównaniem: Syn królewski wdał się w niestosowne, rozwiozłe towarzystwo, tam przywykał do obrzydliwego jadła. Król tedy powiedział: niechaj mój syn jada przy moim stole a odwyknie od tego nałogu. Tak też Izrael w Egipcie przywykł do widoku ofiar noszonych bałwanom; tedy rozporządził Bóg: niechaj przynoszą ofiary na moim ołtarzu, a odwykną od bałwochwalstwa.

— P. Ś. nakazuje ażeby niewolnik hebrajski, który polubił swoją niewolę i nie chce korzystać z roku jubileusowego dla odzyskania swobody, miał ucho przebite do osady drzwi (4). Dlaczegoż? Gdyż toż ucho słyszało na górze Synai te wyrazy: „albowiem moimi mają być synowie Izraela sługami (5); *moimi sługami* znaczy“ ale nie *sługami sług*.“ Ten człowiek zaś wyrzeka się dobrowolnie swojej wolności, niechaj to ucho będzie przebite (6).

— Człowiek, który przynosi całopalenie w świątyni, będzie wynagrodzonym za całopalenie; kto przynosi ofiarę

(1) Rosz Haszana 29.

(2) (1. K. Sam. 15, 22). Samuel rzekł: ażaliż Bóg ma upodobanie w ofiarach i całopaleniach? (Psalm 50, 13) Czyliż jadam mięso wołów lub krew kozłat piję?

(3) (Jerem. 7, 22) Albowiem nie mówiłem waszym przodkom i nie nakazałem im przy wyprowadzeniu z Egiptu w przedmiocie całopalenia i zarzniętego bydła.

(4) 2, K. M. 21, 6. Tekst talmudyczny zapytuje: Czemuż ucho ma być za to przewinienie karane przed wszystkimi członkami ciała?

(5) 3 K. M. 25, 25.

(6) Kiduszyn 13. Ucho ma być przybite do drzwi, jako właściwego miejsca dla służalca.

z mąki, otrzymuje nagrodę za tęż, ale kto jest pokorny przed Bogiem i przed ludźmi, ten ma zasługę jakby wszystkie przynosił ofiary (1).

— Dziecko kocha swoje matkę bardziej, niż swojego ojca, obawia się zaś ojca więcej niż matki, dla tego P. Ś. kładzie ojca przed matką w przykazaniu będziesz *kochał* ojca twojego i matkę swoją. Matkę zaś przed ojcem, kiedy mówi: niechaj każdy obawia się swojej matki i swojego ojca (2).

— Błogosław Boga za złe, równo jak Go błogosławisz za dobre, z tą tylko różnicą, że za usłyszaną radosną wiadomość mówi się: błogosławiony niech będzie Bóg który jest dobrym i obdarza dobrodziejstwem, gdy zaś otrzymasz wiadomość smutną, to powiedz: błogosławiony niech będzie Sędzia sprawiedliwy (3).

— Nawet kiedy wrota niebios przeznaczone dla modlitwy, są zamknięte, to wrota łez są zawsze otwarte (4).

— Modlitwa jest jedyną bronią Izraela, bronią którą odziedziczył po swoich ojcach, bronią doświadczoną w tysiącnych walkach (5).

— Kiedy sprawiedliwy umiera, to na tém kraj cały ponosi stratę; drogi klejnot choćby zatracony zachowuje zawsze swoją wartość, gdziekolwiek przebywa, ale jego właściciel ma przyczynę do żalu (6).

— Życie człowieka jest cieniem, który przemija, mówi P. Ś. (Psalm 8, 9); o jakim to cieniu mowa? Czy to jest cień wieży lub drzewa? cień który trwa czas jakiś? Nie! jest to cień ptaka w jego locie: ptak ulatuje i nie zostaje ani ptaka ani cienia.

(1) Sanhed. 43. Talmud cytuje w tém miejscu psalm 51, 19: „Ofiary Boże, to duch skruszony.”

(2) Kiduszyn 32.

(3) Berachoth, 33.

(4) Berachot 32.

(5) Berach. 53. Talmud cytuje tu psalm 68, 14: „Skrzydła gołębiczy okrytej srebrem” i powiada: Izrael podobny do gołębiczy; jak ta nie obdarzona żadną bronią, i jedyne ocalenie swoje winna skrzydłom, tak Izrael nie posiada innéj broni jak modlitwę, ustępować powinien we wszystkich napaściach, tylko w Bogu szukać ma ocalenia.

(6) Sanhed. 113.

— Miszna powiada: wróć się do Boga na dzień jeden przed śmiercią (Abot 4, 2) a Talmud to w następujący sposób objaśnia: Pewien król zaprosił swoich sług na wielką ucztę, ale im nie wskazał godziny, w której będą zwołani. Jedni poszli do domu, włożyli swą święteczną odzież i oczekiwali u wrót pałacu, drudzy pomyśleli sobie: jeszcze czas, król nas uprzedzi, a tak zaniedbali się przygotować. Król zawezwał nagle swoich gości. Ci którzy byli przygotowani zostali dobrze przyjęci, nierozsądni zaś, przybyli w zaniedbanej odzieży, zostali haniebnie wypędzeni. Popraw się każdego dnia życia, z obawy ażebyś nie został zawezwany jutro przed sąd Boży (1).

— Koniec i cel wszelkiej mądrości to skrucza i dobre czyny (2).

— Człowiek, który się przez całe życie wystrzegał grzechów, nie będzie zajmował tak wysokiego stanowiska w niebie, jak ten, który zboczył z drogi cnoty i ze szczerym żalem na nią powrócił (3).

— Wynagrodzenie za dobre uczynki porównać można do daktyla, który jest słodki i prędko dojrzewa.

— Ostatniem błogosławieństwem umierającego mędrca udzielonem jego uczniom było: obyście się tyle obawiali Boga, ile się obawiacie ludzi. A gdy ciż objawili swe zdziwienie w zapytaniu: Rabi! czyż bojaźń Boga wyżej sięgać nie powinna? ten odpowiedział: zaiste, gdy człowiek ma wypełniać grzech, wówczas wystrzega się tylko oka ludzkiego, że zaś oka Bożego nigdy ujść nie można, będzie się tedy zawsze wystrzegał grzechu (4).

— Człowiek, u którego miara wiedzy przewyższa miarę cnoty, podobnym jest do drzewa mającego wiele gałęzi a mało korzenia, które przeto lekki wiatr wywrócić może. Ten zaś, u którego dobre czyny przewyższają ilość jego mądrości, podobnym jest do drzewa mającego stosunkowo więcej korzenia aniżeli gałęzi; tego też wszystkie wiatry na ziemi wywrócić nie zdołają (5).

— Kochaj swoje małżonkę jak siebie samego, czcij ją więcej niż samego siebie (6).

(1) Sabbat 153. (2) Berach. 17. (3) Tamże 34.
 (4) Tamże 28. (5) Abot 4, 5. (6) Baba Mecya.

— Kto żyje w bezżeństwie, ten żyje bez radości, bez pociechy, bez szczęścia (1).

— Jeżeli twoja małżonka jest małego wzrostu, to nachyl się ku niej i mów jej do ucha (2).

— Aniołowie boscy płaczą nad tym, który zapomina o miłości swojej młodości (3).

— Człowiek, któremu pierwsza żona umarła, doznaje równego nieszczęścia jakby świątynia za jego czasów została zburzoną; temu cały świat jest zaciemniony, pod tym nogi się chwieją, tego sąd nie jest tak jasny jak poprzednio (4).

— Przez kobietę błogosławieństwo Boże spływa na dom, ona to kształci, wychowuje i uczy dzieci dopóki one są małe, skrzętnością swoją dozwala mężowi dłużej w domu modlitwy i nauki bawić, ona oczekuje i przyjmuje go za powrotem, ona zachowuje dom w czystości i porządku, a błogosławieństwo Boże spływa na wszystko (5).

— Dla człowieka, który się żeni dla pieniędzy, dzieci staną się przekleństwem (6).

— Dom, który się nie otwiera dla biednych, otworzy się dla lekarza.

— Ptaki nawet w powietrzu pogardzają skąpcem (7).

— Ten co czyni jałmużnę bez rozgłosu, jest wyżej ceniony od Mojżesza (8).

— Bądź względny dla dzieci biednych, albowiem one stawają się filarami nauki (9)

— Niechaj cześć twojego bliźniego będzie ci tak drogą jak twoja własna (10).

— Rzucić się raczej w piec ognisty niżbyś się miał stać przyczyną czyjegokolwiek zawstydzenia (11).

Gościnność jest najistotniejszą częścią czci Bożej (12).

— Są trzy korony: korona zakonu, korona kapłaństwa i korona królestwa; ale korona dobrego imienia przewyższa wszystkie poprzedzające (13).

(1) Jebamot 62. (2) Baba Mecya 29. (3) Gitin. 90.

(4) Sanhedryn. 22. (5) Sota 21. (6) Kiduszyn 70.

(7) Sota 38. (8) Baba Batra.

(9) Nedarym 81. (10) Aboth rozdz. 1. (11) Berachot 43.

(12) Sabbat 127. (13) Abot. 4, 17.

— Dziesięć jest rzeczy kolejno silniejszych jedna od drugiej: kamień twardy, ale go żelazo kruszy, żelazo bywa topione przez ogień, ogień przez wodę gaszony; ta znowu przez chmury polykana zostaje, które wiatr rozprasza, ale się temuż ciało człowieka oprzeć zdoła, strach przejmuje ciało, wino rozpędza strach, sen usuwa wino, śmierć silniejsza od wszystkich poprzedzających, ale dobroczynność i śmierć zwycięża, gdyż tak powiada Salomon: „jałmużna ochrania od śmierci“ (Przysł. 10, 13) (1).

— Jaki jest najwłaściwszy środek unikania grzechu? Mię ustawicznie w pamięci te trzy okoliczności: wspomnij na twój początek, pomyśl o twoim końcu, a nadewszystko pamiętaj że masz zdać rachunek przed Królem królów Najświętszym, niech będzie pochwalone Imię Jego (2).

— Cztery rodzaje ludzi nie wejdą do raj: szyderca, kłamca, obłudny i oszczerca (3).

— Oszczerstwo jest morderstwem (4).

— Kogut i sowa oboje oczekują jutrzeńki. Światło, rzekł kogut przyniesie mnie radość, ale ty czemuż za niem tęsknisz? (5).

— Złodziej, w braku sposobności do kradzieży, uważa się za poczciwego człowieka (6).

— Jeżeli cię świat uznaje osłem, to nałóż sobie uzdę na szyję (7).

— Twój przyjaciel ma przyjaciela, a ten znowu swojego ma przyjaciela, nie powierzaj przeto swojej tajemnicy pierwszemu, jeśli nie chcesz ażeby się rozgłosiła (8).

— Pies idzie za tobą jeśli czuje że masz okruchy w kieszeni (9).

(1) Baba Batra 10. (2) Abot 3, 1. (3) Sota 42.

(4) Eruchin 16. Text brzmi: W Palestynie zwano oszczerstwo *językiem troistym*, albowiem zabija trzech: samego oszczercę, tego co oszczerstwo przyjmuje, a nakoniec osobę której się ono dotyczy.

(5) Sanhedr. 49, Rabi Samlui w objaśnieniu wiersza (Amos 5, 18) „Bida Wam, którzy pragniecie dnia Bożego, a na cóż *Wam* dzień Boży? Wszakże to będzie dzień ciemny, bez światła” chcąc dobitniej wyrazić różnicę między cnotliwym a bezbożnym podaje powyższe porównanie.

(6) Sanhed. 22. (7) Ned. 27. (8) Baba Bat. 39,

(9) Horojot 13.

— W czyjś rodzinie kogo powieszono, w tego obecności nie powiedz: powieś mi rybę (1).

— Wielbłąd chciał mieć rogi, a stracił za to i uszy (2).

— Żołnierze się biją, a dowódcy stają się bohaterami (3).

— Złodziej wzywa Boga, podczas gdy wyłamuje bramę Jego świątyni (4).

— Kobieta sześćdziesięcioletnia biega za muzyką, jak sześćioletnia dziewczynka (5).

— Kradzież idzie za złodziejem, a ubóstwo za żebrakiem (6).

— Kiedy wół jest już położonym, nie brak wówczas rzezaków (7).

— Kiedy twa noga jest obuta, zgnieć cierń (8)!

— Zejdź o stopień niżej dla wybrania żony, wznies się o stopień wyżej dla obrania sobie przyjaciela (9).

— Jeśli czujesz w sobie jaką wadę moralną, to wyznaj ją sam, a nie czekaj aż ci ją bliźni zarzuci (10).

— Uderz w bałwana, a jego kapłani zadrżą (11).

— Gdyby namiętności nie istniały, niktby nie chciał budować domu, poślubić kobiety, wydawać na świat dzieci, albo jakąkolwiek zajmować się robotą (12).

— Słońce zajdzie samo, i bez twojej pomocy (13).

— Świat nie może się obejść bez fabrykanta pachnideł za równo jak i bez garbarza, ale biada tym co się zajmują garbarstwem (dla zapachu) a szczęśliwi ci którzy przygotowują pachnidła (14).

— Zdanie głupca nie stanowi dowodu (15).

— Nie czyni się nikogo odpowiedzialnym za słowa wyrzeczone w chwili uniesienia boleścią (16).

(1) Baba Mecya 59. (2) Sanhedr. 106. (3) Berachot 53.

(4) Berach 63. (5) Moed Koton: 9. (6) Baba Kama 92.

(7) Sabbath 32. (8) Tamże Ale nie zabieraj się do tego z obnażoną nogą, bo i sobie szkodzisz i celu nie dopniesz.

(9) Jebamot 63. (10) Baba Kama 92. (11) Aboda Zara 17.

(12) Juma 69. (13) Erubin 56. Nie bierz się do dzieła przechodzącego twoje siły, ale zostaw je kompetentnym, oni tego i bez ciebie dokonają. (14) Kiduszyn 82. (15) Sabbath 104 (16) Baba Batra 16.

— Zdarza się, że jeden jé, a drugiemu każą odmówić błogoślawieństwo po uczcie (1).

— Człowiek, który posiada uczucie wstydu, nie łatwo zgrzeszy (2).

— Jest wielka różnica między tym który się wstydzi przed samym sobą, a tym który się wstydzi przed ludźmi (3).

— Dobry to znak, kiedy człowiek umie się rumienić (4).

— Więcej wskórasz, gdy trafisz w serce człowieka, aniżeli gdy stokrotnie go uderzysz (5).

— Jeżeli nasi przodkowie byli aniołami, tośmy ludźmi, a jeśli oni tylko ludźmi byli, tośmy w porównaniu z nimi bydłéta (6).

— Jeśli nieuk jest fanatykiem, to nie mieszka w jego sąsiedztwie (7).

— Jeśli chcesz się obwiesić, to obierz wysokie drzewo (8).

— Raczéj jedz cebulę i siedź w cieniu, niżbyś miał jeść tuczony gęsi i kapłony z uszczerbkiem twojego sumienia (9).

— Jedna moneta w próżném naczyniu, za lada poruszeniem allarmuje (10).

— Mirta nawet w pustyni zostaje zawsze mirtą (11).

— Kiedy dzbanek pada na kamień, biada dzbankowi, kiedy kamień pada na dzbanek, biada dzbankowi (12).

— Jeśli byk ma głowę pogrążoną nawet w żłobie, to wejdź na dach i pociągnij drabinę za sobą (13).

— Utrzymuj swoje życie choćby oprzątniem padliny na ulicy, jeśli sobie inaczej poradzić nie możesz, a nie powiedz: jam kapłan, jam wielki człowiek, ta pracaby mnie poniżyła (14).

(1) Megiła 12. (2) Nedarym 20. (3) Tamże 21. (4) Tam-

że 20. (5) Berachot 7. (6) Sabbath 112. (7) Pesachim 40.

(8) Tam. 113. Jeśli chcesz ażeby objawiona myśl znalazła uznanie, przypisz ją osobie znakomitój.

(9) Pesach. 114. Wyrazy *cebula* i *cień* są równobrzmiące, pierwsze *bocel* a drugie *b'cel*,

(10) Baba Mecya 85. Naczynie napełnione głosu nie wyda: „Dla czego dzwon głosu? bo wewnątrz próżny.”

(11) Tamże 31. (12) Makot 13. (13) Pesach 113.

(14) Tamże.

— Młodość jest wieńcem róż, starość wieńcem cierniowym (1).

— Ciesz się użyciem pięknego naczynia bogdaj tylko przez jeden dzień, choćby się ono nazajutrz miało i rozbić (2).

— Przyzwyczaj swój język do częstego: „ja tego nie znam” inaczéj nieraz w zakłopotanie wpadniesz (3).

— Serce naszych przodków było tak obszerne jak główna brama świątyni, serce ich następców tylko jak uboczne drzwi, nasze zaś serce jest zaledwo objętości ucha igły (4).

— Nie urząd to uzacnia człowieka, ale człowiek swój urząd uzacnia (5).

— Nie stanowi to, co sam o sobie mówisz, ale co drudzy o tobie mówią (6).

— Kot i szczur przy padlinie, zawierają z sobą przy mierze (7).

— Pies, w obcém miejscu, przez siedm lat czekać nie śmie (8).

— Kto się przechadza codziennie po swojém polu, znajdzie za każdym razem sztukę monety (9).

— Kto się wynosi będzie poniżonym, a kto się niskim uważa, będzie wywyższonym (10).

— Jeśli człowiek goni za honorem, ten przed nim ucieka, jeśli zaś unika zaszczytów, te za nim gonią (11).

— O tych, którzy nie prześladowają swoich prześladowców, którzy w milczeniu przyjmują obrazę, którzy czynią dobre dla miłości dobrego, którzy z uległością i spokojem przyjmują cierpienia, mówi P. Ś.: „A ulubieńcy Boga będą jaśnieć, jak słońce w godzinie południowej” (Sędziowie 5, 31) (12).

— Pycha jest grzechem równym bałwochwalstwu (13).

— Popełnij grzech raz i drugi, a ten ci się nadal dozwo loneym zdawać będzie (14).

(1) Pesach 113.

(2) Berach 28: powiedział to młody uczony przyjmując urząd wysoki, który przez krótki tylko czas piastował.

(3) Berach 4. (4) Erubiu 53. (5) Tamże. (6) Tamże.

(7) Megila 54. (8) Erubin 61. Człowiek w obczyźnie ma przeciwników. (9) Jebam 63. (10) Megila 13. (11) Erubin 13. (12) Sabbat 28. (13) Sota 4. (14) Juma 88.

Kiedy człowiek podupadnie, to każdy udaje jego pana (1).

Dwóch serdecznych przyjaciół może się zmieścić i na ostrzu miecza, dla poróżnionych zaś i łóżko szerokie na 60 łokci będzie za ciasne (2).

Galilejczyk jeden mawiał: Kiedy pasterz jest rozgniewany na trzodę, daje jej ślepego barana za przewodnika (3).

Dzień jest krótki, roboty dużo, robotnicy są leniwi, przeznaczona nagroda jest wielką, a gospodarz do pracy nagli. Nie ciąży na tobie wprawdzie obowiązek ukończenia całej roboty, ale też nie jesteś mocen zupełnego uchylenia się od niej. W stosunku do ilości wykończonej przez ciebie pracy, czeka cię nagroda, a gospodarz, który ciebie używa, wynagradza wiernie, ale wiedz, że właściwa nagroda dopiero w przyszłym życiu bywa wymierzoną (4).

Ostatnie to zdanie „nie jest twoim obowiązkiem ukończenie całego dzieła“ i t. d. uderza nasze ucho zarówno jako przestroga i jako pociecha.

Kiedy uczeni wchodzili do akademii, lub wychodzili z niej, mieli zwyczaj odmawiać krótką i rzewną modlitwę, do której czujemy potrzebę przyłączenia się w obecnej chwili; była to modlitwa dziękczynna za to, że doprowadzili swoje zadanie aż dotąd, oraz błagalna, żeby żadne zło nie wypłynęło z ich nauki, „ażeby uczniowie ich słów nie przyjmowali mylnie, ażeby nie zamieniali czystości na nieczyste, ażeby ich wykład był z przyjemnością przyjmowany przez Boga i przez ludzi (5).“

* * *

Tak zakończył niniejszą rozprawę uczony nieizraelita. Ja chętnie powtarzam za nim te same słowa, dodając tylko życzenie ażeby te karty były mile przyjęte tak przez moich współwyznawców jak i innowierców.

(1) Nedarym 41. (2) Tamże.

(3) Baba Kama 52. Mowa tu o gminie i przelożonym.

(4) Aboth 2, 20. (5) Berach. 28.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Mapa Francyi w trzech epokach. — Doktora Onimus „Rozprawa o systemacie nerwowym” (Revue de Philosophie Positive) — „Cadio” dramat ułożony z powieści George Sande przez Pawła Meurice. — Wiadomości literackie.

Księgarz Dumaine wydał mapę Francyi, nakreśloną jak słychać przez samego cesarza. Pojawienie się téj karty jest więc politycznym niż naukowym wypadkiem. Składa się ona z trzech *planszy* połączonych na jednym papierze; towarzyszy jej legenda, którą tu przytaczamy w dosłownym przekładzie, albowiem, cała ta publikacya płynąca z tak wysokiego źródła, na szczególną uwagę zasługuje.

„Te trzy mapy dają poznać powszechności położenie Francyi względem Europy, w trzech epokach różnych: za restauracyi, pod rządem lipcowym i za drugiego cesarstwa.

„1. Za restauracyi. Celem traktatów z roku 1815 było otoczyć Francją mocarstwami, które z pomocą swoich twierdz i pozycyi strategicznych stawiałyby ją w niemożności działania: na północ Hollandya, pańi Belgii, wznosi lub utrzymuje przeciwko Francyi twierdze: Maestrecht, Liège, Huy, Namur, Dinant, Marienburg, Philippeville, Bouillon, Charleroi, Mons, Ath, Meuin, Ypres, Nieupot, Ostende, Anvers, Tournay, Termonde, Audenaerde i Gand. Od Liège do Tryestu konfederacya germańska tworzy całość gotową połączyć się przeciw Francyi. Konfederacya ta, opiera się na twierdzach federalnych: Moguncyi, Landau i Luxemburga. Od strony południowo-wschodniej, Alpy już naszych granic nie strzegą. Piemont od téj strony jest przednią strażą Austrii, panującej nad półwyspem italskim; forty Lesseillon zamykają nam drogę przez górę Cenis.

„2. Pod rządem lipcowym rewolucya belgijska polepszyła naszą pozycyą. Twierdze wzniesione przeciw nam: Menin, Ath,

Mons, Philippeville, Marienburg zniesione traktatem z 14 grudnia 1831 roku. Rząd francuzki ufortyfikował Paryż i Lyon; stworzył okopy Langres i BÉfort, Rousses, i polepszył obronę twierdz wschodnich, mianowicie twierdzę Soissons, Sedan i Bitché. Piemont odrywa się od Austrii; ale konfederacja germańska poparta przez to ostatnie mocarstwo i Prusy, tworzy w 1847 roku aglomeracją 70.000,000 dusz. Twierdze federalne mające załogę mieszaną z Austryaków i Prusaków, powiększyły się Rastadt'em, uznanym za taką 16 marca 1842 r. W tej samej epoce, Ulm ufortyfikowany oddano strazy Wirtembergu i Bawaryi; fortyfikacje Germesheim'u wzniesione od 1836 r., powierzono wojsku bawarskiemu. Konfederacja germańska podzielona na dziesięć korpusów wojska z dywizją rezerwową, które w czasie wojny mogą wynosić około 460,000 ludzi. Wojska pruskie i austriackie z ziem leżących poza konfederacją, mogą powiększyć tę liczbę; w kampanii szlezwigskiej widziano bataliony Węgrów, Włochów i Kroatów, walczące obok Prusaków w imię narodowości niemieckiej.

„3. Za drugiego cesarstwa Francya od strony Alp odzyskała swoje naturalne granice; forty Lesseillon'u już jej nie tamują drogi na górę Cenis; Włochy wyswobodzone zostały z pod panowania Austrii. Na północ Hollandya zerwała więzy krępujące ją do konfederacji germańskiej przez Limbourg i Luxembourg. Konfederacja germańska rozwiązana została, twierdze federacyjne istnieć przestały. Moguncyą same Prusy zajmują; Landau i Germesheim należą do Bawaryi i przez nią są strzeżone. Rastadt zajmują wojska badeńskie; Ulm Bawarya połączona z Wirtembergiem. Prusy znacznie powiększone; ale ostatecznie równowaga europejska nie zniszczona z uszczerbkiem Francyi. Przed ostatnimi wypadkami, Prusy i Austria połączone, panie Niemiec, mogły nam przeciwstawić 80,000,000 ludzi powiązanych z sobą traktatami i potężną organizacją wojskową. Dziś mocarstwa otaczające Francyą, są niepodległe. Mamy na naszych granicach Belgią i Szwajcaryą, które są neutralne. Prusy z konfederacją północną liczą 30,000,000 dusz; państwa Niemiec południowych, związane wojskowo z Prusami 8,000,000; Austria 35,000,000; Italia 22,000,000.

„Francya, jednolita, ze swymi 40,000,000 dusz, licząc Algeryą, nie potrzebuje się obawiać nikogo.”

Wykonanie mapy objaśnionej powyższą legendą jest bardzo ogólne. Wyjąwszy Niderlandów (Belgia i Hollandya) wykonanych starannie, widzimy tylko rozgraniczenia polityczne, twierdze i biegi rzek. Osoby któreby z tej karty chciały poznać środek Europy, byłyby w błąd wprowadzone: Niderlandy wydałyby im się jedynie zamieszkałą strefą. Reszta wydaje się obszerną pustynią najeżoną twierdzami, albo też ogromnym placem boju. Twierdzę uważane za przeciwne Francyi, grubo ozna-

czone na pierwszej karcie kolorem żółtym lub brunatnym, który się ciągnie od Dalmacyi, skraju północnego Księstw Schleswig-Holstein i Båle, do skraju północno-wschodniego Prus. Obok téj masy żółtej, stoją na północnym zachodzie, Niderlandy, uważane za przednią straż; na południu i południowym wschodzie, posiadłości nie germańskie Austrii. Te dwie grupy pomocnicze, są pociągnięte zieloną farbą.

Na drugiej mappie, wielka masa środkowa istnieje zawsze, ale Belgia z zielonej stała się czerwoną, co znaczy że się oderwała od systemu koalicyi.

Na trzeciej karcie, widzimy Francją powiększoną Sabaudją i departamentem Alp-nadmorskich. Wielka masa środkowa przeciwnie, skurczyła się o połowę, co pojąć łatwo, ponieważ przedstawia już tylko konfederacją północną. Austria równo powleczone kolorem nadziei, a fijołkowy odznacza trzy państwa Niemiec Południowych.

To rozłączenie Południowych i Północnych Niemiec nie dostatecznie usprawiedliwione w systemie mappy. Co chce ona wykazać? Wagę sił. Wbrew swéj całkiem pokojowej legendzie, wychodzi jednak z przypuszczenia wojny, wojny z Prusami, Owóż, w tém przypuszczeniu, niemożna odróżniać Południa od Północy, skoro z nią połączone traktatem odpornym i zaczepnym. Toż uznaje legenda, w tym punkcie nie zgodna z mappą.

Weisnęły się także do téj karty błędy, które za omyłki druku uważać trzeba. I tak: miasta Munster i Koesfeld w Westfalii, Båle w Szwajcaryi, Gand w Belgii, nie są fortecami. Fortyfikacye munsterskie wślawiła wojna anabaptystów, ale od owego czasu już o nich nie słyszano.

W Przeglądzie filozofii pozytywnej (*Revue de philosophie positive*) doktor Onimus ogłosił ciekawy artykuł pod tytułem: „*De la vibration nerveuse et de l'action reflexe dans les phenomènes intellectuels.*” Rozprawa ta może zająć nie tylko lekarza, ale każdego kto chce wiedzieć jak dziś stoi odwieczna kwestya stosunku fizyczności z moralnością. Wielki ten problemat nie jest rozwiązany, ale formuła jego odmienna, co też nie jest rzeczą obojętną, gdyż w ograniczoności istnieje stopniowanie: jeżeli przyczyna pierwotna zawsze nieznaną, warto poznać chociaż przyczyny podrzędne.

Pan Onimus, dość już mający rozgłosu, uczeń Robin'a, nie należy do wyznawców filozofii spirytualnej, jaką w Paryżu wykładają z katedr urzędowych. Reakcyja zawsze równa akcyi. Filozofia zbyt pogardzająca nauką ścisłą, musiała wywołać wykład naukowy gardzący metafizyką. Mniejsza o ostateczności: te zawsze odpadną; gniewy i sprzeczki przemijają, zostaną fakta, odkrycia rozbiory, z których każdy może się czego nauczyć. Kto chce po-

znać prawdę, musi poznać wszystkie doktryny. Mniejsza o nazwy wojujących z sobą uczonych: zwykle one kłamliwe. Czyż nie duchowiejszy w prawdziwem znaczeniu tego słowa: ubogi, pracowity lekarz, co życie trawi bez uciech, na badaniach prawdy, z których żadnej nie ma osobistej korzyści, od takiego profesora spirytualizmu, który jedynie zajęty swoim awansem, łaknie sławy i znaczenia?

Ale wróćmy do memoriału pana Onimus i powiedzmy czego dowodzi.

Wiadomo że są dwa rodzaje nerwów: nerwy *czujące*, które niosą wrażenia do nerwowego środka, i nerwy *motory*, które powracając od środka nerwowego do rozmaitych mięśni powodują ruchy. Czynność odwrotna: jestto przeobrażenie prądu nerwowego *czujnego* w prąd nerwowy *poruszający*, dokonany bez pośrednictwa woli. Odlącz, naprzykład w żabie, szpik mózgowy, żeby zniszczyć wszelkie działanie mózgu dobrowolne; ściśnij jej jedną nogę, a zwierzę wnet ją cofa... jeżeli mocniej przyciśniesz, inne członki też się kurczą: żaba czyni automatycznie wszelkie ruchy, któreby czyniła ze swej woli gdyby ją miała.

W szybkim ciągu zjawisk, jest tylko przeobrażenie sił. Wibracja nerwu czulego udziela się komórkom nerwowym, a z tych przechodzi w nerwy, motory z którymi te komórki mają związek.

Każdą komórkę nerwową Onimus porównywa do biura telegraficznego, które odbiera i wysyła depesze. Komórka jest więc głównym żywiołem systemu. Anatomowie nie dostrzegają żadnej różnicy pomiędzy nerwem *czulym*, a nerwem *motorem*, podobnie jak nie można rozróżnić w biurze telegraficznem który drut idzie na północ, który na południe, który na wschód lub zachód. Ale komórki nerwowe mają rozmaite kształty, wedle tego ile się do nich nerwów schodzi: jedne są większe, drugie mniejsze, grubsze służą do ruchu, cieńsze do fenomenów uczucia.

Jest kilka sposobów komunikacji w systemie nerwowym. 1-e. komórki nerwowe w szpiku utrzymują wrażenie i odpowiadają na nie ruchem, którego wibracja do mózgu nie dochodzi. Zatem ruch był bez udziału woli. Jestto ruch odwrotny. 2-e. komórki mózgowie powodujące ruch samowiedny.

Skoro komórki mózgowie funkcyonują, mogą się pojawić trzy różne zjawiska: prąd może być w *górze idący*, to jest i e od organów zmysłów do mózgu. Z tymi prądami wiąże się wpływ fizyczności na moralność. Prąd może iść z *góry na dół*, to jest być przez mózg odbity na nerwy: ztąd pochodzi wpływ moralności na fizyczność. Nakoniec, mogą iść prądy od jednej do drugiej komórki mózgowej. Ta ostatnia klasa prądów przedstawia zjawiska umysłowe, rozumowanie, połączenie myśli, i tem podobne rzeczy.

Zaczynam od pierwszej klasy prądów.

To co zwieemy *objęciem*, *pojmowaniem*, nie jest czem innem tylko transformacją prądu nerwowego w *górze idącego*, w ruch

mózgowy. Komórki mózgowe t \acute{e} m si \acute{e} r $\acute{o$ znią od kom $\acute{o$ rek szpiku kości pacierzowej, że mają poczucie swojej czynności: komórka mózgowa, jest jak działający który otrzymuje depe $\acute{s$ ę i ma wolno \acute{s} ć odpowiedzenia na ni \acute{a} , jak mu si \acute{e} podoba. Komórka szpikowa zawsze daje jednaki \acute{a} odpowiedz na jednaki \acute{e} zapytanie.

Zk \acute{a} d ta r $\acute{o$ znica? Zt \acute{a} d, że komórki szpikowe s \acute{a} bezwładne, nie s \acute{a} punktami wyj \acute{s} cia pr \acute{a} d $\acute{o$ w *schodzących*, nie zdolne zrównoważyć pr \acute{a} d $\acute{o$ w w g $\acute{o$ rę idących.

To co zwiemy *wol \acute{a}* , jest przeciwnie zdolno \acute{s} ci \acute{a} regulowania, zmniejszania, zatrzymywania, a nawet niweczenia skutku pr \acute{a} d $\acute{o$ w spowodowanych przyj \acute{s} ciem pr \acute{a} du w g $\acute{o$ rę idącego.

Skoro dwie wibracye nerwowe id \acute{a} w kierunkach odwrotnych, zawsze tylko silniejsza działa. Wola może wi \acute{e} c walczyć z ruchem szpikowym który nerwy przynoszą do mózgu. ale tylko do pewnego stopnia: jeżeli rozdrażnienie zbyt wielkie, komórki mózgowe nie mog \acute{a} regulować ruchow. Wola naprzykład, daremnie usiłuje walczyć w zbyt żywym lechtaniu; wibracya mózgu nie moze takżę zatrzymać spazmów powodujących morsk \acute{a} chorobę. Jednak, widzimy czasem wszystkie te pr \acute{a} dy motory, zatrzymane nagle silnym bardzo ruchem mózgu, przerażeniem, gwałtown \acute{e} m wrażeniem, kaźdym nadzwyczajnym wysiłkiem mózgu.

Zazwyczaj, powiada Onimus, wibracya spowodowana swobodn \acute{a} czynno \acute{s} ci \acute{a} kom $\acute{o$ rek mózgowych, jest najmocniejsza, g $\acute{o$ ruje nad wibracyami nerwowymi spowodowanymi czuciem cielesn \acute{e} m. Ale czynno \acute{s} ć mózgu nie jest ci \acute{a} gl \acute{a} . Nadto, jest klasa pr \acute{a} d $\acute{o$ w nerwowych prawie zupełnie z pod wplywu jego wyjętych. Naprzykład nerwy organów żołądkowych, wyjęte z pod r \acute{a} du mózgowego; mózg, przeciwnie, ich tyranii ulega: doznaje wszelkich wstrząsni \acute{e} n w \acute{e} trznosci, w \acute{a} troby, żołądka; trawienie wplywa na charakter, na wyobrażni \acute{a} , na wolę, zbyt \acute{n} ia wstrzemięźliwo \acute{s} ć lub nadużycie, zostawia ślad na wszystkich władzach mózgowych.

Wrażenia zmysł $\acute{o$ w dostarczają wiecznego pokarmu czynno \acute{s} ci umysłowej. Umysł żyje wrażeniami: kolory, dźwięki, obrazy kształty, temperatura, klimat, woń, wszystko co moze spowodować wstrząszenie mózgu, wywiera wplyw bezpo \acute{s} redni na równowagę tajemniczego świata, który jest zamknięty w ciemności i ci \acute{a} ży czaszki.

Przejdźmy teraz do wibracyi *schodzącej*, czyli do wplywu moralno \acute{s} ci na fizyczno \acute{s} ć.

Powiedzieliśmy że pr \acute{a} d nerwowy *schodzący*, moze zniweczyć lub przeciwważyc pr \acute{a} dy w *g $\acute{o$ rę idące*. Oto fakta na poparcie tego zdania. Wibracya mózgowa działa wprost na w \acute{e} trznosci: strach daje rozwolnienie; wzruszenie d \acute{a} wi nie \acute{s} miałego m $\acute{o$ wcę; obawa morskiej choroby sprawia nieraz przedwczesne wymioty, myśl o potrawie zastępuje ją i ślinę do ust pędzi. M $\acute{o$ zg rozkazuje kr \acute{a} żeniu krwi. przyspiesza je lub op $\acute{o$ źnia, sprawia rumieniec lub b \acute{l} ado \acute{s} .

Wibracja mózgu jeszcze więcej bezpośrednio działa na muskuły życia zwierzęcego: nie ma namiętności, pożądliwości, myśli, któraby nie miała swojego wyrazu muskularnego. Gratiolet napisał książkę o tej mimice natychmiastowej którą zwiemy fizyognomią. Twarz jest zwierciadłem, w którym widać przechodzące wszystkie światła i cienie życia wewnętrznego. Muskuły twarzy nie same jedne słuchają ustawicznie impulsy umysłu: całe ciało, ręce, nogi, palce, stosują swoje ruchy i położenie do stanu myśli.

Skoro wibracja mózgu staje się bardzo silna, człek żyje więcej wewnątrz niż zewnątrz: prądy w *górze idące* są niby odepchnięte przez prądy *schodzące*. Głębokie zamyślenie usuwa obrazy i dźwięki; w bojowym rozognieniu nie czuć ran. Chorobliwem podzeganem wibracji mózgowych Onimus tłumaczy większą część zjawisk uważanych za cuda.

Doświadczenie pokazało, że myśl sama, *bez woli*, działa na ruchy muskularne. Pierścionek trzymany na nitce w ręku, będzie kołował, jeśli trzymający myśli że ma się ruszać. Myśl, że przedmiot trzymany ma się ruszać, wystarcza ażeby jemu udzielić ruch; dość pomyśleć że się zatrzyma, żeby stanął.

W roku 1784 komissya uczonych pomiędzy któremi był Lavoisier, Franklin i Darcet, badała magnetyzm zwierzęcy. Skoro człowiekowi z zawiązanymi oczyma powiedziano że go magnetyzują, doznawał wpływów, którym przywykł podlegać; skoro go magnetyzowano kiedy się tego nie domyślał, pozostawał nieczuły. Kobieta z zawiązanymi oczyma siedzi: powiadają jej magnetyzer przyszedł; udają że mówią do nieobecnego i proszą żeby zaczął magnetyzować: magnetyzera nie ma. Kobieta w trzy minuty drży, mdleje i usypia.

Wyobraźnia ma wpływ ogromny na osoby nerwowe. Wiedzą o tym lekarze i w potrzebie tego tylko jedynie środka używają. Dzieje konwulsjonistów dostarczają wymownych na to dowodów. Myśl wyteżona ciągle w jednym kierunku, doprowadzić może do nieczulości ciała, a przynajmniej może uczynić ból znosijszym. Tym fenomenem nerwowym Onimus tłumaczy siłę, z jaką mężczyźnicy wytrzymują tortury: myśl stała wyrwa człowieka z jego natury, nakazuje jej nieczulość.

Teraz jeszcze słów kilka o czynnościach nerwów mózgowych, tych które nie są ani w *górze idące*, ani *schodzące*, ale pozostają zamknięte w świecie mózgowym.

Czem jest pamięć? Oto w tym przedmiocie mówi Onimus:

„Pamięć zawdzięczamy własności jaką mają komórki mózgowe konserwowania przez czas mniej więcej długi, wrażeń czynników zewnętrznych, które podziały na nie.” Doktor Luys porównywa tę własność mózgową do fosforescencji. Niektóre ciała mają dar rozpościerania w ciemności światła, którym się napoiły na słońcu. Podobnie mózg wspomnieniami świeci. Ale ciała

błyszczące nie mają daru zatrzymywania i wydawania dowolnie światła, kiedy pamięć jest jak skłód w którym wola może szperać. Nasze komórki mózgowe mogą wibrować albo nagle, ale pod wpływem woli.

Pamięć, będąc związana z pracą i ze stanem galaretowatości, musi przechodzić koleje całego organizmu. Giętka i łatwa u dziecka, płochliwa także i zbyt chwytna, pamięć u dorosłego staje się sztywniejsza, mniej posłuszna. Ćwiczenie rozwija pamięć tak jak rozwija mięśnie ciała. Starość niszczy najświeższe wspomnienia, a odżywia najdalsze, dziecinne. Fakt ten usprawiedliwia brutalne porównanie pamięci do wydobywania się gazów palnych ze zgnilizny: wrażenia, obrazy, przez długie lata leżą pogrzebane w ciemnej głuszy myśli; kiedyś, niespodzianie z niej wytryskają świeże i żywe jak kiedy w mózg wpadły. Wspomnienia szczęścia, są jak medale złote zamulone biegiem rzeki: wydobał je, a błysną wnet jak nowe, z pod stępla wypadłe.

Ruchy mózgu powodujące idee, czy całkowicie zależą od woli? W izbie mózgu są echa budzące się wzajemnie; ale idea jest wynikiem objęcia. Idea raz utworzona, pozostaje w umyśle jak ciągle gość. Onimus twierdzi, że zniszczoną być nie może. Wychowanie, nagromadzenie objęć i pamiątek, zaprowadza pewny krój umysłu, przepuszczający mniej więcej wyobrażenia nowe, obce.

Odnajdujemy tu prawo wibracji nerwowej: wibracja najsilniejsza wzbrania czynności wibracji słabszej. Człowiek przejęty prawdą systematu, nie przepuszcza nic co jemu przeciwne. Wyobrażenia które wychowanie składa w rodzącym się umyśle, są nie zatarte. Hugo to pięknie wypowiedział w następującym czterowierszu:

„Le coeur de l'homme vierge est un vase profond:
Lorsque la première eau qu'on y verse est impure,
La mer y passerait sans laver la souillure,
Car l'abîme est immense et la tache est au fond.”

„Inteligencya nasza, powiada Onimus, pochodzi z całości wibracji komórek mózgowych. Każda grupa komórek daje swoją wibracją, jak w orkiestrze każdy instrument daje swoją.” W tym miejscu nasuwa się pytanie, gdzie jest kapelmajster? Co jest ten koncert, w którym każdy instrument wibruje osobno? Onimus mówi wprawdzie o woli, uznaje że *środku* mózgowie mają czynność doraźną. Jednak, po tych słowach prześlizguje się lekko, nie tłumaczy co powoduje te prądy które wewnątrz mózgu biegają od jednej do drugiej komórki. Pamięć, wedle jego definicji jest tylko przedłużoną wibracją; objęcie wibracją obecną; idea wynikiem kilku objęć; sumienie utwarzają idee. To punkt ważny.

„Nie ma w nas zdolności specjalnej, któraby *a priori* dozwalała nam rozróżnić dobre od złego” mówi Onimus. Ideał mo-

ralny zmienia się wedle wieku, rasy, uprawy umysłu. Sumienie republikanina całkiem inne, jak sumienie legitymisty. Onimus te fenomena wskazuje, ale w nie nie wnika, słowami zbywa, daje formułę fizyczną moralnemu zdaniu."

Mówiąc o śnie i marzeniu i lunatyzmie, staje się dokładniejszy. To można łatwiej wytłumaczyć bez interwencji ducha. Powyższe stany człowieka są spowodowane prądami wewnętrznymi, nie wyzwanymi zewnątrz. Sen jest naprawczą funkcją mózgu, dlatego właśnie, że przez ten czas myśli wymykają się wysiłkowi woli; atoli, próżnia nie dzieje się w umyśle: obrazy wstają, suną jak cienie chińskie w czarnoksiężkiej latarni, i równie mechanicznie. Wtedy cała czynność mózgowa: odzwierciadlanie bez działania woli.

Stowarzyszenie myśli staje się poniekąd materialniejsze. Logika, rozsądek, już nie trzymają idei w brzdzie rozumowania. Nie ma łańcucha myśli: rozkiełznana, pędzi gdzie chce. Dzwonek pokojowy przypomina Zygmunta, Zygmunt Kraków, Kraków Wandę, Wanda Niemca, Niemiec Krzyżaka, Krzyżak Wallenroda i t. d. Toż samo dzieje się w lunatyzmie. Tylko że u lunatyka jeden środek mózgowy więcej niż wszystkie inne południowy, staje się manią, namiętnością przeważną. W obłąkaniu odnajdujemy to zapalenie jednego środka nerwowego, ale w stanie chronicznym, równowaga harmoniczna wibracji nerwowych zerwana.

Onimus chciał zadość uczynić życzeniu, które wyraża professor Bernard mówiąc o harmonii łączącej dwie części systemu nerwowego. „Pewny jestem, pisze Bernard w swojej *Fizyce Doświadczalnej*, że ciemność otaczająca badanie experimentalne zjawisk psychologicznych, pochodzi jedynie z trudności przedmiotu. Pomimo natury cudownej i delikatności objawów, można zjawiska mózgowie wytłumaczyć i oznaczyć naukowo, jak wszystkie inne zjawiska ciał żyjących.

Uczony fizyolog nie stworzył jednak teorii dla tych zjawisk. Onimus śmielszy usiłował stworzyć teorię. Ale czyż to teoria? Pokazuje on mózg pełen komórek, każda z nich komunikuje z zewnętrznym światem przez czucie, komórki komunikują także z sobą i mają czynność doraźną. Dobrze. Ale Onimus nie tłumaczy jak *objęcie* myślą się staje? nie tłumaczy co to jest wola? ta potężna energia mózgu, która rządzi i pamięcią i stowarzyszeniem myśli. Nie tłumaczy, jakim sposobem, pomimo lokalizacji *objęć*, pomimo rozeznaczenia materji mózgowej, rozproszenia prądów nerwowych które ustawicznie biegają w ciemnicy mózgu, jakim sposobem zaprowadza się w naszym umysłowym jestestwie poczucie tak silnej, tak stałej, tak niezachwianej jedności?

Tego nie tłumaczy. Maszynista prowadzący całą tę skomplikowaną maszynę ciała ludzkiego, zostaje zawsze tajemnicą. Nauka go nie wykryje, jeżeli nie przypuści czegoś więcej nad to co

zobaczyć można oczyma ciała. Kiedyż się zjawi uczony z oczyma duszy? Kiedyż przyjdzie professor, który na czele swoich naukowych wykładów zjawisk mózgowych, zapisze, z małą odmianą słowa Szekspira: „Są rzeczy, o których się nie śniło fizyologom.”

W teatrze Porte-Saint Martin przedstawiono „*Cadio*” dramat przerobiony z powieści pani Sand przez Pawła Maurice. Jeszcze nam brzmiały w uszach oklaski które wybuchły na pierwszej reprezentacji skoro kurtyna zapadła. Publiczność zdawała się uszczęśliwiona; za kulisami obiecywano sobie długie powodzenie. Pani Sand zastała w swoim salonie mnóstwo bukietów i stos listów z komplementami. Prawdy, jak wszyscy monarchowie, dowiedziała się później, kiedy już jej niepodobna wzbroniono przystępu. Na ulicy już ona nazajutrz objawiła się w następujących dyalogach:

— A cóż *Cadio*?

— Ha! oklaskany.

— Warto to widzieć?

— *Dam, si Vous Voules, à cause de George Sand.*

Mądrzej głowie dość na słowie. Co wieczór mniej przychodziło widzów. Na dwudziestą reprezentacji były pustki.

Wielką wadą sztuki pani Sand, że nudna: nie ma jednej sceny odstającej od szarego tła dramatu. Intryga powszednia. Rzecz dzieje się w Bretanii w czasie wojny Chouanów z rzeszopolitą. Niejakiś Saint-Gildas, jeden z wodzów partyzantki, korzystając z zamieszek, rabuje serca. Wpadła mu w oko hrabianka Jacqueline, której ojca namówił do buntu. *Don Juan de Village* nie udał się pani Sand. *Don Juan de Casarne* nie powabniejszy. Może to skutkiem tego, że go przedstawiał sławny niegdyś tenor Roger, dziś inwalida bez ręki. Biedny Roger! niegdyś tak wytworny i rozczulający w operze, teraz w roli Lowelasa myślał tylko o tem jak kierować drewniane ramie. Widok smutny.... Pojąć trudno jak biegli nie dopatrzyli na próbach, że człowiek w wieku Rogera takiej roli jedną ręką nie udźwignie.

Owóz tego mordercę sero niewieścich kocha namiętnie młoda wieśniaczka, rodzaj małej Fadetki. Ta, napół z zazdrości a pół przez poświęcenie dla córki swoich państwa, poprzysięgła czuwać nad honorem panny Jacqueliney. Fadetka ma w sztuce swojego Fadeta, jeżeli tak wyrazić się wolno dla określenia rodzaju. Jest nim *Cadio*, prosty Breton długo-włosa. Fadetka kocha bezwiednie Saint Gildasa. *Cadio* również bezwiednie kocha pannę Jacquelinę. Cała akcja w grze tych uczuć dziwnych: pasterza dla szlachcianki, pasterki dla szlachcica. Obie te namiętności bez samopoznania, publiczność musi odgadywać.

Dwa takie typy czysto romansowe, to dla sceny zbyt wiele. Patrząc na te wcielone mrzonki, widz nie wie na jakim świecie

zyje... Zdaje mu się iż z zawiązanemi oczyma został przeniesiony w jakieś przestwory, w których już tylko słycać szelest skrzydeł anielskich... Wtém nagle przybywa Roger prozaiczny z Chouanami... Poetyczne figury trzeba koniecznizie mięszać z akcją prozaiczną. W teatrze taka ciągła sprzeczność podwójnie razi.

Cadio wieśniak naiwny przez trzy akty, w czwartym nagle się przeobraża w żołnierza i bohatera rzeczypospolitej. Katastrofa wnet nadchodzi.

Konwencya wysłała jednego z członków z wojskiem dla złamania zbuntowanej Bretanii. Ten przybywszy ściga podżegaczy wojny domowej. Jacqueline z ciotką zapisana na czele listy buntowników. Obie przebrane za chłopki ukrywają się w chacie wieśniaczej. Spozstrzega je delegat i bada. Odpowiadają że są z tej wioski: jedna narzeczona Cadia, a druga mera gminy, za którego uchodzi Saint Gildas. „Dobrze, odpowiada delegat: niechże ich natychmiast pozenia, albo każę wszystkich rozstrzelać.”

Decyzya przypomina wykrzyknik Shabohama: „bawcie się! bo jeżeli nie, każę was wbić na pal!”

Co tu począć? Wielka rzecz! woła jeden z interesowanych: ślub cywilny, to nie małżeństwo; lepiej się tak ożenić jak dostać kulą w łeb.

Jak rzekli, tak zrobili. Ale nie na tém koniec. Jacqueline wzięwszy ślub cywilny z Cadiem, ucieka z Saint Gildasem, który się z nią żeni w kościele, ale łotr wybrał złośliwie proboszcza republikańskiego. Owóz, taki ksiądz, wedle pojęć panny Jacqueline nie ma prawa błogosławić małżonkom. Słowem, że po dwóch zainęzcziach, jeduém uświęconém przez prawo, a drugiem przez religią, szlachecianka jeszcze nie czuje się dostatecznie zamężną i uchodzi za wolną.

Czy to bajka—czy prawda? Jeżeli wymysł, to pocóz zmieszany ze szczegółami wziętymi z rzeczywistości? Jeżeli autorka chciała malować epokę, to pocóz w niej pokutują widma wyjęte z fantastycznych powieści Hoffmana?

Wyszedł XVII tom dzieł zupełnych Proudhon'a. Pod tytułem: „*Melanges*” zawiera artykuły ogłaszane w 1848 i 1849 roku w *Reprezentancie ludu* i w *Ludzie*.

— Ksiądz Felix Carrier wydał w dwóch tomach dzieło p. t. „*La Vraie Religion*” Autor jest uczniem Lacordaira, usiłuje pogodzić postępek z przepisami kościoła. Arcybiskup paryzki poleca to dzieło pilnej uwadze wiernych.

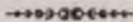
— Edward Schuré, Francuz, wydał w Paryżu we francuskim języku „*Historya pieśni gminnej germańskiej*.” Książka napisana znakomicie, pod każdym względem na uwagę zasługuje.

— Arystydes Roger opisał świat niewidzialny gołém okiem, p. t. „*Niewidzialne potwory*.” Poprzekładana obrazkami, książka należy do lepszych publikacyj edukacyjnych.

— Pani Ludwika Colet napisała książkę p. t. „*Les Derniers Abbés*.” Jest tam opis stosunków Liszta ze Stolicą Apostolską, mający usprawiedliwić zapowiedziane zrzucenie habitu mniha-artysty.

— Flatów wykończa operę p. t. *Cien* (l'Ombra), która będzie przedstawiona w operze komicznej, jeszcze w tym roku.

— Juliusz Lermina napisał „*Historią nędzy*.” Autor bada warunki proletaryatu przez długie wieki, uwidomia gwałty i nadużycia. Później, pomówimy obszerniej o téj książce: przedmiot nędzy, niestety, zawsze na czasie.



RODZINA LEKARZA.

PAMIĘTNIK.

(Wyjęty z Chronicles of Carlingford).

Rok temu, dzień w dzień, godzina w godzinę, wyszedłem z małego domu przy ulicy Grove-Street, z rozpaczą w sercu, mieniając się nikczemnym i mówiąc sobie zarazem, że dobrze zrobiłem nie ożeniwszy się z panną Bessie Christian. Mielibyśmy się z pyszna! Ona z dwojgiem starych rodziców, których przy całej pracy i oszczędności zaledwie wyżywić mogła, a ja, młody lekarz jeszcze nieznaną, poszukujący wątpliwą praktyki, nie mający nawet śmiałości tytułowania się doktorem medycyny, który to stopień prawnie przecież nabyłem,—a to iżby nie odstraszać pacjentów perspektywą zapłaty po gwinei za wizytę według taryfy. Walka już i tak uciążliwa, którą staczam w Carlingford przeciw wpływowi nabytemu i ustalonej wziętości doktora Marjoribanksa, byłaby wtedy literalnie nad moje siły. Ten stary zacofany szkot, ze swoją drobniawą nieświadomością, z tą chytrą prostotą, fałszywą dobroduszością i z tą złotą tabakierą w której co chwila palce macza, siłą obyczaju zdobył sobie protekcję na Grange-Lane, naszej arystokratycznej ulicy, tak że ja nie mam nic lepszego jak trzymać się opodal jego dzielnicy, w częściach miasta nowo zabudowanych i zaludnionych nowo-przybyłymi równie jak i ja.

Z tłem wszystkiem nie mogłem wczoraj bez przykrego wrażenia być świadkiem zaślubin Bessyi Christianównęj. Daremnie szukałem na tej pięknej, jasnej twarzy wyrazu żalu, któryby odpowiadał mojemu: była spokojna, uśmiechnięta, pogodna. Kiedy ją powitałem imieniem „pani Brown,” cera jej się nie ożywiła, usta jej nie zadrgały, w jej spojrzeniu nie było ani żalu ani tryumfu. Mówiła pewnie do siebie to samo o mnie co i wielu innych;—Oto dusza pospolita i słaba, która nie posiada ani odwagi bohaterów, ani rezygnacji męczenników. Zajęty mną, ubolewający nad moją nie-

szczęśliwą dola, ceniący moją stałość niezłomną, niezmordowane poświęcenie, nie chciał jednak ani trosk moich podzielać, ani losu swego z moim połączyć. Zdarzył się inny, który może nie tak dobrze mnie pojął, ale ukochał mnie pełniej. Oddaję się więc mu bez zastrzeżeń, bez zwrotu w przeszłość która nie istnieje, bez obawy aby w przyszłości nie wzbudził się we mnie żal za tém co być mogło." Nie wiem, czy tak dosłownie to sobie mówiła. Ona jest tak dobrą, dusza jęj tak niedostępną wszelkiemu uczuciu goryczy. Ale drudzy w duchu mówili to sobie. Czytałem potępiający mnie wyrok nie na jednęj fizynomii. Jakżebym téż chciał, po wyjściu z kościoła przyprowadzić tu tych ludzi pogardliwych, tych sędziów tak surowych, i pokazać im kulę którą włożę za sobą!... Jakżebym chciał powiedzieć do nich z kolei: „Nie! ja nie upędzam się bynajmniej za tytułem bohatera, mam świadomość słabości własnej, nie odkrywam w sobie pierwiastku który wznosi człowieka ponad tłum i stawia go na podziw duszom wybranym; ale co do tęg męzczeniczęj rezygnacyi, to ja praktykuję ją mimo wiedzy waszęj, bez skargi, bez szemrania. Nikt nie wie, że ja gdzieindziej zacząłem karyerę, i że po dwóch latach usiłowań zupełnie straconych, musiałem opuścić miasto w którym się osiedliłem. Nikt nie wie że mnie i tu grozi podobna katastrofa, i że dla jęj odwrócenia potrzeba mi całej woli, całej energii...”

Pewien jestem że wielu ludzi zazdrości mi, jak zrana wskazuję lekko w mój *drag*, biorę lejce z rąk grooma i wyjeżdżam kłusem na wizyty. „Szczęśliwy kawaler! mówią; jaka to swoboda i niezależność!” A kiedy oni tak się unoszą nad mojęm szczęściem, ja tymczasem taki mam obraz przed oczyma: W pokoiku dymnikowym, na drugiem piętrze mojego domu (1), przy nieustannie tęgym się ogniu, na sofie której poduszki nigdy nie leżą na swojem miejscu, w atmosferze zadymionęj tytuniem, z dwudziestu romansami czytowanymi do przesytu, ćmiąc bez przerwy fajkę i na wszystkie strony składając kupkami szare z nięj popioły, istota wiecznie próżnująca (której doprawdy nie śniem nazwać człowiekiem) pędzi bez przyjemności i bez pożytku życie bezwstydnie niedołęzne, istny ciężar dla nięj i dla drugih. Próźniactwo to nie ma żadnęj wymówki. Cierpienia nerwowe na które ten człowiek się uskarża są istnem pośmiewiskiem, pretexta któręmi ubarwia swą beczynność, kłamstwem; pospolite dystrakcyę których on ukradkiem poszukuje zewnątrz, a których tajemnicę wydają mi rachunki szynkarzy na moje ręce przesyłane, ułatwiają mu moi własni słudzy, zaślepieni dobrodusznem obejęciem tego strasznego gościa, nie zdając sobie sprawy z tego do jakiego stopnia to imię moje naraża... Nie jestże to widok pocieszający, nie miłoz to podobny obraz mieć ciągle przed sobą? Nie jestże to szczęściem posiadać takiego brata?

(1) W Anglii jeden mieszkanięc zazwyczaj zajmuje cały dom dla siebie.

Jak sobie wspomnę, że Fred był pieśczochem rodziców, że jego zdolności budziły w nich dumę, że obiecywali sobie o jego przyszłości najświetniejsze nadzieje, i że wszystkie te złudzenia rozwiały się najzupełniej; że on daremnie próbował szczęścia nasamprzód w Anglii, potem w Australii, i że powróciwszy ztamąd przed pięćią miesiącami, zostanie mi na karku do końca życia, to nie mogę oprzeć się tajemnemu rozdrażnieniu. Ale na co to się przyda? Fatalność jest poza obrębem dyskusji: człowiek ugina karku i koniec...”

Takem ja też zrobił wczoraj wracając do domu po owym dniu przykrym i gorzycy pełnym. Widok Freda który skradał się do mieszkania, przynosząc z czytelni dwa czy trzy nowe romanse na wstępie zadrażnił mi nerwy. Szczególne wyrzuty jakimi odpowiedział na milczące niezadowolenie mojej fizjonomii, wywołały z méj strony gniewny wybuch. Złe jakie wyrządził on całej rodzinie, złe jakie wyrządził mnie samemu, zmuszając mnie przez swe pieniężne wymagania do opuszczenia miasta w którym ustąpił mi swą praktykę lekarską, wszystko to stanęło mi w myśli, i zfukałem go bardzo. Ale on z mego własnego fotelu, w którym rozpierał się z niesłychaną wygodą, odpowiedział mi z tak pogardliwą zimną krwią, z obojętnością tak zadziwiającą, że mnie narazie rozbroił. — Czy myślisz Ned, rzekł do mnie, że nie oceniam postępowania twego według wartości?... Zamiast dać mi udział w swych pracach, zamiast wprowadzić mnie w świat, ty zdajesz się mnie wstydzić, zamykasz mnie w poddaszu które stałoby się wkrótce więzieniem, gdybym się temu nie oparł... Proszę; czyż to tak postępuje *gentleman*? Czy myślisz wywiązać się z powinności względem brata, chwilowo w zapasach z losem zostającego, dając mu chleb i wodę?... Ty, doprawdy, nie urodziłeś się na człowieka wyższych zajęć... Kiedy kto ma taki sposób widzenia rzeczy, to niechaj otworzy sklep, założy fabrykę... Ja ciebie wreszcie nigdy takim nie znałem.... Musi cię coś takiego trapić o czém ja nie wiem.... Nie nastaję na to, abyś mi wyjawiał swoje tajemnice; i lepiej będzie, wiesz co, jeżeli tu w tym saloniku (o szczęśliwy Krezusie!) przepędzimy przyjemny wieczorek... Każ podać kolacyą, a ja cię uczęstuję mojami australijskimi historyami.. Dowiesz się jota w jotę o tém co mnie spowodowało do opuszczenia osady... Cała prawda ci się wyświeci...”

I czyby kto uwierzył? Ta niedorzeczna gadanina pokonała moją odrazę. Potrzebowałem zapomnieć, pragnąłem serdecznego wylania, dawnych wspomnień. Dopiero dziś zrana, zbudziwszy się z głową nieco ciężką, z myślami mniej jasnymi niż zwykle, żalowałem że ustąpił przewrotnym naleganiom mojego starszego brata.

Co za dzień, co za katastrofa! Zaledwem się ubrał, stuka do drzwi moja gospodyni: „Dwie panie chcą się z pauem widzieć...”

Czekają na dole, prosily aby im wolno bylo zlozyc pakunki w przedsionku." Osłupiałem: „Kto one są?—Same chcą powiedzieć.” Kończę ubranie cały zaniepokojony, i zbiegam po cztery schody. Przy drzwiach salonu jednak, zatrzymuje mnie głos jakiś; przyznaję się, że słucham bardzo niedyskretnie. Zdania wszakże wymawiane bardzo miłym głosem, nie zawierały nic poufnego. „Ach! cóż to za woń tytuniowa w tym pokoju!... Jeżeli żyje w takiej atmosferze, to musi być podobny do Freda.—Biedny Fred! odparł inny głos, przeciągły i żalony... Czy tylko nam tu powiedzą gdzie mieszka? Ale cicho! słyszę jakieś kroki za drzwiami!...” Nadeszła chwila wejścia; jakoż wchodzę i znajduję się wobec dwóch nieznajomych pań, które odwróciły się ku mnie. Jedna siedząca przy stole, z miną niespokojną, cerą nieco zwiędłą (to głos żalony), podnosi się i wyciąga ku mnie błagalne ręce. Druga młodsza, zwinniejszych ruchów, z twarzą śmiałą i ożywioną, po której gesty spływają włosy, pełna życia i ruchu, czempredziej staje między swą towarzyszką i mną. Czy piękna, nie wiem doprawdy. Jej czarne źrenice mają blask morwy, a usta barwę granatu. Zabiera głos pierwsza z pośpiechem: „Chciałybyśmy się dowiedzieć gdzie mieszka brat pański... Listy do niego miały być adresowane tu... Ale nie pisze od pewnego czasu i siostra moja jest bardzo niespokojną.

— Otóż, moja Nettie, tego nie trzeba było mówić!... Gdzie on jest, panie? Gdzie mój biedny Fred?...

— Czy panie pytają o mego brata Fryderyka?... A mógłbym wiedzieć w jakim interesie? Obie kobiety zamilkły na chwilę i spoglądały jedna na drugą.

— „Mówiłam ci, zawołała razem brunetka; on utaił ożenienie swe przed rodziną... Tchórz!...” Potem z lekko tragicznym nagięciem głosu wskazując mi swą towarzyszkę, rzecze: „Oto jest siostra moja... pani Fryderykowa Rider! Racz pan jej powiedzieć, gdzie się jej mąż znajduje?”

A kiedy ja, najzupełniej odurzony, wahałem się z odpowiedzią:

— „Doktorze Rider, rzekła przerywając żalony błaganie siostry, chciej pan wytłumaczyć się bez odwłoki!... Jeżeli pan nigdy nie słyszałeś o nas, my natomiast pana znamy dosyć... Mój szwagier nic nam nie tait!... Wszak pan zapewne nie zechcesz odzierać męża od żony?... Ja tu wreszcie jestem od tego, i podróż tę odbyłam dla mojej siostry.. Dzięki Bogu zachowałam mój fundusz, gdy ona ze swego pozwoliła się obedrzeć; czuwać będę nad nią i nad jej prawami!...”

Po tej gniewnej nieco przemowie, siostra jej miała już rozwozić swoje żale, ale ja przerwałem:

— Bądź pani spokojną, Fred zdrów jest, tak przynajmniej jak zwykle!... Nie jestem wprawdzie pewien, dodałem z pewną gorącością, czy w tej chwili może przedstawić się paniom; ale wnoszę, że musicie znać jego zwyczaj. Co do mnie, pozwolicie mi panie

przerwać tę wizytę wcale nie przewidzianą. Moje godziny, minuty nawet, są policzone. Mogę tylko oznajmić bratu, że panie tu jesteście. Proszę wybaczyć... tak mało spodziewałem się przyjechać tu panie... Czy panie same odbyły podróż z Australii?

— Bynajmniej, odpowiedziała bratowa, która mi tak niespodziewanie spadła z obłoków. Dzieci są w hotelu. Nettie utrzymywała, że tu nie trzeba ich sprowadzać, chyba w razie zupełnej instalacji.

Dzieci! A więc są jeszcze i dzieci i to w liczbie mnogiej! Co robić? A tu *drag* czeka mnie przy bramie! Pacjenci niecierpliwiają się już. Kiedy stałem wachający, niezmordowana Nettie zaczęła znowu:

— Jeszcze raz proszę pana o adres Freda. Przygotuję go do zobaczenia się z Zuzanną. Mnie może on powiedzieć co mu się podoba, mniejsza o to; ale Zuzannę oszczędzać trzeba. Zuzanna jest pańską bratową, doktorze Edwardzie, a ja jestem siostrą Zuzanny. Nie będziemy panu robić subiekcyi. Ja biorę wszystko na siebie: proszę mi zaufać.

— Zaufać! zawołałem... Ależ Fred jest zupełnie wolny... Umieścił się u mnie wbrew mojej woli... Śpi jeszcze; oto wszystko, i sądzę że nie byłoby na dobie budzić go... A teraz, moje panie, dodałem, muszę wam powiedzieć, że tu nic się nie nadaje do pomieszczenia rodziny... Jeżeli więc panie chcecie wrócić do hotelu w którym zostawiłyście dzieci, obowiązuję się przysłać wam Freda, jak się tylko obudzi. Oto wszystko co sumiennie uczynić mogę.

— Zuzia odjedzie, a ja zostanę, odparła Nettie ze zwykłym pośpiechem. A gdy siostra jej nastawała na nieprzyzwoitość pozostawiania w obcym domu: „Ach, dajże pokój, odrzekła ta odważna białogłowa, bierzysz mnie za londyńską panienkę... Ale ja nie potrzebuję opiekuna. Powinnam zostać i zostanę.

Tu rzuciła się nieodwołalnie w ten sam wielki fotel, w którym zeszłego wieczoru rozwalał się Fred, i zdejmując kapelusz, odgarnęła drobnemi, ale nieco ogorzalemi choć bardzo kształtnemi rączkami, gęste sploty rzucające jej się na czoło. Nie wiem jakim sposobem, myśli moje w tej chwili przybrały inny obrót. Zdawało mi się mniej nieznośnem pozostawić mój dom na dyskretyi tych dwóch kobiet. Przecież ognia w nim nie podłożą, a wypraszać szorstko tę miłą australijkę zdawało mi się bezecnem. Kiedy groom zapukał w szybę dając mi znać, że ktoś mnie oczekuje, wyszedłem bez dalszego namysłu.

Zmordowany całodzienną pracą, wlokłem za sobą z wizyty na wizytę dziwne zajęcia myśli. Przykróś jaką mi sprawiało udawanie brata, udawanie nacechowane taką niewdzięcznością, tak dziecinne wreszcie i źle wyrozumowane, pomnożyła się obawą najścia jakie mi groziło. Potrzeba obrony przeciw najazdowi rodziny obcej, zwłaszcza kiedy uląłem się rodzinie własnej, zdawała mi się

konieczną; ale jak się z tego wywinąć? A nasamprzód, cóż zastanę za powrotem do domu? Czy dzieciarnię w całym znaczeniu pod nadzorem Nettie? Czy zbuntowanego męża którego ona dozorować będzie? Czy może dramat rodzinny, tłumaczenia poetyczne, pojednanie z towarzyszeniem pocałunków i też?... Wszystko to jeździło mi po mózgu, kiedy, o zmierzchu, uwolniwszy się nareszcie, mogłem głowę konia zawrócić ku domowi. Przybyłem tam pełen litości dla samego siebie, niepokoju i trosk, które za zdjęciem płaszcza czekały mnie biedaka wycieńczonego utrudzeniem i głodem. Było to dla mnie wielką niespodzianką i wielką radością, gdy zobaczyłem mieszkanie zupełnie puste i głucho, zasłonki do połowy spuszczone jak zwykle, bez żadnego śladu najścia lub zamieszania. Największy spokój panował na obliczu stariej Maryi, kiedy przyszła drzwi mi otworzyć.

— I cóż brat mój?... te panie?... zapytałem, widząc że pakunki znikły.

— Wynieśli się do hotelu wszyscy, jak tylko pan Rider zszedł na dół... Uprowadziłam pannę, że pan nie zechce mieć dzieci przy sobie... Posłała po dorożkę, zabrano tłumoczeki, wcisnęli się tam we troje, i...

— Jaktóż doprawdy? wyjechali? zawołałem z wielką ulgą w piersiach. I rzeczywiście nie mogłem wierzyć ani oczom moim, ani Maryi, która daremnie usprawiedliwiła mi się ze złego obiadu, jaki mnie czeka po tak długim opóźnieniu, przeciwnym moim zwyczajom.

Jużciż ulżyło mi zapewne ciężaru, pozbyłem się prawdziwej niespokojności, ale do tego rzeczywistego zadowolenia łączył się brak humoru także rzeczywisty. Człowiek nie lubi zmiany ułożonego programu, a samotność i cichość (istne dobrodziejstwa nieba), napawały mnie wdzięcznością... bardzo umiarkowaną. Mój Times wydał mi się zgoła pozbawionym wszelkiego zajęcia. Nie mogłem wpaść na jaki tom, któryby w jakim bądź stopniu obudził moją rozerwaną ciekawość. I byłbym zmuszony pójść spać w porze nadzwyczaj inieszczęśliwej, gdyby mi nie była przyszła wyborna myśl utrwalenia pismem wspomnień tego dnia pamiętnego.

Dziś rano oczekiwałem listu od brata. Przez pięć długich miesięcy dusząc mnie jak z mora lub upiór, winien mi być może kilka słów wyjaśnienia co do swego nagłego wyjazdu. Jeżeli nie pomyślał o tém, tém gorzej dla niego. Jego niewdzięczność oburza mię. Ale zkąd mi przychodzą te dręczące myśli, i czemu nie jestem weselszy z tego oswobodzenia tak gorąco upragnionego?. Powinienbym zapalić świecę na cześć tego małego geniusza, tej Tytanii australijskiej, która skinieniem laski rozproszyła wszystko co mi przeszkadzało w życiu i ograniczało mą przeszłość.

I znowu upłynął dzień; bez listu, bez żadnej wiadomości! To widzę, Fred jest pod dobrą strażą. Może go Tytania, mała czarnowłosa czarodziejka, przeniosła do Australii na wozie piankowym zaprzężonym gołębiami. Jakto grzecznie, jak po braterskul...

„Paniel jesteśmy jeszcze pod *Niebieskim Dzikim*, dopóki nie znajdziemy stałego mieszkania; nastąpi to, spodziewam się, dziś jeszcze. Żałuję, że Fred nie uważał za stosowne zawiadomić pana o tém, i nie mogę sobie darować, że się w tém na niego spuściła. Zaczynam zkadinać mniemać, żeśmy się pomyliły w sądzie o panu i o nim. Gdybyś pan mógł tu być o godzinie pierwszej, przyjemnieby mi było pana widzieć i zapytać o radę co do naszego pomieszczenia. Oni nic się na tém nie znają, ani jedno ani drugie. Wybaczysz pan, spodziewam się, natręctwo kobiety która przybywa do obcego kraju. Pana zastać można tylko wieczorem, jak się zdaje, a ja w żaden sposób wieczorem wychodzić nie mogę, gdyż całe zajęcie domowe na mnie spoczywa. Ztąd też poważam się narzucać panu, przepraszając jak najmocniej.”

„*Nettie Underwood.*”

Nie mogłem wstrzymać się od uśmiechu po przeczytaniu tego listu. Nie powiem nawet — od uśmiechu, — gdyż wybuchy mojej wesołości sprowadziły aż zadziwioną starą gospodynię, która mi biłet ten wręczyła. Byłem jeszcze w stanie umysłu bardzo zadowolniającym, gdy po rannym objeździe, skoro zegar uderzył godzinę pierwszą, zawróciłem na ulicę George-Street, na której znajduje się hotel pod *Niebieskim Dzikim*, a zarazem obszerny i wygodny dom, który zajmuje mój szanowny kolega Marjoribanks. Gdyby mu przyszło umrzeć, — a ludzie wszędzie umierają nawet w Carlingford. — i jabym wolał mieszkać w okolicy mniej ustronnój. Ta myśl, którą starałem się spiesznie odpędzić od głowy, musiała pochodzić z natchnienia złego ducha. Poszła też za nią bezpośrednio kara. Za ledwie, — wykręcając się jakem mógł w licznych korytarzach starego hotelu, przybyłem przed wskazane mi drzwi, posłyszałem hałas zdolny umarłego poruszyć z grobu i dostałem się natychmiast pomiędzy trzy diableta, któremi są jak mi się zdaje dwaj moi synowcowie i synowica. Jeden z nich, na poręczy od fotelu siedząc jak na koniu, silnie obcasami uderzał po swoim biegunie; drugi, uzbrojony w cęgi od pieca, biegł za siostrą chwytając ją za nogi, a gdy mu się nie udawało, ryczał jak opętany. Wszystko troje stanęli w ekstazie na widok nowo przybyłego.

— Jakiś człowiek! jakiś człowiek! krzyczał najmłodszy, wpa-
trując się w swego stryja z zajęciem wcale filozoficznem.

— Trzeba dać znać Nettii, — dodała dziewczynka ze spokojem również niewzruszonym.

— Jeżeli chce się widzieć z Nettią, niech zaczeka! — przyrzucił najstarszy.

Potem zawołali znów chórem co im gardła starczyło: „Mamo, mamo, mamol Pójdź, zobacz! jest tu jakiś człowiek.

Tak to widać dzieje się w naszej znamienitej osadzie. Ukazała się niebawem matka, z tym samym przeciągłym ruchem ciała, z tym samym głosem żalobliwym, jakie mnie już raz w niej uderzyły. Może ona była kiedyś piękniejszą od swjej siostry, ale starła się już na niej jasność blondynki, postawa się przychyliła: znużenie ogólne wryło się na całym ciele. Ten rodzaj słabości organicznej uważałem nawet w niechętnych słowach, jakimi usiłowała mnie powitać i na które niby nie zwracałem uwagi. Co mnie obchodzić miały wrażenia kobiety tak widocznie ograniczonej? Miałyż one być odbiciem, echem złych uczuć, jakich nieszczęśliwy jej mąż nigdy mi nie szczędził. W gruncie ta myśl dręczyła mnie; ale nie chciałem tego okazywać i odwracając dyskusję w którą ona chciała mnie wciągnąć, udając zainteresowanie się bębnami które koło mnie hałasowały, wyczekiwałem cierpliwie chwili wyswobodzenia. Wejście Nettii opartej na ręku mego brata, kontrast tój słabiej a taką energią obdarzonej istoty z olbrzymem apatycznym i miękkim, wywarły na mnie dziwne wrażenie. Nie mogłem oprzeć się zdziwieniu połączonemu z pewnym rodzajem uwielbienia na widok tój dziewicy dzielnej, która, oddalona od swoich na tysiące mil, staje się jedyną podporą całej rodziny i dźwiga nieugięte brzemie jakie dobrowolnie podjęła.

— Mocno przepraszam, doktorze Edwardzie!—rzekła... Sądziłam że wrócę wcześniej; ale z Fryderykiem jak pan wiesz, trudno do ładu trafić... Znalazłam mieszkanie nieco opodal od miasta, obok jakiejś kaplicy... świętego Rocha, zdaje mi się. Minister, nawiasem mówiąc, bardzo ładny chłopiec.. Jakto on się nazywa?.. Mniejsza... Owoż o sto kroków od tój kaplicy, jest maleńki gotycki domek z ogródkiem.. Świeżutkie to, prawie nowe. Właściciele zwą się Smith. Jeżeli to ludzie porządni, dałabym za datkę natychmiast. Cena nie wiele wyższą jest od tój jaką na ten cel przeznaczyłam.

Znałem doskonale ten lokal i ludzi o których mówiła, za uczciwość ich mogłem ręczyć, tylko że dom ich był bardzo odległy, bardzo niedogodny...

— „Otóż właśnie—rzecze Nettie przerywając mi, właśnie to jeden z powodów dla których wolę ten dom jak wiele innych. Ta odległość od miasta, która panu zdaje się niedogodnością, nas bynajmniej nie zraża, bo nie widzę przyczyny dlaczego mielibyśmy często zaglądać do miasta.. Zatem rzecz skończona.. Ale teraz, czemuż to dotąd nie podano śniadania? Zamówiłam na pierwszą, a tu już wpół do drugiej. Zadzwońno Fred!.. Czas się tym sposobem marnuje... Doktorze Edwardzie siadał! Ponieważ *drag* pański stoi przed bramą, więc po śniadaniu będziesz mnie taskaw zawieźć do Smithów, z któremi chciałabym stanowczo skończyć.

W obec tak jasnych postanowień i rozkazów tak niecofniomych, nikt nie śmiał wymówić słówka zaprzeczenia. Ja sam, chociaż urazy jakie miałem odstręczały mnie od przyjęcia udziału w tym

familijnym posiłku, nie mogłem jednak odmówić Nettii przysługi jakiejś odemnie żądała. Od chwili jak weszła, wszystko tu szło porządnie i gładko. Przewodnicząc przy stole, utrzymywała w rygorze i cichości trzy diabły, które niedawno jeszcze o mało cierpliwości mój nie wyczerpały. Zuzannie wydzieliła porcję, równie jak i dzieciom; Fredowi dała co mu najlepiej przypadło do smaku. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć tyle ruchliwości, tyle powagi w ułożeniu; nigdy nie słyszałem tyle słodczy a zarazem tyle pewności w głosie: mówiła wreszcie do mnie z zaufaniem za które byłem jej wdzięczny. To też po trochu weszło we mnie jakies więcej pojednawcze usposobienie. Ażeby zerwać zaporę pomiędzy bratem i sobą przypomniałem mu pewne należące do niego przedmioty, o których zapomniał przy wyprowadzinach.

— Prawda, prawda — rzekł Fred z pomieszaniem... To przybycie pani Rider było tak nieprzewidziane... Gdyby nie to, wierząc mi, byłbym cię był uwiadomił... Ale Nettie...

— Nettie, — przerwie pani Fredowa, utrzymywała, że lepiej będzie natychmiast wyjechać z Australii, bez piśmiennych uprzedzeń...

— Na co się przydały te wszystkie korespondencje? zawołała Nettie, Tożes pisała sześć miesięcy z rzędu bez słówka odpowiedzi od Freda? Ty, ciąglým niepokojem o jego życie, zdrowie i powodzenie, — turbowalaś, nieszczęśliwiałaś wszystkich otaczających. Ja wiedziałam dobrze że on ma się doskonale i że nic mu się złego nie stało. Ale cóż ztąd? Trzeba było przekonać Zuzannę, a na to nie było innego sposobu tylko przywieźć ją tu. Nieprawdaż, doktorze Edwardzie? Zostawić dzieci za sobą byłby to nowy kłopot. Zuzanna uspokojona o Freda, byłaby lamentowała nad niemi; pokutowałyby póty, póki by się ich nie sprowadziło. Więc najkrótsza sprawa. zabrać je z sobą? Jak myślisz doktorze?.. Zaraz, Fredzie!.. dosyć już piwa na dziś!..

I mała rączka zatrzymała wpół drogi butelkę napoły wypróżnioną. Fred zaczerwienił się nieco, wytrzeszczając oczy na siostrę, ale ustąpił w milczeniu. Ustąpić jej, zdawało się koniecznością opatrnościową. Bawiła ona mnie, wyznaje, do nieskończoności. W obec niej czułem się skłonny zapomnieć wszystko, wszystko przebaczyć! Stałość braterska, z której zdawało się żem wyleczony, wracała chwilami. Zapędziłem się aż do powiedzenia jakiejś grzeczności bratowej; i podobno nawet, — Panie odpuść! umizgnąłem się do któregoś z dzieci. Czyż wreszcie nie należało żałować tych biednych dzieciaków? Przy takim ojcu jak ten, będący w wieku w którym człowiek już nie idzie z prądem życia, na co one wyjdą? kto będzie im opieką? Serce mnie bołało na samą tę myśl. Na sześć osób siedzących ze mną przy stole, jedna tylko Nettie zdawała się posiadać jakąś wolę i rozum; ale czyż ona wystarczy swemu zadaniu; a jeżeli jej zbraknie, do kogoż ucieknie się z konieczności ta grupa nieszczęśliwych? Do maie, oczywiście. Ta perspektywa nie miała w sobie nic szczególnie wzmacniającego. Kiedy ktoś się

zabija dla swojej rodziny, znajduje zapłatę tuż obok trudu. Czyż tak samo rzecz się ma z rodziną obcą? Te smutne myśli plątające mi się po głowie przeszkadzały mi mówić, i rozmowa też bez mojego udziału upadła sama z siebie.

To też bardzo mi było przyjeannie znaleźć się w moim *dragu* sam na sam z Nettą.

— Jakaż to piękna droga! — mówiła ona, przez te bramy otwarte tu i owdzie widać w przebiegu zachwycające wnętrza!.. Ale nie to mnie dziś obchodzi; chciałam o czémś ważniejszym pomówić z panem. Fred, jak uważam, prawil nam kłamstwa, jedno za drugim. Nie powiem tego Zuzannie, która słowu jego wierzy jak wyroczeni; ale między nami mówiąc, doktorze Edwardzie, czy brat pański zdolny jest do czego?

— Jak na teraz, zacząłem mocno zakłopotany.

— Jak na teraz, przerwała nieco niecierpliwie, jak na teraz, do niczego, i nie wiem czy kiedykolwiek można było mniemać o nim inaczej.. Mówiono jednak wiele o jego umiejętności, kiedy rozpoczął praktykę w osadzie. Dlaczego Zuzia za niego poszła, doprawdy nie wiem. Przy całym pozorze posłuszeństwa, który może i pana złudził, jest ona zadziwiająco uparta. Są osoby które gdy im kto nie ulega, zapadają w chorobę, grożą śmiercią i takim się najczęściej ustępuje. Co ja mam teraz z nimi robić?... On nie chce wracać do osady, a ja też o to i nie dbam... Mamże ich tu trzymać przy sobie?

— Stawiasz mi pani pytanie, panno Underwood..

— Krócej byłoby nazywać mnie: Nettie, jak to czynią wszyscy... rzecze do mnie moja dziwna towarzyszka; témbardziej że mi pan jesteś poniekąd bratem, i ja nikogo innego radzić się nie mogę. Widzę w tobie, doktorze, wiele jeszcze oględności wcale niepotrzebnej, wiedz o tém. Jeżeli sądzisz że się ludzę co do twojego brata lub mojej siostry, mylisz się zupełnie. Wiedziałam już ja dobrze jak stoję. jeszcze przed opuszczeniem Australii.. Ale nie oburzaj się na mnie! Nie myśl, że się obrócę przeciwko moim za ich nedorzecznosc. Czy sądzisz mnie zdolną szemrać przeciw stanowisku na którym Bóg mnie postawił? Bynajmniej. Znam położenie i chciałabym je znać jeszcze lepiej.. dla lepszego zorientowania się. Wytłumacz się więc pan bez korowodów."

Zdziwiła mnie, zraziła nawet śmiałość jej mowy. Co większa postanowienie tej dziewicy wzbudzało we mnie obawę o jej przyszłość.

— Ach! zawołała, chwytając w lot tę myśl; gdyby można pod jakimbądź względem liczyć na Freda, gdyby chciał postępować jak człowiek i pracować dla swoich, postarałabym się stale umieścić na jedném z tych kwitnących wybrzeży i robić co można dla edukacji dzieci; ale jeżeli on będzie tak wciąż pleśniał w próżniactwie, to nam bardzo trudno będzie trafić do końca. Powiem ci otwarcie, doktorze, mam dwieście funtów sterlingów dochodu. Zuzanna miała toż samo kiedy wychodziła za mąż; ale Fryderyk ka-

zał sobie złożyć kapitał tego skromnego posażku i stopił go w oka mgnieniu. Chodzi więc o to, czy w Carlingford można żyć z trojgiem dzieci o dwustu funtach na rok.

— Fred byłby wielkim nędznikiem, gdyby się zgodził żyć kosztem pani.

— Zdaje mi się, że żył kosztem pana, zimno odrzekła mi Nettie, — i to niepoczuwając się do wielkiej wdzięczności. Cóż robić? Trzeba go przyjąć jakim jest, kiedy zmienić go nie możemy... Ale otóż i kaplica, dom Smithów będzie niedaleko. Czy nie mógłbyś pan przedstawiając mnie jako swoją pokrewną i tym sposobem dając mi gwarancją moralną, sprawić, abyśmy się bezzwłocznie sprowadzili? W hotelu wszystko tak drogo kosztuje.

Spojrzała jednocześnie na mnie pięknymi czarnymi oczyma, w głębi których zdawał się igrać ustawicznie uśmiech, uśmiech młodości, która nie cofa się przed niczem i idzie śmiało ku zdobycom najniepodobniejszym. Czy to bohaterstwo jest po prostu nieprzezornością? Czy ja mam do czynienia z jakąś świętą, czy z jakąś waryatką? Doprawdy nie wiem. Wszystko co powiedzieć mogę, to że ma przesłizne czarne włosy, przeskarałatne usteczka, i że przy wysadzaniu jęj z *dragu*, zdawało mi się iż biorę do rąk jakąś wiązanekę świeżych fukcyi, jakąś czarodziejkę z *Tysiąca i jednej nocy*. Jak zaczęła z góry kombinować urządzenia które zamierzała zaprowadzić, aby mieszkanie uczynić miłym i wygodnym, pani Smithowa podzielała mój podziw. Patrzyliśmy na siebie wzruszeni tym wczesnym rozsądkiem, pomysłami tak prędkimi i pełnymi trafności, swobodą i stanowczością postanowień. Że też to niebo zesłało memu bratu taką opiekunkę! Ale co tu się dziwić? Nie miewałyż zawsze kobiety gorącego społecznia dla nicponiów płci przeciwnej? Czyż nie zakładają one pewnej dumy w tém, aby wytrwałością niezmordowaną pocieszać tych nędzników, którzy sami przez się nic nie potrafią. Ten nieszczęśliwy Fred, ileż on ofiar kosztował moją matkę i siostrę! Ileż dziś poświęceń niesie mu żona i Nettie!.. I cóż on zrobił aby stać się godnym pobłażania, zajęcia i zaparcia, których stał się przedmiotem? Zapoznał poprostu, sponiewierał ważne obowiązki życia, gdy ja... ale dajmy pokój tym uwagom, czuć w nich faryzeusza o miłą. Prawdą jest to, że nie można patrzeć bez gniewu na taką ofiarę jak Nettie, poświęcającą się takiemu bożyszczu jak Fred.

Otóż i umieścili się od dwóch tygodni w domostwie S. Rocha zbudowanym przez tegoż samego architekta co i kaplica sąsiednia, które wyobraża że tak rzekę, w jednej setnej części rozmiary średniowiecznego zamku. Jest to karłowata forteczka, z wieżyczkami, strzelniczkami i przykopami, której możnaby bezpiecznie dać załogę złożoną z dzieci świeżo odstawionych od pierśi, pod dowództwem generała Tom-Pouce. Nettie rozwinęła nie-

słychane zasoby inteligencji ażeby całą swą ludność w czterech lub pięciu ciupkach, z których domostwo się składa, rozmieścić. Ona, jak geniusz rodzinny od rana do nocy nadaje ruch i życie temu mikrokosmowi. Nigdy tam nie widać z jej strony żadnego niecierpliwego poruszenia przeciwko dzieciom, żadnego wyrzutu względem niedołążnej siostry. Chyba czasami żywy a dotkliwy epigrammat wymierzy przeciwko Fredowi, tej bezwładnej bryle, którą nadaremnie usiłuje spożytkować. Sąsiedzi zaczynają ją poznawać i podziwiać; ja zaś nigdy nie wychodzę ztamtąd bez jakiejś irytacji i głębokiego oburzenia. Przy tym stole do którego ona sama przygotowała, około tego chleba który ona zapłaciła własnym groszem, wszyscy oni siadają z doskonale zimną krwią, ani domyślając się co ona dla nich czyni, i życie jej kosztem uważają za rzecz bardzo prostą. Sama wreszcie Nettie, zdaje się zapominać o tém; ona nie ma wiedzy tego codziennego poświęcenia które przybrało charakter instynktowego zwyczaju. Nieprawdopodobne to, ale tak jest. Co do niej, zagadnięta, powiada że ulega po prostu nieuniknionej konieczności. Ulega też jej bez parady i żalu, jako wyrokowi swego losu, od którego szaleństwem byłoby chcieć się uchylać. Ja wciąż stawiam sobie to pytanie: jestże to bohaterka, czy waryatka? czy ona ma nieskończenie więcej serca, czy nieskończenie mniej mózgu niż średnia innych śmiertelników? Wszystko to jest niewytłumaczone. W czasach czarnoksiężników powiedziano by że jej kto co zadał, albo że opętana; ale za dni naszych takie dobrowolne skierowanie tak potężnej woli uchodzić może za rzeczywisty cud.

Zima przechodzi a ja nie mogę się obyć z tém położeniem. Wszystko co widzę w domostwie S. Rocha razi mnie: wracam tam jednak, nie tajno mi bowiem że moje moralne poparcie jest dla rodziny mego brata prawie nieodzowném. Nettie to pojmuje i dała mi to kilkakrotnie uczuć. Nic bardziej zabawnego jak te zbyt częste g'woli mojej zebrania. Brat mój wreszcie, pomimo obojętnych pozorów jakie przybiera, ma w głębi serca poczucie swego upadku. Widząc że na nic się nie przydały sarkazmy któremi chciała go pobudzać i daremnie drażniła go nie mogąc wy dobyć zeń najmniejszej pracy, Nettie zaniechała z czasem tej domowej wojny. Skończyło się na tém że wydziela mu strawę tak samo jak dzieciom. Tylko tak jak i ja niegdyś, zapakowała go do osobnego pokoiku na górze, gdzie on żyje z fajką i romansami na łonie zapowietrzonego nieporządku, w którym się dusza jego nadewszystko lubuje. Odczuwa on to dobrze na swój sposób, to jest mamroczać i wpajając w swoją głupią żonę, wciąż przez niego opanowaną, skrytą niechęć którą cierpi do mnie. Ona stara mu się przypodobać, przymawiając mi często, pod pokrywką, w najnieprzyjemniejszy sposób. Dzieci ich są nie do zniesienia. Nie uchodzę ja w Carlingford za wilkołaka i moi mali pacyenci przyj-

nią owszem pomoc odemnie ze szczególną predylekcyą; ale jak spojrzę na tych troje australijskich dzików, co wytrzeszczają na mnie swe okrągłe oczy całą szerokością, kiedy słyszę ich ciche uwagi jakie pozwalają sobie czynić nad obrzydliwem próżniactwem ojca i ślepą słabością matki, kiedy patrzą na ich domyślność i wczesną niesubordynacyę; to mnie dziwnie ręce zaczynają świerzbic. Z niemi tylko jednak mam do czynienia i z ich kochanemi rodzicami, bo Nettie tak jest zajęta, że nie wiele na mnie uważa. Kręci się tam i sam, jakby mnie nie było, zawsze zajęta i spiesząca się, nie odmawiając sobie wszakże chwilami, gdy się sposobność pierwsza nadarzy, prawa połajania Freda i Zuzanny, bo to już jest cechą jęj charakteru, że ona i w tém co największego czyni, obchodzi się bez owęj romantycznęj delikatności. Ta jęj prostota niecierpliwi mnie czasem. Gdyby przynajmniej miała wiedzę samęj siebie, świętego obowiązku jaki spełnia, ofiary którą tak szlachetnie na ołtarzu rodziny składa, byłoby to przynajmniej ulgą dla serca; ale gdzie tam! Ona wciąż tłumaczy swoje postępowanie tak, że to nie jest z jęj strony dopełnieniem obowiązku, ale wykonaniem woli własnéj. Chciałbym téż widziéć w nięj nieco więcéj wstrętu do tego co ją otacza. Taka rozkoszna nimfa nie powinna by znosić przy sobie tyle brzydoty moralnéj, która mnie na samą myśl zgrozą przejmuje. Tytania powinna by otrząsnąć się na trzodę, która jęj ryje po nogach. Myślałem że ona się z czasem spostrzeże, i śledziłem w nięj pierwszych oznak niesmaku, które dla mnie byłyby wskazówką nieudania się jęj nieroztropnego przedsięwzięcia. A ponieważ nic podobnego się nie objawiło, mogę ztąd zdać mi się, wnosić, że téj naturze zkadinał tak wysoko uposażonęj, brak pewnéj trafności pojęć, pewnéj delikatności uczuć, z których kobieta nigdy odartą nie jest bezkarnie.

A to mi się udał wczorajszy wieczór! Stroskany i znużony, znudzony jednak samotnością, poszedłem ku S. Rochowi, spodziewając się że dzieci będą spać, że Fred siedzi w swym pokoju, a kobiety zastaną w salonie. Cicha pogadanka, filiżanka herbaty, przyjemność spoglądania w spokoju na moją australijską nimfę; oto wszystko czego się domagałem w duchu: ale i tego los mi odmówił. Za ledwie drzwi się otwarły, wpadłem jak we młyn diabelski. Troje dzieci zostawione same sobie kozły wywracały w przedsiönku, który był głównem polem ich szaleństw. Najstarszy, siedząc na poręczy od schodów, zsuwał się na dół na złamanie karku. Pierwszą moją myślą (myślą człowieka upadłego, wyznaję), było, porwać małego lucyperka i porządnie nim wstrząsnąć. Ale w téj chwili luba moja synowiczka rzuciła na mnie pocisk, którego szczęściem uniknąłem; była to ni mniej ni więcéj tylko puszka z szuwaxem. Kiedym się odwracał aby wyjawic pani Smithowęj moje oburzenie: „Cóż pan chcesz? rzekła do mnie;

panna Nettie poszła na herbatę do znajomych; a jak jęj nie ma, to nikt na dzieci nie uważa. Niech mnie Pan Bóg jednak broni, abym jej wyrzucała tak rzadką rozrywkę, Pan też zapewne jęj tego za złe nie bierzesz," dodała spozierając w moją twarz, na której malowało się niezadowolenie blizkie gniewu.

To niezadowolenie zrobiło mnie okrutnym. Popchnąłem przed sobą dzieci do salonu, uszczęśliwiony naprzód z zamieszania i przestachu jaki tam sprawię. Zastałem też istotnie nieporządek co się zowie. Salon pełen był gęstego dymu. Na sofie Netii, w jęj wyłącznej dzielnicy, którą ona sobie najściślej wymówiła, Fred rozciągał się z niewypowiedzianym bezwstydem, a Zuzanna, siedząc obok niego, przesuwiała ospale drut po jakiejś bezużytecznej siatce. Było coś nikczemnie egoistycznego w tych ukradkowych rozkoszach, których ci ludzie pozwalali sobie, jak prawdziwi niewolnicy, po odejściu pani. Zaskoczeni z nienacka mojem przybyciem, podnieśli się oboje: Fred dla schowania fajki, a jego żona dla zdjęcia ze stołu szklanki z której on się raczył. Po namyśle jednak wstydząc się swego tchórzostwa, zostawili rzeczy na miejscu; ale nie wiedzieli od czego zacząć, ja zaś tyleż przynajmniej byłem zakłopotany co i oni.

— Nettie nie ma w domu, odezwała się nareszcie czuła połowica mojego brata, i przekonana jestem że gdybyś pan o tém wiedział, nie mielibyśmy przyjemności widzenia go. Tak rzadko się nam zdarza mieć wieczór dla siebie, a i teraz przypadek, jak widzę uważał się za nadto szczodrym...

— Będieszże cicho Zuzanno! — przerwał mąż.

Wytłumaczyłem się z zamieszania jakie pomiędzy nimi zdawałem się sprawiać, przywołując potrzebę zawiadomienia ich o niebezpiecznym nieporządku jaki panował w przedsiionku, w chwili gdyin doń wkraczał. Tłumaczenie moje nie odniosło żadnego skutku w obec mojej bratowej, która zaczęła docinki na inny krój, gdy naraz mąż przerwał jęj wysilenie:

— Idź do swoich zatrudnień! zawołał szorstko. Zapędź tam spać tę szarańczę! — A kiedy wyszła, dodał z rzadką bezczelnością: „Dalipan, jakkolwiek Nettie jest dobrą gospodynią, ale czasami nieobecność jęj to prawdziwy wypoczynek. Jakoś człowiek swobodniej oddycha z dala od jęj pięknych oczu.

Kłęb dymu towarzyszył temu wybuchowi wdzięczności.

— Dziwię się — rzekłem mu, że ty tak odzywasz się o osobie której zawdzięczasz wszystko, ale dziwię się więcej jeszcze że się zgadzasz wszystko jęj zawdzięczać; taki tęgi i silny chłop, ze zdrowiem którego zasoby ja więcej niż ktobądź oceniać mogę...

— A któż to jesteś pan, że śmiesz mięszać się do naszych domowych urzędzeń? — zawołała wracając niespodzianie pani Fredowa, która po prostu podsłuchiwała pode drzwiami mi. Mój mąż...

— Cichoż bądź mówię ci jeszcze raz! — i padając wzdłuż na sofę, rozłożył się jeszcze dogodniej. „Co do ciebie, mój bracie, ty

łatwiejszy jesteś do przygan jak do pomocy. Racz sobie przypomnieć, że tu nie jesteś u siebie; a ja przeciwnie."

Czekałem aż przyjdzie na to pole niedorzeczności, aby się z nim porządnie rozprawić, i już zamienialiśmy niebardzo czułe spojrzenia, kiedy krzyk przenikliwy przerwał wymianę serdecznych myśli. Freddy, najstarszy z dzieci, odbywając swą niebezpieczną gimnastykę, spadł nareszcie z wysokości schodów. Rozbił sobie głowę i leżał bez przytomności. Matka sądząc że nie żyje, wrzeszczała rozpaczliwie; Fred udawał zimną krew, ale w gruncie, nie wiedząc co robić, wydawał tu i owdzie rozkazy sprzeczne i powtarzał co chwila machinalnie; „Co się to znaczy, że jak Nettie niema w domu, to wszystko idzie po diable?" Szczęście że w całym tym rozgardyaszu ja przynajmniej nie straciłem głowy, i widząc że stan malca nie był niebezpiecznym, przedsięwziąłem środki przyprowadzenia go do przytomności. Gdy to nastąpiło, zaniósłem go do łóżka, na pierwsze piętro, do pokoju samej panny Underwood; poczem wyszedłem bezwzględnie z domu niechcąc zstąpić nogą do sprofanowanego salonu. Gdybym był tam wrócił, to chyba dlatego ażeby stłuc szklankę i fajkę Freda i zniszczyć wszystkie ślady domowej orgii, której samo wspomnienie przejmowało mnie zgrozą.

O kilkaset kroków od Ś. Rocha otarłem się w ciemności o dwie osoby idące w kierunku domku gotyckiego. Rozmawiały one śmiejąc się, więc poznałem ich po głosie. Była to Nettie pod rękę z młodym Wentworthem, wielbnyim ministrem kaplicy Ś. Rocha, z tym samym o którym mi wspominała jako o bardzo pięknym młodzieńcu. Poznałem ich, powiadam, ale nie chciałem zatrzymywać się dla ich powitania. Byłem niezadowolony i z siebie i z innych, a tém samém mało usposobiony do wymiany czczych słów. Przy drzwiach mieszkania, do których zapukałem udrgęzony samotnością i potrzebą snu, zastałem list wzywający mnie do jednego z chorych, przy którym musiałem pozostać część nocy.... Tak, tak, prześlicznie mi się udał wczorajszy wieczór!

— Wiedziałam, że się dziś z panem zobaczę,— rzekła do mnie Nettie, którą zastałem śpiwającą piosnki i opowiadającą bajeczki choremu chłopczykowi. Pomimo całej wrzawy jaką pan wzniecasz przeciwko dzieciom, w gruncie jesteś taki sam jak ja. Kochasz ich mimochcąc, malec ma trochę gorączki; jakże go pan znajdujesz?

Dotknąwszy się pulsu Fredzia, uspokoiłem ją.

— Ha! jeżeli mu nic nie zagraża, to mnie pan zawieź z dwoma innymi do Carlingford. O! nie krzyw się pan i nie szukaj pretekstu; w oczach twoich wyczytałam że mi nie odmówisz. Nim się ubiorę, zajrzyj pan do Smitha, który skarży się na mocny ból głowy.

Mocny ból głowy Smitha był pro prostu środkiem ściągania mnie doń, dlatego ażeby pani Smithowa mogła mi swe kreski przeciwko Fredowi i Zuzannie wyłożyć.

— Sam pan widziałeś—rzekła do mnie, wytrzymać z niemi dłużej niepodobna. Wolałam z panem o tém pomówić niż z tą miłą i dobrą panienką, przeciwko której słowa powiedzieć nie można; ale tanci to są istni niszczycciele mego domu, jeśli brat pański myśli iść dalej takim trybem, jeżeli nie odstąpi od téj fajki która wszystko brudzi i zapowietrza, to bez dostatecznego wynagrodzenia...

Ten ostatni wyraz doskonale mi wyjaśnił do czego zmierzała czcigodna gospodyni, i gdy po kilku zboczeniach wciąż zwracała kwestyę na ten sam grunt, już zabierałem się odjąć jęj pod tym względem wszelką nadzieję, ale wtém usłyszałem na schodach lekkie stąpanie Nettie. Wtedy nie wiem jakim sposobem postanowienie moje wywinęło młynka.

— Ułożymy to innym razem,—rzekłem do gospodyni. Tymczasem proszę, ani słówal... ani słowa rozumie pani? Ja zaś obowiązuję się dać pani zupełnie zadosyć uczynienie. Poczém wsadziłem Nettie do dragu z dwoma bębnami i popędziliśmy ostro ku Carlingford, gdy tymczasem jeden z moich chorych wdychał za moim opatrunkiem, o miłą od S. Rocha, w kierunku przeciwnym.

— Smithowa mówiła panu o nas—rzekła do mnie Nettie patrząc przenikliwym wzrokiem: czy chcą nas już rugować z domu? Nie zdziwiłoby mnie to wcale po wczorajszej scenie. Ale jeżeli żądają podwyższenia komornego, mówię panu otwarcie, że byłoby to nad możność moją...

— Postępowanie Freda i jego żony jest niegodne... Żeby panią stawiać w takiem położeniu...

— Za pozwoleniem,—zawołała Nettie kładąc palec na mych ustach z poufałością, która mnie polecthała po sercu... Ani słowa więcej o tym przedmiocie, bobyśmy się z pewnością pokłócili... To moja rzecz i tylko moja...

A gdy protestowałem przeciw temu zapewnieniu, które okoliczności uczyniły dość szczególném:

— A tak prawda;—rzekła z pewném lekceważeniem; jest to ściśle biorąc, poniekąd i pańska rzeczą; ale pan jesteś tylko mężczyna...

Te słowa, którym towarzyszyło iskrzące wejrzenie, zgruchotały mnie. Pod tą nakazującą miną, pod temi wyniosłemi kaprysmi, jak tu odnaleźć słodycz rezygnacyi, która zdawała się być nieodłącznym przymiotem jej roli? Czyż tedy ona kierowała się prostym instyktem jak pies z Nowej-Ziemi, albo téż lubowała się tylko przeprowadzeniem rzeczy według swéj despotycznej woli.

— Dajmy pokój dyskusyi,—dodała głosem nieco łagodniejszym, i mówmy o Fredzie, którego widzę na bardzo złéj drodze. To głupie życie jakie on prowadzi, do reszty mózg mu rozstroi. Szczególny to fenomen, iżby człowiek tak wysoko uzdolniony wiódł podobny żywot! Nieraz mnie chęć bierze porwać go za kołnierz, potrząsnąć nim, i zapytać o czém on myśli; ale to na nieby się nie przydało. Ale! o czém to pan mówiłeś z nim wczoraj?

— O niczém, lub prawie o niczém, w porównaniu z tém o czém z nim rozprawić się chciałem. Jakem zobaczył ten pokój pani przez niego zajęty, splugawiony...

Nie wiem na pewne jaki akcent przybrały me słowa, ale Nettie w téj chwili wzniosła na mnie oczy i zdało mi się, że lice jęj pokraśniało... Może z gniewu na tę okoliczność, którą przypominałem.

— Dziękuję, — rzekła mi, podając rączkę. Piękna to rzecz, przyjmować udział w sprawie osoby nieobecnej... Teraz pomóż mi pan zejść, dodała, widząc że mimowoli zatrzymuję jęj drobną rękę. Chociaż my jesteśmy pod pewnym względem jak brat i siostra, ale z tém wszystkim ludzie nicby w tém nie rozumieli. Każ zatrzymać, doktorze Edwardzie, dalej już nie pojadę.

Tyle było powagi w jej głosie i ruchu, że musiałem usłuchać.

Nettie trzyma się na uboczu jak nigdy. I mnie też jak nigdy przychodzi tysiączne skrupuły; badam się z męczącą troskliwością. Przeszedłem już przez tyle prób, że muszę się przecież znać dobrze. Nie posiadam ani tego zuchwalstwa, które częstokroć przewycięża zawistną doleg, ani téj ufności w siebie, która w razie niepowodzenia służy za balsam na rany zadane miłości własnej. Wyznaję z goryczą, że wcale nie jestem bohaterem ani z miny ani z czupryny. Gdyby nie to, byłebym zdrzał nazajutrz po ostatniej poufnej rozmowie z Nettią, podczas drogi do Carlingford, po téj rozmowie która się odtąd już nie powtórzyła. Byłebym zdrzał, powtarzam, na myśl w jak stanowczo nieroztropny sposób mogłem się zaplatać? Słówko z jęj strony, słówko z mojej, i oto wpadałam w przepaść otwartą pod nogami, stawiam się w położeniu prawie niepodobnym do zniesienia, gdzie konieczność zwyciężenia nie jest jeszcze rękomią zwycięztwa. Gdybym mógł skłonić Freda do powrotu do Australii... co mówię... gdybym mógł okupić wyjazd jego ofiarą pieniężną, któraby dla mnie nie stanowiła zupełnej ruiny! .. Tam, na miejscu, Opatrzność zaopiekowałaby się rodziną opuszczoną. Nędza nieublagana zwróciłaby do pracy niepoprawnego próżniaka.. Ale nie, nie! to czeze chimery, rachuby bezmyślne, choć ciasna jest roztropność co mi je nasuwa... I za tę samą roztropność czasami wdzięczny sobie jestem, czasami sobą pogardzam.

Czy to jaki zakład, czy co? Znowu spotkałem ją z Wentworthem. On jest bardzo wysoki, ona bardzo mała; on przychyłał się by ją lepiej usłyszeć, ona mówiła mu prawie do ucha: coby na to powiedziała miss Łucya Wodehouse, która także z przyjemnością przyjmuje hołdy zniewalającego ministra? Tym razem zbliżyłem się do nich, i p. Wentworth, na którym lodowa moja grzeczność sprawiła wrażenie natrysku z zimnej wody, wkrótce udał się w swoją drogę. Nettie niosła z Carlingfordu kilka zwinjatek białizny.

-- Jeżeli pan pójdziesz ze mną aż do domu, to zechciej zabrać to odemnie. Jestem porządnie zmęczona, pan także trochę, zdaje mi się, a przytem nieco kwaśny.

A gdym jej podawał rękę: „Dziękuję, rzekła, wolę iść sama.”

Znużyłem się sobą i swemi wahaniami. Może też znajdowałem się pod wpływem wspaniałego wiosennego wieczoru.

— Obarczasz mnie pani temi drobiazgami, — rzekłem do niej po chwili milczenia, a odmówiłabyś mi z pewnością prawa odjęcia ci pewnych innych ciężarów nierównie dolegliwszych.. Te trzy niegodziwe bębny powoli wyczerpią wszystkie pani siły..

— Uważaj doktorze, iż mówisz o *moich* dzieciach—zawołała Nettie z wyraźnym niezadowolaniem: ale w chwilę potem, zupełnie różnym tonem: „Dziś jesteś pan w złym humorze, dodała, musiałeś się bardzo spracować.. Móżebyś lepiej nie chodził do nas.. Nie mam wcale ochoty patrzeć na nową kłótnię pana z Fredem.

— Pani uważasz że jestem w złym humorze?—zawołałem nie mogąc dłużej wytrzymać.. Więc nie wiesz w jakim ja niepokoju żyję od trzech miesięcy? Zdajesz się pani nie rozumieć..

— Uważaj pan na swe słowa! — przerwała Nettie, nie przysposabiaj sobie żalu! Niech między nami będzie tak dalej jak było przez te trzy miesiące niepokoju, w ciągu których, o ile wiem, nie powiedziałeś do mnie ani jednego wyrazu za wiele..

Ta okrutna alluzya dopełniła miary... oj, dopełniła! Wyrzuciłem wszystko co miałem w duszy. Zdumiona nieco, słuchała nie przerywając.

— Doktorze Edwardzie, — rzekła do mnie potem z pewną uroczystością, powinieneś znać nicość podobnych zamysłów. Przypuśćmy żeby się tak stało, jak pan mówisz. Ja nie jestem wolną.. zmienić nic w tém co jest. Owóż wiesz to tak dobrze jak i ja, że nie możesz obarczać się Fredem, Zuzanną i dziećmi.. Ja nie posądzam pana o nieszczerłość; nie powiadam żebym nie wołała aby rzeczy urządziły się inaczej; ale w tém właśnie sęk. Znasz pan siebie zapewne i mnie znać powinieneś. Nie widzę doprawdy sposobu wyjścia, doktorze Edwardzie, dodała z lekkim westchnieniem.

— Czy tyle tylko masz mi pani powiedzieć?—zawołałem ostąpiaty.

— A cóż mam powiedzieć więcej?—odparła jako kobieta rozsądna. Warunki naszego położenia znasz pan tak dobrze jak ja. Można czegoś żałować, niemniej jednak człowiek obowiązany jest uczynić to, co uważa za swą powinność.

Ten spokój, ta niewzruszoność, dobijały mnie. Nic bardziej upokarzającego, nic bardziej zabójczego dla mojej duszy i zarazem dla mojej miłości. Nie wiem czy to zauważyła, ale dodała wszelako: „Wymyślże pan sam, cobym odpowiedzieć mogła. Jestem ja w stanie zmienić to co jest? Jeżeli panu wyrządzam przykrość, to wierraj mi, że mimowoli, i że mi samėj bardzo smutno..

Tu stanęliśmy przed bramą domku gotyckiego.

— Nie trap się pani zbyt, — rzekłem, i bądź pewna że potrafię sobie... Ale wtém odrzucając wszelką miłość własną, zawołałem: „Zastanów się, Nettie, zastanów się nad tém co czynisz!... Nim nas oboje poświęcisz téj nikczemnej rodzinie, daj sobie czas do namysłu! Nie jesteś tak obojętną jak ci się wydaje. Ani pani, ani ja, nie wytrzymamy tego rozdziału. Raz na zawsze, Nettie! czy nie dasz mi innej odpowiedzi?”

Drzwi się otwarły i Smithowa ukazała się na progu z lampką w ręku.

— Żadna w świecie odpowiedź, — rzekła Nettie, przyspieszając nieco kroku, nie jest w stanie przemóżyć siły rzeczy, choćby pod nią serce pęknąć miało.

Pod promieniem światła który padał na nas, nie mogliśmy nic już dodać. Położyłem na stopniu od schodów zawiniątko Nettii i wsunąłem się w mrok ulicy, aby przed ludzkimi oczyma ukryć wstyd, który buchał mi z twarzy.

Nowe życie poczyna się dla mnie.

Ostatni raz jak byłem w gotyckim domku (gdzie nie zajrzałem z miesiąc), spotkałem doktora Marjoribanksa na mityngu, na którym rozbiegano sprawy municypalne Carlingfordu. Nigdy go nie widział tak miłym dla siebie i uprzedzającym. Mówił o swém nadwątłóm zdrowiu, o prawdopodobnym wypoczynku i to zapewne w niedługim czasie, o pięknej przyszłości jakiej spodziewać się może w Carlingfordzie młody człowiek naszego fachu, i na zakończenie zaproponował mi konsultacyę na jutro razem z sobą u jednego z najbogatszych swych klientów, którego stan zdrowia wikał się w sposób dość zagrażający.

Właśnie téż na skutek téj z nim rozmowy pobiegłem co tchu do Ś. Rocha, cały przenikniony nadzieją, olśniony nowemi widokami jakie się przedemną otwierały. Przypadło panie Underwood uleczyć mnie z téj gorączki i przywrócić mi rozwagę.

Wydobrzałem téż. Byłem wczoraj na obiedzie u mojego szanownego kolegi, a przyjęcie prawie serdeczne jakiego doznałem, pochlebne obejście jego córki, jednéj z najukształceńszych panien w mieście, były dla mnie balsamem na zranioną miłość własną. Wiem teraz gdzie szukać pociech na tę nudę, na to zniekanie, która mnie trapią.

Od kilku tygodni wciąż spotykam ludzi, którzy się do mnie uśmiechają i wieszają mi tajemnicze słowa. Musiałem nareszcie odrzucić dylatory. Plotki miejskie łączą moje imię z imieniem panny Marjoribanks. Żenią nas, słowem, według uświęconego wyrażenia. Rzeczy wprawdzie nie zaszły tak daleko; ale wreszcie myśl ta nie ma w sobie nic tak bardzo chimerycznego. Dwa lub trzy lata któremi panna Marjoribanks góruje nademną, kompensują się

przyjemnością jęj osoby (bo ona jeszcze doskonale wygląda), ukształceniem umysłu, a także, powiedzmy prawdę, korzyściami materyalnemi podobnego związku. Doktor Marjoribanks gdyby nawet nic nie odłożył na bok, co jak na Szkota należałoby do cudów, to już samo przekazanie praktyki stanowiłoby piękny posag. Niech więc próżniaki gadają, a jeżeli echo ich gadaniny dojdzie, o czem nie wątpię, do uszu panny Underwood, to ona zobaczy, że przecież ani tak opuszczonym ani tak pozbawionym pociechy nie jestem. Czemu nie mam iść za jęj przykładem? Czemu nie mam się pokazać równie rozsądnym jak ona? Od półtrzecia miesiąca jakieśmy z sobą nie mówili, umyślnie unikam domku gotyckiego, ograniczani się na grzecznym ukłonie przy spotkaniu, i oprócz uprzejmego odkłonu, innego znaku życia od niej nie otrzymałem. Jeśli godna wiara pani Smithowej, z którą przypadkiem spotkałem się kilka dni temu, Nettie pracuje daleko więcej a rozmawia daleko mniej jak zwyczajnie. Pierwszy z tych szczegółów nie dziwi mnie wcale; nie mogę tego powiedzieć o drugim: ona z natury nie jest gadatliwa.

Jak tylko ta straszna wiadomość do mnie doszła, pobiegłem w cwał do gotyckiego domku. Poznała mnie pewnie po chodzie, bo otworzyła mi drzwi wprzód nim zastukałem. Rękę podała mi bez wysilenia, bez przymusu. Czułem że się rumieniem zobaczywszy ją; ale ona była równie bladą, równie zajętą, jak zawsze.

— Nie byłabym po pana posyłała—doktorze Edwardzie—gdybym była mogła sama zrobić. On jest tam, pod kluczem, w salonie. Chciałam go zabezpieczyć od zimnej ciekawości, od czczych komentarzy. Teraz kiedy już nie żyje, starajmy się zachować mu szacunek!

— Czy Zuzanna wie?

— Nie jeszcze. Czekałam aż pan przyjdiesz aby ją zbudzić i zawiadomić.

Na te słowa otworzyła drzwi od salonu, klucz włożyła na wewnątrz, i tam przy zwłokach, opowiedziała mi co się stało. Oto treść jęj opowiadania:

„Fred i Zuzanna wyszli odemnie wczesnie wczoraj wieczór. Myślałam że udali się do swego pokoju i jużem się o nich nie troszczyła. Słyszałam dla dzieci i takem się zajęła robotą, zem zgoła zapomniała o godzinie. Słyszałam już dawno, bez zwrócenia na to uwagi, jak zamykano bramę od domu, kiedy uderzył mnie jakiś szelest wychodzący z pokoju siostry. Jużem się podniosła żeby zajrzeć, kiedy ona sama zesła, niespokojna, narzekająca. Mąż jęj, wyszedłszy od kilku godzin, dotąd nie wrócił. Zrazu nic mnie w tém ani zadziwiło, ani zmartwiło. Nie pierwszy to raz Fred tak się zapominał; powiedziałam to Zuzannie, ale widząc że ona pomimo nalegań moich nie chce wrócić do łóżka, postanowiłam zo-

stać z nią razem. Owinęta szalem który jej podałam, to drzymała, to płakała, to powstawała na meza, a ja patrzyłam i słuchałam, szyjąc bez przerwy. Dopiero kiedy zaczęło świtać uczułam niepokój, zdawało mi się że ten nieszczęśliwy, niemający ani pieniędzy ani kredytu, ukrywający chętnie w ciemnościach rozpustę za jaką mu wstyd było, nie mógł przepędzić nocy całej za domem bez jakiegoś wypadku. Zaniepokojona, powzięłam natychmiast postanowienie.—„Pójdę poszukam Freda—rzekłam do Zuzanny—jeżeli ty położysz się spać. Wiesz w jakim stanie nieraz powracał... Może gdzie upadł na drodze, i sen ujął go wprzód nim zdołał powstać.” Ona nie zgadzała się. Utrzymywała że to nieprzyzwyczajenie, że to należy do pana, że trzeba po pana posłać, że Fred gniewałby się gdybym za nim biegła, że nie wiem gdzie go szukać, słowem tysiąc stawiała mi zaprzeczeń, które do niczego nie zmierzwały i którym położyłam koniec, odprowadzając ją do sypialnego pokoju. Następnie wyszłam kiedy wszyscy spali jeszcze w domu. Na dworze przypominałam sobie com mówiła do siostry, i udałam się przez pole w stronę nędznego szynku, do którego, jak mi mówiono, zaglądał czasami Fred. Szynk ten leży na brzegu kanału. Byłam jeszcze dobrze opodal, kiedy usłyszałam ogromny krzyk. Podniosłam głowę, bo krzyk ten miał coś przerażającego. Pochodził on z łódki, z której wychylali się dwaj ludzie; jeden z nich zdawał się pokazywać coś w głębi wody. Inni dwaj ludzie stojący u przewozu na ten krzyk przyspieszyli kroku i spoglądali również w to samo miejsce. W tej chwili uczułam mocne ściśnienie serca, i jak gdyby nieprzepartem przeczuciem wiedziona, popędziłam ku tej gromadce ludzi bez względu na wszelką przyzwoitość lub nieprzyzwoitość podobnego kroku. Przybyłam w chwili, gdy oni wzdłuż łodzi podnosili jakąś masę bezwładną, jakąś postać ludzką z której ciekła woda z mułem. Tu już nim się rozpatrzyłam, złowroga prawda stanęła mi przed oczy. Przez kilka sekund rodzaj ciemnego zawrotu odjął mi możność widzenia. Kiedym przejrzała, nieszczęśliwy ten ukazał mi się z obliczem w tył zwieszonym, z oczyma otwartymi pod promieniami wschodzącego słońca. Gdyby tam był ktoś mnie ku pomocy, byłabym się może oddała boleści połączonej z przerażeniem, która zdawała się mnie ogarniać; ale tego nie było mi wolno: trzeba było rozmówić się z temi ludźmi, wezwać ich pomocy, odnieść ciało, wprowadzić je do domu bez hałasu, uniknąć skandalu i fałszywych plotek i oszczędzić siostrze zbyt gwałtownego wstrząśnienia, a dzieciom straszliwego widoku. Wszystko to było na mojej głowie. Teraz zaś mówią znowu o śledztwie, o formalnościach prawnych, o rozmaitych rzeczach na których się zupełnie nie znam. Na ciebie więc kolój—panie Edwardzie! Rozpraw się z sędownikami, a ja idę do siostry.

—Ależ na Boga! Nettie—zawolałam kiedy skończyła—dlaczego pani po mnie wcześniej nie przysłała? Dlaczego bierzesz na siebie tak przerażające troski? Na najmniejsze skinienie twoje przybiegłbym był natychmiast.

— Posłałam po pana zaraz jak tylko byłeś potrzebny—odpowiedziała mi z pewnym odcieniem niewieściej dumy. Ja nie stanęłam nigdy niżej mego zadania. Ale co tam będziemy wszczynać czeze spory—doktorze Edwardziel Urazites się na mnie, i ja to pojmuję. Zapomnijmy o tém wszystkiém, bądźmy przyjaciółmi, i czuwajmy oboje nad pamięcią tego biednego Freda!”

W chwilę potem zostałem sam w małym przedsionku, z kluczem od salonu w ręce, na oczach Smithów, którzy zapewne kipieli tylko aby wystąpić do mnie z właścicielskimi pretensjami.

Nettie większą część dnia przepędziła przy Zuzannie, w której ponure osłupienie nastąpiło po chwili upartego niedowierzania. Wiem ja z góry, wie i Nettie przez jakie fazy przejdzie ta egoistyczna boleść. Niedołęztwo Zuzanny weźmie wkrótce górę; obędzie się ona po trochu ze swoim nowém położeniem, a wspomnienie męża, o ile dotrwa w jej myśli, będzie jej tylko służyło za materyał do czezych żalów i nieustannych roszczeń. U dzieci więcej jest zdziwienia i ciekawości niż prawdziwego smutku. Nettie nie mogła in dokładnie wbić w głowę tego o co chodzi. Z rodzajem głupiego sceptycyzmu zaczęły bawić się w jadalnym pokoju, nadstawiając ucha na niezwykle głośy obiegające po domu, upatrując kto wchodzi i wychodzi, nie szcędząc sobie w danym razie złośliwych uwag, i całkiem gotowe, gdyby powaga Nettie nie trzymała ich na wodzy, zapuścić swe badania aż do tego salonu, w którym leżą jeszcze zwłoki ich ojca.

Biednyż ten salonik, przybytek jej skromnego wykwintu, jej pracy nieustannęj; jestem pewien, że ją dużo kosztować musiało wprowadzenie tam tych szczątków nieczystych. A jednak, jeżeli jest kto co ukazuje nad myn nieszczęśliwym bratem prawdziwą litość, żal istotny i trwały, to chyba jedna tylko Nettie.

Co do mnie zmuszony jestem wyznać przed sobą, że dla niej i tylko dla niej podejmuję te wszystkie starania i taką rozwijam czynność. To co jest moim obowiązkiem zrobiłbym i w innych okolicznościach, ale nie tak samo, to jest nie z takimi samemi uczuciami. Ten smutny zgiełk, niesława przywiązana do śmierci, której każdy przyczynę zna, rozgłos który w tak niemily sposób publikuje nasze rodzinne imię, wszystko to co byłoby mnie innym razem niesłychanie zgryzło, teraz dotyka mnie w sposób nie bardzo dokuczliwy. Nie bez tego żebym nie był smutny, tak smutny, że ciekawi, mniemam zaszczycają mnie większym żalem niż na to zasługuję. Do tój śmierci tak ze wszech miar logicznęj, w tak doskonałym zostającęj związku z życiem które zakończyła, byłem poniekąd przygotowany. Łatwo mi jest przebaczyć temu nieszczęśliwemu; ale nawzajem niepodobna mi zapomnieć wszystkiego com przecierpiał przez niego i dla niego, zapomnieć boleści jakimi napawał niegdyś naszą biedną matkę, smutnego losu jaki zgotował naszej siostrze, a nadewszystko, nadewszystko przyszłości Nettie, którą może na zawsze naraził!

Przyrzekłem sobie więcej się na nią nie gniewać.... ona zmusiła mnie złamać to przyrzeczenie. Słowa jakie przed tygodniem wyrzekła do mnie kończąc swe grobowe opowiadanie: „urazifeś się na mnie i ja to pojmuję” wciąż przychodziły mi na myśl. A więc ona poznała, oceniła słuszną moją urazę, mówiłem do siebie; to przecież nie dlatego, aby ją wywoływać na nowo. Wielkie zniechęcenie, wielka niecierpliwość, oczekiwały mnie w salonie domku gotyckiego. Na téj saméj sofie z którą łączy się niejedno nienawistne wspomnienie, bratowa moja rozpościerała swoją grubą żałobę, haftowaną chustkę i urzędowy smutek. Krzesła przygotowane z góry oczekiwały na gości, którzy niechybnie przybędą z nią połączyć swe żale. Przy stoliku, zajęta jak zawsze swoją nieubłaganą robotą, Nettie poruszała igłą w gorączkowym pośpiechu, ubrana w jakąś lekką czarną sukienkę. Zawsze ten sam obraz w tym domu, który sądziłem zmienionym, zawsze też sama służebność, te same przeszkody!

— Nie spodziewałam się widzieć pana, panie Edwardzie—ręce do mnie bratowa, niosąc chustkę do oczu. Wspomnienie tego co się odbyło w tym samym salonie, podczas naszego ostatniego zebrania, powinno panu wytłumaczyć moje zdziwienie. Ale teraz, kiedy jesteśmy bez opiekuna, teraz kiedy straciłam mojego ukochanego Fryderyka, mało panu zapewne zależy na tém, aby drażnić uczucia moje. Gdybyś pan za życia mego biednego męża spełnił był należycie swe względem niego obowiązki, nigdy, nie, nigdy....

Pani Fredowa urwała na tém, zadławiona łzami pomsty.

— Nie zważaj pan na słowa Zuzanny—rzekła do mnie Nettie. Uprzejmie to z pańskiej strony żeś przyszedł dziś, choć cię nie zobowiązywało. Oddaj nam jeszcze jedną przysługę—doktorze Edwardzie; spraw aby się mniej zajmowano nami! Odwiedziny, współubolewania, ofiary przysług, spływają ze wszystkich stron. Postaraj się aby nas zostawiono samym sobie. Wiesz że nie potrzebujemy nic od nikogo—dodała z wyrazem dumy. Wiesz że tu się nic nie zmieniło. Nie ubliżając nikomu, potrzeba aby wszyscy o tém wiedzieli. Wszystko tu idzie po dawnemu.

— Widzę to—odpowiedziałem z pewną goryczą—ale odwiedziny moje nie są prostym znakiem grzeczności. Przyszedłem zapytać się mojej bratowej co ona myśli dalej czynić. Pani Rider! pozbawioną będąc naturalnej pomocy, musiałaś pani zapewne uczynić jakiś projekt względem siebie i dzieci?

Zuzanna spojrzała na mnie dziko i jakby z głuchém przerażeniem w obec zapytania, którego znaczenie widocznie nie szło jej do głowy. Rzucając ku siostrze błagalny wzrok:—Nettie—wołała—Nettie.....! I oprócz tego rutynicznego okrzyku nie znalazła ani jednego wyrazu. Ja zaś byłem w rozpaczy, a tém samem bez miłosierdzia.

— Nettie, i zawsze tylko Nettie, zawołałem z pewnym rodzajem furji. A więc to prawda, że tu się nic nie zmieniło? Zostaniesz więc pani całe życie niewolnicą innych?... W cóż tedy my się obró-

cimy?... Czyś zawarła wieczysty kontrakt z tém nędzném istnieniem?—Opuszczając z pracowitych rączek mały żałobny kaftaniczek, który kończyła wyszywać tasiemką:

— Widzę z twarzy że pan źle noc przepędziłeś, rzekła do mnie z pewną czułością. Jesteś znużony, umysł masz skłopotany. Oto, zdaje mi się powód tego co mówisz mimowolnie. Koniec końców, wyjąwszy biednego Freda, o którym wy nie myślicie ani jedni ani drudzy, wszystko znajduje się tu na tej samej stopie jak było przed tygodniem. Może nawet ja potrzebniejszą jestem tu, może obowiązki moje stały się ściślej szemi jak dawniej. Ja na to nic nie mogę, nikt na to nic nie może. Zuzanna została, zostały dzieci. Dla nich, które trudno mi wychować tu jakby należało, może lepiej byłoby wrócić do osady; ale to podróż bardzo długa i okrutnie kosztowna. Zkądinać, jeżeli mam wszystko powiedzieć, dodała z wielkiem wysileniem naiwnej szczerości, ja nie mogę zdobyć się na opuszczenie tego kraju.

Zdawało mi się że ją rozumiem i krew we mnie zawrzała na te ostatnie słowa. Zerwałem się, schwyciłem w dłoń drobnią jej rączkę, i prawie na klęczkach u nóg jej, oczyma żebrząc odpowiedzi, zerwawszy tamę roztropności: „Nettie, Nettie! wybuchnąłem, jeżeli postanowiłaś dźwigać ten ciężar, czyż nie moglibyśmy nieść go we dwoje?” Ona nie wycofała ręki, widziałem drżenie jej warg i lekką chmurę przesuwaną się po oczach. Zapomnieliśmy oboje o tém, że nie jesteśmy sami, i przez kilka sekund, dzięki jej przelotnemu wahaniu, losy moje zdawały się ważyć; ale brutalny palec rzeczywistości zaciężył wkrótce na jednej szali.

— „Nettie” zawołała pani Fredowa, jeżeli Edward Rider nie ma dla mnie najmniejszego szacunku, jeżeli depcze pamięć swojego biednego Freda, tego drogiego małżonka, ofiarę tylu niesprawiedliwości, człowieka który tyle przyczynił się do jego wychowania, który następnie oddał mu swoją klientelę, i umarł, śmieć rzecz mogę, skutkiem opuszczenia w jakim go pozostawiono, to przynajmniej ty, siostrze, bądź mniej dla mnie okrutną!... Brac jego rękę przy mnie, patrzyć nań jakbyś go już kochała! Siostrze, siostrze! mimo że cię głoszą za taką dobrą, tyś nigdy nie oszczędzała mych uczuć... Teraz widzę czego mogę oczekiwać po tobie. Zaledwie mój biedny Fred legł w trumnie, zaledwie śmierć jego zostawiła mnie na twój łasce... Ah, mój mężu, mój Frederyku ukochany! tak to, gdy ciebie niestało, traktują mnie ci, których zostawiłeś za sobą! Ale bądźcie spokojni, pójdę i ja niedługo za nim... Niedługi wam kłopot z mną!”

Od zaczęcia tej patetycznej oracyi, ręce nasze się rozłączyły. Chodziłem po salonie wielkimi krokami, gwałtem powstrzymując wzrastający gniew. Nettie, z ręką na rozognionych oczach, zdawała się odpęczać widziadło szczęścia niepodobnego. Czułem, że w jej delikatnej piersi biło serce olbrzyma. Nie odpowiadała nic na wyrzuty siostry, nawzajem zostawiając bez słowa pociechy te łzy, te konwulsyjne szlochania, których tajemnica dobrze jej

była znaną. Cała ta egoistyczna rozpacz nie poruszała jęj wcale: przewidywała jęj kres, wiedziała że żadną walką boleść nie zakorzeni się w tęj nic nie znaczącej duszy; ale wiedziała także jaki byłby niezawodny wypadek tego starcia, w które i nie chciała się wdawać.

— Nie myśl już o mnie, doktorze Edwardzie, rzekła do mnie stanowczo, odprowadzając mnie ku drzwiom. Widzisz dobrze, iż to jest zgola niepodobnem. Widzisz to bez wątpienia tak dobrze jak i ja. Gdybyśmy mogli oboje powrócić ku tradycyom naszej dawnęj przyjaźni, zapewniam cię, że byłoby to dla mnie wielkiem szczęściem... Nie mów nic do mnie... Wiemy oboje i to co jest, i to że zaradzić temu nie można. Byłoby najlepiej przestać myśleć wzajem o sobie, dodać a westchnieniem. Tymczasem pożegnajmy się, i już odtąd ani słowa w tym przedmiocie...

Mocne przekonanie że mnie Nettie kocha, a jakżeżbym mógł dzisiaj już o tęp powątpiewać? nie ujmowało w niczém stanowczości wyroku, jaki w tęj chwili wydała. Pożegnałem się z nią najpewniejszy, że nigdy nas bardziej ściśty nie połączy związek. Po wyjściu zamtąd uczulem gwałtowną potrzebę ruchu. Koń nie mógł wydażyć za moją niecierpliwością; podżegałem go głosem, i szlachetny zwierz pędził w najszybszym biegu. W chwili gdym tak galopem wracał w ulicę Carlingfordu, dziwnem zrządzeniem spotkałem piękną panią Brown, tę która przedtęp nazywała się Bessie Christian. I tę straciłem przez brak odwagi, a tę odwagę inny znalazł w sobie. Razem z tą uwagą stanęła w myśli mojęj zwiędła twarz pani Fredowęj. Z nerwowym zamachem zaciąłem i tak już rozgrzanego konia, który puścił się jak strzała, tak że o małośmy nie rozjechali pani Brown, która przestraszona schroniła się do najbliższego sklepu. Kto wie, czy ona nie sobie w pewnej mierze przypisywała to szalone uniesienie w jakim zostawałem z pięć lub sześć minut, pókim nie uspokoił rozbrykanego konia? A jednak miejsce jęj dobrze się już zatarło we wspomnieniach od których zdawało mi się że mnie wieki rozdzielają. Wziąwszy górę nad koniem, i w pierwszym uniesieniu tryumfu, stawiłem sobie pytanie: czy nie możnaby postępować z losem tak jak z koniem rozbrykanym, zapanować nad nim siłą woli; ale raz jeszcze ukazała mi się pani Fredowa, narzekająca i zapłakana na tęp nieszczyśliwęj sofie.... Nettie z jednęj strony, ale z drugięj to widmo ponure i rozgrymaszone, otoczone nieznośnemi bębnami, zuchwale tyraniżującemi tęp moją niebiankę; tego obrazu oczy moje znieść nie mogły.

Nie! Nettie ma słuszność, to niepodobna! Miłość, cierpliwość, miłosierdzie, są to cnoty tylko ludzkie, a tęp samęm mają swoje granice. Są może dusze wyborowe w których cnoty te opierają się codziennym przykrościom i powszednim przeciwnościom nieustannie wznawianym; ale moja dusza, wyznaję, nie należy do tego rzędu. Wiem i wie Nettie, że z wielką trudnością przyszłoby mi wytrzymać w podobnem położeniu. Wiem także, że czego może nie wie Nettie, że i jęj urok rozwiałby się z czasem w tym nierozzerwanym sojuszu.

A zmuszony jestem wyznać przed sobą, z wielkim wprawdzie wstydem, że niezadługo może przyszłoby mi żałować tego poświęcenia, że przyszłoby mi może rzucać na głowę żony (a Bóg wie jak niesprawiedliwie), odpowiedzialność za wszystkie niesnaski nieoddzielne od podobnego życia. Co mam udawać przed samym sobą? Co mam zakrywać przed własnymi oczyma moją ułomność moralną? Jestem taki i już się nie przerobię. Gdyby przynajmniej to przekonanie raz powzięte, jakkolwiek upokarzające, mogło mi zjednać spokój! ale daremnie człowiek sam się upokarza, nie staje się przez to ani mniej zakochanym, ani spokojniejszym. Niezadowolenie z siebie nie czyni go, jak uważam, ani względniejszym dla innych, ani uleglejszym wyrokom Opatrzności.

Pani Smithowa przyszła po mały dodatek do komornego, który wciąż w sekrecie płacę dla uciszenia jęj własnych i jęj męża skrupulów pod względem uszkodzeń, jakie odejmują pierwotny blask ich mikroskopijnemu zamkowi. Ściśle mówiąc, ta kwartalna indemnizacya, spowodowana poprzednio postępowaniem Frada, powinna być usunięta od czasu jakeśmy go stracili; ale ja nie zanoszę żadnej reklamacyi, bo miło mi jest, skoro sam już tam nie bywam, dowiedzieć się czasami cośkolwiek o tém, co się tam dzieje. Miło mi jest także zrobić coś dla tęg dumnej Tytanii bez jęj wiedzy.

Bratowa moja, zdaje się, wzięła na kiel, ażeby powrócić do Australii. Pomędzy nią i Nettie jest to ciągłym przedmiotem dyskusyi i scen inniej więcej patetycznych. Nettie zrazu wyraźnie odmówiła; ale Zuzanna, która wie już z doświadczenia jak głupcy brać się mają, aby wolę swoją narzucić rozumnym, uorganizowała całkowity system nalegań i napaści nieustających. Nettie broni się jeszcze, zimne milczenie przeciwstawiając łzom, narzekaniu i wyrzutom, jakeimi ją oblega Zuzanna. Pani Smithowa przypuszcza niemniej że ona ustąpi w końcu, i zawczasu stara się o nowe lokatorów.

I ja na nieszczęście jestem zdania pani Smithowej. Jakiś *gentleman* australijski, czasowo przebywający w Anglii, pisał niedawno do pani Riderowej, że jeżeli jęj wdowieństwo skłania ją do powrotu do osady, to on ofiaruje się towarzyszyć tym paniom w całej podróży. Może zajęty jest Nettią. W każdym razie Zuzanna znajduje w nim potężne poparcie, i nie zaniedba obrócić je na swą korzyść.

Moje odwiedziny w domku gotyckim nie ustały bezwarunkowo; ale przerzedzają się coraz bardziej. Od trzech miesięcy bywam tam zaledwie raz na parę tygodni. Niepodobna mi taić przed sobą, że Nettie widzi mnie zawsze nie bez pewnego wzruszenia, które mięsza pewien rodzaj przymusu do naszych stosunków, wreszcie nie mówię do nięj inaczej jak w obecności bratowej, a to dostatecznym jest do odjęcia wszelkiego uroku tym spotkaniem coraz rzadszym.

Jakiś dziki olbrzym, w excentrycznym ubraniu z brodą podobną do dziewiczego lasu (Anglika znać w nim tylko po blasku białej bielizny, którą rozpościera na szerokiej piersi), wystawia od kilku dni na widok publiczny kapelusz swój o szerokich skrzydłach, zawiesziste faworyty, laskę z gałką złocistą i wszystkie przypadłości Nowego Świata. Wzbudza on powszechną ciekawość spokojnych mieszczan, a uliczniki chętnie biegaliby za nim. Wzięto go nasamprzód za herkulesa, za cyrkowego atlete, który przybył tu dla dania kilku przedstawień; ale jego częste przechadzki do domku gotyckiego wyjaśniły kwestyą. Jest to właśnie pan Richard Chatham z Melbourne, rycerz australijski, który ma te panie odprowadzić do ojczyzny.

Tego przynajmniej on pragnie; a usługi swe ofiaruje tak gorliwie i uprzejmie, że aż pani Smithowa zbudowaną została jego uprzedzeniami; ale Nettie trzyma się ostro, a powaga jęj dekoncertuje jakoś, jak mnie zapewniano, czułe nalegania tego paladyna, — gorylla. Niedawno otrzymał od nięj porządną odprawę, ofiarując się dość niezręcznie, dla złagodzenia jęj skrupułów ekonomicznych, zapłacić koszta przeprawy. To już doprawdy przechodzi granice, i zaczynam się obawiać aby te znaczące uprzejmości i ta nadzwyczajna natarczywość, istotnie nie skompromitowały Nettie.

Przewidywania moje urzeczywistniają się. Plotkarstwo Carlingfordu wdało się w tę nową sprawę. Jak mnie niedawno żeniono z panną Marjoribanks, tak teraz ślub Nettie z goryllem uważają za nieodzowny. Czyż to podobna? Ależ nie, wszyscy, prócz mnie, mogą uwierzyć w podobną niedorzeczność... Kto wie jednak?... W głowie kobiet powstają czasami takie dziwne kombinacye. A dokąd one nie doprowadzają poświęcenia, jak się ich imagiacya rozbujal... Nikt inny, chyba Zuzanna, jest współniczką tego złotodajnego cielca. A ona narażona na ciągłą natarczywość, zajęta przyszłością dzieci, znużona wreszcie walką prowadzoną w tak nędznych warunkach, czyż zdoła im się oprzeć?...

Po przyjemności, po uldze, jaką mi sprawiła rozmowa z najstarszą z panien Wodehouse, lepiej ocenić mogę troski jakie dręczyły mnie od dni kilku. Stosunki jęj z Nettią, choć nie częste, przybrały charakter poufności: jestto zdaje mi się, jedyna prawdziwa przyjaciółka jaką biedne dziewczę zjednać sobie mogło w Carlingford. Wiek wreszcie panny Wodehouse pozwala jęj okazywać względem Nettie rodzaj macierzyńskiej troskliwości i udzielać rad, które, pochodząc od kogo innego, byłyby bardzo źle przyjęte. Panny te spotkały się dziś rano w kaplicy Ś. Rocha, którą stroją na święta Bożego Narodzenia, i za powrotem miały rozmowę która mnie w części uspokaja. Panna Wodehouse mocno przekona-

na (a nie tylko ona jedna), że Nettie wkrótce ma zaślubić pana Chatham, starała się w delikatny sposób dać jej do zrozumienia, że dobrze byłoby *przed ślubem* uregulować stosunki siostry i jej dzieci.

— Dotąd, mówiła do niej, ty poświęcałaś się dla nich; ale jak raz pójdziesz za męża, musisz ich poświęcić dla męża. Jeżeli on obiecał zabrać je z sobą, bardzo to dobrze, zapewne; ale jak staniecie na miejscu, to wierząc mojemu doświadczeniu, trzeba będzie rzeczy postawić na innej stopie.

Nettie przez ten czas patrzyła na pannę Wodehouse, jakby ta gadała do niej po grecku. Przyjaciółka dla wyjaśnienia, zmuszona była wyraźnie wymienić nazwisko pana Chatham i prawdopodobny cel jego częstych nawiedzina.

— Zaiste, rzecze na to Nettie nieco zadęsa i zdziwiona, być że to może aby on takie rościł sobie nadzieje? Biedny człowiek daremnie czas traci. I ty sobie wyobrażasz, dodała zwracając się ku pannie Wodehouse, że dość mu było pomyśleć o tym, aby uważać interes za skończony? Otóż ja jestem innego zdania. Gdyby dwadzieścia tysięcy Chathamów, jeden po drugim, żądało mój ręki, odmówiłabym wszystkim, bo za męża nie pójdę wcale. Nie moja to dola, nie moja to rzecz. Moją rzeczą jest odwieźć dzieci do Australii i wychować je jak najlepiej... Myślisz że płacze? Bynajmniej. Utyskać można wprawdzie, można los swój uważać nieco za surowy; ależ człowiek nie na to tu przyszedł aby swoją tylko wypełniał wolę, choć prawda na tym nie zbywa mi wcale...

Tak mówiła moja dzielna Tytania, choć nie zupełnie przekonała pannę Wodehouse, która też odezwała się do mnie znacząco: „sądzę że jest szczerą i odważną; ale droga do Australii długa, a trzy miesiące sam na sam na jednym statku...”

Mamże na wiarę tych groźnych słów powątpiewać o stałości Nettii? Byłaby to dziwna niewdzięczność po tej miłej niespodziance, jaką mi sprawiła.

Po niespodziance?... Cóż znowu! Albożem ja kiedy o niej powątpiewał.

Wracałem dziś wieczór po dobrym przymrozku, objechawszy mil kilka. Jazda zimową porą, a zwłaszcza dobrym koniem, ma w sobie coś co hartuje kruszec z jakiego jesteśmy ulepieni. Człowiek czuje się weselszym, śmiałym, gotowym na wszelkie awantury, skłonny do rozmaitych przedsięwzięć. W przejeździe koło domku gotyckiego, szalona myśl przyszła mi do głowy, a mianowicie, żeby wpaść tam z nienacka i porwać Nettie? Sprowadzić do Carlingfordu tę zdobycz, co by to był za tryumf i co za tekst do plotek!... Musiałem naturalnie porzucić te piękne widoki wracając do siebie, gdzie jak zazwyczaj zastałem lodowe milczenie, salon źle oświetlony, kolację napół ostygłą podaną przez ponurą gospodynię; ale w chwili gdy siadał do stołu, jak gdyby dla zakłęcia mego złego humoru ukazała się uprzejma pani Smithowa. Mój grzeczny uśmiech zdawał się wprowadzać ją w kłopot. Rzekłbyś, że czuła się w jakimś

faktycznym położeniu, i że wesołość malująca się na mojej twarzy nie była zupełnie w zgodzie z nowinami jakimi ona ucześnie mnie miała

Nowiny te w istocie dziwnymi mi się wydały. Nettie tego właśnie wieczora wracając do domu wymówiła mieszkanie od następnego tygodnia, z oświadczeniem że wyjeżdżają do Australii w dniu 24 miesiąca, to jest w wigilią Bożego Narodzenia.

— Niepodobna!—zawołałem z prawdziwem osłupieniem.

— Tak i ja mówiłam,—odparła właścicielka, ale co sobie ta panna ułoży w głowie, to się stać musi. Przewidywał to dobrze mój mąż, a ciągle wizyty tego przyjezdnego *gentlemana*..

— Co!.. JAKO? Powiedz-no pani, tylko bez gadaniny, istotną treść..

— Proszę pana, to nie moja wina... Nie moja to rzecz; ale pan jesteś tak dobry, i panienska także dobra... Powiedziałam do Smitha, że pójdę sama, abyś pan się tego nie dowiedział z ulicy... bez wyjaśnienia, tak sobie, ni ztąd, ni z owąd.. boć przecież..

— Pytam raz jeszcze, co wy przypuszczacie? raczj co wiecie?... fakt,—choć jeden fakt, ale ścisły i jasny..

— Fakt powiedziałam panu. Wyjeżdżają w dniu 24. *Gentleman* dzisiejszy wieczór przepędza u nich... a panna Nettie kazała znieść tłumoki do przedsiönka, aby bezzwłocznie rozpocząć przygotowania do drogi.

Kiedym raptownie zerwał się chwytając za kapelusz i laskę: „Wielki Boże! - zawołała pani Smithowa łapiąc mnie za poły,— gdzie pan idziesz, panie doktorze?... Tego się właśnie obawiałam.. Co pan zamierzasz? Pojedynek z *gentlemanem*!.. Tegoby tylko brakowało do zdyskredytowania mojego domu... Doktorze, doktorzel.. w imię Boga... błagam pana. ”

Ale nim przebrzmiało to patetyczne zaklęcie, ja szedłem już wzdłuż muru ogrodów dotykających do Grange-Lane, zostawiając za sobą jakiegoś biedaka, nie wiem starca czy dziecko, którego przewróciłem w pędzie, i o którym w téj chwili nie myślałem wcale. Przypadek zrządził że spotkałem także p. Wentwortha, ministra kaplicy ś. Rocha, a wspomnienie niedorzecznej zazdrości którą on raz we mnie obudził, jeszcze zaostrzyło tę, jaka mnie pożerała obecnie. Prawdaż to, mówiłem do siebie, że mądrość moja zesła na potworne głupstwo, i że moja mniemana roztropność zaslepiała mnie do tego stopnia? Więc ten australijczyk ma spełnić w moich oczach to co uważałem za niepodobne? Czyż Nettie Underwood wymknie mi się jak Bessie Christian?..

Kiedy zastukałem, zdyszany, do drzwi domku gotyckiego, głos Nettii odpowiedział mi z wewnątrz: „A przecież! pani Smith. czas już.. chodźże mi pani pomódz..” Otworzyła mi sama. Na mój widok cofnęła się o dwa kroki, jakby złapana na gorącym uczynku. Dwa wielkie tłumoki stały tam rzeczywiście, dwie arki australijskie o mocnych ścianach, z licznymi przedziałami, a naokoło nich kupki bielizny i odzieży, którą gibkie paluszki Nettii już poczęły wciskać w ich ciemne głębiny. Na ten widok głuchy jęk wydobył się z méj

piersi: „A więc to prawda?—powtarzałem machinalnie, więc to prawda, Nettie?” Ona stała przedemną ztropiona, zafrasowana, z rękawami od czarnej sukni zawiniętymi po łokcie, z włosami odrzuconymi w tył, przez co nawiasem mówiąc, zobaczyłem jęć cudnie wyrzeźbione uszko, zazwyczaj zasłonięte.

— Zupewna prawda,—odpowiedziała, wlepiając we mnie spojrzenie swych świecących oczu, śmielej i prościej niż kiedykolwiek.

— Ależ ten nagły wyjazd, siostra pani?...

— Siostra się zdraga. . to się rozumie. . Wprzód błagała, nagliła; teraz kiedy ja się zgadzam, kiedy przyśpieszam, oskarża mnie o ucisk i tyranją; ale jak ja ulegam obowiązkom moim, tak ona uledek mnie musi. Ja chcę żeby wyjechała, i wyjedzie!

Wpływ tej energicznej woli zaczął działać i na mnie samego. W chwili kiedy się schyliła aby na nowo rozpocząć swoją niepocziwą robotę, podstąpiłem ku niej i wziąłem ją za obie ręce w sposób dowodzący że i u mnie w żyłach płynie krew nie woda.

— Skończmy najprzód jedną kwestyę,—rzekłem do niej. O! jak pani sobie chcesz: ja nie ustąpię! wybrałaś się tedy w drogę bez żadnego znaku życia, bez uprzedzenia mnie, bez słowa pożegnania? I sądziłaś pani że ja na tém poprzestanę? O! łudzisz się pani niezmiernie.

— Doktorze Edwardzie,—odpowiedziała mi drżąc częścią z bojaźni, częścią z gniewu; pan nie masz żadnej władzy nademną. Jesteśmy sami, rozumiesz pan? nie byłabym zapewne wyjechała bez pożegnania z panem; ale inna rzecz względy grzeczności, inna posłuszeństwo. Ja nie mieszam się do pańskich interesów, pan się nie miesza do moich!

Argument nie był zły sam w sobie; ale czas argumentów minął. Odepchnąłem w kąt, z siłą do której nigdybym się nie był poczynał, ogromną skrzynię w którą ona napychała rzeczy, i zatrzasnąłem wieko z przeraźliwym łoskotem.

— Niema tu mowy ani o władzy, ani o posłuszeństwie, zawołałem. Nettie! gdybyś była żoną moją, nie opuszczałabyś mnie zapewne. To co czynisz dziś, jest prawie równie okrutne. Jeżeli kto był dotąd posłusznym, to niewątpliwie ja. I za tę właśnie powolność czuję w gruncie, że pani mną pogardzasz.

Myśl ta rzeczywiście dopiero wybuchła w moim mózgu, jak błysk światła.

— Jest to niesprawiedliwość, dodałem, nie sądź abym ją dłużej cierpieć był zdolny. Pani nie wyjedziesz, boś nie powinna. Dziękuję ci za twe pożegnanie: ja go nie potrzebuję. To co nazywasz „swoim interesem” jest zarazem moim; i jeżeli wyjedziesz, ja wyjadę także. Al! zapomniałem.... mówią o kimś, o jakimś Australczyku, który śmie ubiegać się... ale ja nie wierzę, nie, zapewniam cię, nie wierzę. O moja droga Nettie! zaprzestańmy gry która nas zabija! I zamiast rozłączać się, weźmy raczej świat cały na nasze barki!

Była chwila milczenia, bo Nettie, mocno wzruszona, nie śmiała odpowiedzi głosowi swojemu powierzyć. W czasie gdy ona milczała, nie mając nic więcej do powiedzenia, ja zabrałem się

(śmiech maie dotąd bierze, kiedy o tém pomyśle) i zacząłem znosić na stopnie schodów rozmaite części ubrania: pończochy, koszule, chustki i inne rupiecie, które ona nagromadziła w pośrodku przed-sionka, i uktadałem je ze staranną troskliwością. Ukończywszy to wróciłem do niej, wziąłem ją raz jeszcze za ręce, które ona trzy-mała mocno ściśnięte jedna w drugiej.

— Sameś pan uznał że to jest niepodobnem, zawołała nagle. Nikt nie weźmie świata na swoje barki z miłości dla mnie. Nie chcę nikomu narzucać mego ciężaru. Dziękuję panu żeś nie uwierzył w to co ci mówiono: myśl to dla mnie pocieszająca. O! bez wątpie-nia, nikt inny, a nawet pan sam! Skończmy raz, doktorze Edwar-dziel! Ja ciebie nie wprzegnę w to jarzmo które ciąży na mnie; ale... nie zapomnę cię nigdy. Nie pozwolę sobie nigdy ganić cię. Bądź więc zdrów... Oszczędzaj mnie; odejdz: zmituj się nademną!... Ani słowa więcej w tej chwili.

Wtém otworzyły się drzwi salonu. Zapomnieliśmy zupełnie, ja przynajmniej, że nas może ktoś podsłuchuje. Nie bez zdziwie-nia tedy spostrzegłem bratową, która stojąc na progu ukłoniła mi się i zapraszała mnie gestem mniej niechętnym jak zwykle. — Je-żeli pan Edward zechce wstąpić, rzekła, będzie mi bardzo przy-jemnie gdy usłyszysz to co ci mam powiedzieć, kochana Nettie. Do pana tylko odwołać się mogę, dodała zwracając się ku mnie, abys osądził czy powinnam poddać się jęj zachceni.

Weszliśmy za nią do salonu. Stojąc jak ekran przed ko-minkiem, leśny mieszkaniec zasłaniał sobą zupełnie ogień. Lampa przysłonięta nie wiele także wydawała światła. Mrok panował w tym pokoju, a przytém nieporządek był w nim wielki. Nie mogłem poznać tego salonika Nettie zapełnionego, dla mnie przy-najmniej, mnóstwem wspomnień cierpkich i przyjemnych. Olbrzym australijski wydawał się zakłopotanym pod wejściem Tytanii nieco zdziwionej. Pokręcał on chwilami swe długie wasy dla na-dania sobie wagi, a pani Fredowa, usadowiona na sofie chłodziła haftowaną chustką lica więcej ożywione jak zwykle.

— Nettie, odezwała się nareszcie bratowa, tak się przyzwy-czała rządzić każdym, że zdaje się mieć niezaprzeczone prawo do naszjej uległości. Jestto zapewne winą Freda, który pomny na obowiązki zaciągnięte względem méj rodziny, zanadto ulegał méj siostrze. Ale ja teraz mając kogoś co mi udzieli poparcia (i tu pani Fredowa o mało co nie wybuchnęła płaczem), oświadczam ci, moja Nettie, że nie wyjadę dnia 24...

Na to wyraźne oświadczenie Nettie odpowiedziała tylko spoj-rzeniem rzuconém w stronę Australczyka. Ten mocno zakłopo-tany, taczał się to na prawo to na lewo i zdawał się dodawać sobie jeszcze objętości.

— Nie, nie wyjadę 24! — zawołała pani Fredowa podniósłszy głowę majestatycznie. Nie jestem dzieckiem które można na pasku prowadzić. Nettie utrzymuje że ona działa w naszym spólnym inte-resie, ale w gruncie czyni to dla pokazania władzy; a może téż skutkiem jakiego niepowodzenia, które uczyniło jęj wstrętym po-

byt w Carlingfordzie. Zaprosiłam pana tu, panie Edwardzie, raz że jesteś z nią złączony stosunkami, powtóre, że jako stryj dzieci, powinien być zawiadomiony o tém co dotyczy ich przyszłości. Pan Chatham i ja, mówiła dalej Zuzanna, pod naciskiem wzruszeń machając chustką gwałtowniej niż zwykle, pan Chatham i ja postanowiliśmy że.... nasz.... ślub.... odbędzie się przed wyjazdem.

Aż dotąd stuchaliśmy gadania Zuzanny dość opieszale, zatopieni będąc w myśli zupełnie inne; ale ostatni jej frazes pękł jak bomba pośród tej cichej komnaty.

— Zwaryowałaś Zuzanno! zawołała Nettie z wyrazem niedowierzania. Ja zaś, zapominając wszelkich reguł przyzwoitości, jednym skokiem rzuciłem się ku kominowi, przed którym wciąż roztaczał się nasz olbrzym, bardziej zakłopotany, niezgrabny i opasty niż kiedykolwiek. Nie wiem tak bardzo co do niego mówiłem, ściskając w dłoniach jego potworną pięść. Zdaje mi się jednak że mu życzyłem „wszelkich przyjemności”, i że mu się oddawałem na wszelkie posługi; ale pośród tego wybuchu radości zatrzymałem się nagle, widząc że lica Nettie okrywają się śmiertelną bladością: nigdy twarz jej nie wyrażała podobnej rozpaczy.

— Mamże ci wierzyć, Zuzanno? mówiła w bolesnem zdziwieniu, czy też to tylko żart okrutny?... I ten rodzaj spisku odbywał się po za memi oczami!... I tyś mnie nagliła o powrót do osady, tak jak gdybyś żadnych innych nie miała zamiarów. Jakaś raz powzięła to postanowienie, poco było nacierać na mnie, turbować mnie?— wołała z tym wybuchem szlachetnych serc wobec rachuby zimnej której nie nie rozumieją.... — Ale prawda, o czym i do kogo tu mówić?— dodała, ucinając swój okrzyk oburzenia. Następnie siadłszy na najbliższém krześle, zaczęła zmęczoną i drżącą rączką spuszczać rękawy, których jeszcze nie odwinęła.

Tak tedy dziewczica ta, w utrapieniu pierwszej chwili, niepomna niespodzianego wyswobodzenia, bolała tylko nad brakiem serca, nad domową zdradą Zuzanny. Nie dziw! ją, opiekunkę rodziny tej od lat tyłu, ją która dawała im chleb i własną im go rozdzielała ręką niezmordowaną, odsuwano na bok, i to w chwili kiedy ona, aby wierną pozostać swoim, zdobywała się na najwyższą ofiarę! Wszystkie te uwagi, wszystkie te uczucia, wybuchły w prostém poruszeniu, którem, spuszczając czarne rękawy na bieluchne ręce, zdawała się żegnać trud niepotrzebny i tak źle wynagrodzony.

Ten wybuch oburzenia, ta nagła abdykacya, miała w sobie coś wielkiego i energicznego, co możeby uszło przed okiem zwyczajnego widza; ale ja, miłością mą podniesiony do poziomu jej myśli, rozumiąłem to doskonale. To też nie kwapiłem się z wynurzeniami dla niej, a kiedy odejść miała, zbawienne natchnienie usunęło mnie z jej drogi.

Leśny mąż nie miał tych skrupułów. Czerwieniąc się po same białka i muskając piękny wąs płowy:

— Pani, odezwał się do Netti, my niedawno.... to jest siostra pani i ja.. zapewniam panią.... odkryliśmy to co jest.... ale to

w niczém zamiarów pani nie krępuje. Będziemy szczęśliwi, zawsze będziemy szczęśliwi.

Nettie patrzyła na niego marszcząc brew w sposób niebardzo uspakajający, a bojaźliwość australczyka wzrastała pod tym znaczącym wzrokiem. Gdy skończył, ona wstając nagle, rzekła:

— Dziękuję, nigdy nie powątpiewała o dobrych chęciach pana. Pocziwie to z pańskiej strony że chcesz mnie zatrzymać w swym domu; tylko że w tém nie byłoby sensu. Wreszcie nie dziw się pan mojemu rozdrażnieniu: trudno to bez jakiegoś wzruszenia rozstać się z dziełem całego życia. Pragnę aby nikt... nikt, zrozumiejmy się, nie mówił mi dziś o tém. Dobra noc, doktorze Edwardzie!... Jutro, jeżeli pan zechcesz; ale dziś żadnych uwag.

A kiedy powstałem aby jęj drzwi otworzyć, ona, inaczej zrozumiawszy moje poruszenie — Nie, zawołała, daj mi pan dziś pokój! Na dziś mam tego dosyć.

Łatwo pojąć, że pozostawszy na trzeciego obok zakochanej pary, nie długo zaważałem jęj moją obecnością. Wróciłem do Carlingfordu po pięknym szronie, rzucając w gwiazdzone niebo entuzyastyczne dziękczynienia. Chciałbym był za powrotem znaleźć sposobność do jakiego dobrego uczynku, na przykład, wezwanie o jakie pięć mil do jednego z tych pocziwych chorych, od których nie bierze się zapłaty; ale niebo znużyło się wysłuchiowaniem mych życzeń, zastałem tylko starą gospodynię, pusty salon i szklanke letniej herbaty. Naprzeciw mnie stał tylko duży fotel, w którym niegdyś widziałem siedzącą Nettie, w którym mam nadzieję posadzić ją wkrótce znowu. Uśmiechałem się do tego sprzętu, zaczęiałem go jakby żywą osobę, a stara gosposia złapawszy mnie na tęp śmiesznej konferencyi, sądziła, wiem to od nięj samęj, że na mnie „spadła successya.”

Dziś z rana wróciłem do gotyckiego domku. Powiedziano mi że wyszła. Przewidywałem to, ale uwiadomiony w jakim udała się kierunku, dzięki szparkiemu koniowi, zdołałem dognać ją na wstępie w ulicę Grange-Lane otoczoną ogrodami, gdzie w ciągu kilku godzin można nie spotkać żywego ducha.

Zawsze ona jedna i ta sama

— Doktorze Edwardzie—zawołała w chwili, gdy rzucając lejce groomowi, wyskoczyłem przed nią—pozwól mi naprzód się wytłumaczyć.... Jestem teraz wolną, ale nie pozbawioną środków.... Nie uważaj się pan za zobowiązanego do czegobądź względem mnie! Zwracam panu wszystkie słowa jakie mi dać mogłeś..

— Zgoda—odpowiedziałem;—ale ja zatrzymuję słowa pani. Jedyna, jak pani wiesz, oddzielała nas przeszkoda, a ta już nie istnieje. Nie zapomniałaś pani zapewne tego coś mi mówiła o tém nieprzekłamaném niepodobieństwie....

— Które pan uznawałeś równie jak i ja, doktorze Edwardzie—przerwała ta kapryśna istota, cofając rękę, którą polożyłem

na swojej. Nie, dziękuję, lepiej mi iść samą... Nigdyś mi pan w tym przedmiocie nie zaprzeczył, przypomnij sobie... Podda- wałeś się pod tę nieubłaganą konieczność... Ja też nie jestem ryzykowniejszą od pana. Przeszkoda którą zdołał usunąć taki p. Richard Chatham—dodała z prawdziwie kobiecóm okrucień- stwem patrząc mi w oczy—nie musi być koniec końców, przeszkodą wysokiego rzędu. Położenie zatem zostało toż samo... Nie krę- puję tedy pana niczem... Jesteśmy oboje zupełnie wolni...

W jakie zdziwienie i w jaki kłopot wprowadziła mnie ta wymówka, każdy nader łatwo pojmie. Byłem głęboko oburzony, ale języka w gębie zapomniał.

— Nettie—zawołałem nareszcie z tym przedwstępny kasz- lem, który oznajmia przemowę niebardzo siebie pewną:

— Nettie! Nettie!—powtórzył jakiś dziecięcy głosik, jakby echo mojego, oddalone na jakie piętnaście lub dwadzieścia kroków. W tej samej chwili dało się na stwardniałej ziemi słyszeć dreptanie dwóch nóg dziecięcych, i zaledwieśmy zdołali się odwrócić, kiedy nieznośny Fredzio wpadł nam pod nogi. Wyrwał się on z domu i pobiegł za nami a raczej za nią.

— Ja zostanę z ciocią—wrzeszczał co gardła, czepiając się jej sukni i kopiąc mnie nogami... Ja nie cierpię Chathama... ja nikogo nie cierpię!... Jak mnie wezmą na okręt, to wskoczę w mo- rze i przyplynę do brzegu. Nie! ja cioci nie puszcze, choćby mi ręce poobcinali. Zabierz mnie, ciociu, zabierz!... Zobaczysz, będę grzeczny... Ja zostanę z ciocią, nikt cioci tak nie kocha jak ja!

Dziwna rzecz, Nettie była wzruszoną. Przechyliła się ku niemu i tak mocno przycisnęła go do siebie, że chłopak zaraz krzyzcąc zaprzestał, spozierając tylko na mnie z przestachem.

— Tak! ty to mnie kochasz—ozwała się. Ty porzucasz wszystko, zapominasz o wszystkiém, porywasz się na wszystko, aby przyjść do mnie. Wyobraż pan sobie—dodała obracając się ku mnie—że on dziś zrana omal spazmów nie dostał. On sypia w moim pokoju, wiesz pan... Jak spostrzegł że oddzielał jego bieliznę od mojej, krzyknął... Biedny chłopczyń!... Gdybym ich jednak poprosiła o niego?.. Zostawiliby mi go bezwątpienia...

Nie wiem jakim sposobem oczy jej w tej chwili spotkały się z mojemi. Wyrażały one zapytanie podobne do prośby, prośbę podobną do zapytania. Odpowiedź nie dała na się czekać.

— Niech i tak będzie!—zawołałem biorąc napowrót wycofaną rękę, która na ten raz już pozostała w mojej—skoro tak chcesz, to zabieram Fredzia! Będzie to nasz najstarszy syn.

Wsunąłem ich oboje w *drag* i odwozłem do gotyckiego domku, i nigdy, o ile pomnę, nigdy tak wolno drogi tej nie prze- bywałem.

Na obronę mego konia muszę wyjawić, że w tém nie była jego wina.

M. K.



RYUNKI ORYGINALNE

TOMASZA TRETERA

kanonika warmińskiego, z drugiej połowy XVI wieku.

W wielce szacownej bibliotece Ordynatów Zamojskich znajduje się pomiędzy rękopismami książka in 4to. w półskórek oprawna, na której grzbiecie wybity napis: „Vertus et mèrites du Cardinal Hosius polonois né en 1504. En 107 desseins.”

Na pierwszej karcie jest wiersz dedykacyjny: „Stanislao Hosio Card. Varm. patr. opt.” podpisany „Joann. Philop. (sic) Dambrovius Decan. et Can. Olomucen.” Z tego powodu całe dzieło, na pierwszy rzut oka, Janowi Dambrowskiemu przypisywać było można; po dokładniejszym jednak badaniu okazało się, że ten ostatni był tylko autorem dedykacyjnego wiersza, cała zaś praca, tak rysunki jako wiersze są Tomasza Tretera dziełem. Ten Tomasz Treter był sekretarzem Anny Jagiellonki, Stefana Batorego i Zygmunta III a głównie kardynała Hozyusza, którego do śmierci nie odstępował; był też kanonikiem u Św. Maryi Transtewerańskiej w Rzymie, warmińskim w Polsce i podobno ołomunieckim w cesarstwie; pisał dzieła historyczne i wiersze łacińskie, które własnoręcznymi rytowaniami na miedzi illustrował; malował także portrety, stawiał pomniki według swoich pomysłów; posiadał wiele języków: słowem, był to mąż, podług Starowolskiego, przyjemnej postaci, wzrostu pięknego, wymowy słodkiej i łatwej, obcym i swoim odzownie miły. My dodamy: był to mąż pracy usilnej i wytrwałej, nie ustający na chwilę w kształceniu swych zdolności i talentów, do czego mu długoletni pobyt zagranicą, a mianowicie w Rzymie, wielką był pomocą. Obszerny jego życiorys w rękopisie, znajduje się w Bibliotece głównej pod tytułem: „Biografia Tomasza I Tretera kanonika Św. Maryi za Tybrem rzymskiego oraz kustosa i kanonika katedry warmińskiej. Z składu wiadomości historycznych o domie i familii Urod. z Lubomir. Treterów poprawnie przepisana.” W Ukornikach pod Mikityńcami 1810 r. in 8vo. Autorem tej biografii był Stanisław Treter podkomorzy

za Stanisława Augusta. Krótsze wzmianki o tymże Treterze znajdujemy w Encyklopedyi, Słowniku malarzów polskich, Dykcyonarzu poetów polskich i t. d. Wracamy więc do dzieła z rysunkami Tretera, bo to, dla swój rzadkości i wysokiej artystycznej wartości ze wszech miar na uwagę zasługuje. Rysunki wykonane są piórem a podcieniowane z lekka pędzlem i z razu były zapewne czarne; lecz dzisiaj po 300 latach, wszystko co było rysowane atramentem zbrunatniało i nabrało koloru sepji, co zaś malowane cieniuje się w kolorze sinawym, tak iż się zdaje że umyślnie dwóch użyto kolorów.

Na drugiej karcie w ramie wyginanej i umiejętnie cieniowanej znajduje się tytuł dzieła: „Theatrum Virtutum ac meritorum D. Stanislai Hosii S. R. E. Presb. Card. Majoris poenitentiarum et episcopi varmiensis.”

Na trzeciej i czwartej karcie znajduje się spis rysunków, iconum catalogus: 1) Patria et natalis dies; 2) Votum matris; 3) Pueritia; 4) Vitae monasticae desiderium; 5) Puerilis abstinencia i t. d.; ostatni obraz 105 Virtutum meritorumque praemia. Na stronie odwrotnej czwartej karty, znajduje się portret kardynała Hozyusza także tylko piórem wykonany i tuszem podcieniowany. Jest to jednak małe arcydzieło; niema tu miniaturowego wykończenia, jakie na pergaminach lub obrazach dawniej niemieckiej szkoły napotyamy, ale pewne i jakby od niechcienia dotknięcia pióra i pędzla, w których widać artystę co się na najlepszych włoskich zaprawił wzorach. Szczególniej zadziwia jak Treter potrafił schwycić i tak małemi środkami oddać, wyraz twarzy a mianowicie oczów. Z oczów tych tryska rozum i przenikliwość a prawda w nich taka, że przekonany być można iż rysunek ten z natury był robiony. Kto się raz w te oczy wpatrzył, długo ich wyrazu zapomnieć nie może.

Teraz następuje szereg rysunków stanowiących ilustracye do Od, w których Treter opiewa przygody życia i czyny swego protektora i przyjaciela. Szkoda, że stosownie do ducha wieku i nastroju poetycznego całego dzieła, wielka część rysunków jest allegoryczna, a ody dziś nam się wydają cokolwiek napuszone i panegirycznym tchnące. Ody te, pisane widocznie ręką autora dochodzą tylko do dziesięciu, a że każdy rysunek ma swoją odę, więc brak nam jeszcze 95-ciu. Mnóstwo poprawek przy dziesiątej odzie dowodzi że tu na miejscu były układane i nie tak z niemi szło łatwo jak z rysowaniem, do czego autor niezaprzeczony miał talent. I rysunki niektóre są niedokończone, bo chociaż główna kompozycya oznaczona i skończona, to poboczne figury i herby ołówkiem tylko narysowane; jest też kilka rysunków całkowicie piórem cieniowanych w sposobie przez rytowników używanym. Ale całość skończoną nazwać można: daje ona nam obraz czynnego życia znakomitego naszego kardynała-dyplomaty; każde niemal widzenie się Hozyusza z papieżami, cesarzem niemieckim, królem czeskim, polskim, księciem Albertem pruskim uświetnione jest ry-

sunkiem; dalej przedstawione spory z dyssydentami miast pruskich, o prawa kościoła ze szlachtą; Sobor Trydencki i t. d.: wszędzie rysunek poprawny, częstokroć wzniosły a zawsze nacechowany szczerem uwielbieniem dla swego opiekuna i dobroczyńcy. Ostatni rysunek przedstawia nagrobek, na którym napis: „Stanislao Hosio Card. Varmiensi Patrono beneficentiss (imo) Tho. Treterus polonus pos (uit).

Ta ostatnia wzmianka naprowadziła nas dopiéro na Tretera a wtedy niezadługo okazało się, że rysunki któreśmy z razu brali za pracę jakiegoś włoskiego artysty, są dziełem naszego rodaka, który wprawdzie dwadzieścia przeszło lat we Włoszech bawił. Pokazało się dalej że były one tylko wzorami do miedziorytów, które sam artysta w Rzymie wykonał i wydał. Tytuł dzieła jest: *Theatrum Virtutum D. Stanislai Hosii S R E Card. et Episcopi Varmiensi. per Thomam Treterum Polonum, Regium et ejusdem Cardinalis secretarium pietatis et eruditionis Amatoribus repraesentatum. Romae MDLXXXVIII. d. III Non. Maii, in 4to majori* Lecz edycya ta jest tak rzadką, że oprócz egzemplarza który się w St. Petersburgu znajduje o żadnym nie słyszeliśmy; nie ma go Warszawa, Kraków a podobno i Lwów; nie ma go w Warmii bo Dr. Ant. Eichhorn kanonik warmiński który przed kilką laty wydał życiorys kardynała Hozyusza zna tylko ody wydane w 100 lat później. Czy wydanie powyższe zawierało także i ody, tego nawet nie wiemy z pewnością, a jeżeli zawierało to o tém wydaniu nie wiedział także w sto lat później żyjący współplemiennik Maciej Treter. Ograniczamy się więc na tém co o tym białym kuku powiada Stanisław Treter w rękopiśmie Biblioteki głównej: „Edycya ta w formie ćwiartkowej dużej na najprzedniejszym włoskim papierze z szerokimi brzegami do stu kart rozciąga się. Dzieło to najprzedniejsze, najrzadsze bądź od najbiegłego literata nieznane było. Szukał go z usilnością do swojej warszawskiej biblioteki Załuski referendarz koronny, nie tylko po całej Polsce ale téż we Włoszech, a nawet w samym Rzymie nadaremnie. On go nakoniec wynalazł w Hollandyi w sławnej Lejdeńskiej Hulzyusza Bibliotece i do swojej za przyzwoitą cenę nabył. Dalej na stronie 117 pisze: „nie tylko cnoty nieporównane kardynała Hozyusza rytmem łacińskim opisał, ale téż pełne sławy życia jego czyny, w stu obraznych emblematkach, najdowcipniej i najeżyściiej w Rzymie sztychowanych oraz naturalnemi farbami oświeconych i złotem ozdobionych, wyobraził nasz Treter i ręką swoją na blasze wrył, w następnych lematycznych (treściowych) szczegółach czyli tytułach do pochwał autora i Hozyusza kardynała należących; które tym idą porządkiem: 1. *Patria et natalis dies* i t. d. to samo co w rękopiśmie Biblioteki Ordi. Zam. „Setną liczbą ukończa całe dzieło temi słowy: *D. O. M. D-no Stanislao Cardinali, majori Poenitentiario Episcopo Varmiensi viro incomparabili, principi patronoque beneficentissimo*

Thomas Treterus animi grati monumentum consecrat. Romae MDLXXVIII d. III nona mai.

Jest to mniej więcej to samo co się w naszym rękopisie na rysunku 105 znajduje, ale daje nam datę że rysunki te na rok przed śmiercią Hozyusza bo 1578 roku ukończone były. Wydanie zaś ich w 9 lat po śmierci dowodzi że nie pochlebstwo i chęć nagrody, ale przywiązanie, wdzięczność i uwielbienie dla swego dobroczyńcy były tój pracy powodem.

Drugie wydanie ale już bez rycin pod tytułem: „Theatrum virtutum D. Stanislai Hosii S. R. E. Cardinalis, Majoris poenitentiarum et episcopi Varmiensis, centum odis diversorum generum per Thomam Treterum Can. custodem Varmiensem illustratum, nunc *primum* cura et impensis Matthiae a Lubomierz Treteri S. R. M. Secretarii grati, nepotis, luci publicae exhibitum. A. MDCLXXXV Cracoviae Typis Francisci Cesarii S. R. M. Typ.” in 4to.

Trzecie wydanie z następnego 1686 roku jest zapewne tém samém z nowym tytułem i dedykacją kapitule Warmińskiej.

Oprócz tych rysunków znajdują się na końcu naszego rękopisu dwie Aquarelle w kolorach wykonane, z których jedna przedstawia szlachcica polskiego w stroju zimowym, druga w letnim. Na tój ostatniej, czapka czarna węgierska wyraźnie pokazuje jak panowanie Batorego na zmianę stroju wpłynęło. Ciekawem byłoby bardzo porównanie sztychów Tretera z jego rysunkami, ku czemu fotografia wielką może być pomocą i miejmy nadzieję, że z czasem będzie można należycie ocenić i oddać sprawiedliwość temu tylostronnie wykształconemu mężowi.

K. B.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Kamienica w Długim rynku, powieść przez J. I. Kraszewskiego, wydana w Warszawie, nakładem Michała Glücksberga. 1868 r. (w 8ce, str. 292).

Autor powieści, którą mamy przed sobą, wierny raz przyjętej metodzie fotografowania tylko co ubiegłej chwili życia, postacjonowania faktów już w nióm dokonanych, jak sam przyznaje na pierwszych jej kartach, nie tworzy w niej obrazów wymarzonych i oderwanych od praw i warunków bieżącej rzeczywistości. Człowiek gra tam wszystkimi barwami właściwemi otaczającemu go społeczeństwu, a jeśli wystrzeli ponad nie, to tylko o jeden cień wyżej, party intencyjną idea, nie prawdą określoną, ale sercem i uczuciem.

W imię wielkiej, idealnej miłości, dziewica przebacza kochankowi-zabójcy, a na widok pokuty ekspiacyjnej i szczerego żalu oddaje mu rękę, by go na nowo wprowadzić w szranki życia, obmytego ze krwi, odrodzonego nie do praw, ale do obowiązków.

Taką jest myśl przewodnia tej powieści.

Rzecz się dzieje na tle nie naszym, ale w skład jego weszły i polskie pierwiastki. W Gdańsku, w Długim rynku jest kamienica, na której fizioznomią zewnętrzną i wewnętrzną złożyło się życie kilku pokoleń rodziny Paparonów. Ten Paparona szlachcic z Poznańskiego, pędzony z rodzinną zagrodą nienawiścią możnej rodziny, z resztkami mienia przybył do Gdańska w początkach XVIIIgo wieku, nabył ją zrujnowaną, osiedlił się tutaj i niezmierną pracą w zawodzie handlowym dorobił się milionowego majątku. Syn jego Bartłomiej, aklimatyzowany już na nowym gruncie, postać idealna i marząca, całą prawie spuściznę po ojcu włożył w upiększenie kamienicy, robiąc z jej wnętrza przepyszny pałac w stylu weneckim. Spadkobierca jego Albert, spędził całą

mlodość na podrzędnej pracy w ojcowskim kantorze, z wykształceniem zaniedbanem i umysłem nie sięgającym wyżej ponad procenta od weksli na Londyn, odziedziczył po ojcu wraz ze wspaniałą kamienicą, majątek i interesa zupełnie zrujnowane. Jako postać moralna będąc antytezą ojca, z energią z jaką tamten trwonął, zaczął robić i zbierać majątek. Po kilkudziesięciu latach męczącej i wytrwałej pracy, żyjąc więcej niż oszczędnie, doszedł do znakomych rezultatów, powracając domowi owe miliony, nagromadzone trudem i wytrwałością dziada. Ale po śmierci skąpcy-pracownika miliony te znikły. Naprózno pozostali syn i jego rodzina przetrząsali wszystkie kryjówki domu. Księgi kassowe wskazywały ich istnienie, ale gdzie się podziały, dociec nie było można. Pozostali w książęcym pałacu Teodor Paparona, ujrzał się w konieczności uciec się do zależnej pracy, by wyżywić siebie i swoją rodzinę. Niedługo znękany ciągłym poszukiwaniem owego zakłętą skarbu i troską o dzień jutrzejszy, zmarł wraz z żoną zostawiając dwóch synów, Wiktora i Jakóba. Wiktor, w którego głowie gorzały najdziwaczniejsze chęci, wywędrował w świat, szukać przygód, wrażeń i wstrząśnień i zniknął z oczu rodziny na jakieś lat 30, aż dopiero pojawia się jako podrzędna postać na tle wypadków, wchodzących w bezpośredni zakres powieści. Jakób odziedziczywszy charakter ojca, cichy, spokojny, takiż sam jak i on los znosi. Jako najemnik pracuje on dzień cały w kantorze p. Fiszera, a w domu pozostaje samotna, pozbawiona od dzieciństwa matki, jedyna jego córka Klara.

Tu opowiadanie dochodzi do naszych czasów i w tym miejscu leży rozwiązanie powieści.

Cały ten wstęp konieczny z wielu względów do wytłumaczenia dalszych wypadków, poświęca autor mistrzowskiemu skreśleniu fizjognomii kilku pokoleń jednej rodziny. Postacie z dalekiej przeszłości, owe amalgame dwóch narodowych pierwiastków, rysują się tutaj w tym naturalnym kolorycie i wyźłobieniu, co oddaje zarazem i obrys twarzy i wewnątrz duchowej istoty. W całym szeregu tych portretów starych przebija się jeden rys wspólny, rys dawno ztraconego pochodzenia, charakter dalekiej a zapomniałej kolebki. Niemcy to już są i z mowy i z sukni i z obyczajów, ale w postaciach tych maluje jakiś szczegół mały, niepojęty, co im nadaje koloryt inny, odrębny.

Niemką też jest Klara, ale w charakterze jej przejawiają się cechy nie germańskiej niewiasty; sentymentalizm zamienia się w nią w uczucie głębokie i spokojne, przetwarzające się w praktyce życia w czyn, w ofiarę, w poświęcenie w imię obowiązku. „Klara, powiada autor, wychowaną była na sposób kobiet niemieckich, pojmowała ona wymagania najprozaiczniejszego życia równie dobrze jak poczują Goethego i Szyllera; nie nudziła ją bielizna i pończocha, przy której czasem można było czytać Jean Paul'a... Równoważyła ona w sobie rzeczywistości nieubłagane życia i swobodę lata ku ideałom.”

Młodziuchną Klareę poznał wychodzący z dzieciństwa syn bogatego bankiera Wudtkie Teofil. Oboje byli jakby stworzeni dla siebie, pokochali się też całą siłą uczucia czystego, napojonego poezią. Ale miłość ta nie uszła czujnego oka bankiera Wudtkie i znalazła nieprzełamaną przeszkodę w jego rodzicielskiej troskliwości o syna, żądającej dla niego wraz z ożenieniem nowych milionów i nowego znaczenia.

Stary Wudtkie postać zimna, ambitna, niekochająca nic oprócz własnych celów, wysłała syna do Berlina, sądząc że oddalenie i czas wyleczą młodzieńca z niebezpiecznych dla ojcowskich dążeń mrzonek. Ale widząc że w miarę przeszkód i czasu, uczucia młodych ludzi rosną i potęgują się, przedsięwzięcie podwójną kampanią: jedną przeciw Paparonom, dążąc do doprowadzenia ich do ostatecznego ubóstwa i do opuszczenia Gdańska, drugą przeciwko sercu syna, osnuwając jej plan na głębokiej znajomości złej strony ludzkiej natury.

Obie powiodły się mu tylko do epilogów.

Paparonowie przywieźdzeni do nędzy, nie mogąc nigdzie przez zabiegi możnego bankiera znaleźć zarobku, zmuszeni są pozbyć się najdroższych szczytków swój niegdyś świetnej przeszłości i sprzedać skarby sztuki nagromadzone w weneckim pałacu. Teofil spotyka w Berlinie podstawioną i zapłaconą przez ojca artystkę dramatyczną Rozę i oczarowany jej idealną pięknoscia, przymiotami umysłu i bujną wyobraźnią, szaleje dla niej. Bronił się z początku poirrażony młodzieniec temu urokowi całą siłą czystej głębokiej miłości dla Klary, ale powoli owiany atmosferą talentu, piękności i miłości, jaką mu ofiarowywano namiętne, uległ, dał się pochwyć, zawojować i straciwszy panowanie nad sobą, przesłał Klarze list, zawierający spowiedź z nowych uczuć i uwolnienie ją od przyjętych względem niego zobowiązań.

Stary Wudtkie już dochodził do zamierzonego celu, kiedy wtém los-figlarz robi mu dwie weale niepożądane niespodzianki, które zmieniły zupełnie postać rzeczy.

Paparonowie przypadkiem znajdują testament Alberta i z nim kilka milionów majątku, który cały ma spaść na Klarę. Piękna Rosa godząc na ożenienie, doprowadziła Teofila do takiej namiętności, że wbrew rachubom ojcowskim bierze z nią ślub. Lecz w trzy dni po nim dowiaduje się o domnianej zdradzie żony, zdybuje ją na jakiejś schadzce z dawnym kochankiem i w szale rozpaczki zabija. Nieszczęśliwy morderca nie stara się nawet uniewinnić. Przed kratkami sądu wymawia tylko jeden wyraz: zabiłem. Krew go obudza z długiego letargu. Miłość ku Klarze, zagłuszona szalem namiętności, odzywa się z dawną siłą i od Klary żebraje on tylko przebaczenia i litości, przyjmując z pokorą wyrok spoteczeństwa, mający go wyrzucić z niego na zawsze. Sąd uznaje go niewinnym i jako takiego uwalnia. Lecz głębokie poczucie winy domaga się samo od niego pokuty ekspiacynnej i zmusza go

uciec od ludzi na skalistą wyspę, i tam w ciężkim mozole fizycznej pracy, pędzić życie wygnańca-pokutnika.

Klara odbiera list Teofila uwalniającego ją od wszelkich względem niego zobowiązań, w chwili odkrycia milionowej spuścizny. Szlachetne serce dziewczycy, porwane w kawały, jeszcze samo w sobie znajduje powody uniewinniające odstępcę. Dlaczegożbym wymagała, mówi ona, być zawsze jego ideałem? Biędny! szukał i on promyka Bożego na ziemi... na chwilę błysł mu on z mych oczów... a teraz Roza w nim świeci!... Przebaczyć mu potrzeba!"

Ale biędne seree dziewczycyny kochało wciąż po dawnemu. Zabójstwo Rozy zamiast w niej obudzić wstręt ku Teofilowi i zerwać więzy serca, ścieśniło je tylko. Całą duszą przywiązała się ona znowu do niego i przebaczyła nieszczęśliwemu. A na list jego pisany z więzienia, w którym błaga litości i przebaczenia, posłała mu krótką, ale charakterystyczną odpowiedź: „Niech Ci Bóg jak ja przebaczy... serce moje posłało do twego więzienia dawno to słowo pojednania i litości. Z ludźmi i światem obchodzicie się jak z przyjaciółmi i rodziną, nie wiedząc że oni są walką i wrogiem, że człowiek stać musi na straży serca, zawsze zbrojnym, wiecznie wojującym... Cóż dziwnego, że w walce nierówniej upadłeś?..."

Odtąd zaczyna się między nimi tajemna korespondencya, w której Klara stara się przez miłość swoją orzeźwić tę zbolalą istotę i powrócić ją społeczeństwu. Lecz nie mogąc namówić biędnego rozbitka do opuszczenia wyspy i życia samotnego, pomimo wiedzy ojca, jedzie sama do niego i podając mu rękę: „Teofilu, mówi, przychodzę ja do ciebie, kiedy ty na moje wołania i próśby wrócić do mnie nie chcesz... Przyrzekłam ci być twoją, dotrzymuję obietnicy, bom ci ślubowała na troski życia, na trudy i boleści, nie na stodycz i wczasy..." Zwalczony pokutnik w imię wielkiej miłości kobiety, prowadzony przez nią za rękę, wchodzi znowu w społeczne szranki, ale nie długo wraz z żoną i całą jej rodziną, opuszcza jej rodzinne miasto i udaje się na brzegi Renu, „bo nie chce narażać się nawet na to położenie; by kiedykolwiek prześladowany wejrzeniem, dotknięty słowem, zapomniał choć na chwilę że istotnie jest występny."

Taka jest treść tej powieści, z której mnóstwo ubocznych obrazów opuszczamy, mając na myśli wybitny jej cel i postacie. Miłość kobiety rehabilituje w obec społeczeństwa chwilowo upadłą jednostkę i wprowadza ją znowu w życie na trudy i obowiązki, nie na rozkosze i wesele. Miłość jest tutaj chryzmatem przebaczenia, który zmywa z czoła nieszczęśliwej istoty krew w szale przelaną.

Na tle powieści postać Klary maluje się wyraźnie i dobitnie, cały proces jej uczuć jest w logicznym związku z charakterem, z jakim ją autor przedstawił. Dziewczyzna z dzieciństwa wynosi głębokie poczucie powinności i chrześcijańskiej miłości, która ubarwiona ideałami poezji, stanowi niejako treść jej wewnętrznej istoty. To też każde uczucie w czyn się u niej zamienia, a jednemu i dru-

giemu przewodniczy ta jej treść duchowa, co jak dno wód przejrzystych, nadaje im cienie i koloryt. Charakter ten nawet w najdrobniejszych swoich szczegółach, tak jest tutaj wykończonym, cały process kształtowania się jego tak jest naturalnym i tak dobitnie wyźłabia wszystkie jego rysy, że mając go przed sobą w pierwszych rozdziałach powieści, łatwo się przewiduje jak on się wyrazi przyciśniony złą lub dobrą dolą życia. A nie jest bo też to charakter zwyczajny, spotykający się codziennie. Nie trephauzowa to roślina salonowego konwencyonalizmu i nie dziecię natury o instynktach, jakiej w niem ona rozwija. Klara to kobieta wielkiej chrześcijańskiej miłości, która zapełniła sobą wszystkie fibry jej moralnego organizmu. Autor kilku mistrzowskiemi rysami skreślił tę postać, by pozostała tak wyźłobioną w życiu i w walce z niem aż do końca. Nie możemy tego powiedzieć o postaci Teofila. W pierwszej części powieści zbyt go mało autor szkicuje, powiada on tylko że jest to młodzieniec idealny, marzący i przedewszystkiem drażliwy. Potém ginie on na długo z oczu czytelnika, aż znouu pojawia się na chwilę przed spełnieniem zbrodni. Ogólne zarysy tego charakteru są wiernie podane czytelnikowi, ale próżne miejsca pomiędzy nimi musi on sam sobie zapełnić w miarę wypadków, w których postać gra przeważną rolę. W ogóle w drugiej połowie powieści, gdzie się zawiera cała jej treść dramatyczna, czuć jakiś niewytłumaczony pośpiech. To też może i dlatego Teofil, jako figurujący w niej wyłącznie, jest tylko oznaczonym, ale niewykończonym.

Całość powieści uderza malowniczością wszystkich w niej zawartych obrazów. Jaskrawemi barwy drga w niej postać każda, zarówno człowiek, wewnątrz domu, jak chmurne niebo północy i uśpione drzemką kontemplacyjną morze. Czarowny urok powabnej szaty tego utworu i myśl jego przewodnia, ów jeden cień nowy w kolorycie społecznej moralności, stawiają go na właściwej wyżynie w szeregu wszystkich utworów tego rodzaju.

W epilogu powtarzając uwagę Zacharyasiewicza, że „tematem powieści jest wstęp do życia a nie samo życie,” autor powiada: „Dla bardzo ważnych powodów powieść która szuka idealów i poezyi, wybiera chwilę, w której mniej jest rzeczywistości smętnej i prozy powszedniej; człowiek z kolebki wynosi jakąś woń świeżą... jest jakby pod wrażeniem innego świata, powoli nudziarz ten nasz, świat ziemski, ściera z niego barwy niebieskie i napawa go swemi wyziewy.”

„W walce ze życiem i światem
Nikt przyszłości nie jest panem....
Z rąk Bożych wychodzi kwiatem,
Świat w grób nas rzuca łachmanem....

A o łachmanach jak o umarłych *nihil*.”

Nie możemy się zgodzić z tém zdaniem szanownego autora. Nam się zdaje, że właśnie dlatego, by w walce z życiem i światem

kwiatek ów, dzieło rąk Bożych, nie zamienił się w łachman, powieść powinna odwzorować świat ten i walkę z nim człowieka oznaczonego moralnie, w całym jej przebiegu. Powieść jest jednym ze środków do określenia człowieka społecznego, a taki daje się tylko uwydatnić przez wykazanie całego jego życiowego zawodu. To też zdaniem naszym, tematem powieści jest życie człowieka, kwiatek rąk Bożych, i cała walka jego ze światem, co go może w łachman obrócić.

S. Ruciński.

Bajki Feliksa Mikorskiego. Część I. Warszawa. w Drukarni J. Jaworskiego 1868 (w 12. str 54).

Bogatą jest literatura nasza w ten rodzaj poezyi, tak usilnie niegdyś uprawianej, poezyi, jeżeli bajkę, za jej część uważać będziemy. Ma nasz lud swoje bajki, ożywione tą samą myślą moralną, i dążnością, ale opowiada je zwykłą mową, nie przystają w nadobne szaty poezyi, które zostawia do godowego stroju dla uczuć serca, polotu bujniejszej myśli, lub poważnego obrzędu i uroczystości rodzinnej.

Z pierwszym świtem literackiego życia, którego jedynym przedstawicielem jest Mikołaj Rej z Nagłowic, pojawiają się już bajki. Wielki ten pisarz na swoje czasy, ludowe bajki wierszem układał, i szacowne te zabytki czytamy w dwóch jego dziełach: *Zwierzynku* 1564 r. i w *Figlikach* 1570 r. Po nim Bartosz Paprocki w *Kole rycerskiem* 1576 r. zostawił ich niemało.

Jan Kochanowski twórca poetycznego języka, i najpotężniejszy poeta XVI wieku, odrzucił bajkę, jakby niegodną swego pióra, a w ślady jego poszli znakomici poeci następnych wieków, jak Klonowicz, Grochowski, Kochowski, Wacław Potocki i Samuel Twardowski. Pieśni liryczne jako i poważne epos z dziejów krajowych rozwija się w ich dziełach, a jeżeli drobiazgom chwilowo światowej rozrywce hołdują, to w ślad śpiewaka z Ozarnolesia, piszą *fraszki* albo *Burleszki*, które Rej zwał po swojemu *Figlikami*.

Dopiero w pierwszej połowie XVIII wieku pojawiają się na nowo bajki. Liczny szereg pisarzy rozpoczyna książe Stanisław Jabłonowski, wydaniem: *Nowego Ezopa polskiego* 1731 r. (1), nie odznaczające się wcale ani myślą, ani wierszem, ani czystością języka.

Po obudzeniu się z długiego letargu i świetnym rozwoju literatury w okresie Stanisława Augusta, mnóstwo pojawia się bajkopisarzy. Wojciech Jakubowski składnie i udatnie tłumaczy

(1) Nowy Ezop polski czyli życie Ezopa i sto bajek wybranych ksiąg różnych autorów: Lipsk, 1731 drugie wydanie, tamże 1767 r.

La Fontena, z zachowaniem jego prostoty (1). J. Minasowicz przekłada bajki Ezopa, Gabriasa i Fedra: ale obok nich występują i oryginalni pisarze. Piszą bajki Książnin, Trembecki i Krasicki, a z całej świetnej plejady poetów tych czasów, tylko Franciszek Karpiński nie dotyka jej sielankowém swém piórem. Na czele przecież wszystkich, stoi nie porównany Krasicki, i żaden z późniejszych do dzisiejszej doby nietylko go przewyższyć, ale mu dorównać nie zdołał. Głęboka myśl, wykrzyk boleści, gdy patrzył na współczesne wypadki, i ludzi, obok prawdy, i nauki moralnej, wszystko się przewija jak w kalejdoskopie w tych drobnych utworach Krasickiego. Nikt dotychczas nie zajął się poważnym rozbiorem: pierwszy Gustaw Ehrenberg dał nam tylko próbkę ale drogocenną, jak się głęboki myśliciel wpatrywał w bajki reprezentanta tego okresu literatury naszej.

Nie małej wartości, jak wszystko co wyszło z pod pióra Trembeckiego są i jego bajki, nie bez zalet są Książnina.

Od tej pory bajka na nowo wskrzeszona przejawia się ciągle. J. U. Niemcewicz, który był ogniwem łączącym wiek upłyniony z naszym, rozszerzył jej ramy. Nie mając ani dowcipu, ani lekkości pióra Krasickiego, jest więcej satyrycznym i elegicznym, aniżeli bajkopisarzem. Rozwijał w nich bowiem znaczne myśli i uczucia, jak grzechy społeczne, a nieraz powiastkami przeplatał.

Więcej za śladami Krasickiego poszedł Antoni Górecki: mnóstwo pozostawił bajek, z których większa część odznacza się właściwą temu rodzajowi lekkością i dowcipem. W najbliższych nam czasach, Franciszek Morawski wydał zbiór swich bajek. Dowcipu tu niebrak jak w utworach Góreckiego, ale przewyższa go formą artystyczną. Znać w Morawskim pisarza naszych czasów, który nieraz w lekkie szaty bajki spowija wyższą myśl społeczną.. W rzędzie tylu bajkopisarzy, nie możemy pominąć i Stanisława Jachowicza, który tak się stał znajomym u najmłodszego pokolenia. Utwory jego, jeżeli nie mogą stać na równi z poprzednikami, bo nie mają ani ich dowcipu, ani werwy, ani talentu: za to są drogocennym nabytkiem, że w przystępnej i zrozumiałej formie dla umysłu dzieciennego, zaszczerpiał zdrowe i szlachetne myśli, ucząc postępować drogą zacności i prawdy.

Na tak bogatą niwę, dorzucił p. Feliks Mikorski, skromny swój snopek. Zbiór ogłoszony drukiem obejmuje sto bajek: że dalszy ciąg zamierza autor wydać, pokazuje na tytule, że to część pierwsza.

Dwie strony jak zazwyczaj wydatnie uderzają czytelnika w tej małej książeczce: dodatnia i ujemna. Szczuplejsza pierwsza, a w ogóle brak wyrobienia w formie. Pamiętni na starą A. M. Fredry przypowieść że:

(1) Bajki Ezopa wybrane, wierszem francuzkim przez de la Fontaine ułożone, polskim językiem z przydatkami wydane. Warszawa 1774 r.

„Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu,” zobaczmy, co w tym zbiorze lepszego znajdujemy.

OSŁY I KOŃ.

Gdy koń osła o to lajał,
 Że miasto, by nazwyczałał
 Do jakiejbądź się roboty,
 Skórę tylko tarł o płoty.
 Ujmując się za nim osły,
 Oburzenia głos podniosły!
 Za tém koń tak odzywa się:
 „Jak poprawić co w tój rasie;
 Gdy jednemu wytknij wadę,
 Oburzysz całą gromadę.”

KRUK, BOCIAN I ŚWINIA.

Gdy bocian w obce wybierał się kraje,
 Kruk mu pytanie zadaje:

„Powiedz mi, proszę, gdy lecisz do innych,
 Czyliż ci nieżał twoich łąk rodzinnych?”
 A bocian na to: „coby żal być miało,
 Kiedy w nich żeru znajduję za mało!
 Łąką rodzinną dla mnie są te kraje,
 W których się bocian do sytości naje!”

A na to świnia wytknie łeb z karmnika,
 I z uwielbieniem wykrzyka;

„Słowo w słowo, mój bocianie,
 I moje jest takie zdanie.”

GĘŚ I KACZKA.

Że łabędzia przodka miała,
 Gdy się gęś z tém przechwalała,
 Na to kaczka jój powiada:
 „Żeś łabędzia miała dziada,
 To nie zaszczyt, ale plama,
 Kiedy gęsią jesteś sama.”

DUDEK I SZPAK.

Nie każdy ptak ma na głowie
 Czubek jak ja, dudek powie;
 A szpak na to: wielkaż chluba!
 Gdy nie zgłowy, ale z czuba!

ORZEŁ I ŁABĘDŹ.

Czemuż to orle, łabędź jemu rzeczce,
 O twoich dzieciach tak małą masz pieczę,
 Że gdy ptak każdy miękkie gniazdo wije,
 Ty im podkładasz, suchy wrzos i kijs?
 A orzeł odparł: dlatego to robię,
 By nie przywykły zbyt dogadzać sobie:
 Bo kto pocisków ma się nie bać gromu,
 Musi się twardo wychowywać w domu.

Poprzestajemy na tych kilku wyjątkach, chociaż moglibyśmy i więcej jeszcze daleko równie udatnych bajek przytoczyć. Nie braknie autorowi pomysłów, ale uderza głównie chropawość wiersza, nieraz naciąganie dla rymu, i mała wprawą pióra. Rażą też nieraz przekładnie nieumiętne wyrazów, chociaż myśl zacna i szlachetna wybija dobitnie. W rymach nawet razi ich niesforność, a w ogóle brak ogłady i staranności, ażeby w uadobnej formie, piękną myśl przedstawić. Pomimo tych usterków, książeczka p. Mikorskiego nie jest bez pożytku nietylko dla młodego pokolenia, które znajdzie nie na jednej karcie zwrot ku rzeczy poważnej, obudzającej rozwagę głębszą, i naukę uczciwą na dalszą drogę życia.

Zbiorek ten bajek zdobią cztery rysunki Franciszka Kostrzewskiego w drzeworytach, które się zalecają tak starannym wykonaniem jak trafnym oddaniem myśli autora. Z pomiędzy nich zwraca szczególnie uwagę *Kruk*, *Bocian* i *Świnia*, bajka którąśmy powyżej przytoczyli. Kruk w długim paletocie pyta poważnie bociana dlaczego z rodzinnych łąk ulata: bocian w dzokiejce, z podróżnym workiem wręku, w krótkiej katance tłumaczy mu swoje powody, a w otwartym oknie najedzona świnia z serwetą pod brodą i kielichem szampa w rękę, objawia swoje zdanie zgodne z przekonaniem bociana.

K. Wł. W.

Stenografia polska ułożona według organizmu języka polskiego przez Mirosława Suheckiego, człon. niem. towarz. stenograficznego w Pradze. Z tablicami autografowanemi. Praga. 1866.

W obec coraz bardziej uznawanej w całej Europie potrzeby propagowania skoropisma (stenografii), nie bez interesu będzie zajęcie się tu od czasu do czasu przejrzeniem ruchu na tém polu, oraz literatury dotyczącej tego przedmiotu. Nie jedno-

krotnie już pisma nasze pomieszczały artykuły o stenografii i przekonywały o potrzebie zajęcia się nią u nas; dotąd jednak były to tylko głosy wołających na puszczy, oprócz bowiem kilku indywidualów samouków, nikt na seryo dotąd stenografią u nas się nie zajął.

Ogniskiem w którym skupiła się cała działalność na polu stenografii polskiej jest Lwów. Wziętość systematu Gabelsbergera w Niemczech sprawiła, iż ku temu mistrzowi zwrócili się najprzód profesorowie lwowscy pp. Poliński i Olewiński i każdy z nich na swoją rękę wykonał przekład metody Gabelsbergera; zapewne do czynności tej nie mało zachęcił ich istniejący już wtedy wyborny przekład stenografii wspomnianej metody dla języka czeskiego „Tesnopis,” z którego też obaj owi autorowie wiele korzystali. Wydaniem swych książek każdy z wymienionych założycieli stenografii w Galicyi położył podwalinę do dalszej działalności na tém polu: stanęli oni na czele dwóch stowarzyszeń, mających na celu rozkrzewianie znajomości stenografii, otworzyli publiczne wykłady, oraz założyli dwa organy stenograficzne. Tak gorliwe zajęcie się dziełem, rokowało jak najpomyślniejsze rezultaty, nieszczęście jednak mieć chciało, iż do tych znacznych pierwotnych zamiarów przymieszać się zaraz musiało między pp. prezesami źle zrozumiane współzawodnictwo i antagonizm, które nie do rozkrzewienia sztuki i obudzenia zamiłowania ku niej, lecz do zatamowania jej rozwoju i zniechęcenia adeptów doprowadziły. Zbytecznym byłoby opowiadać tu wszystkie przejścia tych stowarzyszeń, nadmienimy tylko, iż p. Olewiński zmuszony został skandalicznie przez własnych uczniów do usunięcia się z prezesostwa, p. Poliński zaś wyczerpawszy wszystkie własne fundusze, złamany doznawanemi przykrościami i niepowodzeniem, postanowił sam porzucić stanowisko, na którym z takim pożytkiem dla rozwoju sztuki walczył, i dziś, o ile wiemy, zamierzył skruszyć ołówek stenografa, który go tyle trudów kosztował.

Te kilka słów widzieliśmy się zniewoleni wypowiedzieć jako nieodzowne objaśnienie stanu sztuki stenograficznej w Galicyi, i jako wstęp do zamierzonego tu rozbioru najnowszych książek polskich w dziedzinie stenografii. Dziś ograniczymy się na dziełku, którego tytuł położyliśmy na czele niniejszego przeglądu.

Odczytawszy tytuł tej broszurki o kilkunastu stronicach druku i kilku tablicach autografowanych, sądziliśmy, iż znajdziemy w niej system oryginalny, tymczasem otwarłszy dziełko, spotykamy w niem znów usiłowanie nowój przeróbki Gabelsbergera. Autor powiada w przedmowie, iż z praktyki przekonał się, że ani system p. Olewińskiego, ani p. Polińskiego nie odpowiada warunkom skoropisma i naturze naszego języka, że wspomnieni przekładcy Gabelsbergera zbyt niewolniczo trzymali się niemieckiego mistrza i przez to systemy ich, stały się trudnemi do

wyuczenia i pismo niezrozumiałem, nieczytelnem. Wyższość wszakże przyznaje p. Suhecki systemowi p. Polińskiego.

Celem więc pracy p. Suheckiego jest zreformowanie dotychczasowych przekładów Gabelsbergera na język polski, przez wprowadzenie znaków osobnych na każde brzmienie naszego języka, przez zniesienie wymaganego dotąd położenia głosek względem linii, a tem samem zrozumialszego i łatwiejszego do odczytania sposobu pisma. Zapewnia p. S., iż systemu jego wyrzuczyć się można w dziesięciu godzinach, i w tyleż czasu nabyć biegłości w pisaniu. Dziwimy się jaki cel mogą mieć podobne przechwałki. Każdy uprawiający stenografią wie dobrze, iż istotnie biegła praca mechaniczna okupuje się miesiącami a nawet latami pracy, a nie kilku godzinami. Piszący niniejszy artykuł miał sposobność na sobie i na kilku innych osobach prawdę tę dostatecznie stwierdzić.

Ale przystąpimy do samej treści pracy p. S. i zobaczymy, o ile powiodła mu się założona poprawa systemów pp. Olewińskiego i Polińskiego.

Autor w piśmku swém traktuje tylko pisanie wyrazów, co do skróceń zaś odsyła do dzieł dwóch wymienionych stenografów polskich.

Najprzód widzimy, że p. S. popadł w błąd ten sam, który zarzuca dotychczasowym twórcom stenografii polskiej, zamierzył bowiem w piśmie swém ujawnić każdy dźwięk osobnym znakiem: tymczasem powiedzieć można, że głoski: *a, z, ł, l*, oznaczył jednym i tym samym prawie znakiem; jednym powiadamy, bo mała, niewyraźna różnica nie da się w szybkim piśmie ołówkowym uwydatniać. Toż samo powiedzieć można o znakach: *k i g, ś i ź, o i q, c i dz*. W ogóle alfabet p. S. nie wytrzymuje bezstronnej krytyki: autor wprowadził zboczył od dogmatu Gabelsbergera, ale też nie usunął trudności zastosowania go do potrzeb naszego języka; poprzekładał tylko i pomógł znaki systematu niemieckiego i nie więcej.

Dalej i innych wad swych poprzedników nie uniknął p. S., pomimo iż to naznaczył za cel swój pracy i ku temu układał nowy alfabet. Zarzuca np. p. S. panu Polińskiemu, iż w piśmie jego niema różnicy między *warta* i *wrata*; pytamy się zaś p. S. czy podług jego pisowni wyrazy: *ten, cena* nie mogą również być przeczytane jako: *tne, cna*? Sądzę, że wad tych najlepsza nawet stenografia w zupełności uniknąć nigdy nie zdoła, bo opuszczając dla pośpiechu samogłoski lub je tylko symbolizując, liczyć zawsze wiele musi na biegłość i domyślność odczytującego. Trudno z oderwanego wyrazu napisanego stenograficznie (nawet wedle pisowni p. S.) domyślić się, czy napisano: *bok*, czy też *bak*, łatwo jednak dojść prawdziwego znaczenia, gdy wyraz stoi wśród innych. Kto chce wyraziście pisać i nie omylić się w czytaniu, może tego, lubo ze szkodą pośpiechu, dokonać tak dobrze piśmem

p. Olewińskiego jak i p. Polińskiego, wypisując dokładnie jedna koło drugiej spółgłoski i samogłoski, co się też w imionach własnych lub innych wyrazach wymagających dokładności, zwykle czyni. Trudność wykonywania osobnych drzeworytów wstrzymuje nas od poparcia słów naszych kilkoma piśmiennymi przykładami.

Oceniając dobre chęci autora w przyłożeniu się do ulepszenia naszej stenografii, zmuszeni wszakże jesteśmy wyznać, iż w istocie autor nic trafnie nie zmienił i nie ulepszył z dotychczasowych prac Polaków nad stenografią Gabelsbergera: stworzył pismo bardzo oddalone od niemieckiego pierwowzoru, rozciąglejsze, zsumniejsze i posiadające te same wady, co systemy dotychczasowe.

Za szczęśliwsze ulepszenie uważamy nowy zmieniony system p. Polińskiego, bo ten oparty jest na studyach i na praktyce kilkolatniej; żałujemy tylko, iż p. Poliński nie wydał dotąd drukiem tego poprawnego kursu. Dowiadujemy się nakoniec, że p. Jackowski, uczeń szkoły p. Olewińskiego wydał obecnie obszerną książkę, której przedmiotem jest znów nowy przekład Gabelsbergera. O wartości pracy tej nie dotąd wyrzec nie możemy, po przejrzeniu zaś jej dokładnie i sprawdzeniu w praktyce zasad tam podanych, nie omieszkamy zdania naszego w tym względzie w następnym przeglądzie wypowiedzieć.

Leopold Mikulski.

Językoznawstwo w Polsce.

Pod tym tytułem w czasopiśmie niemieckim p. t. Przyczynki do językoznawstwa porównawczego z dziedziny języków aryjskich, celtyckich i słowiańskich, wydawanych przez pp. Kubn'a i Schleicher'a, w tomie V, zeszyt II, (1867) str. 248—250, znany profesor Schleicher zamieścił artykuł, który tutaj w spolszczeniu cały podajemy:

„Milo jest—mówi autor—zwolennikom językoznawstwa, rozpoczynającego obecnie drugie pół wieku rozwoju swojego, spostrzegać, jak ta nowa nauka rozszerza się coraz dalej po za granicami kolebki swój niemieckiej. Zdaje się jednak iż zdrowa, ścisła metoda glottyki nie łatwo wstęp do Polski znalazła; chociaż dwa dzieła, które teraz mam na względzie (jedyne, jak sądzę, dotąd tego rodzaju) dowodzą, że pierwsze lody przebite i potok dalej pójdzie. Nie mamy zamiaru rozwodzić się obszerniej nad temi książkami, gdyż, jako napisane po polsku, nie są dostępnymi dla większości naszych czytelników. Pozwalamy jednak sobie na kartach pisma tego zrobić wzmiankę o nich, raz dla tego, że

obchodzą dzieje naszej nauki, a powtórę ze ważnemi są dla zajmujących się specjalnie badaniem języków słowiańskich.

Wymieniamy nasamprzód pracę Małeckiego: „Gramatyka języka polskiego większa, przez Dra Antoniego Małeckiego prof. jez. i liter. pols. w uniwers. lwow.” Lwow 1863.

Dzieło to, szczególniej w układzie nauki o deklinacyach i koniugacyach, idzie za Miklosieha gramatyką porównawczą języków słowiańskich. Autor uwzględnia należycie głosownię, odwołuje się wszędzie do staro-polskiego i staro-bułgarskiego języka i obszernie wykłada składnię. Dla tych przynajmniej, którzy się zajmują językiem polskim w celu naukowym, po gramatyce Małeckiego dawniejsze gramatyki polskie stają się przestarzałemi. Nie tu miejsce rozbierać rzeczy, w których jestem innego od autora zdania. Gdyby też raczył p. Małecki napisać także obszerną staro-polską głosownię i naukę o formach; należałoby tam nie tylko wykazać formy różniące się od dzisiejszego języka piśmiennego, lecz i używane dzisiaj objaśnić przez najdawniejsze źródła języka. Uwzględnienie archaizmów, trwających w narzeczach polskich, korzystnie dałoby się połączyć z opisem form języka staro-polskiego.

Drugie, muięj obszerne z wymieniających się tu dzieł, ma nadpis: „Nauka o pierwiastkach i źródłosłowach języka polskiego ze stanowiska porównawczej gramatyki, przez Bronisława Trzaskowskiego.” (Przedruk z XXXIV tomu Roczników c. k. Tow. Przyj. Nauk Krak. Kraków 1865).

Autor, którego głosowni języka polskiego, drukowanej w r. 1861, nie znam, trzymał się głównie mojego „Podręcznika” (Podręcznik Gramatyki porównawczej języków indo-europejskich. T. I. Głosownia 1861. Weimar. Tom II. Morfologia 1862, tamże) i w ogóle (str. 21) czerpał z najnowszych prac językoznawczych.

Mówi najprzód o pierwiastkach i osnowach (temach) w ogólności; dalej o osnowach słów (o osnowach słów pochodnych, czasów, trybów), imion, liczebników, zaimków i wreszcie o słówkach (partykułach). Porządek taki, opierający się na tradycyi, odpowiada raczej praktycznej potrzebie łatwego szukania w książce, niżeli wymaganiom ścisłej nauki (porówn. Podręcznik, wyd. II, § 207).

Co do szczegółów, nie jedną mielibyśmy do zrobienia uwagę (up. w § 1 w *był*, *truję* są pierwiastki nie gołe, ale (porówn. § 72) z przyrostkami (sufiksami) *la* i *ja* i t. d.); niejedną trudność autor zbyt lekko pomija (tak np. w § 12, str. 29 *plak-ać* odnosi po prostu do pierw. *pluk* i t. p.); jednakże na ogół praca jego jest pełnem zasługą zastosowaniem metody i wniosków nowszego językoznawstwa do języka polskiego.

Życzymy językoznawstwu szczęśliwego dalszego rozwoju w Polsce; początek, zrobiony w wymienionych wyżej dziełach, upoważnia nas do nadziei że to życzenie się spełni.”

Dodać winniśmy że szanowny p. Schleicher mimowolny błąd popełnia mniemając iż dwa powyższe dzieła są „jedynemi tego rodzaju” w Polsce. Piśmiennictwo nasze nie obfituje niestety w prace językoznawcze; ale oprócz książek pp. Maleckiego i Trzaskowskiego, mamy kilka jeszcze dzieł i rozpraw, które na prawdziwe uznanie zasługują, jako czysto naukowe i napisane według nowej metody językoznawstwa. Wymieniam je w porządku czasowym:

1) Hippolita *Cegielskiego*, ucznia Bopp'a rozprawa „O słowie polskiem,” umieszczona w *Oświetniku Naukowym* r. 1842, świetny dająca początek zastosowania nowszej metody językoznawstwa do gramatyki polskiej „na jej najtrudniejszej części” t. j. w traktacie o czasowniku. Autor zamierzał „wskazać rodakom drogę jaką tajemnicę języka dochodzić i podać sposob w jaki prawdy w organizmie języka zamknięte badać, na jaw wydobywać i w umiejętny system układać należy.” Skarżył się przytem i ubolewał że „po tylu głębokich badaniach Bopp'a, Dobrowskiego, Mikiosicha, Szafarzyka i in., gramatyki nasze naiwnemi jeszcze, a często śmieszniemi chępią się fałszami.” Rozprawa ta wyszła oddzielnie 1852 r. w Poznaniu.

Tęż rozprawa „O powstaniu mowy i języków.”

2) Adolfa *Kudasiewicza* „Próbki filozofii mowy” Warszawa 1858. Rozprawy i rozbiory w *Bibl. Warsz.*

3) Ks. *Malinowskiego* „Zasady i prawidła pisowni polskiej i t. d.” Poznań 1859.

Tęż „Pogląd krytyczny na zasady głosowni i t. d.” Poznań 1863. Rozprawy po czasopismach.

4) Wspomnianego w artykule Bron. *Trzaskowskiego* „Gramatyki języka polskiego.” Część I. Głosownia. 1861. „O pisowni polskiej.” Rzeszów 1862. „Stanowisko filologii słowiańskiej w dziedzinie badań językowych” 1865.

5) *Zygmunta Sawczyńskiego* „O etymologii właściwej” jako sprawozdanie o *Trzaskowskiego* „Pierwiastkach,” na początku tej książki; rzecz krótka, ale dostateczna do okazania w jej autorze postępowego językoznawcy.

6) Profesora Jana *Papłonskiego* artykuły po czasopismach rozsiane, oraz ważna książeczka „O początku i różności mowy” Warszawa 1867. Wyd. II.

Z nieśmiałością do spisu tego wciągam badacza, którego nazwiska wymienić mi nie wolno, a który od lat kilkunastu niezamordowanie i z dobrą metodą nad budową języka polskiego się zastanawia. Życzę aby owocami pracy swęj jak najprędzej z powszechnością się podzielił: będą one—śmiem twierdzić—znakomite.

Głośnemu językoznawcy niemieckiemu należy podziękowanie za dobre życzenie sprawie filologii porównawczej u nas. Jak

on, nie wątpimy też że po przebyciu trudności pierwszego poznania się z nową nauką, obojętność publiczności dla niej ustanie, a pracownicy dzisiejsi z przyjemnością widzieć będą codzienny wzrost grona swojego.

Jan Karłowicz.

Szlachta w romansie francuzkim.

(Podług autorów francuzkich).

Czytając romanse francuzkie bieżące dowiedzieć się można że rok Pański 1867 i 1868 przeludnionym jest szlachtą i arystokracją, poróżnioną mniej lub więcej z instytucjami i obyczajami obecnymi, mówiącą językiem przebrzmiałym i objawiającą napuszyście, z łaski krwi, płynącej w ich żyłach, jakieś prawa, jakąś moralność, uczucia i pojęcia *honoru* zupełnie niepodobne do tychże przymiotów właściwych reszcie śmiertelników pospolitych. „Zagryzłbym się, gdybym zabił szlachcica pańskiego nazwiska, dowcipu i postawy;” powiada w chwili pojedynku margrabia de Lanrose, jeden z bohaterów romansu pana Edmunda About p. t. „la Vieille roche.” Oktawiusz Feuillet znowu powiada nam, że jego bohater pan de Camors, doznawszy porażki miłosnej: „był zgnębionym i rozdartym do głębi serca, *lecz wytrzymał cios ten po szlachecku.*” A więc znajdują się ludzie którzyby zabić można bez wielkiej zgryzoty dlatego, że są pochodzenia nieszlacheckiego? i wydarzają się takie rozpacz, które znieść może jedynie potomek szlacheckiej rasy? W takim razie niepotrzebne wydaje się nam świadectwo przed sądem pewnej klasy ludzi; wystarczyłoby gdyby jeden z takich rzekł: „*świadczę honorem szlachecka.*” Czyżby tego wszystkiego nie można wywnioskować z tonu, jaki przybrał dzisiaj romans francuzki? W tak delikatnej materii nie trzeba dawać pozorów, iż się idzie za popędem ostatecznego radykalizmu, ani nie trzeba stać się surowszym od samego prawa, ani też znowu nie można nie uznać wpływu obyczajów. Gdyby Francya nie miała do czynienia jak tylko z próżnością rodzin starożytnych, to kwestja wprędceby się załatwiła. Porachujcie albowiem rodziny wygasłe, rodziny, które przed upływem pół wieku wygasną, chociażby linie boczne podszły się pod nazwisko linii głównej, jak się to na nieszczęście wydarza obecnie, a przyznać trzeba, że to nie tak straszne nieszczęście, iż pewna liczba szlachetków uwielbia się wzajemnie w gronie rodzinnem, wieszując sobie przy zamkniętych drzwiach pamiątek z wojen krzyżowych. W życiu publicznem, w tej zba-

wiennej praktyce interesów ogólnych i narodowych, blask starożytnych herbów gaśnie, chyba że go podtrzymuje promień prawdziwej zasługi osobistego odznaczenia się. W ten to sposób starożytne nazwiska odświeżyły się w dzisiejszym czasie. Dawna przeto szlachta miała w tym nieposłedni interes, ażeby się zrobić nową, nowa zaś traciła wszystko jakkolwiek to było bardzo mało, na usiłowaniu stania się dawną. Nazywamy: „fałszywą szlachtą” nie tych, którzy się uszlachetnili zwycięstwami narodowemi lub wielkimi zasługami, nie tych, którzy mogą wykrzyknąć jak Massena: sam jestem przodkiem; lecz tę szlachtę świeżego pochodzenia, która małpuje rzeczywistość i sili się na dystynkcyę. „Gdyby nie było fałszywej szlachty, powiedział Rigault, — potrzebaby ją wynaleźć, gdyż ona jedna jest komiczną w XIX wieku.” Wszystkie rządy następujące po sobie we Francyi od lat sześćdziesięciu, sprawiały sobie przyjemność tworzenia szlachty, gdy tymczasem ludzie istotnie wyżsi, sprawiali sobie znów tę przyjemność, iż przekładali swe niskie pochodzenie nad pożyczone pargaminy. Kwestya w ten sposób postawiona, stworzyłaby tylko komedyę, gdyby uszlachceni byli tak złymi rachmistrzami, jakby ktoś mógł sądzić. Są oni dla złośliwych, hrabiami od śmiechu i baronami dla gawiedzi, mają synów którzy na seryo biorą uszlachcenie ojców i którzy zeniąc się, uszlachcenie to kładą jako jeden z punktów interczyzy. Próżność matek wyzyskuje te naiwne herby i te świeżuchne korony błyszczące na drzwiczkach karet; wiele też drzwi otwiera się przed tą dziewiczą heroldyą a nawet drzwi ministrów; wiele nierówności odepchniętych obyczajem, przeciwnych duchowi prawa, ściera się w tej sztucznej zamianie próżności i skąpstwa. Otóż powtarzamy, że gdyby przywilej, usunięty przez prawo, wśliznął się przez ową furtkę ukrytą w francuzkie społeczeństwo, i rozdzielił rodziny, gdyby nowa szlachta, a nawet dawna, stała się pewnego dnia, nie zasłużywszy się niczem, znakomością; gdyby praca, nauka, talent, zasługi publiczne, gdyby to wszystko w koszyczku ślubnym nie przeważało jednego starożytnego imienia, lub gdyby zblakło przed nowym tytułem: wówczas wyrodziłyby się z tego anomalia na przekór dokonanyemu przeobrażeniu, anomalia którą dramat i romans powinien surowo sądzić, zamiast zachęcać i uwieczniać.

W rzeczy samej, można dwojako zachęcać w rodzie szlacheckim (nie mówimy tu o uszlachconych), niestuszne roszczenia naturalnej, krwią przekazanej wyższości. Pierwsza, zasadzałyby się na schlebianiu roszczenia u tych, których jedyny jeszcze romans zwie „szlachtą” (gentilshommes) i to przez nadanie im przywileju fizycznej dystynkcyi we wszystkiem widocznej, a która w takim razie byćby musiała zwierzchnią szatą daleko szacowniejszych jeszcze przymiotów. Druga polega na nadaniu im, nawet w złém, jakichś rozmiarów przechodzących zwykłe, i to tego rodzaju, że muszą wzbudzić podziw prostaczków i osłupienie gawiedzi. „W r. 1835 nie było w Paryżu pysniejszego cavaliero jak ten

szalony Odoakr. Jego talent, pańska mina, szczodrość i rozgłos kilku *znakomitych* (illustres) szalenstw, zrobiły go bożyszczem nie tylko płeć pięknej, ale nawet *ulicznego popóstwa* (1).” Oto ton powieści, lecz tu nie koniec. Widzieliśmy nieponiów, ujrzymy potworów. Atoli czyto są kawalerowie świetni i niepokalani, czy zbrodniarze bezwstydni, potrzebaby wierzyć, że jako szlachta nowoczesnego romansu, nie mogą być w żaden sposób miernymi, co przecież zwykłym jest udziałem innych śmiertelników, tak w dobrém jak i w złém.

Ten podwójny błąd romansu francuzkiego przedstawia się jako upodobanie lub jako plan powzięty z góry, z większym lub mniejszym wpływem na czytelnika, lecz bez wielkiej co do istoty rzeczy różnicy. Wszędzie, w takich książkach, zaczyna się od tego, że szlachcic otrzymuje w darze chrzest nadzwyczajnej organizacyi, i to bez względu na to, że jej może nadużyć, a nawet choćby Don Juan przemienić się miał w pana Saind-Bernard'a (2). Tego rozczulenia się nad temi popsutemi dziećmi inwencyi romansu, nie uniknął taki bystry spostrzegacz i zręczny malarz, taki uśmiechnięty świadek ludzkich błędów, jakim jest p. Ed. About. Ażeby oczarować czytelnika szafuje on całym zasobem właściwego mu wdzięku. Posłuchajmy: „Markiz Laurose służył dzielnie uzurpatorowi, dosłużył się krzyża i epoletów pułkownika w 25 roku życia. Człowiek ten, *zdolny do wszystkiego*, przebył świetnie kilka zawodów. Karol X odciągnął go od dyplomacyi przywiązawszy do własnej osoby, a każdy wie jak się bił szambelan w pierwszym rzędzie szwajcarów, w lipcu 1830 r. Ryzykując szalenie życie które mu zbrzydziły zgrzyoty tajemne, poszedł z królem swym na wygnanie, i objechał świat 1832—33 z anglikiem Rowlandem, czyto przez wstręt do Europy, czy też ażeby zabić troski domowe. Objazd ten stał się dlań sposobnością polowania na tygrysa i walki na rękę z białym niedźwiedziem. Za powrotem, dowiaduje się o śmierci żony, *otwiera na nowo salony w Paryżu*, kupuje wielką stajnię lorda Bucka, i zostaje w dwóch latach *królem turfu* i pierwszym hodownikiem we Francyi, nie zaniedbując przytém ani na chwilę osobistego kierownictwa wychowaniem swego syna. W r. 1840 wybierają go deputowanym, siada po krańcowej prawicy, mówi z trybuny *bez przygotowania* w kwestyi cukru i składa dowody wysokiej wiedzy, nadzwyczaj jasnego umysłu, wymowy *niezmiernie praktycznej*, ku wielkiemu zdziwieniu kolegów, prasy, ministerstwa i kraju. Podczas gdy dwór olśniony, jeżeli nie *zdruzgotany* tym wybuchem talentu, ofiaruje mu napróżno parostwo, on znajduje dosyć wolnych chwil ażeby postać na Wystawę dwa obrazki łowieckie, *ażebym śpiewać romanse własnej kompozycyi*, ażeby napisać *małą operę* z tekstem własnym i muzyką, ażeby pędzić w steeple-chases, *ażebym uwieść kobietę najwyższych sfer towarzyskich*,

(1) Les Vacances de la comtesse, par Edmond About.

(2) Jeden z ostatnich romansów Ernesta Feydeau.

ażeby zranić dwóch przeciwników w pojedynku i grać w klubie sławną partję wista, punkt po 100 luidorów. Młodzi trzydziestoletni ludzie, byli prawdziwymi staruchami w obec tego zadziwiającego 50 letniego mężczyzny.... Chcąc niechcąc, potrzeba było przyznać, że p. de Lanrose podwojną miał wyższość nad naszymi najszczęśliwzszymi społecznymi; *pochodził on bowiem z najpiśniejszej rasy francuzkiej a urodził się w dobrej godzinie. Przymioty jakie odziedziczył po przodkach, przybrały wyjątkowe rozwinięcie* ze zbiegiem okoliczności, które wytworzyły u nas, przy zetknięciu się dwóch wieków, pokolenie bez porównania mocniejsze od wszystkiego co poprzedzało i co później nastąpiło (1).”

Oto i portret, z którego sobie trudno zdać dobrze sprawę. About w gorliwości otoczenia kolebki swego bohatera samemi dobroczynnemi boginiami, zapomniiał, że ta różnaitość zdolności, ta ruchliwość czynu sprzeciwia się właśnie wokacyi arystokratycznej według pojęcia romansopisarzy; że szlachcie nowoczesnego romansu zrodzony ażebv nie nie robić, nie powinien robić wszystkiego, i że to stawia go na równi z owymi okrzyczanemi grekami Rzymu za Cezarów, z owymi wszędywscibskimi gorliwymi i zgłodniałymi, których Juwenal tak zajmująco naszkicował. Miał on, pisze pan About, pewną *bezcelną przyjemność nieplacenia swoich długów*. Okrucieństwo takie, polegające na odprawieniu bez pieniędzy biednego wierzyciela, czyniło go we własnych oczach prawdziwie szlacheckim, niestety *a może i w oczach innych!*... Śmiał się na samą myśl ponizenia, upokorzenia człowieka, który miał prawo zawezwać go przed sędziego pokoju. Wiedział że uszanują go nazwisko....(2).

Jeden z najbystrzejszych pisarzy z pomiędzy tych, którzy dzisiaj dzierżą berło romansu, czyni to ustępstwo na korzyść przesądów przestarzałej antropologii, które to przesady nie mają nawet zasługi pewnej popularności, a które dowcipni pisarze wprowadzają jakby z figlów w dziedzinę romansu, zupełnie tak samo jak kiedyś gdy było modą wprowadzać duchy i upiorów. Jeden z wielkich moralistów ostatniego wieku, napisał lat temu przeszło sto: „*Wielki pan jest to wyraz, którego rzeczywistości poszukać już trzeba w historyi. Wielkim panem był to człowiek wielki sam przez się, poddany prawom, lecz o tyle silny, iżby był posłusznym z własnej woli, co właśnie czyniło go niekieiely buutownikiem przeciw monarsze a tyranem własnych poddanych. Już ich nie ma* (3).” Nie, już nie istnieli prawdziwi panowie za czasów Duclosa. Ludwik XIV ułatwił się z nimi, zaprzatając ich urzędami dworskimi; nawet Saint-Simon chociaż się opierał całe życie, nie mógł uniknąć zmniejszenia swego stanowiska. Pozostała szlachta, była to moneta wielkich panów. *Dzis niema ich już więcej*.

(1) Le Mari imprévu. Ed. About.

(2) Les Vacances de la comtesse.

(3) Duolos Considérations sur les moeurs. ch. VI.

Przetrwały wielkie imiona, bardzo szanowne gdy są noszone zanie, lecz zaszczyt z nich nie splywa na niegodnych. Mówiono niegdyś, że „prawdziwie pańska miua u męża potężnego, była zapowiedzią dobroci i dotrzymania słowa.” Czyż więc p. About mówi słusznie, gdy nam zapowiada że wypadki wszczepiły pychę w szlachtę, rodowego znaczenia? (1). Cóżto jest rodowe znaczenie? Czy to ma być ruchliwość takiego markiza de Laurose, pozbawiona zgody z samym sobą i godności? lub też jestże to parawan nazwiska dla trudniących się dwójznanymi interesami, jakim jest hrabia Adhemar? lub wreszcie ma to być: „dziecko zepsute przednieścia, wielki szlachecki ulicznik znany w całym Paryżu i popularny (quod erat demonstrandum) aż na ulicy Śgo Antoniego, a jakim jest Odoakr de Bourgalys? (2). Toż to jest to rodowe znaczenie bronione z taką pychą, a dla którego romansopisarze dzisiejsi ostrzą najlepsze swe pióra? Oczywiście naturalnie jest zyskiem mieć fizyognomię otwartą i uprzedzającą, tak jak posiadać tytuł świetny i prawny. To co wartość osobista człowieka dodaje darom natury albo łasce urodzenia, to jedno i to samo. Można by jednak rzec, jeżeli już chodzi o odznaczenie rodowe, że geniusz pozbawiony blasku urodzenia, pierwsze zajęć musi miejsce.

Łatwo pojąć, że nie oskarżamy tu pana About o chęć odrodzenia arystokracji, i że jeszcze mniej jeśli to jest możebnem, oskarżyć można ludzi głowy i serca, zapewniających dzisiaj w większości szeregi dawniej szlachty; lecz w czasach odbudowania społecznego niedaleko od nadużycia słów do nadużycia rzeczy. Nie to jest najdoskonalsze przeobrażenie, którego dokonano prawami, lecz obyczajami i językiem. Czyż znaczna część francuzkiego prawodawstwa, nie była wymierzoną przeciw przywilejom dawniej szlachty, i czy wątpić można, że to co się zwie sercem kraju podyktowało reformy, że więc prawo zetknęło się z życzeniami obywateli? Jestże kto dzisiaj, któryby chciał na nowo rozpocząć walkę tak niebezpieczną? Już i tego za wiele, gdy się pozwala wierzyć, że walka ta trwa jeszcze, i tego za wiele gdy się stawia w obliczu społeczeństwa lub przeciw niemu lub po za niem, całą klasę oddaną czi platoniezuć, urojonych przywilejów, a którą kilku pisarzy dowcipnych przypuścić trzeba że bezinteresownie, zdradza, oddając na pastwę zazdrości demokratycznego kraju. „Wiesz dla czego Jan Gaston de Presle otrzymał trzy pchnięcia w bitwie pod Ivry?” pyta się jednego ze swych przyjaciół młody Presle, zięć pana Poirier, w komedyi słusznie sławnej pp. Augier i Jul. Sandeau. „Wiesz dlaczego Ludwik Gaston de Presle wyleciał w powietrze pod Hogue, wiesz dlaczego? Dla tego, ażeby pan Poirier mógł zostać pewnego dnia parem i baronem...” Ślicznie, — da się odpowiedzieć, — lecz jeżeli ci dzielni przed-

(1) Le mari imprévu.

(2) Les Vacances de la comtesse.

kwie Gastona ponieśli tyle ofiar na to, ażeby swemu potomkowi po dwóch lub trzech wiekach, pozostawić prawo niegodziwego próżnowania, to dziękujemy bardzo pięknie! Wolimy jego teścia, zapominając tylko o upragnionej przez niego baronii. Jest on synem swych czynów i ma prawo powiedzieć z kolei: „Wicie, dlaczego pracowałem przez lat czterdzieści? Ażeby wzbogacić młodego głupca, próżniaka, niedołęgę i gburą!” Zauważyć albowiem trzeba, że nauka jest wszędzie w tych dziełach, jakoteż dostrzedz można, że p. About nie jest ani pierwszym ani jedynym, który zajął się na seryo tą palingenezją arystokratyczną w romansie.

Tę walkę przeciw zastarzałym roszczeniom, prowadziło jeszcze wielu innych, ale walcząc zdaje się, iż tylko stan ten pogorsza. Przy czytaniu takich książek, w których pod nowoczesną szatą wyskakuje z grobu przeszłość, prawie się zdawać może, że to chyba umyślna satyra.

Po tem arcydziele w trzech częściach p. t. *Vieille roche*, gdzie p. About przesadziwszy może zanadto ważność herbownych figur, chciał ostatecznie pognać wszelkiego rodzaju próżność, któż nie przypomni sobie owego brata markiza de Villemer, owego księcia Gontrama d'Aleria, który mówi tamtemu w chwili zapału, tonem bohaterów zaszczerpionych w dzisiejsze obyczaje francuzkie: „Cóż mogę uczynić dla ciebie? Kochasz tę kobietę? Mamże zabić jej męża?...”

Czyżby to przez opozycję nowoczesnemu romansowi, że pani Sand urobiła typ szlachcica inteligentnego: „pięknego, przeznaczonemu na to, ażeby się stał głęboko sceptycznym, rozrzuconym i oplakanie rozpustnym?...” (1); dość że oryginał wydobyla z krain zapirenejskich. Książę d'Aleria, jest przez swego ojca hiszpanem tak jak don Juan, jest echem owego nieśmiertelnego typu, owego zuchwałego rozpustnika. Z wielkiem zajęciem czytano romans noszący tytuł: *margravia de Villemer*, ci atoli, którzy nie widzieli sztuki przetworzonej z romansu, słyszeli od naocznych świadków, że podobały się publiczności: przechwałki bezczelne wielkiego pana, z czego jednak hyuajmniej wnosić nie trzeba, iżby powód takiego upodobania leżał w obyczaju francuzkim. Nie, społeczność francuzka, jeśli ma jakie bożyszcze, nie mając i tak wiele wiary, to tylko lubi się ona śmiać, a po wszystkie czasy w Atenach, Rzymie, Londynie i Madrycie, w Paryżu zaś przede wszystkim, rozpustnik sceptyczny, zuchwały, dowcipny i czelny, Rabutin czy Richelieu, don Juan wiejski czy dworski, Lauzun czy Mascarille, miał przywilej rozśmieszania widzów, choćby się to działo ich kosztem. Literatura powinna być zawsze wyrazem obyczajów, lecz przybiera ona ten charakter tylko w epokach bardzo spokojnych, i bieżących zwykłym trybem. W każdym innym wypadku teatr i romans jeżeli są obrazem społeczeństwa, są też zarazem w pewnych epokach, jaką jest obecna we Francyi, istnieniem jego przeciwieństwem.

(1) Le marquis de Villener.

P. Amadeusz Achard nie chciał śpiewać dytyrambu na cześć próżniaka dobrego domu (1), skreślił więc długie męczeństwo hrabiego de Brévillan, którego „okowy żelazne” przykuwają z losem przewrotnej i zepsutej małżonki i z losem córki tejże. Nie potrzeba koniecznie być szlachcicem, ażeby w podobnym razie być najnie-szczęśliwszym z ludzi, potrzeba tylko mieć serce; kto zaś obdarzo-ny tak delikatnym pędzlem jak p. Achard, ten nie potrzebuje ozdabiać opowiadania swego, całym zasobem świecidełek i blichtrów arystokratycznych. Posłuchajmy frazeologii będącej obecnie w modzie:

„Jeden z nich, kapitan (dorobkiewicz, chodzi tu o dwóch to-warzyszwów broni) okazywał często usposobienie dzikiego zwierzę-cia żyjącego w lasach, drugi, komendant (hr. de Brévillan) przy-pominał świetnością swego umysłu, ową szlachtę okrywającą naj-śmielsze czyny szatą swobodnej wesołości. Obaj mieli prawo do wynadgrozdzenia, ale *dzielna mina i dobry humor hrabiego*, poniosły go na skrzydłach, *ku wysokim stopniom* i wszelkim stanowiskom. Przeciwnie, nie można się dziwić, że kapitan Berthier umarł kapi-tanem. Dlaczego? nie wiadomo; tak już było. *Zasluga nie nie zna-czyła.*”

Rzecz tego romansu dzieje się w r. 1837 i najczęściej w Al-gierze. Kto zna dzieje Francyi, ten nie zdoła sobie przypomnieć iżby rok ten był epoką rozdzielenia nagród między osoby dobrego urodzenia i osoby „dzikiego usposobienia.” Wiadomo jest przeciwnie; gdyż imiona pozostały zapisane w złotej księdze historyi, niektóre są do dziś sławne. Wiadomo, że Francya roz-dzieliła nagrody zarówno między potomków rycerzy wojen krzy-zowych, jeżeli na to zasłużyli, jak i między dzieci żołnierskie. P. Achard opisuje wprawdzie, że hr. de Brévillan okupuje ten fawor awansu bardzo tragicznie, gdyż zabija córkę swojej żony, lecz znowu nie można nie zaznaczyć tendencji nowoczesnego roman-su, usiłującego na przekór obyczajom i przeszłości, przywrócić różnice stanów.

E. L.

(1) Les chaînes de fer.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Występy gościnne pani Modrzejewskiej.

„Dla dzielnego świat ten nie jest zamkniętą księgą”

Goethe.

Nagłówek wyjęliśmy z dzieł nieśmiertelnego poety i mędrka, którego zdanie każde możnaby obrać sobie za hasło życia. „Dla dzielnego świat ten nie jest zamkniętą księgą, owoce pracy jego dadzą się uchwycić; niech się więc nie troszczy gdy wrogie duchy stają w poprzek jego drodze, niech w coraz większym *postępie* szuka cierpień swych i szczęścia!” Oto mniej więcej treść tych kilku zwięzłych wierszy! Postęp mimo trudów i przeszkód, postęp mimo zawiści, złości i zazdrości, postęp mimo wolnego z początku pochodu, mimo niepowodzeń i łamania się z samym sobą, bo w tym postępie jest tryumf, zadowolenie, nagroda i radość, bo w tym postępie cierpienie przechodzi w rozkosz, i daje siłę, i daje wiarę, i daje nieśmiertelność! Który z prawdziwych poetów czy artystów nie idzie tą drogą? który w walce ze światem, z jego ostremi wymogami, nie padał zwątpiały na duchu i nie podnosił się znowu ogniem uatchuienia wrzącem mu w piersi, mocą poczucia talentu, wiara jego przeczuć? Nie szukajmy daleko, nie wyrzezbujmy Cerwantesów, Tassów, Czattertonów, pani Rachel, w naszym społeczeństwie, w bliskości, tuż przy nas; ileż talentów szamotało się z nędzą, obojętnością, brakiem poparcia, ilu marniało w tułaczey wędrowce nie dającej chwili wypoczynku, sposobności rozwoju, gnającej bez przerwy zdyszane ciało, znękany umysł, dalej, dalej, bez celu, bez nadziei uśmiechu fortuny, a li tylko dla kawałka żebraczego chleba! W takich wędrowkach padają słabi, nizezennieją mali, silni tylko i wierzący w gwiazdę swego przeznaczenia podążają naprzód z wzniesionem okiem w niebo przyszłości.

Do takich tułaczeych i bolesnych zawodów, zaliczyć trzeba zawód dramatycznego artysty, u nas mianowicie. Nie wolno nam dzisiaj przytaczać nazwisk na poparcie słów naszych, nazwisk dobrze znanych; wszakże wystarczy przejechać się na prowincye i przypatrzeć nędznej szopie, w której odgrywają tragedye i komedye, zmarzli i zgłodniaли tak nazwani „komedyanci.” Fakta wystarczą, nazwisk nie trzeba, i zaiste szczęśliwy Wilhelm Mar-

tes który mógł się tak głęboko zastanawiać nad wykonaniem roli Hamleta; nasi artyści koczujący po prowincyi, nie mają na to czasu: muszą grać co los zdarzy i jak los zdarzy, wesołe i smutne, arlekińskie i klasyczne stosownie do chwili, byle prędzej, byle dalej, byle nie skonać z głodu! Spytacie, dlaczego niektórzy obierają ten tak niechlebodajny zawód? Zapewne dla niektórych uwaga nader trafna, ale znów dla niektórych uwaga daremna, co więcej, ironiczna i niesprawiedliwa. Dlaczego? Dlatego, że tych niektórych popycha jakiś czar niewytłumaczony, zażęga jakaś iskra wewnętrzna, dla której, przez którą, i w imię której, znoszą spokojnie nędzę i łachmany. Iskra taka to dar boży technięty w ich piersi, z którego zdać muszą kiedyś Bogu rachunek. Więc cierpią i walczą, aż i gwiazda wchodzi na pochmurném niebie, i wynagradza im burze całego żywota, nagłóm lecz zasłużonóm uznaniem.

P. Modrzejewska łamała się tak samo z pracą i cierpieniem, walczyła tak samo z ciemnymi potęgami, zanim zdobyła sobie uznanie ogólne, ten najpiękniejszy tryumf dla prawdziwego artysty. Przyjechała do Warszawy nieznaną, z rozgłosem wprawdzie zdobytym na innéj scenie, ale mając do pokonania wiele uprzedzeń wynikłych właśnie może z tegoż rozgłosu. Publiczność oczekiwała gorączkowo wystąpienia, dziennikarstwo z małym wyjątkiem, zachowało się przychylnie lubo z natężoną ciekawością, gotową spuścić w razie potrzeby zawieszony miecz Damoklesa. Potrzeba było zwyciężyć lub zginąć. Pani Modrzejewska wybrała pierwsze, bo innego wybrałby nie mogła. Dziś stawszy się ulubienicą publiczności, szczerze pielęgowaną pupillą udobruchanych dzienników, zasługuje i ze strony naszego czasopisma na bacniejsze względy i szersze ocenienie. Ażeby się jednak z tego zadania jako tako wywiązać, uważamy za konieczne, ocenienie to nasze poprzedzić kilkoma estetycznymi uwagami, które jakkolwiek w umiejętności znane, rade byłyby jednak nie zasłużyć sobie na nazwę niepotrzebnej digressyi.

Zadanie dramatycznego artysty stanowi: *przedstawienie człowieka*, które przeniknione być winno idealnością i prawdą rzeczywistego życia. Przedstawienie takie wypływa z artystycznego poglądu. Pogląd ten przetwarza fantazyjne postacie poety w istoty z krwi i mięsa, nie zatracając jednak idealnego pierwiastku. Cóż się więc dzieje? Oto kreacya poetyczna oddziaływa najsamprzód na *uczucie* (wrażenie) autora. Uczucie to porywa pokrewne sobie żywioły, i w sobie przetapia.

Lecz teraz usiłuje aktor wyjść z tego bezpośredniego wrażenia, mając ciągle na celu urzeczywistnienie poetycznej postaci, gdyż dotychczas przelał własne tylko liryczne usposobienie w charakter który ma przedstawiać. Musi się posunąć dalej, jeżeli nie chce odtworzyć samego tylko dzieła natury, a nie sztuki, jeżeli nie chce być posądzonym że jest ślepo oddanym uczuciu, nad którym zapanować nie umiejąc, nie zdoła go też oddać w idealnej formie.

Gdyby aktor pozostał w tym jedynie zakresie, musiałby się ograniczyć do bardzo małej liczby ról, do tych mianowicie, któreby odpowiadały lirycznemu jego usposobieniu. Same bezpośrednie uczucie, nie wystarcza na stworzenie indywidualnej osobistości, a co więcej przeradza się w deklamacyjną, odrywającą od pełnego życia charakterów. Bohaterowie najrozmaitszych utworów dramatycznych, w niczem nie różniliby się od siebie; nie chcą tu już mówić o Szekspirowskich charakterach, których odtworzyć takim jedynie zasobem niepodobna. Indywidualność kobieca, z natury swęj liryczna, powodująca się bezpośrednio, doraźnym uczuciem, łatwiej tu sobie poradzi: dlatego aktorka posiadająca skarby kobiecego uczucia i umiejąca je uzewnętrznić naturą gry swojej, spełni daleko łatwiej zadanie sztuki, aniżeli mężczyzna którego świat uczuć i czynów, bez porównania szerszy. Lecz zastrzegamy, że i aktorce stopień bezpośredniego uczucia nie wystarcza, albowiem da jej tylko bardzo piękne chwile, nie całość. Koniecznie więc potrzeba zapanować nad sobą i nad pomocnikami środkami, konieczne potrzeba oswozić się z wrażliwości pokrewnego uczucia, a wtedy dopiero można zająć się poetyczną kreacją jako *objektem*. Charakterystyczną jest tutaj uwaga Talmu w jednym z jego listów, gdzie mówi o refleksyi. Píše on, że im więcej studjuje i myśli, tém się bardziej przekonywa, iż nierówno wychodzi gra aktorów, oddających się bezpośrednio uczuciu, „*qui jouent d'ame.*” Nie można się po nich spodziewać żadnej jedności, gdyż gra ich jest naprzemian gorącą i chłodną, płaską i wzniosłą. Przeciwnie zaś gdyby aktor opierał się zawsze na refleksyi, gdyby nie miał innych poryków tylko wystudyowane wedle natury ludzkiej, byłby zawsze *jednym i tym samym na wszystkich reprezentacyach*; wszystko on albowiem rozporządził naprzód i wyrachował w swęj głowie. Ogień jego wzrasta stopniowo, nieci się silniej i słabiej, ma swój początek, przestanek i koniec.

Refleksya przeto jest obudzeniem ducha, bo jest zajęciem się ze świadomością *objektem*. W tém dopiero stanowisku, może aktor rozporządzać zasobami swęj techniki, bo teraz przestał być niewolnikiem swego afektu, bo teraz potrafi swoją indywidualność przerobić na środek przedstawienia idealnego człowieka.

Rozporządka więc dowolnie swym głosem, ruchami, grą fizyognomii, wnika w zamiary poety, i nie da się już unieść nieosiądlanej inspiracyi. Nie od rzeczy tu będzie posłużyć się znowu jednym wyjątkiem z listów Talmu, gdzie właśnie piętnuje on szkody będące następstwem inspiracyi. Píše: „Długi czas grałem z inspiracyi, powierzając się wrażeniu chwili, zapomniałem wtedy zupełnie że jestem Talmą, mając się tylko za Achillea lub Orosmana; lecz nie mówiąc już o zużyciu jakiemu podlegałem skutkiem tęj metody, *grałem nadto nierównie*: grałem dobrze, gdym był dobrze usposobiony, źle, gdy troski prywatne przywodziły mi mimowoli na myśl: rzeczywistość. Aktor powinien wpływać na widzów, ażeby zaś dojść do tego, *powinien być zawsze panem siebie.*”

Lecz i refleksyjny aktor strzedz się winien niebezpiecznego szkopału, to jest iżby gra jego nie straciła *prawdy naturalnego życia*, bo jakkolwiek myślący duch jego zajmie i myśl widza, lecz nie oddziała już na jego uczucie, nie sprawi już wrażenia jakie sprawić powinien wtedy, gdy odzwierciedla bijący tętnem życia indywidualizm. Sama przeto reflexya znów nie wystarcza. Widz powinien zarazem czuć i myśleć, a dopiero gdy nań takie dwa wpływy w połączeniu działają, dopiero wtedy można się poszczycić prawdziwym artyzmem. Wszakże doświadczaliśmy już niejednokrotnie, że widząc grę refleksyjnego artysty podziwiliśmy jego ujądę rozporządzenia, jego myślącą przezorność, ale właśnie dlatego żeśmy go tak bardzo podziwiać mogli, straciliśmy drugie, ważniejsze może wrażenie, wrażenie uczucia, czyli straciliśmy artystyczne złudzenie. Zapanowanie przeto nad sztuką i nad naturą, daje berło wszechwładzy artyście, daje mu różeczkę czarodziejską poruszania sercami słuchających widzów. Nie potrzebujemy dodawać, że do takiego berła dochodzi się twórczością wrodzoną, która niczem innym nie jest tylko talentem, a raczej genialnością w szerszym tego słowa znaczeniu.

Nie bez celu rozwiędliśmy się cokolwiek dłużej nad estetycznym znaczeniem twórczości gry artysty i rodzajem tejsz gry. Pani Modrzejewska wywołała ten znak zapytania nie tylko w publiczności, ale i w dziennikach niespieszących się stanowczo na to odpowiedzieć. Wielokrotnie zapytywano się wzajemnie, czy gra tej artystki jest wynikiem z góry obmyślonych studyów; czy też li wpływem chwilowej potężnej inspiracji. Niepewność ta opierała się na spostrzeżeniu, iż niektóre ustępy w kilku dramatach jak w *Adryannie Lecouvréur*, lub *Maryi Stuart* przechodziły bez silnego wstrząśnienia, niektóre zaś ogniste, namiętne, i silne wzruszały i rozpromieniały; lub znowu że jedna i ta sama sztuka raz pierwszy zadowolniła więcej aniżeli powtórny i przeciwnie: przy drugim przedstawieniu wychodziła lepiej aniżeli przy pierwszym. Czegoż dowodzi ta właśnie niejednostajność? Dwóch rzeczy: potężnego talentu mogącego w danej chwili zajaśnić świetnie, lecz zarazem poddawania się afektowi rachowania na popęd inspiracji, i nie ujęcia w karby swego usposobienia, o czém właśnie Talma tak trafnie wspomina. Śledząc bacznie, powtórzone zwłaszcza role pani Modrzejewskiej, zauważyliśmy, że raz była lepiej usposobioną, drugi raz gorzej; że raz oddawała na widok publiczny charakter z tym artystycznym spokojem, z jakim rzeźbiarz odsuwa draperye z owego wspaniale wykonanego posągu; drugi raz zaś że pomijała lekko sceny które nie powinny były przejść bez efektu a pomijała je jakby zostając pod wpływem odrębnego moralnego czy umysłowego zaprzątnięcia. Nie brak przeto studyów, należącego przygotowania się i zrozumienia, jest tego przyczyną, ale nie zapanowanie absolutne nad swą rolą, zatem i nad swém usposobieniem, co właśnie postawiłoby artystkę u szczytu sztuki.

Ten więc przedewszystkiem zarzut czynimy p. Modrzejewskiej, zarzut który potrzeba uważać jako zyczliwą radę, tém

bardziej ze artystce z temi zasobami łatwo go na przyszłość uniknąć. A zaiste da się wiele powiedzieć o zasobach p. Modrzejewskiej. Posiada ona wszystkie szczęśliwe warunki, bez których sam najrzeczywistszy talent poradzić sobie nie zdoła. Najprzód: głos. Nie jestto głos potężny, na którymby nie było ani znać znużenia przez pięć długich aktów tragedyi, nie jestto głos wyrobu pani Ristori, któryby w przeciągu 16tu miesięcy zdolny był 367 razy przyspieszać bicie serca amerykańskich yankesów, ale jestto głos wdzięczny, melodyjny, z inklinacją miękką, nie przechodzącą jednak w ekliwą pieszczotliwość, jestto głos który mimo nie zbyt szerokiej skali, umie doskonale wyrażać uczucia żalu, miłości, rzewności, szlachetnego oburzenia, szału i rozpacz. W scenach zemsty, pogody i gniewu, nie przestrasza on gromem, nie przeszywa dreszczem przerażenia, ale uwydatnia mimoto charakterystycznie. Potem: postawa, ruchy i chodzenie po scenie. Postawa wysoka, szlachetna, giętka, nadająca się wybornie do pozy w dramacie, jak i do elastycznej elegancyi w komedyi. Oczy piękne, pełne blasku, oświecają ruchliwą grę fizyonomii, którą ta artystka w wysokim przyswoiła sobie stopniu. Rzadko też widzieć można artystkę tak umiejącą chodzić po scenie. Nie postawi ona jednego kroku zanadto, jednego zamało, nie stoi nigdy na miejscu dłużej jak wymaga sytuacja; w chwilach uczuć gwałtownych, chodzi szybko, gorączkowo, w scenach wzniosłych majestatycznie, a zawsze z naturalną swobodą, z nigdy niechybionym plastycznym wdziękiem. Ruchy zaokrąglone, przestrzegające bacznie linie piękna, składają się jakby same przez się, zawsze tłumaczą grę niemą, zawsze trzymają w uwadze, przedstawiając niby dalszy ciąg, wypowiedzianego co dopiero słowa. Wielce cenimy tę nieustającą grę ruchów, albowiem będąc w ścisłym związku ze stauem duszy, nie powinna się nigdy przerwać, lecz owszem zadaniem jej uzupełniać uczuioa. Dlatego to każde z uczuć musi należeć sobie ruch odpowiedni, i poprzednio dobrze go obmyśleć. Improwizować dorywczo ruchy w czasie mówienia, ani wolno, ani tak łatwo. Zadaniem ruchów w ogólności jest uzmysłowienie *najniepozorniejszych często miejsc*, głównie zaś najdelikatniejszych odcieni. Często wypada uzmysłowić jedną z namiętności, której wybuch poprzedzać musiały pewne znamiona; otóż zaznaczenie takich znamion polega najgłówniej na mimice, która tak samo jak wypowiedzenie słowa musi mieć swój związek, swój początek, rozwój i koniec. Dlatego to nauka mimiczna, a którą bardzo wielu artystów albo lekceważy, albo całkiem pomija, jest niezmiernie ważną, i nie tak łatwą jak się komu wydawać może. Przejście np. z uczuć pokrewnych sobie, da się łatwiej skutecznie mimiką, aniżeli przejścia nagłe z uczuć całkiem odmiennych, zupełnie do siebie niepodobnych. Z radości łatwiej przejść w wybuch gniewu, (mówimy tu o ruchach) bo jedno i drugie nie wyklucza energii zewnętrznych objawów, aniżeli z radości w smutek, w melancholię. U p. Modrze-

jewskiej panuje najzupełniejsza harmonia między ruchem a słowem. Niepospolita to zaleta!

Mówiąc o ruchach, i w ogóle o, zewnętrznej prezencji, niepodobna nie mówić o Maryi Stuart, w której p. Modrzejewska wystąpiła kilkakrotnie. Rola ta ze względu właśnie prezencji, zewnętrznego efektu, zwać się może prawdziwem studyum, gdyż szczebluje najrozmaitsze odcienia z ludźmi najrozmaitszego stanu, a zarazem nakazuje stanowczo zapomnieć o formach zachowania się choćby najlepszych, do których kobieta w prywatnem życiu przywykła. Oko musi to pilnować ręki, ręka mowy, słuch akcentu, ażeby nie był raz za szorstki, za wybitny, drugi raz za miękki, za słodki. Marya Stuart, jakkolwiek więziona i gnębiona, powinna zawsze pamiętać o różnicy w przemówieniu do swych sług wiernych, a do swych sędziów, i do swęj rywalki Elżbiety. Odcienia te muszą być kunsztownie odznaczone, jeżeli artystka nie chce pozbawić Maryi Stuart królewskiego złudzenia. Pani Modrzejewska wyszła zwycięzko z tęg próby, wyjąwszy w akcie pierwszym. Tutaj nie nadawał się jęj ton, który nie tylko że był zbyt deklamacyjny, ale nadto raził popospolitością. Tak nie mogła mówić Marya Stuart, której charakter historycznie najdokładniej znamy. Była to kobieta namiętna, promienna, dumna, poświęcająca choćby życie w tęg chwili dla pognębienia swego wroga, unikająca się obchodzić majestatycznie z tymi, z którymi chciała, bo do tego majestatu przywykła na wykwintnym i rycerskim dworze francuzkim. Nie potrzebuje więc *przybierać* tonu, płynie on jęj naturalnie z piersi. W to więc potrzeba utracić artystce koniecznie. Nie pochwalamy tęg w tym akcie zbyt długiego nudzenia na jednem miejscu: zakrawa to na przymus.

Idąc systematycznym porządkiem, musimy pomówić o sposobach p. Modrzejewskiej, wyrażania uczuć i odmiennego stanu umysłu. Mamy tu na uwadze trzy przeważnie role dramatyczne, w „Adryannie Lecouvreur, Maryi Stuart,” i w „Pojęciach pani Aubray,” czyli uczucie miłości, stan obłąkania i konanie.

W miłości ukazuje się człowiek tak przejęty jeduëm uczuciem dla osoby drugiej, iż dla nięj poświęca całą swoją istotę. Musi przeto w grze głos, spojrzenie i cały pojaw zewnętrzny dać nam tego dowód. Artysta musi ten niewyczerpany dar tak ucieleśnić, iżby widz uznał stanu tego potęgę. Najtrudniejszym więc momentem uwydatnienia będzie: chwila zakochania się, i zwiększenia się tęg miłości, bo potrzeba koniecznie widza przekonać, że ta miłość jest prawdziwą. Prawda, że gdy artystce brak tutaj przymiotów naturalnych, tam najtrudniej zastąpić je sztuką, dlategogo tak trudno o dobrych amantów. Głos przedewszystkiem musi brzmieć metalicznie, a z nim skojarzyć się musi powab całej postaci i ruchy. Tylko w ten sposób da się miłość wyrazić poetycznie, tylko w ten sposób można uzewnętrznić wszystko zmysłowe i nadzmysłowe, co zawarte w miłości. Jeżeli gdzie, to chyba tu jedynie pożądać trzeba inspiracyi, bo sama

sztuka staje się tu bezwładną. Potrzeba *przemawiać do serca*, bo żadne z uczuć nie leży tyle w naturze ludzkiej, ile miłość. Wolimy przeto gdy artysta w objawach miłości nawet trochę przesadzi, aniżeli gdy ze się tak wyrażę, nie dosadzi, bo w pierwszym razie rozumiemy ten przelew natężenia, gdy przeciwnie w drugim, odstręcza nas szorstka surowość usiłująca się nagiąć niezgrabnie.

P. Modrzejewskiej postawa, uroda, głos i w ogóle niezwyyczajny wdzięk, łączą się w jedno ażeby wydać pieśń miłości nie tylko słowiczej i gruchającej (Adryanna Lecouvreur bajka o gołąbkach) ale i namiętnie zazdrośnej (Adryanna akt IV) i rozpaczliwie szalonej (Adryanna akt V), i głębokiej choć tajonej (Pojęcia pani Aubray) i nakoniec ostatniej rezygnacyjnej (Marya Stuart, miłość do Lejcestra). Te rozmaite odcienia miłości, owiane są technieniem smutku. Każdy z nich jest wynikiem walki, przebytego cierpienia, żaden nie uląkł się na dnie serca pod dobroczynnym słońcem spokojnego uśmiechu, jak np. miłość Anieli w Ślubach Panieńskich.

Cała koloratura zawarta w tych niepodobnych do siebie przemianach jednego i tego samego uczucia: co zaś przedewszystkiem cenić trzeba, to ową szczerotę porwy, która tak działa na widza, że ten wierzyć może i wierzyć musi, iż to jest miłość prawdziwa, mimo że poetyczna. P. Modrzejewska, której organizacya dziwnie przypadła do wyrażania tego najtrudniejszego uczucia, jest w możności wyrugowania z każdej sceny ekliwy sentymentalizm, ów fałsz uczucia, budzący wstręt tylko zamiast wzruszenia.

Moment zwiększania się miłości staje się w jej grze widocznym: doświadczyliśmy tego w Adryannie Lecouvreur w scenie ratowania księżnej de Bouillon, w której poświęcenie dla kochanka, walczy z zazdrością i nienawiścią nieznaną rywalki. Księżna odzywa się o Maurycym de Saxe poufale, jak o najserdeczniejszym kochanku; rani to serce wiernej Adrianny, więc w eksplikacyi jaka zaszła między dwiema kobietami, wyrwa się jej z piersi okrzyk: „i ja go kocham;” a w tym wykrzyku słyszy się wszystko co dyktuje boleść, szal miłosny, świeża zazdrość i świeżo wylęglą nienawiść. Jedno słowo tak wypowiedziane, oświeca cały charakter.

Toż samo uczucie w komedyi, zachowując źródło swe czyście i głębokie, płynie jednak innym już korytem. Skrzywienie ust bolesne, niepokój migotający się w oczach, krok gorączkowy, wykrzyk namiętny i gwałtowny, zastępują: uśmiech błogięj ufności, ruchy pewne, głos zdradzający czasem tylko drżeniem, wewnętrzne wzruszenie. Kobieta kocha, ale bohaterem jej wyobraźni, panem jej uczuć nie żaden wielki wojownik, nie sławny dworak, lecz równy jej towarzyskiem stanowiskiem, pojęciami i umysłem. Już ta odmiennosć osób przeistacza twórczosć artysty, tém bardziej gdy samo pojęcie miłości na zupełnie

innych kształtowało się warunkach. Miłość Anieli w „Ślubach panięńskich,” to takie uczucie ciche, spokojne a głębokie, takie rzewne a rodzime, takie dziewicze a niezwykle, że się potrzeba z nié m obejść jak z przezroczystą puszkową powłoką, którą lada niesforny wietrzyk odmuchié, nie zostawiając i śladu pierwotnej przejrzystości. Anieli, naturalnie w grze pani Modrzejewskiej, kocha Gustawa, tego wietrznika i bafamuta, psotnika i figlarza, kocha go od razu, ale długo czekać trzeba, zanim mu to wypowie. Boi się czaru spływającego z niego na nią, więc się zbroi pancerzem obojętnego spokoju, który nie a nie nie traci emancypacją kobiety wyższej, pewnej siebie. Przeciwnie, jest to strach gołąbka, zastaniającego się skrzydełkami instynktownie. Gołąbek wychyla ciekawie główkę i radby frunąć w szerokie przestworze, gdzie go nęci śpiew towarzysza i mozaika kwiatów, ale rozumniejszy bracişzek zagroził mu niebezpieczeństwem, nie oznaczając wszakże jakiego ono gatunku. Lęka się więc gołąbek niebezpieczeństwa, choć nie wie na czém się ono zasadza; aż nie mogąc dłużej słuhać gnuśnie śpiewu za gniazdkiem, gardzi przestrogą, i wypuszcza skrzydełka do lotu. Taka mniej więcej historia miłości Anieli, tak téż jak nam się zdaje, pojęła ją p. Modrzejewska. O wykonaniu mowić nie potrzebuje, bo jestem aż nadto pewny, że rola ta pozostanie na zawsze w jej repertoarze jako dowód niepospolitej twórczości.

Obłąkanie jako stan duszy niezwyčajny, może być o tyle tylko użyte w dramatycznej poezyi, o ile jest następstwem gwałtownych wstrząśnięć i straszliwych wydarzeń. Im silnieć zranione zostało serce człowieka, im natarczywieć działają niszczące potęgi którym się człowiek oprzeć nie może, tém większe sprawia wrażenie obłąkanie, bo widz konieczność jego w tym razie doskonale sobie tłumaczy. Dlatego obłąkanie Ofelii nie wydaje się przesadném, lecz owszem na wskroś przeszywa. Straciła wszystkie swe złudzenia które pokładała w Hamlecie jako kochanku i jako człowieku, straciła ojca zabitego ręką tegoż kochanka, musiała przeto postradać zmysły, bo dusza jej nie mogła już pogodzić się z światem tego porządkiem. Zdawałoby się, że obłąkanie jako brak reguł zdrowego rozsądku, a więc jako nie kierujące się w rzeczywistości jakimibądź przepisami, nie potrzebuje ich i w scenicznym przedstawieniu, lecz tak nie jest: w grze aktora intonacja głosu i ruchy, jeżeli chcą dać obraz szaleństwa, muszą się warunkować według umiejętnych reguł. Aktor musi technąć w kreację swoją jakiś ton odrębny, a przecieć zasadniczy, któryby wytworzył uderzający kontrast ze stanem normalnym. Ofelia np. dziecięcym swém i naiwném szczebiotaniem, jakiś straszny tworzy kontrast z przecierpianiami przygodami! Ten kontrast właśnie przenika i wstrząsa.

Wspominaliśmy, że rola Adryanny Lecouvreur była napisaną na popis dla pani Rachel. Aktorka miała zdać egzamin z najróżnorodniejszych uczuć, a egzamin taki musi wypaść świetnie,

gdyż czerpać go trzeba było z samego siebie, nie z całości dramatu, nie przedstawiającego wielkiego psychicznego obrazu. Obląkanie Lira i Ofelii, jest tak potężnie przez poetę narysowanym obrazem, że aktor potrzebuje tylko poetę zrozumieć i materialnie uzewnętrznić; przeciwnie obląkanie Adryanny, jeżeli nie poparte wysoką grą aktorki, przejdzie bez wrażenia a nawet może wywoła niesmak, bo obląkania nie przygotował artystycznie poeta. Nie widzieliśmy wprawdzie pani Modrzejewskiej w Ofelii, którą grała na innych scenach, ale widząc ją w Adryannie, przyznać musimy uadzwyczajną intuicję, i wielce artystyczne przyłożenie się do dzieła. Nigdzie może ile w tej roli i w roli Anieli nie dowiodła prawdziwej twórczości. Wyraz twarzy, oczu, poruszenia, modulacja głosu, były to wszystko promienie z jednego wystrzelającego ogniska, przerażając widzów demonicznym odbłyśkiem. W rzeczywistości życia obląkanie, choćby sekundę w takim stopniu, umrzeć musi, więc przyjrzyjmy się konaniu Adryanny.

Śmierć w poezji powinna zawsze tak być przedstawioną, żeby się wydawała tryumfem ducha nad ciałem. Sama fizyczna strona śmierci nie może być przedmiotem piękna, więc i aktor nie powinien silić się na uzmysłowienie fizycznej niemocy i obumarcia; przeciwnie, zawsze niechaj tak rolę swą oddaje, iżby zwycięstwo ducha nad powłoką cielesną było widocznym. Wszakże proste nawet zemdleńie, powinno być uwydatnieniem następstwa boleści moralnej, pod której ciężarem ciało ugiąć się musiało. Uwidocznienie spazmów śmiertelnych, przekrzywian, konwulsyi i drgnień przedśmiertnych, nigdy chwalić się nie może, bo już najdawniejsi estetycy zalecali sceniczne przedstawienie śmierci takiej, jakiej sobie człowiek życzyć może, a nie takiej jaką jest w rzeczywistości. Niektórzy aktorzy mają inne w tej mierze pojęcia, naszym zdaniem najfałszywsze i wcale nie estetyczne: między innymi pani Ristori. Artystka ta w sztuce Pia di Ptolomei kończy jako bohaterka suchotniczą śmiercią. Pomijając że się nam nie wylaże nader szczęśliwą inwencją, gdy bohater umiera na suchoty, niepodobna się przecież zgodzić iżby aktor pomysł ten autorski uzupełnił szczegółkami suchotniczymi zapożyczonemi w pierwszym lepszym szpitalu. Pani Ristori kaszlała, spluwała, chwytła się za piersi, wykrzykiwała w tak przestraszający lubo najrzeczywistszy sposób, że widz zapominał o przyczynie moralnej tych suchot, a tylko ubolewał medycznie nad samymi objawami tej nieuleczonej choroby. To nie jest natura, to jest realizm najzwyczajniejszego życia, budzący raczej wstręt i obrzydzenie. Sztuka wymaga bezwarunkowo idealności formy. Aktor konający na scenie, winien zadowolnić zmysł piastyczny widza. Kiedy pada na ziemię, powinien paść tak jak pada człowiek śmierci blizki, aby ruchy jego zadowolniły oko pożądające zawsze piękna, i byle widz nie dojrzał w tém padaniu, rozmysłu aktora. Traci się bowiem całe złudzenie, gdy aktor w takiej chwili zdradza się wyuczonym ruchem.

Murzyn aktor Ira Aldridge, sławny był z plastycznego przedstawiania form konania. W Otellu, pada jak cedr wspaniały, którego piorun samego Boga, powalił na ziemię. Trzeba więc umieć połączyć prawdę takiego momentu z idealnością, która jak wszędzie w sztuce, tak i tu niezbędną jest i konieczną.

W każdym razie, czy bohater sam śmierć sobie zadaje czy ginie zdradą innych, w chwili przedśmiertnej ma uzewnętrznić wyswobodzenie się ducha z pętów materji; ból fizyczny nie powinien zwracać wyłącznej uwagi widza, ale cel całego życia, myśl ostatnia czy uczucie, które mu świeciło przewodnią gwiazdą.

Adryanna Lecouvreur w scenie obłąkania poprzedzającej konanie, odtwarza całą swą przeszłość świetnego zawodu aktorki, jakoteż ostatnie miłości swój marzenia. Obłąkanie to jest chwilo-we, bo jest następstwem działania trucizny, więc też odzyskuje ona przytomność i świadomość swego stanu: wie, że umrzeć musi. Z chwilą odzyskaną przytomności, poznaje zarazem dwóch ludzi, których najbardziej kochała na tym świecie: Michonneta przewodnika swego na scenie i przyjaciela, i hrabiego Maurycego, przedmiotu miłości, dla którego a raczej przez którego śmierć teraz ponosi. Poznanie to wyrywa z piersi jej rozdzierający krzyk rozpacz, bo żyćby teraz chciała, czując się kochaną, ale jad trucizny przypomina jej nieubłaganą śmierć. Patrzy więc, z miłością, żalem i rezygnacją na swego Maurycego, patrzy jakby chciała przelać w niego wspomnienie wszystkich cierpień, i tej ostatecznej chwili kończącej się na progu tajemniczego zagrobowego świata. Wie że umrze, lecz wie że on ją kocha, i wierzy że z ostatnim tchem nie kończy się wszystko tutaj.

Artystka uzewnętrzniwszy w ten sposób widzowi charakter Adryanny, nie będzie się już obliczać z ilością jęków, śmiertelnych podrygów, roztwierania oczu i tym podobnych sztuczek, praktykowanych przez rutynistki. Sytuacja tak zrozumiana, podyktuje jej środki w drodze naturalnej, nie będzie ich ani za wiele, ani za mało; lecz tyle ile potrzeba do odtworzenia prawdy, która stanowi zarazem piękno.

Mieliśmy tego żywy dowód na pani Modrzejewskiej. Po przepysznie oddanej przez siebie scenie obłąkania, wykonała moment konania z prawdą, budzącą głębokie uczucie litości, i z wdziękiem plastycznych kształtów, otaczającym aureolą zgasłą bohaterkę.

Na tém kończymy uwagi nasze co do osobistości i ogólnej gry p. Modrzejewskiej; rozbiór szczegółowy gry jej w pojedynczych sztukach zostawiamy na później, tém bardziej że artystka ta wystąpić ma jeszcze: w Narcyzie Rameau, w Więzach komedyi Scribego i w niektórych scenach Szekspirowskich tragedji. Utwory te nastroczają niemały masy.

Edward Lubowski.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Listopad 1868 r. — Oddawna czuć się u nas dawał brak pisma peryodycznego poświęconego wyłącznie nauce prawa. Pojedyncze artykuły prawne w Bibliotece i innych pismach zamieszczane nie mogły zaspokoić tej potrzeby. Praktyka nasza sądowa w takim nawale przepisów prawa rozwijająca się, wymaga wszechstronnych spostrzeżeń i uwag, wymaga pracy naukowej zdolnych prawników, którzyby strzegli już wyrobionych zasad i wszelkie wątpliwości starannie i sumiennie wyjaśniali dla osiągnięcia tego zbawienia społeczności, które się sprawiedliwością nazywa. Do takiego zawodu zjawilo się od dwóch miesięcy pismo peryodyczne pod tytułem: *Przegląd Sądowy*; pismo poświęcone teorii i praktyce prawa, które postanowiło przemawiać do swych czytelników w wykładzie popularno-naukowym. Wszelkie podręczniki prawne uczące nieznających prawa, obowiązków formalności, aktów i t. p. w rozmaitych wypadkach życia są bardzo użyteczne i pożądane. Lecz dla wyjaśnienia komplikacji praw i stosunków niepodobna aby *Przegląd Sądowy* mógł się ograniczyć na samym wykładzie popularnym i chcąc niechcąc musi przemawiać językiem i formą, które są własnością wtajemniczonych w tę naukę.

Przegląd wychodzi zeszytami miesięcznymi od d. 1 października. Redakcją składają pp. Chwalibóg Hippolit, Flamm Filip, Hube Karol, Jabłoński Alexander, Linowski Roman, Maciejowski Franciszek, Machczyński Konrad, Muszyński Alfons, Nowakowski Władysław, Okolski Antoni, Okęcki Władysław, Prokopowicz Wincenty i Radgowski Antoni.

Dotąd wyszły dwa zeszyty *Przeglądu*. Zeszyt za *Październik* obejmuje: Przedmowę od Redakcyi. — Głos Naczelnego Prokuratora IX Departamentu Rządzącego Senatu miany d. 1 (13) września 1868 r. — O lichwie przez Wincentego Prokopowicza. — Wnio-

ski pomocnika naczelnego Prokuratora IX Departamentu Rządzącego Senatu w sprawie Prokuratoryi przeciwko sukcesorom Kiewliczów.—Kronika Sądowa: Co znaczy w pobocznych spadkach majoratów, linia najbliższa.—Wiadomości bieżące.—Zeszyt za *Listopad* obejmuje: Głos Naczelnego Prokuratora IX Departamentu Rządzącego Senatu z d. 2 (14) września 1868 r. z powodu otwarcia po feryach posiedzeń sądowych.—O lichwie przez Wiu. Prokopowicza (ciąg dalszy).—Kilka uwag nad prawami żon w upadłościach przez A. M.—Czy prawo z d. 24 czerwca 1811 r. o szacowaniu dóbr nieruchomości, w drodze przymusowego wywłaszczenia stosuje się do nieruchomości miejskich, przez W. N.—Wypadki zastosowania prawa o listach likwidacyjnych przez R. S.—Jurisprudencya kryminalna senatu z lat 1842—1847 przez K. M.—Kronika sądowa zagraniczna i krajowa.—Spostrzeżenia prawodawcze na ogólnem posiedzeniu IX Departamentu Rządzącego Senatu z d. 26 czerwca (8 lipca) 1843 r. uczynione przez H. Ch.—Wiadomości bieżące.

Prenumerata roczna rs. 8, pocztowa rs. 9; a w tym stosunku półroczna i kwartalna. Redakcyja Przeglądu Sądowego przy ulicy Nowolipki Nr. 2466.

— W początkach b. m. na odbytym posiedzeniu w Szkole Głównej Warszawskiej, wybrany został na rektora szkoły na dalszą kadencję, dotychczasowy rektor R. R. Stanu Józef Mianowski. Na témże posiedzeniu, całe zgromadzenie dziekanów i profesorów, pod przewodnictwem rektora, żegnało opuszczającego służbę z powodu wysłużonych lat, zasłużonego profesora wydziału Prawa i Administracyi R. R. St. Franciszka Maciejowskiego, znanego światu naukowemu z licznych prac na polu literatury prawnej.

— Dzieło zbiorowe na pamiątkę pięćdziesięcioletniego istnienia Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego, zaproponowane (jakeśmy o tém w swoim czasie donosili) przez profesora Girsztowta, według protokołu zamieszczonego w najnowszym zeszycie *Pamiętnika Towarzystwa* będzie wypracowane przez następujących członków: Szokalski napisze historiją Towarzystwa, jego oddziałów i życiorysy zmarłych członków od r. 1820; Girsztowt ocenienie prac dokonanych na polu chirurgii i sifilografii; Jodko ocenienie prac z dziedziny okulistyki; Fudakowski ocenienie prac z zakresu fizyologii; Brodowski sprawozdanie z rzeczy traktujących o anatomii patologicznej; Dobieszewski opisanie instytucyi kassy wsparcia; Nowakowski historiją *Pamiętnika* przez lat 31 i skoro-

widz z pierwszych lat 10-ciu. Pieniądze na pokrycie wydawnictwa tego dzieła, równie jak na wybicie medalu pamiątkowego, mają się zebrać ze składek Towarzystwa.

— Jeden z pierwszych malarzy naszych, Juliusz Kossak, wykończył akwarellowy obraz przedstawiający rozbiecie pod Custozą czworoboku bersaglierów włoskich przez pułk ułanów. Jak *Gazeta Warszawska* pisze, artysta ten wyjeżdżał do Galicyi, celem zdjęcia na miejscu szkiców i portretów do pomieionego obrazu, który zamówionym został dla hrabiego Trani brata byłego króla neapolitańskiego. Jestto akwarella wielkich rozmiarów, mająca do 60 cali długości a 32 szerokości. Po lewej stronie widzimy uszykowany blisko rozłożystego drzewa czworobok bersaglierów, z grupą tyralierów na przodzie, przyjmujący morderczym ogniem wrębujących się w jego szeregi ułanów. W głębi widać Villafrańca i inny szwadron ułanów, odpierający jazdę piemoneką.

— Nakładem księgarni Alexandra Szleifszteina wyszły dwie komedye: 1) *Ciężka próba*. 2) *O chlebie i wodzie*, grywane na teatrze Rozmaitości, obie w przekładzie polskim Juliana Miłkowskiego.

— *Lwów*. (Z listu): „Chociaż zwolna rozwija się u nas ruch umysłowy: zwrócono pilnie uwagę na potrzebę naglącą co do książek szkolnych, i w tym przedmiocie wiele już zrobiono, gdy na szczęście nie zabrakło gorliwych współpracowników. Szereg ich niemały podaję szczegółowo, a wszystkie niemal wyszły nakładem Karola Wilda księgarza, jednego z najczynniejszych w Galicyi wydawców: *Gramatyka łacińska* Dr. M. Meiringa dla średnich i wyższych klas gimnazyalnych na podstawie języka polskiego opracowana, przez Ignacego Zuamirowskiego profesora gimnazyalnego; *Gramatyka łacińska* dla szkół gimnazyalnych przez Stanisława Sobieskiego. Drugie poprawne wydanie. 1868 (Na karcie tytułowej czytamy: „Tłumaczenie na inne języki słowiańskie zastrzega sobie autor podług ustaw prasowych”); *Słownik polsko-łaciński* przez ks. A. Bielikowicza, 2 tomy; Stanisława Sobieskiego *Cwiczenia łacińskie* zastosowane do Gramatyki tegoż autora; *Cwiczenia łacińskie* na pierwszą klasę szkół gimnazyalnych, zastosowane do Gramatyki łacińskiej Poplińskiego przez Trzaskowskiego; *Gramatyka języka greckiego* Dr. Jerzego Curtiusa, podług ósmego wydania niemieckiego, opracowali Tomasz Sternal i Zygmunt Samolewicz. Wydanie przez autora upoważnione; *Cwiczenia greckie* Dr. K. Schenkla na klasę 3 i 4tą szkół gimnazyalnych; z szóstego wydania niemieckiego na język polski przłożył prof. Z. Samolewicz; Dr

K. Schenkla *Chrestomatya* z pism Xenofonta (z *Cyropedyi*, *Anabasis*, i pamiętników o Sokratesie), z przypiskami i słowniczkiem na 5 klasę gimnazyalną, do języka polskiego zastosował prof. St. Borzewski; *Oblężenie Troi*, opowiadanie z dziejów starożytnych dla młodzieży. Wolny przekład z niemieckiego K. F. Beckera, z 5 mieźziorytami; *Powrót Ulissesa do Itaki*, opowiadanie z dziejów starożytnych dla młodzieży, wolny przekład z niemieckiego K. F. Beckera z 5 mieźziorytami; *Geometrya* dla klas wyższych gimnazyalnych napisana przez Dra Franciszka Moćnika. Z ósmego wydania niemieckiego przełożył i uzupełnił Dr. Tomasz Stanecki, z 350 drzeworytami w tekście. Lwów 1869. (sic); Dr. Franciszka Moćnik: *Początki Geometrii sposobem umysławiającym wyłożone*, według siódmego wydania niemieckiego przełożył prof. Dr. Sternal; *Szkoły techniczne*. Myśl odpowiedniego urzędzenia szkół technicznych, z pozbieranych doświadczeń i własnych spostrzeżeń osnuł Dr. Rudolf Gunsberg. Nakładem autora. Lwów 1868 r. (Jest to sprawozdanie dla Rady miasta Lwowa). Zakład imienia Ossolińskich we Lwowie, stosownie do woli założyciela, przechodzi pod zarząd właściwego kuratora księcia Jerzego Lubomirskiego. Pismo *Biblioteka Ossolińskich*, pod redakcją dyrektora zakładu Augusta Bielowskiego wychodzące, i odznaczające się doborem i wysoką wartością artykułów, będzie i nadal prowadzone. Dnia 12 października r. b. odbyło się zwykle coroczne posiedzenie, ku uczczeniu pamięci założyciela. Znakomity malarz Tępa otworzył ze swych obrazów wystawę na dochód pogorzelców miasta Stanisławowa, które dotknięte straszną klęską ognia, prawie całe spłonęło. Na wystawie tej uderza szczególniej portret zgasłego w kwiecie wieku malarza Grotgera, i typowe postacie galicyjskiego ludu. Pojawił się niepośledniego talentu młody komedyo-pisarz Władysław Wróblewski. Sztuka przedstawiona na naszej scenie p. n. *Dwie Zosie*. zapowiada, że wkrótce może stanąć pomiędzy pierwszymi dramatycznymi pisarzami. Konkurs dramatyczny rozpisany we Lwowie przez komitet zajmujący się wybiciem medalu na cześć hr. Fredry, został rozstrzygnięty w d. 7 b. m. Nadesłanych sztuk, między któremi były dramata, tragedye i komedye wierszem i prozą, było 26. Wybór ważył się między dwiema lub trzema, a mianowicie między tragedya p. t. „Powstanie w Dalekarly” dramatem p. t. „Żyd,” i tragedya p. t. „Tarło.” Nagrodę otrzymał ostatecznie większością głosów „Żyd” dramat w pięciu aktach prozą pióra Ed. Lubowskiego. Po załatwieniu tej sprawy, komitet uchwalił na wniosek p. Mi-

łaszewskiego pozostać nadal w swym składzie i zająć się wystawieniem pomnika ku uczczeniu położonych dla sceny zasług ś. p. Jana Nep. Kamińskiego, na który to cel znajduje się już znaczna summa zebrana tak z przedstawienia danego przez dawniejszą dyrekcję teatru polskiego, jako też z różnych składek. Pieniądze te leżą częścią w kasie oszczędności, częścią w ręku prywatnym. Na pozostałe koszta ofiarował się dać p. Miłaszewski jedno przedstawienie w przyszłym miesiącu. Projekt pomnika nastąpi drogą konkursu."

— Jan Nepomucen Steczkowski wydał: „Dydaktyka, czyli umiejętność nauczania ułożona dla użytku nauczycieli, nauczycielek i kandydatów stanu nauczycielskiego.” Trzecia edycja. Jasło 1868.

— Wyszły z pod prassy: „Odczyty popularne z nauk przyrodniczych i ekonomii społecznej, dla rzemieślników i przemysłowców, wykładane we Lwowie za staraniem stowarzyszenia wzajemnej pomocy samodzielnych rękodzielników. Według stenogramu uczniów szkoły L. Olewińskiego Lwów. Rok I. (14 odczytów z 43 drzeworytami).

— Do badań etnograficznych, należy nieznanne u nas dotąd, jakkolwiek wyszło przed dwoma laty dzieło ks. Sadok Barącza: „Bajki, fraszki, podania, przysłowia i pieśni na Rusi” (w See, str. 248). Tarnopol 1866.

— W dużym tomie o 498 stronnicach, wyszedł zawczasie zgasłego Waleryana Łozińskiego zbiór *Pism pomniejszych*. Mieszczą się tu drobne powieści, a w końcu zamieszczony życiorys autora.

— W Nrze 251 Gazety Warszawskiej w korespondencji z Paryża, czytamy zajmujący ustęp o przedajności tamtejszych dzienników: „Chodzi o to (pisze korespondent) czy dziennikarzem wolno brać łapowe?—Pewna asocjacja akcyjna dała powód do procesu pomiędzy dyrekcją a akcyonaryuszami. Racja podobno była po stronie akcyonaryuszów, a prawo po stronie dyrekcji; ale to nie należy do rzeczy. Z toku procesu pokazało się, że głową dyrektor, rozwiązując stowarzyszenie, zapewnił sobie poparcie dwóch dzienników i każdemu z nich wyliczył po 20 tysięcy franków. Rzecz ta, gdy światków badało, wytoczyła się przed kratkami sądowniemi, jako prosta wzmianka. Dziennikarzy nie pociągnięto do odpowiedzialności, bo pociągając ich nie było można. W kodeksach prawnych nie masz artykułu wyznaczającego karę na redaktora sprzedającego swoje pióro. Lecz proku-

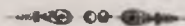
rator skorzystał z tej okazji i napiętnował dziennikarstwo stygmatem spodlenia, zwracając swoje słowa szczególnie do dwóch pism, mających wziętość i przechwalających się niepodległością zdania. Ztąd wywiązała się zwawa polemika. Pisma napiętnowane ujęły się za sobą i dowodziły, że „ksiądz żyje z ołtarza,” że kapłaństwu pisanego słowa bynajmniej to nie ubliża, jeżeli redaktor gazety weźmie wynagrodzenie od potrzebującego jego pomocy, że nakoniec redaktor, tak samo jak pan prokurator, potrzebuje żyć *avant tout*. Prokurator, naturalnie, wypowiedział swój zdanie w obec sądu, w polemice udziału nie brał. Lecz podjęły ją inne dzienniki, mianowicie angielskie i w jednym z tych ostatnich znalazłem tej sprawy ocenienie przypadające do mego przekonania. Oto summaryczna treść tego ocenienia: Dziennikarz pod żadnym pozorem ani pretekstem, ani z żadnego powodu łapowego brać nie może; lepiej z głodu zdechnąć (dosłowne wyrażenie); bo chociażby usługa, jakiej od niego żądają, odnosiła się do sprawy pieniężnie najuczciwszej i najsprawiedliwszej, zapłata ciąży na jego rozumowaniu i krępuje swobodę konkluzji. Zdarza się często, że rzecz prywatna, uczciwa i sprawiedliwa sama przez się nie zgadza się z jego przekonaniem. W takim razie musi przekonanie nałamywać—wziął za to pieniądze—i samemu sobie kłamać. Prassa jest dla niego ołtarzem, z którego żyje—to prawda; lecz ołtarz ten podtrzymują nie ci, co partykularnie usług jego potrzebują, ale publiczność cała, społeczeństwo, do którego i dla którego przemawia. Do życia ma prenumeratę, z dodatkiem afiszów i anonsów; po za tem nie należy się mu nic, i cokolwiek ze strony do kieszeni jego wpłynęło, jako datek od prywatnych, jest zapłatą... za... sprzedajność.”

† Dnia 30 października r. b. umarł w Warszawie w 29 roku życia Mściśław Kamiński, młody a pełen nadziei pisarz. Zasiłał on swemi pracami wszystkie nasze pisma czasowe, osiadłszy od r. 1866 stale w Warszawie. Tygodnik *Illustrowany* (w Nr. 46) podał obszerny jego życiorys wraz z wizerunkiem, skreślony przez Wincentego Korotyńskiego, wychowawca i przyjaciela Władysława Syrokomli.

Dnia 16 listopada r. b. zakończył życie w Warszawie Samuel Orgelbrand w 58 roku życia, księgarz wydawca, obywatel naszego miasta i właściciel jednej z największych drukarni. Był to jeden z najwięcej przedsiębiorczych księgarzy; a licznym wydawnictwem dzieł rozmaitej treści, niemało się przyczynił do obudzenia życia literackiego. Zakończył swój zawód pomnikowem dziełem *Encyklopedyi powszechnej*, i w rok umarł po wydaniu tak olbrzymiej publikacyi, która imie jego w pamięci ogółu przechowa.

Korrespondencya.

Panu S. K. Odpowiedzi na recenzją umieszczoną w Bibliotece Warszawskiej o dziele: *Wspomnienia Padwy*, redakcya bez podpisu autora drukować nie może.



Redakcya Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Pazdziernik, 1868.

Październik, 1868.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
 długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

w Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1	☉	745.10	745.42	745.26	745.98	745.440	+11°.3	+16°.5	+19°.5	+15°.6	+15°.80
2	☉	745.90	746.08	745.50	746.75	746.058	12.7	18.3	23.2	17.3	17.88
3	☉	747.89	749.38	750.52	753.18	750.238	10.6	9.3	9.8	6.8	8.83
4	☉	753.64	754.12	753.48	755.23	754.118	6.5	8.3	10.6	7.3	8.18
5	☉	755.39	756.37	757.47	759.57	757.200	5.6	8.1	9.0	6.1	7.20
6	☉	760.76	761.20	760.80	761.21	760.868	2.5	7.9	14.0	5.4	7.45
7	☉	760.03	760.12	757.71	757.09	758.788	1.6	8.1	11.4	6.1	6.78
8	☉	755.34	755.00	753.31	753.35	754.250	2.5	9.5	13.7	6.8	8.13
9	☉	753.29	753.95	754.39	755.36	754.373	6.9	8.3	9.6	9.4	8.55
10	☉	756.72	757.74	757.52	758.08	757.515	5.0	6.9	13.5	6.3	7.93
11	☉	757.94	758.22	757.92	756.86	757.735	2.9	7.9	10.6	8.1	7.38
12	☉	756.25	756.63	756.31	756.51	756.425	6.3	10.9	11.1	7.0	8.83
13	☉	755.70	755.95	754.77	753.91	755.083	7.3	8.8	8.7	8.3	8.28
14	☉	751.75	751.72	750.72	750.77	751.240	8.7	10.4	9.6	8.3	9.25
15	☉	751.02	752.08	752.10	752.55	751.938	8.1	9.6	9.9	8.5	9.08
16	☉	751.19	751.23	750.14	749.17	750.433	7.7	10.8	11.9	8.1	9.63
17	☉	749.33	750.23	750.07	751.53	750.290	7.3	11.3	14.3	8.1	10.38
18	☉	751.97	751.41	748.05	746.88	749.578	6.3	11.8	17.1	11.4	11.65
19	☉	745.19	745.14	743.51	744.59	744.608	10.7	16.4	18.3	15.1	15.13
20	☉	743.76	743.32	742.72	741.41	742.803	13.3	17.8	15.2	14.0	16.08
21	☉	748.33	750.34	751.10	749.69	749.865	7.5	7.8	7.7	5.8	7.20
22	☉	745.52	745.19	744.60	747.72	745.758	6.3	7.9	10.7	7.3	8.05
23	☉	751.86	754.09	755.23	755.05	754.058	6.6	8.1	9.0	5.8	7.18
24	☉	752.49	752.08	749.50	747.55	750.405	6.5	8.8	9.2	8.0	8.13
25	☉	741.04	738.21	733.17	732.43	735.213	4.0	6.2	9.4	8.1	6.93
26	☉	740.11	741.87	742.77	746.58	742.833	6.5	7.3	7.1	5.8	6.68
27	☉	748.35	749.04	748.95	750.96	749.325	5.2	6.7	8.5	4.8	6.30
28	☉	752.33	754.28	754.43	754.58	753.905	2.2	3.9	5.4	3.4	3.73
29	☉	754.80	756.25	753.71	751.28	753.750	3.7	4.9	4.8	3.1	4.13
30	☉	747.22	748.38	748.02	748.31	747.983	4.4	5.8	5.8	4.2	5.05
31	☉	748.82	749.80	751.40	753.15	750.793	4.6	5.0	5.6	3.4	4.65
Sr.		750.937	751.414	750.811	751.201	751.091	+6°.49	+9°.32	+11°.11	+7°.84	+ 8.69

średnia dzienna	Wilgotność	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Ilość wo- dy do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiśle		
		6	10	4	10	6	10	4	10	dész.	śnie- gu	cm	cali	
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.			na m.p.		
86.7	pogodny	pochm.	napół pog.	napół pog.	PdZ1.	PdZ1.	Pd1.	Pd1.					1	4
78.8	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pochm.	W1.	PdW1.	Z1.	Z1.		0.2			1	3
88.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z2.	Z2.	PnZ2.	Pn1.		5.5			1	5
73.1	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	W3.					1	7
77.8	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	W2.	PdW2.	PdW3.	PdW3.					1	6
73.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW2.	PdW1.	PdW1.					1	5
66.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W1.	PdW1.	PdW2.	PdW1.					1	5
70.1	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W1.	PdW2.	PdW1.	PdW1.					1	4
91.5	pochm.	poc. desz.	poc. desz.	pochm.	Z2.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ1.		4.7			1	3
83.9	poc. mgła	pochm.	pogodny	pog. mgła	Pn1.	Pn1.	PnZ1.	PnZ1.					1	3
91.5	pog. mgła	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	PnW1.	PdW1.	W1.					1	4
88.1	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	W1.	PnW1.	PnW1.					1	4
95.2	poc. desz.	poc. desz.	poc. desz.	poc. desz.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	Pn2.		11.9			1	2
92.0	poc. desz.	pochm.	poc. desz.	pochm.	PnW1.	PdW1.	PdW1.	W1.		6.5			1	4
91.9	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	PdZ1.	PnZ1.					1	5
85.2	pochm.	pogodny	pochm.	pogodny	PdW1.	PdW1.	Pd1.	Pd1.					1	2
83.0	pochm.	pog. z ch.	pog. z ch.	pogodny	Pd1.	Pd2.	Pd1.	Pd1.					1	3
84.8	napół pog.	napół pog.	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.					1	4
77.7	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	PdW2.	PdW2.	PdW1.	PdW1.					1	4
86.5	pochm.	napół pog.	poc. desz.	poc. desz.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.		11.1			1	5
82.6	pochm.	pochm.	pochm.	poc. desz.	PdZ3.	PdZ2.	PnZ1.	Pn1.		4.8			1	5
96.2	poc. d. mg.	poc. desz.	pog. mgła.	pochm.	Pn1.	Pn1.	PnZ1.	Z2.		14.5			1	5
89.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	Pd1.		0.8			1	5
87.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdZ1.					1	5
84.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd2.	Pd2.	PdZ3.	Z4.		8.2			1	5
80.8	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	Z2.	Z2.	Z1.	Z2.		2.6			1	6
88.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ2.	PdZ1.		0.9			1	5
89.2	pogodny	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z2.	PdZ1.	PdZ1.					1	6
88.7	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	Pd2.					1	7
83.9	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	PdZ2.	PdZ2.	PdZ2.	PdZ2.		1.7			1	10
92.4	pochm.	poc. desz.	pochm.	pochm.	PdZ2.	Z2.	Z2.	Z1.		2.4			1	10
84.7										75.2			1	4.9

	m.	°.	L
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.091	27	8.955
Najwyżej barometr dochodził d. 6 o g. 10 wiecz.	761.21	28	1.441
Najniżej — — d. 25 o g. 10 wiecz.	732.43	27	0.678
Średnia dzienna zmiana barometru	3.792		1.681
Największa dzienna zmiana barometru d. 24—25 o godz. 4 po poł.	16.33		7.239
Średnia wysokość barometru jest większa o 0.008 od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	751.083	27	8.951
Średnia temperatura październikowa wynosi	+ 8 ^o .89 C.	+	6 ^o .95 R
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.05		1.64
Największa zmiana dzienna temperatury d. 2—3 o godz. 4 po poł.	13.6		10.9
Średnia temperatura sierpnia jest większa o 0.49 od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	+ 8.20	+	6.56

Termometrograf wskazał: Maximum: + 24^o.4 C. = + 19^o.5 R. d. 2 po poł.
Minimum: + 1.1 „ = + 0.9 „ d. 4 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 84.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 7.65 gramów na jednym mierz sześciennej powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 0.7 setnych od normalnej (85.4).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 75.2 mil. czyli 33.34 lin. par.; więcej o 27.2 mil. czyli 12.06 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w październiku spada (48.0 mil. czyli 21.28 lin. par.).

Dni pogodnych 5, napółpogodnych 5, pochmurnych 21.

— deszczu 14: (d. 2, 3, 9, 13, 14, od 20 do 23, 25, 26, 27, 30 i 31).

— mgły 3: (d. 1, 10 i 11).

— wichrów 3: (d. 21 PdZ., d. 25 i 26 Z.).

Wiatr panujący południowo-wschodni.

Październik b. r. był napółpogodny, dość suchy i ciepły. Średnia jego temperatura jest + 7,0 stop. R. o 0,4 stop. R. wyższa od normalnej (6,6 stop R.) a o tyleż jak w r. z. Po pierwszych dwóch dniach miesiąca niezwykle ciepłych, powietrze tak nagle się oziębiło, że średnia temperatura dzienna z d. 2 na 3 zniżyła się 7,2 stop. R., przez parę tygodni potem powietrze było jednostajnie łagodne i około d. 20 dość znacznie ocieplać się zaczęło, aż znowu z d. 20 na 21 przy zmianie wiatru południowo-wschodniego na południowo-zachodni i obfitym spadku deszczu, temperatura nagle opadła i już do końca miesiąca dni były chłodne, wilgotne i słotne. Największa zmiana dzienna temperatury 10,9 stop R. przypadła z d. 2 na 3 o godz. 4 po południu. Stan barometru w pierwszej połowie miesiąca był dość wysoki, w drugiej w ogóle niski i bardzo zmienny; największa jego zmiana dzienna 7,24 lin. pa. przypadła z d. 24 na 25 gdy księżyc był najdalej od ziemi. Deszcze padały często, szczególnie w drugiej połowie miesiąca. Dni deszczu było 14 o 3 więcej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten mniej był pogodny, jak zwykle. Stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 5,5 : 9,4 : 16,1 gdy w b. r. tenże stosunek jest jak: 5 : 5 : 21. Wiatr panujący był południowo-wschodni, często także wiał zachodni i południowo-zachodni.

D. 15 i 18 obserwowano plamy na słońcu.

D. 29 dwa koła współśrodkowe białe otaczały księżyc.

D. 6 ukazała się w Paryżu tęcza księżycowa i trwała przeszło 2 min.

Tegoż dnia w Nikolajewie padał pierwszy śnieg.

D. 8 rozpoczął się nowy wybuch Wezuwiusza, z podziemnym hukiem i lekkim wstrząśnieniem ziemi.

D. 19 w Petersburgu o godz. 11 wiecz. widziano zorzę północną.

D. 25 w okolicy Zamościa srożyła się burza z grzmotami i błyskawicami.

D. 24 w San Francisco w Kalifornii, dnia 24 w hr. Cork w Irlandyi, dnia 31 w zach. Anglii były dość silne trzęsienia ziemi.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stop 1 cali 4,9 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 30 i 31.... stop 1 „ 10 „ „

„ „ najmniejsza „ d. 13 i 16.... stop 1 „ 2 „ „

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1868.

Stron.

Uwiedomienie od redakcyi..... I

Filozofia.

H. T. Buckle, przez *Adolfa Pawińskiego*..... 351

Teozofia.

Talmud, przełożył i objaśnieniami uzupełnił *Izaak Kramstück*,..... 28, 192, 396

Literatura polska.

Kilka słów o polskich podróżnikach do Ziemi Śtėj i ich dziełach, skreślił
Mathias Bersohn..... I

Wiadomość o życiu, pismach, wydaniach i przekładach poezyi Klemensa
Janickiego; napisał *Zygmunt Węcłowski*..... 229

Geografia i podróże.

Mormoni, przez *E. Lubowskiego*..... 72

Sztuki piękne.

Stron.

Rysunki oryginalne Tomasza Tretera kanonika warmińskiego, z drugiej połowy XVI wieku, przez <i>Karola Bejera</i>	467
--	-----

Powieść.

Otylia. (Z angielskiego), przez <i>M. K.</i>	58
Samotnia. (Z Heysego). Przez <i>M. K.</i>	165
Rodzina lekarza. Pamiętnik. (Wyjęty z <i>Chronicles of Carlingford</i>) przez <i>M. K.</i>	433

Przemysł.

Wystawa powszechna międzynarodowa z roku 1867, przez <i>J. B.</i>	13
---	----

Korrespondencya.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna:

Posiedzenie doroczne Akademii francuzkiej. Raport pana Willemain—nagroda cnoty.— Szkoła wysokich studyów: Mowa ministra przy rozdaniu nagród uczniom w Sorbonie.— Tom Xty Rocznika literacko-dramatycznego pana Vapereau.— Podzwonne ś. p. Belletrystyce. — Gustaw IIIci na dworze francuzkim, przez pana Geffroy. — Wiadomości literackie.....	101
Święto umarłych w Paryżu. — Święto poetów w Prowancyi. — Ideal religijny. — Baden. — Wesele Figara. — „Les Inutiles” komedia pana Cadol. — Pan Legouvé i jego Proverbe: „A deux de jeu.” — Sławni i niesławni. — Velocipedy. — Wystawa aeronautyczna w Sydenhamskim pałacu. — Wiadomości literackie.....	279
Mapa Francyi w trzech epokach. — Doktora Ouimus „Rozprawa o systemacie nerwowym” (<i>Revue de Philosophie Positive</i>), — „Cadio” dramat ułożony z powieści George Sande przez Pawła Meuricé. — Wiadomości literackie.....	422

Przegląd teatralny.

Adryanna Lecouvreur, dramat w 6 aktach E. Scribe’go, przedstawiony d. 28 września b. r. na scenie Wielkiego Teatru. Przez <i>E. L.</i>	160
„Zbójcy” tragedia Szyllera przekład Budzyńskiego, benefis Jana Królikowskiego. Pani Modrzejewska. Przez <i>E. Lubowskiego</i>	331
Występy gościnnie pani Modrzejewskiej. Przez <i>Edwarda Lubowskiego</i>	492

Pismnictwo krajowe i zagraniczne.

	Stron.
Powieść z dawnych czasów, skreślił Maurycy Dzieduszycki. Lwów. 1868. Przez <i>A. Bądzkiewicza</i>	120
De Poloniae post Henricum interregno 1575 — 6. Dissertatio inauguralis historica, quam consensu et auctoritate amplissimi in alma Littera- rum Universitate Viadrina Philosophorum ordinis ad summos in phi- losophia honores rite capessendos die V mensis Martii 1866 hora XI publice defendet Sigefridus Hüppe, Posnaniensis. Adversarii erunt etc. Vratislaviae. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	124
Wspomnienia Padwy. Notatki z podróży zebrał Stanisław Krzyżanowski. Kraków. 1868. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	127
Powieści i romanse niemieckie najnowszych czasów. Przez <i>E. Lubow- skiego</i>	132
O znaczeniu prawa Rzymskiego i Rzymsko-Byzantyńskiego u narodów Sło- wiańskich. W dodatku excerpta serbskie z praw Rzymsko-By- zantyńskich. Wyłożył, objaśnił i wydał R. Hube. Warszawa. 1868. Przez <i>F. Z.</i>	298
Grecya starożytna i jej sztuka: zwłaszcza rzeźba. Napisał Józef Kremer, Poznań. 1868. Przez <i>Ludwika Buszara</i>	314
Dokładna grammatyka języka niemieckiego, wedle nowego systemu uło- żona dla szkół i prywatnego użytku przez Teofila Sikorskiego, nauczyciela Gimnazjum realnego i Szkoły Handlowej. Warszawa. 1868. Przez <i>Chm.</i>	322
Prasa w Stanach Zjednoczonych. Przez <i>Władysława Miłkowskiego</i>	324
Kamienica w Długim rynku, powieść przez J. I. Kraszewskiego, wydana w Warszawie. 1868. Przez <i>S. Rucińskiego</i>	471
Bajki Feliksa Mikorskiego. Część I. Warszawa. 1868. Przez <i>K. H. W.</i>	476
Stenografia polska ułożona według organizmu języka polskiego, przez Mi- rosława Suheckiego, człon. niem. towarz. stenograficznego w Pra- dze. Z tabliczami autografowanemi. Praga. 1866. Przez <i>Leopolda Mikulskiego</i>	479
Językoznawstwo w Polsce. Przez <i>Jana Karłowicza</i>	482
Szlachta w romansie francuzkim. (Podług autorów francuzkich). Przez <i>E. L.</i>	485
Wiadomości bieżące i rozmaitości.....	155, 340, 502
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem :	
za miesiąc sierpień r. b.	161
— — wrzesień r. b.	345
— — październik r. b.	509

